

TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1967

Seweryn Palicki

3

WIDZIANE Z GÓRY

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 148

Imprimé en France

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

TOMASZ STALIŃSKI

WIDZIANE Z GÓRY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

Niektóre osoby i wydarzenia opisane w tej książce mogą nasunąć komuś skojarzenia z wypadkami i postaciami rzeczywistymi. Wszystko jednak jest tu tak dalece przemieszane z dowolnymi hipotezami i pomysłami autora, że bezpieczniej będzie uznać całą rzecz za utwór fantastyczny.

I

Włóczył się po Wielkich Bulwarach zupełnie bez przyjemności. Właściwie ten brak przyjemności, a raczej zdecydowana przykrość irytowały go: nie był przecież doktrynerem, nie był też prowincjuszem jak Szeff — miał za sobą przedwojenne paryskie studia, znał to miasto, lubił je kiedyś. A w tej chwili patrzył na nie jakby przez matową szybę, odbierającą rzeczom barwę i wyraz. To wszystko, choć tak ruchliwe, dziwnie było martwe, psychicznie jednowymiarowe — to nie Paryż, to makieta Paryża — jakby klisza z fotoplastikonu, gdzie obraz, choć niby przestrzennie prześwietlony, w istocie rzeczy jest płaski i to płaski w sposób wciąż zauważalny, płaski jako forma i płaski jako treść. Paryż był tak typowo paryski, że aż stawało się to banalne, tuzinkowe, po prostu nie do wiary — czyż tu się nic nie zmieniło, mimo tylu zmian na świecie? Ideały mieszczańskie — Borowicz nie lubił, gdy Szeff z pogardliwą wyższością szafował tym terminem — ale jakoś przecież trzeba to nazwać. Paryż był mieszczański i, co gorsza, chciał być mieszczański — choć towarzysze francuscy twierdzili coś przeciwnego.

Towarzysze francuscy! Od pierwszej chwili otwarcia zjazdu irytowali oni Borowicza jakoś podskórnie, poza oficjalną dyskusją, która w swej części międzynarodowej była zresztą krańcowo frazeologiczna. Jedni, ci starsi, patrzyli na gości z tamtej strony z ukrywaną zazdrością, nawet zawiścią, jako na tych co niekoniecznie dzięki własnej zasłudze zwyciężyli politycznie i budują już owe przez tyle lat zapowiadane nowe życie. Młodzi za to szukali specjalnie w polskiej delegacji oparcia przeciwko swojemu zrutynizowanemu i twardemu kierownictwu. Nie rozumieli, że Polacy są ostatnimi ludźmi, którzy by im chcieli dopomóc: jedną z cen za utrzymanie się polskiej sytuacji była gwarancja

zachowywania wewnętrznej spójności i lojalności obozu na terenie międzynarodowym, zwłaszcza na terenie partii zachodnich. A już tu, we Francji, przy sukcesach de Gaulle'a, sztywność linii stawała się jedyną możliwością przetrwania: nie zmienia się broni w ogniu bitwy. Borowicz rozumiał to, ale starsi towarzysze z francuskiego Kierownictwa nie byli pewni, czy Polacy to rozumieją. Nie byli pewni, chcieli jednak tę swoją niepewność ukryć, nie chcieli najmniejszym nawet drobiazgiem dać do poznania, że mogliby choć przez chwilę zakładać istnienie w polskiej delegacji jakichś zastrzeżeń. W sumie było to jak chodzenie po kruchym lodzie — męczące i niepotrzebne. Lód czasem pękał z trzaskiem, lecz wcale nie tam, gdzie się spodziewano: ni stąd ni zowąd wybuchła na przykład awantura z towarzyszką G., znającą Borowicza jeszcze sprzed wojny, o rzekomo tolerancyjny stosunek w Polsce do reakcyjnych kół katolickich. Borowicz wiedział, jak zawiła i wielostronna jest ta sprawa, wiedział też, że francuscy towarzysze tej wielostronności nie rozumieją, że nawet język francuski nie posiada odcieni, aby rzecz wytłumaczyć. Nie wiedział jednak tego wszystkiego towarzysz Ludwik, przewodniczący delegacji: odpowiedział oschle z niezręcznym, za twardo negocjującym pewne fakty pryncypializmem, tłumacz dokonał reszty. Francuzi zamilkli nieprzekonani: Ludwik zawsze przegrywał takie sytuacje, nie znał w ogóle zagranicy, ani żadnego obcego języka. Umiał rozmawiać, trzeba mu to przyznać, z Rosjanami — dlatego może zaszedł tak wysoko — ale na terenie zachodnim grał na oślep. Trzeci delegat, Adam, z dawnego PPS-u, sytuację miał słabą, już sam wyjazd był dla niego szansą, wolał więc nie umniejszać jej przez odzywanie się i to w tak delikatnej sprawie. I on zresztą także zdany byłby na tłumacza. Jeden Borowicz znał francuski i umiałby szerzej oświetlić całą kwestię, ale nie chciał narażać się Ludwikowi, a poza tym peszyła go towarzyszka G. Widywała go przed wojną jako bardzo młodego człowieka, przy tym pod innym nazwiskiem i w innej nieco roli — choć przecież był zawsze komunistą, ale wtedy odcienie miały tu swoją wagę. Dzisiaj w końcu też — trudno jednakże je znać jak się przyjeżdża do Paryża na tydzień i całe dni siedzi na konferencjach. Do Paryża — pierwszy raz po wojnie!

Złapał się na tym, że w ogóle nie patrzy na Paryż. Stał teraz przed Operą, od razu pojął, że nie znosi tego gmachu, symbolu mieszczańskiej starzyzny i owego fałszywego uroku, który dalej pozostał tu obowiązujący. Urok ten dawniej nie wydawał mu się fałszywy: stał się fałszywy przez to, że powtarza się w innej, nie swojej epoce. Urok wytarty przestaje być urokiem, ale ci tutaj naokoło, wcale nie odczuwali, że ten urok jest wytarty.

To byli mieszczaństwo z zamiłowania, żyjący dalej w swym mieszczaństwie, choć świat przestał być mieszczański, choć przecież przegrali wojnę. Dobrobyt — oto sekret. Cała nadzieja w proletariacie — ale czy i on nie zmieszcza się? Przypomniał sobie, jak się skrzywił pewien młody towarzysz francuski, gdy ktoś wspominał o dobrej sytuacji ekonomicznej dzisiejszej Francji. — Dobrej — dla kogo? — zapytał niechętnie. Ano tak — ale swoją drogą ci tutaj mieli wyjątkowe szczęście — uszło im jakoś wszystko i to mimo Pétaina czy innych rzeczy. A młody towarzysz francuski nie był nigdy na Wschodzie. Jemu, Borowiczowi, francuski mieszczański dobrobyt stawał kością w gardle, brzydził go jako taki, tymczasem francuscy robotnicy wciąż mieli go za mało, tęsknili za nim, ich bunt pochodził z mieszczańskiej zawiści. — Oni nas nigdy nie zrozumieją, bo oni w gruncie rzeczy są mieszczaństwo — pomyślał, aby jakoś rzecz podsumować — nawet egzaltowana towarzyszką G., która zarzuca nam kompromisy z reakcją.

Wszedł na schody Opery i przez chwilę obserwował z góry potężną ławicę samochodów, przepływających bulwarami w różnych kierunkach. Na szaro rudym tle kwietniowego nieba, w wolnej przestrzeni pomiędzy ciemnymi skrzyniami domów czerniła się smukła iglica kolumny z placu Vendôme. Tu i ówdzie migotały już światła neonów — bezosobowy paryski zmierzch, a w nim bezosobowy szum i zgiełk tysięcy czy milionów pojazdów, tworzących ową heraklitową niezmienną ruchliwą, lecz obojętną rzekę bulwaru. Niejeden człowiek z Warszawy padłby na twarz przed tym ruchem, przed tym miastem, przed tą formą życia. Formą, bezduszną formą — a w środku jałowa francuska treść.

Aż sam się zdziwił dreszczowi nienawiści, jaki go nagle przeniknął. To sprawa nerwicy, przemęczenia, nie znosił też wina, które się tu pije przy jedzeniu. Stracił ochotę na odnawianie znajomości z Paryżem — przynosiła same zawody i znudzenia, aż dziwne, że nic nowego nie wymyślili, przecież auta i neony były i przed wojną. Widać zbyt już daleko od tego odszedł. Żałował teraz swej samotnej wycieczki — z trudem wymówił się od opieki towarzyszy, nie przyjął proponowanego auta, wytłumaczył Ludwikowi, że studiował tu przed laty i że ma sprawy osobiste — Ludwik oczywiście nie lubił takich rzeczy. W końcu wyrwał się i nie wiadomo po co. Więcej już tego nie zrobi, zresztą nie będzie czasu — to i lepiej. Nie ma powrotu do niczego, od czego się raz odeszło.

Fala aut stanęła, Borowicz wraz z ławicą ludzką przebrnął jezdnię i znalazł się przed Café de la Paix. Na wielkiej, oszklonej

werandzie ludzi było pełno, ale jakiś stolik by się znalazł. Borowicz pomyślał nagle o kawie: wino rozpraszło myśli, kawa koncentrowała je i zaostrzała. Dobrze było zmobilizować się nieco przed ponownym spotkaniem z Ludwikiem i z Francuzami. Skoro już i tak wybrał się „na miasto”, pół godziny nie grało roli.

Przepychając się ku stolikowi kątem oka przyglądał się ludziom. Dziwaczna publiczność, wręcz nieprawdziwa, niczym z filmu. Jakże odmienni od warszawskiego tłumu, którego zresztą Borowicz nie lubił i nie cenił, a którego zalety ujrzał teraz w perspektywicznym skrócie. Tam byli ludzie żywi: pełni urazów i goryczy, niepohamowanie nerwowi, dziwacy, częstokroć głupcy — ale żywi, zindywidualizowani, każdy wyrósł z jakiegoś dramatu czy konfliktu, z jakiejś awantury czy choćby niewygody, z kłopotów, braków, zazdrości. Borowicz nigdy w Warszawie nie miał do nich cierpliwości, bo znał przyczyny ich niezadowoleń i pretensji zbyt dokładnie, wiedział o nich wszystko, nim jeszcze otworzyli usta. To znaczy — o publiczności inteligentnej: proletariat był nowy i jeszcze bardziej niemądry, prymitywny, bo pozbawiony perspektywy czasu, nie wiedzący nic o przeszłości i mniej niż nic o teraźniejszości. — Oglupiony przez nas, ale nie ma na to rady, tak może jest i lepiej — myślał nieraz Borowicz. Myśli te ukrywał skrętnie przed Szefem: Szef, choć brzmiało to nie do wiary, był naprawdę naiwny — gdy ludzie myśleli, że on świadomie kłamie, on po prostu mówił szczerze — miano go za wielkiego cwaniaka, że nigdy nawet okiem porozumiewawczo nie mrugnie, jak to dla popularności robił Prezes. A Szef nie mrugał, bo mówił serio, ba, z przejęciem. Wierzył święcie, że nowy proletariat go popiera — za stabilizację życia, za awans społeczny i związane z nim patetyczne pochlebstwa, których im nie szczędził, za mieszkania w nowych blokach, za pracę, słowem za zmiany, jakie zaszły od czasów przedwojennych. A oni genezy zmian już nie pamiętali, przeszłość nic ich nie obchodziła, żyli teraźniejszością i swoimi do niej pretensjami. Ocenili Szefa i jego drogę mogli tylko właśnie ci zgorzkniali i przepojeni krytycyzmem, a starsi wiekiem inteligencji, ale Szef odepchnął ich jako „reakcję”: drażnili go, tak jak on, nie wiedząc o tym, drażnił robotników czy chłopów. Drażnili go brakiem hierarchii ocen — drugorzędne sprawy znaczyły dla nich więcej, niż sprawy decydujące. Szef nie rozumiał, że w tym właśnie zawierał się klucz do ich psychiki, sposób łatwego ich zjednania: potrzeba było tak niewiele, nieraz paru odpowiednich słów właściwie. Ale Borowicz nigdy nie próbował podszeptać Szefowi tych słów: mógł stracić jego całkowite zaufanie — nawet

gdyby sam Szefer tego nie odczuł, ktoś z wiadomej grupy by mu zwrócił uwagę. W obecnej sytuacji politycznej i osobistej Borowicz nie mógł sobie pozwolić na ryzyko samotności. A poza tym — całą okupację warszawską przeżył w grupie Szefera, nigdy się tego nie zaparł. Na niezbyt ważnym prowincjonalnym sekretariacie szczęśliwie przetrwał jako młody działacz okres niełaski Szefera, potem jego uwięzienie — powrócił wraz z nim. Za późno dziś było na pouczanie go, zresztą pewno nie zrozumiałby już — najwyżej by go to osłabiło, a Szefer nie mógł być słaby: może w ograniczonej tkwi właśnie jego siła? Nie można kompromitować siły, jeśli nie ma się innej w zanadru — a Borowicz nie miał, był tylko odbłaskiem tej jednej — inne zdmuchnęłyby go jak świecę. Dlatego też oddalał drugorzędne skrupuły, nawet sam poddawał Szeferowi posunięcia, o których wiedział, że wśród inteligentkiej publiczności warszawskiej czy krakowskiej muszą być ogromnie niepopularne. Oczywiście — uzależnieni od Partii profesorowie i dyrektorzy łykali każdą pigułkę z zachwyconym uśmiechem, — ale anonimowa inteligencja z ulicy, kawiarni, teatru czy kina była przeciw. Ta inteligencja, wśród której również wzrastał kiedyś i Borowicz, choć nigdy nie chciała uznać go całkiem za swego. Byli politycznie tak ogromnie niemądry, dlatego chodziło im tylko o kilka słów. A Szefer jak na złość nie chciał tych kilku słów powiedzieć, nie znał ich w ogóle. Borowicz za to znał tych kilka słów, ale w jego ustach znaczyłyby one tyle co nic, albo, jeszcze gorzej, coś zgoła innego. Tak zawsze z nim było — choćby i dziś, w dyskusji towarzyszy G. z Ludwikiem. Dlaczego też w podobnych okazjach milczał: słowo może zaszkodzić, o ile pozostaje tylko słowem; gdy autorytet mówiącego zaangażowany jest w grze, nikt nie zwraca uwagi na treść słów, tylko właśnie na osobę tego, co mówi. Szefer, Ludwik, ci mogli mówić — ale albo nie chcieli, albo mówili źle, jak Ludwik dzisiaj. On, Borowicz, umiał mówić, ale dlatego właśnie milczał — bo to nie była jego rola, choć nieraz poprawiał i korygował przemówienia innych. Tak widać jest lepiej: gdyby decydowały słowa a nie siły, byłoby za łatwo i nieprawdziwie. Chodzi w końcu o rzecz, o rezultaty — Tłum warszawski uwielbia i wyolbrzymia słowa, bo nie umie ocenić rezultatów.

Czy te wszystkie myśli przebiegły mu przez głowę, gdy przejechał się do stolika w Café de la Paix? Uplętno przecież kilkanaście sekund zaledwie, więc nie tyle myślał, ile w jakimś błyskawicznym zwarcu czy spięciu mózgu wszystko naraz od nowa zobaczył: powtórzył sobie siebie. A całą rzecz wywołał ów paryski tłum przy stolikach, tłum niby rozmaity i malowniczy, a w gruncie rzeczy jakże monotony i jednolity, naznaczony piętnem ure-

gulowanego do dna duszy mieszczańskiego życia. I pomyśleć, że to właśnie była pierwsza ojczyzna rewolucji. Chociaż tak właśnie jest na świecie: wybuch, wyjście tłumów na ulicę trwa tylko chwilę, a potem szczęśliwcy, którzy na tym wybuchu wyjechali do góry, rządzą latami, ba — przez dziesiątki i setki lat. W gruncie rzeczy we Francji trwał po dziś dzień porządek mieszczański, którego tryumf i panowanie zapewniła, nie wiedząc zresztą co robi, Wielka Rewolucja — wszystkie następne tutejsze rewolucje przynosiły w rezultacie dalsze gruntowanie się tego życia, dalsze udoskonalone mutacje mieszczańskości. A w dodatku oni zrobili sobie z tego chlubę: nabrali cały świat, który za grubą forszę zjeżdża się do Paryża, aby oglądać ich martwe, zawsze takie same życie.

Usiadł wreszcie i patrzył po twarzach, dławiła go niechęć do tej tak zadufanej w formach swojego bytowania, zarozumiałej publikli. Wiedział zresztą, że jest niesprawiedliwy, że to społeczeństwo rozwarstwione i zróżnicowane jak każde inne, że mają wspaniały proletariąt, że poezja rewolucyjnego Paryża na pewno walczy i trwa. Pamiętał ją zresztą z własnych przeżyć, z doświadczenia, siedział tu przeszło trzy lata, do samego niemal Września, pamiętał echa wojny hiszpańskiej, zdradę Bluma i owe zimowe dni, gdy z polecenia rządu Daladiera po całym Paryżu zimiono ukrywających się Hiszpanów, czerwonych uciekinierów z przygranicznego obozu w Pirenejach. W swoim pokoju hotelowym przechowywał parę dni młodziutką córkę jednego z ministrów republikańskiego rządu. Potem przekazał ją pod wskazany adres towarzyszom francuskim. Była wystraszona i milcząca, jak schwytane pisklę drapieżnego ptaka. W parę miesięcy później wrócił do Warszawy, aby pozostać na wojnę, na zawsze — te lata w Paryżu żyli przecież w cieniu zbliżającej się wojny.

Takie były poważne paryskie wspomnienia, ale miał i lżejsze — jakieś kawiarnie, zabawy, miłostki, jakieś dziewczynki. Tłukły mu się po głowie zapomniane imiona — ale nie budziły specjalnego wzruszenia: to było płytkie, niezbyt mądre, miało urok leciutki, który szybko przemija. Zrozumiał że tu, w obliczu owego drętwego francuskiego tłumy niespodziewanie rozprawił się z tamtym urokiem — nie potrzebował go już do niczego, jak nie potrzebuje się flaszeczki po zwietrzałych perfumach. Dobrze — balast z głowy. Wspomnienia rzeczy nie istotnych to tylko obciążenie, sentymentalizm, w istocie roztkliwianie się nad sobą i to nad sobą dawnym, nieprawdziwym, nieważnym. Dwugodzinny spacer do Paryżu wyleczył go z tej słabości. Za to gnębiła go teraz inna doraźna: jakby lęk przestrzeni — był tu obcy, nieznanany w tym dalekim tłumie, tkwił w nim przez chwilę, aby

już nigdy tu nie wrócić i nigdy go nie poznać. Czuł zmęczenie tą sytuacją, chciał jak najprędzej znaleźć się choćby w swoim zjazdowym pokoju, który dzielił z Ludwikiem. Sztywny, wiecznie nastroszony i „mający za złe” Ludwik wydał mu się teraz wymarzoną towarzyszem wieczoru — ileż wspólnych spraw ich łączyło czy dzieliło, niweczając uprzykrzoną samotność bezczynności. Przy Szefie czy przy Ludwiku działał — gdzie indziej tylko tkwił. Tam było jego miejsce i racja bytu, racja wyrosła na wspólnocie przeżyć — tu był nie potrzebny i nie poznawalny. Nagle przypomniał sobie tytuł starego komunistycznego utworu: „Pałę Paryż!”. A właśnie — widać nie on pierwszy tak się tu poczuł.

Dopił resztę kawy i rozglądał się za kelnerem, mimochodem wiodąc wzrokiem po twarzach czarnookich młodzieńców z hiszpańskim wąsikiem w bardzo kontrastowo białych koszulach — takie jakieś mu się właśnie narzucały dziś twarze hiszpańsko-algierskie, jak sobie to nazwał — gdy nagle wzrok jego zaczął o twarz zupełnie odmienną, twarz w dodatku wyraźnie i ostentacyjnie ku niemu skierowaną, zainteresowaną nim, po prostu go przywołującą. Gdy tylko oczy ich się spotkały, posiadacz owej twarzy wstał i z nikłym ale wyraźnym uśmiechem jął się przepychać między stolikami ku Borowiczowi. Był to przystojny, dość zażywny, nieco szpakowaty blondyn z wąsikiem ubrany w bardzo jasny garnitur. I nagle na Borowicza spłynęło olśnienie: to przecież Edek Bratkowski!

Z Bratkowskim chodzili razem do gimnazjum w S..., podlaskim miasteczku, gdzie Borowicz się urodził. Miasto liczyło sobie wtedy niecałe dwadzieścia tysięcy mieszkańców, w tym pięć tysięcy Żydów. Okrasę S... stanowił miejscowy garnizon, złożony z pułku piechoty, dywizjonu artylerii i jeszcze tam czegoś. Edek był właśnie synem kapitana z piechoty, ale wcale nie miał przewrócone w głowie, przeciwnie, zawsze odznaczał się łagodnością, uczynnością, gładkimi manierami i nie okazywał ani odrobiny skłonności do antysemityzmu. Siedzieli szereg lat we wspólnej ławce — a to ci historia, a to dziwaczna niespodzianka!

Borowicz błyskawicznie pojął, że spotkanie będzie kłopotliwe i z gatunku niepotrzebnych. Bratkowski był na pewno na emigracji, zaczęły się wyjaśnienia, komentarze polityczne, a zresztą świat dzieciństwa i młodości z S... dawno już zniknął, zapadł się w nicość, rozwiął. Wszyscy Żydzi zginęli, Polaków i Białorusinów też trzeba było i rozpędzano na cztery wiatry, w walkach 1944 miasto spłonęło prawie całe, z wyjątkiem kościoła. O czym to i po co rozmawiać będą z Edziem Bratkowskim i to w dodatku w Paryżu? Ale trudno stało się: tamten go poznał, już

ściskali sobie ręce, Edzio był nawet jakby wzruszony, nieco zażenowany, bardzo uprzejmy — wszystko na swój stary sposób, który Borowicz od razu sobie przypomniał, chociaż nie widzieli się przecież od matury, od wiosny 1935 — dwadzieścia sześć lat jak ułał! Jednak może jeszcze się później spotkali, raz czy dwa razy przed samym Wrześniem? Tego nie mógł już sobie przypomnieć, bo nigdy, od matury, o Edziu nie myślał, choć słyszał o nim to i owo.

— A cóż to za spotkanie nadzwyczajne — Edzio jednocześnie szukał wzrokiem kelnera z poprzedniego rewiru, a zarazem wciąż, dyskretnie, lecz ciekawie lustrował szybkimi, ukradkowymi spojrzeniami twarz i postać Borowicza — pojęcia nie miałem co się z tobą dzieje i w ogóle że żyjesz. Tu zaczerwienił się lekko, jak zwykle, gdy powiedział rzecz mogącą komuś zrobić przykrość, a zauważoną po niewczasie. Borowicz oczywiście zarejestrował to natychmiast — Edzio chciał powiedzieć, że skoro wszyscy znajomi Żydzi zginęli, to dlaczego jeden z nich siedzi właśnie w Café de la Paix i pije kawę. — Ale właściwie zawsze czułem, że się jeszcze spotkamy — poprawiał się tamten — choć z naszej budy mało chyba kto ocalał. A ty gdzie teraz mieszkasz?

Borowicz powiedział, że mieszka w Warszawie, ale nie dodał żadnego komentarza. Potem nadmienił jeszcze, że matka żyje i jest z nim. O ojcu nie wspomniał: umarł zwyczajnie przed wojną, to się nie liczyło. Edzio trochę był spłoszony, bał się dalszych nietaktów, więc zaczął opowiadać swoją historię wojenną, epopeję pełną krótkich walk i długich przekradań się w cywilu przez rozmaite fronty, której terenem były na zmianę Polska, Węgry, Francja, Hiszpania, Portugalia i wreszcie Anglia. Borowicz przyjął z pewną ulgą wiadomość, że Edzio nie przeszedł przez Rosję, to by dodatkowo skomplikowało rozmowę, zaczęłyby się owe dobrze znane historie, rekryminacje, pretensje pod złym adresem, a tak sytuacja była jasna: Borowicz ze Wschodu, Bratkowski z Zachodu i tyle. Bo Edzio całkowicie wsiąkł w Zachód: swą tułaczkę wojenną zakończył w brygadzie pancerniej Maczka, zdobywał z nią Holandię i północne Niemcy, spisywał się dzielnie, został ranny, miał odznaczenia, a teraz był buchalterem w Paryżu, choć studiował kiedyś prawo; dostał obywatelstwo francuskie, nie ożenił się. Dopowiadał swą historię już bez zapału, jakby przepraszając, że zakończenie nie jest zbyt efektowne. Coś wspomniał jeszcze, o chęci odwiedzenia kraju, ale jakoś wypadło to blado i rozplynęło się w pytającej atmosferze, w wyczekujących spojrzeniach, kierowanych dyskretnie w stronę Borowicza; Edzio był zawsze dobrze wychowany i raczej nieśmiały, zostało mu to i po latach.

Borowicz pojął, że musi czymś się odwdziżyć, coś opowiedzieć, choć robiło się późno, a całe to spotkanie nie miało żadnej przyszłości, żadnego celu, ani sensu, w dodatku rozpraszało go, przedstawiało w inny plan, w inny nastrój, który do niczego nie mógł służyć ani jemu, ani chyba Edziowi; chociaż to drugie nie było całkiem pewne, bo w oczach czy wyrazie twarzy tamtego czaiło się właśnie coś, jakby prośba o jałmużnę rozmowy i relacji z kraju. Ale o czym mu opowiedzieć — przecież nie o okupacji w Warszawie; Borowicz przeszedł tamte lata dzięki Szefowi jako młody działacz i konspirator, zawsze wśród towarzyszy i przyjaciół, nigdy w samotności, która pozwoliłaby pomyśleć na serio o regulującej wszystkie sprawy ludzi jemu podobnych, wymyślonej przez Niemców zbiorowej, bezimiennej upokarzającej śmierci. Tak, nie zaznał wówczas samotności ani lęku, te zjawy się dopiero w Polsce powojennej, Ludowej. Ale jak to wszystko wytłumaczyć Edziowi: za trudne i w ogóle po co. Postanowił przeciąć sprawę krótko, swoim nazwiskiem. To był jednak tamtemu winien, bądź co bądź siedzieli szereg lat na owej wspólnej ławce w S...

— Okupację przebyłem w Warszawie, działając w konspiracji komunistycznej — powiedział rzeczowo. — Obecnie nazywam się Borowicz, pracuję w Komitecie.

Cios był dobrze wymierzony, trafił na podatny grunt. — Borowicz, Henryk Borowicz?! — pytał Edzio, jakby źle usłyszał. — Tak, to właśnie ja — powtarzał cierpliwie Borowicz, żałując już w głębi, że wdał się w ogóle w jakiegokolwiek wyjaśnienia. Tamten mrugał oczami jak człowiek porażony nadmiernym, ostrym światłem, ale w jego zachowaniu, obok grozy było jednak także coś na kształt podziwu. Borowicz zaczął sobie teraz przypominać, wyciągać z mgły niepamięci — zabawne, gdzie w człowieku takie rzeczy siedzą — że koło Edzia była kiedyś leciutka nieuchwytna aura, jakoby po trochu, z lekka sympatyzował z komunizmem. Właściwie może wynikało to po prostu z tego, że przyjaźnił się z Żydami, a jeżeli ktoś w S... sympatyzował skrycie z komunizmem to właśnie niektórzy Żydzi, bez względu czy biedni, czy bogaci: nawet stary Lipszyc, właściciel tartaków, spekulant i wytrawny kombinator, prawdziwy burżuj, jakiego drugiego w mieście nie było, tolerował to, że jego jedynaczka Wanda jeszcze w gimnazjum prowadziła marksistowskie kółko, gdzie wykładowcą był między innymi on, Borowicz. Wiele zresztą pamiętała przykładów na to, że nawet dla najgrubszej burżuazji żydowskiej komunizm mógł się stać taką samą hodowaną w marnieniach legendą, jaka dla biedoty, zaludniającej niedocieczone, przepaściste, ciasne i ciemne gardziele Nalewek, Dzielnej, Smo-

czej, Gęsiej, zaś u nich w S... Franciszkańskiej i Praskiej. Wszakże wielki teoretyk partii, międzynarodowy działacz towarzysz Riesner pochodził z jednej z najbogatszych rodzin warszawskich, która cierpiała przez niego wiele, ale w skrytości ducha była z niego dumna. A towarzysz Furman, a Mławski, a Sztabholz, którego kiedyś rodzona matka chciała dosłownie wykupić z sanacyjnego więzienia, choć on odmawiał widzenia się z nią, jako z przedstawicielką wrażej klasy posiadaczy? Tak — komunizm przed wojną stał się skrytą miłością tych odrobinę światlejszych Żydów w Polsce, choćby nawet byli bogaci: wynikało to zapewne stąd, że mimo pieniędzy czuli się zawsze niepewnie, upośledzeni, nielubiani, gorsi, to znaczy traktowani jako gorsi, wobec czego stawali się częstokroć potencjalnymi sojusznikami rewolucji, nosicielami fermentu społecznego; czekali na zmianę, na swój rzeczywisty awans i to była ich rola, pozytywna rola. Dopiero dziś wszystko się zmieniło: zwycięski komunizm jął ich odpychać, eliminować, bo z drugiej strony zjawilo się państwo Izrael, potęga bogatych Żydów amerykańskich, mnóstwo różnych historii, w rezultacie sprawa żydowska zaczęła bruździć sprawie rewolucji, co znów wyzyskiwali antysemita, których nie brak nigdzie, nawet w Partii. Borowicz nie lubił tych rzeczy, sądził że są nieistotne, nie miał na nie czasu. Ale jednak były — były choć ich niby nie dostrzegał.

Nie dostrzegał ich zapewne i z innej strony wprawdzie patrzący Bratkowski, który, jak to sobie teraz Borowicz dokładnie przypominał, miał opinię leciutko komunizującego czy pojednawczego wobec komunizmu bo, chociaż oficerski syn, przyjaźnił się z Żydami. Ale byli przecież i Żydzi, którzy szczerze i mocno nie lubili komunizmu: byli i to nie tylko wśród chasydzkich ortodoksów. Do takich należał choćby ojciec Borowicza, arcypracowity krawiec, u którego oficerowie w S... szyli sobie mundury. Szył też i dla kapitana Bratkowskiego, a potem zdaje się i wyjściowy kamgarnowy mundur „do figury” dla Edka, gdy ten służył w podchorążówce. Ojciec był fanatykiem pracy, nie znosił żadnych teorii, zawsze miał do syna urazę, że marnuje czas przez politykę, choć nie żałował mu odłożonych pieniędzy, nawet na wyjazd do Paryża, gdy w warszawskim uniwersytecie zaczęły się antysemityczne hece. Ojciec zmarł tuż przed samym wybuchem wojny, za to matka w okupacyjnej Warszawie wciągnęła się w partyjną robotę — no i nie straciła na tym...

Takie to nagle przypominane rzeczy myślał sobie, a raczej błyskawicznie w myśli odświeżał Henryk Borowicz, siedząc w Café de la Paix obok dawnego kolegi i słuchając niezbyt uważnie, jak ten, widać dobrze świadomy roli onegoż Borowicza w dzi-

siejszej Polsce, próbuje jednak, z właściwą sobie poczciwością, powiedzieć mu coś miłego. — Rozumiem cię poniekąd — miałem sącać coś z kieliszka — mimo moich odmiennych poglądów, no bo ty jednak zawsze byłeś ideowym komunistą. Borowicz postanawia skończyć wreszcie tę rozmowę niepotrzebną, ale skończyć ją precyzyjnie i pozytywnie.

— Widzisz, to nie tylko o komunizm chodzi — powiedział. — Komunizm, tak to prawda, ale przecież nie wszyscy ludzie w dzisiejszej Polsce są już komunistami, przeciwnie, większość wcale nie jest. Ale idzie o to, że dzisiejsza przez komunistów kierowana Polska jest Polską po raz pierwszy od stuleci zdolną do życia: rewolucja spotkała się tutaj z narodową i państwową racją stanu. Mamy kraj o sensownych granicach, jednolity — chciał powiedzieć „narodowo”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili — no i mamy sojuszników — nie można być jednocześnie przeciwko Niemcom i Rosji, no nie? Ludzie w Polsce to zrozumieli i dlatego popierają nas również nie komuniści.

Mówił to z przekonaniem, ale niepotrzebnie się peszył, zamiast twardych sformułowań jakie sobie zamierzył wyszło jakoś perswadująco czy łagodząco. Trochę mu było głupio i wiedział dlaczego: to stary kompleks odżywał bez sensu, że niby on, syn krawca z S... mówi do polskiego oficera o polskiej racji stanu. Z drugiej strony jednakże to on właśnie miał niewątpliwą słuszność i moralną przewagę, on, właśnie on, reprezentował teraz ową polską rację stanu, nie tamten, wyrzucony z kraju, przypadkowy bezmyślny emigrant, człowiek bez ojczyzny, bez narodowej godności. — To przecież ja pracowałem za niego w okupacyjnej Warszawie — pomyślał — a mnie chyba trudniej tam było zostać i ocierać się codziennie o łapaczy z Gestapo! Borowicz zły był teraz na siebie, że uległ przez chwilę słabości starych urazów. Tak to bywa, gdy niepotrzebnie wraca się w przeszłość dawno zamkniętą. Zawsze myślał i była to myśl nawet krzepiąca, że przynajmniej z lat przedwojennych nic mu już nie zostało, żadnych remanentów czy bagaży — a tu w ciągu dwóch dni w Paryżu najpierw towarzyszka G., która poznała go z miejsca, jakby lata wcale nie upłynęły, a teraz ten tutaj, zupełnie nieprawdopodobny Edzio. Wszystko to całkiem nie istotne i zbędne, na szczęście za chwilę się skończy, tym razem już bezpowrotnie.

Tymczasem Edzio zdawał się jakoś czytać w jego myślach i towarzyszyć ewolucji jego nastroju: był nieagresywny, nie podejmował dyskusji, ani w ogóle zasadniczej rozmowy, taki jakiś uległy i bez słów rozumiejący. — Pewno i on ma tu za swoje, w tym Paryżu — pomyślał Borowicz i przypomniał sobie nagle, że przecież wcale jeszcze nie dowiedział się o losach jego ojca,

o rodzinie i znajomych. Ale nagle tamten przejął inicjatywę i zapytał, czy pamięta Wandę.

— Wandę, jaką Wandę? — Borowicz, zaskoczony i zdeglustowany dalszą natrętną inwazją przeszłości, usiłował zyskać na czasie; przecież przed chwilą pomyślał także i o Wandzie, nie mogło tu chodzić o kogo innego.

— Wandę Lipszyc, wiesz z tartaku — wyjaśniał tamten cierpliwie — ona jest tutaj.

— Jakto, ona żyje?! — teraz Borowicz nie mógł się powstrzymać od pytania, które uraziło go przedtem. Ale to już stawało się naprawdę nie do wiary. Tymczasem Edzio skwapliwie wyjaśniał, że Wanda cudem ocalała z getta w S..., potem była na robotach w Niemczech, a teraz jest w Paryżu i wyszła za Francuza.

Getto w S...! Dwa lata temu Borowicz wziął samochód i po raz pierwszy po wojnie pojechał zobaczyć rodzinne miasto. Było rozchłapane, rozmazane przedwośnie, miasteczko tonęło w błocie; wraz z oprowadzającym go towarzyszem z miejscowego Komitetu brnęli po „kocich łbach” rynku, co chwila grzęznąc, ślizgając się i potykając — auto wraz z kierowcą zostało przed ozdobionym pretensjonalnymi kolumnienkami żółtym budynkiem Komitetu. Borowicz jak przez mgłę przypominał sobie grubośćścistego, małowównego chłopaka — to był właśnie kiedyś ów dzisiejszy towarzysz z miejscowej Egzekutywy. Nie wiadomo, czy go poznał, w każdym razie niczego nie okazywał i tak było lepiej. Nie patrząc na Borowicza opowiadał śpiewnym nieco akcentem wojenną i powojenną historię miasta, idąc obok gościa lub czasem, jako przewodnik, przed nim.

Getto w S... ograniczało się do paru starych uliczek i połowy rynku. Bożnica pozostała na zewnątrz, pożar jej rozświetlił którejs nocy całe miasto. Getto ogrodzone było tylko drutem — i tak nikt nie zamierzał stamtąd uciekać — toteż obywatele miasta mogli obserwować życie odizolowanych mieszkańców zamkniętej strefy, jak życie ryb w akwarium. Od czasu do czasu wybuchały strzelaniny, gdy ktoś próbował coś tam przez drut podać: pilnujący wachmani dopuszczali pewien handel z gettem, ale tylko za własnym pośrednictwem. Szło tam w środku zresztą coraz gorzej — kto ciekawy mógł się przekonać naocznie, ale ludzie nie chcieli patrzeć. A potem przyszedł dzień wywózki wszystkich Żydów z S... do niedalekiej stąd Treblinki. Już wieczorem, gdy wzmocniono posterunki, poszła po mieście wieść — a o świcie wszyscy mieszkańcy getta, nawet matki z niemowlętami, stali zgromadzeni na rynku: niektórzy z tobołami, inni bez niczego. Wśród krzyku i płaczu, wśród wachmańskich ryków

i strzałów, pomiędzy milczącym szpalerem ludności polskiej po-
pędzono ich ulicą Starą do odległego o pięć kilometrów dworca.
Na szosie, już za miastem, działy się straszne rzeczy, słychać było
ciągłe wybuchy, zebrano potem wiele trupów ludzi, których za-
bito, bo nie mogli iść. Jadący akurat do stacji furman chciał pod-
wieźć znajomą starą Żydówkę, uginającą się pod ciężarem tło-
moka — Niemiec zastrzelił ich oboje, a przerażone konie z wo-
zem poniosły gdzieś w pole. Był już straszny, duszący upał, gdy
przyszli na stację; przy bocznej rampie stały pobielone wapnem
wagony bez okien. Okazały się za ciasne, Niemcy ubijali ludzi
kolbami, przy zatraskiwaniu na siłę drzwi obcięli komuś wszys-
kie palce; beton peronu spływał krwią, gdy wreszcie założony
na głucho zardzewiałymi sztabami pociąg bez okien ruszył w dro-
gę. Tak odjechali z S... na zawsze starzy jego mieszkańcy, Żydzi.
Ale nie wszyscy: podobno jednak po drodze na stację parę osób
uciekło. Kryli się gdzieś po lasach, w ostre, zimowe mrozy pod-
chodzili aż po najdalsze, osobno stojące domy miasta, Niemcy
zresztą wcale ich nie szukali. Raz w biały dzień jakaś upiornie
zglodzona i zmarznięta kobieta z dziećmi zgłosiła się na wachę,
prosząc i żądając, aby ją zastrzelili. Młody wachmajster krzychał
i tupał nogami, każąc jej iść precz, tak się wściekł, że mało się
nie udusił, ale ona wciąż stała i wyciągała błagalnie ręce, pewno
już wariatka. Sterczała tam z pół dnia, wreszcie Niemcy wzięli
auto i gdzieś ją powieźli.

Borowicz wysłuchał relacji towarzysza, przypatrzył się tkwią-
cym jeszcze w środku miasta, uporządkowanym niby lecz spływa-
jącym dziś błotnistą mazią ruinom, potem pół dnia mu zeszło
na przeglądaniu w Radzie materiałów o planach rozwoju miejsco-
wego przemysłu. Nikogo znajomego już nie spotkał, przewodni-
czący i sekretarz Rady byli przyjezdni, ludność miasta bardzo
się zmieniła, mnóstwo rodzin zraziło się wojennym zniszczeniem
i bratobójczą partyzantką, jaka się tu ciągnęła długo jeszcze po
wojnie; wyjechali na Zachód, czy do Warszawy, kto ich wie.
Przeszłość umarła, śladów zostawiła niewiele.

Pod wieczór tego dnia jakoś się wypogodziło, na niebie zja-
wiła się różowa poświata. Borowicz poszedł na chwilę sam do
parku miejskiego, po drodze rzucił okiem w ulicę, gdzie kiedyś
mieszkali, ale nie chciało mu się tam iść. Park był teraz bezlistny,
rozkisłe trawniki poryte kretowiskami, na alejach stały ogromne
kałuże, wiało chłodem i zbutwiałą wilgocią. Wtedy przypomniał
sobie Wandę, z którą tu czasem chodził. Co się z nią stało? Wie-
dział, że po maturze została w S... z owym, starszym od niej
o pięćdziesiąt lat, przebogatym ojcem. Oczywiście wszyscy zginęli.

Tymczasem Edzio tu mówi, że Wanda żyje — on nawet chy-

ba z nią trochę podflirtowywał. Ale jak się ocalała? Nigdy w kołach partyjnych nic o niej nie było słychać, choć kiedyś jeszcze jako uczennica sympatyzowała z ruchem. Edzio zachowywał raczej dyskrecję, kładł tylko nacisk na to, że wyszła za Francuza. Borowicz nie chciał się dopytywać, po co mu to, nic go już z tamtych rzeczy nie obchodziło, a z tych tutaj paryskich, również nie. Za chwilę opuści Edzia, żeby go nigdy w życiu nie zobaczyć — trzeba się już nawet było spieszyć.

Jednakże nie mógł się od razu pożegnać, bo Bratkowski zaczął nadmieniać, że powinni się spotkać razem, z Wandą, że to przecież zupełnie wyjątkowa okazja. Borowicz protestował gwałtownie: nie ma już czasu, wyjeżdża, zresztą po co? Na pytanie: po co? Edzio spojrzał trochę zdziwiony, co zdetonowało Borowicza. Wanda, Edzio, getto w S... — sprawy, które jeszcze przed godziną nie istniały, nagle urealniły się, zmaterializowały i domagają się dla siebie miejsca. A może? Edzio nalegał nawet z pewnym naciskiem, robił aluzje, że to coś ważnego. Nuż Wanda miała jakieś problemy, trudności polityczne, paszportowe, licho wie — mogą z tego wyniknąć komplikacje, po co w to włączyć, kiedy i tak stąpa się całe życie po kruchym lodzie. Ale Edzio wydobyl już notes, pisał jakieś tam swoje francuskie telefony. Borowicz myślał prędko: mieli tu być jeszcze dwa dni, potem krótki objazd po Francji; w sobotę przed wyjazdem zdaje się wspólny teatr, może uda się urwać, co prawda Ludwik tego nie lubi, ale ostatecznie... Ani wiedział kiedy umówił się z Edziem, choć warunkowo i nie wiążąco, po czym pożegnał się rzeczowo i energicznie, maskując niezadowolenie, że dał się wciągnąć nie wiadomo w co. Cóż go w końcu dzisiaj obchodzić mogła Wanda — widział ją ostatnio kiedy mieli najwyżej ze dwadzieścia lat. Tamta młodość minęła, nie należy do niej wracać: są na świecie rzeczy ważniejsze i to o ile!

Na bulwarze był już wieczór, neony zapalały się i gasły, rozświetlały się kolorowo, przesypywały się świetlistymi kaskadami — zwykła pozbawiona znaczenia uliczna paryska gala. Borowicz ze zmarszczoną brwią szedł do metra — gryzły go wyrzuty sumienia, że stracił tyle czasu, a najważniejsze, że się rozproszył i zdemobilizował psychicznie. Nie stać go było na to, po prostu bezsensowne marnotrawstwo. Nie pójdzie na spotkanie, w ogóle nie umówi się z Edziem i z Wandą, nie zadzwoni do nich, a oni nie wiedzą, gdzie go szukać. Nie i koniec — tak postanowił sobie solennie, gdy zasuwwały się za nim automatyczne drzwi metra, a pociąg ruszał w swój nudny tunel.

II

Tymczasem w sobotę wszystko ułożyło się samo tak, jakby wypychając Borowicza na spotkanie. Wspólnego pójścia do teatru zaniechano, bo sporo delegatów już się rozjechało, a gospodarze byli po trochu zmęczeni i zde gustowani, czego nawet tak specjalnie nie ukrywali. Towarzysz Ludwik zasiadł przy biurku z jakimiś papierami i zabrał się do pracy, Adam gdzieś się zawie ruszył; Borowicz nie bardzo miał co robić i tak, ni stąd ni zowąd, zadzwonił do Edzia. Tamten tylko na to czekał, ogromnie się ucieszył i już od razu wyznaczał spotkanie na kolację, czy raczej francuski obiad w doskonałym, jak mówił, lokalu, koło bulwaru Saint Germain — była to pono knajpka niewielka, ale o sławnej kuchni, co zresztą Borowiczowi wydało się raczej obojętne. Edzio nadmienił jeszcze, że Wanda przyjdzie z owym francuskim mężem i że on, Edzio, nic na to nie mógł poradzić, ale obiecuje Borowiczowi pełną dyskrecję i incognito. Ten Francuz, mąż Wandy to, jak się okazało, patron Edzia, który był w jego właśnie firmie buchalterem. Borowicz nie miał nic przeciw obecności Francuza — rozmowa stanie się przez to mniej intymna, co i bardzo dobrze.

Lokalik okazał się ciasny, za ledwie skąpy parter i pięterko, ale nakrycia, sztuce i liberie służby świeciły codzienną odświętną gałą, od razu było widać wielką tradycję francuskiego celebrowanego żarcia, jak to sobie określił Borowicz. Całe ściany usiane były podpisami różnych znakomitych czy mniej znakomitych ludzi, którzy tu jadali, co z dumą pokazywał Borowiczowi Edzio; ten zjawił się bowiem pierwszy, przed wszystkimi, zamówił stół z czterema nakryciami i był bardzo podniecony, nie bez lekkiego wpływu wypitego już alkoholu. Borowicz zauważył to od razu: w sposobie bycia Bratkowskiego zbrakło dziś zwykłej deli-

katnej nieśmiałości; nie żeby był niegrzeczny, to nie zdarzało mu się nigdy, ale był jakiś nadmiernie koleżeński i familiarny, choć od czasu do czasu otrząsał się po trochu z tego stanu i wtedy nagle spoglądał na Borowicza z jakimś zdumieniem. Najwidoczniej nie mogły mu się połączyć w jedno dwie całkiem różne strony tej samej sprawy, a także dwa jakże odmienne klimaty i nastroje: szkolne czasy w S... i dzisiejszy Borowicz w dzisiejszej złowrogo tajemniczej, przybranej wszelkimi wieściami czy legendami o komunistycznym Wschodzie, Polsce. Ten człowiek nie był w kraju dwadzieścia parę lat, a ja się stamtąd nie ruszałem, przeżywając po kolei wszystko — myślał Borowicz. — Właściwie zamieniliśmy się rolami: on powinien był tkwić w Warszawie, a ja mogłem zostać tutaj, przecież to ja, a nie on byłem przed wojną w Paryżu. Akurat na odwrót się to wszystko ułożyło. Ale Borowicz wiedział, że dla ludzi, tak jak on wierzących w rewolucję, Zachód nie miał w tej chwili znaczenia: wybitni towarzysze Riesner czy Talarek, po wielu latach pobytu w krajach kapitalistycznych wrócili po wojnie do Polski jak do siebie i natychmiast, ani trochę nie zdziwieni czy zaskoczeni nową sytuacją, rzucili się do pracy; można by pomyśleć, że w ogóle stąd nie wyjeżdżali. Bo Zachód był w tej chwili nieważny, ważny był Wschód, gdzie się zaczęło, gdzie się urodziła rewolucja. Przecież wystarczyło nawet spojrzeć na mapę: cóż znaczył ten maleńki, stary półwysep, zwany Europą Zachodnią, wobec gigantycznych kontynentów, na których rozprzestrzeniało się już władanie nowego ustroju? A Chiny, które przeżywały teraz swoją miodową epokę romantyzmu rewolucyjnego? Może nie zawsze najrozsądniej ją przeżywały, ale to są właśnie choroby bujnej młodości. Odmłodzić kraj tak stary — czyż to nie wielkie dzieło?

Pijąc aperitif, bo z jedzeniem czekali na Wandę i jej męża, powiedział coś z tych swoich myśli Edziowi, ale tamten okazał się agresywnie polemiczny i nie skłonny dzisiaj do przychylnego wgłębiania się w cudze światy myślowe. — Przecież u was, to znaczy w Polsce — poprawił się — nie było żadnej rewolucji — po prostu przyszli Rosjanie i siłą narzucili swoje, a wszyscy, właśnie lud, przede wszystkim lud — zaakcentował — był przeciw temu. Więc jakaż to rewolucja?! Wy im służycie, ty i twoi przyjaciele, ale... tu jednak Edzio zmitygował się trochę i widać żał mu się zrobiło Borowicza, bądź co bądź w Paryżu czuł się gospodarzem i zamierzał być grzeczny... no, ja wiem, ratujecie co się da, był ten wasz Październik, ale nie mówcie przynajmniej o rewolucji — to przecież zupełnie co innego!

Edzio skończył znacznie mniej pewnie, niż zaczął, zdetonowany niechętnym i jakby z góry wszystkim wiedzącym spojrzeniem

Borowicza, dopił to, co miał jeszcze w kieliszku i rozejrzał się po lokalu, gdzie już na dobre rozpoczęła się owa klasycznie francuska celebracja jedzenia. Młodzi chłopcy w liberjach rozwolili wózki z *bors d'œuvres*'ami, kelnerzy nalewali czerwone wino, goście solennie zakładali sobie serwetki pod brodę i z powagą, arcydokładnie wycierali widelce i noże w inne niepokalanie białe serwetki. Borowicz również się rozejrzał — znał dobrze te widoki, ale nie bawiły go, a w tej chwili niecierpliwiły. W dodatku Edzio okazywał się wyraźnie podпиты i na tym etapie oszołomienia spłycony, zobojętniały, nieprzenikliwy na wszelkie perswazje. Zresztą — w ogóle nie był w stanie nic zrozumieć, nie siedział tam, nie widział kraju na krawędzi unicestwienia, nie widział z bliska bezwolnej tragedii narodu, którego nikt nie brał pod uwagę w poważnym rachunku, a każdy chętnie wykreślał czy wymazywał z bilansu, jak pustą cyfrę. Że Żydzi zginęli pierwszy — to tylko przypadek. Jakże ten zacofany i zdeorientowany, na wszystkie strony rozdzierany, a w ostatniej wojnie tak nie-ludzko zlekceważony i upokorzony naród miał urodzić rewolucję, przeciw komu miałaby ona być wymierzona i z jaką ideologią startować? Kto znał to bezpańskie społeczeństwo w czasie wojny, ten dobrze wie, że sprawa musiała się dokonać inaczej. Oni właśnie, mała grupka komunistów, mimo rozbicia partii, mimo braku ludzi, mimo wszelkich trudności, mimo Stalina, zaczęli budować w Polsce rewolucję — od początku, wszystko na nowo, przecież na tych lotnych piaskach nic innego stanąć by nie mogło. I w jakich warunkach to robili, z jakimi trudnościami, jaką nienawością otoczeni i pogardą! Cóż o tym wszystkim może wiedzieć śmieszny, dziecinny Edzio i jego śmieszni, dziecinni przyjaciele z Paryża i Londynu! Nieobecność w kraju wtrąciła ich w powtórne dzieciństwo. A oni tam nad tą Wisłą — byli poważni. Nie wszyscy wśród nich rozumieli wszystko — zdarzały się i głupie błędy i niepotrzebne a tak złowieszcze walki między nimi samymi, między kreatorami rewolucji. Borowicz przypomniał sobie nagle odpychając zamkniętą, nie znającą uśmiechu twarz towarzysza Seweryna — ten by na przykład jego, Borowicza, z rozkoszą wyrzucił z partii, upokorzył do dna, zamknął, kto wie, może storturował. I w dodatku nie wiadomo dlaczego: nienawiść klasowa, rasowa, inne życiorysy i temperamenty? Ujrzał przez chwilę drewnianą twarz Seweryna, gdy ostatnio rozmawiali z Szefem przed tym niepotrzebnym paryskim wyjazdem. Borowicz pojechał tylko dlatego, żeby podkreślić swój tryumf nad tamtym, pokazać, że ma u Szefa większy posłuch i zaufanie. A z tego wynikało, że musiał teraz we wszystkim akceptować i nawet chwalić posunięcia Szefa, choćby się z nimi nie zgadzał.

Za każdym jednak razem, a trwało to już od lat, kiedy robił coś wbrew sobie, towarzysz Seweryn dokładnie o tym wiedział. Grupa wichrzących na pograniczu już partii intelektualistów opluwała Borowicza hałaśliwie, a z drugiej strony drewniany Seweryn nieugięcie notował w pamięci, że oto Borowicz znowu postąpił wbrew swojemu przekonaniu, jest więc dwulicowy i podejrzany. Wprawdzie posunięcia te zgodne były w zasadzie z linią Seweryna, ale jeśli podyktowała je u kogoś tylko chęć przypodobania się Szefowi, stawały się dla niego niczym, ani mowy, żeby przebiły pancerz jego nieufności wobec Borowicza na przykład. Możliwe, że Borowicz sam sobie kiedyś zawinił: bywał nieostrożny, afiszował się nadmiernym liberalizmem, wprawdzie taktycznym tylko, ale dla Seweryna to wystarczało — zanotował sobie po prostu w myśli, że Borowiczowi jakoś nazbyt łatwo przychodzi udawanie języka liberalnego, że za dobrze zna żargon warszawskiej inteligencji czy cyganerii artystycznej, że jest nonszalancki wobec towarzyszy z aparatu. Dziwne — Seweryn był przecież drewniany, nieinteligentny, a w zwalczaniu Borowicza okazywał subtelną spostrzegawczość i mimozowatą wręcz wrażliwość na szczegóły. — Jest wrażliwy na to, czego nie lubi. Ale przecież obaj jesteście szczerymi komunistami z nie byle jakim stażem w konspiracyjnej Warszawie, więc dlaczego?! Nie ufa mi po prostu, bo...

Borowicz ani się spostrzegł, jak zaczął myśleć obrazami, warszawskimi obrazami, unoszącymi się ponad głową tego nieważnego Edzia, ponad głowami łakomczuchów, zapelniających tę niepotrzebną mu zupełnie paryską knajpę. Popadł w rozszargnienie, ale nagle coś go ostrzegło. To coś, to były czyjeś uparcie w niego wpatrzone oczy: kżo właściwie mógł w tym miejscu przyglądać mu się tak ciekawie i natrętnie? Skoncentrował się i już wiedział: koło stolika stała Wanda, to jej oczy wyrwały go z nieprzyjemnych warszawskich „marzeń”. Były to te same, wielkie, palące się gorączkowo ciemne oczy, „oczy, które mają dwa tysiące lat”, jak to mówili kiedyś.

Wanda oczywiście poznała Borowicza od razu — nie tylko przeszłości, ale i twarzy nie można się widać pozbyć. Zza Wandy wysunął się mąż Francuz, brunet krępy o ciemnej cerze i bardzo białych zębach, typowy południowiec. Borowicz, gdy tylko rzucił okiem na Wandę, od razu pojął, że już nigdy nie będzie mu się ona podobać jako kobieta. Oczy pozostały piękne, lecz oczy są osadzone w oprawie twarzy, która dopiero nadaje im wyraz. Ta twarz się zmieniła, gdyby nie widział Wandy nigdy przedtem, może by mu się i teraz podobała, bo nie przestała być w jakiś sposób piękna, ale była to dzisiaj piękność gorączkowa,

niezdrowa, w wyrazie ust coś gorzko cynicznego czy kwaśnego. — Na pewno niezgorsza histeryczka — pomyślał Borowicz — po cóż ja w ogóle zgodziłem się tu przyjść, to było nieostrożne, niepotrzebne. Ileż ta Wanda mogła mieć lat — czterdzieści pięć, trzy, cztery — a ten mąż chyba co najwyżej czterdziestkę. Ale po cóż ona świdruje Borowicza tak na wskroś tymi czarnymi, świecącymi oczyma, od których odwykł gruntownie dawno i na zawsze? Zaczął się obawiać, czy nie wyczyta w nim tymi oczami wszystkiego, tak jak, nie patrząc zresztą, czytał zawsze jego myśli towarzysz Seweryn, ale odrzucił zaraz tę obawę z gniewem: przeżył przecież i wiedział nieskończenie więcej od Wandy, dlaczego właściwie miałyby go peszyć ona, dziś już, to widać, zmieszczaniła gęś paryska? Siadł zły do stołu i zabrał się do studiowania karty, uprzejmie podsuniętej przez męża Wandy.

Francuz był miły, bezpośredni, wygadany, a dyskretny, zaś Borowicza zabawiło nagle takie nieurzędowe mówienie sobie po francusku, toteż od razu zaczęli ożywione dysputy. Wanda spuściła wreszcie oczy, również zajęta hieroglifami ozdobnym ręcznym pismem wykaligrafowanego menu. Ktoś przechodzący ukłonił się skwapliwie: Borowicz podniósł głowę, to był Karbowski, literat z Warszawy, intrygant, snob i podlizywacz. Borowicz nie znosił pisarskich podlizywaczy: sam robił, co robił, ale robił to dla rzeczy konkretnych, dla polityki, dla osiągnięcia rezultatów, oni natomiast robili to z błazeństwa, żeby być *en vogue* i przeszmułować się jakoś do historii. Politycznie może i pożyteczni, choć nie należy już dziś przeceniać roli propagandy artystycznej, ale pisarsko nieambitni i załgani do ostatka, a przecież nic im takiego nie groziło. Borowicz ich nie lubił, tych uprzywilejowanych bez odwagi i zasługi, miał mu i to za złe towarzysz Seweryn, który z takim szmatławym Karbowskim potrafił celebrować jak najbardziej serio i ze wzruszeniem, jako z pisarzem zasłużonym dla sprawy rewolucji. Po prostu Seweryn, przedwojenny kolejarz, nie znał się na tym i nie wiedział, że Karbowski przed wojną był takim samym chętnym karierowiczem, że zawsze pochlebstwami wodził za nos wszystkie dysponujące forszą i zaszczytami rządu i grzał się w ciepłe ich łask, śmiejąc się pewno w duchu jak szalony. Teraz znów płacze się po Paryżu — tfu, akurat jego właśnie musiałem spotkać, klnie w duchu Borowicz, czując, że zaciekawione spojrzenie Wandy znów się w niego wpija.

Rozpoczęli uroczyste francuskie jedzenie. Borowicz dalej rozmawiał przeważnie z mężem Wandy, panem Guillemot. Okazał się on potężnym przedsiębiorcą, dyrektorem wielkiego koncernu elektrycznego, co ciekawe był niedawno w interesach w Moskwie

i Kijowie, a nawet dwa dni zatrzymał się w Warszawie, tematy do rozmowy narzucił się więc same.

Pan Guillemot uznawał tylko myślenie technicznomaterialne, od wszelkich naświetleń ideologicznych odmachiwał się jak od natrętnych much, politycznie był zwolennikiem de Gaulle'a i zjednoczonej Europy zachodniej, której jądrem stanie się wspólny przemysłowy potencjał Francji i Bundesrepublik. — Rosjanie spóźnili się — mówił — koncepcja europejska ich wyprzedziła, a raczej przeskoczyła. Po wojnie mieli szansę skomunizowania całych Niemiec, ale stracili tę okazję przez niezręczność Stalina i nigdy jej już nie złapią: komunizm stał się dziś nie aktualny, nie ma on nic do ofiarowania nowoczesnym państwom przemysłowym, które problemy społeczne regulują przez potaniecie produkcji, a więc przez wzrost dobrobytu.

— Ale partia komunistyczna jest i tu we Francji najsilniejsza — zauważył z przekąsem Borowicz. Francuz podniósł brwi do góry również ironicznie: — Robotnicy chcą od razu więcej zarabiać, myślą, że komunizm im coś da — mówił — ale to anachronizm, złudzenie — poza tym partia komunistyczna we Francji skazana jest na naturalny uwiąd, bo w miarę automatyzacji ilość robotników nie tylko nie wzrasta, lecz maleje: zastępują ich wykwalifikowani, dobrze płatni funkcjonariusze, którym ani w głowie rewolucja. Zresztą przykład Rosji...

Borowicz przypomniał sobie nastroje jadowitej nienawiści wobec rządu i burżuazji, jakie obserwował na zjeździe francuskiej partii w ciągu ostatnich dni. Celowała w nich młodzież, ta antystalinowska, zbuntowana przeciw swemu kierownictwu, bo dusząca się we francuskim życiu i znicierpliwiona. Stanowczo pan Guillemot był zanadto beztroski, nie widział rozdarcia alienacji, upajał się haszyszem technicyzmu. Trzeba mu złośliwie wypomnieć choćby sprawę Algierii, trzeba, ale nie ma okazji, bo oto, wysysając odłamaną nogę czy inną kończynę kraba (Borowicz zadawał się cielęcina z groszkiem), współbiesiadnik rozwiódł się szeroko nad sytuacją przemysłową dzisiejszej Rosji: rozwój produkcyjny tego olbrzymiego rezerwuaru wszelakiego surowca uważał pan Guillemot za absurdalnie niejednolity, w jednych dziedzinach imponujący, w innych, jak choćby w chemii, całkiem prymitywny. — Nadrabiają ilością, naturalnym bogactwem — perorował godząc w rozmówcę odłamanym kleszczem kraba — ale czym wy, Polacy, nadrobicie, to nie wiem! Trzeba było przyjąć plan Marshalla, wasze inwestycje są szalone, ponad stan — róbcie przede wszystkim rolnictwo, bo jeśli chodzi o przemysł, to bez zaplecza, bez przynależności do europejskiej wspólnoty gospodarczej — zginiecie. Bankructwo do was przyjdzie z waszymi

przestarzałymi fabrykami i kopalniami. *C'est une folie* — powtarzał — *une pure folie!*

Gdyby coś takiego usłyszał Szefer, rozdarłby tamtego z miejsca. Borowicz na ekonomii znał się mało, w jej prymat nad polityką partii nie wierzył, zresztą to nie był jego dział; często, owszem, słyszał wyrzekania, że Kierownictwo zbytnio forsuje inwestycje i to niepewne, za powoli się rentujące. Przewodziła w tych zarzutach na marginesie już partii działająca grupa Grochowskiego, za to im wyżej tym mówiono ciszej, aby nie stracić opinii u Szefera — niejeden przecież z ekonomicznych partyjnych profesorów wyleciał za taką krytykę: wyleciał to znaczy stracił wszelki wpływ, bo na zewnątrz partia pozostawała monolitem — to jej siła, ale z drugiej strony i słabość.

Jednak z pomocą znów przyszła wizja: owe niezliczone gromady wykorzenionych, prymitywnych a zdezorientowanych i oszalałych przez wojnę chłopów „zza Buga”, zalewające całą Polskę. Któż przekształcił ich tak szybko w robotników przemysłu, któż zaludnił nimi kopalnie, huty i stocznie, w jaki do diabła inny sposób mogło się to stać? Gdzie była owa inna droga i co o tym może wiedzieć ten zarozumiały Francuz, ten żabojad, co niedawno jeszcze trząsał portkami przed Hitlerem?!

Towarzysze z Warszawy nie poznaliby teraz Borowicza: on, zawsze raczej powściągliwie ironiczny, zaczął oto mówić, w dodatku po francusku, z patosem, z ogniem — może i alkohol zrobił swoje, bo, choć pili niby mało, ale, jak to przy paryskim obiedzie, ciągle a ciągle, tymczasem Borowicz odwykł od alkoholu, w Warszawie przecież prawie nie pijał, za trudną miał tam sytuację. Mówił teraz o Rosji, która tak czy owak ocalała tę osławioną cywilizację zachodnią przed Hitlerem, o odpowiedzialności Niemiec i o zacofanej z winy Zachodu wschodniej Europie, przy okazji nie poskapił sobie sprawy Algierii. Ale Francuza nic nie wytrącało z równowagi, na wszystko miał odpowiedź: Algierię już odzależował, zresztą zostanie ona w gospodarczej unii z Francją, a Niemcy to najproduktywniejszy, najpracowitszy naród świata, tylko że obłąkany Hitler (*c'était une folie!*) skierował tę energię w absurdalnym kierunku. Wschodem pan Guillemot nie interesował się wcale, Rosja, choć ogromna obszarem, nic dziś światu nie dawała, a swoich słabych sąsiadów ujarzmiła, odcinając ich od europejskiej wspólnoty.

— Cóżes ty taki patriota? — zapytała nagle po polsku Wanda. Borowicz rozżłościł się na dobre, zwłaszcza, że po niewczynie przypomniał sobie i uświadomił absurdalność prowadzenia tutaj całej tej dyskusji.

— Więc już i getto w S... też się u ciebie nie liczy?! — warknął.

— Getto w S...?! A właśnie — o tym chciałam z tobą porozmawiać. Czekaj, usiądźmy bliżej.

Zamieniła się na miejsce z Edziem, jakimś znowu pokornym i zdaje się bardzo już pijanym. — Porozmawiajcie sobie o Polsce, ja po polsku nie rozumiem — powiedział dobrodusznie Francuz — był to poniekąd miły facet, tyle, że tępy. Ale właściwie przecież tępota jego jest niezawiniona, takie już miał horyzonty, tyle wiedział o świecie. Inaczej mówiąc — byt określa świadomość.

Wanda przybliżyła teraz do Borowicza swe wielkie hipnotyzerskie, jakby znieruchomiłe oczy. Gdzieś z tyłu siedział w liczonym towarzystwie Karbowski, rzucając na nich od czasu do czasu zaintrygowane spojrzenia. A szlag by go trafił — Borowicz odwrócił się jak mógł i postanowił powściągnąć już wszelkie dyskusyjne zapały: to nie miało sensu — w takim miejscu. Tymczasem Wanda mówiła już, mówiła po polsku, po staremu, z miękkim podlaskim akcentem.

— Getto w S... Właśnie — ja tam byłam. A ty nie...

— Przeżyłem swoje, nie bój się — mruknął Borowicz.

— Tak, ależ wiem — ja ci nie robię wyrzutów. Chcę ci tylko coś opowiedzieć.

— No proszę, słucham. Borowicz spostrzegł, że Edzio i Francuz manifestacyjnie pograżyli się w rozmowie, jakby chcąc zaznaczyć swoją dyskrecję.

— Nie bój się — mówiła Wanda — Jean nic o tobie nie wie, poza tym, że jesteś moim dawnym kolegą. — Więc chcę ci coś opowiedzieć, co cię może bardzo zdziwi, a na końcu chcę cię prosić o jedną przysługę. Choć pewno odmówisz, taki jesteś wielki, ważny, państwowotwórczy — jak mówiono przed wojną.

— Daj spokój — Borowicz niecierpliwił się.

— No dobrze, już mówię. Więc ojciec, nie wiem dlaczego, albo i wiem, nie chciał żebym ginęła w Treblince. Był już bardzo chory i zgodził się, żebym wyszła z getta. To znaczy, źle mówię: nie tyle zgodził się, ale życzył sobie, żądał tego. A że już dawno jeden Niemiec chciał mnie wyprowadzić...

— Niemiec?

— Tak, podoficer — tak zwany dobry Niemiec. Ale ten był naprawdę dobry... Wyprowadził mnie, pomógł się ukryć, a później wyrobił mi papiery w Arbeitsamcie i wyjechałam na roboty do Niemiec, do Bauera. Tam już, jak kto dojechał, nie pytali o pochodzenie. I tak przeżyłam...

— Acha.

— Ale zanim wyjechałam do Niemiec, urodziłam córkę...

Borowicz, słuchający dotąd niezbyt uważnie, sprężył się cały, aż ze zdziwieniem spojrział nań kelner, podający na talerzu sery. Wybieranie serów, precyzyjne odcinanie plasterków z wybranych gatunków, układanie szczypczykami na talerzykach, wszystko to trwało okropnie długo, Borowicz się irytował, bo historia Wandy zaczęła go zaciekawiać coraz bardziej. — Czyż to była córka — zamruczał, doczekawszy się wreszcie odejścia kelnera.

— A właśnie — Wanda patrzyła nań ironicznie — jasne było, że o to zapytasz. To była córka... dobrego Niemca.

— Jakto?!

— Takto. Wyjeżdżając do Niemiec zostawiłam ją w klasztorze pod Warszawą. U sióstr, a właściwie u jednej kobiety, co tam pracowała.

Borowicz zaskoczony milczał. Cóż to za historie nieoczekiwane. Wanda...

— Widzisz — ja już w getcie byłam w ciąży, dlatego ojciec nie chciał, żebym zdychała w gazie. No i dziecko zostało w Polsce. Jest tam do dzisiaj...

— A co się stało z jego ojcem?

— Złe się stało. Coś wyszło na jaw, ktoś go oskarżył i za karę wysłali go na Front Wschodni. I tam gdzieś sobie zginął w matuszce Rosji. A dziewczyna jest w Polsce, zdaje teraz maturę. I wcale nie wie, kim są jej rodzice.

Zapadło milczenie, Edzio i Francuz też jakoś zamilkli. Pito teraz kawę z koniakiem. Guillemot wachał kieliszek ze znużeniem, Borowicz i Edzio łyknęli swoje jednym haustem, wymieniając porozumiewawczo konspiracyjne uśmiechy. Tylko Wanda nie wypijała, na jej policzkach pojawiły się jakieś niezdrowe, mocne rumieńce, usta znów wygięły się ironicznie.

— No i tak to się stało, wielki człowieku. I ty musisz mi teraz dopomóc.

— Ja, w jaki sposób?

— Starłam się o wyjazd do Polski, ale nie dawaliście mi wizy — pewno dlatego, że przed zamążpójściem chciałam pojechać na stałe do Izraela, byłam już tam nawet i miałam obywatelstwo, a wy takich nie lubicie. Nawet teraz, jak Jean jechał do Rosji, też nie dostałam wizy. I długo nie mogłam znaleźć Anny, bo ona jest już gdzie indziej — także u sióstr, ale gdzie indziej, w gimnazjum. W końcu się dowiedziałam, a Jean nawiązał kontakt z jednym księdzem, który ją zna. To wspomniał człowiek.

Książd, siostry... Jakżeż Borowicz nie znosił tych rzeczy! Słuchał z rosnącą irytacją, która zwiększyła się jeszcze, bo przekleły

Karbowski wychodząc ukłonił mu się z jakąś kpiącą, staroświecką rewerencją.

— Anna nie wie nic o mnie, nie wie czyją jest córką, myśli, że jest sierotą, jakich po wojnie wiele. Trzeba ją przygotować, trzeba jej powiedzieć... Ksiądz właśnie czeka na wiadomość...

— Zmiłuj się, ale jakaż moja w tym rola — Borowicz nie mógł się już pohamować.

— Jakto jaka?! — Wanda rozgniewała się, podniosła głos, aż mąż spojrział na nią z dyskretnym zdziwieniem. — Jakto jaka?! Nie dajecie mi wizy, nie mogę poznać mojego dziecka, które nie wie, że jest moim dzieckiem. Taka tragedia, a ty jeszcze pytasz?!

— Więc co mam zrobić, mów. — Borowicz starał się być pojednawczy, bał się, że Wanda zacznie krzyczeć na całą salę. Dobrze przynajmniej, że ten Karbowski sobie poszedł.

— Masz mi wyrobić wizę — jesteś tam przecież wielki, w tym waszym niby socjalizmie, w tym waszym nieludzkim socjalizmie, a w dodatku „narodowym”, jak mówiłeś przed chwilą. Narodowy socjalizm — ha, ha.

— Wanda, proszę cię...

— Dobrze, dobrze — Edek wie, co ja o tym myślę. Więc załatwisz mi wizę. A jak nie, to zrób, żeby Anna mogła do mnie wyjechać. My ją zaprosimy, Jean wie o wszystkim, chce ją zatrzymać, nie mamy przecież dzieci. Ale trzeba ją przed tym uświadomić o pochodzeniu — ona musi się dowiedzieć, może częściowo, stopniowo, najpierw o mnie. Ten ksiądz ci pomoże, on właśnie czeka na wiadomość ode mnie — Jean z nim rozmawiał. Czekaj, napisałam ci wszystko, z adresami.

Wanda gorączkowo grzebała w torebce, a Borowiczowi pot się kroplił na czole, w środku zaś rozpierała go irytacja. Panowało zresztą milczenie, Edzio i Guillemot gruntownie przestali udawać, że rozmawiają. Przy sąsiednich stolikach płacono rachunki, wieczór dobiegał końca.

Wanda znalazła wreszcie jakieś papiery i rozkładała je przed Borowiczem — Tu, tu masz wszystko — mówiła szybko — nawet świadectwo chrztu, bo Anna jest naturalnie katoliczką. Właśnie ten ksiądz... O tu masz jego adres.

— Ależ Wanda, jęknął Borowicz — przecież ja nie będę gadał z księżmi. Ja nie mogę...

— To, powiedziałam, załatw mi wizę. Ale ty pewno nie chcesz się w to mieszać, bo to trefne: Paryż, Izrael, emigracja... — A w takim razie załatwiaj wszystko sam. Jesteś jedynym człowiekiem, który mnie zna z S..., tam będzie potrzeba świadków, do paszportu, nie wiem do czego — u was biurokracja podobno jak za carskich czasów... Ale ty musisz mi to załatwić, musisz

mi przyrzec, że zrobisz wszystko, co można zrobić. Przyrzekasz? Edzio jest świadkiem. Przyrzekasz?! Na naszą dawną miłość, ha, ha, ha, mów, że przyrzekasz!

Francuz patrzył uśmiechając się, że niby nic nie rozumie, a w gruncie rzeczy na pewno wszystko wiedział. Borowicz czuł się głupio, jak siłą wypchnięty na scenę, gdzie wprawieni aktorzy grają dziwaczny melodramat. I w końcu przyrzekł — co miał robić. Leżąc tej nocy w swoim pokoju, obok pochrapującego dyskretnie towarzysza Ludwika śmiał się sam z siebie, że właśnie w Paryżu dał się wciągnąć w taką kabałę ni w pięć ni w dziewięć. Przed laty był już w tym mieście w tarapatkach, gdy chodziło o ową młodziutką Hiszpankę, córkę czerwonego ministra. Ale tamto zrobił dla Partii, na rozkaz Partii, a tu? Zасыpiając rychło, bo wino mroczyło go wcale nieźle, przyrzekł sobie coś przeciwnego niż Wandzie: nic nie robić w tej sprawie, zapomnieć o niej natychmiast. Tożby była gratka dla Seweryna, gdyby dowiedział się o takiej bzdurze: Niemcy, Izrael, księża, siostry i w tym wszystkim on, Borowicz. Seweryn kocha, uwielbia takie rzeczy, ale tym razem zeru mieć nie będzie. Nigdy na tym świecie nie należy wracać w przeszłość: Wanda i Edzio nadają się tylko do jednego — aby o nich zapomnieć.

III

Są takie dni roku, kiedy Warszawa ma specyficzną szarość — nie wiadomo czy to barwa nieba, powietrza, może sposób przełamania światła, ale wszystko robi się szare; nie jest to jednak szarość uboga, przeciwnie, jest gęsta, nasyciona, soczysta, jakby wilgotna. Właśnie dzisiaj trwa taki dzień. Borowicz patrzy chwilę przez okno, z okien swego gabinetu w Komitecie widzi dobrze Rondo i krążące wokół niego uparcie samochody: z daleka przypominają jakieś podłużne, skrzące, również ciemno szare owady, pełzające skwapliwie po wilgotnym asfalcie.

Borowicz nie jest tchórzem, jest nawet na pewno człowiekiem bardzo odważnym. Ale tylko w jednym wypadku: gdy grozi mu niebezpieczeństwo konkretne, wiadome, uchwytnie. Kiedy pojawiało się takie niebezpieczeństwo, a w okupacyjnej Warszawie zdarzało się to ciągle, Borowicz momentalnie stawał się spokojny, zimny, skoncentrowany, głowę jego opuszczały wszelkie zbędne myśli, poza rozumowaniem mającym na celu bezbłędną analizę sytuacji i opanowanie jej. Robiło się to w nim samo, automatycznie, po prostu dochodził do głosu precyzyjnie i celowo działający instynkt samozachowawczy, który domagał się spokoju i koncentracji jako warunków niezbędnych dla skutecznego stawiania czoła niebezpieczeństwu.

Ale tak było jedynie przy niebezpieczeństwie konkretnym, ściśle określonym, grożącym wprost. Zupełnie natomiast przeciwnie, gdy nie groziło nic, lecz atmosfera wskazywała że zagrożenie może — wszystko. Niemożność przejścia do bezpośredniej akcji z powodu braku wyraźnych elementów sytuacji stawała się przyczyną niecierpliwości, irytacji, w rezultacie wewnętrznego rozchwiania, rozmontowania, jak to sobie określał. Dziś właśnie po

wyjściu Grochowskiego, machinalnie obserwując z góry pełną w różne strony sznury samochodów-owadów zdał sobie sprawę, że jest w tej chwili zupełnie rozmontowany. — Na poszczególne części — pomyślał sobie. Ciekawe, czy towarzysz Seweryn, którego biuro znajdowało się na tym samym piętrze, miewa również takie chwile, kiedy bezmyślnie obserwuje Rondo i krążące po nim samochody? I w ogóle jakimi właściwie drogami zdążają myśli i uczucia tego człowieka, który staje się dla Borowicza obsesją, punktem, gdzie ogniskują się wszystkie niewyjaśnione, nieskrystalizowane niepokoje, przeszkadzające w pracy, w jasnym myśleniu, w prawidłowym funkcjonowaniu. „Czaszka pracuje” mówiono żartobliwie w Warszawie. Otóż Borowicz czuł od czasu do czasu, że u niego owa czaszka pracować przestaje, i to właśnie z powodu Seweryna i jego irracjonalnych podejrzeń. Jakież bo racje, jakiz racjonalny system przeciwstawić można irracjonalizmowi?

W tym irracjonalizmie Seweryna istniał oczywiście pewien porządek, irracjonalizm ów krążył wokół stałej osi, której Seweryn na pewno sobie nie uświadamiał i dlatego prawdopodobnie był jej tak bezbłędnie wierny — najbardziej niezłomna jest wierność instynktowna, nie wymagająca uzasadnień. Borowicz próbował czasem wykonać za tamtego analityczną robotę i określić, jak przebiega owa oś — położenie jej rekonstruował na zasadzie poszlak, których dostarczało usposobienie i postępowanie towarzysza Seweryna, wykazujące określoną, niezmienną prawidłowość. I oto dziś już nieźle rozumiał istotę postawy czy temperamentu swego przeciwnika: po prostu Seweryn był wizjonerem a wizja jego nie ulegała zmianie. Wizję tę stanowiło społeczeństwo „antyalienacyjne”, takie w którym żadna grupa ludzka czy żadna jednostka nie będzie w stanie oderwać się, wyróżnić, nie będzie mogła zyskać jakiegóż przewagi, osobnej postawy, własnego punktu widzenia czy oparcia. To było dla Seweryna najważniejsze, wszystko inne miało znaczenie drugorzędne, było zaledwie środkiem do celu, dlatego też nie przywiązywał on nigdy wagi do sukcesów gospodarczych i nie potępiał towarzyszy, którzy narazili państwo na straty przez nieudolność lub brak kompetencji — sam zresztą był długi czas fatalnym ministrem resortowym. Może uważał, że nędza jest najskuteczniejszym środkiem przeciw odrywającej alienacji — tak przecież sądził Stalin gdy na pewno nie dla racji ekonomicznych niszczył i wypleniał zamorne chłopstwo na Ukrainie, wpędzając przymusową kolektywizacją całą Rosję w głód.

Pobłażliwy więc dla błędów rzeczowych, ekonomicznych, dla niedoświadczenia czy braku wiedzy, był Seweryn nieubłagany i fana-

tyczny gdy chodziło o gesty i słowa, w dodatku o gesty i słowa nieważne, czysto symboliczne, fasadowe, przeznaczone niejednokrotnie za ledwie dla zagranicy. Tu, gdy chodziło o grę słów, odruchów, symboli i pozorów towarzysz Seweryn stawał się istnym Savonarolą, tu widocznie widział największe niebezpieczeństwo odradzania się alienacji: tropił u towarzyszy partyjnych niebaczne gesty i powiedzenia jak ksiądz tropi grzechy i pożądliwości. Oddał się temu z całą pasją, żył tylko w świecie pojęć jednostkowych, oderwanych od całości, w świecie słów i symboli: i pomyśleć, że był przecież człowiekiem prostym, z robotniczej rodziny, no i bądź co bądź wyznawał materializm. Ale gra dialektyczna przysłoniła mu wszystko, kazała zapomnieć o ekonomicznych wszakże podstawach doktryny, zaś z pochodzenia klasowego wniósł w nowe czasy tylko jeden atawizm: antysemityzm, symbolizujący i wcielający niechęć do wszystkiego, co się wyróżnia, a więc tak czy owak — alienuje. Na pewno Seweryn przed wojną nie był antysemitą, choć wtedy właśnie mógł mieć po temu konkretne, socjalnoklasowe podstawy. Ale przed wojną, gdy Żydów w Polsce liczyło się na miliony, nie wyróżniali się, byli po prostu społeczeństwem; można wtedy było ukryć się w ciżbie, miało się zaplecze. Niemcy natomiast osamotnili Żyda, oderwali go od jakiegokolwiek ogółu, rzucili nań jaskrawe, jednostkowe światło. To światło i tę samotność widział Seweryn, one go raziły, psuły obraz całości, przypominały alienację. I to było właśnie u niego błędne, niemarksistowskie: wszakże nie idee czy ludzie lecz warunki materialne stają się przyczyną alienacji — a Seweryn odwracał cały proces.

Podobnie zresztą odwracających proces rewolucjonistów, zajętych tylko ideami, symbolami, gestami, w historii ruchu nie brakło — takim właśnie musiał być towarzysz Beria: on też tropił po inkwizytorsku niebaczne słowa, gesty, intonacje, zdradzające wyobcowanie, on też w ostatnich latach swego życia zabrał się do Żydów. Borowicz w okresie beriowszczyzny trzymał się od tych spraw z daleka, nie mieszał się w dziwaczne procesy, pełen wewnętrznego zaskoczenia, zdumienia, niedowierzania. Wtedy mu się udało nie zostać ani czynnym ani biernym aktorem wydarzeń, dziś padał ofiarą nowego przyływu tej samej fali, ale już niepomiernie słabszej, po parokroć odbitej od amortyzującego podobne niebezpieczeństwo falochronu. Wtedy groziła śmierć fizyczna, teraz jedynie śmierć partyjna. Lecz śmierć partyjna byłaby dla Borowicza również końcem wszystkiego — od najwcześniejszej młodości żył przecież tylko w partii i poprzez partię. Zaś Seweryn zadał już śmierć partyjną niejednemu.

Ale na szczęście nie był wszechmocny, nie miał w ogóle więk-

szości w Komitecie, mógł tylko tak jak on, Borowicz, oddziaływać bezpośrednio na Szefa. Towarzysze w Komitecie dzielili się według Borowicza co najmniej na dwa typy ideowo psychiczne: na empirycznych pozytywistów z otoczką patriotyczną i na takich właśnie jak Seweryn, z przysłaniającym aktualne życie nastawieniem dialektycznym czy filozoficznym. A Szef? Szef był wszystkim po trochu i różnie się w nim to przesypywało i układało. Z jednej strony wyuczył się marksizmu jak chłop religii, z drugiej cenił ekonomię, może dlatego, że wiedział o niej za mało, z trzeciej zaś był patriotą, czuł narodową wspólność, jak prawdziwy Polak nie ufał w głębi duszy ani Niemcom, ani Rosjanom. Nigdy nie było wiadomo, co akurat weźmie w nim górę, trzeba było nad tym stale czuwać. Czuwał więc Borowicz, czuwał Seweryn, czuwali inni — na tym polegała w tej chwili gra. Poza grą pozostawał tylko towarzysz Ludwik, ściśle zaufany, pierwszy marszałek dworu.

Borowicz właściwie nie skarżył się dotąd na sytuację. Polityka jest zawsze grą konieczności, toczoną między wyznaczonymi przez ogólne położenie granicami. W tym wypadku granice zamykały się w świadomości, wrażliwości i odruchach Szefa; trudno: gra się takimi kartami, jakie się w kolejnym rozdaniu otrzyma. Ale gra była tylko środkiem, nie celem, Borowicz miał, poza wszelką taktyką, poczucie swojej misji, ujmowanej bez patosu, lecz konkretnie: wpływając w określony sposób na Szefa, działał w kierunku rozsądnym, ratował ten kraj przed obłudnymi możliwościami krańcowości, przed Sewerynem i jemu podobnymi. Oczywiście kraj nie miał pojęcia, o co tam na górze chodzi, jeśli coś w ogóle myślał, to co najwyżej miał jego, Borowicza, za cynicznego dworaka, zwiedziony barwą ochronną, jaką przybierał z konieczności, chcąc wytrącić z ręki Sewerynowi jego doktrynalne atuty. Ale Borowicz miał tę satysfakcję, że jeśli niewdzięczny „kraj” jego uważał za gracza i cynika, to już antyalienacyjna postawa Seweryna była temu mało podatnemu na ideologie społeczeństwu z gruntu obca. „Im gorzej tym lepiej”, traktowane jako hasło — to nie zmieściłoby się tutaj w niczyjej głowie. Toteż Seweryn, widąc instynktownie, unikał jak ognia wszelkich merytorycznych wypowiedzi, nie lubił rozgłosu, jego dziedziną było działanie zakamuflowane, cieszył go nie sukces osobisty lecz właśnie anonimowa skuteczność ukrytego wpływu, gdy zaś nader rzadko przemawiał publicznie, odbarwiał swe słowa maksymalnie, tak, aby utraciły wszelkie cechy indywidualne. „Drętwa mowa” — mówiono w Warszawie, lecz nie zdawano sobie dobrze sprawy, kim jest właściwie ta kostyczna, sucha, mało ciekawa postać. Za to charakterystycznym, wpadającym w oczy Borowiczem po-

miatano sobie niezgorzej. Ale właśnie nie skarżył się: kto gra o rzeczywistość, pokażną stawkę, tego nie martwią drobne opłaty.

Nie skarżyłby się i dzisiaj, gdyby nie jakieś niejasne uczucie, że warunki gry, której teren ograniczał się dotąd do wpływania na reakcje Szefa, ulegają czy mogą ulec niewiadomej lecz groźnej zmianie, że do gry włączy się nowa karta, coś w rodzaju jokera, która gruntownie zmieni przebieg partii, bo naruszy i przestawi układ sił. Skąd to uczucie? Otóż w tym rzecz, że nie wiadomo skąd, bezpodstawne i to jest właśnie najgorsze.

Od samego zresztą rana rozstroiła Borowicza wizyta towarzysza Grochowskiego. Przede wszystkim szkodliwy był sam fakt tej wizyty: w Komitecie wiedziano oczywiście doskonale, kto do kogo przychodzi, a Grochowski był postacią nader znaczną i przykro symboliczną: widomy, chodzący obraz politycznej porażki. Kiedyś najbliższy przyjaciel i współpracownik Szefa, potem burzliwie z nim poróżniony i przeniesiony na stanowisko komicznie pozbawione wszelkiego znaczenia, uprawiał teraz kawiarnianą opozycję i ostentacyjną a niepoważną frakcyjność. Borowicz strzegł się jak ognia posądzeń o kontakty z jakąkolwiek „frakcją”, jego metodą było tylko i jedynie bezpośrednie oddziaływanie na Szefa. A tu ostentacyjna wizyta Grochowskiego, który od dawna już nie przychodził do Komitetu, stwarzała pozory, wprawdzie niby mało groźne, bo właśnie zbyt ostentacyjne, ale dla wiadomych ludzi każdy pretekst mógł się okazać dobry.

W dodatku sama rozmowa bardzo była denerwująca. Borowicza nie stać teraz przecież na rozrzutny luksus najdrobniejszej choćby szczerości, a ten stary towarzysz z konspiracji domagał się jej namiętnie. Przez okres jawnej niełaski opadła z niego wszelka taktyka, zdawałoby się, że pojęcie to jest mu nieznane. Kiedyś był przecież wcale zręcznym graczem, rozumiał znaczenie etykiety, polegającej na określonym doborze słów, w znakomity zwłaszcza sposób żonglować potrafił swym niezwykłym darem wymowy, modulując głos po aktorsku i z ogromną łatwością przerzucając się od zjadliwego, bezdźwięcznego syku do potężnie brzmiącego patosu i huczącego lwim rykiem gniewu. Był najlepszym mówcą w Partii, lecz o ile kiedyś ów jego talent, kierowany zmysłem taktycznym służył sprawom konstruktywnym, a także jego własnemu interesowi — wszak kto przegrywa sprawę własną, ten przegrywa również własną politykę — o tyle obecnie, elokwencja puszczona na falę żywiołu, służąca w prymitywny sposób bezpośredniemu wyładowaniu uczuć, robiła wrażenie żalostnego, mimowolnego obnażania się, ekshibicjonizmu, stojącego się zarazem celem i środkiem, ekshibicjonizmu, z którego w polityce nic wyniknąć nie mogło, zwłaszcza gdy ktoś stosował go

mając już za sobą okres kunsztownej, zamaskowanej szermierki, kiedy to odnosił przecież niejaki sukcesy. Zresztą trudno właściwie było powiedzieć, że Grochowski rozmyślnie stosował swój krasomówczy ekshibicjonizm, raczej przeciwnie: był jego ofiarą, chęć wykrzyżenia wszystkiego ponosiła go jak namiętność, może zresztą widział w tym jakieś okupienie win przeszłości, ekspiację za owe czasy politycznej perfidii, w których brał udział jako partner i wcale skutecznie sobie poczynał, traktując wówczas swój dar wymowy tak jak na to zasługiwał, jako drugorzędny talent, mający w polityce pewne zastosowanie tylko pod warunkiem, że bez reszty podporządkowany zostanie obiektywnej kalkulacji sił i możliwości. Szef na przykład, który sam padł ofiarą owych czasów perfidii, kiedy to rezultatem bywało nie tylko usunięcie z Partii, lecz rzeczy niewyobrażalnie gorsze, bynajmniej nie miał dziś o to żadnych pretensji i od nikogo nie wymagał wyrzekania się przeszłości czy przeproszania za nią — dlatego właśnie Borowicz uważał go mimo wszystko za wielkiego człowieka. A z Grochowskim było przeciwnie: pasja wywołana przez to, że wydarzenia nie układały się po jego myśli, kazała mu zburzyć wszystko, co kiedyś zbudował, przekreślić siebie samego z przeszłości, jakby to był jakiś inny człowiek. Traktując ze złą powagą swoje obecne, pozbawione znaczenia stanowisko, przyczepił się zaciekle do jednego związanego z tą funkcją obowiązku, mianowicie do podróży inspekcyjnych po kraju, z których zwoził materiały dla swojej opozycyjnej argumentacji. — Wy nie macie pojęcia, coście zrobili z tego nieszczęsnego społeczeństwa — ział przenikliwym, dobitnym szeptem, który stanowił jego specjalność — stworzyliście dokładne zaprzeczenie socjalizmu: przecież socjalizm to wyzwolenie energii społecznej, a tu mamy sprzężenie zwrotne, które jest impulsem paraliżującym samego siebie. Nic nie można zrobić, rozumiecie, nic! Nikt nic już nie próbuje zrobić, nikt w nic nie wierzy, chaos panuje nieprawdopodobny, w każdej dziedzinie, gdzie tylko tknąć palcem! Jedna, jedyna rzecz funkcjonuje precyzyjnie — aparat przeszkadzania, wasz aparat, nad którego udoskonaleniem wy tu od rana do nocy pracujecie. I rzeczywiście funkcjonuje bezbłędnie: uniemożliwia wszystko. A wy tu siedzicie i nie chcecie widzieć, co się naokoło was wyprawia!

— Ja mam swój dział, zajmuję się prasą, propagandą — mruknął Borowicz, aby coś powiedzieć. Ale to tylko dołało oliwy do ognia: tamten podniósł głos, puszczając jednocześnie w ruch swe prestidigitatorskie dłonie wiecowego mówcy. — Prasą, propagandą?! — krzyczał dźwięcznie. — Człowieku, to właśnie jest najgorsze! To wy konstruujecie drętwą mowę, w której żadna rzecz nie nazywa się po imieniu, w której bez trudu można wy-

tłumaczyć, że białe jest czarne i na odwrót. To ta wasza mowa usprawiedliwia każdy nonsens, buduje fikcyjny świat, jakim odgradzacie się od ludu. A lud nie da się już zbuchać, lud myśli realistycznie, empirycznie, lud nie ma najmniejszych wątpliwości co do was i waszych abstrakcji. Prasa, propaganda, radio, telewizja?! Drętwa mowa, nowe opium dla ludu, tyle, że nieskuteczne! Wy jesteście najbardziej winni towarzyszowi Borowicz, właśnie Wy, bo jesteście inteligentni i swoją inteligencję oddaliście w służbę absurdu, choć nie chcecie słyszeć, że to absurd. Seweryn wierzy w te absurdy, ale Wy nie — i dlatego mi za Was przykro. Co się z wami wszystkimi porobiło, czy władza działa na człowieka zawsze tak samo, socjalizm nie socjalizm?! Ciekawe zagadnienie, warto by je zbadać! Psychologia władzy w socjalizmie!

Sytuacja była beznadziejna: Grochowski mówił rzeczy, które on, Borowicz, mógłby mówić Sewerynowi albo nawet Szefowi, gdyby to miało jakikolwiek cel czy sens. Ale nie miało — skutek byłby przeciwny, tak właśnie, jak się to stało z Grochowskim. Słowo samo dla siebie, choćby nawet wyrażało prawdę, nic w polityce nie znaczy o ile nie przynosi rezultatów. Drętwa mowa to była barwa ochronna, to instrument osłaniający jak tarcza czy pancerz — tylko osłabły przegrywający szermierz odstawia się opuszczając tarczę. Grochowski był słaby, odrażająco słaby, przez tę słabość nie mógł utrzymać się w regułach gry, co gorsza, chciał jeszcze wybić z tempa jego, Borowicza, i to dla nędznej satysfakcji słabeuszów, satysfakcji usłyszenia od kogoś paru słów, w których znalazłby potwierdzenie własnych myśli. Ale nic z tego: te parę słów mogło zniweczyć całą realną pozycję Borowicza, której dopracował się z takim trudem. Grochowski sugerował, że Borowicz myśli to samo co on a z oportunistu robi to samo, co Seweryn. Choćby to było niesprawiedliwe, nie należy wdawać się w roztrząsanie podobnych kwestii, po to tylko, aby przypodobać się Grochowskiemu czy uniknąć jego pogardy, rozpaczliwej pogardy tonącego odczuwanej wobec tego, co bezpiecznie stoi na brzegu. Najgorszą rzeczą dla polityka jest troszczyć się o cudze sądy na swój temat i dać się nimi powodować — tylko aktor żyje z okłasków. Choćby nawet myślał to co Grochowski (a tak przecież nie było, bo Grochowski zawsze mocno przesadzał, a teraz przesadzał jak wszyscy neofici: stał się bowiem neofitą empiryzmu) Borowicz nie ma prawa powiedzieć o tym ani słowa, bo to słowo właśnie zniweczyłoby jego swobodę myślenia, jego prawo myślenia tak jak myśli, oddałoby go na pastwę myślących inaczej, a w rezultacie, nie chcąc tonąć, musiałby wyrzec się siebie. Drętwa mowa, jak mówił Grochowski, to wcale niezły wynalazek, wynalazek dla ludzi opanowanych, który pozwala pozostać

w każdej sytuacji sobą, osłania przed ciosami, umożliwia czekanie na okazję, a polityka to właśnie nic innego jak cierpliwe czekanie na okazję. Tylko towarzysz Grochowski okazji się nie doczeka: stał się bezbronny, głupio bezbronny, odstręczający przykład człowieka, który przegrał, bo uległ pokusie rozpusty słów. Pokusa rozpusty słów — to dobre określenie. On, Borowicz, nigdy temu nie ulegnie — potrafi znosić w milczeniu nawet niezasłużoną pogardę; choć jednym słowem mógłby ją rozproszyć, nie powie tego słowa, nie okaże też nikomu własnej pogardy — przemilczy ją również. To jest jego przewaga, dowód, że chodzi mu o rzeczy ważniejsze niż nieskuteczne sukcesy krasomówcze i doraźne osobiste satysfakcje. Wie czego chce — to na pewno wystarczy.

Grochowski może i rozumiał tę jego postawę, ale oficjalnie nie chciał o niej słyszeć, nie chciał jej przyjąć do świadomości, bo w najlepszym wypadku uważał ją za samoułudę. Borowicz zastanawiał się teraz, dlaczego mimo wszystkiego rozstroiła go ta dzisiejsza scena, choć miał Grochowskiego za szkodliwego bankruta i o żadnym wstrząsie sumienia nie było mowy. Analizując oto swój stan rychło pojął, że chodziło tu o zakłócenie atmosfery bezpieczeństwa: opinia towarzyszy to rzecz deliktna i jednorazowa — dopóki nikt nie złapał go na niczym, może sobie Seweryn intrygować ile chce, zawsze na próżno. Ale jeśli każdy ma prawo do niego przyjść i mówić rzeczy takie, słuchając których jest się już współwinnym? Zwłaszcza, że Grochowski, od dawna nie będący członkiem Komitetu, musiał meldować się czy legitymować na dole w portierni, a sprawa mikrofonów podsłuchowych, zainstalowanych w biurach też nie została jeszcze wyjaśniona. Tak więc, wizyta Grochowskiego już sama przez się była niebezpieczna i mogła przynieść złe skutki. Należało coś z tym zrobić, nie czekać biernie, lecz przejść do kontrataku, na przykład powiedzieć gdzieś, że był u niego Grochowski, zanim ktokolwiek doniesie, zanim mu zdążą to zarzucić; powiedzieć, że był i dosadnie określić, co myśli o postawie tamtego i o jego obecnych poglądach. Borowicz przypomniał sobie, że popołudniu, o czwartej jest posiedzenie Sejmu — to była okazja: można tam spotkać mnóstwo ludzi i, niby od niechcenia, puścić swoją wieść o wizycie Grochowskiego. Co prawda Grochowski też był posłem, ale zjawiał się w Sejmie rzadko i pozostawał w kuluarach, gdzie chcącym, a także i nie chcącym słuchać opowiadał złośliwe anegdotki z terenu.

Myśląc to wszystko Borowicz stał przy, oknie machinalnie obserwując wciąż owe o jakieś trzysta metrów stąd oddalone Rondo i kręcące się po nim powoli, lecz posuwicie szare lub czarne owady samochodów. Trudno właściwie powiedzieć, że

wszystko to myślał — pracowało w nim ono raczej bez udziału myśli, poza świadomością, nie ujęte ani w żadne uchwytnie słowami następstwo pojęć i ich powiązań, ani w kategorii czasu, bo przecież upłynęło go niewiele, a już zdążył zrekapitulować całą rozmowę z Grochowskim i jej konsekwencje. Był to więc jakiś proces zgoła w swej szybkości nieuchwytny, a jednak całkiem realny i precyzyjny, co widać po konkluzji i decyzji, które na nowo zmobilizowały Borowicza, likwidując objawy uprzedniego upadku ducha. Już znowu czuł się pewny i spokojny, zdał sobie sprawę, że nie ma co stać dłużej przy oknie i wpatrywać się w krążące samochody — czynność ta miała najwidoczniej jakieś znaczenie przed chwilą, gdy odrywając go fizycznie, czy fizjologicznie od życia, ułatwiała podświadomą pracę myśli, porządkującej niedawne wydarzenia i, przez wsłuchiwanie się w ich psychiczny rezultat, konkretyzującej ich ocenę, oraz właśnie wnioski i decyzje. W tej jednak chwili, która oto nadeszła, dalsze stanie przy owym oknie nie miało już najmniejszego celu. Właśnie zamierzał przerwać tę kontemplacyjną czynność i przejść do biurka, gdy pojął, że z przyciszonym odległością trzeciego piętra warkotem samochodów miesza się jakiś głos, dochodzący z wnętrza pokoju.

— Towarzyszu Borowicz, dzwoni ksiądz Krauze, chce z Wami mówić.

Głos pochodził od towarzyszki Władzi, sekretarki Borowicza, wysokiej i nieco tęgiej, ale bardzo apetycznej blondynki o puszystych, jasnych włosach. Władzia była od dwóch lat kochanką Borowicza, ale w biurze, rzecz prosta, nie pokazywali nic po sobie, nawet gdy nie było świadków. Romans ich realizował się w pewnym pokoiku na przedmieściu, pokoiku należącem rzekomo do jakiejś przyjaciółki panny Władzi, której to przyjaciółki Borowicz szczęśliwie nigdy nie widział na oczy, a która oddawała ten pokój „w użytkowanie” na całe popołudnie. Dobrze im tam bywało, w ogóle Borowicz zadowolony był z tego związku: nie miał czasu gonić za kobietami, ani ochoty afiszować się z nimi po mieście, a Seweryn tylko czyhał na żer, na plotki i skandale. Władzia miała jakąś instynktowną proletariacką wierność, była prawdziwym, nie fałszowanym przykładem awansu społecznego, a poza tym jak wszyscy ludzie jej sfery, żywiła głębokie, choć ukryte przekonanie, że rewolucja jest dziełem Żydów, że Żydzi rządzą z ukrycia, a jeśli nawet chwilowo źle im się na pozór powodzi to ostatecznie muszą osiągnąć sukces. Nigdy oczywiście tego nie mówiła, ale Borowicz czuł jej gorliwą wiarę, czuł, że, świadoma jego trudności i kłopotów, jest zawsze po jego stronie i to nie tylko w sensie, że mu sprzyja, ale że wierzy w powodzenie jego sprawy. To było krzepiące, podnoszą-

ce na duchu, więc też owe dwa, trzy popołudnia na tydzień, jakie spędzał w oderwanym od świata pokoiku na dalekim, ubogim i niechlujnym przedmieściu, stały się ważnym elementem jego systematycznego i pracowitego życia, przynosiły odprężenie, spokój i wiarę w siebie, zwłaszcza, że pod względem fizycznym rzecz okazała się znakomita i w miarę upływu czasu coraz lepsza, co każdego mężczyznę bardzo podnosi na duchu, dając mu poczucie wartości intymne ale realne, przede wszystkim zaś niezależne od wszystkiego, co świat o nim myśli czy mówi.

Ale w tej chwili słowa towarzyszki Władzi były niepokojące i mało zrozumiałe, o czym wiedziała również ona sama — Borowicz wyczuł to w barwie jej głosu, mieli zresztą ustalone pewne sposoby mówienia i intonacje, na wypadek obecności kogoś obcego, interesantów czy towarzyszy z Komitetu. Ksiądz Krauze?! Sprawy księży znajdowały się całkowicie w gestii towarzysza Seweryna, Borowicz ich unikał jak ognia, zresztą w ogóle bał się wszelkiego przekraczania granic swoich kompetencji bez wiedzy Szefa. Ale nazwisko to nie było mu obce: Krauze, ksiądz Krauze?!

Skupił się błyskawicznie pod zdziwionym lekko spojrzeniem towarzyszki Władki i już wiedział: ksiądz Krauze to był ten ksiądz, o którym mówiła mu w Paryżu Wanda, że zna jej córkę i skontaktuje go z nią. Masz diabie kaftan! Borowicz po powrocie z Paryża zapomniał oczywiście o całej sprawie, a gdyby nawet nie zapomniał, to nie miał zamiaru w tej materii ani kiwnąć palcem. Ale widocznie Wanda przeczuła to, napisała do księżulka, podała mu telefon, zresztą nie trudno było znaleźć, no i teraz masz! Jak tu w ogóle z nim rozmawiać — Władka to świetna dziewczyna, ale tak czy owak, jeśli Borowicz każe przełączyć telefon do siebie a jej wyjść, będzie podsłuchiwać ze swego aparatu — to w końcu należy do jej zawodu, nigdy nie robił przed nią żadnych tajemnic, rozmówca zaś był niezwykle i trudno by nie dać folgi ciekawości. Przy tym tamten zaraz zacznie mówić o Wandzie, co może nie spodobać się Władzi i o Paryżu, co może nie spodobać się komuś innemu, bo wszakże w Komitecie rozmowy telefoniczne nie są dla nikogo tajne. I to wszystko jednego dnia, zaraz po wizycie Grochowskiego. Diabli to nadali!

Błyskawicznie jednak znalazł wyjście — zawsze się dziwił, że tyle myśli przepływa człowiekowi przez głowę w tak krótkim czasie, a obecnie działało się to przecież pod pytającym i leciutko jakby zaniepokojonym (może zaniepokoiła się jego niepokojem, który wyczuła?) spojrzeniem Władki i przy czekającym, odłożonym aparacie telefonicznym. Po prostu będzie rozmawiał przy niej, powie swoje krótko i węzłowato, nie da księżulkowi dojść do słowa, a odbywając rzecz przy Władce uniemożliwi jej słucha-

nie głosu z tamtej strony. Tylko co właściwie z nim zrobić? Spławić się nie da, trzeba rzecz odłożyć, powie że po prostu nie ma dziś czasu. Plan swój zrealizował natychmiast, może tylko za krótko się namyślił, stąd i późniejsze błędy, których zresztą niesposób właściwie było uniknąć. Dał sekretarce znak, aby przełączyła telefon i nie czekając, aż zamknie drzwi od siebie mówił głośno (może odrobinę za głośno) w słuchawkę: — Tak. Dzieńdobry księdku, wiem o co chodzi. (Powiedział: księdku, to był niby błąd, ale przecież tamten już łącząc się z Władką podał, idiota, że jest księdzem — skądżeby inaczej ona to wiedziała). — Tak, ale dziś będę bardzo zajęty. I jeszcze parę dni będę bardzo zajęty. Proszę do mnie zadzwonić, może... (kątem oka dojrzał, że uchylone dotąd, wykładane ceratowymi poduszkami drzwi od pokoju Władki zamknęły się bezszelestnie: na pewno siadła przy biurku i podsłuchuje). — Więc może gdzieś w czwartek, ale na inny numer (podał swój domowy — nie mógł przecież umawiać się z tamtym w Komitecie, nie mógł też ustalać miejsca spotkania przy podsłuchającej Władce, która nie powinna w ogóle wiedzieć, że tu chodzi o spotkanie; a czy w ogóle musiał się spotykać?! — źle się stało, trzeba się było wymówić przez Władkę, ale tamten mógł się z nią wdać w rozmowę, opowiadać o co chodzi, pomyślałaby Bóg wie co; a telefon w domu był oczywiście na podsłuchu; cóż to za pechowy dzień!) — Proszę zadzwonić wieczorem, od dziewiątej, tak, we czwartek. Dobrze, proszę bardzo. Do widzenia.

Odłożył telefon z trzaskiem na widełki i przez dłuższą chwilę siedział zupełnie nieruchomy. Tym razem, przeciwnie niż przedtem, miał w głowie zupełną pustkę: ani jednej myśli, ani jednego uczucia, ani nawet błysku intuicyjnej iskry, która mogłaby wszystko zastąpić. Ale owa pustka była pozorna: w istocie trwał szok, wywołany zespołem elementów, jakie gdzie w podświadomości zostały ponumerowane i utrwalone tak dokładnie, że nie ma najmniejszej potrzeby ich sobie powtarzać. Elementy owe to błędy, błędy popełniane jeden za drugim i właściwie przy minimalnym jego udziale. Nie należało przyjmować Grochowskiego i pozwalać mu krzyczeć na cały gmach, nie należało potem stać bezczynnie przy oknie i dać się zaskoczyć Władzi, pokazując jej, że jest jakoś nienaturalnie zamyślony, a więc wytracony przez tamtego z równowagi, nie należało okazać, że coś go łączy z jakimś księdzem Krauze, nie należało przy niej i przy podsłuchujących czy nagrywających rozmowę towarzyszach podawać tamtemu swego prywatnego numeru telefonu. O wszystkim tym nie potrzebował już myśleć, to wszystko dokładnie wiedział, rekapitulacja była zbędna. Wiedział w dodatku jeszcze jedno: błę-

dem jest siedzieć teraz bez ruchu z oczami w słup i robić na Władce wrażenie, że został czymś speszony czy zgoła ogłuszony. Władka to dobra dziewczyna, sprzyja mu szczerze i uwielbia być z nim w łóżku, ale nie należy jej wodzić na pokuszenie ani dawać jej wyobraźni zbyt dużo materiału do pracy.

Impuls był wyraźny i oczywisty. Borowicz wstał sprężysto z fotela i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Kręcił się tam woźny z herbatą, Władzia siedziała przy biurku. Borowicz uśmiechnął się do niej jednym ze swych promiennych młodzieńczych jeszcze uśmiechów łaskawego szefa. — Różne się miewa sprawy — mruknął porozumiewawczo. — Towarzyszko Władziu, zapomniałem, że o czwartej jest posiedzenie Sejmu. Możecie odesłać auto, to blisko — zjem tam coś w bufecie, a kierowca niech po mnie przyjedzie o siódmej. I przeczytajcie do jutra ten raport Dziennikarzy — chciałbym o tym wiedzieć coś krótkiego.

Jeśli Władka miała jakieś wątpliwości czy w ogóle refleksje na temat owego niecodziennego bądź co bądź telefonu księdza, to rozproszyły się one w tej chwili, przestąpiła je całkowicie przykrość, jaka wyłoniła się ze słów Borowicza: dzisiaj wszakże mieli się spotkać w pokoiku na przedmieściu, a nagły projekt spędzenia popołudnia w Sejmie przekreślał wszystko. Borowicz też wolałby to spotkanie niż śliskie rozmówki, jakie czekały go na Wiejskiej, ale trudno. Pod czujnym okiem rozmyślnie guzdrzącego się i ociągającego woźnego z herbatą, podał Władce rękę i nie patrząc jej w oczy wyszedł. Zignorował windę i zbiegł na dół, starając się fizyczną energią zagłuszyć wewnętrzny niepokój.

Tymczasem dzień utracił swą szarość: zza chmur wyszło wreszcie spóźnione, ale bądź co bądź wiosenne słońce, oświetlając swym żółtawym i ukośnym blaskiem pędzące samochody i tłoczącą się cizbę wracających właśnie z pracy warszawskich ludzi, formujących długie kolejki na przystankach autobusowych. Borowicz szedł w stronę Placu Trzech Krzyży nie widząc nikogo, ani niczego: w myśli układał sobie, jak przede wszystkim wyjaśni i załatwi sprawę wizyty Grochowskiego.

IV

Wchodząc po marmurowych schodach czuł już, że opływa go znajomy klimat tego dziwnego przybytku, gdzie nikt nie był sobą i właściwie nic się nie działo, a jednak wszędzie, po kątach niebezpiecznie czały się niedomówienia, echa słów nie wypowiedzianych czy myśli skrytalizowanych tylko w połówie, lub w części, których zaniechano zanim jeszcze zdołały się stać sobą, zaniechano w poczuciu niepisanego prawa mdłej dyskrecji i wyjąławiającej dyscypliny, jakie tu rządziło. Skąd się wzięło to prawo i jaką znalazło sobie egzekutywę? Od szeregu lat strażnikiem jego był towarzysz Ludwik, który spełniał tę rolę z właściwą sobie nerwową nadwrażliwością, maskowaną zewnątrz odierwanym od świata, chłodnym spokojem, trwając w owym nie opuszczającym go nigdy stanie kurczowego podniecenia i agresywnego napięcia wszystkich duchowych władz ideologicznych, tak to sobie określał Borowicz — to znaczy określał, ale też właściwie nie wiadomo jak, gdzie i kiedy to robił, bo nigdy przecież, nawet przed sobą samym określenia takiego nie wymówił. Ludwik był obok Szefa drugim naprawdę i w pełni wierzącym we wszystko człowiekiem w Partii — dlatego zapewne tak się ze sobą przyjaźnili: opowiadano nawet, że nie rzadko we dwóch pijają w domu wódkę, wspominając wojenne i stalinowskie czasy, a także, zapewne, pozwalając sobie na zapuszczanie się w głębsze pokłady szczerości, tam, gdzie na przykład stale czuwający Borowicz nie zapuszczał się nigdy — po prostu odwykł od tego przez długie lata nieustającego psychicznego pogotowia i samokontroli, tak jak przed nadmierną świadomością i introspekcją odwyknąć można od popędu pćiowego, stopniowo zapomnieć o nim i w rezultacie przestać go nie tylko odczuwać, ale w ogóle posiadać. Borowicz

nie miał już żadnej potrzeby szczerości wobec kogokolwiek, co więcej, mniej lub bardziej świadomie potępiał ten gatunek kontaktów międzyludzkich, jako rodzaj obnażania się, mającego w istocie cele wyłącznie rozpustne, duchowo rozpustne. W częstych swoich stosunkach z Szeferem, z którym łączyła go przecież wyjątkowo dobra i w dodatku dwudziestoletnia już przeszłość, niczym dotąd nie zmałowana komitywa, chwalił sobie bardzo tryb pewnej konwencji, w jaki ujęte zostały niezmiennie ich rozmowy, co wykluczało raz na zawsze możliwość wszelkich ekscesów irracjonalizmu czy przypadkowego emocjonalizmu: człowiek żyje i działa tak długo, jak długo precyzuje sobie swoje cele i możliwości i jak długo jest w stanie po w ten sposób sprecyzowanej linii podążać; można by zaryzykować paradoks, że człowiek jest sobą dopóki nie mówi kim jest, dopóki zamiast wyrażać myśli posługuje się mową zastępczą, umownie symboliczną. Taka mowa jest gwarantką rzeczowego i konkretnego a zachowującego wzajemną niezależność układu stosunków między ludźmi; w pracy z Szeferem odpowiadała ona Borowiczowi absolutnie, była właściwie jedynie możliwą, bo, w jakiś sposób utrzymując i Szefera w pewnym dystansie, budziła jego przychylny respekt, a przez to dawała możność uzyskiwania od niego takich czy innych koncesji, wpływania na niego: przecież to właśnie przez nadmiar familiarnej szczerości utracił wszelkie wpływy na Szefera nieszczęsny Grochowski; mało, że utracił wpływy, ale, nazbyt odkryty, stał się w ogóle postacią drażniącą i budzącą odrazę. Borowicz miał zawsze przed oczyma ów odstrasający przykład, ale i bez tego nigdy nie nawiedzała go najmniejsza ochota do wykroczenia poza przyjęty umownie (choć umowa ta nie została nigdzie sprecyzowana, ani nawet nazwana!) tryb wzajemnego komunikowania się czy sposób wyrażania. Najmniej zaś odczuwał potrzebę szczerości wtedy, gdy Szefer od czasu do czasu zapraszał go wraz z matką na „rodzinną” kolację do siebie, gdzie w dodatku pito wódkę, której Borowicz nie znosił, bo potrafiła ona w jakimś trudnym do przewidzenia i wymierzenia momencie popchnąć człowieka w kierunku właśnie nagłych poufałości czy ekshibicjonizmów, fatalnych a w dodatku zwykle fałszywych, gdyż wódka wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, nie wyzwala wcale pędu do szczerości, lecz tylko pęd do pozerstwa.

Tak więc Borowicz bez wysiłku i raczej z upodobaniem przestrzegał w stosunkach z Szeferem przyjętej zasady językowej a właściwie i pojęciowej konwencji (język wpływa na pojęcia bardziej niż się wydaje), ale hasłem z odruchowym zdziwieniem myślał o owych rzekomych sympozjach alkoholowej szczerości, jakie odbywać mieli skrycie Szefer i towarzysz Ludwik. To było tak,

jakby o jakiejś poważnej inteligentnej kobiecie, znanej sobie tylko ze stosunków ściśle służbowych i rzeczowych usłyszał nagle, że poza biurem z upodobaniem uprawia ona stosunki zgoła inne, choć nigdy ani o tym nie wspomina, ani najmniejszym odruchem nie nasuwa podobnych myśli czy podejrzeń. Ciekawe, nawet zdumiewające. Zwłaszcza zdumiewające to było u towarzysza Ludwika, który, poza tym, że był odpowiednio wierzący, odznaczał się przysłowiową nawet w kołach zbliżonych do Komitetu sztywnością, brakiem humoru i ową, z matematyczną wręcz dokładnością przestrzeganą, eliminacją ze słownika i sposobu bycia wszelkich rzeczy nie istotnych, jakkolwiek swą malowniczością wykraczających poza krąg, w którym mieszczą się sprawy ważne i poważne. Tylko, że u Ludwika wszystko to było autentyczne, nie uplanowane, wynikało z jego natury, stanowiło z nią jedność. Ludwik wierzył i Borowicz wierzył, ale, nie wiadomo właściwie dlaczego, nie było to to samo, choć przecież wierzyli w rzeczy identyczne: w socjalizm, w rewolucję, w Partię, w Polskę. Borowicza zawsze podejrzewano o nieszczerłość, może dlatego, że był z natury żywy, mało dostojny, w dodatku jeszcze dosyć młody, nawet nad swój wiek, wysportowany, bezpośredni, a przy tym wszystkim z upodobaniem używał konwencji. Oczywiście nieszczerze — mówili ludzie — podczas gdy w towarzyszu Ludwiku nikomu ani się śniło dopatrywać nieszczerłości (wobec siebie samego naturalnie) czy rozdwojenia — jego poglądy i jego osobowość stanowiły organiczną całość — stąd w końcu pochodził jego autorytet i lek, jaki budził w niektórych towarzyszach, zwłaszcza takich, co mieli cokolwiek na sumieniu. Ale może, przez to właśnie, że był wewnątrz tak niepodzielnie szczerzy i jednolity, nie obawiał się chwil spontanicznego odprężenia, jak owe rzekome wódkopicie u Szefa. Nie obawiał się, bo pozostawał w nich sobą, a przy tym potrzebował ich: do przyjęcia jakiegokolwiek bądź pozy był, nawet po największej dawce alkoholu organicznie niezdolny, zaś takie chwile odprężenia w sferze czynów a jednocześnie uskrzydlenia w sferze myśli, spowodowane wódką czy intymnością retrospektywnych wspomnień, dawały mu poczucie lekkości, którego na pewno przy swym ciężkim usposobieniu, zewnętrznej sztywności i wewnętrznej, ukrywanej nerwowości, bardzo potrzebował. Ciekawe, ogromnie ciekawe!

Właśnie pokonawszy paru skokami białe, marmurowe schody, prowadzące do położonych z tyłu, zimnawych i sztywnawych, ale na swój sposób uroczystych czy monumentalnych salonów recepcyjnych Sejmu i Rady Państwa (z tyłu, bo osobliwy ten gmach miał swój reprezentacyjny front właśnie w tyle, a prozaiczny tył z recepcją hotelową i wejściem dla posłów — z frontu) — Bo-

rowicz ujrzał w długim, kolumnowym, wykładanym białym bazaltem korytarzu samego towarzysza Ludwika. Chudy, łysawy, lecz wyglądający względnie młodo, z suchą twarzą, wielkim haczykowatym nieco nosem i zbliżonymi do siebie oczami rozsądnej sowy, wcale nie zdradzającymi ukrytej pod ich pozornym spokojem gwałtownej, nerwowej popędlowości, kroczył po bazalcie ni to czujnie zamyślony, ni to nieobecny, choć pełen skupienia. Ten Sejm to było już całkowicie jego dzieło. Towarzysz Ludwik z mikroskopową dokładnością oddestylował z niego wszystko, co w najmniejszym choćby stopniu przypominać mogło komukolwiek parlamentaryzm zachodni, pogardliwie liberalnoburżuazyjnym zwany. Większość kilkuset osobowego grona poselskiego stanowili precyzyjnie, pod lupą chyba przez Ludwika badani ludzie prości, chłopi, robotnicy, przeróżni terenowi funkcjonariusze ze społecznego awansu, dla których wejście do sejmu było szczytem kariery, życiowym pułapem, toteż do obyczajów panujących w tej izbie odnosili się z pietyzmem, za najwyższą cnotę uważając sobie uległość i brak skłonności do dziwienia się czemukolwiek, oraz niewzruszoną powagę, z jaką celebrowali wszelkie niedorzeczne, bo z góry już, mechanicznie co do swego rezultatu przesądzone głosowania, czasem tylko, w ramach zamkniętych posiedzeń komisyjnych, upominając się z niewyżytą zjadłością o jakieś tam dopuszczone do dyskusji materialnotechniczne sprawy terenowe, zajmując w dodatku z reguły stanowisko bardziej dogmatyczne niż sam rząd. Gdy jednak postulaty ich odrzucano czy dyskusję nagle przecinano, nie żywili najmniejszej urazy, a w każdym razie nie okazywali jej: śladów jej nie wykryłby najbystrzejszy obserwator, nie pokazywali po sobie nic, umiając wywdzięczyć się za fawor przebywania w tym gmachu, a przede wszystkim za splendor ludowej władzy, jaki spadał na nich w terenie; poza tym pretensje ich, jeśli się już objawiły, okazywały się zawsze pretensjami kalibru małego, partykularnego: sprawy ogólne umykały ich uwadze, były dla nich nieosiągalne. Zresztą w żadnym wypadku nie zamierzaliby ich osiągać — i oni bowiem również wierzyli, instynktownie a głęboko, w polityczny determinizm okoliczności stałych, niezmiennych, zakreślających zdyscyplinowane ramy wszelkiemu działaniu, warunkujących reguły gry i przepisy ceremoniału. Ich psychika to było jedno z arcydzieł Ludwika, który ponad wszystko nie znosił i obawiał się publicznych konfliktów i demonstracji, a tu właśnie, w tym ogromnym zespole, umiał, tak gracko a niewidocznie podobnym rzeczem zapobiec.

Z ludzi owych wywodził się również i doskonale ich uosabiał Przewodniczący — Ludwik, aby było śmieszniej (tak myślał Borowicz, Ludwikowi nie przyszło to oczywiście do głowy) pozosta-

wał oficjalnie tylko jego zastępcą. Przewodniczący ten, jeden ze starych, od urodzenia chyba mało wyrazistych polityków chłopskich (tylko w czasie okupacji, działając zresztą po stronie Londynu, zachowywał się iście po bohatersku, ale wtedy wszyscy chcąc nie chcąc musieli być bohaterami), stał się osobistością w swym komizmie niemal sympatyczną: jego skwapliwa uległość wobec Partii, połączona ze wzruszającą niezręcznością, z jaką demonstrował swą zależność, czego zresztą gremium poselskie, a zwłaszcza koledzy, z powodzeniem starało się nie dostrzegać, czyniło z niego postać bardziej ludzką niż cokolwiek innego na tej sali.

Ale prostoduszni posłowie z terenu nie stanowili jeszcze całego zgromadzenia. Istniała też druga grupa, mniej liczna, ale ważna: towarzysze z kierownictwa i z Komitetu byli zazwyczaj również posłami, w ten sposób kuluary Sejmu przekształcały się po trochu w partyjny salon recepcyjno dyskusyjny, zwłaszcza, że dla okrasy nie zabrakło tu i grupki literatów. Ludwik, w swojej wiernej miłości do Partii uważający, że tego rodzaju wyróżnienie należy się również marnotrawnym jej synom (nie traci się przynależności do Partii tak jak niegdyś nie traciło się szlachectwa) obdarzył mandatami także jawnych odszczepieńców w rodzaju towarzysza Grochowskiego, czy nawet enigmatycznie opozycyjnego, kiedyś w tajemniczych okolicznościach usuniętego z samego Biura, a zasłużonego podczas okupacji towarzysza Zalewskiego. Wprowadzając ich do sejmu Ludwik niczym nie ryzykował: nie mieszczały się z grupą prostodusznych choć i nie okazywali jej lekceważenia, w Izbie pojawiali się raczej rzadko, na krótko, ograniczając się do kularowych rozmów i dowcipów, zaś na sali plenarnej milczeli nieugięcie, głosując zawsze bezbłędnie, tak jak trzeba. Nie chcieli przecież okazywać niepowołanym wewnętrznym partyjnym rozdźwięków, to nie było miejsce ani do prania brudów, ani do prawdziwej walki. To nie było miejsce — na pewno nie. Ale czym było właściwie to osobliwe miejsce, którego Borowicz tak nie lubił? Chyba bocznym boiskiem, gdzie toczyła się drugorzędna ale jakoś potrzebna gra pozorów, bez której widać także nie ma życia!

Prawda: w sejmie działały jeszcze, poza bezpartyjnymi, którzy się nie liczyli, mikroskopijne, kilku osobowe grupki posłów katolickich. Ci jedni chyba brali swój parlamentaryzm całkiem na serio, niektórzy uważali się za symbolicznych przedstawicieli większości społeczeństwa, dopuszczonych z jakichś tam względów taktycznych przez Partię i przeznaczonych do obrony interesów Kościoła. Przy takim megalomańskim wyolbrzymieniu swojej roli czy misji, ogromnie się czuli za wszystko odpowiedzialni, w przemówieniach wazyli każde słowo, jakby od tego Bóg wie co poza

własnym mandatem zależało, prowadzili skomplikowane gierki taktyczne, licytując się wzajemnie, co ogromnie bawiło Borowicza. Czasem w ich starannie wystudiowanych przemówieniach odbijały się przebliski dawnego, minionego świata — Borowicz nie lubił tego, wspomnianie takie to jedna z odmian błazeństwa — czasem pozwalali sobie na demagogiczne, opozycyjne wyskoki: towarzysz Ludwik trochę się tym denerwował, ale w sumie jakoś na to zezwalał, prawdopodobnie w przekonaniu, że bezsilność tych wyskoków była dla pozostałych członków Izby, przede wszystkim właśnie dla owych prostodusznych milczków, nader wychowawcza i pouczająca: stanowiła dowód, że żadnej innej drogi nie ma, że to, co kiedyś przedstawiano jako odważne i wzniosłe, jest dziś co najwyżej śmieszne. Towarzysz Ludwik ponosił tu ryzyko, ale nigdy dotąd nie przegrał, rzecz nie wychodziła poza pewne granice, zresztą sejm był w społeczeństwie niepopularny, niemal nieznan, przyczyniał się do tego i Borowicz, ścinając w prasie jakiegokolwiek szczegóły o tego rodzaju wyskokach. I w ten sposób, nie bez jego skromnej pomocy, arcydzieło Ludwika okazywało się bezbłędne. Mądry to w istocie człowiek, ten towarzysz Ludwik, choć robi wszystko, żeby ukryć swoje wewnętrzne nawarstwienia, żeby nikogo nie epatować inteligencją czy złożonością swych myśli. To także jest zresztą rys wielkości: dla siebie Ludwik nie chciał nic, ani sławy, ani nawet uznania. Poważny człowiek — bez cienia błazeństwa!

Borowicz pozdrowił go przyjaznym gestem i skrzył w biały, wykładany marmurami korytarz, skąd oszklone drzwi wskazywały drogę do tak zwanych kuluarów, ciągnących się wzdłuż sali sejmowej: tu dla odmiany królowały zielone dywany i pod ścianą zielone kanapki, zaś szereg równoległych szklanych drzwi pozwalało bezpiecznie obserwować salę nie biorącym udziału w obradach, to znaczy nie zmuszającym się do wysłuchiwania kilometrycznych referatów, dukanych z grubych maszynopisów przez ludzi prostych o zbrudzonych czołach i twarzach pełnych wysiłku, tak nieproporcjonalnego do osiągniętych rezultatów, przemówienia owe bowiem z reguły trafiały jedynie do stenogramów, stając się zaledwie tytułem prywatnej chwały dla posła, który w każdym razie mógł je odczytywać rodzinie lub kolegom czy towarzyszącom z terenu. Było to dziwaczne, a Borowicz nie znosił wszystkiego co dziwaczne, dlatego przecież jak mógł likwidował wszelkie dziwactwa w rozmaitych przedstawieniach teatralnych czy kabaretowych, dziwactwa modne, zwłaszcza w studenckich teatrzykach Warszawy. Ale cóż pomoże walka z dziwactwem w sztuce, jeśli tu, w oficjalnym gmachu panoszyło się ono w najlepsze? Borowicz czasem zadawał sobie pytanie, czy to tylko on jeden i jeszcze

paru inteligentów z Partii widzi owo bezinteresowne, bo całkiem bezużyteczne dziwactwo sejmu, czy też w istocie widzą je wszyscy, tylko przed sobą tę rzecz ukrywają? W drugim wypadku dziwactwo byłoby jeszcze bardziej dotkliwie jeszcze dziwniejsze, a właściwie przez to, w rzeczowym męskim świecie, jaki postanowili stworzyć komuniści, smutne i anachroniczne. Było śmieszne, więc dlatego właśnie smutne i to smutkiem, którego w socjalistycznych stosunkach być nie powinno, płynął bowiem z jakiegoś refleksu czy widmowego odbicia spraw dawno i słusznie umarłych. Gdyby rzecz zależała od Borowicza, zredukowałby obrady tego zbędnego ciała do minimum, również Ludwik nie cieszył się swoim arcydziełem, zaledwie ukrywając cierpkie nim znudzenie. Jeden Szef wydawał się zadowolony, choć bardzo mało tu bywał i choć irytowały go czasem nazbyt odbiegające od konwencji przemówienia posłów katolickich czy, z rzadka, bezpartyjnych: kiedyś gdy jakiś bezpartyjny profesor politechniki nie wiedząc co czyni skrytykował ulubione przez Szefa inwestycje hutnicze, ten zmusił Borowicza do wygłoszenia miażdżącej repliki. Borowicz nie miał pojęcia o temacie, tym ostrzej więc mówił, starając się gwałtownością i brutalnością zamaskować zupełną ni-jakość swej improwizowanej argumentacji. Ale rzecz szła o politykę, gniewał się więc i oburzał z zapalem całkowicie autentycznym: miał przecież okazję z jednej strony dogodzić Szefowi, z drugiej ugruntować swoje znaczenie wobec wszystkich świadków tego nierównego pojedynku, pokazać swoją niezbędną w obecności Seweryna i jemu podobnych. Najmizerniejszą rolę grał tu ów nieszczęsny śmiałek, który, chlastany potopem inwektyw i smagany szyderstwami, mienił się na twarzy, aby pod koniec posiedzenia złożyć oświadczenie, wycofujące wszystkie swoje zarzuty: nie chciał, biedak, narażać na wyimaginowane raczej niż rzeczywiście grożące represje siebie i swojej uczelni. Borowicz schodził z trybuny wśród oklasków partii i zaprzyjaźnionych czyli przestraszonych i przypodchlebnie oburzonych stronnictw, wiedząc, że świadomość smutnego dziwactwa tej całej sprawy, tego zgromadzenia i tego gmachu nawet tkwi w nim mocno, jak niestrawny pokarm na dnie żołądka. Ale Szef był z tej historii zadowolony, uznał ją za dobrą nauczkę, z jaką spotkała się owa, jak powiedział, reakcyjna próba siania nieufności. Szef nie odczuwał tu ani smutku, ani dziwactwa, bo nie znał żadnych tradycji liberalnych: młodość strawił po więzieniach, wiek dojrzały w okupacyjnej konspiracji, potem na przemiany był u czubka władzy, znowu w więzieniu i znowu u czubka władzy. Prawie nigdy właściwie nie żył normalnym, codziennym życiem tego społeczeństwa, chyba w dzieciństwie, które upłynęło mu w rodzinnej, pół-

wiejskiej osadzie, może jeszcze w szkole czy w pierwszej fabrycznej pracy. A potem już całym jego światem stała się Partia — i tak trwa po dzień dzisiejszy. Ale ciekawe, że, uznając tylko Partię, jednocześnie pochwalał taki właśnie pozbawiony treści sejm: może tkwiła w tym chłopska potrzeba obrzędów, wszakże dla chłopca nabożeństwo im nudniejsze tym bardziej budzi przekonanie o swej ważności, nuda bynajmniej nie jest w tym wypadku czymś dyskwalifikującym lecz przeciwnie, oznacza hieratyczną powagę, cechującą sprawy doniosłe, a tak ugruntowane, że nie potrzebują uciekać się do efektownej kokieterii. Szefer w ogóle cenił sobie etykietę, rocznice, obchody, ceremonialne wizyty, uroczyste telegramy gratulacyjne: cenił sobie, pod warunkiem, żeby nie było w nich nic merytorycznego czy nadmiernie podniecającego — o ile możliwe sama forma, krzepiąca swą bezosobową harmonią i powagą, a także skryzalizowanym już tradycjonalizmem. Tradycja, choćby młoda, co roku przecież jest starsza. Tu Szefer miał swoją rację, choć nie zdawał sobie sprawy, jak wykpiwano tę etykietę i ceremonialną formę w społeczeństwie, ono bowiem, jeśli już decydowało się na ceremonie, z reguły wolało znacznie starszą tradycję procesji i pielgrzymek, zaś do nowej religii, której zresztą nie rozumiało i rozumieć nie chciało, odnosiło się z pogardą i lekceważeniem. Trudno i darmo, wszyscy oni razem szeryli oto ideę zupełnie temu narodowi nieznaną, w dodatku byli obciążeni grzechem pierworodnym — poparciem Rosji. Rosjanie mogli być dumni ze swego marksizmu-leninizmu, Polacy nie mieli z czego i żadna uroczystość w dumę ich nie wbijała, przeciwnie — budziła „kompleksy”, urażała stare blizny, nadeptywała na odciski. Szefer tego wszystkiego nie wiedział, miał swoje własne sprawy z Rosjanami, nie chciał zaś słyszeć o urazach dawnych, przedsocjalistycznych. Tworzył nowe życie i tylko to życie uznawał, ale nie rozumiał, że ów sejm ma jakiś oblesny refleks życia starego. Zresztą nie rozumiał i mnóstwa innych rzeczy, bo żył w oderwaniu, w tym jednak była jego siła. Rewolucji nie robi się bez siły, jeśli zaś siła jest ślepa, to trudno, takie są koszty historii. Zresztą Szefer nie we wszystkim był ślepy, robił tylko błędy, przeważnie natury psychologicznej, bo nie rozumiał, że nowy proletariatus go nie lubi a nawet nienawidzi; nienawidzili go za to, że przemawia w ich imieniu, a wcale nie jest z nich, jest z innej epoki, z innej formacji. Szefer ponosił porażki propagandowe: nie wiedział o tym, ale doskonale wiedzieli to sztywniacy z jego otoczenia, którzy pomagali tym porażkom wydobyć się na wierzch, a potem oskarżali o nie Borowicza, odpowiedzialnego przecież za propagandę. Oczywiście porażki nie były winą Borowicza, który miał przeważnie w sprawach propagandy od-

mienne zdanie od Szefa, ale nie zdradzał się z tym, aby nie stracić zaufania, bo Szef był apodyktyczny i nie znosił czyjś odmiennego poglądu, choć nie miał przecież pretensji nawet do tych, co kiedyś aprobowali jego uwięzienie. Nie znosił odmiennego zdania wówczas, jeśli trąciło ono inteligenckością, więc też Borowicz nie mógł pozwalać sobie na luksus szczerości, był bezsilny, a ponosił odpowiedzialność. O tej jego sytuacji doskonale wiedzieli Seweryn i jego ludzie, a on wiedział, że oni wiedzą i vice versa. Było to błędne koło, ale Borowicz wierzył, że cierpliwością i mozolną pracą osiągnie przecież w końcu konkretne rezultaty: zdobędzie u Szefa takie zaufanie, iż przy ewentualnej zmianie koniunktury w Kierownictwie będzie mógł, choćby dyskretnie omijając przyzwyczajenia i dziwactwa Szefa, poprowadzić sprawy prasy i propagandy w sposób rozsądny, choć bynajmniej nie mieszczańsko liberalny, jak mu to demagogicznie zarzucał Seweryn. Ale na to trzeba samozaparć: ukrywać swe przekonania i intencje jak najskrzętniej, potrafić nawet działać przeciw sobie — to musi dać owoce, tylko cierpliwości!

Właśnie ten dziwaczny Sejm to była wielka porażka Szefa, na którą Borowicz zrywał się w cichości. Parodia zgromadzenia ludowego, łącząca pozory rewolucyjności z formami dawnymi, z wszechwładnym, zatechłym klimatem biurokratyzmu, ze smrodem tych zasiedziałych, starczych, zielonych foteli, symboli formalistycznego marazmu! I do tego absurdalne w tej sytuacji echa czy wspomnienia liberalizmu, które, objając się śmiesznie i bezradnie w tej pomyłonej pod każdym względem sali, budziły opaczny zresztą oddźwięk tylko wśród nie wiedząc po co tu dopuszczanych zagranicznych dziennikarzy. Wszystko razem bzdura i to upokarzająca: nie tak powinno się objawiać wyładowanie rzeczywistej siły, jaką reprezentować miało zgromadzenie ludowe w socjalistycznym kraju. Borowicz wiedział, jakby tę izbę zreformował i to wcale nie w duchu liberalnym, o nie, przeciwnie, zlikwidowałby nie tylko treść lecz również wszelkie ośmieszające pozory nawiązywania do dawnej stęchłej, zlikwidowałby ów absurd obradowania w tych samych formach i w tym samym gmachu, co przedwojenne sejmy. Ale musiał milczeć, bo nieuchronnie oskarżono by go właśnie o ów jak najbardziej mu obcy — liberalizm. Milczy się jednak tylko do czasu — póki reguły gry tego wymagają.

Dziś właśnie miał się posłużyć Sejmem dla dobra swojej gry — Sejmem, jako plotkarsko towarzyskim salonem Partii. Tylko, że na razie niezbędny mu się wiodło, bo wciąż spotykał innych ludzi, niż potrzebował. Jeszcze w owym marmurowym korytarzyku, skąd prowadziły drzwi i do kuluarów i na salę i do ław

rządowych, mignęła mu się ociężała sylwetka Prezesa, który, jako szef rządu, asystował zazwyczaj przy otwarciu posiedzenia, aby po kilkunastu minutach nieznacznie się ulotnić. Borowicz na jego widok przyspieszył kroku: Prezes miał rzadkie w tej sali poczucie humoru, choć nigdy zeń nie robił użytku, zachowując niezmiennie swoją niby solenną powagę; do tego znał przedwojenne czasy, był inteligentem z dawnego PPS-u, lubił zabawy i kobiety, słowem wszystko to, czego rozsądniej było unikać, nosząc same-mu masło na głowie. Sojusznik z niego byłby kłopotliwy, bo, choć wielki spryciarz, miał swoją własną grę i pozycję, a mógł też ponieść i własną porażkę: lepiej więc go omijać, niech każdy ratuje się po swojemu. Z kolei napatoczył się jak najniefortunniej poseł Wojczyński, redaktor wielkiego warszawskiego dziennika. Temu znowu chodziło o jakieś tam swobody dla pisma w dziedzinie krytyki gospodarczej: wiedział, że im większa możliwość owej skromnej zresztą i wciąż deklarującej swoją lojalność krytyki, tym większa popularność pisma u publiczności, a na popularności tej ogromnie mu zależało. To było nawet sympatyczne, że komuś tak bardzo o coś chodzi, ale Borowicz w obecnej sytuacji nie mógł mu nic obiecać: Seweryn i jego ludzie od razu wyzyskaliby to w wiadomy sposób, przy tym Borowicz nie rozumiał się na sprawach gospodarczych i nie mógłby określić granicy ustępstw, a znał przecież zarówno drażliwość Szefa na tym punkcie jak i perfidię Seweryna. Rozłożył więc ręce, mówiąc Wojczyńskiemu, że nic nie może i że wszystkie zależy od towarzysza Ludwika, (który co było jasne, na pewno odeśle tamtego z powrotem do Borowicza), wyrwał się jakoś cudem i przez rozległą palarnię ruszył do bufetu.

Tłoczno tu było i mocno nieapetycznie: w powietrzu kłęby papierosowego dymu, na stolikach wśród talerzy z resztkami jadła wałały się na pół wysypane popielniczki, kupki zaś popiołu plus plamy rozlanego piwa czyniły z białych niedawno obrusów ohydne szmaty. Przy każdym stoliku trwało czterech lub pięciu niezbyt czystych, niehygienicznie odżywianych, grubych, buchających śmierzącym dymem, posiwiatych mężczyzn, pochylonych ku sobie w jakimś konfidencjonalnym podnieceniu. W sali gwar, szum, ruch, jakby tu chodziło o coś Bóg wie jak ważnego. A w gruncie rzeczy — o cóż to właściwie chodzi?! Pozory — wcale niepotrzebne i niemiłe!

Tutaj z kolei spotkał Borowicz towarzysza Endelberga, który uchodził za przywódcę tak zwanej frakcji żydowskiej w Komitecie. Nazwą tą upajała się cała kawiarniana Warszawa, Borowicz zaś uważał nie tylko nazwę, ale i samą rzecz — jeśli w ogóle istniała, bo czasem przekonywał sam siebie, że wszelkie zorgani-

zowane frakcje i mafie w Kierownictwie to wymysł plotkarzy — za wysoce niesmaczną. Jakże to w partii komunistycznej ludzie dobierać się mieli na zasadzie kryterium rasowego?! Powinno się tego unikać za wszelką cenę, tak zresztą, jak i całej atmosfery, która oprzędła tę sprawę od kilkunastu lat.

Po wymordowaniu milionów Żydów, zaludniających polskie miasta i miasteczka, po dogorywającej wreszcie wojnie, której walec znowu przetoczył się przez Polskę, tym razem ze Wschodu na Zachód, na zgliszcza gett powróciła znikoma garstka żydowskich niedobitków, trochę z Rosji, trochę z kryjówek czy z konspiracji. Byli teraz nadzy, pozbawieni przez Niemców tła społecznego, pozbawieni nawet mogli przodków, bo mogli nie było, dym spalonych zwłok dawno się rozwiął w nicość, a popiół rozproszył. Czuli się wystawieni na widok publiczny: Żyd stał się rzadkością, widząc go każdy pytał w myśli, skąd się wziął i w jaki sposób przetrwał. Nie mogli wytrzymać tej sytuacji i poszukali oparcia w Partii — ci nawet, którzy nigdy nie byli komunistami, ci liberalni, mieszczańscy, obojętni. Przyjęto ich z otwartymi rękami: rewolucja potrzebowała aparatu, a zgłaszał się mało kto — lud tego kraju wcale nie był rewolucyjny, zresztą każdy lud jest konserwatywny, a pierwszą fazę rewolucji zawsze robi inteligencja. I tu pogrobowcy popełnili fatalny błąd, chociaż może im to imponowało, może szukali rekompensaty, a może zresztą padli ofiarą czyjejś dalekosieżnej intrygi. Oto, jak najniepotrzebniej w świecie, stali się od razu a gremialnie ramieniem i symbolem rewolucji, objęli najbardziej eksponowane i drażliwe stanowiska: oficerów Bezpieczeństwa, prokuratorów, sędziów, cenzorów. Zaskodzili sprawie i znowu wzbudzili nienawiść do siebie. Skołatany okupacją, spragniony jakiegokolwiek ładu lud mógł, owszem, uznać i przyjąć nową władzę, ale nie władzę reprezentowaną przez nich: niedawno widziano ich ponizenie, nagłe wywyższenie robiło wrażenie demonicznego spisku. Z czasem zaczęli coś niecoś z tego rozumieć, załamali się, po kilkunastu latach jęli wracać do siebie samych, stają się nawet z powrotem liberalni, chcą oto walczyć przeciw sobie z dnia wczorajszego. Ale wszystko nadaremno, pomyłka, za późno: stracili zaufanie jednych, nie odzyskali zaufania innych. Nie mogli odzyskać, to była złuda i oto stoją znów odosobnieni, wyizolowani, oko w oko z rozbudzonym przez siebie samych widmem rasizmu i to paradoksalnego, bo pleniącego się wewnątrz partii rewolucyjnej i komunistycznej.

Towarzysz Endelberg był w okresie minionym jednym z najtwardszych: tropił herezje nie gorzej, niż dzisiaj Seweryn. A jednocześnie wciąż gromadził dolary — w pończosze i w bankach zagranicznych. To było wstrętne — Borowicz nienawidził aseku-

ranctwa i hipokryzji, sam nigdy nic nie miał i nie chciał mieć — pod tym chociaż względem naśladował Szefa. Czuł niechęć do Endelberga i dawniej i dziś — jego obecną, spóźnioną działalność i jego frakcyjność uważał za szkodliwe, szkodliwe pod każdym względem: Żydzi dzisiaj w Polsce nie są sobą, są tylko mitem i dlatego nie powinni łączyć się w grupy, bo to najniepotrzebniej konkretyzuje ów mit. Borowicz był dumny, że nie należał w Partii do żadnej grupy, nawet do rzekomej żydowskiej: w ten sposób przeciwdziałał rasizmowi i dawał wyraz swej postawie prawdziwego komunisty. Nie lubił też liberalizmu, tak niewczesnie demonstrowanego przez tamtych. Nie lubił go w ogóle nigdy, choć tępy Seweryn zawsze go o to pomawiał, sądząc widać, że liberalizm to nieodłączna oznaka semityzmu. Cóż za nonsensy!

Endelberg pochodził z B... w Zagłębiu, miasta przemysłowego, ogromnie bogatego, gdzie Żydzi stanowili przed wojną większość ludności. Jakżeż ich tam nienawidzono i to nienawiścią na wskroś klasową! Ojciec Endelberga miał ogromny sklep, ba — szereg sklepów — a syn, trzeba mu to przyznać, wciąż siedział w więzieniu za komunizm. Ale miejscowa ludność nie czyniła rozróżnień, najzwyczajniej w świecie, nienawidziła ojca i syna po równi. Może Niemcy dusząc miliony Żydów gazem spełnili po prostu skryte (nie zawsze) marzenie tego zbiedniałego ludu? Borowicz nie lubił takich myśli. A czy dałoby się budować rewolucję i komunizm, gdyby w Warszawie tłoczyło się kilkaset tysięcy chałupiarzy, nędzarskich, ale ślepo przywiązanych do swego chałupnictwa, pośrednictwa, handlu? I takich myśli Borowicz nie lubił. Nigdy nie należy sięgać pamięcią wstecz, ani popuszczać w tym kierunku wodzy jałowej wyobraźni, zawsze skłonnej do rozważań, co by się stało, o ile by się stało to, co się nie stało. Komunistą patrzy realnie i patrzy w przód. Endelberg zawsze budził w Borowiczu skłonność do myśli, których tenże nie lubił i nie pochwalał, dlatego omijał go jak mógł; zrobił to również i teraz, zwłaszcza że do tamtego zbliżał się oto posuwistym krokiem jego nowo upieczony brat w liberalizmie czyli właśnie onże Grochowski, przez którego przecież wynikało całe to nieudane popołudnie.

Borowicz poczuł nagle dotkliwe osamotnienie: nie osobiste oczywiście lecz polityczne, osamotnienie w swojej taktyce i strategii, w koncepcjach i w ocenie sytuacji. Dziwna to zaiste była sprawa: przed laty, w okupacyjnej Warszawie, w dzielnicy aryjskiej, gdzie każde niepowodzenie równało się śmierci, na którą był skazany przez Gestapo zaocznie i bezapelacyjnie, czuł się jednak raźnie, bojowo, czuł się w szeregu, obok towarzyszy. A tu dzisiaj, w socjalistycznej Warszawie, był samotny, odosob-

niony, nierozumiany. I właściwie wszyscy oni czuli się samotni — stąd może owe prawdziwe lub urojone mafie czy też tęsknoty do mafii. Przerodziło się to już zresztą po prostu w mity, do których tak przywykła Warszawa czy raczej Warszawka: mówiono o mafii Żydów, konspiratorów, stalinistów, ba, istniały przecież jeszcze i poza Partią tradycyjne już mafie pederastów, hrabiów, kto wie, może nawet i jakichś zachowanych masonów. Istniejące czy nie istniejące, mafie te stały się jednak zwyczajowym już oparciem myślowym dla ludzi, nie mogących się pogodzić z centralistyczną unifikacją, jaką przynosił nowy ustrój: ludzie ci wyładowywali w ten sposób swoje tęsknoty do dawnych czasów i ich obumarłych form życia politycznego. Borowicz potępiał to — był świadomym człowiekiem nowych czasów i do żadnej mafii nie należał, w ogóle nikt rozsądny nie mógłby go o to posądzić. Ale dlatego nieraz czuł się samotny, samotny nawet w swym realizmie i racjonalizmie. Czyżby zwyciężał irracjonalizm, czyżby wymarzona jedność ruchu stawała się fikcją i nieosiągalnym złudzeniem?

— Cóż to, omijamy Szmulka, wolimy księżulka? — spytał nagle znajomy głos. Przed Borowiczem stał Pułkownik, on to właśnie wyrzekł te osobliwe słowa.

— Nie rozumiem Was, towarzyszu — o co chodzi? — powiedział chłodno, ale bez wewnętrznego napięcia Borowicz. Pułkownika dosyć lubił: chociaż prostak i raczej człowiek z grupy Seweryna, nie był on jednak maniakiem i doskonale pojmował specjalnie złożoną i samotną pozycję Borowicza. Tym bardziej dziwne, o co właściwie mu szło, o jakiego księżulka? Czyżby już...

— No bo widzę, że bokiem obchodzie tego naszego Endelka-Mendelka — tłumaczył dobrodusznie, choć gruboskórnie Pułkownik — a dziś dzwonił do naszego wydziału z miasta jakiś księżulo, ale nie miał do nas interesu, tylko się pytał o Wasz telefon. No to sobie pomyślałem, że zmieniacie wyznanie czy resort, czy nie wiem co. Bo wiecie, księża to już zwykle dzwonią tylko do nas. Nawet sporo ich dzwoni, po kilku dziennie. Ale nie gniewajcie się na mnie ja nic — tak sobie wspomniałem...

— Ano rzeczywiście, dzwonił do mnie w południe ksiądz — mruknął Borowicz, udając, że nie przywiązuje do tej sprawy specjalnej wagi, choć w środku gotował się ze złości na owego bałwana w sutannie, na Wandę i na wszystkie kłopoty, bezsensowne kłopoty, jakie może mieć z tą nikomu niepotrzebną sprawą. I jeszcze musiał, osioł, dzwonić akurat do Pułkownika, który był pies na księży i zajmował się przeważnie wymierzaniem im kar czy podwyższonych podatków. Na szczęście Pułkownik w tej chwili nie wydawał się zazdrosny o wkroczenie na jego teren,

poza tym był mało gadatliwy, a Borowicza rzeczywiście lubił, znali się dobrze z okupacji i z powstania. Mimo wszystko pechowy dzień trwał nadal — zaczął go niezłomny i nieproszony Grochowski, kończył ów wyskakujący jak diablak z pudełka ksiądz. Ale w tej chwili Borowicz odzyskał wreszcie zagubiony po trochu kontenans. Pomyślał nawet, że nie warto było kłopotać się zbytnio wizytą Grochowskiego i próbować komuś nie pytającemu wyjaśniać tę sprawę. Strach miewa wielkie oczy, a kto mu zbyt łatwo ulega, może samochcąc ściągnąć na siebie właśnie to, czego w sposób nadmiernie przewidujący chciałby uniknąć. Lepiej więc nic nie robić — instynkt znalazł nareszcie wyjście. Borowicz poczuł ulgę, a zarazem żał za utraconym popołudniem z Władką i skrupuły, że zaniepokoił ją swoim zachowaniem. Dziś się już nie da, ale zaraz jutro trzeba będzie rzecz naprawić.

Wszystko to myślał, a raczej nagle już wiedział, stojąc jeszcze chwilę i gawędząc o niczym z Pułkownikiem; jednocześnie czuł na sobie różne spojrzenia przechodzących posłów: spojrzenia bystre, zainteresowane, ironiczne lub gniewne — tylko życzliwych brakło. Ale Borowicz wiedział już, że jest uspokojony i podbudowany wewnętrznie: tak było zawsze, gdy sprawy się konkretyzowały. Telefon księżuła do Pułkownika to już konkret, wprowadzie nieco kłopotliwy, ale z konkretem można walczyć, można samemu coś przedsięwziąć, nie zaś oczekiwać na niewiadomy cios. Poza tym osoba Pułkownika była wygodna, można jej użyć dla zagaszenia dalszego ciągu tej niepotrzebnej sprawy. Borowicz miał już plan, toteż jak zwykle spokojny i pewny siebie ruszył obok Pułkownika w stronę kularów, gdy długi, kilkakrotnie powtarzany dzwonek wezwał posłów na obrady.

V

Słońce, jaskrawe, młode jeszcze słońce wczesnej wiosny, niebo bez chmurki, zimne, jasno błękitne, wiatr porywisty, szalejący jakoś bez określonego kierunku, szarpiący tu i tam czerwonymi i biało-czerwonymi sztandarami, wszędzie różnokolorowe szarfy, krzyczące napisy, zachrypnięta ale ochocza muzyka z głośników, czasem potężny, megafonowy głos, obwieszczający, kto to właśnie defiluje przed trybuną lub dający jakieś porządkowe instrukcje, co chwila zrywające się niby zapalczyste, ale szybko gasnące w porykach wiatru oklaski i wreszcie tłum: ten zorganizowany, często młodzieńczy, przepływający przed trybuną szeregami mniej lub bardziej wyrównanymi i ten okalający ulice tłum widzów, nie skory do entuzjazmu, niezbyt na pozór rozgarnięty ale nieprzenikniony; intrygujący ukrytą w nim możliwością nieobliczalnych reakcji tłum warszawski. Na wielopiętrowych szkieletach, budującej się Sciany Wschodniej umieszczono kolorowe portrety brodatych filozofów Rewolucji, nad nimi widnieją wielkie napisy: „Stal”, „Siarka”, „Węgiel”, „Ropa”, „Gaz”. A gdzie „Kiełbasa”, „Masło”, „Szynka”, „Befsztyk”, „Mleko” — miał zapytać niepoprawny Grochowski, który odczytał w tych napisach spóźniony, a więc nadgorliwy i ślepy kult industrializacji. — I w ogóle czy widzieliście kiedy, żeby rewolucja dawała dobrobyt — szczył. — Rewolucja ma burzyć, dobrobyt to rzecz mieszczańska. Ha, ha.

Grochowskiego zresztą oczywiście tu nie było, w tym Majowym Świącie oficjalnie nie uczestniczył, może tylko stał sobie gdzieś wmieszany w tłum i patrzył zawistnie ironicznym okiem. Ironia nie jest pokarmem zwycięskiej Rewolucji, tu ironii nie potrzeba, bo właśnie oto tryumfująca Rewolucja nie burzy już,

lecz buduje — uczy się budować. Ktoś powie, że idzie jej to jeszcze nie sporo, ale przecież szybko zjednoczyła ów niepoważny kiedyś kraj, dała pracę milionom, dźwignęła do góry to tak bezsensownie przed laty zburzone miasto które porwało się do walki samo przeciw wszystkim naraz. Nie, towarzyszu Grochowski, nie ma dla was miejsca na trybunach, a wasz towar — ironię — rozpowszechniać możecie tylko w anonimowym tłumie. Tłum lubi być ironiczny, bo za nic nie odpowiada i o niczym nie decyduje. Tłum tylko konsumuje, o przygotowaniu potraw nic nie wie. Taka jego kondycja — choć niby jest tu gospodarzem, ale jeszcze do tej roli nie dorósł. Rewolucja to dyktatura — dla dobra ludu. Tylko że lud to nie tłum — zwłaszcza nie tłum warszawski.

Na trybunie stali obok siebie Szefer, Prezes, Przewodniczący, Admirał, Ludwik, Generał i inni, w drugim rządzie, niezbyt daleko od Szefa stał Borowicz. Szefer był zadowolony, miał swój moment rekompensaty, entuzjazmował się defilującą przed nim robotniczą Warszawą; Borowicza to nie cieszyło, za dużo wiedział o tej Warszawie, w dwóch trzecich chłopskiej, leniwej, źle pracującej: to tragedia tego narodu, że źle pracuje, a w dodatku zawsze ma po temu jakieś na pozór ideowe wytłumaczenia. Na Zachodzie pisano wciąż o komunistycznej niewoli i wyzysku, a w istocie tutaj bierze się pieniądze, może i małe, ale za każdą byle jaką pracę czy za udawanie pracy, tam zaś trzeba naprawdę wypruć flaki i zalać się potem. Tylko, że między dwoma światami niemożliwa jest prawdziwa wymiana informacji i stąd ci tutaj myślą, że wybawi ich Zachód, a tamci w Paryżu, że wybawi ich Wschód. To wszystko bez sensu, bo zbawia tylko praca, ale nikt nie ma na to dowodu z góry — najwyżej czasem tacy czy inni emigranci potrafią uchwycić obiektywną, pośrednią miarę rzeczy — pośrednią między dwoma światami. Matka Borowicza spotkała kiedyś w pociągu parę starych górali, która po wieloletniej emigracji, upracowana do ostatka przy wyrębie jakichś francuskich lasów koło Lyonu, pozostawiwszy w Paryżu już sfrancuziałe dzieci, wracała do Polski, do rodzinnej wsi, „umrzeć u Szefa”. Ci znali prawdziwą miarę rzeczy, znali, bo zapłacili za tę wiedzę całym uznojonym życiem.

Ci dzisiejsi za to, ci warszawscy, żadnej miary nie znali. Borowicz napisał Szeferowi majową mowę, gdzie według zamówienia dużo było o socjalistycznych bohaterach pracy. Ale wiedział dobrze, że to wszystko nieprawda: ci tutaj, gdyby zostali na wsi, w gospodarstwach swoich ojców i dziadów, harowali by upokarzająco, do upadłego, od bladego świtu do ciemnej nocy. Tu zaś w Warszawie, „na państwowym”, pracują jak z łaski i mają wszystko za złe. Dostali rewolucję za darmo, w ogóle jej nie

przeżyli — w Polsce rewolucja zrobiła się od góry, kto miał okazję i chęć wskoczyć w nią choćby w ostatniej chwili przed wejściem Rosjan, choćby jeszcze zaraz po ich wejściu, ten robił karierę, ten stał teraz na trybunie, na trybunach całej Polski, wszędzie gdzie dziś maszerują pochody. Ale ci tutaj nic nie chcieli i nie chcą — choć naokoło nich w ich oczach wyrosło miasto, wielkie i nowe. Lecz nie uważają go ani za piękne, ani za własne; w rozmowach mówią, że to jacyś „oni” zbudowali.

Borowicz nie lubił Majowego Święta, takiego, jakim obmyślił je i wyreżyserował uwielbiający obchody Szefer, nie dostrzegający w swej prostocie rozdźwięku między formą, a treścią. Szefer nie widział, że w istocie chwalą się tutaj sami ci, którzy powinni być chwaleni, a lud czy raczej tłum przygląda im się krytycznie, ograniczając się do rzucenia nikłej jałmużny zorganizowanych oklasków. Inaczej było na zamkniętych zebraniach partyjnych, gdzie działał rzeczywisty mózg klasy robotniczej, aktywny świadomy, wyszkolony, myślący metodycznie, wdrożony do patrzenia historycznego i kolektywnego. Ale tu, na ulicy? Wbrew starym przesądom, ulica wcale nie jest demokratyczna, ulica to psychoza i samozwańcze sobiepaństwo. Dlaczego ich, komunistów tu nie chwalono? Że niby ich grzech pierworodny — Rosja. Ale przecież to oni właśnie osłonili ten kraj przed Stalinowską przemocą i nadali mu jego własną socjalistyczną ale i polską drogę, oni zwrócili mu ojczyznę. Nie ma ojczyzny poza socjalizmem — to baronowie, bogacze, kapitaliści nie znają pojęcia ojczyzny. Tylko, że tu, pod owym niepotrzebnym, ugarinowanym kolumnami cielskiem Pałacu Kultury nikt z ulicy tego nie pojmie. Władza nimi bezrozumna psychoza: Warszawa zawsze żyła psychozami, stąd różne jej skrajności przeplatające się na przemiany — raz obłąkane, niespotykane w świecie powszechne bohaterstwo, drugi raz brak godności, tchórzostwo, obojętność. I tylko zawsze owa ironia bez względu czy jest do niej tytuł, czy też wcale a wcale go nie ma!

Przed trybuną szły teraz dzieci, obrzuciły Szefera kwiatami, ten pokazywał w uśmiechu wszystkie, po trochu sztuczne zęby, odrzucał im kwiaty, klaskał. Tak — może dopiero te dzieci będą inne, trzeba czekać. Idea rewolucji jest dzisiaj jeszcze obca masie dorosłych, dzieci za to skojarzą ją na całe życie ze wspomnieniami szczęśliwego dzieciństwa. Bo w końcu są szczęśliwe: czyż widział ktoś w ledwo odbudowanej Warszawie obdarte dziecko, a ileż takich dzieci we wspomniałym Paryżu pana Guillemot i jego arcy-mądrych teorii ekonomicznych?!

Borowicz za dużo myślał, a właściwie za dużo miał w sobie myśli: wciąż i ciągle na nowo frapował go ów dziwny proces,

który się w nim stale odbywał, że oto niby nie myślał, a jednak myśli były w nim, płynęły nieustannie, poza zasięgiem woli, poza czasem i wszelkimi uchwytnymi wymiarami psychicznymi. Szczęście, że to jest własne, prywatne, że nikt o tym nie wie. Choć czasem nie miał co do tego pewności, teraz też z prawej strony szedł doń niepokojący fluid. Stał tam towarzysz Seweryn, zawsze umieszczano ich niedaleko siebie, taka była wola Szefa, który nie znosił demonstrowania na zewnątrz antagonizmów wśród towarzyszy. Seweryn wiedział, że on myśli, wiedział też zapewne, co on myśli, choć miał to oczywiście przełożone na swój język, na swój sposób myślenia: wszak gdyby wiedział absolutnie wszystko i absolutnie to samo, nie mógłby być innego zdania; chcąc znać czyjeś myśli ze stuprocentową dokładnością trzeba samemu myśleć to samo, a wtedy nie można by do tego żywić niechęci. A niechęć promieniowała z Seweryna nawet tu, na trybunie — to znowu była jego słaba strona, że nie umiał nad tym promieniowaniem zapanować ani go ukryć: Borowicz obnażał się tym, że myślał, Seweryn tym, że wyczuwał ten proces i nie potrafił ukryć doń wstrętu. Byli związani obcością, związani tak, jak nigdy nie powinni być związani komuniści, rewolucjoniści, członkowie kierownictwa.

— Czy to prawda, że wy komuniści, wciąż między sobą walczyacie? — zapytał go onegdaj ksiądz Krauze. Borowicz wykręcił się żartobliwie, ale pytanie nie było błahe. Inteligentny w ogóle był ten ksiądz i zupełnie miły, dosyć jeszcze młody, w cywilu, z białym kołnierzem wykładanym „à la Słowacki”, sprężysty, giętki, dowcipny, wcale się ze swoją religią nie narzucający, przeciwnie — pokpiwający z niej nieszkodliwie. — Ale spryciarza na mnie nastali — myślał Borowicz; nie wierzył mu nic a nic, odczuł jednak ulgę, że jest właśnie taki, a nie inny. Poza tym od razu dogadali się do jakichś wspomnień z Powstania: byli wówczas oczywiście całkiem gdzie indziej, zgoła przeciwnie, Borowicz wśród wyklętych, nielicznych czerwonych, tamten jako kapelan w Armii Krajowej. Różnica nie bagatelna, ale jak się okazało, egzystowali niedaleko, o miedzę, wśród tych samych obrośniętych winem i skąpanych falą zieleni, owianych wiślanym wiatrem, żyjących po dziś dzień, choć haniebnie kulami podziurawionych willowych kamieniczek Żoliborza. Więc prawie koledzy — bagatela.

Teraz maszerowali znowu górnicy w czarnych mundurach i ogromnych kitach na czapkach. Szef wychodził z siebie, stał im uśmiechy jak zakochana kobieta, klaskał co sił w rękach. Biedak — żebyż wiedział, co ci Ślązacy myślą sobie o Polsce Ludowej — wszak oni o każdej Polsce myśleli nader dwuznacznie, mówią

że są Ślązakami i tyle: za Niemca było tak, za Polski tak, a za Ruska... Dla nich święty jest tylko własny styl i własny obyczaj, własna śląska ziemia i własny ród, to urodzeni, z krwi i kości autonomiści, nawet i towarzysz Szytygar, który im sekretarzuje czyli rządzi nimi w imieniu Partii też jest taki: to przecież prawdziwy Ślązak, on nie zapomniał, że komuniści polscy byli kiedyś, przed wojną, za niemieckością Śląska. Ślązacy zawsze grali na dwoje, kto da więcej, a Szytygar to internacjonalista, wiele lat był na Zachodzie, pracował po kopalniach, agitował. Internacjonalista, prawdziwy komunista i — jak każdy Ślązak — nieugięty antysemita (antysemityzm to rzecz ludowa — w tym kraju tylko szlachta i królowie popierali Żydów). A Szeff faworyzuje górników, wie że musi — choć im i tak wszystkiego jest mało. Za Niemca...

Znów uczuł dotkliwą świadomość, że Seweryn wie wszystko, co on myśli. Dobrze jeszcze, że nie wie nic o ksiądzu. A spotkanie z księdzem odbyło się gładko, bez kłopotu: umówili się na ulicy, Borowicz przyjechał autem, wziął nie służbowe, zwykłą prywatną pożyczoną warszawę. Od razu go dobrze usposobiło, że ksiądz jest w cywilu, pojechali za Wisłę, pogadali sobie w lesie: tamten zdawał się dokładnie rozumieć wszelkie trudności i opory Borowicza. Rozumiał bez słów, tak jak i Seweryn. A może w ogóle wszyscy o nim wszystko wiedzą? Gdyby naprawdę wszystko, to jeszcze nie byłoby najgorzej, podejrzewał jednak, że właśnie wiedzą tylko część, prawdę pozorną, to co dwuznaczne, budzące podejrzenia, zewnętrznie wątpliwe...

Ale ksiądz nie okazywał mu najmniejszej nieufności, przeciwnie — rozmawiał jakby się dawno znali. Nie od razu wsiadł na uprzykrzony temat owej jakiejś Anny, która była córką Wandy. Dopiero po dłuższej rozmowie o tym i owym, o różnicach światopoglądowych, Powstaniu, sytuacji kościoła w Polsce, zagadał nagle, że trzeba by dopomóc tej biednej dziewczynie, w sprawie której właśnie się oto spotkali. — Biednej dziewczynie, biednej dziewczynie — sarknął żartobliwie Borowicz. — Ja sam jestem biedny, mam mnóstwo pracy, za dużo stanowczo jak na jednego człowieka; wie ksiądz na pewno, że komuniści w tym kraju jednak pracują. A ksiądz mi tu jeszcze jakieś nowe obowiązki ściąga... — Ale komuniści muszą być humanistyczni — replikował gładko tamten — nie opuszczają chyba cierpiących w potrzebie. Borowicz trochę się poirytował. — Czemuż to ona tak cierpi w tej waszej katolickiej szkole i co ja właściwie mam dla niej zrobić? — pytał niezbyt grzecznie. Ale ksiądz brał wszystko za dobrą monetę. — Ano właśnie — podjął z ożywieniem. — Pan Redaktor (taki to tytuł wymyślił sobie dla Borowicza —

wcale sprytnie, bo nikogo to nie mogło urazić) — może w tej sprawie wszystko. A wygląda ona tak. I zaczął opowiadać.

Kobieta, której Wanda pozostawiła dziecko, umarła już przed laty, wyjawiając księdzu pochodzenie dziewczynki; tymczasem mała była już u sióstr i chodziła do jednej z ostatnich w Polsce katolickich szkół przyklasztornych; szkoła wraz z internatem mieściła się kilkanaście kilometrów od Warszawy. Ksiądz Krauze był tam kapłanem i spowiednikiem — spowiadał siostry i ich podopieczne. — Ładny kwiat — przstraszył się Borowicz — on wie wszystko, co one tam myślą; cóż za makabra — a co by to było, żeby coś takiego wprowadzić przymusowo w Partii. Może fatalnie, a może wcale nieźle — wszakże od dawna już krążył dowcip, że samokrytyka to komunistyczna spowiedź; ale Szeł skasował obowiązek samokrytyki w Kierownictwie — zrobił to w myśl swojej nie pisanej i nie formułowanej zasady, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu, lecz mówić językiem terminów umownych, syntetycznych, skrótowych — to była właśnie ta Szefowska higiena powściągliwości, która sprawiała, że choć na pozór prostak, miał w sobie jednak coś zagadkowego, nieprzeniknionego, jakąś ukrytą rezerwę psychiczną. Borowicz myślał to wszystko bez myślenia, niejako pod podszewką, bo oficjalnym nurtem czy kanałem myślowym uważnie przyjmował do świadomości dalsze opowiadanie księdza Krauze. Stali pod drzewami, gdzieś za Falenicą parę kroków od auta, było chłodno, rzeźwo. Ksiądz nastawiał na przedwieczorny powiew swoją młodzieńczą, lecz bezbarwną twarz (musiał być jednak w gruncie rzeczy w wieku Borowicza) i mówił półgłosem, ale wyraźnie i dobitnie, jakby zdawał jakiś raport.

— Wszczętałem poszukiwania matki przez międzynarodowy Czerwony Krzyż — okazało się to bardzo trudne, ta kobieta nie znała nazwiska, czy też zapomniała — miała tylko pewne znaki, list, jakiś adres w Niemczech, już całkiem nieaktualny. Rzecz trwała parę lat — był to jeszcze okres Stalinowski — małej nic na razie nie mówiłem, nie wiadomo było, co z tego wyniknie. Ale coś tam już do niej doszło — wie Pan Redaktor, dzieci są czasem okrutne, zdarzają się różne przesady (tu spojrzął przełotnie na Borowicza) — mała dostała istnego urazu, kompleksu jak to nazywał Freud. Jednak dwa lata temu znalazłem wreszcie panią Wandę, korespondowaliśmy, chciała przyjechać, ale nie udało się — potem widziałem w Warszawie jej męża. No i teraz sprawa jest bardzo skomplikowana: Anna robi w tych dniach maturę, zna część prawdy tylko, wyjechać właściwie nie chce, nie rozumie wielu spraw. Więc...

— Więc ja z kolei nie rozumiem o co chodzi — Borowicz

nadal nie był zbyt grzeczny, bo i opowiadanie trwało jak na jego cierpliwość przydługoo. — Mam ją namówić do wyjazdu i wysłać! Ja — tak?!

Ksiądz żartobliwym gestem podniósł ręce do góry, że niby jest całkiem niewinny.

— Ależ panie redaktorze, nie o to chodzi! Pan jest po prostu jedynym człowiekiem, który zna matkę — Anna panu uwierzy, posłucha, mówię panu, że ona to ciężko przeżywa. Ale zresztą chodzi o rzecz inną, prostą: żeby matka mogła przyjechać — ta historia musi się jakoś uprościć, przybycie matki wyjaśniłoby wszystko. A tymczasem już dwa razy odmówiono jej wizy. Dlaczego panie redaktorze, dlaczego? Cóż z tego, że była obywatelką Izraela, czemu oni nie mają tu przyjeżdżać, ci nieszczęśni ludzie. Nie znam się na polityce, ale...

Zamilkł i odwrócił twarz. Niebo przygasało już po trochu, bardzo daleko na jego tle rysowało się precyzyjnie coś, jakby mały, ostro zatemperowany ołówek — to był Pałac Kultury. Borowicz też patrzył w tamtą stronę, milczenie przedłużało się, przerwał je „pan redaktor”.

— Państwo Izrael — mruknął — wiesz się za często u imperialistycznej kieszeni, żyje sztucznie, politykę też prowadzi fałszywą. My komuniści, wie ksiądz, kierujemy się polityką, nie mętnymi sentymentami. Mętne sentymenty za wiele już wywołały na świecie nieszczęścia — mętne i nieodpowiedzialne. A my musimy być odpowiedzialni — i dlatego...

— Ale czyż nie może być słusznego wyjątku? — nalegał ksiądz.

Borowicz milczał: w gruncie rzeczy nie wiedział dobrze, jak ta sprawa teraz stoi, a wszystko, co dotyczyło państwa Izrael drażniło go niepomierne. Spóźniony nacjonalizm po latach upokarzającej diaspory i niesolidarności, nacjonalizm zafundowany przez Amerykanów i trzymający się na ich Bombie!

Ksiądz przyjął przedłużające się milczenie za korzystne dla swej sprawy.

— Panie redaktorze — przemówił nieco uroczyście. — Pan jest komunistą, pan ma swoje zasady — mogę ich nie podzielać, ale je szanować. Tylko, że w tej sprawie chodzi o ludzką tragedię, tragedię jednostkową, którą pan powinien... (zawahał się, Borowicz zrozumiał, że nie chce go urazić aluzją do żydostwa), ...pan może zrozumieć. Są ludzie nieszczęśliwi, ujęci w tryby życia, świata, losu... Trzeba im pomóc, każdy powinien, pan, ja... Przecież komunizm wyrósł ze współczucia dla biednych, a ta dziewczyna jest biedna — nie materialnie — gorzej jeszcze. Tu chodzi o los jej duszy, jeśli to pana razi to powiem inaczej —

jej równowagi umysłowej: to bardzo, bardzo trudna sytuacja, od przyjazdu matki mnóstwo może zależeć. Proszę na wszystko, niechże pan...

Był naprawdę wzruszony, choć może i udawał — Borowicz nie znał się na księżach. Wiedział jedno: że mierzi go taka prywatna, indywidualna filantropia, która w dodatku zepsuć mu może sytuację polityczną. Ale niespodziewanie dla samego siebie — nie odmówił. Powiedział, że rozpatrzy się w tej sprawie wizy dla Wandy. Tak nawet się wyraził — Wandy... Teraz nie wiedział, po co i dlaczego to zrobił — ten ksiądz go widać zaszantażował, że niby trzeba być dobrym i oto on chciał się przed nim popisać łaskawością, a więc nieświadomie przyjął jego punkt widzenia — to była słabość: każdy postępek musi być zważony i zmierzony miarą bezwzględną, czyli swoją przydatnością lub też szkodliwością polityczną; polityczną, to po komunistycznemu znaczy odnoszącą się do dobra ogółu, które jest nieskończenie ważniejsze od dobra jednostek czy jednostki. W dodatku ta jednostkowa sprawa nie była przekonywająca: Wanda wyobcowała się ze wszystkiego, z ruchu, z Polski, z życia, nieświadomie uległa absurdalnemu koszmarowi hitleryzmu, nie wytrzymała napięcia, poszukała łudzących azylów, jak Izrael czy Paryż. To są właśnie miejsca najgłupsze i najniebezpieczniejsze, bo dające pozory bezpieczeństwa, gdy w istocie leżą nad samą przepaścią: Izrael to społeczeństwo sztuczne, cała ta historia może przestać istnieć w parę godzin, a międzynarodowy Paryż artystów, wykolejńców ze wschodniej Europy, dziwaków, aferzystów, niebieskich ptaków to po prostu anachronizm, to dobre dla sentymentalnego filmu, nie dla historii: w historii Paryż już się nie liczy, mimo bufonady de Gaulle'a. Tak, Wanda to typowy rozbitek, ale wina w tym jej słabości i hysterii — niejeden wszakże z towarzyszy utracił rodzinę i bliskich w komorze gazowej, przemęczył się latami w hitlerowskim obozie, a potem jednak wrócił i wziął się do pracy — w służbie socjalizmu, w służbie masy, która przechodzi do porządku nad jednostkowymi sentymentami. Czyż on, Borowicz, ma się dać wciągnąć słabeuszom, którzy wzięli sobie za pośrednika tego księdza, robiącego ze słabości ideologię? I ta dziewczyna — też biedna ofiara hysterii dorosłych, fałszywej, sentymentalnej hysterii odchodzącego świata. I pomyśleć, że w tym wszystkim tkwiła taka młodzięczo, wiernie oddana kiedyś sprawie towarzyszka Wanda! Jakież wizje walki o socjalizm, wizje budowy nowego świata snuli niegdyś w tym absurdalnym przedwojennym S..., tkwiąc w ówczesnym groteskowo małym, mieszczańskim polskim życiu, niczym przybysze z innej planety! A teraz oto Wanda poszukała schronienia w takim samym, anachro-

nicznym życiu paryskim, schronienia przed socjalizmem, który dziś w Polsce przyoblekał się w ciało. Schronienia wśród takich bezsensownych ludzi jak Edzio czy Guillemot — nie rozumiała, że tutaj, na Wschodzie, dane było dożyć przełomu, jaki się zdarza raz na tysiąclecia, że choć wśród niezrozumienia, nienawiści i zamętu, buduje się jednak to, co kiedyś w S... zamarzyli — oni, nieważni, anonimowi ludzie marginesu. Pewno — walka toczy się dalej, zwycięstwo wygląda inaczej, niż w utopistycznej sielance, dyktatura to nie romans: słabsi, jak Grochowski czy Zalewski odpadli, nie starczy im wyobraźni, aby przejść do porządku nad zgrzytami poszczególnych etapów, nie starczy odwagi, aby przeciwstawić się głupocie i małodusznej krótkowzroczności tłumu czy terrorowi snobizmu komunistycznej kawiarni — bo i taka powstała, nie bez walnego w niej udziału żydowskiej hysterii. Histeria niedobitych Żydów, to przecież tragiczne, ale niemniej idiotyczne, jak brzęczenie muchy oszalałej przed zdechnięciem. Czy Wanda byłaby tu, w tej kawiarni? Możliwe — a może jednak porwałby ją patos tworzenia wśród samych wrogów, wśród wrogów wewnątrz i z zewnątrz, może stałaby się znów człowiekiem, pełnym twórczego ognia, jak wtedy, gdy miała lat dwa-dzieścia? Ciekawe — widzieć ją w dzisiejszej Warszawie, o której oczywiście nie miała pojęcia. Ciekawe, ale i niebezpieczne. Trzeba ostatecznie zbadać tę sprawę jej wizy: pośle Kasperczyka, żeby dowiedział się od siebie, to niczym nie grozi. Tak, Kasperczyk to idealny człowiek — a może jest gdzieś w pobliżu?

Defilada zbliżała się do końca, można to było poznać choćby po zachowaniu towarzyszy z osłony. Przed trybuną defilował już teraz luźny tłum, ciekawy ujrzeć z bliska Kierownictwo. Prezes zmęczony długim stanieniem kwapił się do tyłu, ale nieznużony Szefer wciąż ponawiał frenetyczne gesty i uśmiechy. Ten ma zdrowie! Borowicz ze zdumieniem dostrzegł nagle, że sam całą defiladę był nieobecny, nieobecny myślą, która snuła się tylko wokół spotkania z owym księdzem, wokół Wandy, wokół cudzych, mało ważnych punktów widzenia. To pewno dlatego, że nie lubił defilad, raziły go fałszem i skostnieniem rewolucyjnego ducha w państwową galówkę. To zresztą raziło i towarzysza Grochowskiego, ale z całkiem innych przyczyn. Jakżeż daleko się rozeszli od owej chwili przed laty, gdy stał z Grochowskim na Marszałkowskiej, obserwując ciężarówkę-platformy z młodymi Żydami z getta, wozonymi za miasto do pracy. Jechali stłoczeni na stojąco i wodzili dziwnym, tragicznym, ale jakoś dumnym wzrokiem po chodnikach dawno nie widzianej aryjskiej strony. To już było po wywiezieniu i wytruciu w Treblince kilkuset tysięcy ludzi: została sama prawie młodzież, nie mająca teraz wątpliwości, co do swojego

losu — oni właśnie niezadługo zrobić mieli słynne wielkanocne powstanie w getcie: dużo wiedział już wówczas o tym Grochowski, który z ogromną odwagą zajmował się dostarczaniem broni, przechodząc nieraz w nocy piwnicami na tamtą stronę. Borowiczowi z tej uwożącej Żydów platformy utkwiła wówczas w oczach stojąca, jak przodownica chóru, piękna dziewczyna: stała hardo, wyprostowana, pokazując dumnie opaskę z niebieską gwiazdą na ramieniu. Przypomniała mu Wandę, o której wtedy myślał, że już nie żyje.

Więc Kasperczyk będzie dobry: to był przyjaciel Borowicza, wiele mu zawdzięczał, zależało mu na Borowiczu, Borowicz mu imponował. Przyjaźnie, mające również podkład nie bezinteresowny są najtrwalsze. Młodziutki wiejski chłopak spod Lublina, wstąpił przed laty natychmiast do tworzącego się czerwonego wojska i awansował z zawrotną szybkością: w Berlinie był jako porucznik, potem niezadługo w randze majora przeszedł do Bezpieczeństwa, gdzie doczekał się i podpułkownika. Służył podobno gorliwie aż do okrucieństwa, toteż w październikowej czystce usunięto go. Borowicz wziął go wtedy do siebie, do działu wyjazdów zagranicznych swojego pionu. Kasperczyk był mu za psio wdzięczny, w dodatku jadali czasem obiady w Bristolu, co tamtego bardzo ze względu na opinię urzędowało. Borowicz lubił chłopaka za świeżość, z jaką cieszył się życiem: dla niego działo się to wszystko naprawdę po raz pierwszy, miał ciągle w oczach i błotnistą gnojówkę rodzinnej wsi podczas okupacji, i pierwsze tajemnicze kontakty leśne, i napoleońską karierę w wojsku, i służbę wewnętrzną, którą nadal wysoko sobie cenił, i wreszcie obecne miłe zajęcie, związane nierzadko z wyjazdami zagranicznymi. Młody, wesoły, kobieciarz — chłonał uroki świata bez zbędnych namysłów, a Borowiczowi był ślepo wdzięczny i wierny. Tak — on wybada rzecz u Dyrektora bez wzbudzania podejrzeń. Bo z Dyrektorem to też sprawa nie łatwa i zawiła...

Nagle obok czy nad Borowiczem coś zaskrzypiało. Zaskrzypiało — choć był to głos ludzki, Borowicz od razu wiedział czyj — towarzysza Seweryna. Seweryn rzadko zwracał się doń bezpośrednio, a teraz podszedł i mówił z bliska; w dodatku każde jego skrzypiące słowo miało podtekst przykry, w ogóle niemal po trochu katastrofalny. — Towarzyszu Borowicz — skrzypiał głos — polecono mi Was zawiadomić, że dziś po akademii mamy w Komitecie krótką odprawę z Szefem. Zreferuje sprawę Gellera — są nowe okoliczności.

Co słowo to obraźliwa intencja a za nią widmo porażki. Po pierwsze nigdy dotąd Seweryn nie zwoływał w imieniu Szefa odprawy, mogło to oznaczać tylko jego, Seweryna, wywyższenie.

Po drugie sprawa Gellera była hakiem, na którym Seweryn chciał powiesić Borowicza. A po trzecie Geller był partyjnym dziennikarzem i co najwyżej on, Borowicz, mógłby tu referować nowe okoliczności. Ale oczywiście dyskusja w tej chwili jest bezprzedmiotowa — Seweryn najwyraźniej zalicza teraz punkty na swoją korzyść. Borowicz przelotnie rzucił okiem na jego drewnianą twarz i chłodno potwierdził przyjęcie zawiadomienia. Tamten znikł z pola widzenia, za to na trybunie zrobił się ruch. Borowicz zanotował mimochodem pozóółkłą ze zmęczenia twarz Szefa, potem rozejrzał się po zszarzałym nagle niebie, po którym na zakończenie defilady pruły odrzutowce. Ale niebo w rzeczywistości wcale nie zszarzało, dalej było świeże, chłodno błękitne, jak widnokrąg w teatrze: to tylko Borowicz ścierpł wewnętrznie i obraz Placu Defilad wydał mu się zmieniony, nie tylko że stracił barwy ale i rozprzęgł się jakoś, rozchodzący się powoli tłum stał się symbolem chaosu i dezorganizacji. Nieład wewnętrzny — ten wpełzał zawsze w myśli i nastroje Borowicza, gdy tylko groziła nowa walka z absurdem wewnątrz Partii. Nigdy nie łamał się w obliczu wroga — miał na to wielu świadków, ale z irracjonalizmem w samym Ruchu pogodzić się wewnętrznie nie potrafił. Nagle jakby usłyszał przedwczorajsze słowa księdza: — Czy to prawda, że wy, komuniści wciąż ze sobą walczyacie?! Tak, to była niestety bezsensowna choć może i w końcu nieunikniona prawda.

VI

Borowicz nie znał dokładnie politycznej mapy Warszawy, to znaczy wszystkich grup, gruppek i zbliżeń, wszystkich bardziej lub mniej jawnych powiązań i przyciągań, krzyżujących się w Kierownictwie i Komitecie. To było w sumie najwyżej dwustu, trzystu ludzi, którzy się liczyli, ale od nich właśnie zależały losy Polski i kierunek rewolucji — tak wyglądał stan faktyczny i żadna siła w tej chwili, w obecnym układzie elementów, nie mogłaby go zmienić. Borowicz głęboko szanował wszelkie konieczności, wynikające z konkretnych sytuacji — w ten sposób formowały się granice działania dla ludzi silnych i przytomnych, a dla innych w polityce miejsca nie ma. Szanował w ogóle samą politykę, uważał, że mimo swej brutalności i perfidii jest ona najskuteczniejszym instrumentem poznania prawdy utajonej w komplikacjach rzeczy, dyscypliną obiektywną, swego rodzaju barometrem, absolutnym sprawdzianem tego, co w świecie ważne a co nie: obnaża błędy ludzkiej myśli szybciej i precyzyjniej niż jakakolwiek nauka czy filozofia, idzie do celu prosto, nieomylnie przebijając się najkrótszą drogą przez odmęty komplikacji. Jeśli ktoś ponosi polityczną porażkę, to niechybny dowód, że popełnił błędy myślowe, że jego wewnętrzny selekcyjny filtr działa nieprawidłowo, nie pozwalając mu oddzielić rzeczy istotnych od nieistotnych, odróżnić trudności etapowych, w gruncie rzeczy pozornych od wachnięć linii zasadniczej; te ostatnie zdarzały się wprawdzie rzadko, lecz poprzedzane były i sygnalizowane przez szereg objawów wstępnych, które należało czujnie obserwować. Tak, to była duża praca dla myśli, dla myśli koniecznie chłodnej i trzeźwej: bez tego chłodu i spokoju nie da się precyzyjnie oceniać wymiaru spraw ani dokonywać ich wzajemnego porównania i hierarchizowania.

To był właśnie wypadek Grochowskiego; Grochowski utracił spokój i precyzję oceny tak dalece, że nie potrafił nawet wycofać się w porę samemu, co ocaliłoby może nieco z jego partyjnego i osobistego autorytetu (choć nie na pewno, bo Ludwik nie znosił takich wycofań w aureoli szlachetności i zawsze potrafił coś zrobić, aby postać odchodzącego obrzydzić raz na zawsze albo też odgrodzić ją od świata nieprzezroczystą taflą absolutnego, zabójczego milczenia i zapomnienia, które funkcjonowało błędnie a nieodwracalnie). W rezultacie Grochowski dał się po prostu wyrzucić, do ostatniej chwili nie wierząc, że przy jego zasługach dla Partii i wieloletniej przyjaźni z Szeferem będzie to możliwe: za długo czekał, wyczekał do samego końca, aż, widząc jego złe i naiwne rozeznanie sytuacji, porzucił go ostatni sojusznik, obawiający się, że zostanie przezeń pociągnięty na dno — i tak oto samotnie a bez rozgłosu wyleciał za burtę bezpowrotnie, on, od lat jeden z najbliższych współpracowników Szefera. Wypadek zastanawiający i pouczający: Borowicz rozumiał, że tak być musiało, błędy myślowe i brak wewnętrznej dyscypliny muszą się zemścić, to w polityce prawo niemal przyrodnicze.

Ale nie tylko błędy myślowe powodują porażkę — może ona również wynikać z nieobliczalnego przypadku, tak jak złamanie nogi na równej drodze lub kraksa samochodowa, która trafi się i najlepszemu kierowcy, jeśli na przykład, nie popełniając żadnego błędu, zderzy się on z samochodem, reagującym w sposób nieprzewidziany, bo szofer jego, o czym niesposób z góry wiedzieć, jest na przykład pijany. Oczywiście, przed przypadkiem nie ma obrony absolutnej, ale można się starać zmniejszyć jego pole działania, poruszając się i angażując w ten sposób, aby potencjalna płaszczyzna rażenia była jak najmniejsza. I dlatego właśnie Borowicz nie znał a raczej nie chciał znać dokładnej mapy politycznej Warszawy, owego splątania powiązań, grup, koterii i frakcji, o którym huczała rozplotkowana kawiarnia, o którym próbowali mu donosić jego pracownicy. Nie lubił tego i nie chciał się w to wgłębiać, uważając, że jest zbyt zawile, po prostu równanie z nadmierną ilością niewiadomych — sztyfowe próby jego rozwiązania nie mogą przynieść absolutnego rezultatu, a, z jednej strony odbierając energię, z drugiej rozszerzają nadmiernie pole personalnej aktywności rozwiązującego, zwiększając automatycznie teren dla działania szkodliwego przypadku, czyli właśnie owo pole rażenia. Nie chciał więc nic wiedzieć, choć mimowoli i z konieczności wiedział to i owo. Postępował jak pewna jego znajoma Żydówka podczas okupacji: będąc bardzo krótkowzroczna chodziła po Warszawie bez okularów, uważając, że jej wywołana w ten sposób przymusowa obojętność

na przechodzących Niemców czy potencjalnych szantażystów izoluje ją od tych ludzi, że jej brak wszelkiego zainteresowania automatycznie pociąga za sobą ich brak zainteresowania, a w każdym razie brak fluidu płynącego z jej strony nie stwarza aury, przyciągającej dla ich fluidu. W zasadzie było to niezłe pomyslane i udawało się przez długie miesiące; w końcu nastąpiła jednak wpadka: w ręce Gestapo wydał ją spotkany przypadkiem na ulicy granatowy policjant, który znał ją osobiście sprzed wojny, a którego mogła była wyminąć z daleka, gdyby właśnie miała okulary. Ale to już przypadek innego rzędu, na takie przypadki miał Borowicz przygotowany swój własny wariant obronny, w dodatku całkiem prosty.

Powiązania wzajemne w Komitecie i w Partii były bardzo złożone i nie rzadko zamaskowane, częstokroć ludzie, którzy prowadzili wspólną akcję na zewnątrz udawali pokłóconych lub mało się znających, tak jak oszuści pokerowi, czy brydżowi, którzy grają na spółkę choć nikt o tym nie wie. Źródłem powiązań szukać należało nieraz w dalekiej przeszłości, a któż może o sobie powiedzieć, że zna wszystkie szczegóły cudzej przeszłości — tego nie mógł o sobie powiedzieć nawet Doktor, który był chodzącą kroniką Partii i całe lata pracował w Informacji Wewnętrznej. Chodziło tu w dodatku o przeszłość nader różną: polityczno-partyjną sprzed wojny, umiejscowienie się w czasie wojny, zachowanie się w różnych okresach historii Partii, poznaczonej takimi tragediami jak rozbicie jej i wyniszczenie przed samą wojną przez Stalina czy też jak beriowskie czystki. Jedni wywodzili się właśnie jeszcze z konspiracyjnej Partii przedwojennej, inni przebywali długo na Zachodzie, a znowu inni dołączali podczas okupacji albo zgoła po wojnie, były też rodowody socjaldemokratyczne czy niedwuznacznie burżuazyjne. Osobną sprawę stanowił stosunek do Rosji i to w różnych fazach: byli tacy, którzy po rozwiązaniu przez Stalina przedwojennej Partii czy też po pakcie Ribbentrop-Mołotow załamali się, czego po dziś dzień w żaden sposób nie mogli zmazać, byli inni, którzy mimo wszystko zbiegli do Rosji, albo też znaleźli się tam wcześniej, nie rzadko jako wymienieni z rządem polskim więźniowie polityczni. Ich losy okazały się trudne i tajemnicze, obfitujące w paradoksalne skoki fortuny: kto uniknął szybkiego rozstrzelania czy zagłodzenia w obozie, kto przesiedział długie lata w leśnych łagrach na północy czy w płuczkach złota na Kółymie, pod Kołem Biegunowym, na Kamczatce, w Mongolii lub w pięknym Kazachstanie, ten nagle, pośród zawieruchy wojennej z dnia na dzień mógł znaleźć się w Moskwie jako generał czy kandydat na sekretarza polskiej Partii lub na przyszłego ministra. Stalin pod wpływem biegu wydarzeń

spozstrzegł się z czasem, że potrzeba mu jednak polskich komunistów do przyszłego formowania tego kraju, a znowu nie ufał ludziom nowym, którzy pod okupacją, niezależnie od Rosji, prowadzili czerwoną konspirację i partyzancką walkę (z niej wyrosła dzisiejsza niepokojąca Grupa Generalska); nie ufał, choć przecież powiązania z Rosją były stale kontynuowane, rozmaite i wielorakie, między innymi działała sławna organizacyjna Grupa Spadochronowa a także stali łącznicy i emisariusze jak Dyrektor, który mimo frontu przekraczał granicę wielokrotnie tam i z powrotem (trudna tu była do wyjaśnienia rola Szefa: choć krajowiec i od roku 42-go tkwiący nieprzerwanie w Warszawie, miał swoje powiązania na tamtą stronę — jakie? — któż to wie!) To więc byłaby tylko sprawa pochodzenia partyjnego, a z nim przecież krzyżowało się pochodzenie socjalne, klasowe, narodowe, a także czysto geograficzno-psychiczne, a także przecież — rasowe, i to ostatnie znów w sposób skomplikowany, bo byli i „honorowi Żydzi”, to znaczy aryjczycy o powiązaniach semickich, byli też semici nacjonalści, nie podejrzani o przynależność do mafii; w sumie powstawały problemy same przez się zawiłe, a jeszcze osobliwie ze sobą skrzyżowane i przeplecione siatką zmiennych etapów i nastrojów — zaś kwestia krewnych za granicą — tą czy tamtą — również przecież nie jest obojętna, przeciwnie: rzecz owa zgubiła już niejednego. Wszystko to w dodatku zdane było na dokumentację i interpretację, zawartą w tajnych memoriałach Informacji Wewnętrznej, do których swobodny dostęp mieli zawsze jedynie Szef i Ludwik⁸ i na temat których krążyło tylko mnóstwo plotek, będących znowu materiałem do nacisków, szantaży, presji, wywieranych nieraz na ślepo, którym jednak częstokroć ulegano, jak ulega się w pokerze tak zwanemu blefowaniu — naciskowi karty może słabszej ale nieznaniej. Jakże zorientować się w takim gąszczu, na którego zbadanie nie starczyłoby życia, jak stosować racjonalną metodę postępowania opartą na logicznych przesłankach? To było niemożliwe, chcąc wywierać wpływ zawsze macało się na oślep, narażając się na katastrofalnie destrukcyjne działanie takich czy innych, ale zawsze niemożliwych do przewidzenia przypadków. Jakież więc wyjście? Wyjście było jedno: uporządkować i maksymalnie uprościć siebie samego — gdy jest się prostym, wtedy ciosy przeciwników ześlizgują się po tej prostocie, jak po gładkim puklerzu — tylko złożoność i skomplikowanie, zwłaszcza demonstrowane na zewnątrz, dają przeciwnikom szanse znalezienia jakiegoś uchwytu, jakiegoś krytycznego miejsca, o które można się zaczepić, zyskując punkt wyjścia dla skutecznie destrukcyjnej akcji. I sprawa druga: z żelazną konsekwencją stosować trzeba pewien absolutnie konieczny wariant tak-

tyczny. Borowicz określał go sobie, jako unikanie, bez względu na wszelkie inne merytoryczne okoliczności, ustawiania się na przeciagu.

Co to znaczyło? Borowicz skonstruował dla własnego użytku to określenie, tym razem nie tkwiące w podświadomości lecz całkiem sprecyzowane i definitywne, skonstruował je pod wpływem skojarzenia z pewną sceną Chaplinowskiego filmu „Gorączka złota”, który widział w dzieciństwie. Scena to była nader zabawna: podczas morderczej zadyмки śnieżnej na Alasce, w opuszczonej chałupie chroni się trzech przypadkiem złączonych łągów-głodomorów. Zadyмка trwa, pobyt w chałupie się przeciąga, głód dokucza — między mimowolnymi towarzyszami podróży wybuchają „głodowe rozruchy”, przekształcające się w walkę na noże. Jeden z lokatorów postanawia zabić i zjeść Chaplina, który pod wpływem maligny jawi mu się wciąż w postaci ogromnego kurczaka. Ale Chaplin wykrył pewne, panujące w chacie prawo fizyczne: są tam mianowicie dwoje drzwi, z dwóch przeciwległych stron. Otóż, jeśli zmienny wicher na zewnątrz wieje akurat wzdłuż osi, przebiegającej prostopadle do owych drzwi i jeśli wewnątrz chaty ktoś znajduje się w jakimś momencie właśnie na linii owej osi, to wystarczy otworzyć jednocześnie oboje drzwi, aby potężny prąd powietrza czyli przeciąg wyrzucił nieszczęśnika z chałupy na zewnątrz, gdzie musi zamarznąć lub zadusić się na wietrze, aby go wyrzucił jak z procy czy katapulty. Zręczny choć niepozorny Chaplin sprytnie a nieznacznie pod różnymi pretekstami nakłania swych grubo od siebie silniejszych przeciwników, do znalezienia się na fatalnej linii, po czym szybko otwiera oboje przeciwległych drzwi i puf! — delikwenta nie ma w chałupie. Proste i skuteczne. Takie właśnie kawały robiono sobie z upodobaniem w politycznej Warszawie, wiedząc, że kogo raz przeciąg wyrzuci na zewnątrz, dla tego nie ma już żadnego powrotu. I przed takim to kawałem trzeba było się mieć zawsze na baczności, pilnie obserwując ową fatalną linię na przecięciu a raczej w punkcie nakładania się wiatrów, aby w żaden sposób nie pozwolić się na nią wepchnąć czy wmanewrować.

Przeciągi istniały różne: jednostkowe, grupowe a nawet wręcz społeczne, wyzyskujące jako napędową siłę wiatru zmobilizowane zręcznymi, ukrytymi posunięciami tak zwany podmuch opinii, zdolny obalić nawet słonia i wymieść na zewnątrz tygrysa, jeśli okoliczności będą sprzyjające a czyjaś wysoka akceptacja zapewniona.

Przeciągi indywidualne były stosunkowo proste do rozszyfrowania. Wiadomo na przykład, że nie można popaść w jednoczesny konflikt z Szeferem lub Ludwikiem z jednej strony a Sewerynem

z drugiej, bo wtedy ich siły, działające dotąd w różnych choć nie przeciwnych kierunkach, nałożą się na siebie działając w jednym, a temu nie oprze się nikt i nikt w takiej sytuacji nie znajdzie nigdzie żadnego azylu — po prostu skazany będzie na samotną, pozbawioną współczucia klęskę; podobnie, gdyby ktoś naraził się jednocześnie Generałowi i Dyrektorowi, którzy od lat się nie znosili. Przed wiatrem wiejącym z jednej strony trzeba było mieć osłonę z innej, każdy, kto miał możnego protektora wiedział, że jest bezpieczny do czasu, do kiedy bezpieczny jest ów protektor. Oczywiście, pewności absolutnej nie można było mieć nigdy, ciągle należało rzecz sprawdzać i opukiwać, bo i bezpieczeństwo protektora mogło się okazać zachwiane i stosunek protektora do podopiecznego nie był przecież niczym niezmiennym, przeciwnie, stosunek ten narażony był zawsze na drażnienie i podgryzanie go ze strony niechętnych, których wszakże nigdy i nikomu nie brakowało. W dodatku w sprawach partyjnych obowiązywała ścisła tajemnica i to jak najdłużej: ktoś kompletnie już przez polityczne korniki przegryziony, skompromitowany przez donosicieli i skazany na śmierć polityczną przez górę, mógł do ostatniej chwili nic nie wiedzieć, sądząc, że wszystko jest w porządku — tak właśnie zdarzyło się w swoim czasie z towarzyszem Grochowskim, który, chociaż przecież dialektyk, nie docenił nieustającej, mimo że na poszczególnych etapach nie widocznej, zmienności rzeczy. Należało nieustannie upewniać się zarówno o sytuacji protektora jak i o fazie jego stosunku do podopiecznego. Upewniać się jednak nie tyle przez badanie impulsów i niebezpieczeństw mogących przyjść z zewnątrz, bo to w warszawskim gąszczu była praca beznadziejna, niczym szukanie igły w stogu siana czy rozwiązywanie równania z wielką ilością niewiadomych, ile przez stałe badanie psychologiczne, dokonywane niewiedocznie na samej osobie protektora i pozwalające po nikłych częstokroć symptomach poznawać zasadniczy stan rzeczy i jego ewentualne wahania.

W tym celu oczywiście trzeba było mieć stały kontakt nie tylko służbowy lecz i osobisty. U Borowicza sprawa ta układała się wygodnie: jego protektorem był Szef, drugim zaś gwarantem — towarzysz Ludwik. Oczywiście ten drugi był niemniej ważny, niż ten pierwszy. Ludwik, niezależnie od tego, że w życiu politycznym uchodził za polski Numer Drugi, za najbliższego doradcę Szefa, za strażnika i autorytatywnego znawcę czystości linii partyjnej, był i jako indywidualność człowiekiem niesłychanie ważnym, a do upilnowania trudnym. Cechowała go wrażliwość mimożby połączona z wyczuloną do maksimum podejrzliwością, w dodatku miał swoją siatkę wiadomości, swoich obserwatorów i infor-

matorów. Bardzo przepracowany, sprawujący ogólny nadzór nad wieloma dziedzinami, osobiście wkraczał rzadko, ale wtedy już z właściwą sobie gwałtownością — byle jakiś meldunek czy raport mógł go wytrącić z równowagi, szalał wówczas i niszczył zasłużonych nawet towarzyszy, a nikt w takim wypadku nie mógł go „skontrować”, bo nikt nie wiedział, skąd padł cios — Ludwik skrzętnie ukrywał źródła swych informacji, długo nie zdradzał też, aby nie uprzedzać delikwenta i nie ułatwiać mu obrony, o co właściwie chodzi. W ten sposób miazdzący cios spadał na zupełnie nieprzygotowanego: sytuacji takiej należało za wszelką cenę uniknąć, nie dopuszczać do niej, bo gdy już przyszła, było za późno. Dlatego Borowicz starał się widywać Ludwika możliwie często, aby po wiadomych sobie, drugorzędnych, zewnętrznych, po prostu czysto fizycznych objawach poznawać, czy w świadomości tamtego nie rozwija się przypadkiem złowroźny proces rodzenia się i narastania jakiejś określonej co do swego kierunku podejrzliwości, czy w ogóle nie ma warunków do zakiełkowania takiej podejrzliwości. Na szczęście towarzysz Ludwik, choć niezwykle opanowany, był jednocześnie człowiekiem nader nerwowym i nad pewnymi zewnętrznymi objawami czy symptomami zapanować nie potrafił — może by zresztą i potrafił, gdyby o ich istnieniu wiedział, jak dotąd jednak nikt mu widocznie nigdy o tym nie doniósł, zresztą nic dziwnego — zbytnią wzbudzał obawę, aby ktoś się ośmielił wzmiankować o podobnych sprawach.

Tak więc Borowicz miał niezmiennie (to znaczy niezmiennie jak dotąd, w określonym, po Październikowym układzie politycznym) oparcie w czynnikach najwyższych, jego protektorami byli Numer Pierwszy i Numer Drugi, dwaj ludzie tworzący wierzchołek polskiej piramidy władzy politycznej, czyli najważniejszej, bo od polityki wszakże zależy w ostatecznym rachunku wszystko. W dodatku, dzięki charakterowi swej pracy, Borowicz nie był narażony na żadne przeciągi instytucjonalne, na żadne konflikty kompetencyjne pomiędzy poszczególnymi pionami zarządzania, na żadne walki reorganizacyjne, które wybuchały od czasu do czasu, grążąc w swych odmetach mniej fortunnych pływaków. Borowicz nie tylko zależał wyłącznie od najwyższej góry partyjnej, ale i z tą najwyższą górą wyłącznie i bezpośrednio pracował; był czymś w rodzaju adiutanta naczelnego wodza do specjalnych poruczeń — do jego zakresu działania należały wszakże sprawy najcieńsze, najbardziej newralgiczne, sprawy prasy, propagandy i opinii, a raczej oddziaływania na nią. Te sprawy miały wagę ogólną, jak wojsko i polityka zagraniczna, stąd też nie mogły podlegać wstrząsom reorganizacyjnym czy przetargom warszawskich klik, grup, nawet frakcji. Borowicz czuł się więc bezpieczny,

bezpieczny póki miał łaskę Szefa i Ludwika. Łaskę tę mógł oczywiście stracić i to z powodów bądź ważniejszych, bądź całkiem błahych (Szefer na przykład uczulony był niezwykle na sprawy obyczajowe, Ludwik na samodzielne kontakty zagraniczne), dlatego pracę personalną z obydwu tymi towarzyszami uważał za politycznie dla siebie najważniejszą i nie przerywał jej, o ile możliwości, nigdy.

Istniały oczywiście inne możliwości klęski, możliwości godzące w niezmiennosc elementu, przyjętego przez Borowicza za stały i niezmienny, to znaczy godzące w ów nieodparcie potężny tandem czy duumwirat, jaki stanowili Szefer i Ludwik. Ewentualności były tu dwie, jedna wewnętrzna, druga zewnętrzna. Wewnętrzna — że Szefer i Ludwik popadną ze sobą w konflikt, zewnętrzna, że ich niekwestionowana na razie przez nikogo władza i gestia ulegnie jakiemuś zasadniczemu zachwianiu — wszakże nic nie jest ani wiecznotrwałe ani nieporuszalne.

W pierwszą ewentualność Borowicz nie wierzył absolutnie. Znał organiczne niemal zrośnięcie się Szefa z Ludwikiem: Szefer bez Ludwika byłby bezradny, jak bez okularów, Ludwik bez Szefa straciłby całą swą skuteczność, swą możliwość bezapelacyjnej egzekutywy, która czyniła go straszonym, która z jego nerwowości robiła jakąś nieodpartą, przebojową siłę; wobec takiej siły milkli niechętni czy nieprzekonani, pyszni czy żądni władzy. Ludwik był sumieniem Partii, zaś dzięki Szefowi stawał się i jej ramieniem. A poza tym Szefer i Ludwik kochali się — to także rzecz nie błaha, jeśli już się wśród komunistów zdarzy i to w takim nasileniu. Przyjaźń czy miłość staje się tu formą absolutnego, wzajemnego zaufania do własnych charakterów, czyli w istocie zaufania politycznego — a to rzecz nader ważka, rzecz najważniejsza.

Pozostawała ewentualność druga: że władzę Szefa i Ludwika ktoś czy coś zachwieje, że ją w końcu obali. Ewentualności tej Borowicz zasadniczo pod uwagę nie brał, gdyż w swojej sytuacji uważał to za bezcelowe: upadek Szefa i Ludwika oznaczałby bezapelacyjny koniec jego samego, na taki zwrot sytuacji nie miał i nie mógł mieć żadnego obronnego wariantu, dlatego też i zastanawiać się nad nią nie było warto, zastanawianie takie mogło go jedynie osłabić. Czasem tylko, w wolnych chwilach myślał sobie o tej sprawie, zresztą całkiem bezinteresownie. Co lub kto obalić może Szefa? Oczywiście jakiś przeciąg skali najwyższej, na przykład przeciąg radziecki. Towarzysze radzieccy nie wtręcali się dziś zasadniczo do spraw polskiej partii, choć nienawidzący Rosjan podejrzliwy ogół sądził o tym inaczej — targi trwały raczej w dziedzinach materialnych, dotyczyły handlu, transportu,

współpracy przemysłowej — od Października zagadnienia układów personalnych i wewnętrznej taktyki partyjnej już towarzyszy radzieckich nie obchodziły. Oczywiście i tu zdarzało się uleganie nie tyle już presjom, co sugestiom — sugestie takie zresztą rozumiane były jako obopólna korzyść, jeśli na przykład osoba jakiegos towarzysza utrudniała dogadanie się w sprawach konkretnych, tak jak to było niedawno w wypadku prowadzącego kłopotliwe negocjacje surowcowe ministra Z., kiedy obie strony solidarnie zapagnały jego ustąpienia. Sprawy drastyczne zdarzały się dawniej, jeszcze za Stalina — na przykład głośna afera towarzysza B., starego, przedwojennego komunisty, ale człowieka chorego na ambicję, który wyobraził sobie, że z pomocą czynników radzieckich zdoła obalić polskie Biuro i wejść samemu na szczyt partyjnej hierarchii. Próba nie udała się, bo udać się nie mogła, sam Stalin nie lubił takich indywidualnych akcji, więc aferę zlikwidowano błyskawicznie, a delikwent, wyrzucony z Partii, dożywał swych dni pod ścisłą obserwacją na skromnej prowincjonalnej posiadce. Historia nie była poważna, ale pozostawiła sporo złej krwi, zwłaszcza u niektórych mniej odpowiedzialnych towarzyszy radzieckich, którzy niepotrzebnie pozwolili się w całą akcję wmieszać. Ta sprawa okazała się jednak poniekąd realna, ale zdarzały się też, rzecz prosta, i incydenty zrealizowane jedynie w sferze psychologii czy wyobraźni, kiedy to wzajemnie się straszono i szantażowano Rosjanami. Szef zabronił tych praktyk raz na zawsze, regulując sprawy radzieckie sam lub co najwyżej na spółkę z Ludwikiem, zaś wszelkie próby bezpośredniego nawiązania kontaktu z Moskwą uważał za skierowane przeciwko sobie i odpowiednio traktował. Mimo to pewną akcję tego rodzaju rozwijał dziś podobno na terenie wojskowym Generał, ale nic określonego w tej materii nie było wiadomo, szeptano sobie tylko do ucha to i owo.

Szeptano zresztą i sporo innych rzeczy. Był czas, kiedy plotka dopatrywała się ze strony radzieckiej rozpętania konkretnej akcji antysemitkiej, mogącej właśnie spowodować wielki przeciąg między oboma partiami. Niewątpliwy asumpt do tych przypuszczeń dało zachowanie się Sekretarza radzieckiej partii, który podczas pobytu w Warszawie sypał niedwuznacznymi antyżydowskimi aluzjami. Opowiadano wtedy, że Szef sprzedaje Żydów za cenę utrzymania swojej sytuacji z Rosjanami. Ale Szef nie zrobił tego, pozbył się jedynie przy okazji tych spośród towarzyszy frakcyjnomafijnych, których od dawna nie lubił, jak na przykład Endelberga. Tryumfalnie za to (także dla przeciwdziałania pogłoskom o antysemityzmie) wywyższony został Borowicz, choć kosztowało go to trochę popularności wśród dawnych przyjaciół; na pierwszym zebraniu z młodymi dziennikarzami potępił zapędy rewizjo-

nistyczno-liberalne, którymi kokietowała wówczas grupa Endelberga, kokietowała nie pamiętając wcale, że ciążyła na niej odpowiedzialność za wiele przestępstw i zwykłych zbrodni, popełnionych w epoce Stalina. Ale im zapomniano wszystko, za to Borowiczowi nikt nie zapomni, że wystąpił teraz przeciwko nieodpowiedzialności i demagogii, za pomocą których młodzi partyjni dziennikarze zdobyć sobie chcieli, może zresztą trochę nieświadomie, uznanie zachodniego radia, a, co za tym idzie, w sposób pośredni, uznanie reakcyjnej opinii w kraju. Nikt mu tego w Warszawie nie zapomni, mimo że ma ze stalinowskich czasów hipotekę jak najczystszą; to jednak nie gra roli — podobnie jak u Seweryna, liczą się tylko pozory i gesty — po prostu wyobrażono sobie, że Borowicz sprzedał się za pozostanie i wywyższenie w Sekretariacie, cenę tej sprzedaży widziano w fakcie, że rzekomo wbrew swoim poglądom uzasadnia i podbudowuje neostalinowską linię Szefa. Była to bzdura i oszczerstwo, jej tło psychologiczne wynikało z mitologizującego przypisywania Żydom wspólnego działania: przedtem żydowskość była synonimem ostrego kursu, teraz — liberalizmu. Żyd nietypowy nie miał prawa egzystować, to było miarą panującego choć nie nazwanego rasizmu. Borowicz był szczerym materialistą, w żadne duchowo-rasowe determinizmy nie wierzył, ale musiał uznać, że plotka czy fama, ustawiając po swoim wydarzenia, oddziaływały na opinię, a przez to, pośrednio, warunkowały czy ułatwiały taki a nie inny przebieg samychże wydarzeń w przyszłości. Sugestywna bowiem fantazja, z góry postulując określoną interpretację tego, co się dzieje czy dzieć będzie, wyklucza interpretację inną, zaś urabiając psychikę aktorów przyszłych wypadków skierowuje te wypadki w swoją koleinę a więc — w jakimś stopniu — kształtuje je. Było to na pewno niedorzeczne, ale w pewnej skali realne i wynikające z dialektyki. Borowicz nigdy się nad tą sprawą głęboko nie zastanawiał, bo — nie potrzebował: jak to zwykle u niego bywało, o całej tej współzależności wiedział jakoś poza myślami, instynktownie wiedział, że tak jest, że nic na to nie poradzi i kwita.

Czy inne jeszcze, mniej wynikię z plotek a bardziej z realności radzieckie wiatry i przeciągi potrafiłyby zagrozić Szefowi? Najniebezpieczniejszy mógł się tu stać przypadek. Przed dwoma laty pokazał on co potrafi, gdy ni stąd ni zowąd dokonano zamachu na podróżującego po Polsce wraz z Szefem Radzieckiego Sekretarza. Na szczęście — niezwykłe to było szczęście — zamach w ostatniej chwili się nie udał, a fakt jego istnienia zdołano zataić zarówno przed zainteresowanym jak i przed wilczo chciwymi tego rodzaju sensacji dziennikarzami z Zachodu. A czy był w Warszawie w środowisku ktoś, kto mógłby jeszcze raz spowodować Wielki

Wiatr ze Wschodu? Istniał jeden taki człowiek, ale mógł być to zrobić kiedyś, dawno, dziś jest już na to o wiele za późno. W czasie mianowicie jednej z groźnych faz wojny, Stalin bardzo wówczas uzależniony od Aliantów z Zachodu, po którejś z rzędu dyplomatycznej a poufnej rozmowie, zwątpił, czy uda mu się po wojnie opanować bez reszty Polskę i stworzyć z niej złączoną ze Związkiem wspólnym ustrojem republikę socjalistyczną. Postanowił ubezpieczyć się od innej strony, zapewniając sobie realną ewentualność koncepcji „fińskiej”, koncepcji Polski nie komunistycznej, mieszczańskiej, ale związanej z Rosją gwarancyjnymi sojuszami wojskowo-politycznymi. Dla wybadania realności tej koncepcji wybrano w Moskwie pewnego Polaka, którego wysłano do kraju i zrzucano na spadochronie, z instrukcją, aby unikał komunistów a porozumiał się z przedstawicielami Rządu londyńskiego i AK'owskiego poziemnia. Emisariusz jednak wpadł w ręce Niemców; przetrwał wprawdzie więzienie i obóz, ale tymczasem sytuacja europejska całkiem się zmieniła, i, po tryumfie Czerwonej Armii, nikt już o jego misji nie wspominał. Niemniej dano mu w Warszawie doskonałą, ministerialną posadę; trwał na niej po dziś dzień, tajemniczy i nietykalny. Borowicz wiedział, że Szefer go nienawidzi: nienawidził go właśnie za tę emerytalno-rentierską nietykalność i za to, że przypominał rzecz najbardziej obrzydłą — widmo Polski nie socjalistycznej, ale po dawnemu osobnej, niezależnej. Zresztą tamten był już mało groźny: milczał, nigdy nie zabierał głosu ani nie przypominał przeszłości — rozumiał, że reprezentuje tylko marę, tylko zrodzone o dziwo w realistycznym mózgu Stalina — widmo. „Widmo minionych dni” — mawiał niby dowcipnie Pułkownik.

Tak więc, dokładna analiza środowisk i klimatów nie wykazywała warunków dla powstania w bliskiej przyszłości jakiegoś prądu powietrznego, który, nabrawszy siły i rozpędu, obalić by potrafił Szefera i Ludwika a z nimi, w sposób nieunikniony, wręcz automatyczny — Borowicza. Borowicz mógł natomiast upaść sam, gdyby stracił zaufanie Szefera, a sposobnych po temu konfiguracji i wariantów mogło być mnóstwo. Okazję na przykład — choćby dziś — dawała przekłeta sprawa Gellera, która błyskawicznie zjednoczyć mogła Szefera czy Ludwika z Sewerynem i w ogóle z wszystkimi wrogami Borowicza, pozostawiając tego ostatniego zupełnie bez sojuszników, skazanego na powszechne partyjne potępienie, a przecie — zupełnie niewinnego.

Kto to był Geller? Żyd wariat, Żyd bohater, Żyd historyk — za to wszystko Borowicz bardzo go nie lubił, uważając, że Żydzi z tej części świata, po wszystkich swoich tragediach zachowywać się winni godnie i poważnie. Geller natomiast zawsze

zachowywał się jak w teatrze na scenie, musiał mieć publiczność, choćby nawet złożoną z paru osób, wszystko co robił przeznaczone było dla widzów i słuchaczy, wydawałoby się, że sam przez się nie istniał — istniał tylko jako wrażenie, wywierane na innych. Aby takie wrażenie wywrzeć, potrafił zresztą zdobyć się na rzeczy naprawdę niezwykle. Zaczęło się to jeszcze w Rosji. Gdy pół zgłodzonego zwolniono go z jakiegoś na niedocieczonym krańcu świata zgubionego leśnego obozu, po wielodniowej, nieprawdopodobnej podróży sowieckimi wojennymi pociągami znalazł się w Moskwie, gdzie od razu zaczął rej wodzić w środowiskach zbliżonych do Polskiego Komitetu: pełno go było w radio i w prasie, jako autentyczny a dotąd przez Stalina nie dobity przedwojenny polski komunista ceniony był wszakże na wagę złota. Robił więc dużo szumu, potem znalazł się w wojsku i to oczywiście od razu jako oficer polityczno-wychowawczy. Ale nie ograniczył się do tego: jego chorobliwa chęć najefektowniejszego popisu (dosyć ją sobie po freudowsku tłumaczył Borowicz), pchnęła go w końcu do rzeczywistego bohaterstwa. Od owej nieszczęsnej, zarówno przez dowództwo radzieckie jak i polskie niefortunnie zaaranżowanej bitwy pod Lenino (choć inni znów mówili, że zdecydowała tu wyjątkowa nieudolność polskiego generała), poprzez dawne i obecne ziemie polskie, aż po Berlin szedł z wojskiem bardzo bojowo, zbierając coraz to nowe ordery i awanse. Odnaczał się jakąś wyjątkową, w uplanowany sposób realizowaną (tak sądził Borowicz, choć przy tym nie był, ale sądził na zasadzie późniejszej, dokładnej z Gellerem znajomości) junacką brawurą, przedsięwbrał kmicicowskie niemal nocne wyprawy na niemieckie czołgi i jakoś rzeczywiście mu się udawało, poza tym sprawa zawsze okazywała się bardzo malownicza i efektowna, zawsze też musiało o niej wiedzieć dużo ludzi. Namietność aktorska może naprawdę zdziałać cuda, zwłaszcza, jeśli teatrem jest samo życie — tak myślał Borowicz, który nigdy w wojsku nie był i wcale sobie munduru nie cenił, widząc w nim jakiś wymuszony i przemycony atawizm po dawnych militarystach czy zgoła nacjonalizmach. On, Borowicz, walczył przecież w armii, mającej znacznie trudniejsze zadanie, a całkiem pozbawionej teatralnego splendoru, w bezimiennej, nielicznej armii, z góry przez wszystkich na śmierć skazanej: w konspiracyjnej kadrze komunistów, podejmujących swe syzyfowe wysiłki pod żelaznym butem Gestapo, zamkniętych w sterroryzowanej Warszawie i spotykających się z hańbiącą, anonimową śmiercią codzien, na każdym rogu ulicy. Tu nie było teatru, a w każdym razie nie było widzów.

Geller skończył wojnę jako pułkownik z wyorderowaną pier-

się, nazwiskiem jego ponazywano ulice a także całe miasteczka na przyłączonych do Polski Ziemiach Zachodnich. Przyszedł teraz do służby wewnętrznej, gdzie dalej zaczął się wyżywać i popisywać, tym razem w inny sposób, choć niemniej namiętnie. Nabrał dziwnej nienawiści do Polski, choć nazywało się to niby świętą nienawiścią do reakcji. Cała jego rodzina zginęła bez śladu i popiołu (dosłownie), mieszkali w Warszawie, więc na pewno zagazowano ich i spalono w Treblince; Geller po wojnie znalazł się sam, zupełnie sam, nie ożenił się nawet, był zresztą okropnie brzydki, zapluty i sepleniący, ale to przecież w końcu nic nie szkodziło. Zapiękły wszakże w tej swojej samotności, zaczął się, tak przynajmniej mówiono, mścić na Polakach, jakby ich czynił winnymi za śmierć swojej rodziny, za zgubę Żydów, za własną inność i odosobnienie. Borowicz surowo potępiał ten rodzaj irracjonalnej hysterii: Żyd nie mógł się zrażać tradycyjnym, a w niektórych środowiskach po dziś dzień zachowanym polskim antysemityzmem (antysemityzm ów zresztą miał już teraz zupełnie inne znaczenie — trzeba wszakże być dialektycznym materialistą i rozumieć to), Żyd nie mógł ulegać odwróconej rasowej mistyce, Żyd nie mógł pluć na społeczeństwo, w którym żył i działał: choć kiedyś antysemickie, nie ono przecież winne było biologicznemu zniszczeniu polskich Żydów, to zrobili Niemcy, Niemcy, do których tychże Żydów zawsze ciągnęło — przejęli nawet od nich język, używali ich nazwisk. Żyd w Warszawie powinien być Polakiem, tylko wtedy ma tutaj prawo działać — ale na to trzeba nieraz wyrzec się fałszywej mieszczańskiej ambicji, nie można ulegać hysterii i panice, tak, jak uległ jej pułkownik Molberg, który stanowisko szefa wywiadu wolał zamienić na stanowisko właściciela tekstylnego sklepiku w Nowym Jorku. Geller też uległ swej dziwnie przesublimowanej hysterii, stał się okrutny i znenawidzony — nawet w samej Partii, choć nie zawsze głośno o tym mówiono.

Ale potem zaczął się nagle zmieniać — widocznie mu się znudziło, jego pociąg do teatralności znajdował w tej pracy za mały żer a ilość widzów była ograniczona. Dwa lata przed Październikiem na własne życzenie wyszedł ze służby i zajął się dziennikarstwem. Nie była to łatwa rzecz porzucić pracę, z tej służby nie rezygnowało się na zasadzie chęci czy niechęci — ale jemu wszystko uchodziło na sucho, zbyt wielkie wszakże miał zasługi. Zaczął pisać artykuły po partyjnych pismach młodzieżowych — sam zresztą był jeszcze zupełnie młody — artykuły, niespodziewanie, coraz bardziej i bardziej opozycyjne wobec linii Partii. Rodziła się właśnie, w rok po śmierci Stalina, słynna polska odwilż, prasa stawała się piekielnie żywa i śmiała, bo cenzura,

mając po temu instrukcje z jakichś niedocieczonych ósrodków odgórných, przymykała oczy, puszczając do druku coraz więcej. Geller korzystał z tego i szalał: zaszła w nim dziwna metamorfoza, stał się radykalnym liberałem, domagał się niemal demokracji parlamentarnej, wyśmiewał i piętnował nie tylko dogmatyczne błędy Partii w sprawach społecznych i gospodarczych, ale również twardą politykę urzędu, za którą sam był niedawno w znacznym stopniu odpowiedzialny. Taka to była dziwna ewolucja Żydów: służyli wiernie Stalinowi, do ostatka, dopóki ich brutalnie nie odepchnął, oskarżając wręcz o absurdałne trucicielstwo, a burzyć się zaczęli dopiero w liberalnej epoce Chruszczowa. Borowicz potępiał to — w ich sytuacji wypadało milczeć.

Podczas słynnego Października 1956 Geller stał się bożyszczem warszawskiej młodzieży, wykorzystał nastroje antyradzieckie, przypomniał sobie swą obozową martyrologię, jego namiętność do teatralnych gestów, do popisów osobistych, na których skupia się uwaga otoczenia, święciła swoje wielkie chwile. Zapomniano mu w dodatku całkowicie jego stalinowską przeszłość — taka to dziwna była ta Warszawa — zmienna jak kobieta. Przy tym, o ile niezaprzeczałne w końcu militarne zasługi Gellera nie przemawiały nigdy do niczyjej wyobraźni, bo armii polskiej stworzonej w Rosji *vox populi* odmawiał prawa do legendy, a Żydów w mundurach uważano za mistyfikację i nieporozumienie, o tyle teraz demagogiczne a w gruncie rzeczy, wobec płynącej z góry odwilżowej fali, pozbawione ryzyka publiczne wystąpienia przynosiły mu z punktu wymarzoną a tak przez lata nieosiągalną warszawską popularność.

Ale Gellerowi i tego było mało; władała nim nienasycona histeria, wcielająca się we wciąż nowe formy i postacie. „Nie znajdziemy nigdy ciszy i przystani, Żydzi śpiewający, Żydzi obłąkani” — owa tuwimowska strofa niejednokrotnie przychodziła Borowiczowi na myśl, gdy obserwował gorączkowe poczynania tamtego. Bo z kolei syt październikowych tryumfów, Geller zabrał się do zagranicznych dziennikarzy, którzy nurkowali jak szczupaki w odmętach warszawskiego podniecenia. Łaził z nimi, afiszował się, pił wódkę, wprowadzał do różnych środowisk, jakie obradowały wówczas w permanencji, obradowały, niczego się nie nauczywszy z tragicznego losu Węgier. Wszędzie go było pełno, za nim zaś snuła się nieodłącznie banda owych nahałnych gazeciarzy. A potem, gdy się już wszystko uspokoiło zaczął wyjeżdżać za granicę, ze specjalnym zaś upodobaniem do Niemiec Zachodnich. Był natrętny, ruchliwy, wyzyskiwał po-Październikowe zainteresowanie Polską, pokazywał się w różnych dwuznacznych środowiskach trockistowskich a także zgoła reakcyjnych.

Dobrze się tam czuł, tarzał się w powodzeniu, skupiał na sobie uwagę i zrećźnie wykorzystywał żywy w kołach zachodnoniemieckiej młodzieży kompleks winy wobec Żydów — ciekawe, że nie miał teraz Niemcom za złe tego, za co przed tym jak najwyraźniej mścił się na Polakach. W dodatku pisywał artykuły mało sensowne, pełne demagogicznych nieporozumień i pozbawione związku z nową stabilizacją linii partyjnej, jaka następowała w kraju. To już było wręcz szkodliwe, nieodpowiedzialne łamańce i popisy przed nic nie rozumiejącą antykomunistyczną opinią Zachodu.

Borowicz przestrzegał Gellera parokrotnie, ale tamten, ufny w swoją nietykalkość, nic sobie z niego nie robił, zresztą w ogóle dogadać się nie mogli — dzieliła ich różnica temperamentu, umysłowości, przeżyć a także jakaś instynktowna niechęć. Na niczym spełży również próby odebrania mu zagranicznego paszportu. Natrafiono tutaj na sprzeciw wszechpotężnego Dyrektora. Dyrektor też wprawdzie był Żydem, ale u niego to się nie liczyło, miał za sobą piękną przeszłość partyzancką i to w partyzantce radzieckiej, wielokrotnie przechodził granicę frontów, zrzucano go na spadochronie, łamał nogi, był ranny — słowem postać bohaterska i nawet drastycznie zwalczający mafię Generał nie był w stanie nic mu zrobić. Paszporty zagraniczne w ostatecznej instancji zależały od Dyrektora, a że bohaterowie okazali się solidarni, więc, mimo sprzeciwów, Geller wyjeżdżał kiedy chciał a odpowiedzialność za to obciążała Borowicza, który sprawował wszakże ogólny nadzór nad prasą. I oto są skutki.

Jakie są te skutki, o tym Borowicz wiedział już, schodząc z majowej trybuny na Placu Defilad, kiedy to z jednej strony SzeF zmęczony jakiś i zgarbiony wsiadał do samochodu, udając, że nadchodzącego Borowicza zgoła nie widzi, a z drugiej nadbiegał splotony Kasperczyk z garścią pomiętych bibułek w ręku. Te bibułki to była właśnie istota rzeczy — dzisiejszy tajny biuletyn radiowo prasowy, a w nim wiadomość jak byk: oto Geller udzielił w Londynie wywiadu, w którym oskarżył Szefa, że odszedł od demokracji i zdradza socjalizm. Co na kapitalistycznym Zachodzie mogło kogoś obchodzić, czy na Wschodzie ktoś zdradza socjalizm czy też go nie zdradza, to już było tajemnicą zwariowanego tamtejszego dziennikarstwa, ale pewne jest, że i Geller zwariował; w swym poszukiwaniu efektu za wszelką cenę poszedł na całego, zerwał z krajem, może naopowiadać Bóg wie co (wiedział przecież niejedno!) a skutki tego wszystkiego obciążą oczywiście Borowicza: nie owego kierującego działem zagranicznym Kasperczyka, nie uporczywie wydającego paszporty Dyrektora, lecz właśnie, tylko i jedynie Borowicza. Dlaczego? — bo dał się

zaskoczyć, zajęty przygotowaniem do nikomu w gruncie rzeczy (prócz Szefa) niepotrzebnego obchodu Majowego, nie przeczytał rano biuletynu, nie zadbał, aby o takiej sprawie powiadomiono go od razu z Agencji, dał się wyprzedzić Sewerynowi, który oczywiście od rana naintrygował przed Szefem i zainicjował odprawę, mającą w tej sytuacji charakter sądu nad Borowiczem, co najmniej za jego niedbalstwo, jeśli nie za coś gorszego, co sobie już Seweryn na pewno zmyślił i przygotował, nie bacząc na to, że Borowicz od dawna przestrzegał przed daniem paszportu Gellerowi, tyle że oporu Dyrektora sam jeden złamać nie potrafił a wrogowie rozmyślnie mu w tym nie pomagali, czekając, aż bomba pęknie. Sam ich zresztą, znając Gellera, o istnieniu tej bomby uświadomił, wzbudził przez to ich czujność, ułatwiając im szybkie wyzyskanie całej rzeczy przeciw sobie. A teraz Szef był wściekły, co zaś odczuwał towarzysz Ludwik, który gdzieś zniknął, zapewne też już pojechał na odprawę (jakże by się obyła bez Wielkiego Inkwizytora!) — o tym lepiej w ogóle nie myśleć. Do diabła z tym wszystkim!

Pierwszomajowe słońce, zimne lecz jaskrawe, przełamywało się czerwono w dalekich szybach wysokościowców (tak nazywano w Warszawie socjalistyczne drapacze nieba), przedziwne refleksy świetlne pełgały po olbrzymich literach owych wyśmianych przez Grochowskiego napisów „Stal”, „Siarka”, „Węgiel”, „Ropa”, „Gaz”, wicher coraz silniejszy choć jakiś bezprzedmiotowy, łopotał sztandarami i kolorowymi szarfami na trybunach a także na gigantycznych załomach Pałacu Kultury, obrębianych stalaktytami niegustownych rzeźb i ozdób. Tłum rozchodził się jakoś nieporządnie, przypadkowymi grupami, ociągał się, obserwując z admiracją bezszelestnie sunące, wielkie eleganckie auta korpusu dyplomatycznego, na których jak oszalałe miotły się szarpane wiatrem i pędem międzynarodowe chorągiewki. Pejzaż placu był teraz bezstylowy i dziwaczny — Borowicz nie znosił dziwactw, źle go usposabiała, przeskadzały w jasnym myśleniu. Mimo to, stojąc koło swego auta, ze spokojnym opanowaniem udzielał instrukcji bardzo speszonemu Kasperczykowi. Należało zmobilizować Pietrzaka, był to zastępca Borowicza, przeważnie zresztą zajęty objazdami w terenie i nie za wiele wiedzący, ale jako młodzieżowiec i specjalista od prasy akademickiej, bardzo w tej właśnie sprawie przydatny. Władka na pewno tkwiła przy telefonie w Komitecie: ona, Kasperczyk, Pietrzak, to była jego ekipa na dziś, na owo niebezpieczne zebranie, gdzie pokrzyżować musi misterne plany towarzysza Seweryna. Cholera, nadała zwariowanego Gellera i jego zabawy ze zwariowanymi zachodnimi dziennikarzami!

VII

Dom był drewniany, ściany i sufity niczym nawet nie pobielone, ot, taka stara przedmiejska buda z „przeklętych czasów Sanacji” jak mawiał Szefer. Samo tylko drzewo — kiedy wiatr zawiął, wszystko się trzęsło; dziś zresztą był to wiatr majowy, choć jeszcze chłodny, ale w zimie, gdy szalała śnieżna zadymka, przyjemnie siedzieli sobie z Władką w pidżamach przy żelaznym piecyku, nasłuchując kolejnych uderzeń wichru. To było jakieś specjalnie ciepłe i przytulne, człowiek odczuwa najintensywniej urok podobnej przytulności właśnie gdy jest ona tak wątła — jakaś jedna, zagubiona, chwiejąca się i trzęsąca izdebka wśród mrocznego obszaru zamieci. Borowiczowi przypominało to różne kryjówki okupacyjne: ileż to razy nocował tak po rozmaitych przedmieściach, po Grochowach, Targówkach, na Woli, Ochocie czy Pelcowiznie. Jakżeż od tego czasu zmieniła się jego sytuacja — ale, prawdę mówiąc, tu w tej wstrząsanej wiatrem izdebce czuł się bezpieczniejszy, niż w swoim pięknym kilkopokojowym mieszkaniu, które zajmował z matką w okolicy Alej Ujazdowskich. Rzecz wynikała z nieprzewidywanej inwazji nowoczesności: tam, w Alejach, roilo się wszakże od mikrofonów w ścianach, jego trzy telefony — rządowy, partyjny, czyli łączący bezpośrednio z Komitetem oraz normalny miejski, były oczywiście włączone do stałej aparatury nagrywającej; Borowicz wiedział doskonale, gdzie w Warszawie znajdowało się biuro, w którym sporządzano i porządkowano owe mikrotasmy z rozmów telefonicznych — wobec istnienia tak zwanych stuśladowych magnetofonów, wszystko załatwiano automatycznie i bez trudności: można było, używając do tego paru tylko ludzi, nagrać miliony rozmów telefonicznych przeprowadzonych w całej Polsce w ciągu roku i zamagazynować je w niewielkiej ściennej szafce. Głos utrwalony, głos

w konserwach, który mógł być następnie, według życzenia, przekazywany tu i ówdzie. Gdzie, komu? — o to Borowicz nigdy nie pytał. Jasne było, że w ostatecznej kolejności pewni ludzie przekazywali to wreszcie Szeffowi czy Ludwikowi, ale jak, w jakiej formie, w całości czy w części i kto to właściwie byli ci ludzie — o tym się nie mówiło; Ludwik i Szeff nigdy, najmniejszym odruchem nie dali mu odczuć, że znają jego myśli, inne niż te, jakie im bezpośrednio, oficjalnie komunikował. A więc istniał też i pomiędzy nimi pewien potajemny fluid, tyle, że nie zawsze w jego świadomości dokładnie skonkretyzowany, bo przecież człowiek nie jest w stanie pamiętać wszystkiego co mówił. Ale w sumie cała rzecz dowodziła olbrzymiego znaczenia, jakie w Kierownictwie przywiązywano do myśli, przede wszystkim do myśli swoich własnych ludzi. Czy było to słuszne? Niewątpliwie po części tak, rewolucja w dużym stopniu wyrosła przecież z myśli, ale myśli te nie powstawały same z siebie, rodziły się na określonym podłożu materialno-historycznym, o czym często zapomniano, traktując je jako istniejące niezależnie i samorodnie. To był błąd dzisiejszej teorii i praktyki, błąd, datujący się od czasu kultu Stalina, lecz i po śmierci dyktatora trwający, aż do teraz w różnych złagodzonych czy wysublimowanych postaciach. Tylko, że błąd, powszechnie uprawiany, warunkował życie, warunkował również postępowanie tych, którzy go za błąd uważali: on sam, Borowicz, gdyby był na miejscu Szeffa, zapewne w dzisiejszej sytuacji nie mógłby się również obejść bez pożywienia z owych myślowych konserw, pożywienia, które dawało iluzoryczny może ale nader rządzącym i decydującym ludziom potrzebny spokój: kto panuje nad myślami, ten panuje nad sytuacją — tak by się przynajmniej zdawało.

Ale tu, w tej anachronicznej, szarpanej wiatrem izdebce, nowoczesność nie groziła — w ogóle nie groziło nic z zewnątrz, nie pamiętało się żadnych niebezpieczeństw, chyba że urodziłyby się one w środku, wśród nich samych, wśród ich dwojga. Izba była na pierwszym piętrze jedyną, poza nią tylko ścięte ukośnym dachem nie używane strychy, gdzie suszyło się trochę bielizny. Na dole znowu mieszkał jakiś szofer taksówki, którego nigdy w domu nie było, a czy miał rodzinę, też nie wiadomo, w każdym razie Henryk i Władka nie interesowali się tym na pewno. Koleżankę do której należał pokój, zawiadamiano telefonicznie w jej biurze na dwie doby wcześniej, umówionego dnia nie wracała do domu przed północą. Telefonu tu nie było, tylko nędzne radyjko, którego używali z rzadka, nastawiając je wówczas cichutko, aby szemrało sobie jakąś nieszkodliwą muzykę. Słowem — idylla i swoboda.

Taka dzielnica drewnianych domków, ruder i bud nie ugar-
niowanych nawet ogródkami, a tylko przetykanych w środku
nędnymi, błotnistymi bo niebrukowanymi podwórkami, to już
jest właściwie, w nowoczesnej na swój sposób, budującej wszystko
od początku Warszawie, rzadkość. Przed wojną dzielnica taka
nasiana byłaby maleńkimi żydowskimi sklepikami, owocarniami,
zatechłymi knajpkami (choć jadało się w nich dobrze, czasem na-
wet i bardzo dobrze), budami z wodą sodową i piwem, nasycona
całym owym proletariackim czy drobnomieszczańskim urokiem
życia — dziś wszystko to zniknęło na zawsze. Nad ulicą, pod-
szycą jeszcze przecież jak dawniej trawą i błotem, górował jeden
szeroki, nowy blok, a w nim wielki narożny spożywczy sklep
PSS, ambasador dzisiejszości, który w nocy oświetlał swymi sze-
rokimi witrynami całą ulicę, prezentując chcącym czy też i nie
chcącym patrzeć przechodniom lśniący zestaw puszek z konserwa-
mi i butelek z winem.

Innego oświetlenia tu nie było, jeszcze tylko w bocznej ulicy
prowadzącej w stronę lotniska czerwienił się nad kinem niepro-
porcjonalnie wielki nowoczesny neon. Chodzili tam czasem z
Władką na francuskie filmy, ukrywając się skrzętnie w ostatnim
rzędzie. Borowicz uważał to za jaskrawą nieostrożność, ale nie
zawsze umiał odmówić „swojej dziewczynie”, bo taką stawała
się wówczas, w miejsce cwanej i opanowanej sekretarki z Komi-
tetu. Francuski, mieszczański film w socjalistycznym kinie, na
przedmieściu socjalistycznego miasta, to była specyficzna perwer-
sja — Borowicz przypomniał sobie teraz, jak tandetnie szablo-
nowy wydał mu się niedawno Paryż, gdy tymczasem tę imagina-
cyjną Francję z przedmiejskiego kina wcale sobie lubił.

A w ogóle nie była to bynajmniej dzielnica socjalistyczna. Ro-
botnicy z kluczowych warszawskich zakładów, przeważnie przy-
byli ze wsi, tu nie mieszkali — Szefer kierował ich do wielkich,
nowiutkich, choć nie rzadko tandetnych przyzakładowych bloków,
które stanowiły jego dumę. Tu zaś mieszkała pstrokata społecznie
zbieranina: albo jacyś zamożni prywatniacy, którzy zrobiwszy
pieniądze na podwarszawskim handlu warzywami nie kwapili się
do śródmieścia ani do budowania, woląc ubóstwem mieszkalnym
zamaskować swoją sytuację przed urzędem skarbowym, albo też
dożywające ostatnich dni w starych, cudem nie zniszczonych przez
wojnę norach resztki tradycyjnego lumpenproletariatu. A naprze-
ciwko, na końcu małej, ślepej uliczki, w sporym sadzie tkwił
staroświecki drewniany kościół i obok mała podmurowana pro-
boszczówka z białymi kolumnkami. Dźwięczne choć zbyt meta-
liczne, pozabawione rezonansu uderzenia kościelnego dzwonu do-
chodziły do uszu Henryka, gdy leżeli z Władką w łóżku. Istna

małomieszkańska idylla, anachronicznie peryferyjny, na zagładę skazany świątek — to bawiło Borowicza, bo przypominało mu klimat dzieciństwa w S... Tu mógł sobie pozwolić na podobne wspomnienia, tu odpoczywał — jakby na chwilę czas stanął w miejscu.

Lecz dzisiaj urok przedmieścia nie działał — na zewnątrz było brudno i błotniście, a chłodny majowy wiatr wsącał niepokój spóźnionej wiosny, podczas gdy to mieszkanie stworzone było raczej dla marzeń zimowych. Ważniejsza okazała się jednak rzecz inna: oto z Władką działo się coś niedobrego, coś, co od razu dzieliło się i jemu — w podobnych sprawach zawsze tak się zdarza. Oczywiście nie mówiła nic, ale była sztywna, wewnątrz napięta, w zbliżeniu fizyczne nie wkładała zwykłej radości, wobec czego rzecz straciła nagle i dla niego emocjonalną celowość, stała się formalnym rytuałem gestów, lecz nie przynosiła owego specyficznego uniesienia, które było przecież atrakcyjnym celem ich spotkań na tym osobliwym przedmieściu. Nagle, ni stąd ni zowąd, stawali się dziś sobie obcy, skrzepowani, nie tylko pozbawieni fizycznej radości, ale nawet tematu do rozmowy. W dodatku oboje byli wytworzoną sytuacją przykro zakłopotani, w dziwny sposób nie mieli sobie w tej sprawie nic do powiedzenia, choć może, gdzieś tam na dnie, gdzie myśl graniczy już z niesprecyzowanym, ale decydującym widać fluidem mózgowo uczuciowym, czaiła się jakaś wiedza czy też przeczucie: przeczucie zrozumienia, z czego to wszystko wynikło. A raczej nie tyle wynikło, co dopiero może wyniknąć, bo przecież nic się jeszcze nie stało, nic konkretnie negatywnego się pomiędzy nimi nie zdarzyło.

Odrzucając jednak konkrety, a przyjmując jakieś intuicyjne domniemanie za uchwytny na swój sposób element poznawczy, cóż właściwie można było tu powiedzieć? Ani Władka jego, ani on Władki, jeśli chodzi o fakty, o znajomość faktów, nie mogli wzajemnie o nic podejrzewać. Po pierwsze dlatego, że nic się ważnego nie stało, po drugie, bo te okruszyny, te załączki zdarzeń, jakie miały miejsce, absolutnie przecież Władce znane nie były, a nawet, gdyby jakimś cudem były, to przecież one nic nie oznaczały, w każdym razie jeszcze nic nie oznaczały. Co prawda w owym słowie „jeszcze” zawierał się pewno ów zarodek czegoś niepokojącego, jakieś stwierdzenie czy dopuszczenie stwierdzenia, że coś jednak zmienić się lub zdarzyć może. I właśnie Władka to wiedziała: od czasu telefonu księdza Krauze zaczęła Borowicza podejrzewać i stała się wobec niego jakaś inna — odczuł to podczas zebrania w sprawie Gellera, kiedy to w sposób wyraźnie mniej serdeczny niż zwykle przejmowała się jego kłopotami. Ro-

biła wprawdzie wszystko, co do niej należało, ale wyglądało to inaczej, oschlej, bez cienia utajonej, zamaskowanej lecz ufnej życzliwości, jaka promieniowała z niej dawniej. Była ta sama, ale inna: Borowicz wiedział to już wtedy, a ona wiedziała, że on wie, tylko udaje, że się nic nie zmieniło. Z tego udawania robiła sobie zapewne dalszy argument przeciwko niemu: skoro uznawał za potrzebne udawać, to najwyraźniej przyznawał, że jest pomiędzy nimi jakiś cień, poczuwał się do czegoś. Tylko, że wówczas był to dopiero nieuchwytny cień cienia, podczas gdy dziś sytuacja stała się wręcz nieznośna.

Ale o co mogło jej iść już wtedy? Bo dzisiaj sprawa jest nieco inna: przyjąwszy, że w jakiś niewytłumaczalny, ze sztukami czarnoksiężskimi graniczący sposób, Władka wie wszystko, co się z nim dzieje gdy nie są razem, to rzeczywiście mogła mieć teraz pewną określoną swoją pretensję o spotkanie się i poznanie z Anną. Wprawdzie spotkaniu temu nie jest nic winien, nie dążył do niego, wynikało ono z przebiegłości księdza Krauze, ale, tak czy owak — było. Borowicz przyzwyczał Władkę do tego, że w życiu jego, poza nią, nie ma ani śladu kobiety. Dzięki temu może Władzia nie mówiła nigdy o małżeństwie, choć na pewno nieraz o tym myślała; zdawała sobie jednak sprawę z rozmaitych, czyhających tu komplikacji, utrudnień czy niesmaków, a z drugiej strony sytuacja, że była w życiu Borowicza kobietą absolutnie jedyną, uspokajała ją, rozpraszała wątpliwości — żyli przecież zupełnie jak małżeństwo, a nawet jeszcze bliżej: przed południem wspólnie pracowali w Komitecie, po południu zaś spotykali się w drewnianym pokoiku — to było więcej, niż owe przechwalone noce, które człowiek rozsądny a zapracowany poświęcać winien na spanie. Założywszy więc, że Władka jakimś cudem dowiedziała się o owym zaimprovizowanym spotkaniu z tamtą dziewczyną, córką Wandy, to ostatecznie mogła żywić cień pretensji i obawy, choć, jak na razie przynajmniej (a tak na pewno zostanie), znajomość ta nie miała dla Borowicza żadnego, zupełnie żadnego znaczenia. Ale dlaczego Władka była wobec niego zmieniona już wtedy, przed tygodniem czy dziesięciu dniami, gdy rozpatrywano sprawę Gellera, a także codziennie od tego czasu? Może ksiądz Krauze, rozmawiając z nią przez telefon nadmienił coś o Wandzie i o paryskim z nią spotkaniu, a może sama się jakoś o tym dowiedziała? To by nie było najgorsze, bo żaden romans z Wandą przecież mu nie grozi i to nie tylko ze względu na odległość. Ale mogła tu również wchodzić w grę rzecz całkiem inna: czy przypadkiem niepokoje i pretensje Władki nie miały podkładu ideologicznego — wszakże mogła być nabrać początków nieufności wobec niego widząc jego podejrzone konszachty z jakimś

księdzem, jego zmieszanie, którego nie potrafił ukryć, a także poufałe wizyty Grochowskiego; sprawy te zebrane razem mogły jej się ułożyć w głowie w jakąś zupełnie nie przewidywaną całość. Tak, to nie było niemożliwe, Władka była przeszkoloną pracownicą Komitetu, wszystko, co w życiu miała, zawdzięczała Partii i komunizmowi, do jej obowiązków należało również kontrolowanie prawidłowości tego, co się robi i dzieje w Wydziale; w ogóle etatowi pracownicy Komitetu zawsze sprawdzali pracę prezydiów, a spostrzeżeniami swymi dzielili się z kim trzeba — to należało poniekąd do ich obowiązków. Borowicz pewny był wprawdzie oddania Władki, ale wiedział, że oddanie to nie jest czymś osobnym, lecz składnikiem pewnej złożonej, kompleksowej całości: Partia, Komitet i praca w nim, Borowicz, to były właśnie nierozłączne elementy tej całości, żaden z nich nie mógłby istnieć sam przez się, bez pozostałych, gdyż w sumie dopiero składały się na całość psychofizyczną, a taka psychofizyczność właśnie czyni ich stosunek z Władką, czymś intensywnym i tajemniczym podniecającym — sama fizyczność dać tego nie mogła, o czym przekonał się dowodnie właśnie przed chwilą, a raczej przekonali się o tym oboje.

Borowicz siedział teraz na łóżku, Władka leżała na wznak przykryta prześcieradłem po czubek nosa, jej nieprzeniknione oczy utkwione były nieruchomo gdzieś w suficie, bogate blond włosy (była blondynką naturalną, nie uznawała żadnego farbowania czy rozjaśniania) rozrzucone na poduszce, wyglądały nader dekoracyjnie, gdyby ktoś miał akurat ochotę im się przyglądać. Ale chętnych w tej chwili nie było: jedyny potencjalny widz czy obserwator to Borowicz, cóż z tego jednak, kiedy siedzi on w pizamie na brzegu łóżka zły i skwaszony. Wszystko go w tej chwili drażni, nawet tło akustyczne, dolatujące z ulicy: składa się na nie przede wszystkim warkot motocykli, tych volkswagenów socjalizmu — jest to warkot ostry, wibrujący jak odgłos borowania zęba u dentysty, ogłusza i wświdrowuje się w głąb czaszki a cichnie długo i powoli, zostawiając w głowie przykry refleks, którego nie można się pozbyć aż do chwili, kiedy wypierać go zacznie narastający koło domu warkot nowej zbliżającej się maszyny. W sumie nieustający kołowrót hałasu, w który dziwnie się jakoś dzisiaj wprzęga cała uwaga i wrażliwość, nie pozostawiając miejsca na żadne inne doznania i to nie tylko fizyczne ale nawet psychiczne. Chociaż co do tych drugich, to na pewno istniały — Borowicz wiedział o nich, mimo że ich na pozór nie czuł: na pozór, bo w gruncie rzeczy drażyły go, wzbierając tylko w innej formie, w postaci choćby zdenerwowania, wywołanego przez wiercący w głowie jak w bolącym zębie terkot

motocykli, wobec którego głębszy, cieplejszy szum zrzadka przejeżdżających samochodów wydawał się niemal wybawieniem.

I pomyśleć, że dziś właśnie mieli z Władką uczcić na swój sposób sukces w sprawie Gellera, sukces, a właściwie tryumf nad Sewerynem; tryumf ten zawdzięczali zresztą zdecydowanej interwencji towarzysza Ludwika, który przechylił szalę na rzecz Borowicza. Takie właśnie sukcesy stały zawsze u źródła ich psychofizycznych czy zgoła — Borowicz wiedział to teraz na pewno — polityko-fizycznych uniesień. Dziś jednak uniesienie nie przyszło, przyszła tylko pustka niepotrzebnego cielesnego stosunku. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że sukces polityczny nie był tym razem ich wspólnym sukcesem, przynajmniej tak to zapewne odczuwała nagle jakoś osobna, psychicznie izolowana Władka, a jej odczuwanie musiało się natychmiast udzielić i jemu, psując wszystko. Już wtedy, na odprawie z Szefem wiedział, że Władka nie jest po jego stronie tak jak zwykle, że zachowuje neutralną rezerwę, tym razem nie udawaną, lecz jakoś autentyczną. Może, a raczej na pewno, od czasu jego wyjazdu do Paryża a potem wizyty Grochowskiego, telefonu księdza Krauze i, co najgorsze, bo najtrudniejsze do wytłumaczenia, zmieszania i niezdecydowania wówczas, przed pójściem do Sejmu, Władka o coś go podejrzewała a to coś połączyła sobie politycznie ze sprawą Gellera — choć przecież jak najnieśluszniej, bo niejednokrotnie powinna się była przekonać o negatywnym stosunku Borowicza do wszystkiego, co tamten robił, mówił czy pisał. A może tu chodziło o co innego, ale w takim razie chyba o coś, czego sam Borowicz nie wiedział. No bo przecież spotkanie z tą małą Anną odbyło się dopiero tydzień później, a rezerwa czy utajona (choć nie precyzyjnie utajona) niechęć Władki zmanifestowana została na dobre właśnie podczas odprawy dotyczącej problemu Gellera.

Odprawa owa rozpoczęła się groźnie a zakończyła nadspodziewanie pomyślnie. Borowicz sprowadził całą swoją zamierzoną ekipę: Kasperczyka, Pietrzaka i robiącą notatki Władkę; Seweryn przyszedł z Pułkownikiem — to nie było najgorsze, bo Pułkownik, choć w obejściu chamuś, zawsze w sumie zachowywał się raczej przyzwoicie, chyba zaś nie przyszło mu do głowy zaraportować Sewerynowi o tak drobnym fakcie, jak telefon księdza do Borowicza. Szef był ze swoim sekretarzem, ambitnym i ruchliwym, uprzejmym a w gruncie rzeczy trudnym do przeniknięcia i rozszyfrowania Gniotkowskim, no i wreszcie Ludwik, absolutnie dziś tajemniczy, mówiący cicho, niemal szeptem, czający się do skoku: z tej strony Borowicz, dobrze znając jego nerwowe, nieobliczalne reakcje, spodziewał się najgorszego, tymczasem stamtąd właśnie przyszedł ratunek. Na razie jednak zagał

Szef, nie czekając na niczyje wprowadzenie czy wyjaśnienia; wyglądał zmęczony i złowroźnie wściekły, panując jednak nad sobą, choć głos wydobywał głuchy i nieco drżący, myśli zaś formułował bardziej kanciasto, niż zwykle — a przecież miał dziś jeszcze w programie długie, wyczerpujące przemówienie na Majowej Akademii. Czasu zresztą zostało już niewiele, najwyższej godzina — Borowicz nie wiedział, czy to dobrze czy źle. Wszyscy siedzieli z minami bardzo poważnymi, Władka z dużym blokiem papieru na kolanach i długopisem w ręku wydawała się wciele niem obiektywizmu i obojętności, na Borowicza nie rzuciła nawet okiem. Raz na zawsze zawarła taką umowę, że w chwilach trudnych i przy ludziach z zewnątrz unikać będą jakichkolwiek znaczących spojrzeń, tym razem jednak Borowicz czuł niejasno ale na pewno, że chodzi o co innego. Właśnie — o co?

— Mamy tu do czynienia z klasycznym wypadkiem, kiedy towarzysz niegdyś wierny i oddany staje się, przez brak dostatecznej opieki ideologicznej, przez brak czujności ze strony otoczenia i wyobcowanie ze środowiska — jednostką anarchiczną, oderwaną od społeczeństwa i narodu, zdegenerowaną i w rezultacie stacza się na pozycje wrogie, przechodząc jawnie na służbę imperialistów, na służbę ich brudnych, prowokatorskich, destrukcyjnych poczynań. Z tego wniosek, że nigdy nie jest za dużo czujności, uwagi, przestrzegania autentycznej linii partyjnej, linii ideowej. Podczas nieustającej ofensywy wroga, podczas perfidnej ofensywy imperialistycznej prasy i radia, owej propagandy, która wślizguje się tutaj, pomiędzy nas, aby rozsądzać państwo ludowe od środka, nie wolno spocząć ani na chwilę, ani na chwilę zapomnieć nie wolno, że walka klasowa trwa, a w miarę coraz większych sukcesów światowego socjalizmu nasila się i zaognia. Ofiarą tej walki paść może każdy, także i towarzysz partyjny o słabszym charakterze czy mniej jasnym i precyzyjnym rozeznaniu ideologicznym. W walce tej nie ma, nie może być pardonu, pobłażliwości, czy to brat, czy to swat, czy towarzysz komunista czy członek bratnich stronnictw, jeśli staje się narzędziem wroga klasowego, wroga naszej partii i naszego narodu, musi zostać potępiony i ukarany, ukarany bez litości. Kompromisów ideologicznych nie ma, nie uznajemy ich i nie będziemy użnawać. Zjawisko renegactwa napiętnować trzeba i wypalić gorącym żelazem. Ale to jeszcze nie wszystko, to nie wystarczy.

Tu Szef podniósł spuszczone dotąd wzrok na obecnych — w swoich metalowych okularach wyglądał jak wygłaszający kazanie ubogi pastor. Borowicz wiedział co teraz nastąpi, inni też. Kasperczyk przesunął język po wyschniętych wargach, Pietrzak raczej błady starał się nie patrzeć w żaden określony punkt,

a w każdym razie nie na Szefa, Władka niby nieporuszona bawiła się jednak nerwowo długopisem — wobec braku zachęty ze strony Borowicza nie zaczęła jeszcze nic notować. Szef przebiegł wzrokiem po obecnych i znowu spuścił oczy, lecz za to głos jego rozpoczął teraz długą frazę crescendo, która — wiedzieli o tym wszyscy obecni — doprowadzić miała do przenikliwego, starczego (choć Szef nie był jeszcze taki stary) krzyku. — Trudno, trzeba przełknąć tę żabę — powiedział sobie Borowicz i nieporuszony słuchał dalej, nie mrugnąwszy nawet okiem.

— Jeśli wśród nas żyje towarzysz, który się załamuje, który schodzi na niebezpieczne manowce mieszczańskiego liberalizowania czy jeszcze zgubniejszego rewizjonizmu, który obraca się w nieodpowiednim towarzystwie i zadaje się z podstępными, perfidnymi agentami imperializmu, to przeciw wszystko to nie dokonuje się z dnia na dzień, w jednym momencie, wszystko to nie dzieje się w próżni, w osamotnieniu, w oderwaniu od całego naszego życia społeczno politycznego! To wszystko odbywa się wśród towarzyszy którzy obserwują sprawę codziennie przez długie lata; obserwują — i nie wyciągają wniosków, nie próbują wpłynąć na pogrążającego się komunistę, nie próbują alarmować; dochodzi do tego, że ów człowiek jawnie afiszuje się ze zdraźczkami agentami imperializmu, z wrogami, z obrzydliwymi renegatami i kontrewolucjonistami, a potem, za ich pieniądze, objeżdża zachodnią Europę, szkalując nas, naszą rewolucję, nasze państwo, dostarczając naszym wrogom perfidnego materiału propagadowego. Pytam, jak mogło do tego dojść: gdzie jest wasza odpowiedzialność i obowiązkowość, gdzie wasza rewolucyjna czujność i solidarność, gdzie kolektywna współpraca i wzajemna kontrola, bez której nie ma komunistycznej wspólnoty ani komunistycznego państwa?! Mam prawo domagać się od was wyjaśnień i domagam się ich kategorycznie: teraz, zaraz, natychmiast!

Ostatnie słowa, przenikliwie jazgoczące odbiły się krzykliwym, dziwnym echem od wysokiego sufitu małej, sklepionej salki. — Skończyłem towarzysze, a teraz słucham — powiedział spokojniej już Szef i usiadł przy swoim stoliku, patrząc na nich gniewnie spod okularów jak nauczyciel na uczniów. Nastąpiła chwila wyczekującej ciszy; już chciał ją przerwać Borowicz, kiedy ubiegł go towarzysz Seweryn. Szybko poprosił o głos i nie czekając na przyzwolenie, zaczął mówić płynnie, cichym, lecz ostrym skrzypiącym pół szeptem, jakby miał wszystko przygotowane zawnazasu i dokładnie obmyślane — tak zresztą prawdopodobnie było.

— Ta sprawa ma swoje szersze tło środowiskowe — Seweryn formułował myśli gładko choć krótkimi zdaniami. — Środo-

wiskowe i psychologiczne. Idzie mi o środowisko artystyczno-dziennikarskie. Lubimy czasem mu pobłażać (tu wymowne spojrzenie w stronę Borowicza). Mało tego — ulegamy, niektórzy z nas ulegają — nie tylko jego mieszczańskiemu liberalizmowi czy prawicowemu rewizjonizmowi. Ulegają też jego tezom politycznym skierowanym na zewnątrz. Tam się mówi, że Polska leży między Wschodem i Zachodem, między socjalizmem i kapitalizmem. A jeśli tak leży, to musi być w dobrych stosunkach z oboma stronami. Musi, jak się tam mówi, grać na dwóch fortepianach. I tej tezie się ulega — mniej lub bardziej świadomie (i znów ukośne ostentacyjnie znaczące spojrzenie w stronę Borowicza). Z tego ulegania wynikają skutki — w postaci na przykład pobłażliwości dla zagranicznych agentów zwanych dziennikarzami. Fraternalizuje się z nimi, pije, dopuszcza do wszelkich tajemnic. A konsekwencje tego? Konsekwencje widzimy dzisiaj — widzimy niepowetowane, skandaliczne straty i szkody. Lecz nie wystarczy leczyć samą chorobę. Trzeba znać jej przyczyny. Trzeba przeanalizować postępowanie pewnych towarzyszy i to na wysokich szczeblach. Trzeba przeanalizować styl myślenia i nawyczki polityczne w pewnych określonych kołach. Tak, w pewnych określonych (duży akcent na to słowo) kołach i kręgach. Trzeba zbadać, co robią różne sitwy i mafie z pseudo intelektualnego półświatka Warszawy. Trzeba... Trzeba... Trzeba...

Mówił jeszcze dość długo, ale Borowicz nie bardzo już słucał, bo owładnęła nim wszechobejmująca złość na tamtego i na jego fałszerstwa: Seweryn łączył przecież ze sobą w sposób zupełnie dowolny najrozmaitsze, całkiem odmienne i z różnych źródeł się wywodzące sprawy, przyrządzał z nich jednolitą demagogiczną papkę, za pomocą której nakarmić chciał Szefa, kierując jego wściekłość wyłącznie przeciw Wydziałowi Prasy, czyli, w ostatecznym rachunku, przeciw Borowiczowi — niedwuznacznie zresztą na niego wskazywał. Ale Borowicz wiedział już, że tamten przeholował: oskarżenie jego było tandetne i uderzająco demagogiczne, szło za daleko — wystarczy, że jednego starego towarzysza uznano za zdrajcę — dwa grzyby w barszcz na ten sam dzień to by już było za dużo. Poza tym Seweryn mówił zbyt długo — Ludwik popatrzył nawet na zegarek — trwało przecież Majowe Święto, Szef miał za półtorej godziny przydywać na akademię, wygłosić przemówienie, to szło na telewizję, dla milionów ludzi, a Szef choć autokrata (zresztą może właśnie dlatego) przywiązywał do takich, jednostronnych zresztą spotkań z ludem, ogromne znaczenie. Toteż Seweryn kończył swą przedługą mowę oskarżycielską (dlatego właśnie zabrał głos przed Borowiczem, aby ustawić się w roli prokuratora nie zaś świadka czy nawet

współoskarżonego) w atmosferze ogólnego choć milczącego napięcia, ale napięcie to nie było wywołane samą mową, lecz raczej jej monotonna w końcu długotrwałością — po prostu nie napięcie lecz zniecierpliwienie pomieszane z irytacją. Borowicz wyzyskał to.

Przemówił krótko, jasno, dobitnie. Wskazał na szereg niedwuznacznych faktów, przypomniał, jak wielokrotnie na próżno ostrzegał przed Gellerem, choć nie posuwał się wówczas do insynuacji, które wobec zasłużonego, cieszącego się zaufaniem działacza partyjnego byłyby nie na miejscu. Przypomniał, jak kilkakrotnie domagał się wstrzymania tamtemu paszportu zagranicznego, zwrócił uwagę na absurdalny brak koordynacji między swoim wydziałem a wydziałem paszportowym i wydziałami bezpieczeństwa (— U siebie nie może dać rady, a innych krytykuje — mruknął zupełnie już bezczelnie Seweryn). W tej sytuacji, gdy niektórzy towarzysze lekceważą sobie wszelkie uwagi a nawet sabotują wyraźne ostrzeżenia (to był rewanz!), rzeczywiście nie łatwo jest pracować — zwłaszcza gdy w dodatku chce się odwrócić uwagę od mankamentów organizacyjnych i braku dyscypliny przez rzucanie nieprzemyślanych oskarżeń w różnych kierunkach!

Kończąc wiedział już, że jest górą, że rozgrywka przechyla się na jego stronę. Trzeba tylko było, aby ktoś z kierownictwa rzecz pokwitował; Szef kapitulować nie lubił, ale załatwił sprawę towarzysza Ludwik, który tymczasem parę już razy spoglądał na zegarek. Stwierdził on krótko i rzeczowo, że obwinianie kogoś indywidualnie o sprawę tak złożoną jest niewłaściwe, że konsultacje kolektywne pozostają zawsze niezłomną podstawą partyjnego działania i że, owszem, on Ludwik, przypomina sobie wielokrotne ostrzeżenia towarzysza Borowicza przed Gellerem, ostrzeżenia, z których niestety nie wyciągnięto wniosków w czasie właściwym.

Tym stwierdzeniem towarzysz Ludwik przesądził sprawę — reszta była już tylko formalnością. Z uwagi na małą ilość czasu przed zbliżającą się akademią mówca zaproponował teraz stworzenie dla tej sprawy specjalnej komisji, która zaczęłaby swą pracę od jutra. Na przewodniczącego komisji wyznaczono z natury rzeczy Borowicza (to była przysłowiowa kropka nad i), z ramienia wydziału Seweryna miał do niej wejść Pułkownik — nie chciano jednak zbyt upokarzać, jasne zresztą, że w innym składzie w ogóle by się ze sobą nie dogadali. No i tak się skończyło — generalnym tryumfem Borowicza. Szef, po swoim gwałtownym wybuchu, wyłączył się jakoś, może skupiał się przed czekającym go przemówieniem, w dużej zresztą części przygoto-

wanym przez Borowicza. Na akademię wybierali się zresztą wszyscy, Borowicz też, choć wolałby zająć się od razu sprawą Gellera, ale jego nieobecność w tej sytuacji różnie mogłaby być komentowana, a jak kogoś raz, choćby przedwcześnie, zakopią, to bardzo często trudno go już potem odkopać, tworzą się sytuacje nieodwracalne, kamień toczy się z góry coraz prędzej. Rozstali się jak ludzie bardzo zajęci, ale z wrażeniem wielkiego tryumfu Borowicza nad pochopnie atakującym Sewerynem, tryumfu, potwierdzonego zresztą wyraźnie na obradach komisji w dniach następnych.

Tak, bardzo to pięknie, ale zwycięstwa tego nie akceptowała ani nie pokwitowała jedna bliska mu osoba — Władka. Pracując z nim przez ostatni tydzień, robiąc formalnie wszystko, co do niej należało, była obojętna, nieobecna, jakby uleciały z niej wszelkie ich wspólne uczucia i myśli. Korciło to Borowicza, ale na umówienie się z nią nie było czasu. Dopiero po przypadkowym spotkaniu z małą Anną zaczęły go gnębić nieokreślone, na wyrost zresztą skrojone wyrzuty sumienia. Umówili się wreszcie i oto właśnie wyniknął ten piekielnie nieprzyjemny i drażniący wieczór — ale przecież to nie mogło chodzić o Annę, Władka była taka już przedtem, już od szeregu dni. Więc co to wszystko znaczyło?

Spotkanie z Anną, niespodziewanie dla Borowicza, zaaranżował ów cały podejrzany ksiądz Krauze — to był na pewno, mimo swego pobożnisiostwa niezły frant, spryciarz i intrygant — widać to choćby po sposobie, w jaki nabrał go na ową randkę. Umówili się poprzedniego dnia, tamten zadzwonił znów do domu, a Borowicz lekkomyślnie zdecydował, że druga mała przedwiosenna przejażdżka autem mu nie zaszkodzi — choć nic tamtemu nie załatwił i załatwić nie miał zamiaru. Ale gdy tylko w niebieskawej, chłodnej popołudnie zajechał na umówione miejsce nadwiślańskiej autostrady (jadąc miał dotkliwie poczucie bezsensu tego rodzaju spotkań i niezłomne postanowienie spławienia tamtego raz na zawsze) spoza rozłożystego drzewa wysunęły się najniespodziewaniej dwie sylwetki. — Oto nasza maturzystka — przedstawił rażno ksiądz Krauze i zanim się Borowicz obejrzał, już mknęli we troje zamiejską autostradą: dziewczyna koło Borowicza a zarys kapłana z tyłu. — Po prostu stręczyciel w sutannie — pomyślał sobie Borowicz, ale nie było to całkiem ściśle, bo tamten na mieście sutanny nie nosił.

W dodatku ksiądz kazał się odstawić do jakiejś podwarszawskiej miejscowości, gdzie według jego słów, zabawić miał około trzech kwadransów. Był on dzisiaj całkiem bezczelny, i w rezultacie kompletnie zaskoczony Borowicz pozostał sam na sam

z dziewczyną. Wyszli oczywiście z auta i spacerowali po polu, wzdłuż brzegu lasu. Choć to już upłynął tydzień maja, było jeszcze całkiem zimno, bruzdy polne spały zamarznęte i pokryte śniegiem. Ale warstwa śniegu okazywała się cienka, a pod nią coś tam się już przecież działo. Anna próbowała ów śnieg czubkiem bucika: łatwo dawał się przebić a pod spodem ziemia już żywa, ożywająca jak co roku. — Bezmyślny pęd do życia — pomyślał ni stąd ni zowąd Borowicz.

Była to ładna, wysoka dziewczyna, ubrana wcale nie po uczniowsku — egzaminy maturalne czekały ją, jak mówiła, za parę dni. Fala brązowych włosów wymykała się spod beretu, oczy miała bardzo ciemne, aksamitne, takie jak Wanda tylko o zupełnie innym wyrazie — mniej w nich napięcia a więcej tajemniczości. Mówiła niskim, mrużącym głosem a zachowywała się jak dorosła, tyle, że trochę pomyłona, bo tak, jakby Borowicz wiedział o niej dużo dziwnych i znaczących rzeczy, jakby brał udział w jakiejś osnuwającej ją tajemnicy czy skierowanym przeciw niej spisku. To właśnie były zapewne owe freudowskie kompleksy, o których wspominał ksiądz, ale czy naprawdę są one freudowskie, czy to nie zwykły bzik? Bo czasami odzywała się jak kompletna wariatka, co zresztą Borowicz próbował bagatelizować i obracać w żart.

— Więc pan jest jeszcze jednym kandydatem na mojego ojca? — powiedziała na przykład. — To ciekawe: mieć tylu ojców, z których żaden nie jest pewny. Pewna jest tylko matka, choć nie można jej zobaczyć — zawsze nieuchwytna, daleka.

W żadnym wypadku nie jestem kandydatem na pani ojca — mruknął Borowicz, zapeszony tą dziwną bezceremonialnością. — Znam pani matkę — to i wszystko.

— Ach, zna pan moją nieuchwytną mamę — ironizowała. — A ojciec, co pan powie o ojcu?

— Ojciec pani, o ile wiem, zginął na wojnie. Borowicz nie bardzo wiedział, co mógłby jeszcze innego dodać, ona jednak nalegała w sposób wręcz natrętny.

— Ale jaki on był, niech pan mi opowie. I do jakiej narodowości należał? A przede wszystkim do jakiej rasy?!

Borowicz powiedział, że ojca nie znał. — Acha, nie chce pan mówić o rasie — tryumfowała. — Ja wiem, domyślam się, dlaczego. Nikt o tym nie chce mówić — też wiem dlaczego.

Wzruszył ramionami: czyżby naprawdę miała jakieś kompleksy rasowe? Może przyczyną było jej otoczenie? Ale to przecież niemożliwe; Borowicz wiedział, że w zakonach, zwłaszcza żeńskich, dużo jest osób pochodzenia żydowskiego, jeszcze z czasów wojny. — Niemcy przekonali ich do chrześcijaństwa — pomyślał

sarkastycznie. Ale może chodziło o ojca, może na tym polegał kompleks? No tak — z ojcem to wyglądało gorzej, w ogóle dziwna historia. A ona nic pewnego nie wie, domyśla się chyba gorszych rzeczy, niż były. Ale niech się domyśla — od niego w każdym razie się nie dowie. Niech się tym zajmie ksiądz — to jego zawód uspakajając dusze!

Jeszcze przez pół godziny wykręcał się jak mógł przed jej dziwnymi pytaniami. Irytowało go to coraz bardziej, ale z drugiej strony żał mu było dziewczyny — niechby rzeczywiście pojechała sobie do matki, bo tutaj zwariuje do reszty. Oni, starsi, którzy znają tkwiące w przeszłości korzenie rzeczy, mogą sobie jeszcze coś niecoś wytłumaczyć, ale nie ta młodzież naiwna, oglądająca tylko niezrozumiałe ślady dawnych zdarzeń. Tak, Anna była bezradna, a on znowu był bezradny wobec niej. Niech jedzie — to najprostsze wyjście i właściwie — jedyne. Inaczej może z nią być kłopot.

Niczego im jednak przy pożegnaniu nie obiecał — sytuacja po aferze Gellera zbyt jest napięta, aby teraz posyłać Kasperczyka do Dyrektora — mogłoby z tego wyniknąć Bóg wie co. I w ogóle, chociaż Anna go poruszyła, miał skłonność o tej historii natychmiast zapomnieć — został właściwie tylko nikły nastrój przedwiosennego wieczoru. Ale dzisiejsze zachowanie Władki znów ożywiło w nim całą sprawę: czyżby Władka naprawdę coś wiedziała i była zazdrosna? To przecież bardzo niemądre: zniszczy wszystko bez żadnego powodu, a naprawić coś takiego, gdy raz się zepsuje, bardzo jest trudno.

A może to jednak polityka? Władka jest bardzo zajadła: Borowicz wiedział, że zerwała z rodzicami, którzy potępiali ją za komunizm — byli to podobno prości i bardzo pobożni ludzie — proletariacka dewocja rzecz najgorsza. Próbował kiedyś wyciągnąć z niej coś na ten temat, ale na próżno — skryta jest jak diabli.

— Trzeba już iść do domu — odezwała się nagle głosem idealnie neutralnym. Borowicz wzdrygnął się — w swoim zamyśleniu czy raczej odrętwieniu zapomniał niemal o jej obecności, choć przecież myślał właśnie o niej. Więc wieczór miał się tak skończyć, w sposób jałowy i smutny, a w dodatku niepokojący i źle wróżący na przyszłość? Nie da się nic wyjaśnić czy naprawić? Spróbował jeszcze raz kontaktu fizycznego, lecz to dzisiaj nie chwyciło: oboje czuli się zobojętniali, wyjąłowieni a także zażenowani, a właściwie zmrozeni — zmrozeni tym, co unosiło się w powietrzu a czego nie mieli odwagi nazwać. Władka w dodatku zauważyła jego zamyślenie, to jeszcze pogorszyło sytuację — czyżby czytała w jego myślach, do licha?!

Gdy przez błotniste, ciemne przedmieścia odwoził ją autem do domu, wśród wciskających się zewsząd powiewów natrętnej wiosny, dotkliwie czuł jej głuche, pełne niezrozumiałej, niewypowiedzianej urazy milczenie, czuł że kładzie się ono ciężarem na jego myśli, że pogłębia stan samotności we dwoje, przypięczetowuje poczucie fiaska, porażki, niezrozumiałej lecz dotkliwie realnej, porażki która coś znaczy, która będzie miała konsekwencje. Takiego wieczoru nigdy jeszcze przecież nie przeżyli.

VIII

Komisja, badająca sprawę Gellera, pracowała pod kierunkiem Borowicza bardzo pilnie, choć rezultaty nie okazywały się zadowalające: afera była dziwna i wciąż prezentowała jakieś swoje nowe strony, wciąż z niej coś niespodziewanie wyskakiwało, według określenia Pułkownika, jak diablik z pudełka.

Pułkownik brał udział w komisji jako reprezentant Seweryna i w ogóle Wydziału Bezpieczeństwa — był to miły prostak, choć Borowicz podejrzewał czasem, że prostactwo jego i grubowatość to mniej lub więcej uplanowana poza, maska, pod którą ukrywa się pewne niewątpliwe wyrafinowanie: wyrafinowanie owo objawiało się czasem z nagłą w jakichś półsłówkach i aluzjach, zdumiewających bystrością lub zgoła mądrością, a rzucanych od niechcienia, nie wiadomo czy przypadkiem czy naumyślnie. A więc nie był to chyba człek tak prosty, jakim się wydawał, choć Borowicz pamiętał go z czasów okupacji jako towarzysza szlachetnie prostolinijnego, o ogromnej, rubasznej przy tym w swej zewnętrznej formie odwadze, nigdy nie przechwalającego się ani nie wypychającego na pierwszy plan, lecz zawsze gdy potrzeba gotowego dać dowody niezwyklej wierności i poświęcenia. Krótko mówiąc, porządny to był chłop, a przyjaźnił się zawsze i z Borowiczem i z Sewerynem — to jedno wydawało się niepokojące, po latach zaś stawiało wręcz znak zapytania nad obecnym jego charakterem. Cóż zresztą można wiedzieć o zmianach, dokonywających się na długich przestrzeniach czasu we wnętrzu człowieka; zewnętrzna fizyczność, mimo starzenia się na pewno mniej się zmienia, niż owo wnętrze: wszakże po kilkudziesięciu nawet latach można, choćby z trudem, zidentyfikować twarz ludzką, odcyfrować jej tożsamość. Inaczej jest z psychiką i z umysłowo-

ścią — pod tym względem człowiek może się zmienić absolutnie, całkowicie, stać się zupełnie kimś innym, nosząc przy tym dla niepoznaki to samo nazwisko i tę samą twarz. A w wypadku Pułkownika dołączała się tu jeszcze sprawa wieloletniego stałego używania alkoholu, co nie może pozostać bez wpływu na psychikę, na zmiany psychiczne: wódka drażyła tak zwaną duszę w sposób nieodparty, przykładów tego w Warszawie nie brakło i to na samych najwyższych szczytach — oczywiście poza Szeferem i Ludwikiem — ci byli ponad wszelkimi podejrzeniami, tyle, że jak głosiła owa wścibska wieść gminna, pili czasem we dwóch sobie a muzom (co zresztą w niczym ich, ani ich niezłomności nie naruszało).

Ale, niezależnie od upływu lat i wódki, Borowicz nigdy nie miał wobec Pułkownika poważniejszych zastrzeżeń, choć oficjalnie należeli przecież do ugrupowań zgoła przeciwnych. Liczył, że i w owej Gellerowskiej komisji jakoś się ze sobą dogadają, oczywiście o całe niebo lepiej niżby to mogło mieć miejsce ze zwierzchnikiem tamtego, czyli Sewerynem. Poza tym do komisji weszli współpracownicy Borowicza, Kasperczyk i Pietrzak oraz, jako łącznik z Szeferem, sekretarz Kierownictwa Gniotkowski. Zaufaną wreszcie siłą biurową, to znaczy osobą czuwającą nad dokumentacją i całokształtem technicznej strony prac komisji została towarzysząca Kowalczyk, czyli po prostu nie kto inny, jak Władka. I tu był właśnie szkopuł: szkopuł psychologiczny a nawet techniczny, bo Władka nie ułatwiała tym razem Borowiczowi zadania. Robiła wprawdzie wszystko, co jej zlecono, ale tylko to i tylko wtedy, kiedy właśnie jej zlecono: nie wychodziła na przeciw, nie uskrzydlała spraw, jak kiedyś przez bystre choć milczące zainteresowanie, nie zadziwiała zgadywaniem życzeń i przygotowywaniem zawczasu materiałów, które mogą okazać się potrzebne. Słowem uprawiała coś w rodzaju włoskiego strajku: wykonywała ściśle i wyłącznie to, co do niej należało, ale tylko wówczas, gdy jej to wyraźnie polecono. Było to ogromnie niewygodne i zniechęcające. A tymczasem dobre przeprowadzenie prac komisji stawało się dla Borowicza niezwykle ważne: przy pomyślnym rozwiązaniu tego problemu mógł raz na zawsze zatryumfować wobec Szefa nad Sewerynem, wykazując bezpodstawność i perfidną fałszywość oskarżeń i insynuacji tamtego. Sprawa Gellera była tutaj typowa, przykładowa, wręcz klasyczna: Geller, rewizjonista, liberał skłaniający się ku międzynarodowemu trockizmowi czy zgoła socjaldemokracji, w dodatku Żyd z kontaktami zagranicznymi, to było właśnie wszystko to, o co wrogowie w bezsensowny, urągający rzeczywistości, ale niebezpieczny sposób usiłowali obwinąć Borowicza i od czego mógł się obecnie raz

na zawsze, radykalnie odciąć, gruntując bezapelacyjnie swą pozycję wobec Szefa i Ludwika a więc swoją przewagę nad intrygantami. Aby się tylko udało dobrze i skutecznie popracować!

Niestety jednak, właśnie przez bojkot ze strony Władki, rzecz stawała się trudna i nie precyzyjna, w dodatku nie było już tak bardzo z kim pracować. Pozostawali bowiem Pietrzak i Kasperczyk, z których, w każdym zresztą wypadku dla innych przyczyn, pożytek nie mógł się okazać zbyt wielki. Pietrzak był młodym człowiekiem, bardzo uczciwym i ideowym, który jednak w tej chwili przeżywał właśnie jakieś załamania i wątpliwości. Bezpośrednią tego przyczyną stała się jego niedawna podróż na Śląsk — Pietrzak w ogóle dużo jeździł, dokonywując z ramienia Borowicza rozmaitych inspekcji w terenowych wydziałach i komitetach, a na Śląsku posiedział dość długo, przyglądając się z bliska rozmaitym sprawom tego rzeczywiście dość osobliwego terenu. W okresie stalinowskim i jeszcze przedtem, w pierwszym, bezpośrednio powojennym politycznym i ideologicznym rozgadiazu, popełniono tam wiele błędów które mściły się dziś, w epoce stabilizacji narodu i państwa. Prześladowano wówczas na przykład a co najmniej upośledzano uczestników antyniemieckich powstań śląskich, które miały miejsce przed plebiscytem i ustaleniem granicy, zaraz po Pierwszej Wojnie. Oczywiście, powstańcy ci, teraz już przeważnie ludzie starsi, to byli zazwyczaj działacze katolicycy czy prawicowi, ale w świetle hitleryzmu i Drugiej Wojny ich antyniemieckość, zwłaszcza na tym tak brutalnie germanizowanym terenie, stawała się dla nowej Polski cnotą wręcz bezcenną. Tymczasem zwyciężył tutaj wśród kierujących po wojnie Śląskiem towarzyszy stary pogląd luksemburgowski czy zgoła trockistowski, pogląd, który kazał kiedyś Komunistycznej Partii Śląska wypowiedzieć się przeciw ruchowi powstańczemu a na rzecz przemysłowych, sproletaryzowanych Niemiec, gdzie przygotowywała się wówczas decydująca o losach Europy walka, nie zrealizowana niestety robotnicza rewolucja. Pogląd ten miał, owszem swoją (choć i wtedy krótkowzroczną) rację bytu w ówczesnym, określonym momencie historycznym — wobec jednak z gruntu nowych okoliczności należało rzecz zrewidować — od czegoż dialektyka? Ale przy powojennej walce wszystkich przeciw wszystkim i w ogólnym powikłaniu racji, zorientowano się w całym problemie za późno, a tymczasem stały się rzeczy nieodwracalne i skandaliczne: wielu z weteranów owych powstań, ludzi częstokroć zniszczonych materialnie, pozbawionych środków do życia, a nawet groszowych emerytur, zadeklarowało narodowość niemiecką i przy najbliższej okazji wyemigrowało do Republiki Federalnej. Zmroziło to patriotyczną część opinii Ślązaków, u których polskość

zawsze łączyła się nierozdzielnie z religijnością. Reszty dokonały chmary karierowiczów i cyników, którzy napłynęli do Partii, przyjmowani tam chętnie, mimo swej przymusowo Wehrmachtowskiej a czasem i nie całkiem przymusowo SS-mańskiej (na co przychymano oczy) przeszłości. Szkody stały się ogromne i wręcz niemożliwe do odrobienia, ostatnim zaś nadającym się do ich naprawienia człowiekiem był obecny Sekretarz, towarzysz Sztymar, niezwykle twardy w stosunku do religii i ślepo wyznający kult dyktatury aparatu. Ha, cóż, błędy zdarzają się w historii, a raczej historia jest w ogóle ciągiem i wypadkową błędów. Ale towarzysz Pietrzak był żarliwie wierzący i ani rusz nie mógł się pogodzić z faktem, że Partia okazała się najbardziej niepopularna właśnie w najdawniej skapitalizowanym i uprzemysłowionym, na wskroś robotniczym okręgu Polski. Towarzysz Pietrzak nie rozumiał historycznej proporcji i możliwości błędów, to wina jednostronnie dogmatycznego wychowania w Szkole Partyjnej, ale, tak czy owak, znajdował się teraz w stanie głębokiego wewnętrznego wstrząsu i sprawa Gellera była tej jego sytuacji psychiczno ideowej jak najdalsza, w żaden sposób nie potrafił ani się na nią przestawić, ani się nią przejąć ani nawet zainteresować: w zebraniach asystował milczący i nieobecny, często w ogóle nie przychodził, co zresztą i lepiej, bo Borowicz obawiał się jakichś jego nieprzewidywanych reakcji, nie chciał też, aby chłopak wkopał się przed Pułkownikiem, który w takich sytuacjach żartować czy bawić się w subtelności nie lubił — od tego siedział przecież w Wydziale Bezpieczeństwa.

Tak więc i Władka i Pietrzak w swym obecnym stanie ducha nie mogli być uważani za pewnych sojuszników ani nawet za odpowiedzialnych współpracowników w owej arcy dla Borowicza ważnej komisji. W ostatecznym więc rachunku pozostał mu Kasperczyk. Ten przynajmniej przejmował się sprawą w sposób właściwy, bo wiedział dobrze, czym ona grozi im wszystkim, a zwłaszcza Borowiczowi i jemu: był przecież odpowiedzialny za dziennikarskie paszporty i wyjazdy, sam przesiadywał za granicą i wysyłał tam swoje przyjaciółki, nie chciał za nic tego wszystkiego stracić ani w ogóle narazić się taką sprawą — raz już przecież znalazł się omal że za burtą a wrócił cudem, mimo olbrzymiej konkurencji chętnych i chciwych, wrócił tylko i wyłącznie dzięki Borowiczowi. Rzucił się więc teraz do pracy z ogromną energią i przekonaniem, ale cóż — to tylko wierny i zmyślny gończy pies, nic więcej — brak mu subtelniejszego rozeznania politycznego, brak znajomości charakteru zainteresowanych tą sprawą partnerów wewnętrznych, nie ma też świadomości mogących z tego wszystkiego wyniknąć komplikacji na zewnątrz. Mimo to

oczywiście jego energia i dobra wola są nie do pogardzenia, ale trzeba go wciąż kontrolować, informować i dawać instrukcje. W rezultacie pracowali razem, głównie we trzech: Borowicz, Pułkownik i właśnie Kasperczyk; Gniotkowski nie mieszał się w podejmowane decyzje, zbierając tylko o nich informacje dla Szefa, Pietrzak zaś tak jakby w ogóle nie istniał. No i jeszcze, oczywiście, Władka, rozdział odrębny, sam dla siebie.

Sprawa od razu na drugi dzień, gdy tylko nawiązali stały telefoniczny kontakt z ambasadą w Londynie, okazała się zupełnie inna, niż to po pierwszych informacjach można było przypuszczać. Borowicz myślał, że Geller zdecydował się pójść na całego, że wywiad jego oznacza zerwanie z Polską i jest pierwszym z serii hałaśliwych, tym razem międzynarodowych wystąpień, jakie sobie zgodnie ze swoimi teatralnymi upodobaniami zaplanował. Tymczasem, jak się okazało, Geller wcale nie wybrał wolności (tak to nazywano od czasu książki pewnego zbiegłego na Zachód rosyjskiego dyplomaty), lecz przeciwnie, uważał się nadal za jak najbardziej pełnoprawnego obywatela ludowej Polski. Już na drugi dzień po opublikowaniu wywiadu zgłosił się w londyńskiej ambasadzie, a przyjęty przez sekretarza prasowego, długo mu tłumaczył, że wywiad jego został przekreślony i rozmyślnie wypaczony, że posłał już do owego pisma (była to dość poważna, liberalna londyńska gazeta) sprostowanie, a całą rzecz wraz z jej intencjami, wyjaśni dokładnie komu trzeba po powrocie do Warszawy, gdzie się najwyraźniej i to wkrótce wybierał. Jak się zdaje, wskazany mu przez sekretarza ambasady fakt, że z wypowiedzi jego zrobiło już przebojową sensację masowo w Polsce słuchane emigracyjne radio Zjednoczonej Europy nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia — pewno się nawet z tego, jako zawodowy reklamiarz, mocno w duchu ucieszył. Nie zdawał też sobie sprawy z przesadzającego rzec stanowiska Szefa — a od tego już wszakże odwrotu być nie mogło. Geller najwyraźniej utracił w owym Londynie krajową, komunistyczną miarę rzeczy: beztrąsko, jakby się nic nie stało, chciał wracać. Zdziwiający.

Owa chęć powrotu komplikowała wszystko. Gdyby pozostał na Zachodzie, zostałby w kraju po prostu przemilczany — nawet komunikatu prasowego dawać by nie trzeba. Wprawdzie radio Zjednoczonej Europy bębnić będzie o tym tryumfalnie na całą Polskę długi szereg tygodni, może nawet Geller zacznie się tam produkować i opowiadać przez mikrofon niestworzone, rewelacyjne historie, zawsze wówczas wcale niepodobne do tego, co się naprawdę w Polsce dzieje, choćby nawet mówił wczorajszy towarzysz z jak najlepiej poinformowanego Urzędu (czyżby

tak szybko przyjmowali barwę ochronną, przystosowując się do zachodniego sposobu myślenia, czy też tamtejsze powietrze zmieniło ich od razu i bez reszty?!), ale to wszystko się w Polsce przemilcza: radio Zjednoczonej Europy oficjalnie nie istnieje, a w każdym razie nie jest partnerem do żadnej politycznej dyskusji — kto się w nim znajdzie, ten jakby już był na tamtym świecie. Zupełnie co innego, gdyby Geller wrócił: jak przeprowadzić wówczas jego sprawę przez Związek Dziennikarzy, jak uniknąć rozgłosu, demoralizacji, gniewu Szefa? To było trudne i ogromnie skomplikowane, przy tym w dodatku zamknąć go chyba nie zamkną — sam był przecież długie lata w Wydziale. Chociaż — kto wie. Niech już lepiej nie wraca: przemilczy się go wtedy, tak, jak przemilczało się Molberga, który, choć wieloletni szef wywiadu, wsiąkł w swoim czasie w świat zachodni bezboleśnie, tyle, że przy akompaniamencie jazgotu tamtejszego radia i mniej głośniego prasy, przez nikogo zresztą tutaj nie czytowanej. Ale Molberg uciekł z premedytacją: miał już dosyć walki na parę frontów, dosyć otaczającej go zatrutej atmosfery nieufności, chciał wreszcie kilku lat spokojnego życia. Geller natomiast to typ wariata ideologicznego, on gotów zrobić wszystko, nawet wrócić i złożyć Szefowi samokrytykę; jeszcze rad będzie w duchu, że ma tyle reklamy, w dodatku na obie strony, bo wtedy przecież trzeba już będzie podać coś do prasy. Wy tłumaczenie zaś całej sprawy dziennikarzom a zarazem wyperswadowanie niektórym chęci naśladowania wariata spadnie wówczas oczywiście na niego, Borowicza, on niechybnie łykać będzie wszystkie kolejne zaby. Do diabła! Niechby już tamten został gdzie siedzi, w Londynie, w Ameryce, gdziekolwiek mu się podoba!

— Co zrobimy, jeśli naprawdę wróci? — spytał Pułkownika. Ale ten nie był w nastroju do konfidenalnych rozmówek i niefrasobliwych przypuszczeń — Niech najpierw wróci, to go załatwimy — mruknął z zawziętością. — Ale nie bójcie się, nie wróci. Oni już nie wracają — pamiętacie Molberga?

(— Oni — to znaczy Żydzi — pomyślał Borowicz). Głośno zaś powiedział, że nie byłby tej rzeczy tak całkiem pewien — zna dobrze Gellera i jego szusy, przestrzegał przed nimi wielokrotnie i usilnie — choć na próżno. Pułkownik znowu tylko coś do siebie chrząknął, nie wydawał się przekonany w ogóle nie przywiązywał do słów Borowicza specjalnej uwagi, jakby sądził, że rzucone one były niedbale czy bez przekonania, ot tak, aby coś powiedzieć. A tymczasem słowa te okazały się zgola proce, bo Geller wrócił i to w bardzo niedługim czasie!

Właściwie Borowicz został od sprawy tego powrotu w dziwny sposób izolowany. Niby dowiedział się o tym od Pułkownika,

ale jakoś nie wprost: tamten swoim zwyczajem bąknął coś na ten temat, ale bliższych szczegółów odmówił, twierdząc, że na razie sam ich w ogóle nie zna, co było absolutnie nieprawdopodobne, bo któż w takim razie miałby je znać. W dodatku Borowicz odniósł wrażenie, że zarówno Pułkownik jak i Władka wiedzą na ten temat coś więcej, tylko nie chcą powiedzieć — można by sądzić, że odtąd połączyła ich jakaś konspiracja przeciw niemu, a także przeciwko Kasperczykowi i Pietrzakowi, którzy również nie wiedzieli nic. W ten sposób komisja rozbiła się na dwie grupy: grupa Pułkownika (a więc pośrednio Seweryna!) do której niespodziewanie, choć w wewnętrznym psychologicznym sensie spodziewanie doszłusowała Władka i grupa Borowicza, rozmyślnie pozbawiona informacji a więc w jakiś sposób traktowana z nieufnością. Równowagę i sens całej sprawie przywrócić mógł, jako obserwator z ramienia czynnika nadrzędnego, Gniotkowski, lecz ten właśnie jakby umyślnie czy na złość od chwili wiadomości o powrocie Gellera nie pokazywał się, telefon jego nie odpowiadał, w Komitecie go nie było. Nie odpowiadał również telefon towarzysza Ludwika, a sekretarka, antypatyczna, starsza towarzyszka Kostkowa, nie umiała czy nie chciała udzielić żadnych informacji. W ten sposób komisja znalazła się nagle w kompletnym a niezośnym impasie, zablokowana potrójnie, bo przez absencję zasłaniającego się ważnymi zajęciami Pułkownika, przez milczący a z sabotażem (choć sabotażem przez kogoś autoryzowanym) graniczący brak zainteresowania ze strony Władki, wreszcie przez irytujący brak wszelkich wiadomości czy informacji u nich trzech. Nie wiedzieli nic, nie wiedział nic formalnie wciąż przecież przewodniczący nierozwiązanej przez nikogo komisji — Borowicz. Najwyraźniej uznano, że z chwilą powrotu Gellera sprawa przeszła do kompetencji Wydziału Bezpieczeństwa, nikt jednak nie raczył ich o tym powiadomić, co było skandalicznym lekceważeniem, a także nie tylko lekceważeniem: było demonstracją, wskazującą, że Borowicz i jego wydział mają ograniczony zasięg działania, gdy zaś sprawa wykroczyła poza ten zasięg, nie należy im się nawet informacja o dalszym jej biegu. Tak więc nieufność i podejrzliwość a kto wie czy nie złośliwy Sewerynowski sabotaż wobec przewodniczącego komisji, mianowanego przecież przez towarzysza Ludwika i odpowiedzialnego przed całym partyjnym środowiskiem dziennikarskim! Tę brutalną samowolę można było ukrócić tak, jak to Borowicz robił zawsze: nie przez wdawanie się w bezpośrednią walkę, która niechybnie odczytana być mogła jako frakcyjne wicherzenie, lecz przez spowodowanie interwencji góry, czyli Kierownictwa, a więc Ludwika albo Szefa. Tylko że właśnie nie mógł się do nich w za-

den sposób dobić, choć miotał się przy swoich telefonach niczym pająk w środku sieci, czując wyraźnie i dotkliwie jak w drugim pokoju obserwuje te jego próżne a coraz bardziej nerwowe poczynania pełna milczącej, niezycziwej czujności Władka. To była też arcyważna i arcyniepokojąca a całkiem osobna sprawa, sprawa do głębszego rozważenia i wnikliwego, zasadniczego rozwiązania — oczywiście później, nie teraz, w chwili tak krytycznej. Jak do tego właściwie doszło, że w ciągu dwóch tygodni stali się sobie tak obcy, po prostu wrodzy i że nawet wspólne przecież kłopoty czy niebezpieczeństwa, które nastęrczyła sprawa Gellera, nie potrafiły ich złączyć, przeciwnie, w niepokojący sposób rozdzieliły ich jeszcze bardziej? Zdumiewające — trzeba to przemyśleć i rozwikłać, ale później, teraz nie ma czasu.

Co prawda czasu było właśnie za dużo, bo skoro nic mu się nie udawało, żaden kontakt nie wychodził, to w rezultacie tkwił w swoim gabinecie beczynny, choć pełen napięcia. Chwilami nawiedzała go ochota, aby zerwać osnuwającą go pajęczynę niewiedzy i niezrozumiałego bojkotu w sposób radykalny: wystarczyło podnieść słuchawkę telefonu i nakręcić numer Gellera, miał przecież ten numer w głowie, rozmówić się z tamtym, zażądać wyjaśnień, powiedzieć mu coś ostrego i w pełni zasłużonego, a w ten sposób za jednym zamachem włączyć się w akcję i wobec niego i wobec tych innych, którzy śledzić będą rozmowę za pomocą podsłuchu. Kusiała go ta myśl, parokrotnie już, czy to w domu czy w biurze wyciągał rękę po telefon, ale za każdym razem w końcu ją opuścił. Rzecz była jednak ryzykowna, nie należało dawać nikomu okazji do zarzutów natury wręcz dyscyplinarnej, mieszając się w sprawę, pozostającą w aktualnej gestii Wydziału Bezpieczeństwa. Mogły z tego wyniknąć licho wie jakie komplikacje, a poza tym nie wiadomo przecież jak zachowa się Geller, w jakim jest akurat stanie psychicznym i co zamierza — zamiast zaskoczyć jego można było samemu zostać zaskoczonym, co z takim wariatem i szkodnikiem nie mogło należeć do przyjemności. Cóż więc pozostawało ostatecznie? Czekać i denerwować się własną beczynnością oraz negatywnymi skutkami jakie ona musi w końcu przynieść: wszakże kto stoi w miejscu ten się cofa, zwłaszcza pośród tak ważnych wydarzeń.

W końcu jednak milczenie zostało przerwane i to pośrednio z tamtej strony, ze strony Gellera. Zadzwonił oto redaktor Wojczyński, prezes Związku Dziennikarzy. Bardzo przejęty mówił, że właśnie telefonował do niego Geller i prosił o urządzenie w Związku konferencji prasowej z kolegami z partyjnych redakcji, aby mógł wytłumaczyć im swoją historię i przedstawić swoje stanowisko. To już była istna beczelność: ten człowiek

najwidoczniej nie tylko że nie stracił pewności siebie, ale chciał jeszcze samemu mieć w rękę inicjatywę! Coś wręcz nieprawdopodobnego. Chociaż z drugiej strony, może coś się już w tym kryło, może otrzymał jakąś instrukcję, jakieś polecenie z Wydziału Bezpieczeństwa, może z kimś rozmawiał? Ale w takim razie nie dzwoniłby przecież do Wojczyńskiego, lecz wprost do Borowicza — Wojczyński był tylko figurantem. Nie, to na pewno jakiś manewr, obliczony na zaskoczenie ich i na trudne później do odrobienia zamącenie sytuacji. Ale nie uda mu się!

Telefon Wojczyńskiego uchwycił Borowicza w domu, przy kolacji, którą jadł sam, obsługiwany przez milczącą, bo szanującą jego zamyślenie i zaferowanie matkę. Zza okien dochodziły dźwięki wiosennego, ulicznego wieczoru, jakieś głosy, kroki, dźwięczne, jak klaskanie, stukanie obcasów — pewno kobiecych — o bruk, szum samochodów. Drażniło to Borowicza, nie lubił wiosny, zwłaszcza tak samotnej jak w tym roku, a zaczętej ową zbędną kwietniową promenadą po paryskich bulwarach. Głos Wojczyńskiego w słuchawce mieszał mu się z odgłosami dolatującymi zza półotwartych okien, przez chwilę czuł z całą pewnością, że już to kiedyś wszystko dokładnie tak samo przeżywał, potem zdawało mu się, że rozmowa z Wojczyńskim przeciąga się w nieskończoność, że czas zastygł i stanął w miejscu, a hałasy i szумы za oknem to jakby ułamki rozpryskującego się nagle i rozłamującego świata. Zrozumiał, że jest przemęczony, przedenerwowany, trzeba natychmiast zapanować nad sobą i jakoś, choć telefonicznie, przekazać swój spokój temu chwiejnemu i bojaźliwemu człowiekowi, który musi na nowo osiąść pewność, że ma się kogo bać, że tym kimś jest dla niego Borowicz. Udało mu się, jeszcze raz mu się udało i oto Wojczyński kończył rozmowę uspokojony wyraźną, zdecydowaną instrukcją, jaką otrzymał, instrukcją, że ma zaczekać do jutra na telefon Borowicza i nic do tego czasu nie robić, a już w żadnym wypadku nie rozmawiać z nikim o sprawie Gellera. Po prostu czekać i kwita.

Odłożył słuchawkę i ocierając pot z czoła medytował przez długą chwilę do kogo by tu teraz zadzwonić, aby oczywiście, dowiedzieć się, że tamtego nie ma w domu, w biurze czy gdziekolwiek indziej — tak przecież działo się od trzech dni: może to i był przypadek, ale przypadki powtarzające się tworzą już serię, której układ coś znaczy — o, nawet dużo znaczy!

Postał chwilę przy oknie, patrząc nie widzącymi oczyma na przeciwległy chodnik, rozszumiały dobrze już zaawansowanymi w liście kasztanami, wyczekał aż matka milcząc zabrała talerze i bez żadnej nadziei wrócił do telefonu. Ale tym razem szczęście dopisało mu od razu: w słuchawce odezwał się głos Gniotkow-

skiego. — Towarzyszu, ja w sprawie Gellera — zaczął, ale tamten przerwał mu od razu. — Towarzyszu Borowicz — powiedzial — wstrzymajcie się z tym do jutra rana. Wiem żeście dzwonili, ale sprawa właśnie się wyjaśnia i to po całkiem nowej linii, tak że na razie obrady komisji byłyby bezprzedmiotowe. Jutro wszystko będzie wiadomo, dzwońcie, siedzę w biurze od rana i połączę was z Szefem. Jutro z całą pewnością będzie już wszystko wiadomo.

Borowicz nie bardzo wiedział, co właściwie będzie jutro wiadomo, toteż w tej swojej niewiedzy przewracał się na bezsensnym łożu aż niemal do samego świtu. Nie spał prawie wcale i zjawił się w Komitecie wcześniej, jeszcze przed nadejściem Władki. Szedł pieszo a przepiękny słoneczny dzień i świeża zieleń Alej Ujazdowskich dobrze go jakoś usposobiły, rozpraszając wczorajsze koszmary i przypominając, że wiosna, której nie lubił, to jednak jest wiosna.

W zalanym słońcem biurze czekało go już obiecywane przez Gniotkowskiego wyjaśnienie — na bocznym stoliku obok syfonu z wodą leżał znany mu dobrze z kolorowej opaski wewnętrzny komunikat — biuletyn Komitetu. Zawierał on tylko jedną wiadomość, że oto dziś w nocy aresztowany został w swym mieszkaniu przez organy Bezpieczeństwa dziennikarz Adam Geller, przeciwko któremu toczy się śledztwo z oskarżenia o antypaństwową działalność za granicą.

A więc Gniotkowski wiedział co mówi. Borowicz zasiadł do biurka, lecz zanim jeszcze zdążył uświadomić sobie wagę tej wiadomości, zadzwonił telefon. Był to Pułkownik: jeszcze raz powtórzył Borowiczowi przeczytaną przed chwilą przez tegoż wiadomość, po czym dodał parę zdań uspokajająco przeproszających, że z powodu mnóstwa zajęć związanych z tą sprawą nie mógł odezwać się wcześniej, lecz w ciągu paru dni złoży na komisji wyczerpujące sprawozdanie z przebiegu śledztwa. Czyli że satysfakcja, nie nadzwyczajna wprawdzie, ale w każdym razie satysfakcja. Widać poczuli sami, że za daleko poszli w swej bezceremonialności. Wczorajsza panika okazuje się więc przesadna — jego, Borowicza, sprawy trzymały się jeszcze w jakiej takiej normie, natomiast decyzja aresztowania Gellera powzięta poza komisją stawiała przed jego wydziałem nowe problemy i zadania, którym na wszelki sposób i za wszelką cenę należało sprostać.

Odłożywszy telefon siedział długą chwilę nieruchomo przy zalanym porannym słońcem biurku. Z każdą sekundą czuł jak wstępuje w niego spokój i energia: po raz pierwszy od paru dni wiedział co robić, powróciły doń solidne a precyzyjne kryteria, zarówno taktycznej jak i merytorycznej natury. Rzecz rysowała

się najzupełniej jasno: teraz on musi zwołać zebranie partyjnych dziennikarzy i w ideologicznie bezbłędny sposób wyjaśnić im całą sprawę. To była jego rola, trzeba się zabrać do jej pełnienia jak najprędzej, zanim jeszcze plotka i radio Zjednoczonej Europy wezmą się do dzieła, zanim jeszcze pokażą się rezultaty śledztwa — na takie rzeczy zresztą czeka się zwykle długo. Ależ dograł się ten Geller!

Oczywiście — trzeba było mieć w tej sprawie co najmniej aprobatę Kierownictwa. Borowicz nie namyślał się ani chwili: zadzwonił i od razu w słuchawce odezwał się głos Gniotkowskiego. Szło to dziś wszystko jak z płatka, akurat przeciwnie niż wczoraj, widać zła passa się skończyła, a może istniała ona tylko w jego rozgorączkowanej przemęczeniu wyobraźni? Przy tym czuł, że dobre dzisiejsze samopoczucie wiązało się też z nieobecnością w biurze Władki: teraz dopiero uzmysłowił sobie w całej pełni, jak przez ostatnie dni sparaliżowany był przez jej milczącą niezyczliwość i bierny opór.

Gniotkowski przyjął go wprost serdecznie, z pełnym zrozumieniem ważności powziętej inicjatywy; choć nie ponowił propozycji natychmiastowego połączenia z Szefem (było zresztą jeszcze bardzo wczesnie), to sam zdecydował aby od razu wziąć się do realizacji projektu, gwarantując niemal aprobatę Szefa. To wystarczyło zupełnie, a nawet podwyższało rangę Borowicza, jako inicjatora i samodzielnego wykonawcy.

Za chwilę w biurze rozdzwoniły się telefony, jak nie zdarzało się to tutaj już od dawna. Borowicz poczuł ulubione podniecenie, znak, że jest przydatny, że siedzi w siodle i działa. Zjawił się Kasperczyk, przejęty i służbisty i oto gospodarowali już w najlepszym w obu pokojach, przewracając też do góry nogami papiery w biurku Władki. Gdy zjawiła się po dziewiątej, zrobiła wielkie oczy — była naprawdę zaskoczona, choć szybko to opanowała. Borowicz teraz dopiero spostrzegł, jak jest błada i mizerna. A więc i ją, mimo udanej obojętności, kosztowała ta sprawa, kosztowała drogo. Może więc nie wszystko jeszcze stracone? Trzeba będzie o tym pomyśleć, ale później — teraz nie ma czasu.

Zrozumiał nagle, że jest wyzwolony od czegoś, co gnębiło go i przytłaczało przez szereg dni. Co to było? Na pewno nie wydarzenia z zewnątrz, lecz coś, co dokonało się w nim samym: człowiek nie jest przytłoczony ani złamany, dopóki nie skapitułuje wewnętrznie, dopóki przeświadczenie o nieuniknionej porażce nie przeniknie całego jego systemu odczuwania i reagowania. Kiedy zaś to się dokona, natura najodważniejszego i najsilniejszego nawet osobnika stać się może, na pewien czas a w niektórych wypadkach nawet i na stałe, swoją własną przeciwnością,

swoim zaprzeczeniem — bystrość zmieni się wówczas w nadwrażliwość, realizm w hipochondrię, odwaga w bezsilną bierność. Borowicz widział nieraz takie wypadki i w czasie okupacji i w czasach beriofskich (zresztą zestawiania ze sobą tych dwóch okresów nie znosił i nie uznawał — podejrzewał, że właśnie Gellerowi coś się tutaj w jego obłąkaniu pomieszało, nastąpiło jakieś zastępcze, freudowskie podstawienie, dwie odmienne płaszczyzny nasunęły się na siebie tworząc absurdalną zbitkę — w dodatku Geller nie znał niemieckiej okupacji, nie przeżył jej i miał o to do siebie i do innych nieuświadomioną może pretensję, stąd poszukiwanie rekompensaty w postaci aktów niezwykłej, ryzykanciej odwagi). Borowicz widział więc takie wypadki, nieraz w ich postaci krańcowej, nieodwracalnej, tym razem zaś sam dostarczył przykładu, na szczęście lekkiego, odwracalnego. Przeżył chwilowe załamanie wewnętrzne, które zmieniło jego sposób odbierania wydarzeń z zewnątrz, każąc mu przez parę dni interpretować je w sposób hipochondryczny, widzieć w każdym osobnym fakcie logiczny składnik pewnej złowrogiej całości, podczas gdy w rzeczywistości były to jedynie osobne, różnorodne fakty, a tylko wewnętrzna jego (przejęciowa na szczęście) monomania kazała mu sklejać je w jedną, na pozór konsekwentną zaś w istocie fantastyczną całość. Co było motorem tej monomanii i motywem owej jego, od pierwszego maja trwającej choroby psychicznej? Teraz już wiedział, rozumiał to natychmiast, bez wysiłku, w pierwszym podmuchu duchowej odwilży, jaka go dziś ogarnęła: motywem było nie wypowiedane w myśli, ale mimo to konkretnie i precyzyjnie istniejące w nim przekonanie, że oto, mimo wszelkich zapobiegliwych ostrożności znalazł się w sytuacji, którą zawsze uważał za najgorszą, najniebezpieczniejszą, że wbrew swej woli ustawił się na owym chaplinowskim przeciągu, naraziwszy się jednocześnie dwóm odrębnym, a nawet przeciwnym źródłom siły: Sewerynowi i Szefowi, choćby reprezentowanym zastępczo przez Pułkownika i Ludwika. Z takiej sytuacji, wiedział to zawsze, wyjścia nie bywa, poza jednym: nieszczęsny pechowiec który dał się w ten sposób ustawić musi jak zmyty wylecieć za burtę, wyrzucony tam złowrogą bo bezosobową mechaniczną siłą wichru — przeciągu.

Ale teraz, żwawo krzątając się z Kasperczykiem po biurze, rozumiał już doskonale, że to było tylko złudzenie, majak podsunięty przez nadmiernie praktykowaniem wieloletniej ostrożności wydelikaconą wyobraźnię, wyprzedzającą fakty czy z chorobliwą skwapliwością wybiegającą naprzeciw faktom nieistniejącym. Niebezpieczeństwo nie okazało się realne (w każdym razie jeszcze nie — dopowiadał sobie z nałogowej ostrożności) — potwierdzał to

zresztą szereg dalszych a nie dających na siebie czekać faktów. Zaraz bowiem zadzwonił drugi raz Gniotkowski, komunikując, że Szef jak najbardziej popiera projekt owej dziennikarskiej konferencji i życzy powodzenia, prosząc tylko, aby zachowano pełną tajność i dyscyplinę, nie dostarczając żeru plotkom. Komunikat o aresztowaniu Gellera miał się ukazać dopiero za dwa dni, w zasadzie zresztą o terminie publikacji zdecyduje Wydział Bezpieczeństwa z którym, jak mówił Gniotkowski, należy być w kontakcie i zwołać konferencję po ustaleniu daty. Poza prośbą o tajność Szef nie ma żadnych specjalnych instrukcji, ufa najzupełniej, że Borowicz da sobie radę, potrafiąc narzucić zebraniu odpowiedni charakter a wypowiedzią swoją oświetlić sprawę w sposób ideologicznie najwłaściwszy.

Hm. Borowicz był w zasadzie zadowolony z tej rozmowy, niepokoił go tylko problem tajności i plotek, wiedział bowiem doskonale, że całej historii na dłuższą metę zamaskować się nie da. Nie chodziło nawet o komunikat prasowy: Geller ostatnio znany był tylko w ściśle określonych warszawskich kołach i wiadomość prasowa odpowiednio podana mogłaby ostatecznie przejść niezauważona czy mało zauważona. Szkopuł jednak był tu inny, a właściwie podwójny: z jednej strony stanowiło go radio Zjednoczonej Europy, które trąbiło już przecież na całą Polskę, zaś fakt aresztowania Gellera roztrąbi donośnie a tryumfalnie bez komunikatu czy z komunikatem, z drugiej strony... Ta druga strona była ważniejsza i trudniejsza właśnie z punktu widzenia owej wymarzonej i wypieszczonej przez Szefa jedności Partii. Bowiem środowisko dziennikarzy partyjnych stało się dzisiaj nader trudne, znarowione jeszcze okresem popaździernikowym, zrewoltowane niespełnionymi nadziejami i ciągłymi ograniczeniami w dziedzinie dozwolonych tematów i cenzury a także honorariów czy papieru, po prostu zbuntowane i w dużym stopniu, jakby powiedział Seweryn, zalienowane. (Właściwie Seweryn nigdy tego słowa nie używał, ale o to mu, w gruncie rzeczy, świadomie czy mniej świadomie, chodziło). Tutaj Borowicz musi pokazać, że chce i potrafi tę alienację zneutralizować i w rezultacie udaremnić. Wiedział jednak, że konferencja z dziennikarzami to problem niełatwy: Geller należał do ich cechu, sprawa jego może się okazać iskrą wywołującą pożar. Jeśli tak się stanie, wina spadnie zapewne na Borowicza — ale grę warto podjąć: wygrana da mu duży awantaz u Szefa i Ludwika, podniesie jego autorytet, zagasi raz na zawsze intrygi i plotki, szerzone przez Seweryna. A w dodatku rzecz jest niewątpliwie słuszna i ważna z punktu widzenia rewolucji i interesu Partii. To nie przywidzenia Szefa, to sprawa od dawna dla Borowicza jasna: Geller nie był jednym

z nich, nie był konsekwentnie działającym, zdyscyplinowanym rewolucjonistą. Nie był nim ani wówczas, gdy maltretował ludzi w dawnym Oddziale Bezpieczeństwa, ani dziś, kiedy w szale powrotnego mieszczkańskiego liberalizmu próbował rozbić jedność Partii, czyniąc z tego w dodatku niegodne widowisko dla burżuazyjnego Zachodu. W odrażającym zapamiętaniu nerwowca przeginał się nonsensownie to na jedną stronę to znów na drugą: Stalin miał widać jakąś paradoksalną rację, że skłonność do odchylenia lewicowego może się w jednym i tym samym człowieku przekształcić w skłonność do odchylenia prawicowego. Ale zresztą widmo Stalina, który w szale podejrzliwości wymordował cały sztab polskiej Partii, podcinając jej byt na długie lata i skazując ją w rezultacie na rządy fanatycznych tumanów typu Seweryna, nie miało tu nic do rzeczy. Dzisiaj nie było już widm, trwał normalny, szary może i mozolny, ale krystalicznie precyzyjny dzień socjalizmu, dzień ustabilizowanej, zwycięsko organizującej życie rewolucji. Anachroniczną marą przeszłości okazał się tu tylko Geller, a on, Borowicz, jak najniepotrzebniej w świecie, uległ w ostatnich dniach emanującej z postępku tamtego hysterii. Na szczęście opamiętał się oto i naprawi całą rzecz a Geller poniesie zasłużoną karę — kompromitację. Bo aresztowanie go w tych warunkach to nic innego, tylko kompromitacja, partyjna kompromitacja: wiadomo było powszechnie, że Szef do aresztowań się nie kwapi, a jak nawet je zarządzi, to nie da nikomu, a już zwłaszcza towarzyszowi, zrobić krzywdy — sam ucierpiał za beriowszczyzny i nie znosił tego, ich rewolucja przecież miała już terror poza sobą. Tak więc aresztowanie Gellera nie czyniło zeń bohatera ani męczennika — było symboliczną kompromitacją zalienowanego ex-komunisty i tak właśnie należało je przedstawić dziennikarzom.

Założenia ideowe konferencji rysowały się więc jasno, ale szczegóły organizacyjno personalne rozłaziły się wciąż, jakby ktoś tu umyślnie mącił i przeszkadzał. Borowicz zresztą wiedział już, że nikt nie przeszkadza tylko po prostu sprawa jest trudna, nowa, jak mówiono w Warszawie niedotarta i stawia opór, po prostu waży samą swoją ciężkością. Przede wszystkim niesposób było ustalić z Pułkownikiem daty podania do prasy noty o aresztowaniu Gellera — rzecz zależała prawdopodobnie od przebiegu śledztwa i od wielu innych okoliczności, ale data była konieczna, aby znając termin móc zawczasu konkretnie przygotować konferencję. Pułkownik nagabywany telefonicznie wywijał się znowu jak mógł, nie kwapił się również do złożenia obiecywanego sprawozdania, wciąż zaślaniał się nawałem zajęć, związanych, czego już teraz nie ukrywał, właśnie ze śledztwem. Z drugiej strony

często dzwonił Wojczyński, bardzo podenerwowany — jak się zdaje miał jakieś osobiste stosunki z Gellerem i bał się teraz okropnie o swoją skórę. Borowicz nie powiedział mu zresztą wyraźnie o aresztowaniu, niech się sam dowie — zresztą była to przecież wyłącznie wewnętrzna wiadomość dla członków Komitetu. Wojczyński jednak najwyraźniej wiedział, choć też wprost o tym nie mówił; Zjednoczona Europa również na razie zamilkła: podała wiadomość o wyjeździe Gellera do Polski i zaniemówiła jak grób. Albo jeszcze nie wiedzieli, albo też czekali, co będzie dalej. Czekali zresztą wszyscy — Borowicz czuł narastającą wokół atmosferę ekscytacji, ludzie podniecali się jak na cyrkowym widowisku — to właśnie była Warszawa. Sam za to zachowywał teraz pełny spokój: wiedział czego się trzymać i nie bał się już żadnych technicznych komplikacji czy trudności.

Jedyna rzecz, która go trochę zdenerwowała, to kilkakrotne telefony Grochowskiego; czyżby tyczyły się one sprawy Gellera? Było to bardzo możliwe, Grochowski i Geller to przecież dwa wcielenia tego samego zjawiska, komunizmu zdegenerowanego, zmieszczaniałego, który w jakimś nierozumnym paraksyzmie chce zaprzeczyć sam sobie. Borowiczowi, rzecz prosta, ani w głowie było rozmawiać z Grochowskim, czy to przez telefon czy osobiście, wydał odpowiednie instrukcje Władce i woźnym, sam telefonów nie przyjmował w ogóle. Władka zresztą zrobiła się uleglejsza, w jej oczach tliło się teraz znowu coś na kształt uznania, choć nieufność jeszcze nie ustąpiła. Co to właściwie była za nieufność? — rozstrzygnięcie tego problemu pozostawił sobie Borowicz na później, po zakończeniu sprawy Gellera.

A sprawa wreszcie i nagle ruszyła z kopyta. Pułkownik sam podał enigmatyczny nieco komunikat o „zatrzymaniu dziennikarza Adama Gellera do dyspozycji organów śledczych”, Borowicz przekazał rzecz kilku wybranym redakcyjnym i od razu zwołał obiegami konferencję na poprzedzający publikację wieczór. Nie pytał już Szefa ani Gniotkowskiego — sprawa stała się jasna, w dodatku teraz była to już wyłącznie jego sprawa!

I tak oto doczekał owego dnia, kiedy szybkim krokiem, z podniesioną głową wchodził do natłoczonej i zadymionej salki Klubu Dziennikarzy, a za nim usłużnie dreptał Wojczyński i jeszcze paru innych. Maleńka estradka, krzesło, stolik, na stoliku syfon i szklanka — ze sto par oczu prowadziło Borowicza, gdy zbliżał się ku owemu syfonowi: nie wiedzieć dlaczego ciężki, fioletowy syfon utkwiał mu w głowie najsilniej ze wszystkich — fioletowe szkło a w nim odbite oczy, oczy, oczy... Nie wiedzieć skąd ich się tyłu nabrało, miało to przecież być zebranie zamknięte. Jeszcze przed odwróceniem się do sali Borowicz spojrzął z wyrzutem

w stronę Wojczyńskiego, który nieznacznie podniósł brwi i rozłożył ręce: na ową frekwencję nie było sposobu, ci wszyscy tutaj są partyjni i są dziennikarzami: jakaż więc rada?

Wreszcie (choć upłynęła zaledwie chwila) Borowicz stał już na podium i patrzył im w oczy. Nie lubiano go tutaj, wiedział o tym dobrze; zwłaszcza nie lubili go Żydzi, uważając za coś w rodzaju zdrajcy. Śmieszni ludzie! Najpierw przed samotnością, niechęcią czy pogardą schronili się w komunizmie, u samego źródła komunistycznej władzy, a po latach (ileż czasu potrzebowali na zrozumienie rzeczy prostych!) widząc że wywołali jeszcze większą niechęć, nienawiść zgoła, że wyeksponowali się, wyizolowali jak nigdy przedtem, postanowili upodobnić się wreszcie do tego narodu, przypodobać mu się przez — opozycyjność. Tylko że naród bardzo się tymczasem zmienił: choć dalej nie uznaje marksizmu i nie rozumie istoty ich rewolucji, to jednak, nasycony ludźmi z awansu, chłopami, robotnikami, emigrantami zza Buga, nie pali się do mieszczańskich opozycyjnych gestów. I znów Żydzi pozostaną samotni — czyż zawsze rozmijać się muszą z tym społeczeństwem? „Nie znajdziemy nigdy ciszy ni przystani...” — wpadli w obłęd, tak jak i Geller. Nic im nie pomoże, nawet popozorna, jednodniowa popularność u warszawskiej inteligencji, w warszawskiej kawiarni.

Oczywiście nie myślał, lecz wszystko wiedział i to w nieskończenie małym ułamku czasu. Wiedział, że mówi do stu Gellerów, znał ich psychikę, wiedział też, że nie zaatakują go, jeśli nie da im do tego okazji, jeśli w przemówieniu jego nie będzie luk, potknięć logicznych czy ideowych, zawahań lub nieumyślnych dwuznaczności. To tak jak z psem — nie ukąsi, póki czuje, że się go człowiek nie boi. Dlatego zaczął mówić od razu, dobitnie i jasno, głosem donośniejszym niż zwykle, jakby odświeżonym — wiedział, że natychmiast to zauważyli, odnotowali w skrzętnie napiętej pamięci. Wielu zresztą notowało i na papierze — w notesach, blokach, zeszytach. Wiadomo, nałóg dziennikarski, choć przecież nie wydrukują tego nigdzie.

Ta salka, duszna od tłumu i od papierosowego dymu, z oknami zamkniętymi i zasłoniętymi storą, oświetlona mleczno-białą, zamgloną lampą, zawieszoną gdzieś wysoko u sufitu, odcięta była od świata, od gwaru ulicy, od wiosennego wieczoru — wiosna była już przecież w rozkwicie. To sprzyjało koncentracji: Borowicz mówił dobrze, wiedział, że mówi dobrze i dzięki temu mówił coraz lepiej. Zaczął od zawołowanego pochlebstwa: podkreślił rolę słowa pisanego, ale słowa świadomego, dialektycznie pokierowanego, mającego ambicję i możliwość wpływania na wypadki, kształtowania ich. W tym celu jednak słowa muszą być

wyselekcjonowane, selekcją kierować winna świadomość ideowa, świadomość partyjna: partyjny dziennikarz nie jest tylko zruty-nizowanym, obojętnym człowiekiem — mikrofonem, przekazu-jącym w świat chaos myśli niezorganizowanej. W przeciwieństwie do bezideowego dziennikarza burżuazyjnego jest świadomym swego działania i swych celów politykiem, a jego słowo ma walor wy-raźnego, precyzyjnego wyboru, stoi za nim wielkie dzieło rewolu-cji i budowy socjalizmu, które nie może być narażone na szwank przez żadne histeryczne, indywidualne wysoki nieodpowiedzial-nych jednostek. Wrzask liberalistycznych dziennikarzy mieszczañ-skiego Zachodu, za którymi nic nie stoi i od których nic nie za-leży może bowiem sprowadzić z właściwej, ideowej, socjalistycz-nej drogi tylko jednostkę słabą a przez swą słabość zdegenerowa-ną i zanarchizowaną. Tak stało się właśnie z towarzyszem Gellerem.

Gdy wymówił to nazwisko, poczuł, że napięcie na sali osią-ga swój punkt szczytowy. To było dobre: miał ich oto w rękę, prowadził ich jak chciał. Teraz, pewny już sukcesu, mówił swo-bodniej dozując i stopniując napięcie. Mówił o Gellerze, o jego drodze życiowej, o zasługach dla rewolucji ale i o nadużyciach władzy, jakich się w swoim czasie dopuścił. Nie taił i nie ukrywał niczego — ci ludzie i tak wiedzieli wszystko. A potem opisał łąt-wiznę, jakiej uległ tamten, jego staczenie się w tanie efekciarstwo i demagogię, niegodne rewolucjonisty, który zawsze wybiera dro-gę trudną, trudną myślowo i trudną życiowo. Łatwizna, pogoń za indywidualnym, krótkotrwałym sukcesem, osiąganym bez względu na koszta ideowe i moralne, to jest właśnie droga szmat-ławych, działających w pojedynkę, pozbawionych zaplecza świato-poglądowego i politycznego dziennikarzy mieszczkańskich. Tą dro-gą poszedł Adam Geller i ona to doprowadziła go do niestawnej katastrofy, do niepoważnych i nieodpowiedzialnych popisów przed naszymi wrogami, popisów, które na przekór całemu jego daw-niejszemu życiu postawiły go poza Partią, przekreślając jego doro-bek rewolucjonisty i polityka, czyniąc zeń figurę niepoważną, żałośnie komiczną. Oto skutki słabości i braku dyscypliny myślo-wej, oto przestroga dla tych wszystkich, którzy nie zdają sobie sprawy z nieuchronnych, niemożliwych do cofnięcia skutków, jakie wynikają z zarozumiałego wyobcowania się, zerwania wię-zów ze swym środowiskiem partyjnoideowym, środowiskiem, którego właściwością najważniejszą jest kolektywizm, wspólna praca umysłowa i polityczna.

Mówił dobrze, bo naprawdę tak myślał, a tylko gdzieś w ukry-tych zakamarkach pamięci zachował gorzki refleks wiedzy o wszystkich wypadkach przeczących jego słowom, o wielu przy-

kładach samowoli, apodyktyczności i anarchii na samych szczytach partii. Ale w gruncie rzeczy, wiedział to również, te wypadki nic nie zmieniły w samych założeniach, wyjątek, jakikolwiek by był, nie obala słuszności zasady, lecz właśnie przez swą wyraźnie zdegenerowaną postać, potwierdza jej słuszność. Toteż Borowicz mówił szczerze także w głębszej, przytłumionej w tej chwili czy nie używanej warstwie swych myśli: gdyby się nawet tą warstwą posłużył, powiedziałby w gruncie rzeczy to samo, tyle, że w sposób bardziej skomplikowany, z większą ilością złożonych przykładów czy aneksów.

Przemówienie brzmiało więc przekonywająco bo nie cynicznie i zebrani, mający go na ogół właśnie za cynika i szczwanego lisa wyczuli to natychmiast, byli zaskoczeni ale też uwiedzeni — wywołał wrażenie i to wbrew ich woli, wbrew uprzedzeniu, z jakim tu przyszli, przekonał ich właśnie przez niespodziankę, którą im zrobił swym widocznym, autentycznym zaangażowaniem uczuciowym, zrozumieli, że rzecz naprawdę wyglądać może inaczej, niż przypuszczali, niżby się wydawało, niż można by sądzić. Ale nie należało przeciągać struny.

— Myślę, towarzysze, że na tym powinniśmy dziś zakończyć — powiedział. — Prosiłbym na razie o nie zadawanie pytań — nie mógłbym na nie odpowiedzieć, ze względu na dobro toczącego się jeszcze śledztwa. Ale to tylko kwestia niedługiego czasu — może już za parę dni spotkamy się znów w tym gronie, aby wyjaśnić tę przykrą sprawę ostatecznie. A na razie — dziękuję wam za liczne przybycie.

Chwila napięcia i rozległy się oklaski. — Wygrałem — pomyślał Borowicz. Gdy wtem oklaski zgasły, zgasił je niespodziany rumor. To drzwi do sali otworzyły się gwałtownie, uderzając z hukiem o ścianę. Stał w nich jakiś człowiek: był to Grochowski.

— Tego tylko brakowało — pomyślał Borowicz w popłochu. Istotnie, osoba Grochowskiego nie jest zbyt odpowiednią a w każdym razie zbyt dogodną ilustracją tez, wygłaszanych tego wieczoru. W dodatku wyglądał jakoś niezwykle, blady, ze świecącymi oczami. Szedł powoli w kierunku estrady, prowadzony przez setkę par oczu: było to wejście efektowne, po prostu teatralne. — I on zwariował kompletnie — pomyślał Borowicz, szykując się wręcz do odparcia fizycznego ataku, takiego ataku chyba należało oczekiwać. Lecz Grochowski zatrzymał się dwa kroki od estrady; wszystkie prowadzące go oczy też się zatrzymały.

— Winszuję wam, towarzyszu Borowicz, winszuję serdecznie — powiedział donośnym, jasnym głosem.

I po chwili przerwy dodał jakby negligująco:

— Geller odebrał sobie życie.

IX

Park Ujazdowski w czerwcowym słońcu przypomina po trochu Ogród Luksemburski. Borowicz lubił kiedyś Ogród Luksemburski dlatego, że był to ogród miejski, wyźwirowany, otoczony widocznymi zewsząd kamienicami, przepojony płynącym z wielu stron szumem miasta. Nigdy nie lubił przyrody, lubił za to pejzaże miejskie. Siedząc teraz na ławce w owym parku nie Luksemburskim lecz Ujazdowskim (znalazł się tu chyba pierwszy raz od lat dwudziestu, choć przecież mieszkał blisko i zawsze przechodził Alejami) tkwiąc obok matek z dziećmi i wygrzewających się w słońcu starych ludzi, przypomniawszy sobie Paryż, zresztą bez nostalgii, ot tak jakoś rzeczowo. Ale ogromny różnokolorowy klomb przed oczami przypomniawszy mu także co innego, pewną historię, przekazywaną w rodzinnej tradycji, historię, którą, może pod wpływem wielokrotnego jej opowiadania, utrwalił sobie w oczach. Oto kiedyś, gdy miał trzy lata, matka przywiozła go z S... do Warszawy, do lekarza. Potem poszli do parku, matka usiadła na ławce, kto wie, czy nie na tej, na której teraz siedział, a on pobiegł oglądać z bliska ten sam właśnie klomb. Za chwilę nagle odwrócił się i w jaskrawym blasku słonecznym zobaczył, że matki nie ma — na ławkach siedziały półkołem same obce osoby. Nie wierząc sobie zaczął się zbliżać, patrzył — ależ tak, matki nie było, matka znikła. Wybuchnął wtedy namiętym płaczem, zaczął tupać, krzyczeć i nagle z jednej z ławek podniosła się jakaś postać w czerni: to była matka, po prostu nie poznał jej.

I pomyśleć, że park był ten sam, klomb ten sam, ławki te same, a tylko on się zmienił i stał się całkiem inny. Właściwie przeszłość człowieka ma znaczenie tylko dla niego samego, poza tym nikogo ona nie obchodzi — człowiek dla świata jest taki,

jakim go się widzi w dawnym momencie, a to, że nosi w sobie bagaż wielu lat, które go ukształtowały, nie liczy się, to nikogo nie interesuje, nawet dialektyków, mających przecież jakieś tam obowiązki wobec teorii genetyczno ewolucyjnych.

Tego, że przeszłość jednostki się nie liczy, Borowicz doświadczył na własnej skórze w ciągu ostatnich dziesięciu dni, kiedy to zmuszony został do asystowania prowadzonym przez Szefa przesłuchaniom. Wszyscy wykręcali się przed Szefem jak mogli a jemu rzucali wrogie, gniewne spojrzenia, jako temu, co nie wiadomo z jakiej racji siedzi po drugiej stronie biurka. I nikogo to nie obchodziło, że Borowicz ma za sobą dwadzieścia pięć lat wiernej i skutecznej pracy dla Partii, w tym pięć lat okupacji, kiedy walczył na parę frontów, kiedy mogąc każdej chwili stracić życie jako Żyd, nie ukrywał się i ani na jeden dzień nie zaprzestał działalności politycznej. Nikt dziś o tym nie pamiętał: widzieli tylko twarz zza biurka, twarz biernie ale czujnie (jeśli czujnie to tylko z nałogu) asystującą przesłuchaniom.

Te przesłuchania wszczęte przez Szefa były pomysłem całkiem poronionym. Poszło o pogrzeb Gellera, na który, wbrew zarządzeniu Komitetu, przybyli towarzysze z czerwonym sztandarem, wygłaszano mowy, śpiewano Międzynarodówkę. Szef się wściekł i zarządził przesłuchanie winnych: trwało to w nieskończoność, rozmów zresztą nie protokołowano, tylko Borowicz słuchał a słuchał, zyskując sobie przez to dozgonną nienawiść wszystkich rozmówców: nie miał jednak wyjścia, Szef żądał tego stanowczo, uparł się w ogóle przy całej sprawie jak kozioł. Jeden Grochowski się wymówił; ten nie miał już nic do stracenia, a poza tym znajdował się przecież kiedyś w hierarchii partyjnej bardzo wysoko, znacznie wyżej niż Borowicz. No i po owej teatralnej scenie u Dziennikarzy spotkanie ich byłoby już zgoła niemożliwe.

Zresztą Borowicz ową sceną z Grochowskim wcale się przejął, jak i samą śmiercią Gellera. Opuścił wówczas znieruchomiłą salę spokojnie i wyniośle, pojechał do Komitetu, by się czegoś dowiedzieć. Trudno było co prawda o jednoznaczne fakty: podobno Geller powiesił się na ręczniku, ale skąd wziął w celi ręcznik, jakim sposobem pozwolono mu na to? Pułkownik nie wdawał się w szczegóły, mruczał raczej coś do swoich wąsów, zresztą w ogóle nie wydawał się specjalnie przejęty. Borowicz również potraktował rzecz spokojnie: widział wszakże w życiu taką olbrzymią ilość śmierci bezsensownych i bezużytecznych, że ta właśnie wydała mu się niemal harmonijna i logiczna. Rewolucjonista który zbłądził i zdradził odbiera sobie życie — to było jakoś sensowne, konsekwentne i zrozumiałe, przy tym prosto- wało i załatwiało mnóstwo spraw zawiłych. Borowicz dał zaraz

komunikat do prasy, potem wyjaśnił wszystko poważnie i wnikliwie na zamkniętym już tym razem zebraniu redaktorów naczelnych. Rzecz wydała się uporządkowana i podsumowana, a tu Szefer rozmazał wszystko na nowo swymi mianiakalnymi przesłuchaniami. „Międzynarodówka” na cmentarzu zdawała mu się godzić dotkliwie w ową sławną jedność Partii, a przecież rozsądek nakazywałby przymknąć na całą rzecz oczy, potraktować to ostatecznie jako hołd złożony pięknej, rewolucyjnej karcie zmarłego, a nie jego błędowi. Cóż z tego, kiedy Szefer się uparł.

Dla Borowicza najgorsze okazały się nowe a niepotrzebne nastroje, jakie przez te dziesięć dni stały się jego udziałem. Wszystko rozgrywało się w jakimś odrębnym klimacie i Szefer był inny niż zwykle i rozmówcy, choć tak niby znani, również, nawet tło zewnętrzne odmienne, bo biuro Szefa znajdowało się z całkiem innej strony, inny tam był widok, inny koloryt, a w dodatku spotkania odbywały się w niezwykłej, popołudniowej porze. Borowicz zrozumiał, jak bardzo nie znosi już zmiany nastrojów i inwazji nie przewidywanych, nie zaadaptowanych kolorytów zewnętrznych — dlatego zapewne tak się niedawno źle czuł w Paryżu, stąd jego tamtejszy lęk przestrzeni. Psychika jego była teraz wyostrzona na ład, porządek, prawidłowość spraw — nastroje nieprzewidziane stawały się symbolem niepotrzebności czy chaosu: istotą egzystencji, jaką dziś prowadzi jest selekcja przeżyć, postępów, doznań, selekcja, umożliwiająca jak najekonomiczniejsze i jak najprecyzyjniejsze działanie; gdy działał ekonomicznie i precyzyjnie, nie rozprasząc się na zbędne, nietypowe przeżycia, nastroje, czy myśli, wtedy był szczęśliwy, bo czuł się potrzebną śrubką w wielkim, konsekwentnie działającym mechanizmie przebudowy, mechanizmie rewolucji, zarazem społecznej i narodowej, psychicznej i politycznej. Oczywiście — z tej drogi pracy i równowagi zepchnąć go mogły chwilowo wydarzenia rozwichrzona, takie jak Paryż, czy spotkania z księdzem lub Anną. Jeśli natomiast chodziło o Gellera, to niesposób już było uznać jego sprawę za rozwichrzoną czy przypadkową i rozpraszającą: mimo całej swej patologiczności była to jednak sprawa normalna — normalna z punktu widzenia walki, codziennej walki, jaką Borowicz wraz z innymi toczył o właściwą linię ideową Partii. Toczył ją na obie strony, z Sewerynem i z Gellerem, z sekcjarzami i z histerykami, z tymi, którzy chcieli linię Partii anormalnie usztywnić i z tymi, którzy ją próbowali anormalnie uelastyczyć; pomiędzy Scyllą i Charybdą dwojakiego błędu należało pilnie i spokojnie odnajdywać właściwą drogę: być rozsądnym sternikiem okrętu rewolucji, oto zadanie dla sztabu Partii, do którego należał. I najważniejsze — nic na żywioł, z żywiołem

już skończyli, teraz konsekwentnie i planowo budowali, warsztatem zaś budowy stał się ten kraj, dziwny, powikłany, zapóźniony, pełen dysproporcji, rozwarstwień i marzycielskich a bezpodstawnych uroszczeń, kraj przed wojną biedny i nędzny a dziś, mimo wszelkich trudności i zacofań awansujący, dorabiający się na rewolucji (tak, jak nie dorobiła się nawet Rosja, mimo swych sukcesów militarnych i międzyplanetarnych), kraj rozwijający się w dodatku na zmienionym częściowo terytorium, co jeszcze bardziej akcentowało ów graniczny słup milowy, oznaczający początek nowego życia. W tym kraju, przesuniętym obecnie ku centrum Europy, przebiegał jeden z ważnych odcinków frontu w bitwie o duszę świata. Tylko że Geller zwątpił o możliwości sukcesu, przeraziły go trudności i komplikacje (głównie zresztą te, które nosił w sobie), chciał zdezerterować a chęcią swą zarażał innych — w tym sensie zamknięcie jego sprawy, choć tragiczne i dramatyczne, było jednak koniecznym przecięciem wrzodu, który nabrzmiewał na duchowym organizmie Partii, rozjątrzony właśnie przez takich dawnych komunistów jak Geller czy Grochowski. A z drugiej strony trwało inne schorzenie: dogmatyzm, nieczuła sztywność, zarozumiała, tępa pewność siebie, nie dostrzeżenie błędów, trudności, niebezpieczeństw, wiara w skuteczność reagowania na wszystko pałką, czyli — Seweryn. Jedno złe i drugie niedobre, bo w jednym i drugim nieład — myślowy i polityczny, a raczej — myślowy więc i polityczny. Jeśli ma przyjść sukces, to musi zwyciężyć ład. A ewentualności braku sukcesu nie warto w ogóle brać pod uwagę — to nie jest postawa dla rewolucjonisty.

Borowicz wiedział, że podobną do niego entuzjastką ładu była Władka — identycznie jak on nie znosiła zdarzeń i kolorytów przypadkowych, nie typowych, chaotycznie rozwichrzonych. Z ufnością więc tkwiła ostatnie lata w jego, Borowicza, ustalonym porządku, tak jak on tkwił w porządku Szefa. I oto nagle, przez sprawę Paryża i Gellera utracił ją, jej poparcie i jej spokój. A raczej nie, nie utracił jej przez żadne konkretne sprawy, lecz właśnie przez inwazję niekontrolowanych, nieuporządkowanych nastrojów. To po prostu nerwy, tak jak i u niego. Podobni byli ogromnie, niczym przysłowiowe krople wody.

Oczywiście — Władka jest do odzyskania, choć każde przeżycie, nawet pozorne pozostawia ślad, ślad w jakimś sensie niezatarty — nigdy już żadna sytuacja nie powtórzy się identycznie po raz drugi, tak jak nigdy nie można wejść do tej samej wody w płynącej rzece. Ale sprawa z Władką nie była jeszcze całkowicie stracona, pod warunkiem jednak, że przerwa nie potrwa za długo. Tylko że w tej chwili nie nastęczało się nic do zrobie-

nia: Władka wzięła urlop po historii z Pietrzakiem i gdzieś wyjechała. A wczoraj wieczór jak na złość zadzwoniła (i to do domu — cóż za tupet) mała Anna, że jest po maturze, samodzielna, że chce się z nim zobaczyć i coś ważnego mu powiedzieć. Umówił się z nią wczesnym popołudniem na Wisłostradzie — może dlatego, że nie chciał się wykręcać przy matce, która była w pokoju (żebyż wiedziała, kto to właściwie dzwonił — wszak niegdyś w S... znała dobrze całą rodzinę Lipszyców!) a także dlatego, że nagle po Gellerowskich napięciach bezrobotny, nie miał akurat co robić i że trzeba tę małą w końcu spławić gruntownie, raz na zawsze. Przez telefon to się nie da.

Nie poszedł dziś do biura, lecz niespodziewanie dla samego siebie do parku na słońce — sporządzić po tym wszystkim remanent. Najtrudniej było pogodzić się ze sprawą Pietrzaka: chłopak zwariował, oto jeszcze jeden produkt uboczny afery Gellera. Już ten Śląsk mu zaszkodził, od powrotu stamtąd wyglądał nie normalnie, a w trzy dni po samobójstwie Gellera (które przyjął na pozór całkiem obojętnie) po prostu regularnie zwariował: rzucił się na Kasperczyka i zaczął go dusić. Borowicza w biurze nie było, tylko Władka, która zaalarmowała woźnych, potem straż. Zabrali go i siedział teraz w szpitalu, w pokoju bez kłamek. Był już kiedyś taki wypadek w Komitecie, nie mówiąc o tym, że za czasów Beriowskich zdarzały się pono rzeczy po trochu przeciwne: zdrowych towarzyszy brano w kaftan i odwożono gdzie trzeba, pod pozorem bzika — inna perswazja okazywała się zbędna. Ale Pietrzak był naprawdę chory — Borowicz rozmawiał z doktorem. Tak to bezład polityczny i bezład psychiczny otarły się o siebie z okazji sprawy Gellera. A Władka miała już dosyć — wzięła urlop i wyjechała niemal bez pożegnania. Mógł ją co prawda odszukać, chyba należało to zrobić, chociaż właściwie — czy trzeba? Niech się to wszystko w niej wypali, a potem...

Kasztanowa aleja wibrowała jakby złocistym kurzem — widoki natury zawsze obezwładniały i odrętwiały Borowicza, nie wiedział, co one mu mówią i czy w ogóle coś mówią, a obojętna beztreściowość otoczenia to rzecz najgorsza, podobna do śmierci. Chciał już podnieść się z ławki i rażno opuścić park, niepewny, czy skorzystał tu cokolwiek, czy przeprowadził ów zamierzony konsolidujący remanent duchowy, gdy nagle pośrodku rozwibrowanej alei (oczywiście rozwibrowana była nie aleja, lecz jego własne oczy; tak złudnie działało się na świecie zawsze, tak było i ze sprawą Gellera) ujrzał jakąś na pewno znajomą, wysoką, lekko pochyloną sylwetkę. Natężył wzrok: tak to był oczywiście profesor Piórczyński — i jego też podobnie jak tego parku,

Borowicz nie widział już od wielu lat, słyszał tylko o starym to i owo.

Profesor Piórczyński, przedwojenna lewica PPS, stał się podczas okupacji żywym i aktywnym sympatykiem komunistów, którym pomagał na wszelkie sposoby, narażając się nie mało. Za to od razu po wojnie zaczął się od nich odsuwać, popadając w coraz ostrzejsze i zgoła dla niego niebezpieczne konflikty. Jako ekonomista miał swoje, inne od oficjalnego stanowiska Partii (po zjeździe połączeniowym został zresztą bezpartyjnym) poglądy na wszystko, co wówczas robiono, rzecz gorsza, że krytykę swą wypowiadał w wykładach na kilku wyższych uczelniach, w Łodzi, potem w Warszawie. Odebrano mu katedrę, wszyscy się od niego odsunęli, mogło go być zresztą spotkać coś jeszcze gorszego, gdyby nie jego zasługi okupacyjne — ukrywał niejednego towarzysza, służył z narażeniem życia ściganym działaczom swoim mieszkaniem, chronili się u niego powojenni sekretarze Komitetu i ministrowie — jakżeż tu było go aresztować?

Borowicz również zawdzięczał mu wiele — jemu i jego od lat nieżyjącej uroczej żonie, Jadwidze. Pułkownik miał kiedyś powiedzieć ironicznie, że działacze dawnej lewicy socjalistycznej zostali komunistami przez żony Żydówki. Borowicz jak wiadomo nie uznawał w polityce determinant rasowych, zresztą nacjonalistyczno-reakcyjne państwo Izrael było dlań po temu niezbitym argumentem, niemniej przyznać musiał, że Piórczyński, w przeciwieństwie do innych, komunistą nie został, a pani Jadwiga pochodziła ze zbiedniałej rodziny ziemiańskiej i, choć radykalnie czerwona, nigdy nie pogodziła się z dialektycznie zmienną taktyką komunistów. Nie uznawała w ogóle pojęcia taktyki, jej rewolucyjność była żywołowa, prosta i gorąca: jak płomień w bezwietrzny dzień — powiedział ktoś obrazowo.

Po śmierci żony profesor odsunął się i przycichł. Jeszcze coś tam wykladał, Szef pozwolił mu na wykłady zdaje się statystyki, ekonomię miał wzbronioną, bo prawil herezje i, jak twierdzono w Komitecie, podburzał młodzież. Teraz był już chyba w ogóle na emeryturze.

Borowicz wstał z ławki i podszedł doń: ujrzał znowu z bliska te same jasno-niebieskie, zmęczone i nieco wyblakłe oczy, w których czaił się jednak wyraz marzycielski a także, czasem, pojawiały się błyski zajadłego uporu. — Jak się masz, Henryku — powiedział tamten, poznając go od razu. Mówił mu ty, a Borowicz zwracał się doń przez „profesorze”. Było między nimi dobrze ponad dwadzieścia lat różnicy.

Drobnym kroczkiem (krokiem emerytów — pomyślał Borowicz) ruszyli na przechadzkę wokół stawu, po którym pływały

powoli łabędzie i w gwałnym pisku nurkowało stadko kolorowych kaczuśzek. Dzieci zebrane na stylowym, romantycznym mostku rzucały do wody kamienie, powstawał z tego szereg koncentrycznych kół coraz dalej i dalej się rozbiegających; płaczące wierzby zwieszały swe gałęzie nad brzegiem, topiąc je niemal w wodzie. Ten nastrój dziecięco emerytalnej idylli wybitnie nie sprzyjał Borowiczowi, który czuł się niepewnie, już od dwóch chyba godzin wytrącony o tak niezwykłej porze z toku czynnego życia. Ukradkiem rzucał spojrzenia na Profesora: wysoki, pochylony, z zapadłą nieco klatką piersiową, z oczyma zapatrzonymi gdzieś poza uchwytny przedmiot, miał w sobie coś z Odchodzącego. — W jego wieku też będę taki — Borowicz poczuł lekki skurcz, jakby mu nagle powietrze z płuc uciekło — nie lubił tego, ale natychmiast przeszło, splukane przez uspokajające przypomnienie, że jest jeszcze prawie młody i ma przed sobą dużo, na długie lata, roboty. A profesor skończył już swą pracę, w dodatku skończył w rozterce — to smutne dla niego.

— Cóż tam u ciebie, Henryku? Borowicz próbował połączyć szczerłość z lekkością tonu: — Cóż, ciągnie się. Miałem kłopoty. Był wobec Profesora zawsze trochę onieśmielony — to wspomnienia dobrodziejstw z czasów okupacji.

— Ach, wiem, słyszałem — sprawa Gellera. Profesor zatrzymał się i z nagle zmobilizowaną bystrością wpatrzył w twarz Borowicza. — Znałem go — ostatnio. Był interesujący — zaczął coś widzieć, przeczuwać. A tu...

Niedopowiedzenie zawisło w powietrzu; Borowicz powściągnął irytację. — Cóż on mógł widzieć czy przeczuwać? — zagadnął niechętnie. — Myślał przecież ciągle tylko o sobie, o tym, jak wygląda, jakie wrażenie robi na zewnątrz.

— O nie, mój drogi. Nie upraszczaj tak łatwo — zwłaszcza po jego śmierci. On zaczął widzieć, że rewolucja wasza poszła złą drogą, że to już w ogóle nie żadna rewolucja. Był dość młody, żeby jeszcze zwątpić...

— Ale przecież sam pomagał tej rewolucji i to w najdrasycyjszy sposób: dręczył ludzi, podobno torturował...

— Dlatego też tak gwałtownie zniechęcił tych, którym wówczas uwierzył, że to właśnie trzeba robić. Nabrał wstrętu do nich i do siebie, szukał ekspiacji. To był ideowy człowiek, uczciwy człowiek... Jego śmierć tego dowodzi.

Nastała cisza, w której zaczął się nagły gniew Borowicza. Geller nie był uczciwy, był egoistycznym komedianem, a w dodatku podczas rewizji znaleziono u niego — jak się okazało — nielegalne dolary. Bał się kompromitacji, wołał niby szlachetną śmierć. Czy to odwaga, czy to ideowość? Nie, to bezgraniczna

miłość własna i potrzeba teatralności, teatru aż po grób! Czysta odwaga nie szuka sobie dekoracji.

W milczeniu zbliżali się do mostku, gdy spośród gromadki dzieci ktoś im się uklonił bardzo uniżenie. Borowicz o mało nie zaklął: był to Karbowski, ów stary pieczeniarski, lizus a zarazem oszust, którego ostatnio widział w Paryżu, podczas sławetnej kolacji (a raczej, mówiąc po francusku, obiadu) z Wandą, jej mężem i Edziem. Czyż tamten, bystry przecież filut, zawsze musi się przyplątać wtedy, gdy właśnie on, Borowicz, przebywa w jakimś osobliwym bądź co bądź miejscu i towarzystwie? Tam, w Paryżu, sceneria była niezwykła sama przez się, ale tu, w gruncie rzeczy, jeszcze niezwyklesza: on, podczas godzin biurowych w Parku Ujazdowskim, na owym deptaku emerytów, nianiek i dzieci, spacerujący w towarzystwie byłego sympatyka i byłego człowieka Piórczyńskiego — to przecież rzecz osobliwa i podejrzana, której bystry, a pługawy umysł Karbowskiego nie mógł sobie nie zanotować, aby w odpowiednim momencie zrobić z tego jakiś użytek, choćby plotkarski, bo człowiek ten kochał plotki, traktując je jako pewną odmianę literackiej twórczości. Cóż to za pech spotykać w dziwnych sytuacjach takiego błazna i łajdaka!

Kątem oka Borowicz dojrzał, że tamten był z dwoma chłopczykami, zapewne wnukami, którym pomagał puścić na wodę stawu papierowy okręcik. Znany ze swego lubieżnego dziwkarstwa Karbowski odgrywał oto tutaj w słonecznym blasku rolę przykładowego, dobrotliwego dziadka. Brrr.

Borowicz pochwyił się nagle na jakimś irracjonalnym odruchu nienawiści, irracjonalnym, bo cóż go w końcu obchodził Karbowski i jego życie, jak dotąd przecież niewiele mieli ze sobą do czynienia i nic sobie wzajemnie złego nie zrobili. Należało powściągać tego rodzaju ekscesy niechęci: choć utajone w ludzkim wnętrzu promieniują one na zewnątrz w jakiś sobie właściwy sposób, a już taki wycwaniony i przecież wysubtelniony facet jak Karbowski (był w końcu dobrym pisarzem, tylko że czysto mieszczkańskim, najdokładniej obojętnym na socjalizm, choć przyklepał go do swych książek jak handlową, zewnętrzzną etykietkę, na czym nie mógł się poznać ani tępy Seweryn ani niewrażliwy na literaturę Szef), facet gruntownie obyty i ostrzelany we wszelkich warszawskich walkach i podziemnych intrygach, dobrze świadomy trucizn przeróżnych ukrywanych lecz tym bardziej namiętnych animozji, musiał być na takie fluidy nader uwrażliwiony. Po cóż, przez niepoważny i nierozważny brak opanowania udzielać komuś czy przekazywać swoją, całkiem w tym wypadku bezinteresowną nienawiść, żarzać go nią i zmuszać do rewanzu? Toteż Borowicz opanował się momentalnie: cały ten jego wewnętrzny nie kontro-

lowany wybuch trwał może dwie, może najwyżej trzy sekundy — o Karbowski nie potrzebował przecież myśleć, po prostu jak zawsze od razu w jednym momencie wszystko wiedział. Dwie lub trzy sekundy minęło od chwili, gdy odklonił się tamtemu z grzeczną skwapliwością lecz poważnie, aby zaraz powrócić do przerwanej rozmowy, pytając Profesora z leciutkim tylko, wyłącznie dla siebie zauważalnym roztargnieniem, dlaczego to właściwie ich rewolucja nie jest „żadną rewolucją”, skoro przecież przemienili i przetworzyli wszystko, widać to na każdym kroku, gdy zaś ktoś pamięta Polskę przedwojenną, to...

— Nie Henryku, mylisz się, ulegasz złudzeniom perspektywy twojego stanowiska. Rewolucja nie polega na niszczeniu życia.

Borowicz rzucił mu pytające spojrzenie, strzygąc przy okazji okiem ku owemu idyllicznemu mostkowi, gdzie pozostał Karbowski ze swymi wnukami. Słońce paliło niczym w pełni lata, było już samo południe i przecież prawie połowa czerwca; na stawie roziskrzyły się efektowne świetlne refleksy, wśród nich pływały dziecięce okręciki, naprawdę jak w Ogrodzie Luksemburskim, tyle, że papierowe i bez motorków.

— Rewolucja rozgrywać się musi wśród praw przyrody, historii, ekonomii, psychologii, w związku z nimi poprzez nie — tak właśnie uczyli klasycy, na tym polegało ich odkrycie. A tu siłą zatrzymano wszelkie mechanizmy społeczne i ekonomiczne — zatrzymano i unicestwiono, zamiast się nimi posłużyć. Powstała próżnia, próżnia społeczna, czyli miejsce dla gestów elity. Po prostu bonapartyzm, w dodatku, co gorsze, bez Bonapartego!

— Jakto, więc to złudzenie, żeśmy coś zbudowali w tym nieszczęsnym, zniszczonym kraju?

— Bah — zbudowali! To ostatni argument dla socjalisty: kapitalizm także mnóstwo zbudował, faszyzm też. Zbudowaliście martwe gmachy bez żywej, socjalistycznej treści ekonomicznej.

Treść ekonomiczna! — tego argumentu używał również Grochowski, Borowicz nie wdawał się w podobną dyskusję, to nie był jego teren, z czego tamci zresztą (tamci, jeśli złączyć Grochowskiego z Piórczyńskim) chętnie szydzili. Wiadomo było, że Szef trzęsie gospodarką jak chce, że od jednego jego słowa wyrastały huty, kopalnie, zmieniały się ceny, płace, dochody ludności. To było imponujące, to było rewolucyjne, a ten tutaj uniwersytecki mędrak dawnego typu opowiada o prawach ekonomii. Może jeszcze o burżuazyjnym prawie wartości... Za to właśnie Szef kazał mu odebrać wykłady.

Profesor zdawał się czytać w jego myślach.

— Ty Henryku pewno nawet nie wiesz, ile kosztuje bilet na autobus — powiedział ze smutną ironią. — Wy wszyscy nic

nie wiecie, oderwaliście się od normalnego ludzkiego życia — kto porusza się tylko służbowym samochodem ten stracił społeczny kontakt z masą jeżdżącą autobusem czy tramwajem. Nie, to nie demagogia, to prosty fakt socjologiczny, jeden z wielu. Przestaliście przez to być lewicą — komuniści na Zachodzie są lewicowcami, wy już nie. W próżni politycznej i społecznej pojęcia prawicy i lewicy straciły swój sens, swoją treść, tak jak w przestrzeni poza ziemskiej nie wiadomo gdzie jest góra a gdzie dół.

— Ale w końcu rządźmy tu sporo lat, owszem, sprawujemy w pewnych rzeczach dyktaturę, nikt tego jednak nie kwestionuje, ludzie nas słuchają, mamy konkretne rezultaty. Czy komunista w określonej sytuacji ma prawo wyrzec się działania? I w imię czego? W imię idealistycznej fikcji?! Borowicz pytał agresywnie, choć i do tego nie miał przekonania: nie warto było zaczynać, to jak z Grochowskim — zonglerka słów i nic więcej. Odeprzeć te argumenty można tylko poprzez fakty, faktów nie brakowało, ale jak tu iść z faktami przeciw słowom, ładnie, w bezczynności ułożonym słowom? W bezczynności: Grochowski i Piórczyński byli za burtą, a on pracował na pokładzie, przy sterze, każdy jego ruch powodował drgnięcie statku — to jest różnica ich sytuacji, dlatego nie mogą rozmawiać jak równy z równym, dlatego nie ma mowy o wspólnym języku a więc o konkretnych rezultatach rozmowy.

— Rządźcie bez przeszkód dzięki próżni politycznej, stworzonej jeszcze przez wojnę — powiedział Profesor. — Ludzie nie uznają władzy komunistów, ale są złamani, przetrąceni i nie wierzą w możliwość obalenia was, boją się przy tym Rosjan, dlatego nie uprawiają czynnej opozycji, są zubożeni, bezsilni. Ale dlatego też właśnie opozycja musi wyjść z waszych własnych szeregów, muszą ją podjąć odpryski, niedobitki prawdziwych socjalistów, których czujności udział w elicie władzy i w praktykach władzy nie zdołał jeszcze całkiem stępić. Ot i masz genezę sprawy Gellera!

Borowicz pomyślał niespodzianie, że duży to jednak komplement dla idei i środowiska, jeśli nawet jego zbuntowanym, wyobcowanym odpryskiem przypisywało się taką rolę, rolę zastępowania ruchów społecznych. W tym kraju nie było w istocie autentycznych ruchów społecznych, lud zawsze pozostawał bierny, stąd pochodziła ważność grupy komunistów, podwójna ważność, bo musieli i wymyślić rewolucję i zrealizować ją. Profesor miał tu rację w diagnozie, nie miał za to racji w ocenie: potępiał ten stan rzeczy jako anormalny, nie rozumiejąc, że wszystko co jest, co istnieje jest tym samym normalne, że normalność bywa nie-

oczekiwana i różnorodna, a zadaniem komunizmu, tak teoretycznego, naukowego jak i praktycznie politycznego jest wziąć się z tą normalnością za bary, rozgryźć ją i zwyciężyć. Problemy były wciąż nowe, choć zasada marksizmu nie uległa zmianie — owa ciągła nowość potwierdzała za każdym razem w inny sposób słuszność i niezmiennność samej zasady. Tego właśnie nie zrozumieli Profesor i Grochowski, nowość ich ogłuszyła, przełękli się jej, mają pretensję że właśnie jest nowa, że nie spełnia ich oczekiwań, że nie przystaje do ich wizji, do ich teorii, do ich ulubionych przyzwyczajzeń myślowych i uczuciowych. Słowem obrazili się na rzeczywistość i opuścili ją — a tego komunista nigdy nie robi. Niesposób mieć pretensji do świata za to, że Seweryn jest głupi a Szefer jest taki, jaki jest. W żadnym wypadku nie wolno się na to obrażać — trzeba to przyjąć jako dane, jako problem do rozwiązania. Borowicz pożałował nagle, że przed chwilą dał się porwać niechęci do Karbowskiego o to, że tamten jest, jaki jest. To przecież nonsens wyraźny, skutek zmęczenia — dzięki Bogu nie był (jeszcze nie był, nie, w ogóle nie był!) taki jak Grochowski czy Profesor. Poszukał nawet wzrokiem intryganta literackiego na owym, oddalonym teraz mostku, już go tam, łobuza, nie było. Mniejsza z nim, ale trzeba uważać na siebie, trzeba kontrolować higienę swych myśli i odruchów psychicznych!

Rozmowa zagąsła, może dlatego, że Borowicz pogрузił się nieco w myślach (nie na tyle zresztą, aby nie móc angażować się słownie na innym planie, na innej płaszczyźnie), może zaś dlatego, że Piórczyński już jej nie podtrzymał. Rozstawali się koło bramy naprzeciwko Koszykowej. Borowicz był skrupowany, choć wiedział, że ma rację, Profesor też był pewien swej racji i tego, że w gruncie rzeczy załamał rozmówcę — na tym również polegało jego oderwanie od świata: nie przychodziło mu do głowy, że ktoś mógł zachować swoją rację, nie próbując mu jej w pełni przekazać, uznając to w gruncie rzeczy za bezcelowe i nieważne. Był za burtą a nie wiedział o tym, myślał, że słowa jego są tak samo ważne jak słowa tych, którzy kierują statkiem — w tym właśnie okazał się podobny do Grochowskiego. Tymczasem słowa same, słowa bez ekwiwalentu realnego, bez natychmiastowego odpowiednika w kształtowanej rzeczywistości były niczym: to właśnie są owe gesty bez znaczenia o których sam mówił — bez znaczenia, bo dokonywane w stanie nieważkości. W istocie sytuacja wyglądała przeciwnie, niż to uważali Grochowski i Piórczyński: to oni przyjęli wyidealizowany marksizm, marksizm taki, jak został pomysłany kiedyś i nie mogli się z nim rozstać, nie rozumiejąc, że marksizm musi zdać swój egzamin właśnie w warunkach niety-

powych — innych nie będzie zapewne już nigdy, sto lat przecież upłynęło od tamtych czasów, gdy klasycy formułowali swój opis społeczeństwa. Czekanie na warunki typowe to czekanie na szansę w ruletce: tymczasem dziś komuniści budowali socjalizm w sytuacji nowej, bo właśnie w kraju nietypowym, choć to, co dla teoretyków nietypowe dla rzeczywistości tego kraju jest akurat typowe: naród dziwaczny, niejednorodny i anarchiczny, przez wieki rozczwartowany między sąsiednie państwa, społeczeństwo bez sensownych i w ogóle jakichkolwiek tradycji politycznych a zwłaszcza bez ruchu proletariackiego, mimo usiłowań grupki komunistów bez jakiegokolwiek świadomości oddolnej, z jedyną siłą, siłą martwoty i konserwatyizmu, jaką była tradycyjalna religijność. Cóż tu robić w takim kraju z klasyczną teorią marksizmu, zwłaszcza po niebywalej wojnie, gdy socjalizm tworzyć trzeba nie jako alternatywę kapitalizmu, lecz dźwigać w pustce, jako jedyną w ogóle formę życia, bo pojęcie alternatywy od lat tu nie istnieje, a powojenni ludzie, przeżywający obecnie swą młodość, nie poznają tego pojęcia już nigdy. To jest właśnie nowa dla marksizmu sytuacja, w której zdaje on swój historyczny egzamin: oczywiście, teoria nie nadążyła jeszcze za tą sytuacją, coś dziwnego, że życie, drogą doboru naturalnego wyłoniło i wypchnęło do góry praktyków, którym szkolne skrupuły nie zamęczają oceny realności, ani nie uniemożliwiają działania: ludzi z awansu z dołów społecznych, ludzi psychicznie młodych, bez obciążeń, mało może wiedzących o nietypowych dziejach duchowych tego narodu, lecz właśnie dzięki temu zdolnych do podejmowania prostych decyzji bez wątpliwości, zahamowań i obaw doktrynalnych, a co najważniejsze — bez strachu przed społeczeństwem. Tacy tylko politycy komunistyczni mogli się wspiąć dzisiaj po drabinie władzy: ludzie czynu jak Szefer czy Ludwik, którzy zresztą świadomie tłumili rozwój teorii, aby móc się zająć bez reszty chwytaniem skrętów praktyki, oraz policjanci rewolucji jak Seweryn, odgrywający rolę czołgu, mechanicznej siły niwelującej teren — cokolwiek by się o niej myślało, miała tu ona swoje ważne i logiczne miejsce: bez tego rewolucja nie byłaby sobą, lecz mdłą, liberalistyczną zabawą. Borowicz czuł teraz z nieocenioną wyrazistością, jak dalece Seweryn, choć zwalczający go w sposób bezsensowny i brutalny, był mu bliższy od Grochowskiego czy Piórczyńskiego. Dylemat osobisty Borowicza na tle obecnej fazy polskiej rewolucji rysował się tu zresztą nader charakterystycznie: Grochowscy mieli mu za złe uczestniczenie w aparacie władzy tworzonym przez Sewerynow i Pułkowników, uważając, że jako Żyd powinien być po stronie inteligentów, o co znów, bezpodstawnie, podejrzewał go Seweryn. Obaj ci partnerzy mieli go za takiego czy innego (zależnie

od punktu widzenia) zdrajcę — na szczęście był jeszcze partner trzeci — Szef. W istocie Borowicz bynajmniej nie zdradził, nie zaparł się inteligentnego myślenia, po prostu sądził, że właśnie Piórczyński w ocenie sytuacji dawał dowód skostnienia umysłowego czyli braku inteligencji, zaś mit o inteligencji Żydów był mitem bez sensu: to, że zostało ich niewiele nie dowodzi wcale, że byli elitą; coś przecież znaczyły głupstwa Endelberga czy ostatnie Gellera. Przekonanie o ich automatycznej przynależności do „inteligencji” było głupie i szkodliwe: podsycalo profesjonalne niejako podejrzenia Seweryna, podtrzymywało mitologię rasistowską tam, gdzie nie miała już ona żadnej bazy społecznej, ekonomicznej czy obyczajowej. On, Borowicz, był dumny, że właśnie dzięki obiektywizmowi swej umysłowości potrafił, wbrew rzekomym dyspozycjom osobistym oraz naciskom i podejrliwościom z różnych stron, stanąć po stronie właściwej, kierując się wyłącznie racją nadrzędną, zasadniczą i nie ulegając obawie przed przykrościami i sytuacjami dwuznacznymi, jakiej na przykład uległ, uciekając z kraju pułkownik Molberg. Oczywiście, to czym Borowicz się chlubił stawało się dla przeciwników motywem podejrzeń o nieszczerłość: taki Piórczyński musiał go mieć za judaszowego zdrajcę, z drugiej strony Seweryn również. Nie rozumieli, że on nie chronił się w komunizmie przed samotnością: on po prostu był komunistą, był nim konsekwentnie i czynnie od dwudziestu pięciu lat. Im to wprawdzie nie wystarczyło, lecz mniejsza o nich; ważna jest tylko zaciemniana wprawdzie przez ludzkie niedorzeczności lecz jednak istniejąca i decydująca sfera życia: obiektywna, społeczna rzeczywistość.

Piórczyński, ulegając wreszcie profesorskiej obawie, że nie wyraził się maksymalnie jasno oraz zarozumiałemu domniemaniu, iż przeciwnik jest już dostatecznie skruszały aby go dobić tanim kosztem, odezwał się jeszcze na zakończenie, gdyż już, wydawało się, nie mieli sobie nic do powiedzenia. — Widzisz mój Henryku — powiedział — najgorzej jest, gdy rządzący nie są w stanie zobaczyć rezultatów swoich rządów; marksizm, z metody porządkowania naszych obserwacji o życiu społecznym, staje się wtedy instrumentem odcinającym nas od tego życia. Tłumaczy wszystko i przez to właśnie — nie tłumaczy niczego, choć pozwala na wszystko.

Lecz Henryk uśmiechnął się tylko i nie podjął kwestii. Na tym się też rozstali i Borowicz ruszył parkiem z powrotem, w stronę ulicy Pięknęj.

Przeżuwał teraz nie tyle odbytą właśnie rozmowę, ile nastrój i koloryt tego dnia, dnia odmiennego niż inne, który już się oto wykrystalizował i zdeklarował. Przede wszystkim precz z ta-

kimi rozmowami: w swej dekoracyjnej niby egzotyczności wobec normalnego Borowiczowego dnia pracy okazywały się jałowe, nie wnosiły nic, czego by już nie wiedział — po prostu bezcelowa repetycja, trawienie starej myślowej siczki, niepotrzebnej ani jemu ani światu, czynność jałowa, nie twórcza a męcząca. Przypomnił sobie nagle krystaliczne dni z Władką, gdy pracowali ręka w rękę rozumiejąc się bez słów, a po południu utwierdzali swoją jedność spotkaniami w pokoiku na przedmieściu. Uczuł drgnięcie zazdrości wobec siebie z tamtych dni: jakżeż daleko od nich odszedł i to w tak krótkim czasie, jakże wiele utracił. Czy jednak rzeczywiście utracił? Wszystko było przecież do odzyskania, choć, wiedział to, żadna rzecz nie jest dwa razy taka sama. Ale może uda się zrekompensować straty, niejako je nad-sztukować — może przez małżeństwo? Małżeństwo z Władką to była szansa naprawienia wielu rzeczy — oto niespodziewana konkluzja dziwnego dnia.

Co prawda nie miał w tej chwili sposobu konkretnego ruszenia z miejsca problemu Władki: w Warszawie jej nie było, a nawet gdyby była to przecież ostatnio żadne dogadanie się nie okazywało się możliwe, bo w ogóle nie rozmawiali i to od bardzo dawna, właściwie od czasu jego pobytu w Paryżu. Ten Paryż był błędem — on zepsuł wszystko. To znaczy — nie był jego błędem — po prostu wyzwolił pewien splot okoliczności, które od tego czasu były nieuchwytnie lecz konkretnie wywierać wpływ na ich życie. Jakie okoliczności, jaki wpływ? Trudno to było powiedzieć, bo przecież nic się właściwie nie stało: tyle, że przypomniawszy sobie o istnieniu Edzia i Wandy, a raczej uświadomił sobie to istnienie, bo wszakże od lat nigdy o nich nie myślał i w ogóle nie przypuszczał, że żyją — zwłaszcza Wanda. No i dowiedział się o istnieniu małej Anny. Po co? — nie wiadomo. Tu z grymasem wewnętrznym uświadomił sobie, że dziwny dzień wcale się jeszcze nie skończył: idzie przecież oto do Komitetu po auto, aby jechać nim na spotkanie właśnie z małą Anną, którą widział dotąd raz w życiu. Po co się z nią spotyka? Nie ma to najmniejszego celu ani znaczenia, tyle, że dopełnia miary tego dnia dziwnego, bezsensownego a przez swój bezsens tak męczącego — choć właśnie miał być odpoczynkiem. Nie istnieje jednak odpoczynek poza pracą, uporządkowaną, skuteczną pracą. Postanowił nigdy już nie przerywać jej tempa: wtedy na pewno porozumie się na nowo z Władką. Przecież dawniej, gdy byli razem, również niewiele rozmawiali — po prostu żyli wspólnym rytmem, o to właśnie szło. Po powrocie z Paryża utracił ów rytm, Borowicz dał się wybić z tempa częściowo może przez księdza i sprawę Wandy, częściowo przez opętaną historię

z Gellerem. Chwilowa utrata rytmu — nic się innego nie stało i stać nie mogło, nic przecież między nimi a Władką nie zaszło, w niczym przeciwko niej nie zawinił. Gdy odzyska rytmiczną pewność pracy i spokoju, odzyska i ją — bez żadnych nawet wyjaśnień, bo nic do wyjaśniania nie było. A wtedy pomyśli o małżeństwie — małżeństwo to sposób na zrekompensowanie wszystkich strat moralnych, jakie poniosła ich sprawa przez okres chwilowej utraty równowagi. Ono samo zaś nie będzie zakłóceniem rytmu życia, lecz przeciwnie — nową, doskonalszą jego formą. Istniało oczywiście przeciw tej formie wiele argumentów, ale dziś, wobec przeżywanego kryzysu, traciły one na ważności — małżeństwo jest jedynym wyjściem które pozwoli mu zachować Władkę i odzyskać rytm — jak tylko dzisiejsza myśl o tym się pojawiła, Borowicz od razu wiedział, że już podjął decyzję. I pomyśleć, że go to naszło właśnie dzisiaj, w tym niedorzecznym dniu i niedorzecznym parku. Był teraz spokojny: dopełni reszty dnia już bez wewnętrznego zamętu — prosta a konsolidująca decyzja przyszła jak nagroda za wszystkie trudy i niesmaki ostatnich tygodni, a także za dziwaczne w swej przypadkowości zdarzenia dnia dzisiejszego, kiedy to rozmowa z Profesorem przepełniła wszelką miarę przez swą agresywną niedoskonałość. Niedoskonała chaotyczność świata bywa czasem impulsem dla uporządkowania — siebie.

X

Już w parę, a może zaledwie w dwie godziny potem, pędzili samochodem między zmiennymi, przesuwalnymi ścianami lasu. Borowicz nie wszystko mógł sobie później przypomnieć, niektóre rzeczy zniknęły jak wytarte czy wywabione, inne przeciwnie, utrwaliły mu się już nie tyle w pamięci, co w wyobraźni pamięciowej, po prostu widział je, jakby sobie wyświetlał tkwiący w głowie film — w głowie, bo przecież wiązało się to na pewno z mózgiem, który rejestrował i przechowywał nie tylko myśli, lecz również obrazy — zresztą obrazy przesączone przez myśl, zmieszane z nią (oczywiście nie w sposób mechaniczny, lecz tak, jak pierwiastki związane są w związku chemicznym), nie ma bowiem ludzkiego widzenia bez pośrednictwa myśli. Widział więc wyraźnie niektóre sceny tego popołudnia — gdy jednak później zbyt często próbował je sobie odtwarzać, ostrość ich psuła się, stawały się zatarte, mgliste, mało wiarogodne i trzeba było na pewien czas od nich odpoczywać, aby znów kiedyś przez chwilę móc je przywołać w całej ich precyzyjnej i plastycznej konkretności. Borowicz zresztą wracał do nich nie dla nich samych, lecz w nadziei, że intensywnie przypominając je sobie, zdoła przez jakiś proces kojarzeniowy uzupełnić obraz o to, czego w nim brakowało, co zostało z pamięci wytarte lub też raczej, dzięki trudnym dla niego do pojęcia przyczynom, w ogóle nie zostało w niej zarejestrowane, nie zakorzeniło się, widocznie odbiło się od jej nieprzenikliwej w tych momentach a tak czulej i chłonnej w innych chwilach powierzchni. Brakowało mu powiązań między poszczególnymi, aż do dziwaczności charakterystycznymi fragmentami tego popołudnia, brakło wiązań logicznoprzyczynowych, okoliczności psychicznych, na których tle rozwinęły się i dojrzały impulsy (cho-

dziło mu o własne impulsy), które doprowadziły do wydarzeń tak dlań nieoczekiwanych. Zresztą wydarzenia nieoczekiwane, niezwykle czy dziwaczne ogromnie szybko przestają dla świadomości być takimi, zostają zaadaptowane, przystosowane do psychiki, wchłonięte przez nasze życie wewnętrzne bez śladu, bez rysy czy pęknięcia, jakby się nic niezwykłego nie stało. Jeszcze dwie godziny temu jakiś wypadek wydawał się nam absolutnie niemożliwy, nieprawdopodobny, w dwie godziny później jest on już najnaturalniejszą częstką naszych pilnie przechowywanych zapasów psychicznych, których ciągłe przeżuwanie decyduje o życiu duchowym, kształtuje naszą wewnętrzną sylwetkę. Człowiek jest bowiem wciąż na nowo formowany przez swoją przeszłość, a wszystko, co mu się zdarzy w teraźniejszości już po niedługim czasie, niekiedy po prostu po chwili, automatycznie odsuwa się w tył, stając się również przeszłością. Do tego, że wydarzenia już się stały i już, natychmiast kamienieją w formie wspomnień przyzwyczajamy się błyskawicznie, podobnie jak do cudzej śmierci — Borowicz wypróbował to wielokrotnie podczas okupacji, kiedy tempo życia i tempo narastania niebezpieczeństw nie pozwalało na poświęcenie tym co zginęli czy zmarli większego marginesu czasu i myśli, a jednocześnie podświadomości sprawnie i nieomylnie wypełniała swe czynności grabarza, tak, że ani się człowiek opatrzył jak pochówek był dokonany a wszelkie ślady zatarte. Instynkt samozachowawczy pilnie dba o to, aby jego klient niczemu się nie dziwił, lecz przeciwnie, wchłaniał wszystko w sposób naturalny, bezboleśnie i możliwie bez wstrząsów.

Zastanawiając się nad impulsami, które stały u podstaw wydarzeń tego popołudnia, Borowicz dochodził do wniosku, że wszystko zdarzyło się właśnie z powodu braku z jego strony jakichkolwiek impulsów. Został zaskoczony w momencie neutralności, psychicznej, wewnętrznej, jak to określał, białości, a może raczej czerności, jeśli by sobie wyobrazić czystą tablicę, na której każdy może napisać co zechce; słowem moment nieuwagi, zobojętnienia, braku jakiegokolwiek psychicznego wątku, a co za tym idzie, okres machinalnej, chwilowej utraty czujności. W takich właśnie chwilach, nie w chwilach napięcia czy podniecenia spotykają nas na przykład katastrofy samochodowe i takich chwil później najbardziej żałujemy, nie mogąc sobie ani rusz przypomnieć jak do tego doszło, nie mogąc uwierzyć, że doszło właśnie od niechcienia, przypadkiem, że przeznaczenie zaskoczyło nas w krótkim interwale nieświadomości czyli psychicznej próżni.

Ta próżnia, nieobecność wszelkich impulsów i instynktu samozachowawczego wynikła z faktu, że uprzednio, przed przybyciem Borowicza na spotkanie z Anną, starły się w nim i zneutrali-

lizowały dwa impulsy przeciwne: najpierw refleks negatywny, przykry, wywołany przez niepotrzebny pobyt w parku i rozmowę z Profesorem, potem impuls pozytywny, przewyciężenie tamtego wrażenia i wewnętrzna konsolidacja wywołana przez decyzję małżeństwa z Władką. Oba te nastroje zrównoważyły się, a intensywne przeżycie ich konfliktu doprowadziło go do stanu wyczerpania, do owego neutralnego spokoju, gdy traci się czujność i uwagę. Na spotkanie przyjechał chwilowo bezbronny i dał się zaskoczyć — tak tłumaczył sobie genezę całej historii, tak, rozumując po niewczasie, uzupełniał luki w pamięci — robił to zresztą ze skrupulatności i z przywiązania do praw logiki, wiedząc jednocześnie doskonale, że najdziwniejsza, najbardziej wariacka historia, jeśli nam się już zdarzyła, staje się normalną, staje się częścią nas samych, co więcej, działa i pracuje dalej tak wewnętrznie jak i zewnętrznie, pociągając za sobą łańcuch konsekwencji. Jeśli zaś w dalszym ciągu uważamy ją za wariacką, nie potrafiliśmy jej sobie uzasadnić ani wytłumaczyć, a jednak tkwimy w niej nadal, to po prostu ponieśliśmy porażkę i to podwójną lub jeszcze gorzej, bo uświadomienie sobie porażki i przyznawanie się do niej jest jej zwielokrotnieniem. Człowiek subiektywnie przekonany, że porażki nie poniósł, jest o wiele silniejszy od człowieka, który nie ma przed sobą samym niczego na swe usprawiedliwienie.

A zaczęło się wszystko zupełnie niegroźnie, wręcz odpoczynkowo, bo pogodnie, lekko i jakoś bezpiecznie, bez owych dwuznacznych haczyków i żądań, jakimi nadziana była rozmowa z Anną poprzednim razem. Dał się złudzić tą lekkością, nie wiedział (a powinien się domyślić) że była uplanowana i to z bystrością wręcz niezwykłą, zrealizowana zaś tak zreźcznie, że tylko przedwcześnie kobieca intuicja plus iście wariacki zmysł aktorskiego ryzyka mogły tu być wytłumaczeniem. A swoją drogą Borowicz okazał się absurdalnie łatwowierny: sielankowa postać uśmiechającej się i żartującej dziewczyny na zalanej jaskrawym słońcem nadwiślańskiej autostradzie powinna go była zaalarmować swą odmiennością w stosunku do pierwszego spotkania. Lecz on był właśnie zmęczony tokiem dnia i wyjąłowiony z impulsów, toteż, jako prezent losu przyjął fakt (domniemany), że tym razem nie będzie się musiał wysilać ani rozwiązywać problemów.

Anna opowiadała swobodnie i wesoło o maturze — właściwie po swojemu nic konkretnego nie mówiła tylko proponowała jakby stereotypy rozmowy, rozmyślnie banalne lecz podane znacząco, z podkreśleniem, że to na niby, żartem, ale z drugiej strony w tych żartach zawsze kryło się coś z prawdy, proporcji między prawdą, a żartem nigdy nie dawało się ustalić, przez to Anna

panowała nad rozmową, kierowała nią, przeważała inicjatywą nad swym po trochu zdezorientowanym i często zaskakiwanym partnerem. Nie wiadomo gdzie się tego nauczyła i w ogóle kiedy — miała przecież dopiero dziewiętnasty chyba rok życia. Borowicz liczył w myśli lata, a ona szczebiotała obok niego, gdy prowadził uważnie, wymijając nie rzadkie w tych okolicach chłopskie wozy i kierując się (nie wiadomo skąd mu to przyszło) ku pięknej asfaltowej szosie wśród lasów. Anna wyglądała jakoś niezwykle świeżo, miała na sobie kolorową sukienkę, zagraniczny ciuch, jak mówiono w Warszawie, Borowicz zresztą nie znał się na damskich łąkach, ale ocenił piękne zjawisko, choć widziane teraz tylko kątem oka. Licho wie, gdzie nabyła owej elegancji i takiego swobodnego stylu prowadzenia rozmowy — w klasztornej szkole chyba tego u diabła nie uczyli? Zresztą mniejsza o to, grunt, że nie potrzebował się z nią dzisiaj wysilać i męczyć, jak poprzednim razem. Wtedy wydała mu się wariatką, teraz — dziewczyną najnormalniejszą w świecie.

— Jestem po maturze, jestem samodzielna, jestem już swoją własną! Gdy powtórzyła mu to ze śmiechem po raz dziesiąty, spytał wreszcie, sprowokowany, co ona właściwie zamierza teraz dalej robić. — Nic takiego, po prostu jak najlepsze wrażenie — odpowiedziała mizdrząc się. — Pozbyłam się moich koleżanek, to najważniejsze, jaka jestem szczęśliwa, nie ma pan wcale pojęcia o takim szczęściu. — A gdzie Pani teraz mieszka? — tu Borowicz zająknął się nieco, pytanie było niepotrzebne, cóż go obchodziło gdzie właściwie mieszka, czy u sióstr czy u księdza czy gdzie indziej, nie chciał żadnych konfidencji ani pozorów choćby roztrząsania nad nią jakiejś opieki. Ale na szczęście nic konkretnego nie odpowiedziała, roześmiała się jakoś ogromnie dźwięcznie (nazbyt dźwięcznie, wręcz sztucznie, powinno go to być przestrzec) i odpowiedziała coś wymijająco, rozmyślnie banalnie, że mieszka „wszędzie i nigdzie” — coś w tym rodzaju.

Pędzili teraz dziewięćdziesiątką między dwiema ciemno-zielonymi ścianami lasu, słońce tu niemal nie dochodziło, tylko gdzieś między drzewami prześwitywały jego poliniowane pionowo odblaski. Borowicz zaczął myśleć o powrocie, gdy oto Anna zaproponowała mały przystanek. — Tak pięknie tu — powiedziała z utajonym w głosie szyderstwem, tylko że szyderstwo to zauważył dopiero później, gdy przypominał sobie całą sprawę. Borowicz nie był zbyt chętny zatrzymaniu, podczas jazdy rozmowa mogła być zdawkowa, a jak staną, ona może go zmusić do tematów zasadniczych (dla niej), choć jak dotąd nie okazywała dziś na szczęście do tego skłonności. Mimo wszystko zwolnił nieco, wypatrując miejsca na ów postój. Niedługo, jak na złość się

nadarzyło — wysokie gdzieniegdzie zbocze lasu obniżyło się tutaj, las zrównał się z szosą i oto nastęrczyła się łagodna polanka, dająca początek tajemniczemu, leśnemu duknowi. Borowicz zjechał z szosy i zatrzymał auto w cieniu drzew, u progu owego duktu. W promieniu widoczności ani śladu człowieka, zajechali dalej niż sądził, to nie był już podmiejski lasek lecz uroczystry bór liściasty, gęsto podszyty u spodu paprociami i jakimś dziwacznie kwitnącym zielskiem. Słońce nie dochodziło tu już wcale.

Gdy stanęli, uderzyła w nich fala gorąca, której nie czuli w czasie jazdy. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Borowicz starał się nie patrzeć na swoją towarzyszkę — teraz dopiero poczuł dziwacznosc sytuacji, przedtem zneutralizowaną jakoś faktem jazdy, posuwania się naprzód: to był cel, czy pozór celu, a teraz ów cel zniknął i na gwałt należało go sfabrykować, coś stworzyć, wywołać, nie milczeć dziwacznie a głupio. Jak na złość czuł w głowie pustkę, z trudem szukał jakichś myśli, jakichś słów, nie miał przecież temu egzotycznemu stworowi nic do powiedzenia. Wreszcie wybąkał coś w rodzaju niezdarne go pytania, na temat jej przyszłych studiów, planów, utknął zresztą w polowie, coś tam jeszcze dodał i — czekał odpowiedzi. Ale ona milczała.

Spojrzał w jej kierunku, spojrzenia ich się spotkały: patrzyła ironicznie i wesoło, pewna siebie, jakby widziała go na wskroś. Ciągnęła milczenie jeszcze i jeszcze, wyraźnie natrzęsając się z jego zmieszania. Wreszcie przemówiła — całkiem nie na temat.

— Mam do pana prośbę.

— Jaką?

— Ale proszę obiecać, że pan ją na pewno spełni.

— Jakżeż mogę obiecać, póki nie wiem o co chodzi — Borowicz z irytacją uświadomił sobie, że dialog ich był wierną jakby ją papuga powtórzyła kopia tysiąca podobnych rozmówek, toczonych przez niedorosłe panienki i młodzieńców ze średniej szkoły: ależ ta Anna umiała go, jak mawiano w Warszawie „zakłać w konia”.

— Kiedy ja proszę, naprawdę proszę!

— No więc, niechżeż Pani wreszcie powie, o co chodzi.

— Chciałam, żeby pan mówił mi „ty”.

Borowicz podniósł głowę zaskoczony — już to zaskakiwać umiała go zawsze — a wydawałoby się, że właśnie po maturze imponować jej będzie, jak się do niej mówi per pani. Napotkał jej oczy, uważnie w niego wpatrzone. — Ależ nie mam powodu mówić do pani, jak do dziecka — mruknął raczej pod nosem.

— Ależ właśnie — przedrzeźniała go — ma pan różne po-

wody, miał pan w każdym razie i to nie jeden, jestem tego pewna.

— Zapewniam panią, że nie, nie mam i nie miałem!

— Więc teraz będzie pan miał przynajmniej jeden!

Zanim zdążył zastanowić się, co znaczyły te słowa, uczył że jej ręce objęły go mocno za szyję. Buchało od niej gorącym, a pachniała czymś specjalnym, jakąś osobliwą, intensywną wodą kolońską czy perfumami, na pewno jednak nie klasztorem. Przywarła do niego całym ciałem, choć uwięziony za kierownicą, niezgrabnie próbował się wyszarpnąć, zresztą nadaremnie, bo Anna silna była jak diabli. Całowała go ile włożyło, a on, groteskowo zgorzony, nie znajdował na ten absurd żadnej rady — absurd, bo pocałunki bynajmniej nie wyglądały niewinnie, przeciwnie, zwariowana dziewczyna wkładała w nie maksimum autentycznej zmysłowości, najwyraźniej chcąc go zmusić do rewanzu. Czuł się okropnie komiczny w charakterze przymuszanego do pieszczoł starszego pana, ale rzecz nie była wcale zabawna — to już nie żadna dziecinnada, to stawało się groźne, zwłaszcza że, powodowany typowo męską obawą przed ośmieszeniem, zaczął pocałunki oddawać i napotkał ustami jej usta. Annie o to właśnie szło — wczepiła się w niego wargami jak istna pijawka, gdzież do licha nauczyła się takich rzeczy?! Ręce trzymał przy sobie, chcąc zachować jednak rolę bierną, mimo to wyczuwał wyraźnie dotyk jej twardych lecz bujnych piersi. Ani przez chwilę Anna nie oddawała inicjatywy, nie zwalniała też częstotliwości pocałunków a raczej teraz intensywności jednego długiego pocałunku — było już potężnie gorąco, gdy wreszcie sama zadyszana, zlitowała się nad nim. Odsunęli się od siebie, łapiąc powietrze, on wściekły i zasapany, ona roześmiana i tryumfująca.

— No i co, teraz będzie mi pan mówił ty, prawda?!

Borowicz chciał się rozniewać — nie mógł, chciał się roześmiać — też nie mógł. Ależ było głupio, ależ mu dawała szkołę — taka smarkata! I niech by jeszcze ktoś znajomy przejeżdżał; po prostu straszna bzdura a do tego posądzenie o uwodzenie nieletnich gotowe: na samochód — jak mówiono.

— No niechże pan mi wreszcie powie ty — nastawała. — I przede wszystkim wysiadźmy, gorąco tu okropnie.

Projekt był sensowny i w ogóle jedynie możliwy. Wysiedli każde swoją stroną, Borowicz zasunął szyby, rozejrzał się po szczęśliwym trafem bezludnej ciągle szosie, zawahał się chwilę i w końcu posłusznie ruszył za Anną w głęboki cień wielkich drzew. Od początku całego wariactwa nie powiedział jeszcze ani słowa.

Ale na tym wcale się nie skończyło. Gdy weszli między olbrzymie paprocie, Anna wynalazła wśród nich małą kotlinkę,

wyścieloną ciemno-zielonym mchem, jakby jakimś aksamitnym dywanem. Opadli na ów dywan, Borowicz nie pamiętał już kiedy i dlaczego, pod jakim pretekstem, po czym Anna znowu zabrała się do rzeczy. Ale jak — w sposób wręcz wyuzdany i ekshibicjonistyczny, w ogóle do głowy by mu nie przyszło, że zdolna jest do czegoś podobnego. Miała cel całkowicie określony i zdążyła do niego środkami najprostszymi, niczym się nie krępując. Borowicz, wstydlivy z natury, nie chciał się z tym pogodzić, próbował się z nią szamotać, ale szamotanie owo doprowadziło do jeszcze większego zbliżenia, już to Anna umiała się o to postarać. I w końcu stało się tak, jak chciała, mimo iż wydawało się to z początku wręcz nieprawdopodobne i w ogóle niemożliwe. Szereg postępów Anny zdecydował o tym, że sama sprawa finalna okazała się mniej drastyczna niż one, choć, zważywszy wszystkie okoliczności, tło i otoczenie, daleko było temu krótkiemu dreszczowi do miana rozkoszy, do rangi namiętności. A potem przyszła na Borowicza chwila kompletnego ośpienia i takiej psychicznej zapaści, że żadna, nawet najgłębiej w hierarchicznie wystopniowanej podświadomości utajona myśl nie płątała mu się pod czaszką. Nie myślał nawet o tym, że praca mózgu zacznie się później, nie czuł tego — wstrząs był zbyt silny a zaskoczył go całkowicie, kompletnie nie przygotowanego.

Leżeli na owym mchu bez ruchu. Borowicz doprowadził przed tym do porządku ubranie, Annie najwyraźniej wcale na tym nie zależało. Od razu jednak zaczęła znowu mówić, co było i niestosowne i męczące. Z trudem podążał za gorączkowym teraz tokiem jej słów, ale słowa te budziły w nim po trochu, stopniowo, zdolność refleksji. Pierwsza myśl była prosta, narzucała się nieodparcie: Anna mówiła obecnie zupełnie inaczej niż przedtem, mówiła tak, jak wtedy, przy pierwszym ich spacerze po oszronionym jeszcze polu, to znaczy całkowicie i bez obsłonek — po wariacku. Najwidoczniej dziś od rana przyciąła się, aby usnąć jego czujność (od razu, po jednym spotkaniu wiedziała czego nie lubił, co go raziło!) teraz za to pozwalała sobie na całego — leżała przy tym nadal nie całkiem ubrana, w pozie specyficznie bezwstydney. Już to wychowania klasztornego nie znać było po niej ani odrobiny. Leżąc na wznak patrzyła w ciemno-zielony, wysoki pułap z liści, nieprześwietlony już w tej chwili przesilającym się z innej strony lasu blaskiem słońca i mówiła cicho i szybko jakby do siebie samej, jakby dając ujście myślom dawno już przygotowanym i sformułowanym.

— Jestem teraz kobietą, mam kochankę, długo na to czekałam, nie mogłam już dłużej — te koleżanki w klasztorze, idiotki, tak mnie strasznie męczyły i ogłupiały — teraz się już

od nich uwolniłam, pozbyłam się ich a nie jestem sama — mam przyjaciela, protektora, ha, ha. Od pierwszej chwili wiedziałam, że to ty będziesz (teraz już musimy sobie mówić ty), trochę tylko nie podobała mi się twoja rasa — na szczęście wiem już, że nie jesteś moim ojcem, w takim wypadku z moją rasą byłoby całkiem źle. Matka jest Żydówką, prawda, ale katoliczką — z konieczności, ha, ha, — koleżanki mówiły mi o tym: one zupełnie nie miały innego tematu. Ty byłeś kochankiem Matki, prawda — czy to zabawnie posiadać i matkę i córkę? No powiedz coś, nie leż jak niedźwiedź — widziałeś te białe niedźwiedzie na Pradze co leżą bez ruchu w czasie upału? Wszystko jedno, jesteś moim kochankiem i będziesz — choć z początku nie chciałeś. A potem, jak się znudzimy, załatwisz mi wyjazd do Paryża — nie chodzi mi zresztą o matkę i o tego jakiegoś Francuza, o którym mi mówił ksiądz Krauze, ale gdzieś przecież muszę być, a w Polsce nie zostanę. Zresztą zobaczymy, na razie jeszcze wcale nie jest nudno, prawda? To jest zupełnie przyjemne, tylko z początku trochę bolało, ale potem już nie będzie — prawda? No, zrób mi to jeszcze raz, tak dla pokazania. No, proszę.

Znów przysunęła się do Borowicza próbując na próżno wzbudzić jego podniecenie — na próżno, bo choć jeszcze oficjalnie nie myślał, już miał pełną świadomość wszystkiego: jej wariactwa, obłędu czy, jak mówił ksiądz Krauze, kompleksów (ależ cudowny skutek dało to religijne wychowanie!), co w połączeniu z niesamowicie silnym, po Wandzie najwidoczniej odziedziczonym charakterem, czyniło z niej siłę destrukcyjną, która, wiedział to już jak najdokładniej, zniszczy wszystkie jego, Borowicza, poczynania i osiągnięcia, zniszczy doszczętnie, katastrofalnie a bezapelacyjnie, bez żadnego ratunku i odwołania. Zniszczenie zresztą już się zaczęło — dowodem sprawa Władki, sprawa zepsuta w istocie od dwóch miesięcy, a teraz tracona, tracona bezpowrotnie. A bez Władki zrujnuje się i szereg innych rzeczy, wyjęcie jednej ważnej cegiełki narusza równowagę całego gmachu. Wszystko zaś zaczęło się od owego niepotrzebnego i fałszywego, bo fałszywymi i słabymi w gruncie rzeczy sentymentami podyktowanego kwietniowego spaceru po paryskich Wielkich Bulwarach. Od tego spaceru i spowodowanego przezeń przypadkowego spotkania z Edziem Bratkowskim rozpoczęła się cała sprawa: to tak jak w szachach, gdy jeden mniej przemyślany ruch na początku gry, ruch na pozór bez znaczenia, pociąga za sobą rozkładowe, katastrofalne konsekwencje w dalszym przebiegu partii. Wiedział o tym dobrze towarzysz Ludwik, dlatego był zawsze tak ostrożny nawet a raczej przede wszystkim w drobiazgach, rozumiejąc, że w tych drobiazgach najmniej się pilnujemy a przez to właśnie są one

najniebezpieczniejsze i najdalej nas mogą doprowadzić — podobnie jak drobiazg w postaci otwarcia czy nie otwarcia kanału w zębie może zdecydować o bólu, przenikającym i paraliżującym całą osobowość człowieka. Dlatego to towarzysz Ludwik był zawsze w życiu poza Komitetem, a zwłaszcza za granicą sztywny i nastroszony, dlatego wyrzekł się przyjemności spacerowania po Paryżu, którą on, Borowicz, zaaplikował sobie wcale w gruncie rzeczy jej nie pragnąc, raczej przez snobizm wobec dawnych wspomnień. To był błąd, zaś łańcuch jego skutków rozwija się oto konsekwentnie, nie unikając przy tym dialektycznego prawa o przechodzeniu ilości w jakość — takim właśnie jakościowym a katastrofalnie nieodwracalnym skokiem był dzień dzisiejszy, którego agresywna absurdalność coraz się oto zaostrzała, bez możliwości jakiegokolwiek powstrzymania czy skorygowania biegu wydarzeń.

Myślenie o ascetycznie oschłym a w środku owładniętym jedną tylko jedyną namiętnością polityczną towarzyszowi Ludwikowi w okolicznościach obecnych było absurdem: leżeć w lesie z nieznaną, na pół ubraną, młodszą od niego o przeszło ćwierć wieku wariatką, a w dodatku, niezrozumiałym sposobem córką zapomnianej koleżanki z lat szkolnych i jakiegoś Niemca, to już samo przez się było arcyniezwykłe, niezwykłością niemiłą i zbędną, w zestawieniu zaś z towarzyszącą tej leśnej sprawie, przywołaną przez myślą czy przez nieuchwytną asocjacyjną pracę mózgu Borowicza poważną, nieco manekinową, sztywną postacią Ludwika stawało się nieodparcie, choć wcale nie wesoło, komiczne. Komizm nie musi być wesoły, komizm bez radości jest po prostu formą uczucia odrzady.

Komiczne też na pewno mogły się wydać cielesne zabiegi Anny. Była wyuzdana wyuzdaniem nie wiadomo czy nauczonej teoretycznie czy wrodzonym, bo przecież, jak mówią Francuzi, „robiła miłość” pierwszy raz, co do tego nie mogło być wątpliwości. Jej bezwstyd miał w sobie coś prostego i spontanicznego, jak u zwierzęcia, wynikało to zapewne z braku doświadczenia, myślała, że tak właśnie trzeba. Z tępym żalem wspominał Władkę, której każdy, najbardziej spontaniczny odruch zmysłowy przepajała utajona ale wciąż obecna uczuciowość. A przecież Władka, gdy ją poznał, wcale nie była niewinna — a może to właśnie dlatego, może i zwierzątko, któremu na imię Anna, z czasem się jeszcze rozwinie i wzbogaci? Tylko z jakiej racji on właśnie ma się stać narzędziem owego procesu dojrzewania — cóż to za pech i niewydarzony kłopot.

Myśl o Władce przywołała atmosferę kobiecości, w połącze-

niu z zabiegami Anny wytworzyło to erotyczną mgłę, w którą się w końcu zanurzył, zastępczo niejako ulegając znów Annie, co więcej, okazując aktywność, której wcale dziś u siebie nie podejrzewał. Widocznie instynktowna lecz nierozumna (instynkty bardzo często przeczą rozumowi) ambicją męską kazała mu naprawić wrażenie tamtego stosunku nieudatego i przypadkowego, przez co, oczywiście, angażował się jeszcze bardziej. Nie był przy tym wcale pewien, czy robił jej prawdziwą przyjemność: przeczyłby temu fakt, że za dużo mówiła — ani na chwilę niemal nie przestawała gadać lub szeptać, podążając niezmiennie za swym maniakałnym tokiem myśli. Długo leżeli jeszcze na owym mchu; w lesie kolejno zmieniały się barwy, najpierw było ciemnozielono, potem purpurowo od zachodzącego słońca, ciemnoniebiesko, jakoś sino, wreszcie całkiem czarno. Borowicz zresztą nie przyglądał się temu wszystkiemu specjalnie, raczej tylko nastawiał czasem ucho, czy nic złego nie dzieje się z autem. Ale nic się nie działo, nikt w ogóle nie przejeżdżał, byli sami, absurdalnie sami. Rozmawiali, nawet sporo, ale zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, co i jak do niej mówił; jej za to opętany monolog pamiętał doskonale, wracało tam wciąż parę elementów: koleżanki, matura, ksiądz Krauze, matka, rasa, Paryż. Ubogi miała repertuar, za to uporczywy.

Przestała mówić dopiero w samochodzie. Wracali dość późno, jadąc stosunkowo wolno na zgaszonych światłach. Osiągnęli tak Hutę Warszawa, potem Żoliborz, skrzyżowali ku Wiśle. Przy moście Gdańskim Anna wysiadła. — Zadzwoń do ciebie, jak się trochę urządzę — powiedziała. — Musimy to zresztą postanowić razem. Wiem już, czym dla mnie jesteś, chociaż nie ojcem — ha, ha. Była już prawie noc. Borowicz pojechał kilkaset metrów dalej: czuł głód, ale zatrzymał samochód i stanął gdzieś przy Mostowej. Oparł się wygodnie i patrząc machinalnie w ciemny teraz, bo kontrastujący z łańcuchami światła mostu i Pragi nurt Wisły, próbował zdać sobie sprawę ze swego stanu psychicznego.

Był to stan ogłuszenia: w ciągu paru godzin wszystko wokół zmieniło nie tylko klimat i atmosferę, lecz w ogóle wymiary, rozkład, położenie. Na pozór cóż niby takiego, przespać się w lesie z młodą dziewczyną? W istocie jednak wiedział to doskonale, był to cios we wszelkie jego sprawy, cios którego siły i skutków niesposób jeszcze przewidzieć. Na razie zresztą wcale tego nie próbował — na to czasu będzie dość, aż za dużo!

Przebiegał myślą całe swoje życie, szukając w nim wypadku, który tak by go zaskoczył, zmieniając za jednym zamachem wszelkie perspektywy. Przypomniał sobie wreszcie jeden podobny z czasów okupacji: nigdy do niego dotąd nie wracał myślą, tak

dalece ten wypadek wyskoczył wówczas znikąd, był absurdalny, nie związany z żadną absolutnie logiką wydarzeń, w ogóle nie związany z otaczającym życiem. Oto jeden z towarzyszy, przygotowujący się do bardzo ryzykownej wyprawy przeciw Niemcom, w trakcie rozmów przygotowawczych spoliczkował Borowicza i to przy wielu świadkach. Wydarzenie to nie miało najmniejszych przyczyn, wynikało po prostu ze zdenerwowania młodego towarzysza; szedł on przecież na akcję grożącą śmiercią czy, jeszcze gorzej, torturami w Gestapo, które wobec nielicznych zresztą komunistów stosowano w sposób specjalnie okrutny i wyrafinowany, chcąc zmusić ich do ujawnienia całej sieci organizacyjnej — komunizmu w istocie (i słusznie) Niemcy bali się najbardziej. Borowicz oczywiście nie zareagował: młody towarzysz był w dodatku Żydem, śmierć groziła mu wszędzie o każdej godzinie i każdej minucie, stan jego nerwów to rzecz całkowicie zrozumiała i wybaczalna. A jednak ten pozbawiony znaczenia wypadek odcisnął na usposobieniu Borowicza swe piętno wręcz katastrofalnie: przez długie miesiące czuł się znieważony, upokorzony, nawet zhańbiony, wyrzucony za nawias życia normalnych ludzi (jakby w czasie okupacji byli w Polsce normalni ludzie) i to w sposób bezapelacyjny, zaskakujący, na który nie ma już absolutnie żadnej rady: co się stało to się nie odstanie i pomyśleć, że z okrucieństwem irracjonalnego przypadku musiało to uderzyć właśnie w niego, z całej tragicznej, straszliwie patetycznej choć i ohydnej Warszawy tylko jego dotknął ów wypadek wyjątkowy, nie typowy, czyniąc go tak słabym i zbolełym, jak nie potrafiły tego uczynić wszystkie niemieckie bestialstwa i groźby razem wzięte. Przez długie miesiące nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o tym, że jest znieważony a więc niepełnowartościowy. Nie przejął się zgoła relacją kilku towarzyszy zbiegłych z grobowca warszawskich Żydów, z Treblinki, którzy opowiadali, jak duszono się tam w skąpo wydzielanym spalinowym gazie przez wiele godzin, przez całą noc nieraz (cóż za kontrast z luksusowym Oświęcimem, gdzie śmierć w cyklonie nie przekraczała okresu trzydziestu minut), mało go obeszło powstanie w getcie i obserwowany z domu niedaleko muru widok płonących i wyskakujących oknem towarzyszy. Wśród straszliwych wydarzeń chodził obojętny, wrażliwy tylko na toczącą go od środka obsesję; wyrzucał sobie oczywiście uleganie absurdom i obcym, dawnym pojęciom, które w tej przynajmniej sytuacji nie miały najmniejszego zastosowania — lecz nic to nie pomogło. W dodatku w ogóle nikt nie mógł mu już pomóc: wszyscy o tej sprawie zapomnieli, nawet ów towarzysz, który był jej sprawcą. Borowicz spotykał go od czasu do czasu — młodzieniec zdawał się niczego

nie pamiętać, prawdopodobnie był wówczas w stanie półprzytomności, kiedy nie odpowiada się za swoje czyny. Cóż z tego, kiedy Borowiczowi nie przynosiło to ulgi: przyczyna depresji tkwiła już w środku niego samego, nie w otaczającym go świecie i przy usuwaniu jej świat nie mógł mu już pomóc.

A jednak ulga zaczęła stopniowo przychodzić, lecz dopiero od śmierci owego towarzysza, zastrzelonego na ulicy przez Niemców po krótkiej walce. Borowicz odepchnął to wspomnienie, wstydził się bowiem przed sobą samym uczucia spokoju i bezpieczeństwa duchowego, jakie jęło go ogarniać po śmierci tamtego. Od lat zapominał już o owym wydarzeniu i o wywołanych przez nie okrutnych a absurdalnie jałowych cierpieniach. Dziś nagle przypomniał sobie wszystko i przyszło mu do głowy, że w historii z Anną jest coś podobnego, coś co podcinając jego wiarę w siebie zniszczy go od środka, nie mówiąc już o tym, co zdarzyć się może wokół niego. I tu, tak samo jak wówczas, motorem katastrofy jest przypadek z zewnątrz, którego nie mógł przewidzieć, a więc któremu nie mógł i zapobiec. Widział dziś przecież Annę po raz drugi w życiu, a przed paru jeszcze godzinami myślał o romansowaniu z nią, gdyby ją w ogóle dopuścił do głowy, wydałaby mu się największym idiotyzmem świata. Impuls przyszedł z zewnątrz — stała się nim owa wariacka, natrętna idea władająca Anną: dynamiki i agresywności tej obsesjonalnej idei niesposób przecież było przewidzieć, nie poinformował go wszakże o tym ów dudek ksiądz, pewno w dodatku spowiednik, którego Anna oczywiście nabierała i wodziła za nos jak chciała.

Wbrew woli uczuł nagle dreszcz — wspomnienie erotyzmu, który tam w lesie opanował w końcu ich oboje. Ale czyż było to takie ważne? Próbował się pocieszyć, że spanie z różnymi dziewczętami nie stanowi w dzisiejszych czasach żadnego problemu, choć wiedział dobrze, że jego wypadek jest inny, diabelnie inny. Od dawna, od owego wieczoru na przedmieściu, gdy właściwie rozstali się z Władką, był już nieszczęśliwy, wysadzony z siodła, choć nawet mógł o tym nie wiedzieć. Pocieszał się, wówczas, że nic się przecież złego między nimi nie stało — teraz nie będzie się mógł tak pocieszać, choćby nawet Władka o tym się nie dowiedziała, co wobec jej intuicji nie wydaje się możliwe. Okazuje się, że jest z usposobienia monogamistą, odpowiadało to stałemu, niezmiennemu przywiązaniu do ładu w pracy i w myślach. Władka była jego ważnym oparciem, bez niej stanie się bezbronny na najważniejszym dla siebie terenie: pracy partyjno-ideowej. I pomyśleć, że jeszcze tak niedawno, jadąc na nieważne, likwidatorskie w zamierzeniu spotkanie z Anną, snuł projekty odzyskania Władki. A teraz? Teraz jest zdany na łaskę tej małej

wariatki, co zaś będzie, gdy dowie się o wszystkim też przez swoje przeżycia zwariowana Wanda — lepiej nie myśleć.

Późną już nocą Borowicz skierował auto w stronę domu. Aleje Ujazdowskie drzemały w półświatle zawieszonych nad jezdnią lamp ulicznych swym kasztanowo asfaltowym bezmyślnym snem, Park Ujazdowski szumiał za to z cicha, jakby ironicznie. Trudno uwierzyć, że to tutaj, przed dwunastu zaledwie godzinami odbywała się jakże teraz daleka rozmowa z profesorem Piórczyńskim. Wydała się ona wtedy Borowiczowi niepotrzebna i wytrącająca z równowagi. Ileż spraw znacznie bardziej niepotrzebnych i wytrącających z równowagi zdarzyło się później! Borowicz pomyślał, że wraca do domu jak skazaniec, nie jak pan w średnim wieku, któremu niespodziewanie a dobrze (grubo za dobrze!) udała się randka z młodą, zachwycającą dziewczyną. Inny by się cieszył — on był złamany. Oto są skutki pecha, przywiezionego z Paryża!

XI

Następne dni były na pewno w jakimś sensie kluczowe, choć wielopłaszczyznowe, a więc na pozór niejasne, nie wykrystalizowane co do swego kierunku. Są takie okresy, gdy wydawałoby się, nic się nie dzieje, a w istocie dzieje się najważniejsze, bo następuje przegrupowanie płaszczyzn, jakby zmiana dekoracji w teatrze. Zazwyczaj nie mamy już wówczas na to wpływu — wypadki, obudzone jakimś naszym postępkim zdążają naprzód z automatyzmem rozkręcającej się sprężyny, lecz nas pozornie pozostawiają na boku, choć przecież właśnie o nas tu chodzi — tak przynajmniej sądzić by można po rezultatach, które przyjdą, muszą przyjść. A jakie dziwne rzeczy wyrabiają się w takim okresie z czasem: czas rozszerza się lub kurczy jak gumowy worek, zależnie od tego czym go napełniono. Można nawet, jeśli ktoś ma silne nerwy, uważać, że nic się nie dzieje i na nic nie oczekujemy — wtedy czas się nam skraca. Można też jednakże napełnić każdą godzinę oczekiwaniem i nic więcej nie robić — wówczas godziny owe rozciągają się w nieskończoność, co w końcu też można uznać za korzystne: wszak jeśli życie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak zdążaniem ku śmierci, to przedłużanie czasu okaże się w ogólnym bilansie zyskiem, a sprawa, czym był ów czas napełniony, w ostatecznym rozrachunku zubożniej. Lecz oczywiście człowiek nie może żyć ciągle w perspektywach wieczności i zazwyczaj nie zgadza się na przedłużanie swego czasu za cenę wypełnienia go czymś denerwującym i przykrym. W końcu najbardziej dłuży się nam ów czas w poczekalni dentysty, ale któż zdecydowałby się dobrowolnie spędzić w niej tygodnie, choćby zyskując nawet poczucie, że spędził tam lata?

Borowicz w sumie nie był człowiekiem nerwowym, a jeśli

nawet ostatnio wpadał czasem w popłoch, to dlatego, że racjonalna analiza wydarzeń i możliwości przynosiła rezultaty niepokojące. Tak było i obecnie: choć na pierwszy rzut oka nic się nie działo, nie dał się zwieść temu rzekomemu spokojowi — zbyt dobrze znał owe okresy pozornej próżni, kiedy to w istocie przygotowuje się cała przyszłość. Największa sztuka właśnie nie być w takim okresie biernym, lecz prowadzić i swoją utajoną kontradzialność, która draży i przygotowuje wypadki od drugiej strony.

Oczywiście — pozorna próżnia trwać mogła tylko do czasu telefonu Anny, to było jasne i tutaj, w tej płaszczyźnie, żadna aktywność ze strony Borowicza nie miała ani możliwości ani w ogóle sensu. Sprawa z Anną należała do kategorii bardzo przezeń nie lubianych, gdzie z reguły był wciąż zaskakiwany i odgrywał rolę bierną, nawet w sytuacji, gdy z natury rzeczy (z wręcz przyrodniczej natury rzeczy!) stroną aktywną i agresywną powinien być mężczyzna. Ta sprawa znajdowała się poza wszystkimi innymi, wychodziła poza sferę działań uporządkowanych, prowadziła w dziedzinę irracjonalnych obaw i przesądów — a Borowicz, mimo całego racjonalizmu, zachował w jakimś zakątku swej psychiki miejsce dla przesądów: ostatecznie nie narusza to materialistycznego porządku świata, tak jak nie naruszało go istnienie przypadku i próby ujmowania tego przypadku w rachunek prawdopodobieństwa.

Jasną więc było rzeczą, że z chwilą gdy tylekroć osnuty myślami i przewidywaniami telefon Anny wreszcie się zmaterializuje, ukonkretni przekłuwającym letnią ciszę mieszkania dzwonkiem, okres wpływów i działań irracjonalnych zacznie się na nowo. Telefon ten jednak odkładał się jakoś i nie następował, wbrew ciągłym a trwożnym Borowiczowym oczekiwaniom, aż w końcu zwątpił niemal o jego realności a także jął przypuszczać, że wówczas, po powrocie z owego lasu był mocno zdenerwowany i przesadził w swych czarnych horoskopach. Z drugiej jednak strony a raczej gdzieś z dołu tkwiła w nim ukryta pewność, że nic co się zdarzyło nie może pozostać bez konsekwencji — za dobrze by było na świecie, gdyby przestały obowiązywać prawa ciężenia.

Tak czy owak telefon nie dzwonił, wspomnienie o Annie się nie materializowało, a tu trzeba było pracować, wypełniając pracą ów stan pozornej próżni, o którym Borowicz wiedział dobrze, że nie wypełniony żadną z jego strony akcją, będzie stanem cofania się czy też przyspieszonego zsuwania po płaszczyźnie pochyłej. Pobieżna nawet analiza położenia wskazywała na to, że sytuacja Borowicza jest niekorzystna a nawet zbliżyć się może do stanu owego zatrważającego przeciągu, kiedy to wytworzony z różnych

stron prąd powietrza wyrzuca w końcu delikwenta poza krąg ludzi politycznie żywych i działających. Katalizatorem tego procesu stała się oczywiście sprawa nieszczęsnego Gellera, dziś już rozgrywana przez wszystkie ośrodki zagraniczne, a także wbijana we wszystkie nieświadome polskie uszy codziennymi a nawet kilka razy na dzień powtarzanymi audycjami radia Zjednoczonej Europy. Naturalnie ani bałamucona opinia ani zagraniczne ośrodki propagandowe o posunięciach politycznych w Polsce żadną miarą nie decydowały, co więcej agresywne ataki zagranicznego radia podbudowywały w zasadzie aktualną pozycję Borowicza — nie można wszakże wyeliminować z pracy politycznej akurat kogoś, czyjego odejścia domaga się wielkim głosem burżuazyjna propaganda. Borowicz wiedział jednak, że istnieją złożone działania nie wprost, że paradoksalnie rozbieżne siły mogą nakładać się na siebie, a zbytnia niewygodą propagandowo psychologiczną może skłonić aparat do pozbycia się nawet swojego człowieka (a cóż dopiero, gdy człowiek ten, dzięki pozorom był nie całkiem swój — przynajmniej w wyobrażeniu niektórych, a w polityce wyobrażenie częściej staje się realnością niż można by przypuszczać), do pozbycia się go zresztą w sposób zażegnywający wszelkie wątpliwości, bo za pomocą tak zwanego w Warszawie dowcipnie „kopniaka wzwyż”. Polegało to na przeniesieniu zainteresowanego działacza z cienia, w którym ukryty mógł pracować i skutecznie formować wypadki, na światło, na stanowisko pozornie wyższe, dźwięczniej się nazywające i bardziej eksponowane wobec ogółu, a w istocie pozbawione większego znaczenia i nie dające możliwości wpływania na politykę Partii. Ofiarowywano takiemu, w miejsce rzeczywistej władzy, błyskotki i cukierki rzekomego rozgłosu, aby go już potem bez wstrząsu opinii przenieść do całkowitego niebytu, wręcz na emeryturę. Chodziło oczywiście o uniknięcie wstrząsu opinii kadry aktywistów partii, nie opinii ogólnej, ta jest w tym kraju bez znaczenia, pozbawiona kierunku i politycznej świadomości, sama sobie zresztą winna, bo poddająca się z bezrozumną biernością byle sugestiom propagandy burżuazyjnej. W kraju rewolucji, budującej ważny na stulecia, nowy porządek społeczny liczyła się tylko opinia czołowej kadry nowych ludzi: o nią chodziło w polityce, o nią oczywiście chodziło i Borowiczowi.

Szansę swoje, aktywa i pasywa obliczał skrupulatnie, niemal z ołówkiem w ręku, choć nigdy by, rzecz prosta, nic podobnego nie zapisał, nie uwiecznił na papierze. Osobliwym, choć mającym swe uzasadnienie w mechanizmie rzeczy zbiegiem okoliczności, wszystkie negatywy sprawy Gellera skrupiły się, w opinii ludzi partyjnych, na Borowiczu, choć przecież całkiem kto inny

winien był faktowi, że tamten chciał i mógł się w więzieniu powiesić, a także temu, że mogło przedtem dojść do całego szeregu innych gorszących i szkodliwych zdarzeń, choćby takich, jak wyjazd Gellera za granicę. Zresztą do Borowicza miano pretensję nie tylko za wszystko, co się stało, ale miano ją o to również z najrozmaitszych, zgoła sobie przeciwstawnych punktów widzenia. Liberałowie partyjni mieli doń pretensję, że popierał i uzasadniał twarde i bezlitosne stanowisko Wydziału Bezpieczeństwa, wyznawcy idealnej, niezłomnej a bojowej tradycji partyjnej jak Dyrektor wyrzucali mu, iż nie stanął w obronie praw starego i zasłużonego, choćby nawet błędzącego towarzysza, ludzie natomiast Pułkownika i Seweryna twierdzili, jakoby to jego właśnie intelektualistyczna pobłażliwość stała się przyczyną całego zła, które wynikło z tej sprawy dla partii. Wszyscy zaś solidarnie, bez względu na kierunek czy zabarwienie, zniechędzili Borowicza za rzekome, ich zdaniem wyproszone przez niego wywyższenie, jakim było jego ławnikowanie obok Szefa w sławnym śledztwie, dotyczącym pogrzebu Gellera. Tymczasem, i to właśnie okazać się mogło najgorsze, Szef miał pretensję również, choć zgoła przeciwną: że jego wyznaczony pomocnik nie zdradzał nadmiernego entuzjazmu dla tego śledztwa i swojej przy nim asysty, choć Borowicz starał się zewnętrznie objawy tej dezaprobaty zredukować do minimum, ubierając je w formę półgębkiem i mimochodem wypowiedzianej dobrej rady. Ale Szef okazał się na to bardzo wrażliwy, obraził się, o czym wiedzieli już Ludwik, Seweryn a na pewno i inni. Wiedzieli, a więc tym śmieiej Borowicza atakowali, w dodatku, korzystając z jego stanu niełaski u Szefa, oskarżali go jednocześnie o nadmierne u tegoż fawory. Słowem atakowano go z wielu stron, bo przestano go się bać. Mogły z tego wynikać rzeczy nader groźne: Borowicz wiedział, że przeciąg potrafi sobie przybrać formę wichru wiejącego z dołu, od mas partyjnych. Zdarzało się bowiem również, że gdy na górze zdecydowano się poświęcić kogoś ze swoich, przy wyborze formy odejścia tegoż posługiwano się ewentualną jego niepopularnością na dole: ni stąd ni zowąd jakaś wojewódzka czy zgoła przyzakładowa organizacja partyjna występowała wobec takiego z góry skazanego działacza z pryncypialnymi zarzutami nie rzadko natury moralnej, korzystając w ten sposób z formalnych uprawnień, jakie dawała członkom głoszona powszechnie demokracja wewnątrzpartyjna. Oczywiście, wszyscy zainteresowani i w ogóle wszyscy (Polacy to ludzie sprytni!), z wyjątkiem może kilku naiwniaków, wiedzieli doskonale, że sprawa jest uzgodniona i przesądzona, inaczej nie mogłoby w ogóle dojść do owej inicjatywy, bo wszakże nie mogłaby organizacja oddolna wystę-

pować z krytyką kogoś z aparatu kierowniczego i, jeśliby ta krytyka nie została uznana za słuszną, nie ponieść za to kary. Zaś ponoszenie owej kary nie dałoby się z kolei ukryć przed ludźmi bezpartyjnymi i stworzyłyby niechybne wrażenie, że partia jest rozwarstwiona, podzielona a więc — słaba. Toteż tego rodzaju interwencje oddolne dopuszczano tylko w wypadku uprzedniego, zakulisowego uzgodnienia opinii góry i dołu, albo po prostu ukrytej skrzętnie sugestii, przekazywanej przez kierownictwo do wybranej dla danego celu organizacji oddolnej. Oficjalnie, kierownictwo otrzymawszy tego rodzaju krytyczne wystąpienie na piśmie (a tylko wariat by pisał, nie będąc pewnym sukcesu) obiecywało ustosunkować się doń po zbadaniu sprawy. Badano zaś ową sprawę bardzo formalnie, ale oczywiście i bardzo pobieżnie, wiedząc z góry, że rzecz jest już przesądzona; delikwenta przesłuchiowano starając się go jak najbardziej speszzyć, co oczywiście nie było trudne, bo wczorajszy wpływowy działacz czy zgoła dygnitarz, napotykał zarzuty częstokroć pierwsze z brzegu i będące najwyraźniej tylko pretekstem, rozumiał doskonale, że o losie jego już zdecydowano, że został z góry skazany i to dla wyższych partyjnych celów, wobec czego nie chcąc uniemożliwić sobie jakiego takiego życia po wyroku, powinien teraz okazywać maksymalną uległość a także przyznawać się do win popełnionych czy nie popełnionych, względnie takich, których przedtem uparczywie nie dostrzegano a nagle, z niespodziewaną bystrością, dostrzeżono (nie było to ostatecznie trudne, bo w końcu każdy ma na sumieniu coś, co uparłszy się, można uznać za winę wobec partii). Po przeprowadzeniu takiego ułatwionego śledztwa, zwoływano jakieś zebranie, gdzie na miejscach honorowych sędziów sadzano delegatów owej oddolnej organizacji, która rzekomo zainicjowała sprawę — zazwyczaj dobierano tam właśnie owych kilku ciemnych naiwniaków, traktujących całą ceremonię jak najbardziej serio. Po szeregu teatralnych wystąpień (częstokroć a nawet z reguły najostrzej występowali wczorajsi przyjaciele i współpracownicy delikwenta), oskarżonego towarzysza pozbawiano stanowiska, a nie rzadko wykluczano z partii, odbierając mu ostentacyjnie wśród ciężkiej, nieco trwożnej (choć nie pozbawionej ulgi, że rzecz dotyczy kogo innego) grobowej ciszy zgromadzonych, legitymację. Decyzję tę przedstawiano jako wielki tryumf opinii szerokich mas partyjnych, jako sukces bezbłędnie funkcjonującej demokracji wewnątrz organizacyjnej. Skazany zniknął z życia publicznego natychmiast i nieodwołalnie, umierał śmiercią polityczną bez względu już tym razem na swe jakiegokolwiek, największe choćby zasługi wobec partii — tyle, że umożliwiano mu dalsze życie osobiste, dając jakąś niezłą posadę, aby

nie wywoływać publicznego zgorszenia. Była to w sumie ofiara, złożona na ołtarzu demokracji partyjnej, jak to przedstawiano opinii szerokiego grona działaczy, czy raczej na ołtarzu mitu demokracji partyjnej, jak sądził Borowicz, który niejednokrotnie, chcąc nie chcąc, uczestniczył w tego rodzaju procesach i w ich uprzednim, zakulisowym przygotowaniu. Ale mit czy nie mit, pożerał on co pewien czas swoje ofiary i trzeba było bardzo wysilić umysł, aby przypadkiem samemu nie zostać pewnego dnia przeznaczonym na pożarcie.

A Borowicz wiedział właśnie dobrze, że kandydatura jego osoby na kozła ofiarnego miałaby w partii, tak na górze jak i na dole, wielu zwolenników i że załatwiałaby ona sporo nader różnorodnych problemów i pretensji. Właśnie ta różnorodność była tu najniebezpieczniejsza: jeśli przedstawiciele rozmaitych, najskańniej sobie przeciwnych grup, czy jak to niesłusznie nazywano frakcji partyjnych, z różnych całkiem przyczyn ale solidarnie mieli Borowicza na wątrobie, to zlikwidowanie go zaspokoiliby za jednym zamachem ich wszystkich, byłoby rzeczywiście ofiarą dla ich psychicznego zjednoczenia, choćby zjednoczenia w negacji. Wprawdzie Szefer oficjalnie nie uznawał żadnych rozwarstwień w partii i nieraz gwałtownie ich istnienie negował, był jednak w głębi duszy dosyć sprytny, aby wiedzieć o istniejących różnicach (dlaczegoż by inaczej zaprzeczał ich istnieniu z taką pasją?) i zbyt wyrachowany, aby tanim kosztem nie próbować tych różnic załagodzić. Kwestia zasadzała się więc na tym, czy pozbycie się Borowicza stanowiło rzeczywiście dla Szefa ów tani koszt — czy nie. Prawda, Szefer i Ludwik przyzwyczaili się do niego, był użyteczny, pracowity i dyskretny, od czasów okupacji wiernie stał za nimi, utrzymywali potem stałe towarzyskie a nawet przyjacielskie kontakty. To była jedna strona sprawy, nie najważniejsza ale i nie najmniej ważna, bo Szefer i Ludwik pozostali ludźmi przyzwoitymi także i w potocznym sensie tego słowa, w każdym razie najprzyzwoitszymi, jakich Borowicz widział spośród utrzymujących się na kierowniczych stanowiskach partyjnych przez okres tak długi. Ale przyzwoitość osobista nie jest tutaj sprawą najważniejszą, ważniejsze są względy korzyści ogólnopoliitycznej, Borowicz wiedział o tym i bynajmniej tej hierarchii ważności nie negował: ostatecznie Szefer musiał posługiwać się taką partią jaką miał, nie zaś liczyć na stosunki idealne, w złożonym a intryganckim polskim życiu nie istniejące. Ważne więc było, który względ przeważa, a raczej która ocena ważności przeważa — mógł o tym zdecydować jeden krótki moment psychologiczny.

Ponieważ w wyższym aparacie dowiedziano się już jakimś sposobem, że Borowicz, choć siedział obok Szefa w owym dwu-

osobowym popogrzebowym sądzie, to jednak czymś się tam Kierownictwu naraził, więc zaczęto okazywać swą nienawiść bez obawy, z tym, że okazywali ją z jednej strony ci, którzy, jak Seweryn, zazdrościli mu uczestnictwa w owym przesłuchaniu, z drugiej zaś ci, którzy całą rzecz potępiali. Szef, a jeszcze przedej towarzyszy Ludwik, musieli się już zorientować, że rzucenie na pożarcie Borowicza mogłoby zaspokoić za jednym zamachem bardzo wszechstronne apetyty i że w obronie mało popularnego i otoczonego zawiścią działacza nie stanie nikt, w sytuacji zwłaszcza gdy dogmatyści oskarżają go o rewizjonizm a rewizjoniści o dogmatyzm, liberałowie o dzierzymordyzm a dzierzymordyści o liberalizm.

Sprawa miała jeszcze swój dodatkowy ale bardzo istotny podtekst — był nim problem semityzmu. Jak wiadomo, antysemici spod znaku Seweryna i Generała oskarżali Borowicza w sposób mechaniczny o potajemne sprzyjanie, jak to określali, mafii kierowanej przez Endelberga, Żydzi natomiast (jeśli rzeczywiście, zmuszeni przez przeciwników, sięgnęli do działania wspólnego i solidarnego, co wcale nie było pewne i mogło być po prostu również mitem) uważali, że ich zdradził, że zaparł się ich środowiska dla kariery. Tutaj jednak owa podwójność ataków mogła się dla Borowicza okazać atutem. Szef nie lubił ostentacyjnego antysemityzmu, schlebiającego szowinistycznym i atawistycznym uprzedzeniom społeczeństwa — był przecież starym internacjonalistą, miał też swoje semickie powiązania przez żonę. W swoim czasie musiał wprawdzie usunąć z kierownictwa nazbyt już butnie sobie poczynającego i bez pamięci kokietującego pozapartyjne społeczeństwo liberalizmem i reformizmem Endelberga (było to coś analogicznego ze sprawą Gellera — tylko że Endelberg okazał się mądrzejszy i nie dawał nikomu tak ostatecznych przeciw sobie pretekstów i argumentów) — tę porażkę czołowego przywódcy interpretowano jako świadomy cios zadany mafii. Natomiast usunięcie Borowicza potwierdzałoby niemiłą Szefowi wersję o oficjalnym antysemityzmie, podczas gdy pozostanie tegoż na stanowisku dementowało tę wersję, nie wzmacniając jednocześnie mafii, do której Borowicz nie tylko, że nie należał lecz z którą miał stosunki wyraźnie złe. (Uczestnicy mafii, wiedząc czym go mogą dotknąć, twierdzili, że różni się z nimi w poglądach nie z przekonania, lecz aby uniknąć powszechnego odium, rzucanego nań rzekomo przez pochodzenie: był to przemysłny mit, ale bardzo w istocie sprzyjający demonizującym rasowe powiązania koncepcjom Seweryna; już to Żydzi potrafią być najkonsekwentniejszymi, zazdrosnymi rasistami i szkodzić tym spośród siebie, co nie chcą owozym pędem iść pod nóż głupstwa). Tak czy owak, z tej

sprawy mógł wynikać element dla gry Borowicza z Szeferem nader pozytywny: Borowicz był tu dla Szefera wygodny, co do tego nie mogło być dwóch zdań.

A więc, po krótkiej analizie, która zresztą, jak zwykle u Borowicza, bardziej była intuicyjna niż myślowa, nasuwały się proste elementy akcji, jaką natychmiast należało przedsięwziąć. Było ich trzy: po pierwsze i najważniejsze, zlikwidować nieporozumienia z Szeferem, wyjaśnić wszystko z nim i z Ludwikiem i odzyskać ich pełne poparcie, po drugie nawiązać kontakt z uzależnionym od Wydziału niższym aparatem poddając mu szereg sugestii czy inicjatyw i pokazując przez to, że sam siedzi mocno w siodle i nie przewiduje żadnej tymczasowości, wreszcie obrazić, upokorzyć a przede wszystkim nastraszyć wszystkich, którzy bez bata nie potrafią funkcjonować, takich jak Wojczyński czy inni, zwłaszcza spośród dziennikarzy co to byli wówczas na owej konferencji, teatralnie i demagogicznie przerwanej przez niepoważnego Grochowskiego.

Dla realizacji owych poczynań (z wyjątkiem może pierwszego) trzeba było oczywiście trzymać dobrze w rękę swój własny aparat organizacyjny, a przede wszystkim sekretariat. Ale tu właśnie od razu jeżyły się trudności, łączące się pośrednimi czy mniej pośrednimi drogami z nieszczęsną sprawą Anny, o której to sprawie w miarę jak z dnia na dzień spodziewany telefon jakoś się nie materializował, Borowicz coraz skuteczniej nakazywał sobie nie myśleć. Najważniejszą była kwestia sekretariatu. Mniej-sza już o to, że Pietrzak siedział w domu wariatów a na razie na jego miejsce nie mieli następcy. Ostatecznie Kasperczyk, gdy się go odpowiednio nastawiło, mógł pracować za trzech, był psio uległy i oddany, a choć niezbyt inteligentny, to jednak nader zmyślny. Ale sekretariat, sekretariat to sprawa najważniejsza — jeśli Borowicz jest pająkiem, to sekretariat stanowi jego sieć, cóż zaś może zdziałać pająk bez pajęczyny!

Na miejsce Władki przysłano z kadr towarzysza Rusina, młodego człowieka o bladej twarzy i rozlatanych oczach, wystawiającego się z nieinteligentną, urzędową emfazą. Był to oczywiście szpieg Seweryna, rzecz to nieunikniona: ostatecznie wiedziano powszechnie, że w Komitecie wszyscy obserwują się nawzajem, przyjmowano to niemal jako warunek prawidłowego funkcjonowania pracy politycznej, kto ma czyste sumienie, ten się szpiegów nie boi, kto zaś zakwestionowałby przysłanie mu szpiega, ten ma najwidoczniej konkretne a podejrzane zamiary. Nie w tym więc tkwiło sedno, leżało ono gdzie indziej: w pracy. Zakres i wpływ działalności sekretarza był ogromny: on przyjmował a w dużej mierze załatwiał telefony, on odbierał i referował

korespondencję, on, według wskazówek Borowicza czy upoważnionego przezeń Kasperczyka redagował wysyłane pisma i ustalał kolejność, w jakiej przekazywał je przynależnym do Wydziału maszynistkom. Od niego w gruncie rzeczy zależał cały tryb pracy Wydziału i jej skuteczność — wystarczyło przecież tylko, aby źle czy nieinteligentnie pracował, któż zaś wtedy na przykład udowodni mu, że umyślnie udaje brak inteligencji? Zresztą narzekanie na małą inteligencję funkcjonariusza przysłanego przez kadry, było w Komitecie bardzo źle widziane i Borowicz żadną miarą nie mógł tego ryzykować.

Na razie obchodził owego Rusina naokoło, ostrożnie próbując co też w nim siedzi. Tamten rozumiał oczywiście całą złożoność sytuacji, ale udawał niewiniątka, na zadane wprost pytania odpowiadał powoli i szeroko a nader bałamutnie, w dodatku z dziwną jakąś odmianą śpiewnego akcentu kresowego: akcent ten u młodzieży całkiem już wszakże zanikał, skądże więc ta jego dobitność u towarzysza Rusina? Powolne a długie mówienie było jego atutem, który z premedytacją wyzyskiwał, drażniąc i zniecierpliwiając lubiącego pospieszną zwięzłość Borowicza.

Nie było na przykład sposobu nie zapytać o Władkę: milczenie Borowicza na temat jej urlopu, który zresztą sam swoim podpisem zaaprobował, dowodziłoby, że albo wie o tej sprawie więcej niż chce okazać, albo też, że nie wie nic i jest speszony — jedno i drugie bardzo niepedagogiczne wobec towarzysza Rusina i jego ewentualnych mocodawców. Na pytanie Borowicza w tej materii sekretarz rozwiódł się szeroko a nietreściwie, rozplynął się po prostu w nic nie wyjaśniających wyjaśnieniach.

— A, towarzyszka Kowalczyk, jasna rzecz, towarzyszu kierowniku, toż ona dla Was rzecz pierwsza, bo i stażem i doświadczeniem przoduje, powiedzieć by można, że bez niej to tylko etap przejściowy jest tutaj w wydziale — rzecz jasna, jeśli zdrowie dopisze, bo wyczerpana ona i w sanatorium pojechać musiała. To znaczy, urlop u niej normalny, przez Was, towarzyszu kierowniku, zgłoszony, ale możliwie że i zdrowotny otrzymać się przyjdzie, choć może także na zwykłym służbowym poprzestanie. Sprawa ta do mnie, rzecz prosta, nie należy, choć pracę towarzyszki Kowalczyk znając i wysoko ceniąc, ja przez kadry tutaj do Was przydzielony jestem i moje zadanie Wam dopomóc na moim szczeblu: ot ja nic wielkiego, pomoc biurowa, techniczna, nie to, co towarzyszka Kowalczyk, samo przez się zrozumiałe, ona już samodzielnym pracownikiem była a ja dopiero tutaj na przeszkoleniu — cóż, tak kadry zdecydowały, a co potem — zobaczy się, rozważy, co dla Partii z korzyścią i dla Was towarzyszu najlepszą pomocą będzie, wszyscy dla jednego wszak pra-

cujemy celu ideowego, a każdy jak potrafi — no bo i jakżeż inaczej by było czy też być mogło? Sytuacja chwilowa ale zarazem i nie chwilowa, otóż to. Tak i ja sobie więc myślę...

Borowicz wsłuchując się w tę bałamutną ale i niepokojącą melodię zrozumiał nagle, że towarzysz Rusin miał akcent wcale nie z dalekich dawnych Kresów, lecz z tych bliższych obecnych, z białostockiego a może nawet z okolic S..., po prostu z borowiczowych stron rodzinnych plus lekki tylko nalot „mowy” warszawskich łobuzów. Obserwacja ta zresztą wiele nie dawała, tak jak w ogóle niewiele przynosiło wysłuchiwanie pustych, niezmiennie za to bardzo długich tyrad nowego sekretarza, opatrzonych przy tym w beztreściwe ornamenty przeróżnych zastrzeżeń i odwołań. W dodatku oczywiście pracował źle, w papierach się gubił, łagodnie i cierpliwie wysłuchując za to wszelkich z tego powodu kwaśnych uwag, jakby z góry na nie przygotowany, najgorsze zaś, że żadna siła nie mogła go odwieść od łączenia Borowicza bezpośrednio z każdym dzwoniącym z miasta interesantem. Borowiczowi niezbyt wypadało określić mu dokładnie i raz na zawsze z kim chce rozmawiać a z kim nie chce, byłoby to zdekonspirowanie przed człowiekiem niepewnym (a raczej chyba w sensie negatywnym, całkiem pewnym) swoich złożonych bo nieraz intuicyjnie tylko umotywowanych subtelności taktycznych. Nie chcąc się demaskować musiał więc cierpieć bez słowa protestu, gdy nudnie śpiewny a pełen znakomicie udanej niewinności głos sekretarza anonsował chęć porozmawiania przez telefon, wyrażoną przez tego lub owego nudziarza czy fałszywca, z którym za chwilę już oto cierpliwie musiał gadać, mając na karku towarzysza Rusina, co do którego był pewien, że podsłuchuje, aż mu się uszy trzęsą. Można było wprawdzie spróbować zneutralizować tamtego przy pomocy Kasperczyka, ale rzecz taka znowu wypaść mogła zbyt brutalnie i stać się też demaskacją, w dodatku na obie strony: tamtemu okazałby nieufność, a Kasperczykowi swój lęk. Strachu zaś nie wolno okazywać wobec nikogo, a zwłaszcza jest to niewskazane wobec ufającego i potrzebnego nam przyjaciela. W ogólnym więc rachunku lepiej już było podjąć ryzyko niepotrzebnych a podsłuchiwanym rozmów (i tak zresztą wszystkie rozmowy w Komitecie były nagrywane) z niezwykłą pilnością doprowadzanych do skutku przez tak zazwyczaj wśród swych papierów zaferowanego towarzysza Rusina.

Przez niego właśnie doszło i do zaanonsowanej, ba, sygnalizowanej wizyty redaktora Gałęckiego. Bolesław Gałęcki, człowiek młody a wyglądający jeszcze młodziej, był redaktorem najbardziej niezależnego i krytycznego tygodnika Partii, gdzie dobrawszy sobie zespół niezwykle aktywnych reporterów gospodar-

czych uprawiał swego rodzaju najczystszy rewizjonizm ekonomiczny, którego nie powstydziliby się sam profesor Piórczyński. Ale Gałęckiemu się udawało: z jednej strony przeplatał krytyczne artykuły swego pisma absolutnym, ze znanstwem przedmiotu formułowanym konformizmem politycznym oraz czołobitnym serwilizmem wobec Szefa i Ludwika, z drugiej strony szły za nim wciąż jego młodzieńcze zasługi. Zaraz po wojnie stał się bowiem jednym z najbardziej zapalonych i oddanych młodzieżowych działaczy i dziennikarzy Partii: rzucony na wieś dla agitacji za nabrzmiewającą wówczas a zaniechaną po latach sprawą kolektywizacji rolnictwa wyróżnił się niezwykłym poświęceniem i zaciętością, stracił w tej pracy zdrowie, kilkakroć obrzucony przez chłopów kamieniami czy napadnięty w nocy ledwo uszedł z życiem. Zmazał w ten sposób skazy swego pochodzenia, był bowiem, jak mówiono, nie tyle synem chłopca co solidnego hodowcy warzyw z Wielkopolski, w której żyły jeszcze nie tylko w praktyce lecz i w sentymentach niemieckie tradycje mocnej gospodarki towarowej na wsi.

Dawne zasługi utworowały mu drogę do Komitetu, gdzie w zręczny sposób potrafił bronić spraw swojego pisma, o które od czasu do czasu wybuchała tam jakaś awantura. Ale Gałęcki zdaniem Borowicza niemniej dziś skrajny w sekciarskim uporze niż Piórczyński a nawet Grochowski, był od nich znacznie mądrzejszy i zręczniejszy: chodził nogami po ziemi i wiedział doskonale, że człowiek raz wyrzucony poza polityczną burtę nie wraca już nigdy i że chcąc mieć wpływ na kierunek rejsu trzeba mocno tkwić na pokładzie statku. Toteż, za pomocą najrozmaitszych środków, nie cofając się przed najbardziej nawet dotkliwymi upokorzeniami osobistymi i przed, gdy zaszła potrzeba, skrajnym i kategorycznym a nawet zgoła beczelnym wypieraniem się swoich własnych, wczoraj jeszcze głoszonych poglądów, potrafił utrzymać w Szefie i Ludwiku przekonanie, że jest ciągle przedstawicielem owej najbardziej wiernej, żarliwej i niezłomnej młodzieży partyjnej, na którą zawsze można liczyć, że nie zawiedzie, nie ulegnie żadnym złowrogim pokusom z lewa czy z prawa, a zwłaszcza pleniącemu się w warszawskich kołach dziennikarskich rewizjonizmowi czy modnemu a nieodpowiedzialnemu liberalistycznemu non-konformizmowi, którym lubiano popisywać się przed łąsą na sensację studencką młodzieżą — popisywano się, rzecz prosta, nie w pismach, lecz na zebraniach i konferencjach. W rezultacie, za pomocą jakichś sztuk magicznych a także częściowej sklerozy Szefa, doszło do takiej przedziwnej sytuacji, że Geller był na tamtym świecie, Piórczyński, choć niby żyjący, także, a za to dobrze widziany i bogato ustosunkowany Gałęcki jak

tylko mógł drukować ich poglądy w organie Komitetu, ciesząc się dobrą opinią w Partii i niezmiennymi łaskami Szefa. Był to fenomen bez precedensu, Borowicz często zastanawiał się nad jego genezą: czyżby poza osobistą zręcznością tego cwaniaka i franta, poza jego miedzianym czołem i zdolnością szermowania każdym zaleźnie od osoby rozmówcy, zestawem słów i frazesów, odgrywały tu swą rolę jakieś inne względy i powiązania, takie choćby, jak małżeństwo z córką Dyrektora?

Bo Gałęcki przed paru laty ożenił się ni stąd ni zowąd z córką Dyrektora (znowu woda na młyn pułkownikowskich rozważań o semickich małżeństwach partyjnych działaczy), a Dyrektor, choć Żyd, był nietykalny, poza mafią i poza wszelkimi podejrzeniami, jako przedwojenny komunista, internacjonał z długim stażem w Moskwie, potem bohaterski partyzant, emisariusz polityczny i skromny, lecz stały kandydat na wszelkie najwyższe stanowiska. W istocie wpływu dziś wielkiego nie miał, ale porwać się na niego też by się nikt nie ośmielił. I pod jego to skrzydłami chyba mógł przez nikogo o nic nie podejrzewany Gałęcki dyrygować beczelnie rewizjonistycznymi harcami swej ekipy: robił to w pełnym blasku dnia i niczego mu nie miano za złe, podczas gdy wielu towarzyszy odpowiadało ciężko za postęпки znacznie mniej groźne, nieraz wręcz niewinne. Cóż to za niebysywały spryciarz!

Dziwne w nim było, że obok owego instynktownego, po prostu organicznego sprytu posiadał na pewne sprawy uporczywe a wcale nie sprytne poglądy, poglądy grzeszące prymitywnym socjologizmem i ekonomizmem, każącym właśnie myśleć o wielkopolskim handlu warzywami. Poglądów tych starał się nie definiować wprost, raz jednak, w przypiływie alkoholowej szczerości wygadał się nieco przed Borowiczem — głowę miał słabą, to była jedyna luka w jego murze obronnym, dlatego starał się pić rzadko, choć od owego okresu pracy agitacyjnej na wsi bardzo wódkę polubił. Jednakże co się stało to się stało: od czasu, gdy się wówczas przed Borowiczem wygadał, zaczął, z konieczności zapewne, uważać go za powiernika, czerpiąc, nie wiadomo skąd przeświadczenie, że powiernik ów go nie spynie ani w ogóle nie zawiedzie. Skądże ta pewność — czyżby i w tym wypadku liczył na solidarność mafijną, choćby po kądzieli? — Przeliczył się i to grubo — myślał sobie Borowicz — przyjdzie czas, że to zrozumie!

Doktrynalno-klasowe i historiozoficzne poglądy Gałęckiego, stanowiące przesłanki jego rewizjonizmu, nader były w istocie proste. Uważał, że zwyciężająca dzięki pomocy Rosji (co akcentował) polska rewolucja nie napotkała w roku 1945 jako przeciw-

nika polskiej burżuazji (poza może bezsilną resztką ziemiaństwa), nie napotkała jej zaś z tego prostego powodu, że już takowa tutaj wcale nie egzystowała. Polska nigdy nie była jako całość typowym krajem rozwiniętego kapitalizmu, kapitał zagraniczny opuścił ją w przededniu wojny a reszty dekapitalizacji dokonali podczas okupacji Niemcy, przejmując wszystkie większe fabryki i przedsiębiorstwa, rujnując ziemian i mordując Żydów, ostatnią warstwę z której odrodzić się mógł kapitalizm. W ten sposób polska rewolucja znalazła się po wojnie — wywodził Gałęcki — w społeczeństwie już w istocie bezklasowym, a tylko jej doktrynerscy propagandyści, poszukując na gwałt wroga klasowego (jako że rewolucja w pierwszej swej fazie koniecznie potrzebuje dynamizujących akcentów walki), skierowali ostrze gilotyny przeciw kułakowi, rzemieślnikowi i drobnemu sklepikarzowi. Był to błąd: wobec kułaka, czyli zdrowego ekonomicznie, samowystarczalnego chłopca błąd ten z czasem naprawiono (i to mówił były bohaterski orędownik kolektywizacji!) za to inne, jak to określał Gałęcki, warstwy pośrednie, zostały w pierwszym rozpedzie zniszczone. Powstała po nich próżnia której do dziś dnia nie zapełniono, nie rozumiejąc, że są one w istocie sojusznikiem rewolucji, że w ugruntowanym już socjalizmie nie ma niebezpieczeństwa odrodzenia się klasowych ośrodków regenerujących kapitalizm, konieczne jest natomiast istnienie warstw socjologicznych (to w przeciwieństwie do klas), zróżnicowanych na zasadzie wypełnianych samoczynnie zadań gospodarczych. Tej to idei — wydzielenia z ekonomiki państwowej pewnych sektorów produkcyjno-usługowych i oddania ich jako pożywki odradzającym się warstwom pośrednim, poświęcali w dużym stopniu swe pióra utalentowani publicyści „Gospodarki socjalistycznej” (pismo było zresztą doskonale redagowane i nader poczytne), tę to ideę kamuflował swym sprytem i stosunkami Gałęcki, tę ideę łykał w lekturze mimo oporów i donosów tak zazwyczaj czujny i ortodoksyjny towarzysz Ludwik. A przecież był to najczystszy rewizjonizm, postulujący wycofanie się rewolucji z już zajętych pozycji. Tymczasem nawet Seweryn, miotający się zazwyczaj o byle co, tym razem przyjmował rzecz w spokoju. Uważali może, że z konieczności cenzuralnej pisane nie wprost, zaszyfrowane i aluzyjne artykuły „Gospodarki” nie będą w istocie rozumiane ani w kraju ani za granicą, może w ogóle lekcewałyli krajową prasę jako bezsilne kiwanie palcem w bucie, a może się czegoś bali? Ale czego? I dlaczego Gałęcki zbierał odznaczenia za to, za co Piórczyński dostał dymisję?! Bo Geller jak Geller — działał na za granicę, to już była sprawa Informacji i Kontrwywiadu. Ale Piórczyński? Czym się, na dobrą sprawę poza zewnętrzną frazeologią

różnił Piórczyński od Gałęckiego?! (tym, że nie miał żony Zydówki, powiedziałaby Pułkownik).

Borowicz nie uważał swojej roli za merytorycznie polityczną, raczej za pomocniczo-techniczną i koordynującą. Był wykonawcą, nie inspiratorem, dlatego też, zwłaszcza wobec drażliwych stosunków w Komitecie, nie miał zamiaru dzielić się z nikim swymi poglądami na Gałęckiego i jego pismo — ta sprawa, dyskutowana nieraz w Sekretariacie, znajdowała się w gestii znacznie wyższej niż jego, Borowicza, parosobowy Wydział. Nie miał jednak również zamiaru wchodzić z Gałęckim w żadne komitowy. A tu nagle trach, z łaski towarzysza Rusina tamten zjawił się i siedzi oto naprzeciwko niego jak kiedyś Grochowski.

Wybitnie młodo wyglądający elegancik modnie ostrzyżony „na Tytusa”, ukrywający gruźlicę pod sportową niemal posturą, zawsze opanowany i łagodnie przyczajony, był Gałęcki partnerem trudnym a już dla Borowicza zgoła nieodpowiednim. W dodatku mówili sobie ty, poufałość u Borowicza rzadka — rezultat owego wieczoru, gdy Gałęcki niepotrzebnie (dla siebie — rzecz prosta) się wygadał. Borowicz nie lubił, żeby mu mówiono „ty” — zrobił tę ofiarę celem podtrzymania alkoholowej wylewności tamtego, licząc, że się czegoś dowie — istocie dowiedział się jedynie, że Gałęcki wierzy w to, co głosi czy usiłuje głosić a w dodatku pó wódce jeszcze się nad tą swoją wiarą rozczula — w sumie wiadomość niezbyt interesująca i nie warta ofiary spoufalenia się. Było to mało ciekawe a do tego nieużyteczne, bo mimo swej pozornej wówczas bezbronności Gałęcki po trzeźwemu doskonale dawał sobie radę, co więcej potrafił być niebezpieczny; nie cofając się, gdy trzeba, przed skrajnym upokarzaniem siebie umiał, kiedy wyczuł czyjąś słabość, sięgać do dyskretnych lecz dotkliwych pogroźek i zgoła szantażu. W ogóle dziwna mieszanina uczciwości i bezwzględności, zapewne wyznawca zasady: cel uświęca środki. Oni wszyscy w gruncie rzeczy mniej lub bardziej świadomie wyznawali tę zasadę, to była przecież zasada rewolucyjna, ale człowiek, który zbyt jawnie się do niej przyznawał i zbyt ostentacyjnie ją stosował stawał się niebezpieczeństwem wewnętrznym dla towarzyszy — należało z nim uważać.

Czego właściwie chciał dziś od niego Gałęcki? Borowicz sądził, że nie prędko i nie łatwo da się do tego dotrzeć, znał flegmatyczny i przyciszony sposób mówienia tamtego, jego aluzyjność, powolne krążenie wokół tematu, blade i dwuznaczne uśmieški. Tak jak nie znosił patetycznych, przeplatanych efekciarskimi okrzykami tyrad Grochowskiego, tak samo, a może jeszcze bardziej nie lubił uporczywego spokoju tego młodego towarzysza — był to spokój apodyktyczny, spokój wewnętrznej

pewności, z jaką przychodził wynegocjować czy zgoła wyszachrować swoją rację, w dodatku rację człowieka młodszego o lat dziesięć od Borowicza, człowieka, który mimo to był już między nimi, prawie na samej górze, a właśnie ze swego wieku zrobił sobie tarczę nietykalności: jakżeż tu wyrzucić czy zdegradować młodego entuzjastę o takich już zasługach dla partii? A Borowicz wiedział, że te dziesięć lat różnicy dużo znaczy: tamten, choć komunista, żył już w innym świecie psychicznym, nie miał szerokiej perspektywy wstecz, przewidywał za to długą drogę przed sobą, na początku zaś tej drogi tkwiły przeszkadzając (w jego pojęciu) jakieś elementy statycznie znieruchomiałe, ludzie rodem ze świata mijającego; Gałęcki uważał wprawdzie ich wszystkich za szczerych komunistów, ale bezsilnych, zużytych, obciążonych świadomością wielu dziesiątków lat trwającej, zakłóconej i usianej tragicznymi paradoksami wędrówki, która arcykrętymi drogami doprowadziła ich w końcu do władzy, lecz zmęczonych i wyzbytych dynamiki. Jego ta ich historyczna wędrówka ani fascynowała, ani ciekawiła, traktował ją jako kartę bezpowrotnie odwróconą a niezbyt jasną, jako dramat widm, coraz mniej związany z realnością, bo zamknięty w pamięci coraz mniejszej ilości ludzi. Co tu gadać, na swojej drodze do socjalizmu, tak jak ją pojmował, uważał starszych towarzyszy za przeszkodę, za zawadę, za, mimo wszystko, nosicieli szkodliwych urazów i przesądów przeszłości, których trzeba usunąć na bok — zresztą z wiekiem usuną się sami. Był za sprytny, za ostrożny żeby się z tym zdradzić, ale w gruncie rzeczy czekał przyczajony na ich śmierć czy wycofanie i na dziedzictwo po nich. Dlatego rozmawiał jakby przez szybę, nie brał rozmówcy na serio, pobłażliwie potakiwał myśląc nadal swoje, nie podejmował dyskusji (bo po cóż i z kim — z ludźmi uwarunkowanymi swą przeszłością i przez to skazanymi na zniknięcie?), nie mówił wszystkiego — raz wywnętrzył się wówczas wobec Borowicza, może dlatego tylko, że uważał go za najmłodszego ze starych. Sam należał już do innego świata, do innego pokolenia partyjnego, to było odstręczające i budziło wątpliwości, bo jakżeż kontynuować dzieło Partii bez doświadczeń, bez wiedzy o jej przeszłości? Zresztą Gałęcki, jakby przewidując ten zarzut ożenił się z córką Dyrektora, który był chodzącą kroniką i (w swoich ambicjach) sumieniem Partii. W ten sposób młody redaktor „Gospodarki socjalistycznej” uzyskał łączność z tradycją, nobilitował się i wkupił, ale co o tym właściwie myślał, czy zrobił to z wytraczenia — któż to wie?

Siedzieli w narożnym gabinecie Borowicza, za oknem trwała promienista orgia załamującego się na szybach i szklanych da-

chach lipcowego słońca, w dole, wokół ronda uparcie suną i krążą żuki-samochody. Borowicz przygotował się na kunktatorskie omijanie i kamuflowanie tematu, gdy oto tamten niespodziewanie od razu uderzył w sedno, mówiąc po prostu: — Jesteś oczywiście bardzo zajęty, ja także, więc krótko i wężłowato — co właściwie zamierzasz zrobić teraz ze sprawą Gellera?

Borowicz zjeżył się, zaskoczony, zaalarmowany wewnątrz. O co szło, co rozumiał tamten przez swoje pytanie? Gałęcki nie zwlekał z wyjaśnieniami, przeczuwając oczywiście skomplikowane zdziwienie swego rozmówcy.

— Widzisz mój drogi, doskonale przecież rozumiesz, że tak jak jest, zostać nie może. Cała prasa i propaganda kapitalistyczna wyciera sobie gębę Gellerem, przywłaszczyli go sobie, robią z niego antykomunistycznego bohatera. A przecież on całe życie był komunistą, walczył dla naszej sprawy, ma wielkie zasługi, nawet jeśli pod koniec popełnił błędy, to nie całkiem ze swojej... ze złej woli. Czy podarujemy go tak, bez dyskusji, kapitalistom, czy może spróbujemy w naszej prasie, choćby wewnątrzpartyjnej, coś wyjaśnić? Przecież ludzie nic nie wiedzą, tyle co usłyszą z tej łajdackiej Zjednoczonej Europy — prasa podała tylko o aresztowaniu i targnięciu się na życie. Czy tak bez walki ulegniemy wrogiej propagandzie? Jego nazwiskiem ponazywano ulice — może jeszcze Rady Narodowe ich nie pozmieniały, przecież nic nie wiedzą. Co masz zamiar zrobić?

Mówił inaczej niż zwykle, okrągło i płynnie, jakby powtarzał wyuczoną lekcję. Zanim skończył, Borowicz już wiedział, że mówi nie od siebie: był za sprytny, aby się samemu demaskować, choćby nawet i miał sympatię do Gellera. Lecz w tym wypadku czuł się bezpieczny: mówił w imieniu swego teścia, przysłał go Dyrektor, a jasne było, że Borowicz natychmiast się tego domyśli, traktując Gałęckiego tylko jako pośrednika — stąd prosty, pozabawiony zwykłych ostrożności tryb rozmowy, jaki zastosował tamten. Dyrektor wprawdzie na owym pogrzebie z Międzynarodówką nie był, obwiniano go wszakże o pochopne wydanie Gellerowi paszportu, ale wiadomo i tak, że miał do tamtego słabość — razem byli w Rosji — a ostateczny rezultat sprawy musiał go, jako starego, pryncypialnego komunistę, oburzyć. Borowicza wybrał jako najślabsze ogniwo: znał jego rolę i nie bał się go.

Dyrektor! To była postać specjalna i karta specjalna — nie sposób negocjować jego zasług, choć złośliwi szeptali, że nigdy mu się nic nie udało i zawsze w końcu wszystko popsuł. W drugiej połowie wojny radziecki samolot zrzucił go ze spadochronem nad terenami partyzanckimi z instrukcją przedostania się do War-

szawy. Ale wyprawa miała przebieg pechowy: tuż po starcie gdzieś pod Moskwą nastąpiła katastrofa, kilka osób zginęło, a Dyrektor doznał szoku. Mimo to w parę godzin później wyleciał drugim samolotem: ten dotarł wprawdzie nad wyznaczony cel, ale przy skoku Dyrektor poturbował się i uszkodził nadajnik radiowy. W ogóle o tych zrzutach komunistów polskich z Moskwy można było myśleć rozmaicie: katastrof przy starcie i przy lądowaniu nie brakowało, przebąkiwano, że to dalsza realizacja stalinowskiej akcji likwidowania starszych polskich towarzyszy, tych nie wykończonych przed samą wojną. Także uporczywe wysyłanie Żydów zakrawało na rozmyślną złośliwość: Żyd pod okupacją niemiecką nieustannie narażony był na zdemaskowanie i śmierć, a swobodę poruszania nader miał ograniczoną. Poprzedni emisariusz i sekretarz, Edmund Getreider zginął właśnie rozpoznany na ulicy — zdradził go wygląd. Mimo tego doświadczenia posłano w ślad za nim Dyrektora — zupełnie jak na umyślnie.

Ale Dyrektor nie zginął i nawet, mimo złego stanu zdrowia, dotarł do Warszawy. Tyle, że misji swej nie wykonał, bo miał popsute radio i kiedy po długich tarapatach znalazł się w Warszawie, okazało się, że towarzysze tutejsi długo nie otrzymując kontaktu z Moskwą, samorzutnie wybrali spomiędzy siebie nowego sekretarza: był nim Szefer. Mówiono, że fakt wybrania go bez aprobaty Rosjan przesądził o jego losie, o przyszłym aresztowaniu i niedoszłym na szczęście „wykończeniu”. W każdym razie Dyrektor przeciwko niemu nie wystąpił, ani wtedy ani później; w najbardziej groźnych momentach milczał i uchylał się od wyrażenia zdania — to było dużo, to była odwaga. Dziś dożywał swych dni w glorii nietykalności, uważał się za sumienie Partii, a w praktyce decydował o paszportach i propagandzie zagranicznej, ku wielkiemu gniewowi Pułkownika i Seweryna, którzy niewiele sobie robili z jego spadochronowej przeszłości, ale nie ośmielali się zbyt głośno o tym mówić. Dopiero sprawa Gellera, z którym przyjaźnił się jeszcze w Rosji, mogła zachwiać jego autorytetem. I oto, przysyłając do Borowicza Gałęckiego, podjął najbardziej jakąś kontrofensywę. Historia arcyciekawa i tak złożona, że aż Borowiczowi zakręciło się w głowie, tyle tu było możliwych wariantów interpretacyjnych oraz konsekwencji. Trzeba się skupić i sprostać tej ważnej rozmowie, bo... Wtem jak na złość zadzwonił telefon: to, oczywiście towarzysz Rusin najniewinniejszym głosił anonsując, że przy telefonie jest „towarzyszka Baranowska” i zanim Borowicz zdołał sobie przypomnieć, kto nosi to (licho wie skąd wzięte) nazwisko, w słuchawce wyraźnie i donośnie brzmiał już agresywny tym razem, nienaturalnie dźwięczny głos Anny...

XII

Tak właśnie działo się zwykle, może to jest nieunikniony mechanizm stawania się spraw, najpierw ich długiego stadium przygotowawczego, kiedy na pozór nic ważnego się nie zdarza i potem nagłego zagęszczenia, intensyfikacji, kiedy wszystko rusza naprzód skokiem. Wszystko, bo po dwutygodniowym pustym oczekiwaniu, nagle, jednego dnia (pamiętał doskonale, że był to wtorek, bardzo słoneczny ale nie upalny, raczej chłodny) zbiegły się Borowiczowi trzy ważne rozmowy: gdy później, po ostatecznym zatrzymaniu się sprężyny wydarzeń, rozważał przeszłość tak, jak rozważa się minioną kampanię wojenną, dochodził do wniosku, że tego dnia zadzierzgnęły się konkrety całej afery, zwanej później w rozmowach wewnątrzpartyjnych (podobne historie nigdy nie wychodziły na jaw wobec tak zwanej opinii społecznej) „sprawą Borowicza”. Sprawa nie sprawa — rzecz wszakże w tym, że nie było tu w istocie żadnej sprawy tylko jej pozory — ale w polityce to częstokroć wychodzi na jedno: skutek jest ten sam. Zresztą Borowicz od dawna doskonale wiedział, że wszystko zdarzyć się może, podświadomie przeczuwał, jakie sprzężenie mogłoby wpędzić go w katastrofalny „przeciąg” między Szefa a Seweryna (i, jak się okazało, jeszcze trzecią siłę) — ponieważ zaś tak dawno to przyczuwał, więc w decydującym momencie nie będzie zdziwiony ani zaskoczony i potrafi jednak w bardzo już zaawansowanej, pełnej napięcia fazie sprawy zastosować intensywne środki apelacji, zachowując jednak jasno myślącą głowę, a nawet przejść do kontrofensywy, pomyślanej wszakże jako kontrofensywa przytomnego realizmu przeciw niebezpiecznemu systemowi złud, maniakałnych przywidzeń i absurdałnych podejrzeń. Przytomny realizm — to właściwość z której przecież był

dumny zawsze: ona to przeprowadziła go całego i zdrowego przez wojnę, okupację oraz wszystkie komplikacje późniejsze. Całego i zdrowego nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie: pozostał nietknięty, pozostał sobą, zachował więc młodość, znacznie ważniejszą od tej formalnie metrykalnej, jaką chlubił się Gałęcki. Jakież w ogóle pojęcie mógł mieć ten zarozumiały a tak jeszcze zielony trzydziestoparoletni młodzian o rzeczywistych możliwościach nie postarzałej dojrzałości!

A tymczasem jego to właśnie a nie kogo innego los, diabli i towarzyszy Rusin uczyniły nie tyle świadkiem co katalizatorem (katalizator — ciało, które wpływa na przebieg reakcji samo nie ulegając zmianie) wstępnej rozmowy z Anną a raczej prolongaty tej rozmowy, co stało się zaczynem rozmowy innej, komplikującej sprawy najdotkliwiej, bo osłabiającej Borowicza od strony niespodziewanej, od wewnątrz. Była to owa, wywołana drugim telefonem Anny rozmowa z matką. Bo tego dnia odbyć się miały trzy rozmowy, odpowiadające trzem jakby stronom psychiki Borowicza: pierwsza była z Gałęckim i dotyczyła spraw politycznych, które miały się później okazać kluczowe, druga, krótka i telefoniczna z Anną (właściwie były to dwie rozmowy, a raczej jedna prolongowana) o, jakby to nazwać, sprawach miłości i wreszcie trzecia, niespodziewana a przykra, później dopiero, kiedyś, całkowicie wyjaśniona, z matką; obnażyła ona przed Borowiczem wciąż rzekomo realną siłę przesądów rasowych, od których wszakże czuć się wewnętrznie wolny, wolny na zaw sze. Zewnętrznie — co innego, ale to przecież nie decydowało: decydowało poczucie wewnętrzne, na które matka jak najniespodziewaniej spróbowała dokonać zamachu. Było to zdumiewające (potem się wytłumaczyło), wprawiało w irytację ale i — pouczało. A warto się uczyć — jest przecież jeszcze młody!

Podniecony głos Anny wrywający się na pokój z telefonicznej słuchawki był wręcz potrójnie alarmujący, bo już nie tylko towarzyszy Rusin słuchał przez swój aparat, nie tylko rozmowę normalnym trybem gdzieś tam nagrywano, ale jeszcze tutaj Gałęcki zdawał sobie sprawę, że coś się dzieje komicznego a w każdym razie niezbyt poważnego, z czego na pewno da się wyciągnąć jakąś korzyść. Jego dobrodusznie ironiczna mina mówiła: — No dobrze, dobrze, nie denerwuj się, załatw te swoje afery z dziewczynkami a potem pogadamy o rzeczach poważnych. To dawało mu z punktu przewagę — niech to cholera.

Borowicz jak najspokojniej wyjaśniał Annie, że jest w tej chwili bardzo zajęty i prosi ją o telefon po południu do domu. Ale ona, zagniewana, wołała, że do domu dzwoniła już wiele razy, nigdy go nie mogąc zastać. Borowicz zdziwił się, nikt mu

o jej telefonie nie mówił, czyżby matka... Ale nie miał czasu się nad tym zastanowić, bo Anna używała sobie na całego. — Po tym co się stało masz już wobec mnie obowiązki, ha, ha, a ty się ukrywasz przede mną. To tak robi szczęśliwy kochanek?! Ha, ha.

Kpiła z niego i z siebie, a Borowicz zarazem cierpł i kipiał z gniewu. Cóż za wariatka, a tam Rusin słucha i pęka ze śmiechu, po czym rzecz dojdzie do Władki i koniec — koniec ze wszystkim. Ale co tam Władka: rzecz dojdzie wszędzie, wszędzie, lichy wie co z tego może wyniknąć — w Komitecie nie znoszono takich historii, a już Szefer... Szefer dostanie szału, ktoś się tam o to na pewno postara. Wiedzą sąsiedzi...

Trzeba było rzecz przeciąć. Bardzo stanowczo, ze spokojnym naciskiem wyjaśnił Annie, że rozmawiać teraz nie może, że czeka na jej telefon w domu o osiemnastej, po czym odłożył słuchawkę. Najwyższy czas: dobroduszne na pozór oczy Gałęckiego iskrzyły się teraz żywym zainteresowaniem. Nie mógł chyba słyszeć głosu ze słuchawki, ale z zachowania się Borowicza i przebiegu rozmowy domyślił się wszystkiego i już tam sobie kombinował, co z tym zrobić. Cóż za łobuz i kanciarz — ale tym razem miał żer prawdziwy, choć może jeszcze o tym nie wiedział.

Przeszli do rzeczy — przedtem tylko Borowicz zadzwonił do towarzysza Rusina, zapowiadając mu, aby im pod żadnym pozorem nie przerywał telefonami. Zastosuje się, albo nie — jak mu się spodoba, Borowicz chciał się jednak przekonać, czy Anna się rozłączyła a także usłyszeć w głosie Rusina jakieś echa wrażenia z podsłuchanej właśnie rozmowy. Była to słabość, ale nie mógł się jej oprzeć. Okazała się zresztą bezcelowa, bo Anny oczywiście nie było, rozłączono ją automatycznie, a głos Rusina brzmiał normalną gamoniowatą cierpliwością. Dobry to był aktor — szkoda mówić.

No i wreszcie — Gałęcki. To bardzo ważne i skomplikowane, w dodatku podwójnie: Dyrektor, stary naiwniak, który go wysłał i ten tu cwaniak, który chciał z tego wyciągnąć swoje korzyści, oczywiście właściwą sobie drogą szantażu. Redaktor „Gospodarki socjalistycznej” wiedział, że Borowicz nie popiera jego pisma, co więcej, że wymawia się od wyrażania o nim opinii, co w rozmowach z Szeferem i Ludwikiem równało się stanowisku negatywnemu. W swej bezgranicznej zarozumiałości, nie dopuszczającej, aby ktoś szczerze mógł uważać jego poglądy za niesłuszne, Gałęcki był przekonany, że kierownik Wydziału Prasy powoduje się tutaj jakąś taktyką czy też sobie wiadomymi obawami. I oto nastęrczała się okazja zmuszenia go do zmiany stanowiska, narzędziem zaś przymusu miała być sprawa Gellera,

niebacznie złożona przez Dyrektora w ręce interesownego a sprytnego zięcia. Przez to pośrednictwo Borowicz w rozmowie brać musiał pod uwagę dwa czynniki: Dyrektora oraz jego nieobliczalnego pościa — a przecież w obecnej krytycznej sytuacji na mnożenie wrogów w żaden sposób nie mógł sobie pozwolić.

Ba, żebyż tylko szło o dwa czynniki — ale czynników było nieporównanie więcej i każde wyjście okazywało się lub mogło się okazać — złe. Jeśli obieca Dyrektorowi zająć się tą jakąś sprawą pośmiertnej rehabilitacji Gellera, to odda się w ręce Gałęckiemu, który będzie mógł z łatwością oskarżyć go wobec czekającego tylko na okazję Seweryna, a przynajmniej straszyć go i szantażować tą możliwością. Jeśli odmówi, zrobi sobie zdecydowanych wrogów w środowisku starych komunistów — weteranów: pomóc to oni wiele nie pomogą, ale zaszkodzić potrafią, zwłaszcza człowiekowi, który nadmiarem sojuszników poszczycić się nie może. Przy tym odmowa, po fakcie uczestnictwa w tym nieszczęsnym sądzie nad śpiewającymi Międzynarodówkę na cmentarzu, ustawi go w sposób drastycznie jednostronny: od tego odwrotu nie będzie, już Gałęcki się postara. Pozostawała więc tylko odpowiedź wymijająca, wykręcanie się i odwlekanie, ale to z wszystko wiedzącym spryciarzem jak Gałęcki było niebezpieczne: przejrzałby go na wskroś i doszedłby do wniosku, a co najgorsze, roztrąbił wokół, że Borowicz nie ma swego zdania i boi się własnego cienia, wtedy zaś rzuciliby się nań hurmem — wprawdzie robią to i teraz, ale wówczas rzuciliby się już bez resztek obawy, jak psy na bezbronnego. A do wszystkich tych rzeczy dochodziła jeszcze jedna, stale możliwa komplikacja: że po prostu, bez względu na to, cokolwiek Borowicz powie, jeśli nie będzie to nic wiążącego i konkretnego, Gałęcki zreferuje rzecz Dyrektorowi tak jak mu się tylko spodoba, nie troszcząc się o prawdę, bo któż zada sobie potem (po urażeniu i zagniewaniu Dyrektora) trud przeprowadzenia konfrontacji i dociekania, co rzeczywiście zostało lub nie zostało powiedziane. Kłamstwo zawsze łatwiej toruje sobie drogę niż prawda.

Wszystkie te fatalne ewentualności uświadomił sobie Borowicz w okresie czasu nie dłuższym niż parę sekund: najwidoczniej wiedza o nich istniała w nim zmagazynowana gdzieś głęboko i precyzyjnie, a pytanie Gałęckiego wyzwoliło ów zasób wiadomości, jak naciśnięcie odpowiedniego guzika wyzwala zasób informacji, udzielanych przez mózg elektronowy — mózg ludzki to jednak niezła maszynka, szkoda, że musi zginąć, choć nie wierzy w to ten głupiutki ksiądz Krauze. Przy tym mózg człowieka góruje nad elektrycznym, bo posiada jeszcze coś, czego nie ma tamten: dodatkową klapę, klapę bezpieczeństwa w posta-

ci intuicyjnego przecucia, że poza logiką istnieje jeszcze przypadek, że, przewidując wszystko logicznie, skłonni jesteśmy przypisać przeciwnikowi zdolność do działania bezbłędnego, gdy on tymczasem jest człowiekiem niedoskonałym, tak, jak i my. Strach skłania nas do przeceniania przeciwnika, do przypisywania mu działań nieomylnych, ale Borowicz przecież nie odczuwał strachu, toteż w krótkim momencie, kiedy tamten zapalał papierosa (Borowicz nie palił nigdy) nasunęło mu się wyjście ostrożne, bo nie dające partnerowi swobody interpretacyjnej i zawierające pewien haczyk, którego groźby nie da się zlekceważyć. Z powściągliwością i powagą człowieka odpowiedzialnego a bardzo zajętego powiedział, że przedstawi ten punkt widzenia „towarzyszom z kierownictwa”, po czym, uzyskawszy ich odpowiedź, porozumie się. Z kim? Tu właśnie był cały majstersztyk: Gałęcki przecież nie mówił, kto go przysłał, ale Borowicz udał, że o tym zapomniał. Powiedział bardzo naturalnie: „z Wami i Waszym teściem, mam do niego też inny interes” (przypomniał sobie, że przecież rzeczywiście trzeba będzie porozmawiać z Dyrektorem o paszporcie dla tej nieszczęsnej Anny). — A nawet do Teścia zadzwonię dzisiaj od razu — dodał po krótkiej chwili.

W ten sposób klamka zapadła: Gałęcki zrozumiał, że jest spławiony, ale że nie może nadać temu faktowi dowolnej interpretacji, bo wisi nad nim groźba telefonu Borowicza do Dyrektora, a Dyrektor, choć stary utopistyczny sklerotyk, zrozumie przecież, że nie zawsze, nie z każdym i nie przy każdym podsłuchu można o pewnych sprawach mówić i że trzeba trochę poczekać. Redaktor „Gospodarki socjalistycznej” próbował jeszcze chwilę swoich podchwytliwych aluzji i porozumiewawczych dowcipów, ale wobec utwierdzonej już wyczutym sukcesem chłodnej powściągliwości Borowicza dał w końcu za wygraną i wycofał się, po rozmowie jak na siebie niezwykle krótkiej. A Borowicz pomyślał, że naprawdę zadzwoni do Dyrektora i w ten sposób wykręt stanie się rzeczywistością, zostanie nobilitowany, przemianowany na prawdę. Ha, ha — jak mówiła Anna — zapewne naśladowała przeczytane powieści, gdzie ludzie śmieją się właśnie w ten sposób.

Wychodząc z biura Borowicz pozartował trochę z Kasperczykiem i poobserwował, nie patrząc nań na pozór, towarzysza Rusina. Jeśli tamten czuł, że jest obserwowany, to genialnie się maskował, po jego niewzruszonej minie śniętego karpia nikt by nic nie poznał. Borowicz z westchnieniem pomyślał nie wiedzieć już który raz, że trzeba się jąć zawilego trudu jakim było skompletowanie na nowo Wydziału: znaleźć następcę Pietrzaka, wyjaśnić sprawę Władki, a jeśliby Rusin miał pozostać, dobrać jesz-

cze drugiego sekretarza, żeby go neutralizował. Błyskawicznie powtórzywszy sobie to wszystko, jak za pomocą elektronowego impulsu (prześladowało go dziś znowu uświadamianie sobie bezbłędного automatyzmu własnych reakcji), Borowicz zwolnił telefonicznie kierownicę, zbiegł na dół i z ulgą zanurzył się w tłumie przechodniów na Nowym Świecie: tu go nikt nie znał, tu był chwilowo bezpieczny.

Teraz dopiero przyszła prawdziwa reakcja na niedawną rozmowę; zdał sobie oto sprawę jaką bezczelnością ze strony Gałeciego a sklerotyczną naiwnością ze strony Dyrektora było składanie propozycji wybielenia Gellera w prasie. Stanowiło, to sprzeczność z podstawowymi założeniami ich publicystyki i informacji, które polegały na monolityczności, aby wróg nie znalazł w tym monolicie żadnej szpary, żadnego punktu zaczepienia dla swej rozsadzającej jak dynamit propagandy, z drugiej zaś strony aby czytający ogół nie spotkał tu pokusy zbyt bliskiego spoufalenia się z problemami psychologicznej ewolucji ludzi z partyjnej góry. Lepiej niech się czytelnicy nudzą, a wroga propaganda zmyśla argumenty z własnej głowy, niż gdyby asumpt do niebezpiecznych myśli i rozważań zaczerpnąć mieli z partyjnej prasy. Taki był, nie wyrażony zresztą wprost, pogląd Szefa i Ludwika, którzy w ogóle nudy nigdy się nie obawiali, nie uważali jej zdaje się za zjawisko negatywne, a może w ogóle jej nie odczuwali czy sobie nie uświadamiali. Jeśli chodzi o wewnętrzny stosunek Borowicza do tej sprawy, to z jednej strony miał on pełną świadomość wszelkich intelektualnych zarzutów, jakie przeciw stanowisku Szefa i Ludwika można by wytoczyć, widział też doskonale sztywną arcy nudność partyjnej prasy, z drugiej jednak strony podejrzewał, że Szefem kieruje tu jakiś dobry instynkt, proletariacki instynkt zachowawczy, któremu trzeba się poddać. Na przykład sprawa Gellera: gdyby prasa zaczęła pisać, że był to znakomity ofiarny komunista a potem zbłądził, zdradził i w końcu odebrał sobie życie, cóż to by było za rozbicie monolitu, cóż za okazja dla wszystkich wątpiących czy złośliwych, żeby włączyć z kaloszami do duszy każdego działacza: jeśli mógł jeden być dwoisty i załamany, to mogą i wszyscy. I tak mieli przecież okropny kłopot z pisaniem o zasłużonych bohaterach rewolucji, których powystrzelał Stalin — wspominało się o nich rzadko i ogólnikowo. Dyktatura proletariatu nie może obnażać swoich wewnętrznych pęknięć, swoich intymności: przestałaby wówczas budzić lęk, a jakże bez lęku zrobić coś konstruktywnego w tym nieszczęsnym, wykorzenionym i rozsypanym społeczeństwie. Rewolucja nie jest mdłą, liberalistyczną zabawką: gdyby przyszedł do towarzysza Ludwika z propozycją w sprawie rehabilitacji Gel-

lera, Ludwik niechybnie wyrzuciłby go za drzwi z awanturą i miałby rację. Ze strony Gałęckiego to prowokacja, ze strony Dyrektora głupota. Ale na razie się wykręcił a wykręci się jeszcze lepiej i dokładniej.

Kończąc ów tok myśli (choć jak zawsze, myślał poza myślami) Borowicz stał już w Alejach niedaleko domu. Chłodny, słoneczny dzień lipcowy był w pełni dojrzałości, drzewa szumiały — a diabli tam z drzewami! Borowicz zrozumiał nagle, że jest poirytowany czekającą go rozmową z Anną — stale te tortury nudziarstwa. Jednocześnie, może przez daleką asocjację z szumem drzew, naszała go niespodziewana chęćka, aby pojechać jeszcze z Anną do owego lasu i sprawdzić sobie całą rzecz przytomnie, teraz już nie padając ofiarą zaskoczenia. Pojechać, owszem, ale bez gadania — tak nie znosił gadulstwa, a przez całe życie był na nie skazany!

Skąpe godziny popołudnia wlekły się dzisiaj ze złośliwą powolnością. W dodatku matka snuła się wciąż po mieszkaniu, podała mu obiad, bo nie było jakoś służącej. Peszyło go to i krępowało; po obiedzie poszedł do siebie — telefon miejski był w hallu, w swoim pokoju zainstalował Borowicz tylko telefon rządowy i Komitetu, nie chciał mieć tutaj bezpośredniego, teraz tego pożałował: Anna coś mówiła, że dzwoniła parokrotnie, może to matka odbierała telefony, ale jakoś na ten temat milczy — że też człowiek nie ma nigdzie spokoju i samotności. Jedyne prawdziwy spokój był tam, z Władką na przedmieściu — ale to już minęło i jak głupio minęło!

Siedział u siebie w pokoju, potem plątał się niby leniwie po hallu, ale jak na złość matka stale była w pobliżu i pewno widziała, że on na coś czeka. Chociaż może nie: ponieważ był drobiazgowo spostrzegawczy, więc zapewne przypisywał ludziom więcej spostrzegawczości niż na ogół mieli.

Dziesięć po szóstej zadzwonił telefon: Borowicz był sam w hallu, wszystko miał obmyślane, więc spokojnie podniósł słuchawkę. Ledwo jednak zaczął mówić gdzieś, między czy za oszklonymi drzwiami mignęła mu się matka — wyglądała trochę jak bezszelestny, skromny kruk.

Rozmowę przeprowadził według planu: Anna nie była teraz agresywna, głos miała znów niski, mrużący, matowy. Umówili się, że przyjedzie po nią jutro wczesnym popołudniem na ową nadwiślańską autostradę. Obiecał jej, że wszystko sobie powiedzą, wyjaśnią, ustalą, nadał swemu głosowi ton niemal opiekuńczy, a ona temu ulegała, taki nastrój widać jej w tej chwili odpowiadał. Ale, gdy zadowolony że ma do jutra trochę spokoju, odkładał na widełki słuchawkę, drgnął nagle jak przyłapany

sztubak, widząc utkwione w siebie osobliwie dziś znieruchomiłe matczyne oczy. I właśnie zaczęła się owa niespodziewana i zdumiewająca rozmowa, którą zapamiętać miał na długo.

— Co ty właściwie zamierzasz, Henryk? — zapytała matka głosem cichym ale z jakąś niezwykle nutą czy to zdenerwowania czy niezrozumiałego żalu.

— Co zamierzam? Ale właściwie w jakiej sprawie?

— Czy nie postanowiłeś się przypadkiem ożenić?

Borowicz drgnął, zaskoczony drugi raz w ciągu niewielu minut. Anna, Władka, telefon — cóż to właściwie znaczyło?! Czyżby...

— Co też mamie do głowy przychodzi? — mruknął by zyskać na czasie.

— Bo jeśli zamierzasz się ożenić — matka ciągnęła swoją rzecz głosem monotonnym, jakoś statycznym, jakby sobie te słowa uplanowała od dawna — to nie powinienes... to jest... to chciałam cię prosić, żebyś się nie żenił z aryjką!

Nieprawdopodobnie! Borowicz poczuł, że krew nagle napływa mu do głowy i pali twarz, pociemniało mu też w oczach. Długą chwilę milczał, zbierając myśli: od lat przecież nigdy nie rozmawiał z matką na żadne w ogóle istotniejsze tematy, a cóż dopiero na takie! Mówili zawsze półsłówkami, domyślnikami, o rzeczach obojętnych albo o codziennych szczegółach z życia najbliższych znajomych. A tu... To niesłychane! Wiedział, że wzbiera w nim gniew, ale opanował się — zresztą na irytację będzie czas i potem.

— Nie rozumiem — mówił przez zęby, siłą hamując się, aby nie podnieść głosu — z wysiłku aż dostawał skurczu w szczękach. — Czy mama na serio używa hitlerowskich określeń? Co to właściwie znaczy: „z aryjką”?!

— Henryk, ty dobrze wiesz co to znaczy. Ty doskonale wiesz co to znaczy! Tu dzwoni dziewczyna, ona... To nie będzie dobra sprawa...

A więc jednak chodziło o Annę. — Akurat ładna mi aryjka — ironizował w duchu Borowicz. Nie wiedział jeszcze, jaka jest bezpośrednia przyczyna rozmowy, o tym miał się dowiedzieć dopiero znacznie później, gdy już było po wszystkim. Ale wystarczyło przecież to co słyszał. Matka... I pomyśleć, że nigdy w życiu o niczym podobnym nie mówili, dopiero właśnie dzisiaj...

— Nie mam zamiaru z nikim się żenić — wymruczał, upokorzony, że coś takiego musi mu przejść przez usta. — Ale nie to jest ważne, chodzi o co innego. — Czy mama naprawdę dzieli ludzi na...

Nie dopowiedział, ale nie było potrzeby. Matka wpadła mu w słowo z niespotykaną u niej nerwową gwałtownością.

— Nie ja dzielę, Henryk, ty o tym dobrze wiesz. Wszyscy dzielą, wszyscy naokoło myślą to samo. Ot, służąca nie przyszła, ona nas nienawidzi. Wszyscy naokoło nas nienawidzą: szofer, sklepikarka. Oni mówią, że Żydzi rządzą...

— Cóż to za bzdury! — Borowicz nie panował już nad głosem. — Rządzi Szefer, rządzi Ludwik, rządzi Komitet — czyż to wszystko są Żydzi?! Cóż to za...

— Niech oni sobie rządzą — Henryk — niech Szefer sobie rządzi, to uczciwy człowiek — ale dlaczego my się w to mamy mieszać? Miliony naszych ludzi zginęło po to, żebyś ty mógł być Polakiem i siedzieć na samej górze. I nie tylko ty — dużo ludzi tak robi i to nie tych, co cierpieli za Hitlera, ale takich co sobie przyjechali — bezpiecznie przyjechali z Rosji albo skądinąd, jak Radzikowski czy Endelberg, czy Żyrowicz. My przynajmniej byliśmy tu, w Warszawie, cierpieliśmy, pomagaliśmy ludziom, ale to z nami też jest niedobre. A gdybyś się miał ożenić z... z Polką, to zobaczysz, będzie tragedia. Ty nic nie widzisz, jesteś zaślepiony, zapracowany, ale ja wiem... Będzie tragedia.

Matka zamilkła, zmęczona wysiłkiem, nie łatwo jej pewno było wygłosić owe zdania, kwestię jęśliwej Kassandry... Na scenie owszem, ale w życiu codziennym takich rzeczy się nie mówi. Borowicz miał wrażenie, że sufit ich pięknego mieszkania sypie mu się na głowę. Nie był tu wszakże u siebie, nie był w domu bezpieczny jeśli nie panował nad sytuacją, jeśli oto matka, jego matka dzieliła obiegowe poglądy „antysemityzmu ludowego”, a raczej warszawskiej hołoty. I kiedyż się to stało, nic takiego w matce nie dostrzegał, naprawdę był zaślepiony i za mało zwracał uwagi na dom. Służąca, sklepikarka, szofer?! Pies z nimi, oni przecież nic nie rozumieją a biedna matka się przejmuje. Że Żydzi rządzą?! Cóż za nonsens, czysto hitlerowski nonsens! Rządzili polscy komuniści internacjonalisci, jednolici i zwarci, bez względu na pochodzenie (— a Seweryn i jego podejrzania? — Seweryn się nie liczył, był głupi, to wyjątek, potwierdzający regułę), rządzili dobrze dla tego nieszczęsnego kraju, ratowali go: któżby tu inaczej rządził — rosyjski pułkownik?! Ta pomieszczajska hołota i resztki dawnego, przez stulecia bałamuconego ludu tego nie rozumieją. Ale matka?! Czyż i ona musi myśleć, a raczej odczuwać, jak przedwojenna handlarzka śledzi?!

Był zadyszany, jakby po długim biegu: po raz pierwszy tak go wprost zaatakowano. Kunsztownie perfidne, owinięte w wate niedomówień ataki Seweryna dawały przynajmniej czas na zebranie się w sobie, na przygotowanie riposty. A tu matka, w pierw-

szej właściwie rozmowie po dwudziestu latach i to w domu, na pewno przy demaskującym podsłuchu tak go zaskoczyła. Czyż ze wszystkich już stron mają się na niego walić głupstwa?

Rzecz w tym, że Borowicz nigdy w istocie nie czuł się Żydem — może dlatego, że nigdy nie dzielił żydowskiego losu, nigdy tak naprawdę nie potraktowano go jako Żyda — miał szczęście. Przed wojną, jak były te jakieś zamieszki na uniwersytetach, wyjechał do Paryża. W czasie wojny nie miał czasu o tym myśleć — walczył, walczył w gronie polskich towarzyszy wiernych i oddanych. Właściwie nigdy podczas warszawskiej okupacji nie myślał o zagładzie, o Treblince, o gazie — nie miał czasu, parę razy może tylko w serce zakłuło go nagłą grozą: raz, gdy wieczorem, jeszcze przed utworzeniem getta ujrzał przechodząc na Placu Żelaznej Bramy niesamowicie rojące się mrowie czarnych Żydów z opaskami, innym razem, gdy zwożono do getta wynędzniałe, stłoczone transporty Żydów z prowincji. Nie terror i krew były straszne, lecz powolne kroki milcząco zbliżającej się śmierci, zimna pewność, że wszyscy muszą zginąć — od niemowlęcia do starca. Ale to były rzadkie chwile, w zasadzie całe sześć lat nie myślał o zagładzie — ujrzał ją w świetle dnia dopiero po wojnie, gdy pokazało się nowe społeczeństwo, bez Żydów, bez trzech i pół miliona Żydów...

I jeszcze to jest ważne, że Borowicz nigdy nie był z Żydami solidarny; oskarżał ich o błędy, o to, że w dużej mierze zawinili swój los — choć los przyszedł w postaci irracjonalnej — obłąkanego Hitlera. Jeszcze przed wojną zastanawiał się, dlaczego tak liberalny, tolerancyjny i mało pryncypialny naród jak Polacy stał się antysemitki. Żydzi mieli tu swoją winę: chcieli żeby nie traktowano ich jak naród, tylko jak grupę czy warstwę, a zachowywali się właśnie jak naród, jak odrębny naród w narodzie — solidarny i egoistyczny. Przyczyny były klasowe, społeczne, ale też i narodowe i obyczajowe, w ogóle złożone — dialektycznie, po marksistowsku złożone. I jeszcze ta stara żydowska sympatia do Niemców — toż nawet ojciec jeśli coś lubił to tylko legendę niemieckiej muzyki, niemieckiej kultury: choć nie mówił już żargonem, to wciąż próbował czytać niemieckie książki, cmo-kał nad wszystkim co niemieckie, najchętniej kupował materiały u niemieckich kupców z Bielska. Odpłacili się im za to ci Niemcy, nie ma co! Cóż za obłąkańcy, wariaci — przecież dzięki Żydom mogli opanować świat. Wall Street dziś na to liczy, ale się przeliczy — po tej wojnie przysł demoniczny mit Żyda Wiecznego Tułacza.

Właśnie ci żydowscy inteligenci, którzy wbrew obu szowinizmom stali się Polakami, rehabilitują dawne błędy nieszczęsnego,

na zawsze zniszczonego narodu. Ocalili tym razem dzięki solidarnej pomocy Polaków, polskich towarzyszy i ratują ten kraj, ten lud, ukazując mu perspektywy egzystencji w socjalizmie, których sam by nie dojrzał — zbyt był na to zagubiony w swej historycznej drugorzędności, zacofany w swych wiejskich opłotkach. Oni, właśnie oni rehabilitują dawne błędy żydowskie, wymazują dawne społeczne winy (niech będzie: niezawinione winy) wobec Polaków, wobec polskiego społeczeństwa. Rehabilitują Żydów, a matka myśli, że kompromitują. I w ogóle przecież sprawy żydowskiej już w Polsce nie ma — są tylko wspomnienia i przesady. Ale jak to matce wytłumaczyć. Jak wytłumaczyć służącej, szoferowi, sklepikarce?!

Milczeli, ale matka widocznie podążała jednak za jego myślami, bo odezwała się, jakby na nie odpowiadając, tym razem mniej zdecydowanie, jakoś tłumacząco, perswadująco, może wręcz przepraszająco? Ale intencje były te same: matka nie chciała skapitulować, zresztą oficjalnie nie miała przed czym — nic jej przecież z tego co myślał, nie powiedział. Inna rzecz, że matka wiele wyczuwała, nie darmo żyła między nimi tyle lat — na górze, jak mówiła.

— A dlaczego, Henryk — powiedziała — wszyscy wysyłają dzieci za granicę? Dlaczego córka Manteufela chodzi do szkoły we Francji, dlaczego synowie Radzikowskiego pracują w Londynie? Dlaczego Endelberg ma brata w Izraelu? A dlaczego wszyscy mają pieniądze za granicą, tylko my jedni nic nie mamy? Czego się boją, powiedz, Henryk, czego oni się boją?!

Manteufel! To zaiste postać żałosna, która nieraz intrygowała Borowicza. Był to człowiek w swoim pojęciu zamaskowany idealnie — ale tylko w swoim pojęciu i w tym się kryła cała żałościwość, gdyż wszyscy wiedzieli o nim absolutnie wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, a on chodził uśmiechnięty, bo się niczego nie domyślał. Miał wspaniały wygląd, najtypowiej „aryjski”: blond wąsik, grzywka, tylko cerę trochę dziwną. Mówiono, że sobie podczas okupacji spiłował nos i zrobił operację kosmetyczną. W każdym razie ocalał przed gazem, a raczej nie przed gazem: w miejscowości pod Lwowem, skąd pochodził, Niemcy zadawali się egzekucjami — wszystkich rozstrzeliwano nagich nad wykopanymi rowami, potem, często zaledwie raniomych, spychano w drgający czerwonym mięsem dół, a inni Żydzi, należący do brygady pracy (jeden z nich ocalał i został potem profesorem w Ameryce, gdzie wszystko opisał) zasypywali ich ziemią. Niemowlęta i małe dzieci w ogóle wrzucali do rowów żywe.

No ale grunt, że Manteufel przeżył: miał świetny wygląd,

przybrał sobie niemieckie baronowskie nazwisko i przeżył, a po wojnie wstąpił od razu do partii i zrobił olśniewającą karierę. Dobrze, ale po co się dalej maskował? Nikomu się nigdy do niczego nie przyznał, zatarł wszelkie ślady, zerwał z przeszłością, nikt z towarzyszy go przed wojną nie znał — a jednak wszyscy wszystko wiedzieli. Może poznał go ktoś z jego dawnego miasteczka, może Doktor z Informacji Wewnętrznej coś rozgadał — no bo Informacja wiedzieć musiała gdy go przyjmowano — wtedy zresztą te rzeczy kontrolowali chyba Rosjanie. A taki był pewny siebie, puszył się, postępował zaś brutalnie, uważając wiadać, że przeżyty lęk, owe pięcioletnie cierpienia upoważniają go do nie liczenia się z niczym. I tu właśnie błąd i wina — znowu Żydzi są sobie sami winni.

Brat Endelberga wyemigrował do Izraela, bo podobno dzieciom jego dokuczyl w szkole — w ludowej szkole — złośliwy antysemityzm innych dzieci. Ale w Izraelu jak słyhać, dokuczano jego dzieciom również tym razem z przyczyn antypolskich i antyaryjskich, że są nie obrzezane czy coś tam. Taki jest los głupstwa. A za to drugi Endelberg był najpierw w Polsce głównym berliowszczykiem a teraz jest głównym liberałem — rewizjonistą. Powiedział nawet podobno, powołując się na Marksa, że ponieważ Żydzi znów są upośledzeni, więc znów stają się źródłem twórczego fermentu.

To właśnie było najgorsze: że wyróżniali się samoświadcząc, dobrowolnie zrywali ze społeczeństwem, z narodem, bo przypisywali sobie większe prawa niż innym, powołując się na cierpienia swoje albo i nie swoje (częściej to drugie, bo ci, co najwięcej cierpieli, już nie żyli); zachowywali się brutalnie i nieuczciwie, a w najlepszym wypadku zarozumiale i apodyktycznie choć i czasem tchórzliwie. Przez to wszystko dawali żer służącej, szoferowi, sklepikarce, którzy w swym nierozumnym atawistycznym uogólnianiu rozciągali swą niechęć na wszystkich. I dlatego Borowicz nie był solidarny z Żydami, często zgoła ich nie lubił. Nie rozumieli, że rasa nic nie znaczy, człowiek sam decyduje o tym, jaki będzie, jakim chce być i dlatego nie powinni sami nakładać sobie na szyję obroży determinizmu. Trzeba pracować uczciwie, jak każdy inny towarzysz, pracować dla polskiej partii, tak, jak pracował on, Borowicz. Oczywiście — służąca, szofer, sklepikarka nie wiedzieli o tym, identyfikując go z resztą — ale niby skąd mogli wiedzieć, jakie rzeczy on właściwie robi. Inna sprawa matka — ta mogłaby coś wiedzieć; co prawda jego to może wina, że jej o niczym nie informował. Ale jak tu to wszystko mówić: myśli były nie do wypowiedzenia, a sprawy za trudne dla niej. To w końcu prosta kobieta, spracowana, stara...

A w gruncie rzeczy wszystko to są mijające cienie przeszłości: to resztką dawnej otoczki, obyczajowa nadbudowa zawsze trwa dłużej niż społeczna baza, ale obumrzeć musi. Matka w tym żyje, więc nie wie że to resztką, myśli że to całość, tak jak mucha, która siedząc w cieniu nie wie, że za chwilę przyjdzie słońce. Ale to wszystko minie bo jest nieważne — ważne są tylko sprawy społeczne. Matka tego nie rozumie, jakże ma rozumieć, jeśli nawet towarzyszywi Sewerynowi żydowska rzekomo mafia przesłoniła sprawy społeczne — nie bez pomocy towarzysza Endelberga, prawdę rzekłszy. A jednak prawa społeczne decydują: za kilkanaście lat problem zniknie — jedni wymrą, inni się zasymilują — nie rasowo lecz, co decydujące, społecznie. On też powinien się formalnie zasymilować, ożenić się, właśnie z „aryjką”, z Władką. To była w istocie jego idea, ale przepadła, zmarnowała się — została mu wykolejona, zalienowana Anna, która narobiła całego bigosu (jak dokładnie narobiła, tego jeszcze wówczas nie wiedział). Ale to nie ważne — to epizod, który się skończy.

W hallu było ciemnawo, choć czasu płynęło niewiele — zdaje się, że pogoda się popsowała, wiatr trząsał gdzieś nie zamkniętym oknem. Milczeli znowu, szczupła, drobna postać matki czerniała wciąż w półotwartych oszklonych drzwiach. Żał mu jej było, gniew się rozplynął i zgasł, ale nie podjąłby się teraz cokolwiek tłumaczyć. Powiedział tylko łagodnie, że naprawdę nie ma zamiaru z nikim się żenić, a o reszcie porozmawiają kiedy indziej. I żeby się nie przejmowała fochami głupiej służącej.

Długo jeszcze u siebie w pokoju leżał przy otwartym oknie machinalnie słuchając coraz to gwałtowniejszego szumu ulicznych drzew. Był teraz spokojny i w jakiś sposób zadowolony, że ma za sobą tę rozmowę: ma za sobą, nie przed sobą, już go ona nie zaskoczy, jest przygotowany, to czysty zysk. Spędził tak jakoś dziwnie resztę wieczoru, drzemiąc po trochu na otomanie — szkoda tylko, że zapomniał zadzwonić do Dyrektora, co w ostatecznym rozrachunku okazało się gorsze niż cała rozmowa z matką.

XIII

Na drugi dzień Dyrektora ani w domu ani w biurze nie było, za to wczesnym popołudniem rozpoczęły się owe niepoważne lecz absorbujące korowody z Anną. Anna zabarwiła sobą i swymi dziwactwami (choć może całe młode pokolenie, które nie widziało wojny, było już takie dziwaczne) atmosferę tego warszawskiego lipca, odcisnęła na tym przejściowym miesiącu swój nastrój, odcisnęła bez reszty — choć może znalazłaby się i mała reszta w postaci zbiorowej, jak to sobie określał, sceny na cmentarzu, kiedy to Dyrektor mu się nie uklonił i kiedy spotkał od lat nie widzianego Artura Grynbauma. Ów cmentarz to był przecież tylko epizod, parę godzin zaledwie, a jednak, gdy szperał później w przeszłości, robiąc inwentarz lipcowych zdarzeń w pamięci znajdował tylko dwie sprawy: cmentarz i Annę. Cmentarz zresztą przyszedł już w drugiej połowie lipca, niedługo przed państwowym świętem — przez to święto właśnie Szef i inni a także Borowicz brali zwykle urlop dopiero w sierpniu: Borowicz wprawdzie świąt i obchodów nie lubił, ale tam gdzie byli wszyscy, tam nie mogło zabraknąć i jego — tego wymagała polityka. W tym roku zresztą miał, jak wiadomo, sporo kłopotów, toteż i w sierpniu urlop go ominął. Było to po prostu pechowe, kryzysowe lato, lato zamętu zewnętrznego i wewnętrznego — a Borowicz cenił sobie tylko porządek.

Więc Anna i cmentarz, cmentarz i Anna. Z Anną właściwie porozumieli się z początku bez wielu słów: miała ona umiejętność niejako zawieszania na pewien przeciąg czasu wszystkich swoich dziwactw i wariactw, gdy chodziło jej o załatwienie czegoś konkretnego, o nadanie życiu jakiejś zewnętrznej realnej formy. Tak, jakby zdawała sobie sprawę, że jest wariatką, albo że

w określonym zakresie odbiega od tego, co ludzie potocznie uznają za normalne i że w tym zakresie może ich razić. Chcąc więc coś załatwić zawieszają na trochę swoje wariactwo, za to później nie zaniebdywała powetować sobie tego w dwójnasób. A jednak jak daleko sięgało to wariactwo, jak niebezpieczne umiało sobie znaleźć drogi, o tym miał się Borowicz przekonać dopiero później, choć biorąc pod uwagę formalną miarę czasu, niezadługo.

Na razie, gdy się spotkali, znowu na owej Wiślostradzie i znowu w aucie (instyktownie jakby wybrał Borowicz tę formę konspiracji: poruszające się auto o którym nie wiadomo kto siedzi w środku, stanowiło w istocie świetne azylum przed warszawskimi plotkami), Anna nie żądała zbyt wielu rzeczy: wszystko, czego chciała, było, wbrew obawom Borowicza, umiarkowane i rozsądne. To znaczy rozsądne w granicach założonej stabilizacji ich romansu, czy jak tam tę rzecz właściwie należało nazwać. Borowicz zrozumiał teraz, że ten romans był dla niej czymś jak najbardziej normalnym i oczywistym, po konkretności jej postulatów widać było, że uplanowała sobie całą rzecz dawno, może już wówczas, gdy spotkali się po raz pierwszy, na owym zmarzniętym jeszcze przedwiosennym podwarszawskim polu. Pewno już wtedy myślała o tym jak sobie po maturze uregulować życie, do celu zaś szła szybko i prosto, ani słowa. No i realistycznie, bez żadnych skrupułów, czy to katolickiej czy innej natury. Właściwie, to była ona przecież, zważywszy jeszcze młodziutki wiek, istnym potworem, w dodatku praktycznym i znającym życie jak diabli, choć nie wiadomo przecież skąd.

Co prawda z tą jej znajomością życia to też było dziwne, łączyła ją bowiem z zupełną niezajomością całych jego dziedzin, przede wszystkim przeszłości, zwłaszcza czasów przedwojennych: tutaj była wręcz dzieckiem i to gorzej niż dzieckiem, gnębiły ją bowiem w tej materii obrazy fantastyczne i obsesjonalne. Potrafiła na przykład zapytać Borowicza, czy był przed wojną kapitalistą, czy też zawsze był komunistą. Ludzi przedwojennych dzieliła zresztą w ogóle tylko na kapitalistów, Żydów i komunistów, w czasie wojny dołączyli się do tego obrazu Niemcy, po wojnie — bolszewicy. Przypominało to Borowiczowi conradowską nowelę „Uśmiech szczęścia”, gdzie samotna dziewczyna z wysp malajskich, czytająca tylko miejscową gazetę, pełną przedruków z europejskich kronik wypadków kryminalnych, urabia sobie skrócony a obsesjonalny obraz Europy, jako jednej wielkiej makabrycznej mordowni. Zdawał sobie sprawę, że ta osobliwa jednostronność widzenia była wynikiem szkoły i to szkoły podwójnej: gimnazjum klasztorne, a było już takich w Polsce zaledwie kilka, szczytkowych czy pokazowych, musiało z jednej strony ściśle prze-

strzeżać państwowego programu nauczania z drugiej zaś niekontrolowany napór zatechłego, konserwatywnego dziwactwa katolickiego też robił swoje. Pogląd, że przed wojną byli w Polsce tylko kapitaliści i komuniści wywodził się z nauczania państwowego, Żydzi i bolszewicy natomiast to płód tradycji katolickiej: choćby już nawet księża, jak ów Krauze, byli oświeceni i na swój sposób postępowi, to nacisk głupiej tradycji materializował się wśród młodzieży w postaci tego, co wynieśli z domu — wiadomo, któż inny jak nie ciemni średniowieczni fanatycy ryzykowałby oddanie dziecka dzisiaj do klasztornej szkoły. A dzieci i młodzież to okrutnicy, jeszcze jacy! Oni to właśnie spaczyli Annę i ich dokuczanie na temat rasy wpędziło ją w kompleksy — skądżeby się o tym inaczej dowiedziała; wszakże człowiek rodzi się duchowo goły, bez żadnych idei wrodzonych, a swój багаż psychiczny zawdzięcza dopiero życiu wśród innych.

Oczywiście, poglądy wynoszone przez normalną młodzież z wychowania państwowego były też po trochu spacone, ale ostatecznie w sposób nieszkodliwy a nawet dla przyszłego życia zgola pożyteczny. Cóż by dzisiejszym młodym przyszło z tego, gdyby wiedzieli, że w przedwojennej Polsce wszystko było w sposób nietypowy przemieszane i pokiełbaszone, że komuniści byli małą konspiracyjną grupką, walczącą na wiele frontów, bo w końcu to Stalin właśnie decydująco ich wyniszczył. Zresztą decydująco nie decydująco: oni to przecież stali się wreszcie drożdżami wydarzeń, drożdżami historii, oni odnieśli polityczne zwycięstwo i oni mają prawo, dla umocnienia swojej władzy, odciąć młodzież od skomplikowanych a ciemnych powikłań przeszłości; było to zresztą ważne i dla szczęścia nowej generacji: pogląd prosty i jasny, jednakowy dla wszystkich, porządkował a przez to ułatwiał życie w tworzonym przez nich nowym świecie rodzącego się wszakże dopiero socjalizmu: piętnaście czy dwadzieścia lat tego świata to dopiero jego niemowlęctwo, a któż będzie wtajemniczał niemowlę we wszystkie zawiłości bytu naraz. Zresztą Borowicz pozbywał się w tej sprawie wszelkich skrupułów, zdając się w niej, jak nieraz, na niezawodnie realistyczny, proletariacki instynkt Szefa. Wiedział dobrze, że dzisiejsza, podawana młodzieży wersja i wizja historii najnowszej pochodziła właściwie bezpośrednio od Szefa i Ludwika, realizował ją zaś skrupulatnie minister oświaty Mroczyński, prostoduszny a pracowity jak roboczy wołek, przedwojenny małomiasteczkowy nauczyciel i działacz oświatowy, ślepo oddany Szefowi — cóż zresztą w tym dziwnego, skądże inaczej, z czyich rąk otrzymałby kiedykolwiek takie stanowisko — był to przykład prawdziwego rewolucyjnego awansu: awans klasy i pokolenia. Zabawna swoją drogą rzecz,

że nie kto inny właśnie lecz taki poczciwiec realizował zdemonizowane przez Orwella praktyki odcinania nowych pokoleń od starego świata: Orwell i inni literaccy utopiści, rekrutujący się przeważnie z zawiedzionych rewolucjonistów, nie umiejących znieść konfrontacji idei z rzeczywistym obliczem narastających przemian, zohydzili tę sprawę ku ucieście burżuazyjnego świata, nie dostrzegając jej oczyszczającego, wręcz higienicznego waloru. Bo jeśli chodzi o Szefa i Ludwika, ci wierzyli już niemal w stworzony przez siebie obraz dawnych wydarzeń sprzed potopu: było to miarą wstrząsu jaki przeszli, wyniesieni w trakcie życia z samego dołu na samą górę; trudno przecież przychodzi, zwłaszcza marksiście, przypisać takie wyniesienie po prostu zbiegowi przypadków — zbieg przypadków, musi choćby *ex post*, stanowić potwierdzenie sformułowanych przez materializm praw historii. Historyczna wersja Szefa i Ludwika była miarą z jednej strony ich skromności, z drugiej strony ich żarliwości wobec teoretycznych podstaw koncepcji, której poświęcili życie. Żarliwość — jakąż może być lepsza miara w epoce dziecięctwa nowego świata, budowanego przez socjalizm?

Borowicz rozumiał to wszystko doskonale, w sławnym swoim mgnieniu oka uwzględnił od razu i widział wszelkie przyczyny, powiązania, źródła cudzych usposobień i stanów psychicznych. Ale mimo to nie mógł się jednak ustrzec od zaskoczenia owym przeosobliwym konglomeratem, owym dziwolągim psychicznym, jaki stanowiła Anna. Zdumiewające w niej było połączenie bezbrzeżnej naiwności i niewiedzy z również, zdawało się, bezbrzeżnym instynktownym sprytem życiowym. Nie tylko sprytem seksualnym, jaki, nie wiedzieć skąd wzięty, zademonstrowała owego pamiętnego popołudnia w lesie, ale sprytem praktycznym, materialnym, może nawet nie tylko sprytem lecz wręcz mądrością. Mądrość ta objawiła się na przykład w umiarkowaniu jej żądań, postawionych Borowiczowi: wiedziała, że może go przestraszyć, zrazić, więc żądała niewiele, w granicach realnych możliwości i obowiązków, tyle w gruncie rzeczy, ile on właśnie zamierzał jej dać. Przy całej swej mitomanii owe granice jego aktualnych możliwości i skłonności oceniła bezbłędnie. Zdumiewające stworzenie!

Czegóż więc chciała? Chciała po prostu mieszkania — nie tyle zresztą dla siebie, dla konkretnego stałego w nim pobytu, ile dla ich miłości: miało to być coś w rodzaju owego gniazdka, jakie założyli sobie z Władką tam, na przedmieściu. Anna zrozumiała w lot, że on wie o co chodzi, że takie sprawy nie są mu obce. No bo rzeczywiście: jaki ma być w Warszawie romans, jeśli nie ma się dlań kąta, skrytego przed ludzkimi oczami?

A romans był dla niej rzeczą oczywistą, nie podlegającą jakiegokolwiek dyskusji i Borowicz, chcąc nie chcąc, musiał się temu podporządkować — zresztą był na to podświadomie przygotowany i uznał od razu za naturalne gdy ona z oburzeniem niemal przyjęła propozycję powtórnego pojechania do owego lasu, oświadczając natomiast, że należy teraz „porozmawiać poważnie”.

Podkreślała jednak wciąż, że nie potrzebuje tego mieszkania dla siebie, ale dla ich spotkań, że będzie tam również gościem (choć chciała mieć własne klucze), bo w zasadzie pozostanie tu, gdzie jest obecnie. Gdzie, tego nie mówiła, a Borowicz nie pytał: mieszkała oczywiście u jakichś księży i to nie w samej Warszawie, lecz gdzieś na północ od mostów, może w okolicach Lasek a może bliżej, koło Bielan, tam gnieździli się księża niedaleko nadwiślańskiego klasztoru, tam było jakieś seminarium a także gospodarstwa i ogrody pełne kolorowych choć teraz już jakby zakurzonych kwiatów. W tych stronach Anna zazwyczaj wysiadała z auta i jakoś nieznacznie ginęła w piaszczystym podwarszawskim plenerze, w cieniu wyschłych nadwiślańskich topoli czy wśród karłowatych sosenek. Już to znikać w krajobrazie lub nagle się materializować umiała doskonale — przydałaby się w konspiracji, lecz dzisiaj, w blasku dnia i to dnia socjalistycznego była istnym anachronizmem.

Tak czy owak Borowicz nie chciał nic wiedzieć (a raczej chciał wiedzieć jak najmniej) o jej życiu, stosunkach, miejscu zamieszkania a także o żadnych księżach — nie znosił tego, a tu jeszcze pojawiała mu się w myślach Wanda zaś wewnętrzny drwiący głos przypominał, jak to ładnie zaopiekował się nieletnią córeczką dawnej przyjaciółki i to po całych dwudziestu pięciu latach. O, do diabła — należało ujarzmić i odpędzić te myśli, a do sprawy odnieść się jak najbardziej rzeczowo. Zresztą Anna ułatwiała mu to; jakby przewidując jego ewentualne niepotrzebne komplikacje psychiczne sprowadzała sprawę do wymiarów skromnej rzeczywistości: chodziło tylko i jedynie o mieszkanie i to mieszkanie niejako przejściowe, na pewien czas, bez meldowania się, bez formalności i kłopotów. Przy okazji wspominała, że trzeba tam też będzie coś nie coś urządzić, przygotować, ale chyba nie będzie to kosztowne. Żegnając się z nią tego dnia Borowicz dał jej dwie pięćsetzłotówki — przyjęła to jak rzecz oczywistą i wrzuciła niedbale do torebki.

Potrafić nastawić swoje myśli w jednym, konkretnym kierunku, eliminując wszystko co zbędne, co po bokach czy w głębi, to wielka umiejętność i wielkie szczęście, bo daje spokój, uwalnia od wątpliwości i lęków, a jakież jest na świecie większe szczęście

niz spokojna pewność siebie. Anna ułatwiała mu to: myślał, że zażąda Bóg wie czego, na przykład małżeństwa roztrąbionego uroczystie na czterech rogach ulicy, że go będzie szantażować, histeryzować, grozić — a tu propozycja skromna i realna: mieszkanie, mieszkanie chwilowe, przejściowe, na trochę! Potem, kiedyś, przyszło mu dopiero do głowy, że Anna uważała go za słabeusza, za dręczonego lękami super ostrożnego strachającą, dlatego może dozwoliła swoje życzenia tak oszczędnie. Nigdy nie wiemy, jak daleko sięga pogarda kobiet.

Oczywiście, dla wielu ludzi w Warszawie problem mieszkania był tragiczną obsesją: budowano wprawdzie mnóstwo lecz liczba amatorów mieszkań rosła w postępie geometrycznym, im więcej domów oddawano do użytku, tym więcej, nieskończenie więcej było amatorów. — Socjalizm jedną rzecz realizuje błędnie: rozbudza i upowszechnia apetyt — szydził Grochowski. A przecież kiedyś na początku w całkiem zburzonym mieście można było, tak się przynajmniej wówczas zdawało, uregulować rzecz planowo. Niestety wszystko wymknęło się z ręki, bo przesadzono z rozbudową warszawskiego przemysłu (hutę, jeszcze przed swoją nieflaską i aresztowaniem zaprojektował sam Szeł — zrobił to dla polityki, aby mieć za sobą „robotniczą Warszawę”), napłynęło masę ludzi ze wsi, zaludnili owe bloki, wzniesione pośpiesznie na podmiejskich piaskach, a tu dawni mieszkańcy którzy wrócili do zmaltretowanego miasta gnietli się często — kroc po piwnicach, suterrenach, nieliczne ocalałe paropokojowe stare mieszkania pękały od natłoku wielu rodzin, sublokatorów, dzikich lokatorów, ludzi nie meldowanych, chcących za wszelką cenę być w stolicy, pulsującej najautentyczniejszym wówczas w całym kraju życiem mimo zgłiszcz, gruzów, ruin i prymitywizmu. Wtedy się to zaczęło i trwało po dziś dzień. Budowano przecież masami, wznoszono dziś całe dzielnice szklanych, wysokich nowoczesnych klatek, budowały spółdzielnie, zakłady pracy, budowało miasto, lecz wszystkiego było mało: ludzie płynęli i płynęli bezustannie, jakby otworzono jakąś gigantyczną zaporę, mnożyły się nadużycia, afery, przekupstwa, Szeł się wściekał, zaostrzał przepisy, zabraniał meldować, lecz nic to nie pomagało. Borowicz nie rozumiał, skąd w socjalizmie taka siła niesfornego, bezmyślnego żywiołu — może władza była za łagodna, może brakło strachu, który okazywał się przecież tak ważnym konstruktywnym w rezultacie elementem pierwszej fazy rewolucyjnej w Rosji, Rumunii, Bułgarii i gdzie indziej. Szeł był tu za wielkim idealistą, choć potrafił też zaskoczyć zimną kalkulacją czy brutalnością — dziwna to w ogóle mieszanka psychiczna. Tak czy owak Borowicz absolutnie nie mógł się wdawać w żadne lokalowe afery,

co zdarzało się przecież towarzyszom nawet dość wysoko postawionym, lecz co, gdy się wykrywało, budziło niezmiennie nie-pohamowaną wściekłość sfer kierowniczych, które na ten rodzaj kompromitowania Partii specjalnie były wrażliwe. Miał przecież swoje piękne mieszkanie w starym pałacyku w Alejach (i pomyśleć, że Aleje ocalały, bo stanowiły podczas wojny dzielnicę niemiecką — mieszkali tam gestapowcy ze swoimi kobietami), stał zbyt blisko Szefa i całej góry, to byłoby obrzydliwe i idiotyczne. Więc?

O dyskretnym, schowanym przed ludzkimi oczami pokoiku, jak ów, który mieli z Władką, nie było co marzyć: Władzia Kowalczyk, warszawianka wywodząca się z prawdziwego, nie skażonego proletariatu (którego tak niewiele w ich stolicy pozostało, choć nie wiedział o tym Szef), miała swoje, jak mówiono w Warszawie „chody” i przeróżne mrowiskowe, pokrętnie organiczne stosunki — on, człowiek eksponowany, a przez to izolowany, nie mógł o tym marzyć, nie miał w ręku odpowiednich nici, szukałby długo, wywołał plotki, szum, skompromitowałby się. Ale widział wyjście — Anna mu je nasunęła, mówiąc o mieszkaniu na okres przejściowy, bez meldowania. Były takie mieszkania, stały rzędy nowych bloków, niezajętych, zarezerwowanych do dyspozycji Komitetu, Prezesa, może Generała. Klucze dublowano, chodziło o to, by dostać taki klucz na parę godzin dziennie, bez żadnych zobowiązań, w pustce — Borowicz widział w duchu szereg szklanych klatek, ciągnących się wśród prostokątnych podwórek i ogrodów z piaskownicami dla dzieci, ale jeszcze bez dzieci, bo klatki milcząc czekały dopiero na lokatorów. Czemużby tam nie pobyć z małą Anną — ale do tego potrzebny był jeden człowiek, Borowicz wiedział to jeszcze przed dzisiejszą rozmową. Człowiek ten to oczywiście Kasperczyk: wierny, wdzięczny, oddany, nie za mądry ale zręczny, przy tym sam kobieciarz i poligamista, były oficer wiadomej służby, obkuty i wycwaniony we wszelkich aferach wielkich i małych. Ale czy należało oddawać się w ten sposób w ręce Kasperczyka? Jeżeli w ogóle, na całym świecie należało się oddać w czyjeś ręce, to na pewno nie w inne: był prosty, był jeszcze młody, miał chłopską solidność a wdzięczność i przywiązanie napoleońskich wiarusów.

— Ależ oczywiście towarzyszu Henryku, nie ma o czym mówić, sprawa najprostsza w świecie! — to były słowa Kasperczyka w odpowiedzi na pierwszą aluzję zrobioną w tej materii przez Borowicza, naturalnie nie w Komitecie lecz na dziedzińcu, gdy wyszli złapać przez chwilę trochę słońca. — Żadnych trudności, żadnych kłopotów, nikt w ogóle nie musi wiedzieć. Mam kumpla w mieszkaniówce, powiem że to dla mnie — psa kula-

wego tam nie będzie jeszcze z dobre pół roku, a potem załatwi się co innego. Mur, beton, Szeffie — ani słowa!

Mówił z junackością nieco robioną, bo był na swój sposób subtelny i wiedział, że Borowiczowi jest trochę głupio się obnażać, zwłaszcza gdy tamten nie mógł przecież nie słyszeć o jakimś fiasku z Władką — przed kim jak przed kim, ale przed nim się ta rzecz nie ukryła. Borowicz wiedział, że tamten wie, Kasperczyk wiedział, że on wie o tej jego wiedzy, ale krzykliwa trochę brawurowa zuchowatość była tu dobra, bo nie zostawiała czasu na zbytne rozmyślanie. A potem Kasperczyk załatwił rzecz genialnie, z idealną dyskrecją i sprawnością, tak właśnie, jak to sobie Borowicz wyobrażał: że nie wynikało z tego w rezultacie nic dobrego, to już rzecz całkiem inna.

Mieszkanie w pustych blokach gdzieś na przedmieściu, w nowych osiedlach przyzakładowych nie byłoby bezpieczne: ludzie wędrujący w bok od ulic, w jakieś piaszczyste pola lub, co jeszcze gorsze, udający się tamże skaczącym po dziurach i wybojach samochodem, mogliby zwrócić uwagę, wzbudzić podejrzenia. Ale to co wybrał Kasperczyk okazało się doskonałe: przy szerokiej a nader przelotowej arterii (kiedyś przed wojną była tu znana z niechlujnej, tłocznej zabudowy dzielnica robotnicza, później spalona i wyburzona), niedaleko wielkiego samoobsługowego baru, pośród bujnej choć zaniedbanej (co i dobrze) zieleni kryły się niezbyt wysokie, nie oddane jeszcze do użytku bloki. Do owego „ich” mieszkania wchodziło się nie przez rozległe, trawą dotąd porośnię, milczące na razie i nie zatrudnione dziedzińce, lecz z drugiej strony, od cichej, wybrukowanej jeszcze kamiennymi „kocimi łbami” a więc dawne, prehistoryczne czasy pamiętającej uliczki. Można tu było bez obawy podjechać autem i zostawić je również bez obawy w cieniu podpróchniałych kasztanów pod głuchym murem sąsiedniej fabryki. Nikt tędy nie chodził ani nie jeździł, ale było tak blisko wielkiej, szerokiej magistrali (falujący i wibrujący, urywany niekiedy jej szum i stukot, choć przytłumiony nie dawał się jednak zapomnieć ani na chwilę), że zaparkowane auto nikogo nie dziwiło, zresztą z okna swego parterowego mieszkania mieli je stale na oku. Bloki te nie posiadały jeszcze nawet etatowego dozorca, na schodach i w mieszkaniach trwały zastygłe ślady wapna, szyby ledwo umyte, odludzie, pustka a jednocześnie parę tylko kroków do sklepu, do mlecznego baru, czy do owego pięknego, choć w środku cuchnącego samoobsługowca. Po prostu stworzone dla ich eskapady — Kasperczyk umiał się wziąć do rzeczy, stary praktyk, wiadomo.

Borowicz starał się, aby tamten nie zobaczył nigdy Anny, ale licho wie, jak w końcu rzeczy się miały: na pewno był jej cieka-

wy, a praca w Komitecie wyrabiała nałóg pilnego nastawiania oczu i uszu. Nie żeby chciał zaszkodzić, broń Boże, ale po prostu lepiej jest zawsze więcej widzieć i wiedzieć, zresztą należało mu się, bo bardzo się starał, przywiózł nawet nie wiadomo skąd coś na kształt mebli, tapczan, stolik, dwa krzesła i wniósł to do mieszkania nie wiadomo również z czyją pomocą. Borowicz nie pytał, ale od początku czuł, że cała ta sprawa wymyka mu się z ręki i zaczyna żyć poza nim, własnym dziwnym a nie kontrolowanym życiem. Miał w dodatku w Komitecie ciągłe kłopoty, jeszcze reperkusje sprawy Gellera, która (nie bez oczywiście czyjegoś w tym udziału), wzburzyła przeciw niemu wszystkich, choć każdego z innych powodów. I nie mógł oto zająć się tym w pełni, bo na peryferiach świadomości rozrastało się jak rak owo dziwaczne mieszkanie na dziwacznej ulicy. Lipiec był wietrzny, zakurzony choć przetkany dżdżem: słońca i corocznego sportu w nim brakło, za to zbędne kłopoty i troski mnożyły się samorodnie — do tego niesmak materializujących się wspomnień, którego kumulacją stał się pobyt na cmentarzu.

Czy Anna była lokatorką owego mieszkania? Trudno to było właściwie wiedzieć, bo rozwinęła ona teraz i doprowadziła do perfekcji swój talent znikania gdy właśnie chciało się ją zobaczyć lub też materializowania się w momentach najmniej oczekiwanych. W ogóle cały ten parotygodniowy letni okres polegał na tym, że nie wiadomo było, co się właściwie dzieje: co się dzieje z Borowiczem, co się dzieje z Anną i co się dzieje z nimi obojgiem, co to za sprawa rozgrywa się podczas niedługich stosunkowo chwil, gdy przebywają razem na parterze, gdzie w dodatku nie było jeszcze elektryczności, tak, że wieczorami kontentować się musieli odblaskiem dalekiej lampy jarzeniowej, umieszczonej gdzieś na terenie sąsiedniej fabryki — było to dobre dla konspiracji lecz powiększało dziwaczność scenerii, dziwaczność, która ni stąd ni zowąd otoczyła Borowicza, przepajając swym nastrojem jego do niedawna tak realne i pracowite życie.

Czas przeciekał między palcami, wciąż go brakowało, a jednocześnie niesposób było zdać sobie sprawy, czym właściwie są wypełnione owe szybko mijające dni. Niby Anną i jej a raczej ich sprawą, ale przecież widywali się w gruncie rzeczy rzadko i na krótko — tylko przygotowywanie tych spotkań i konspirowanie ich przed światem zabierało konkretny czas, w istocie czas psychiczny raczej niż wymierzalny w godzinach i minutach. To przygotowywanie przy krnąbrności i różnych dziwactwach Anny niezwykle było utrudzające. Miała ona klucze od mieszkania, ale nigdy nie można było wiedzieć czy i kiedy w nim jest — przypominało to Borowiczowi czytane kiedyś opowiadanie Poego o czło-

wieku który istniał tylko wtedy, kiedy go widziano. Borowicz był wciąż ogromnie zapracowany, urzędował przecież w Komitecie do czwartej i dłużej, nalegał więc, aby umawiali się zawsze na konkretną godzinę, ale okazywało się to w praktyce niemożliwe, w rezultacie częstokroć płatał się po owym starym zaułku wpatrując Anny i klnąc wewnętrznie, czując dotkliwie absurdalność sytuacji, gdy człowiek piekielnie zaabsorbowany, którego dalszy los zależy w tej chwili od własnej pracowitości trwoni czas pod spróchniałym starym kasztanem wśród zakurzonych kamieni brukowych (w tym nieprawdopodobnie przed laty zniszczonym mieście tylko drzewa i bruki mogły jeszcze być stare), wpatrując się bez widocznego skutku w brudne szyby ciemnego, parterowego mieszkania.

Anna okazała się w owym okresie absolutnie niezdolna do punktualności, choć przedtem przecież, gdy miała z nim coś konkretnego załatwić, potrafiła być dokładna jak zegarek. Sprawę spotkań bez reszty rozstrzygnąłby telefon, ale niestety w mieszkaniu-widmie oczywiście go nie było. Najbliższy aparat znajdował się w szklanej budce telefonicznej, niedaleko, na rogu owej potężnej ruchliwej i szerokiej ulicy, ale był to automat: Anna mogłaby wprawdzie dzwonić z niego pod wskazany przez Borowicza numer, tylko że z warszawskimi automatami telefonicznymi działy się stale dziwne rzeczy. Albo były zepsute czy poharatane przez uliczną młodzież, nazywaną w prasie chuliganami, albo też zwodziły klientów dając sygnał i pochłaniając pięćdziesięciogroszową monetę, lecz nie łącząc a także nie zwracając owej monety. Inną złośliwą specjalnością automatów było łączenie jednostronne: jedna osoba słyszała drugą ale za to druga nie słyszała pierwszej, czy też odwrotnie. Borowicz zdecydował się już pozwolić Annie telefonować do biura, na swój numer bezpośredni, aby tylko mówiła zmyślane nazwisko (co prawda i autentyczne jej nazwisko było zmyślane) i kamuflowała jakoś cel swych telefonów. Zdecydował się i w rezultacie przeklinał to nieustannie: ileż nerwów kosztowało go słuchanie najróżniejszych modulacji głosu Anny, podczas gdy sam wyrzaskiwał w aparat zgoła bezskutecznie, albo też przeciwnie, spotykał się z głuchą ciszą, za którą widział Annę, przyciskającą słuchawkę do odgarniętego z pukli włosów ucha tam, na rogu owej szerokiej ulicy, nabrzmiałej dzień i noc hukiem ciężarówek. A dziwne te rozmowy odbywały się na pewno w przytomnej obecności towarzysza Rusina, także i Kasperczyk wiedział przecież co się święci. Borowicz z dwojga złego wolał jednak to, niż telefony do domu, których jej zakazał, bo tam znowuż słuchała matka — inna rzecz, że Anna kilkakrotnie łamała ten zakaz, łącząc się oczywiście czy próbując

połączyć też z owego przeklętego automatu, z rozmaitym skutkiem i w nader rozmaitych porach dnia lub nocy. Matka zresztą od owej rozmowy milczała, mierząc go tylko nabrzmiałym troską i wiedzą oskarżycielskim, choć niby dyskretnym, wzrokiem.

Gdy jednak wreszcie spotkali się już z Anną w swej dziupli, na owej pozbawionej wdzięku uliczce, noszącej nazwisko pewnego murzyńskiego komunisty (prawdziwy front tych bloków, wychodzący na trawiaste, inkrustowane plamami z wapna dziedzińce, znajdował się z drugiej strony przy placu o nieokreślonej jeszcze nazwie), okazywało się, że w spotkaniach tych brakowało prawdziwej treści. A treścią ich miał być przecież — erotyzm.

Erotyzm im się nie udawał, erotyzm im nie wychodził — Borowicz zrozumiał to zaraz od pierwszych dni. Anna, zwykle teraz ironiczna, krnąbrna i zbuntowana, wobec erotyzmu okazywała się pokorna: uważała go za nieodpartą regułę przyrody, tak jak owo „prawo rasy”, o którym lubiła bajdurzyć. Wkładała też w ich stosunek dużo starań, niespodziewanej wiedzy (przecież w klasztorze tego chyba nie uczono, do licha) a także wrodzonego czy udawanego bezwstydu. Ale mimo to nie była zaspokojona, Borowicz wiedział o tym doskonale — na szczęście zbyt mało jeszcze miała doświadczenia (wiedza papierowa to nie wszystko, he, he) aby obciążyć winą za ten stan rzeczy Borowicza — gdzieś tam w środku musiała być niepewna siebie samej, dlatego chyba tak się starała — ale im więcej się starała, tym bardziej peszyła swego partnera, który z dnia na dzień coraz wyraźniej rozumiał, że nic się tu zmienić nie da — co najwyżej na gorsze.

Trudno tu zresztą było mówić o winie. Erotyzm ma swoje psychiczne bodźce, ma też i antybodźce, a od tych ostatnich w obecnej sytuacji Borowicza aż się roziło, przeciwnie niż to było z Władką, kiedy bez przeszkód a z coraz to większą spontanicznością (jeśli nie liczyć żalostnego zakończenia) konsumowali siebie i swoje wzajemne pragnienie. Tu za to przeszkody w postaci jego przynajmniej wewnętrznych zahamowań (bo o partnerce wiedział mało), piętrzyły się i nawarstwiały bezlitośnie.

Jakżeż tu skoncentrować się na erotyce, która ma być z jednej strony wyzwoleniem i odprężeniem, z drugiej zaś właśnie pełnym skupieniem i oddaniem się, jeśli oto mnóstwo spraw marginesowych a dokuczliwych odwracało uwagę w momentach najważniejszych, kluczowych. Miłość wymaga odrobiny chociaż komfortu psychicznego, tutaj, przeciwnie, wszystko tchnęło niewygoda i niesmakiem. I ten pokój brudny, nieoświetlony, bez mebli (Anna zaczęła w dodatku palić papierosy, czego Borowicz nie znosił, przy tym z niedbałością strącała popiół w najdziwniej-

sze i najmniej spodziewane miejsca), i niepewność, co właściwie ona robi gdy jego tu nie ma i rzecz jeszcze ważniejsza, kim ona w istocie jest (przecież prawie się nie znali), wreszcie dziesiątki obaw przed różnymi rodzajami kompromitacji, jakie wyniknąć mogły z niestrożności Anny pod jego nieobecność; co by się na przykład stało, gdyby stwierdzono, że w nieprzydzielonym jeszcze nikomu mieszkaniu Anna przebywa jako tak zwana „dzika lokatorka” — jeszcze gorzej zresztą wyszłoby, gdyby zastano ich tu oboje — co prawda Kasperczyk gwarantował bezpieczeństwo, ale mimo to wyobraźnia Borowicza wciąż pracowała i niesposób było położyć jej tamy. W tych warunkach psychicznych miłość na owym zaledwie jakąś narzutą nakrytym i zasypanym popiołem z papierosów tapczanie, w mdłym, nierównym odbłasku przypadkowej, dalekiej jarzeniówki, przestawała być miłością, stając się niepotrzebną kolekcją wymuszonych a podszytych roztargnieniem ruchów i gestów. Borowicz łapał się na tym, że chwilami nie pamiętał kim jest Anna i jak wygląda w ciągu dnia: pocieszał się, że mogłoby to być punktem wyjścia dla korzystnej depersonifikacji (takim mądrym terminem to sobie określał), pozwalającej wyzbyć się wszelkich związanych z sytuacją oporów i niesmaków i uprawiać miłość fizyczną całkiem bezosobowo, jak z przypadkową dziewczyną oddającą się za pieniądze. Ale i to się nie udawało, bo natychmiast jakiś szczegół ze świata zewnętrznego natrętnie narzucał się uwadze, ciągnąc za sobą łańcuch refleksji przykro absorbujących a więc skutecznie niweczących wszelką fizyczną spontaniczność — zresztą nawet w rzadkich momentach odprężenia czy zapomnienia bał się tych wszystkich niesmaków, refleksji i przypomnień, w dodatku z góry wiedział, że przyjdą, a przeświadczenie takie całkiem wystarczało, wobec bowiem nieustannej jego obecności tamte rzeczy rzeczywiście przyjść musiały, delikwent sam je ściągał, rozumiejąc zaś, że przyczyna jest w nim, rozumiał przez to również, że przyjście ich jest pewne i nieuniknione: miał je w sobie, miał je więc stale ze sobą, siebie samego przecież pozbyć się niesposób. Fatalny, zamykający się jak obręcz mechanizm działał tu bezbłędnie, świadomość zaś owej bezbłędności, owego perpetuum mobile niesmaków i oporów czyniła Borowicza sparaliżowanym już w pierwszych chwilach każdego z wymuszonych seansów na pozbawionym pościeli twardym tapczanie, seansów, które mimo wszystko i on i Anna uważali jakoś za obowiązkowe: był to przymus, który milcząco uznali, konsekwencja tego, co z inicjatywy Anny stało się wówczas w owym lesie.

Już to Anna zapobiegliwie troszczyła się o to, aby tylko ta jedna sprawa pozostawała nie omówiona (jednostronnie zresztą, bo Borowicz zazwyczaj tak czy owak milczał). Anna, jak się zda-

je, szybko pogodziła się z brakiem intensywnych doznań erotycznych, co prawdopodobnie uznała za normę (ciekawe i charakterystyczne, że najbardziej pod tym względem udany był w gruncie rzeczy ich pierwszy wieczór, właśnie tam w lesie), brała za to rewanz podniecając się słowami, w których nie omijała żadnego drastycznego momentu ich krótkiej historii, tak, jakby nieszczęsnemu partnerowi brakowało jeszcze niesmaków. Borowicz nie znoził gadulstwa w łóżku, pamiętał za to długie, przepojone zmysłowością godziny milczenia z Władką. Tutaj było akurat odwrotnie: zaraz po mizernej, wymuszonej demonstracji zmysłowej, Anna odsuwała się od niego, opierała na łokciu i nie odczekawszy dla przyzwoitości ani minuty, pogrążała się w monologi, tasiemcowe, wypowiedane monotonnym, mrużącym głosem, ale o treści, gdyby je ktoś chciał brać bardziej na serio, wręcz rewoltującej a raczej przestraszającej specyficznym pomieszaniem obłędu z bystrością.

— A więc miałeś kiedyś w łóżku matkę, masz teraz córkę — mówiła wciąż maniakalnie. — Nie, nie zaprzeczaj, wiem że tak było. To bardzo ciekawe, co się czuje w takim wypadku. W dodatku jak miałeś matkę, była w moim wieku — ciekawe czy jestem do niej podobna — w łóżku też, bo są różne podobieństwa, nie tylko twarz się liczy. Ciekawe też, co o tym matka pomyśli, jak się dowie — wiem, myślisz że się nie dowie, boisz się tego, boisz się kompromitacji. Ale się dowie, w końcu wszyscy wszystko wiedzą. Nie będzie zadowolona także dlatego, że ty jesteś Żydem, to już wiem na pewno. Mąż matki to Francuz, matka nie zechce już wracać do żydostwa. Chce żebym sobie poprawiła rasę, to też wiem na pewno. Choć nie chcesz mi powiedzieć o moim ojcu, ale ja się dowiem dokładnie. Już wiem trochę, księża mówili. Nie znoszę księży, ale Żydów też nie lubię. Oni byli winni, inaczej by ich Niemcy tak nie zabijali. Ciekawe czy to prawda, że mój ojciec był Niemcem? Ale w takim razie matka zdradziła Żydów — ha, ha. Wiesz, z początku myślałam, że ty jesteś moim ojcem. Ale i tak chciałam być z tobą w łóżku. To zabawne być w łóżku z własnym ojcem. Wiem, ty się gorszysz. Nie to, żebyś był moralny, ale ciągle boisz się kompromitacji. Ty jesteś komunistycznym politykiem a ja mogę na ciebie napuścić księdza Krauze, żeby zrobił skandal — ha, ha. To by ci dokuczali ci twoi — jak mnie w szkole te głupie koleżanki. Ale nie martw się ja tego nie zrobię. Nic nikomu nie powiem, mamie też nie. Za to mi załatwisz wyjazd do Paryża. Ale jeszcze nie teraz, musisz jeszcze się mną nacieszyć w łóżku. Żebyś mnie miał dosyć i żebyś już chciał się mnie pozbyć. Wtedy wszystko prędko załatwisz, ha, ha. Wiesz przecież, że ja nie mam tu po co zostawać, chyba dla ciebie. Ale to niemożliwe i nie ma sensu.

Zresztą ty mnie nie lubisz. Ty w ogóle lubisz tylko politykę i łóżko, nic więcej. No, trudno. Przeboleję to, pojedę sobie, nie bój się.

W tym szaleństwie jest metoda, powiedziałby Hamlet. Borowicz po pewnym czasie przestał się już przerażać, przestał się nawet dziwić. Można powiedzieć, że w ogóle przestał słuchać — zadziwiająca rzecz, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do spraw, które przed paru tygodniami jeszcze uważał za niemożliwe: wszystko co się dzieje natychmiast staje się normalne. Leżąc koło niej wpatrywał się w jakąś romboidalną smugę światła na podłodze i właściwie — nie czuł dziwności, choć niedawno jeszcze wtrącony w taką sytuację na pewno kompletnie straciłby równowagę. Teraz co prawda też jej nie miał, lecz był za to w innym stanie, obrzydłe statycznym, w stadium kompletnego odrętwienia. Jednym uchem słuchał monologów Anny, częścią mózgu rejestrując ich wariacką logikę, reszta jego myślowego aparatu skoncentrowana była na pozornie beznamytnym kolekcjonowaniu i sumowaniu faktów, które musiały, jak bezbłędny mechanizm zegarowy, pracować nad przybliżeniem jego porażki; tej mu wprawdzie jeszcze nie obwieszczono, może po prostu dlatego, że zajęty absurdalną sprawą z Anną (co prawda zajęty, było tu może słowem nieodpowiednim — raczej zajęty psychicznie, bo czas na pozór wcale się nie skurczył, przeciwnie, rozciągał się jak guma, choć rzeczywiście na najważniejsze rzeczy go brakowało), po prostu z nikim ważnym nie rozmawiał. Ale jasne było, że sprawa Gellera działała gdzieś nadal, jednocząc przeciw niemu wszystkie, najbardziej rozbieżne siły — do Dyrektora nie próbował już nawet się dodzwonić, oczywiście zaś, że jego własny Wydział pozostawał sparaliżowany, niemal nie istniejący i o kontrakcji na serio w tych warunkach nie było co marzyć, że wreszcie sprawa z obłąkaną Anną, poza otchłanią niesmaków, jakie przynosiła, przypominała chodzenie po linie: kraksa groziła nieustannie, ze wszystkich stron, na wszelkie sposoby i ta absolutna świadomość paraliżowała go dokładnie i skutecznie. W dodatku nie miał sojusznika „technicznego”, który mógłby go od całej sprawy oswobodzić: przez zaangażowanie w nią Kasperczyka odciął sobie z tej strony zaplecze. Fatalnie, fatalnie szło wszystko. W jakim to absurdalny, ślepy kąt rzuciło go życie, jego, który był przewidujący i zawsze umiał sobie dawać radę!

Dlaczego teraz nic nie robił, tylko trwał oto przy Annie, biernie wpatrzony w prostokąt światła na brudnej podłodze, jakby żył gdzieś na księżycu a nie w niebezpiecznym warszawskim mrowisku? Od razu wiedział dlaczego; grało tu rolę z jednej strony wrodzone poczucie ładu i porządku, z drugiej jakaś męska

ambicja: że niby nie można tak spatałaszyć romansu z młodą dziewczyną, że bądź co bądź odpowiada za jego przebieg, że jakieś radykalniejsze działania wywołać mogą skutki jeszcze gorsze, tak zewnętrzne jak i psychiczne. Dlatego zapewne tkwił w fatalnym bezruchu, z którego wytrącić go miał dopiero szereg alarmujących sygnałów, zapoczątkowany sceną na cmentarzu. W ogóle Anna i cmentarz, cmentarz i Anna, mieszej mu się kiedyś i połączą we wspomnieniach jako jedyne symbole tegorocznego lata.

XIV

Incydent z Dyrektorem był pierwszym alarmującym sygnałem zbliżającego się kryzysu. Stała ich oto cała gromada, z obnażonymi mimo kropiącego deszczu głowami nad pięknym marmurowym nagrobkiem — czy leżał pod nim rzeczywiście Getreider a raczej jego tak zwane szczątki lub prochy, tego nikt nie mógł wiedzieć na pewno, na tym dziwnym ze specjalnym zamysłem skomponowanym cmentarzu nie było w ogóle nic pewnego — trwało tu osobliwe pomieszanie spraw, faktów, ludzi a raczej śladów po ludziach i tylko wytrawny znawca zawiłej przeszłości polskich komunistów czy też mapy skomplikowanych politycznie wojennych działań i grup partyzanckich mogłyby tu coś nie coś wyjaśnić. Ale na wyjaśnieniu nikomu dziś tak bardzo nie zależało, przeciwnie: zadania tego cmentarza były kamuflujące, upraszczające, w istocie antyhistoryczne, choć wciąż swymi tablicami nagrobkowymi powoływał się on na historię. Leżeli tu częstokroć obok siebie zabójcy i zabijani, prowokatorzy i ich ofiary, oficerowie antykomunistycznych formacji, co siedzieli długie lata w więzieniu a po Październiku zostali, dla propagandy, z powrotem otoczeni spóźnionym splendorem i blaskiem, obok zaś komuniści i partyzanci różnych maści, ci prześladowani za czasów przedwojennych szaleństw Stalina ideowcy, częstokroć wywiezieni na Syberię albo ukrywający się podczas okupacji w kraju, inni zamęczeni przez Gestapo, jeszcze inni, których nazwiska czy pseudonimy na długie lata wymazano z honorowego i tak niezbyt przecież bogatego rejestru partyjnego, aby przyjąć je po śmierci na ów dziwny cmentarz z ogólnikową adnotacją że polegli „za sprawę rewolucji”. W wypadku natomiast przygarniętych tutaj niewątpliwych nie komunistów najbardziej znaczący był krzyż na

grobie oraz słowa „świętej pamięci”, poza tym zaś pisano bez specyfikacji, że taki to a taki poległ „w walce z faszystowskim najeźdźcą” albo „w walce o wyzwolenie”, choć bywało całkiem inaczej a materialne zwłoki niejednego z nich żadną chyba miarą nie mogły się tu znaleźć. Ale nikt jakoś nie był ciekawy rzeczywistego przebiegu tak niedawnych przecież jeszcze wypadków, przeciwnie, zmyślona ich postać zdawała się lepiej służyć celom teraźniejszości niż robiłaby to postać autentyczna, zawiła i sprzeczna sama z sobą. Gromadnie odwiedzające cmentarz wycieczki dzieci szkolnych z jaką taką powagą wysłuchiwały stereotypowych objaśnień o poległych za Polskę bohaterach (objaśnień udzielali młodzi nauczyciele, pewno w dobrej wierze, bo skąd mogli wiedzieć jak było naprawdę) — cóż za zamęt zasiałaby im wszystkim w głowach rzeczywista relacja o wręcz nieraz nieprawdopodobnej w swej potwornej brutalności i dramatyzmie niedawnej historii. Tak, to nie byłoby wychowawcze, Borowicz przyznawał tu Szefowi rację — zresztą Szef chyba nie myślał już teraz kategoriami taktycznymi, lecz po prostu uwierzył w stworzoną przez siebie wersję wydarzeń, uwierzył jak młodzi nauczyciele, choć z innych przyczyn niż oni. Któż na przykład pamiętał czy chciałby pamiętać o tym, że poprzedni, przed Getreiderem, sekretarz partii w okupacyjnej Warszawie zabity został nie przez żadnych Niemców, lecz zastrzelony przez młodego towarzysza. Sekretarz ów, zasłużony stary komunista, w zwalczaniu reakcyjnego, nacjonalistycznego podziemia posługiwał się podobno (bo nikt nie wiedział na pewno) metodą anonimowych denuncjacji do Gestapo; gdy potem jął się tej metody wobec członków partii, których podejrzewał o odchylenie czy załamanie, młody towarzysz uznał go za prowokatora, za coś w rodzaju Azefa i zastrzelił w czasie gwałtownej sprzeczki. Tak to wyglądało czy nie tak, ale młodego towarzysza trzeba było zlikwidować. Borowicz brał w tym udział jako członek grupy osłaniającej. Doskonale pamiętał końcowy szalony bieg po stromych ulicach pogrążonego w mroku godziny policyjnej Powiśla. Nieprawdopodobne to były czasy: Niemcy ich mordowali i tropili, ludność im nie ufała, byli samotni a jeszcze zabijali się nawzajem. Tak wyglądał prawdziwy dramat, prawdziwa tragedia, lecz któż dawałby te rzeczy do wglądu dzisiejszej uspokojonej, ustabilizowanej młodzieży. Ten cmentarz ze swymi dumnymi a jednostajnymi napisami nagrobowymi był rzeczywiście cmentarzem zapoznanej przeszłości, cmentarzem zmarłej historii: nad dramataми i zbrodniami, nad szaleństwami i niezrozumieniami zatrzasnęło się kamienne wieko i oto dziś masa lipcowego kwiecica, wionącego mocnym letnim aromatem, szumiący w gałęziach drzew co chwila gasnący wiatr, jakby lekki oddech

gigantycznych płuc, szary deszczyk, rozpylony jak mgła, całe to tło nieodparte i wszechogarniające miękką swą łagodnością, spowijało też łyse i siwe głowy ludzi którzy znali prawdę, lecz przyszli tutaj nie po to, by ją wyjawiać, lecz aby oddać symboliczną posługę i wyrazy czci Edmundowi Getreiderowi pierwszemu sekretarzowi Partii (wówczas jeszcze nie zjednoczonej), w rocznicę jego tragicznej okupacyjnej śmierci, gdy po wielotygodniowych zwierzęcych torturach Niemcy niedługo przed powstaniem rozstrzelali go wreszcie na podwórzu Pawiaka. Zginął jak bohater, to jedno było pewne. A reszta? Reszta nieważna i — skomplikowana. Borowicz ją znał, inni na pewno też, ale po co o tym mówić, nie czas już dziś na zakłócanie spokoju tego pomnikowego cmentarza.

Obok obsypanych kwieciami polskich krzewów stały tutaj szeregi, tworząc jakieś korytarze i labirynty dziwne, ciemno zielone włoskie tuje — poważne, uroczyste, cmentarne. Między nimi rozsypali się uczestnicy uroczystości gubiąc się nieco w ciepłej deszczowej mgiele — zebrało się też trochę przypadkowej publiczności, paru fotoreporterów, z tyłu, za drzewami mignęły twarze towarzyszy z osłony. Przybyli wszyscy ważniejsi ludzie z wyjątkiem Szefa, który podobno był niezdrow oraz Prezesa — zjawił się za to Przewodniczący, nie brakło nikogo z okupacyjnej Warszawy, przewinął się gdzieś nawet wyklęty Grochowski. Wszystko znieruchomiało, gdy przemówił towarzysz Ludwik, jak zwykle zresztą sztywno i frazeologicznie swoim cichym, nosowym tenorkiem. Okrągle lecz pozbawione ognia, jakby obojętne zdania (a przecież Ludwik znał Getreidera i dobrze wiedział, czym było konspiracyjne niebezpieczeństwo), zdania z wstępnego artykułu partyjnego dziennika, stereotypowe choć może na swój sposób obrzędowe, jak u księdza z pozorną obojętnością recytującego teksty mszalne, załamywały się, mimo panującej ciszy, w przestrzeni, drzewach, deszczu czy leciutkim wietrze. Przeszkadzały one Borowiczowi, bo trzeba było natężyć słuch a to bardzo rozpraszało. Tymczasem Borowicz chciał się skupić, był dzisiaj naprawdę po trochu wzruszony: pomyśleć, że zesłała się tutaj grupa ludzi, przed zaledwie dwudziestu laty pariasów, ściganych jak psy dziadów i wykolejeńców a dziś oto zajmujących najwyższe stanowiska w Polsce nowej, takiej jakiej jeszcze nigdy nie było. To dla nich właśnie wielka loteria historii zachowała swą pierwszą wygraną — był w tym patos epopei, Borowicz poczuł dumnie dreszcz solidarności z tą gromadką ludzi, solidarności mimo wszystko co mogło ich dzielić: wyrosli oto w górę dzięki Wielkiemu Kołu historii, ale też dzięki własnej wierności i odwadze.

Słaby, suchy, jakby formalistyczny głos Ludwika nie pozwalał też skupić się na drugiej ważnej sprawie dzisiejszego dnia: na osobie Getreidera, na wspomnieniach o nim. Borowicz znał go dobrze i dawno, jeszcze sprzed czasów gdy tamten stał się komunistą. Pochodził z bogatej warszawskiej rodziny kamieniczników, jak wówczas mówiono i przez długie lata młodości nie wiedział co ze sobą zrobić. Płatał się po warszawskich kawiarniach i ulicach, czasem, choć nie pisywał, po literackich redakcjach, taki niby romantyczny trubadur w pelerynie, trochę sceptyk, trochę żartowniś i upozowany młodopolski poeta, oderwany od życia, bo mający za dużo pieniędzy, w gruncie zaś rzeczy nikomu niepotrzebny i przez wszystkich lekceważony goguś. Takim zostawił go Borowicz, wyjeżdżając do Paryża. Gdy wrócił, zdumiał się przemianą: Getreider zetknął się tymczasem z marksizmem i chwyciło go to nieprawdopodobnie, nastąpił w nim przełom intensywny jak nawrócenie. Stał się fanatycznym działaczem i ideologiem, po nocach kuł Marksa i Lenina, we dnie pracował organizacyjnie z gwałtowną energią jakiej nigdy przedtem nie okazywał, tak jakby cała jego zmarnowana młodość upomniata się teraz o rekompensatę. Był to okres trudny, w 38 roku Stalin rozwiązał polską partię, Getreider pracował teraz w dziwnych warunkach trwożnej próżni politycznej, pracował nie za trzech lecz za kilkudziesięciu, awansował też błyskawicznie zarówno w nielegalnej (podwójnie nielegalnej) hierarchii partyjnej jak i w kartotekach policyjnych.

Na parę miesięcy przed wrześniem 39 został aresztowany i po doraźnym, również błyskawicznym, procesie osadzony w więzieniu w Łomży. Gdy Niemcy uderzyli, gdy w ogólnym popłochu otworzyły się bramy więzień, zbiegł z innymi do Związku Radzieckiego. Zaczął tam od razu robić błyskawiczną karierę, takiego widocznie potrzebowano, nie należał wszakże do grupy starych działaczy, których Stalin oskarżył o zdradę (pretekstem było to, że przed laty poparli Przewrót Majowy Piłsudskiego), był człowiekiem nowym, pod żadnym względem nie skompromitowanym. I oto w końcu 43 roku zrzucano go na spadochronie jako nowego pierwszego sekretarza polskiej Partii.

Ten zrzut, w przeciwieństwie do paru innych, odbył się prawidłowo, ale jeśli w wyborze osoby nie było perfidii, to była co najmniej duża niezręczność i naiwność, bo Getreider miał wygląd klasycznie semicki, co absolutnie utrudniało a raczej uniemożliwiało mu poruszanie się po radykalnie „oczyszczonych” z Żydów, a za to rojących się od Niemców, ulicach Warszawy. Ale on na to niebezpieczeństwo nie zwracał uwagi, jakby w ogóle nie istniało: biegał po mieście z furiacką energią i bezprzykład-

nym lekceważeniem śmierci. Wreszcie wpadł: aresztowano go na ulicy jako Żyda, gdy okazało się kim był jeszcze, poszedł na wielomiesięczne przesłuchania i tortury. Nie wysypał jednak nikogo, zginął samotnie rozstrzelany bez świadków. Czy zwłoki jego leżały tu pod tym nagrobkiem? Rzecz nader wątpliwa, ale to nie było ważne.

Borowicz widywał go na owych wojennych ulicach, widział go i teraz oczyma wyobraźni, choć wygląd okupacyjnej Warszawy słabo już pamiętał a obecnej, socjalistycznej tamten nie dożył. Getreider kursował wówczas po mieście z energią dobrze naoliwionej maszyny. W rozmowach był rzeczowy, zwięzły, surowy dla siebie i dla innych: gdzież podział się błazenkowaty warszawski trubadur, bywalec Ziemiańskiej i amator wątpliwych kalamburów?

Można by sądzić, że ta jego pogarda śmierci z jaką poruszał się po jakże odmienionych ulicach swego ojczystego miasta była szukaniem rewanżu, honorowej rekompensaty za śmierć rodziny, rodziny z którą zresztą zerwał jeszcze przed wojną. Śmierć to była osobliwa, przedziwna, wyróżniająca się nawet wśród fali najnieprawdopodobniejszych śmierci, jaka przewaliła się w tych latach przez Europę. Getreider senior, władczy i energiczny, nie miał zamiaru iść do getta, choć jak inni nosił na rękawie niebieską sześcioramienną gwiazdę. Na długo przed zamknięciem dzielnicy żydowskiej kupił sobie od jakiegoś miejskiego dozorczy prawo zamieszkania w zapomnianym, dawno nie używanym bunkrze wodociągowym, który znajdował się pod trawnikiem na skwerze przy zbiegu Alej Jerozolimskich i Żelaznej. Pracował nad tym długo, potem zamieszkali tam z całą bliższą i dalszą rodziną, w sumie ze dwadzieścia osób. Dozorca w nocy przynosił im jedzenie, w nocy też podobno przechadzali się po skwerze dla nabrania powietrza i rozprostowania nóg. Nieźle to zostało pomyślane, bo ów dozorca był z nimi związany na śmierć i życie: gdyby ich wydał, Niemcy rozstrzelaliby go również. Rzecz nie do wiary, ale przesiedzieli w tym bunkrze z półtora roku, nie oglądając dziennego światła, a w jaki sposób wpadli tego nikt na pewno nie wiedział. O bunkrze tym zresztą długo chodziła po Warszawie głucha wieść zarówno przedtem jak i potem: jedni mówili, że któraś z mieszkanek schronu zwariowała i zdradziła ich krzykiem, inni, że śmiertelnie wystraszony dozorca w końcu ich porzucił; tyle że plotki przed faktem umiejscawiały bunkier w różnych punktach miasta, później zdecydowały się na miejsce właściwe, zwłaszcza, że jeszcze parę dni po wypadku stał na owym skwerze Niemiec z automatycznym, zawieszonym na szyi pistoletem, czyli tak zwanym po warszawsku „rozpylaczem”.

Wszystkich przeżyła najstarsza siostra Getreidera, która wcale nie przeniosła się do bunkra. Wyszła ona kiedyś w Zurychu za Szwajcara, potem się z nim rozwiódła i wróciła do Warszawy, mając szwajcarskie obywatelstwo. Zamieszkała w dzielnicy aryjskiej już po zamknięciu getta, chodziła bez opaski, Niemcy odwiedzali ją co dwa miesiące, żądając odnowionego poświadczenia obywatelstwa, które były męż regularnie jej przysyłał. Ale raz zaświadczenie nie nadeszło: może wygodnemu Szwajcarowi się znudziło, a może poczta wstrzymała przesyłkę. Sąsiedzi widzieli, jak roześmiani Niemcy w żółtych mundurach „Sonderdienstu” prowadzili byłą Szwajcarce na Gestapo, klepiąc ją dobrodusznie po ramionach: oczywiście już nie wróciła.

O wszystkim tym Getreider dowiedział się po przybyciu do Warszawy i to bodaj że od Borowicza. Nie okazał jednak żadnych uczuć, nic nawet nie powiedział, nachmurzył się tylko, spojrzał surowo, a potem jeszcze bardziej nieustraszenie wędrował po tych samych ulicach, na które jego własnowolnie pod ziemią zamknięci rodzice nie mieli wstępu. Ale wędrował nie owym spacerowym, niedbałym krokiem artystycznego cygana sprzed laty zaledwie paru, lecz energicznym krokiem człowieka bez reszty i ponad miarę zajętego. Zdziwiająca przemiana, zdziwiający facet — oczywiście absolutny bohater, jakże słusznie dziś przez nich czczony, choć szkoda może, że cała prawda o jego życiu przypadnie na zawsze, zastąpiona stereotypem, zdawkowo oto po raz nie wiedzieć który formułowanym przez Ludwika. Choć może tak właśnie musi być — wszak dla historii liczy się skondensowany ekstrakt ludzkiego działania, jego obiektywne rezultaty podsumowane niczym notka w encyklopedii, nie zaś dookolne detale, szczegóły malownicze, lecz nietrwałe, ulotne, kruche jak pajęczyna na wietrze.

Borowicz spostrzegł się, że wcale nie słucha Ludwika: uświadomił mu to czyjś wzrok ostro w niego utkwiony — odczuł go nie patrząc w tamtą stronę. Gdy spojrzał, uczył lekki wstrząs, coś jakby wewnętrzny sygnał czy dzwonek, bo to właśnie Dyrektor przyglądał mu się spod okularów bystro a bez sympatii; w za dużym nieprzemakalnym płaszczu, z fioletową choć wygoloną potężną szczęką i wcale nie siwą gęstą czupryną, w grubych amerykańskich okularach i z wąsiskami, wyglądał na coś w rodzaju wielkiego homara czy innego kraba — Borowicz nie jadał tego świństwa w Paryżu, ale często obserwował je w szklanych zbiornikach wody umieszczonych w tamtejszych restauracjach, bo Francuzi, sadystyczni żarłocy, chcieli widzieć stworzenie, które za parę minut będą jedli. Wrzucano oczywiście te zwierzaki

żywcem do wrzącej wody — cóż poradzić na okrucieństwo ludzkiego świata?

Homar czy człowiek, Dyrektor nagle dostrzeżony rozproszył w Borowiczu cały uroczysty nastrój i skierował jego myśl na inne, zgoła aktualne i pożyteczne tory. Od wizyty jego zięcia nie udało się jakoś z nim skomunikować, na pewno jest urażony, bo oczekiwał jakiejś odpowiedzi, a, choć człowiek w istocie bez znaczenia, nie zwerbowany w odpowiednim czasie na sojusznika, jako przeciwnik mógł się okazać bardzo groźny: destrukcja udaje się zawsze, nawet działaczowi bez wpływów, a Dyrektor miał jeszcze za sobą całą grupę weteranów partyjnych.

Należało zacząć od ukłonu: był to ukłon znaczący, z lekkim uśmiechem i wyrazistym gestem, dającym do zrozumienia, że mają przecież ze sobą o czymś do pomówienia, tylko jakoś się nie składało. Ale tamten ani drgnął, jakby ukłonu nie widział, po czym z wolna odwrócił oczy.

Borowicz poczuł dreszcz, przebiegający mu wzdłuż krzyża: zaczyna się, jego złe przeczucia nie były bezpodstawne, Dyrektor nie odmówiłby ukłonu komuś mocno siedzącemu w siodle. Ale może to było złudzenie, może po prostu tamten uważał, że chwila nad grobem nie jest odpowiednim momentem do pozdrowień? Tak czy owak zachował się lekceważąco.

Ludwik zakończył właśnie swe przemówienie, wziął z rąk stojącego obok towarzysza wielki wieniec ze świeżych kwiatów i niezgrabnie jął go taszczyć w stronę grobu. Wszyscy się poruszyli, mignęła drewniana twarz Seweryna, z dala pod drzewem stał Pułkownik, w mundurze i przy orderach. Przewodniczący zbliżył się do nagrobka, Dyrektor poruszył się również, Borowicz jak zahipnotyzowany postąpił w jego stronę. Oczy ich znów się spotkały: Borowicz uklonił się, tym razem poważnie i z naciskiem, tamten demonstracyjnie odwrócił wzrok. A więc nie było już żadnych wątpliwości.

Borowiczowi krew napłynęła do twarzy, jednocześnie miał świadomość, że ktoś z boku ale z bliska obserwuje tę scenę, co było fatalne. Czując wciąż na sobie ów czyjś uporczywy wzrok zwrócił się w tę stronę gwałtownie, aby ostrą reakcją zgasić natręta. Zaskoczyła go dziwna postać człowieka potężnego wzrostu, łysego, ubranego w jakiś drelach czy wiatrówkę: twarz jego, nalana i czerwona nie posiadała właściwie rysów, jakby była zlepiąca z piasku czy tłuczonej cegły, ale w ogólnym formacie miała w sobie coś monumentalnego, taki jakiś Mussolini z pomnika. Borowicz nie znał tego człowieka, ale tamten przyglądał mu się ze znaczącym uśmieszkiem. O co to chodziło? I nagle ze złości niepamięci czy podświadomości coś się zaczęło wyłaniać:

jeszcze chwila i wcieli się, zmaterializuje, jeszcze chwila a przykrywka mózgowego magazynu otworzy się i ze środka wyskoczy to, co do przypomnienia najtrudniejsze: nazwisko. Lecz w tym momencie tamten zdecydował się i zrobił krok w stronę Borowicza a jednocześnie przemówił jakże doskonale znanym lwowskim barytonem.

— Ta to równe dwadzieścia lat, jak my się ostatni raz w Warszawie widzieli. Ty zapomniał?

Borowicz jeszcze się męczył, ale tamten już mówił dalej

— Ta Henryk, ty teraz Borowicz, no nie? A ja nazywał się zawsze Grynbaum i jestem Grynbaum. Ze Lwowa, nie skąd inąd. Teraz już wiesz, co?

Artur Grynbaum! Borowicz zaskoczony zapomniał na chwilę o scenie z Dyrektorem. Wyciągnął nawet ramiona, żeby uścisnąć Artura, ale szybko je opuścił, bo tamten wcale się do takich czułych manifestacji nie kwapił. Cóż za duchy przeszłości spotkały się dziś na tym cmentarzu! Getreider leżący w grobie czy nie, a teraz ten tutaj — Grynbaum.

Artur Grynbaum był nieodłącznym towarzyszem warszawskich spacerów Edmunda Getreidera, gdy ten odgrywał jeszcze trubadura i poetę. Ale Artur nie poszedł w ślady przyjaciela, bo całe życie zajmował się tylko i wyłącznie — sportem. Był bokserem i piłkarzem, grał najpierw w głośnym we Lwowie żydowskim klubie Hasmonaea, potem się przeniósł do warszawskiej Polonii. Zagustował w Edmundzie i razem włączyli się po Alejach czy marnowali czas w kawiarniach. Bokser i poeta — dobra para dla snobów.

Raz otwarta przegródka pamięci wysypała dalej zmagazynowane w niej informacje. W czasie okupacji Grynbaum zachowywał się z wielką godnością i odwagą. Do getta nie poszedł, chciał zwać do lasu, do partyzantki, ale miał żonę, którą ogromnie kochał. Nadarzyła się okazja i Grynbaum kupił dla niej od agenta Żyda paszport amerykański do słynnego hotelu na Długiej. Okazało się to, co zresztą łatwo było przewidzieć, zwykłą prowokacją: Niemcy wyciągnęli od ukrywających się Żydów ostatnie pieniądze a potem rozstrzelali cały transport w drodze do rzekomego Amsterdamu. Grynbaum już o tym nie wiedział — poszedł do lasu. Po wojnie był działaczem sportowym, później obita się Borowiczowi o uszy wiadomość, że siedział w więzieniu za jakieś nadużycia pieniężne. A teraz stał przed nim, wielki, otyły, ironiczny, z ostentacyjnie podkreślanym lwowskim akcentem. Po prostu istne „widmo minionych dni”.

Nie była to postać, z którą specjalnie warto było się afiszować przed zebraniem gremium. Towarzysze już się powoli rozchodzili,

deszcz przestawał padać, zrobiło się różniej — oczywiście nie Borowiczowi, który miał w głowie fatalną scenę z Dyrektorem: znając siebie wiedział, że znacznie go to męczyć na dobre za jakieś dwie godziny — jak ból zęba po wyjściu od dentysty. W dodatku winna tu przecież własna niedbałość: trzeba było telefonować, szukać starego na siłę. Na razie czuł jeszcze tylko lekki niesmak, że stoi tu oto z tym przybłądą z innej planety; rozchodzący się towarzysze rzucali na nich od czasu do czasu bystre choć ukradkowe spojrzenia, mało kto się ukłonił. O diabli, wszystko na nic, zmarnował tak kapitalną okazję do rozmów i kontaktów, naraził się w roztargnieniu na scenę z Dyrektorem, masę osób musiało ją widzieć, choćby nie patrząc. Tylko Artur chyba nic nie zauważył i w ogóle nie zdawał sobie sprawy ze skomplikowania sytuacji. Nie chciał się wcale dać spławić, zresztą trudno było to zrobić po dwudziestu latach nie widzenia i kołysał się oto obok Borowicza jak słoń. Machinalnie ruszyli w boczną alejkę, między mniej znaczne groby — tamta grupa już się zdekomponowała, rozrzedziła, wsiąkała w oddalenie i podeszczową, lekko teraz tęczą podszytą mgiełkę. Taka okazja zmarnowana — o diabli!

— Cóż ty porabiasz? — spytał zdawkowo Artura, choć wcale nie był ciekaw. Ale tamten podjął rzecz z ożywieniem.

— Miesiąc w Bułgarii byłem z chłopcami na obozie, wiesz? — Grynbaum w ogóle nie umiał cicho mówić. — Bokserów „Marymontu” trenuję, fajna rzecz bracie (wymawiał „braci”), talentów kupa, mistrzostwo Warszawy zakosimy, „Legia” z nami leży!

— A co tam w Bułgarii? — Borowicz czuł, że pyta beznadziejnie głupio, bo cóż go właściwie to wszystko obchodziło. Ale tamten brał rzecz z dobrej strony, choć ironicznie.

— W Bułgarii brachu to samo co tutaj: gówno! Socjalizm, nuda, to co ty wiesz!

— Jakto?!

— Normalnie. Dla ludu cała przyjemność to tranzystorowe radio na spacerze, co muzyczkę zasuwa albo totolotek czyli ichnie gry liczbowe. A tak nuda, beznadzieja, bracie. Jak i tu.

Borowicz oburzył się z urzędu, ale dobrodusznie.

— Co ty opowiadasz, chłopie. Bułgaria to był kraj zacofany, rolniczy, prymitywny, a dziś buduje przemysł, miasta, odrabia zaległości.

Artur spojrział nań z góry, jakby chcąc sprawdzić, czy mówi serio.

— Ty mi nie gadaj głodnych kawałów, ta my się (wymawiał „si”) za dawno znamy! Ty słyszał hymn białoruski?

— Hymn białoruski?!

— Tak, tylko trochę zmieniony. To tak idzie. I Grynbaum zaczął nucić, nie zważając na sąsiedztwo grabów:

„Od wieków my spali
I nas przebudzili.
I w dupę nam dali
I znów położyli!”

— Oto widzisz — kontynuował — to jest dzisiaj hymn nie tylko białoruski: to jest hymn Bułgarii, Rumunii, Jugosławii, kogo chcesz. A i Polski też — tu też ten swój porządek robicie, z Rosji przywieziony.

— Mnie nikt z Rosji nie przywoził — zaproponował gwałtownie Borowicz. Wiedział już kogo ma przed sobą: Żyd reakcjonista, charakterystyczna postać, są i tacy. Tylko po co ta cała dyskusja? Na szczęście znaleźli się już w jakiejś opuszczonej, chwastami porośniętej części cmentarza, gdzie rośli się od krzyży: białych, brzoźowych, lub zwyczajnych, zbitych po prostu z deszczulek. Artur opadł swym ponad stu kilogramowym ciężarem na jakąś niską, oślizgłą od deszczu, szerniałą ławeczkę bez oparcia. Borowicz chcąc nie chcąc zrobił to samo.

— Ciebie nie przywieźli — powiadasz? Ale jego tam, Edka (tu zrobił gest w stronę cmentarnej Kwatery Zasłużonych) przywieźli, z samolotu zrzucili, a jakże. Fajny był kiedyś chłop, a potem, zwariował. Grupa niedobitych Żydków ten interes majstruje, na złość ludziom: wy się bawicie a ludzi szlag trafia.

— Cóż to, antysemityzm?!

Grynbaum rozzłościł się nie na żarty.

— Ta ty nie bądź durny i nie udawaj — przed sobą samym też nie. Żydzi nie powinni rządzić, bo są zdenerwowani, zhistryzowani. Mają swoje powody, duże powody — ale kogo to obchodzi?! Przez rządzących Żydów Żydzi normalni nie mogą w tym kraju żyć. Ot takie Grynbaумы nie mogą żyć, bo ludzie myślą, że oni też winni. Ty znasz anegdotkę o dorożkarzu?

— Nie.

— Gość przyjeżdża w Warszawie na dworzec, siada do dorożki, ale widzi, że dorożkarz to Żydek. Przygląda się, przygląda, aż dorożkarz mówi: — Ja wiem, pan się dziwi, że ja nie jestem w rządzie! Ta ty widzisz, ja jestem ten dorożkarz. Ty jesteś w rządzie, a ja wiesz gdzie byłem? W ciupie! Cztery lata bracie w ciupie. I po mordzie brałem. A wiesz za co?

Borowicz pomyślał, że wie: za kradzież, a będzie pewno

chciał zgrywać się na patriotę. Nic nie powiedział, ale tamten, podniecony nie czekał na odpowiedź.

— Ja siedziałem, bracie, za Pabianickie Towarzystwo Cyklistów. Mówi ci to coś?

— Zupełnie nic.

— A widzisz! (Artur zaczął teraz objaśniać powoli, stentorowym głosem, jak na wykładzie dla mało zdolnych uczniów).

— Pabianickie Towarzystwo Cyklistów, bracie, jeszcze na sześćdziesiąt lat przed wojną istniało. Za ruskiego zaboru to była, wiesz, cała ostoja polskości, bo nie tylko na rowerach jeździć się uczyli, ale i myśleć i mówić i czuć po polsku, obok sportu, tak niby pod pokrywką, furę jeszcze innych rzeczy robili — cała bidota z Łodzi tam się, kapujesz, garnęła, bo to było towarzystwo demokratyczne, a jakże. Tradycje wielkie mieli, bracie, i majątek, bo jak co świątlejszy facet, czy w Łodzi czy ziemianin kojfnął, to im forszę albo co innego zapisywał; to była, mówię ci bracie wielka rzecz. A jakie pamiątki tam były, jakie dokumenty, powiadam ci...

Przerwał na chwilę, Borowicz siedział znudzony. — No i co? — mruknął z grzeczności.

— Ja ci to w skrócie gadam, ale to cała, powiadam ci, epeopea. No i po wojnie, jak te wasze bolszewickie porządki nastąpiły, to ci bracie krewa: żadnych takich burżujskich (kapujesz ty, burżujskich) towarzystw być nie może, bo jak wiesz w przedwojennej Polsce to tylko był brud, smród i nędza (że my sobie wcale dobrze żyli, ta to się nie liczy, to nieprawda: kto widział, kto słyszał?). No to wzięli Towarzystwo pod przymusowy zarząd, uczyli, że Stalin batko to słoneczko ludów, aż się bractwo po kryjomu ze śmichu na ziemi kładło, a w końcu zamknęli i zarządzili likwidację. Ja tam miał kumpli, to prosili, żebym został komisarzem likwidacyjnym: myśleli że coś znaczą, że uratują choć te pamiątkowe rzeczy. Ja wtedy w Łodzi mieszkał, ta zgodziłem się. A tu bracie wszystko niszczeje, butwieje, słyszę że ma być inwentaryzacja i cały dobytek gdzieś do magazynów pójdzie, to znaczy się, na przepadłe, na złom. Ty kapujesz, takie pamiątki, chorągwie, ordery, medale, dyplomy honorowe, żetony, odznaki, różne nagrody, puchary, fotografie z dedykacjami, ta bracie skarby, cała historia łódzkiego sportu — i nie tylko łódzkiego. Ta ja sobie myślę, nie ma głupich: wzięłem co ważniejsze rzeczy i rozdzieliłem między ludzi, sobie zatrzymałem fotografie, bo przyjemnie coś takiego czasem przejrzeć. No i bracie, dalej wiesz: prokurator, śledztwo, cały kram, no i dziesięć lat zafasowałem.

— Dziesięć lat — zainteresowany historią wbrew sobie sa-

memu Borowicz aż wzdrygnął się lekko — dlaczego aż dziesięć lat?

— Bo to był trybunał wojskowy, o kontrrewolucję chodziło, kapujesz — u nich mniej niż dziesięć lat nie dawali. A po mordzie też brałem, mścili się za to, że choć Żyd, nie chciałem do nich przystać. We Wronkach byłem, po czterech latach przyszedł Październik i puścili, jeszcze przepaszali. Ale cztery lata poszły! Za Hitlera zmarnowane sześć, to razem dziesięć — swoje tak czy tak wziętem, dziesięć lat życia jak psu pod ogon. Tak, bracie!

— Dlaczegoś się do mnie nie zwrócił? — burknął bez przekonania Borowicz (nic przecież w owej epoce nie znaczył).

— Ta bracie, ta ja dorożkarz! Ja si zawsze nazywał Grynbaum i Grynbaum zostanę, a ty Borowicz, ty w rządzie. Ty nie gniewaj się, ty fajny chłop, ale ty w rządzie!

Borowicz pohamował urazę i przeszedł do pryncypiów. — Więc nic ci się w naszej Polsce nie podoba? — pytał. I znowu, że oświata, szkoły, że przemysł, inwestycje, praca, że wieś wzbogacona, że po Październiku skończyły się rządy policyjne, że wzrosła suwerenność, że Ziemie Zachodnie i wybrzeże morskie, że innej Polski już by być nie mogło, że oni ją uratowali, przetwarzając i dostosowując uratowali. Na próżno! Artur na wszystkim trząśł negatywnie głową.

— Ta daj spokój bracie — powiedział w końcu. — Ty wiesz swoje, ja swoje. Polska nie szpilka, żeby miała zginąć. Hitler nie dał jej rady, nie dałby i Stalin. Budować budujecie, ale ludzie was nie kochają. Bo wiesz ty co, dziwna rzecz: nowe bloki rosna, szklane bloki, a życia w nich nie ma. (— Mówi jak Piórczyński — pomyślał Borowicz). I nigdzie w komunizmie życia nima. Ty się pytał o Bułgarię, ta wiesz ty, ciekawe: słońce, wino, morze, a smutek aż piszczy. A żeby ich dać Zachodowi, ty by zobaczył życie! Za jakie grzechy oni cierpią, za jakie grzechy my cierpimy?

Deszcz zaczął padać na nowo, wiatr rozszumiał się w gałęziach drzew. Borowicz rozejrzał się jakby po raz pierwszy: siedzieli w jakiejś nieznannej, opuszczonej części cmentarza, sami w promieniu kilometra, wśród porośniętych wysokim chwastem grobów z krzyżami, a czasem i bez niczego: ślepe, anonimowe kopce nawet pozbawione tabliczek. Nie ma co dłużej dyskutować z Grynbaumem: to człowiek wpatrzony tylko w swą młodość, a potem w straszne lata hitlerowskie, w zbrodnie, poniewierkę, niewyobrażalne upokorzenia. Zafascynowany jest przeszłością dobrą i złą, w nowe czasy już nie wejdzie, za słaby na to, nazbyt złamany — niezaskuszony, jeśli mu wierzyć więzienie, dokonało reszty. Nie ma co z nim dyskutować, bo nie jest w stanie spoj-

rzeń na świat na nowo, nie uprzedzonym, nie zabarwionym przeszłością spojrzeniem. Tak jak i Piórczyński.

Tamten jakby wyczuł jego myśli, bo ciężko podniósł się z owej niskiej spróchniałej ławeczki. Deszcz padał już na dobre, woda ściekała mu po łysinie, niezgrabny drelich zwilgotniał i ściemniał.

— No to serwus bracie. Ty wybac, ja przepraszam żem cię zaczepił i tyle nagadał. Ty masz swoje zgrzyzy, tobie też na pewno nie jest łatwo. Ja tu przyszedł, bom przypomniał sobie Edka, w gazecie przeczytałem, że go tu czcicie. Fajny był chłop, choć pod koniec zwariował. Ty też był fajny chłop. Znałeś Zosię, pamiętasz, jakieś mnie ostrzegł, że ten hotel na Długiej to lipa? Nie posłuchałem cię, mądry byłeś, a ja głupi. Ot i tak.

Zaczął dziwnie manewrować olbrzymią łapą koło oczu — łyż ocierał czy co — na chwilę się odwrócił, potem znów jakby przepraszająco zwrócił się do Borowicza. W milczeniu uścisnęli sobie dłonie i tamten ruszył chwiejnie alejką, niezgrabnie wymijając ochwaszczone groby.

To przeszłość odchodzi — pomyślał Borowicz. Edek Bratkowski, Wanda, Piórczyński, nawet matka, to pogrobowcy, urzeczeni i zatruci przeszłością emigranci z dzisiejszości. Chcieli go pociągnąć za sobą, wysłali po niego Annę, to dziwne, chorobliwe skrzyżowanie dnia wczorajszego z obecnym okresem przejściowym. Ale on się nie da, on jest silniejszy i ma wyobraźnię, jest pracownikiem przyszłości i wie, że przyszłość wszystko wyrówna, wyjaśni, postawi nowe problemy, wobec których przeszłość pójdzie w cień, stanie się nieproporcjonalna, nie ważna, po prostu antyczna. On należał do architektów dnia jutrzejszego, odczuwał z tego powodu dumę, choć był tylko małą śrubką w maszynie. Gdy się uda, doczeka jeszcze jednego pokolenia, całkiem już wyzwolonego ze wspomnień. Artur jest słaby: może mu i lżej tak zdecydowanie wartościować wszystko, tak zapamiętać się w swych wspomnieniach, w starych sympatiach i antypatiach, ale to jest łatwizna i degrengolada, tak jak z Wandą. On, Borowicz za nimi nie pójdzie — zmienił nazwisko, symbolicznie, bo należy do tych, co chcą zmienić życie. I ma przed sobą pracę, dużo pracy.

Nagle przypomniał sobie historię z Dyrektorem (a jednak Artur wywarł na nim wrażenie, oderwał go od rzeczywistości) i ogarnęła go panika, że siedzi oto na odludziu i marnuje czas, zamiast wyzyskać go dla uregulowania spraw ważnych, nie cierpiących zwłoki. Właściwie siedział już tak na odludziu od paru tygodni, przez małą Annę i dziwaczny pomysł z mieszkaniem na Woli. Ten cmentarz uświadomił mu własny zastój, ten cmentarz z Edmundem, Dyrektorem, Arturem, był to jakiś ekstrakt, kon-

densacja bezruchu a przez to cenne, realne ostrzeżenie. Gdzieś koło głównej bramy czekał samochód z szoferem z Komitetu: trzeba było szybko jechać i wziąć się do pracy, ale prawdziwej, nie pozorowanej jak ostatnio. Ruszył przed siebie w deszcz, irytując się, że zapada nogami w sypką ziemię grobów i błądzi, jak błądzi się czasem we śnie. W końcu dobrnął jednak do głównej, wyasfaltowanej alei i ruszył przed siebie energicznie, nie zważając na osnuwające go kłęby skroplonej wody. Woda z drzew lała mu się za kołnierz, otrząsał się jak pies i rozśmieszony nagle dotarł wreszcie do bramy. Spojrzał na zmoczony zegarek: kto by się spodziewał, że zeszło mu tu grubo ponad dwie godziny!

XV

Jadąc do Komitetu zaczął porządkować myśli — od początku wiedział, po jakiej linii owo porządkowanie pójdzie, to było krzepiące. Zrozumiał, i to wcześniej jeszcze podczas rozmowy z Grynbaumem, że pobyt na cmentarzu, stając się najniższym punktem jego depresji, kumulując w sobie i wcielając przez incydent z Dyrektorem wszystkie niejasne obawy i niesmaki, jakie nawarstwiały się w nim od czasu owego sądu nad uczestnikami pogrzebu Gellera, będzie zarazem punktem zwrotnym: odtąd krzywa jego działań musi z powrotem ruszyć w górę, ostatni punkt opadania jest bowiem automatycznie pierwszym punktem wznoszenia się. Skąd pewność, że jego sprawy nie pójdą dalej w dół? Czerpał ją z przeświadczenia, że porażki jego wynikały zawsze ze stanu psychicznej demobilizacji, nie zależały od wypadków zewnętrznych, lecz od stopnia jego wewnętrznego skonsolidowania, od stopnia pogotowia umysłu i energii, co zresztą było ze sobą w jakiś misterny sposób związane. Jego pogotowie i czujność, jego instynkt samozachowawczy fatalnie zostały osłabione przez sprawę z Anną i wariackim mieszkaniem; choć w drugiej, pomocniczej czy nieoficjalnej warstwie mózgu wszystkie błędy, nonsensy oraz wynikające z nich niebezpieczeństwa rejestrowane były pilnie i bezbłędnie, to z pracy tej nie wynikał żaden impuls, bo ta partia mózgu nie jest przeznaczona do wytwarzania impulsów. Płat mózgu fabrykujący energię pobudzony został dopiero rozmową z Grynbaumem. Dlaczego? Bardzo proste: Anna była tworem dziwnego świata społecznych i psychicznych pół przeobrażeń, dzieckiem epoki przejściowej i bardzo niezwykłego, specyficznego splotu wypadków. W sumie postać wręcz egzotyczna, której perypetie i zboczenia duchowe mogły budzić niesmak, lecz

nie mogły Borowiczem zatargać i wywołać żywszej jego reakcji po prostu dlatego, że były dlań zbyt dalekie i obce, przyjmował je z niedowierzaniem, jakby patrzył na jakiś surrealistyczny film. Co innego z Grynbaumem: to był jego rówieśnik i przyjaciel, człowiek z jego kręgu, wychowany w podobnym ostatecznie klimacie duchowym, na podobnych tradycjach, doświadczeniach i przeżyciach. Jego degrengolada i klęska to blisko rozbrzmiewający sygnał alarmowy: Grynbaum wypadł z szeregu, nie wytrzymał napięcia, przegrał. Miał rację, że Żydzi są zdenerwowani, zhisteryzowani, że to wynikało z ich specjalnie straszliwych przeżyć, nie miał racji generalizując, czyniąc z tego jakiegoś nieodparte fatum — to był rasizm *à rebours*. Determinizm rasowy nie istniał, istniał natomiast determinizm wspólnych, formujących zbiorową psychikę przeżyć, przez jakie przeszły określone grupy społeczne czy narodowe — między innymi grupa żydowska w Polsce. Było to ciężkie, tragiczne, ale rozwój dziejowy nie mógł się oglądać w tył, opóźniając przez to swój marsz: jednostki, które nie czuły się związane z tradycjami i przeżyciami zniszczonego, wymordowanego społeczeństwa Żydów polskich, jednostki ukształtowane na innej pożywce społecznej, duchowej i politycznej nie miały żadnego powodu ulegać tradycyjalnemu determinizmowi czy mitowi determinizmu. Gdy znika baza, zniknie i nadbudowa: proces ten się opóźnia, resztki oparów antysemityzmu jeszcze się unoszą, ale ludzie w rodzaju Grynbauma sztucznie ich życie przedłużają, żywią je swymi kompleksami, patrząc na każdą rzecz pod tym właśnie kątem. Usprawiedliwia go może przeżyta tragedia, ale tylko tragedia okupacyjna, nie zaś utrata młodości i związanej z nią mieszczańskiej atmosfery. „Kto nie żył przed rewolucją, ten nie zna prawdziwego uroku życia” miał powiedzieć Talleyrand, ale to jest nieprawda: Borowicz żył przed rewolucją i wcale do tamtych czasów nie tęsknił, mieszczański Paryż dzisiaj napełnił go wstrętem. Inna rzecz, że Borowicz, jako komunista, przed wojną nic nie znaczył, a dziś był bądź co bądź na górze („wy się bawicie” — powiedział Grynbaum), ale przecież Grynbaum też pracował w swoim fachu, miał sukcesy, był trenerem — ostatecznie pozostać wiecznie młodym nie uda się nikomu. Tak, to raczej tragedia starzenia się i wspomnień, nieczęśćnik nie może oderwać się od przeszłości, od jej upiórów, został pogrobowcem, byłym człowiekiem, nie starczyło mu sił, aby wejść psychicznie w nowe życie, z powodu słabości przegrał, po prostu przegrał. Przykład typowy, charakterystyczny, wypadek jakże ostrzegawczy!

A jego argumenty? Ciekawa rzecz, że choć w istocie prawie nie istniejące to jednak dotknęły one Borowicza bardziej niż

wywody świetnie w społeczno ekonomicznych sprawach zorientowanego profesora Piórczyńskiego. Coś było na rzeczy z tą nudą społeczną, z owym radykiem w rękę i totolotkiem, z niewątpliwie istniejącą, unoszącą się w powietrzu nostalgią, socjalistyczną nostalgią. W Polsce specjalnie — to łączyło się tutaj ze sprawą Rosji: Rosja była wielka, Polska mała, to nawet w socjalizmie (a może zwłaszcza w nim) ma swoje znaczenie. Ale poza tym społecznie, innej drogi nie było a zewnętrzne uroki i rozrywki mieszczańskiego życia to złuda złud — tam dopiero jest determinizm. Nonsensem było Grynbaumowskie patrzeć poza historią i porównanie rzeczy nieporównywalnych. Komunizm wbrew Marksowi zwyciężał jak dotąd w krajach zacofanych i to zawsze dzięki wojnie, a więc od razu miał na karku potrójny balast, musiał budować wszystko od początku a ta budowa i rekonstrukcja zniszczeń gniotły niemiłosiernie, pożerając dochód narodowy. Tego oczywiście Grynbaum do rachunku nie wliczał, to go nie obchodziło. Ale z ową nostalgią miał trochę racji — Borowicz zakosztował jej smaku przed Październikiem, gdy był na prowincji, a ostatnio teraz, w czasie parotygodniowego dziwaczenia z Anną między budką telefoniczną i mlecznym barem. Czy różnymi drogami zawsze się dojdzie w końcu do społecznej nudy? Ale tu nie był koniec, tu był dopiero początek, mozolny, ciężki początek drogi dalekiej, jakże za to twórczej. Aby jednak iść tą drogą, trzeba sobie przedtem uporządkować myśli i uczucia: ład wewnętrzny jest absolutnym warunkiem ładu w czynach. Grynbaum tego nie rozumiał zresztą na uporządkowanie swego wnętrza nie miał już siły, był ruiną, odrażającym i zasmucającym wrakiem i to właśnie zaalarmowało i zmobilizowało Borowicza. Oto do czego można dojść. Prawda — tamtego złamało więzienie, ale gdyby umiał myśleć, nie włożyłby za stalinowskich czasów w takie sprawy, dla jakichś, jak sam mówił, drobiazgów i pamiątek. W tyglu historii nie ma żartów nawet z drobiazgami a jedyną bronią człowieka jest mózg.

Już w samochodzie Borowicz pozbył się niebezpieczeństw sentymentalizmu, które emanowały z osoby Grynbauma i ustalił sobie dyrektywy akcji, jaką powinien przedsięwziąć, przede wszystkim w doraźnej sprawie Dyrektora, a potem w sprawie Anny: tę sprawę należało nieodwołalnie uregulować. po prostu wysłać małą wariatkę do Paryża (bez względu na to, co tam będzie opowiadać...), tylko że tego właśnie bez Dyrektora czy jego zastępcy, majora Sawary załatwić się nie uda. Borowicz miał już gotowy plan i palił się aby zacząć go realizować, gdy oto w Komitecie okazało się, że czeka nań redaktor katolickiego pisma spoza Warszawy, umówiony luźno, bez dokładnego terminu,

któremu jednak Rusin nie wiedzieć po co kazał wystawić przepustkę. Intruz siedział w sekretariacie przy samych drzwiach, niesposób było go wyminąć, o diabli!

Sprawa działaczy i dziennikarzy katolickich w Polsce była skomplikowana i wielopostaciowa, czego nie mogli zrozumieć towarzysze francuscy wtedy, w tym przekętym Paryżu. Wśród owych świeckich, dopuszczonych na tym etapie do działania grupki katolickich byli rzecz prosta tchórzliwi karierowicze i obłudnicy częstokroć tajnymi nićmi zależności służbowej powiązani z wydziałem Seweryna, byli też jednak również ludzie szlachetni, którzy szczerze chcieli zrozumieć nowe życie i, nie wyrzekając się swojej, jak mówili „odrębności światopoglądowej”, w nim się na stałe zadomowić. Czy rzeczywiście będzie to „na stałe”, to rzecz inna (wątpliwe, aby dało się długo płynąć pod prąd, nawet mając za sobą Ducha Świętego), ale Borowicz, jeśli chodziło o tych ludzi, a należał do nich również jego dzisiejszy gość, redaktor Banachowicz, miał zasadniczo różny pogląd od Szefera — i to nie tylko pogląd taktyczny, lecz również merytoryczny. Rzecz w tym, że zdaniem Borowicza, rewolucja powinna podciąć przede wszystkim instytucjonalną bazę kościoła zwłaszcza na wsi: zniweczyć absurdalną wolność owych różnych malowniczych a irracjonalnie magicznych obrzędów, swobodę kazań i sprawowania przez księży swoistego rządu dusz wśród zwłaszcza starszego pokolenia chłopów. Jeśli natomiast chodziło o tych, nielicznych zresztą, intelektualistów katolickich, których bronią była co najwyżej dyskusja prasowa i to w prasie trudno dostępnej i ściśle kontrolowanej przez cenzurę, to Borowicz był zwolennikiem nawiązania z nimi dialogu i prowadzenia dyskusji jeśli nie na prawach równości, to przynajmniej jakiejś takiej, zachęcającej życzliwości. Wychodził z założenia, że pogląd niesłuszny i tak nie oprze się wymowie życia, jeśli zaś opierać się będzie przez pewien czas to dobrze: bardzo to wychowawcza rzecz dla towarzyszy z prasy przekonać się, że choć rewolucja ma za sobą siłę, to o argumenty dla niej postarać się czasem trzeba samemu — jakże tu nie najbardziej częstokroć wyrobionych ludzi szkolić w dialektyce, o ile nie posiada się dopingującego intelektualnie a w gruncie rzeczy społecznie nieszkodliwego przeciwnika?

Tak więc Borowicz skazywał na likwidację bazę a dopuszczał istnienie jeszcze przez pewien czas nadbudowy. Przeciwnego, o dziwo, zdania był Szefer. Katolicyzm chłopski wcale go nie przerażał, nie bał się obrzędowych, obyczajowych tradycji, uważał że wiejskich księży łatwo da się podporządkować państwu, a ponieważ chłopci w ogóle byli jego oczkiem w głowie (dzięki czemu, przyznać trzeba, Polska nie cierpiała głodu), więc wiejskie obrzę-

dy z odpustami i procesjami włącznie odbywały się bez przeszkód. Za to wszelkie admonicje na temat owych intelektualistów katolickich, chcących publicznie prowadzić z marksistami filozoficzny dialog budziły bez ochyby wielki gniew Szefa: instynktownie jeżył się cały na każdą cieplejszą wzmiankę o nich, żądał aby służyli celom co najmniej państwowym, jeśli zaś nie chcą czy wykręcają się, aby stosować wobec nich najostrzejszy reżym represyjnoedukacyjny, nie mówiąc już o cenzurze. Żądał i robił wściekle awantury, wpadając w wielki gniew, gdy przeczytał dopuszczone do druku coś, co wykraczało jego zdaniem poza tę edukacyjną normę. Na szczęście nie zawsze i nie wszystko czytał.

Zdanie Szefa było oczywiście prawem i, jak zawsze, Borowicz zmuszony został do realizowania polityki, której nie uważał za obiektywnie słuszną, a w odniesieniu do siebie wręcz za zupełnie absurdalną: jego zadaniem było przecież wytyczanie dróg prasie partyjnej, kierowanie nią, przez wskazywanie zwłaszcza młodym dziennikarzom ich zadań i sposobów skutecznego formułowania haseł rewolucji, oraz przeciwdziałanie tułającej się jeszcze tu i ówdzie burżuazyjnej sugestii, że prasa to liberalny worek dowolnego gadulstwa i plotkarstwa. Natomiast kierowanie przez niego prasą nie marksistowską czy nawet zgoła nie socjalistyczną to nonsens, podrywający jego autorytet: nie wypada przecież komenderować przeciwnikiem i wskazywać mu, jak się ma ustawić aby wygodniej go było bić.

Nie mając przekonania do tej roli Borowicz starał się, przynajmniej dla oka, pozornie czy nawet w jakiejś realnej części złągodzić ją i zmodyfikować, przerzucając cały balast przykrych posunięć na cenzurę i urzędy wyznaniowe. Połowiczność ta jednak czy częściowość szkodziła mu obustronnie, co zresztą z góry przewidywał: zainteresowani, wietrząc u niego jakieś wewnętrzne rozdwojenia czy opory, szturmowali doń z nieustannymi petycjami a, nie zaspokojeni uznawali go za podstępного fałszywca, ludzie Seweryna natomiast oskarżali go wprost, że powodowany mieszczańskim liberalizmem na własną rękę sabotuje zarządzenia Szefa. Jak zawsze Borowicz lawirował między dwoma stronami narażając się jednym i drugim. Było to utrudzające, ale ktoś w końcu robić to musiał.

Dzisiaj jednak utrudzające to było w dwójnasób. Redaktor Banachowicz, siwawy cichy pan o gołębiej łągodności choć jednocześnie pedantycznym uporze fanatyka, typowy przykład człowieka dobrej woli, jakich w obozie przeciwnym nie znosił Szef, absolutnie nie nadawał się do szybkiego spławienia. Przyjechał przecież z daleka, nie był Warszawiakiem więc miał dobre manieiry, trzeba było poczęstować go kawą i ciasteczkami, porozmawiać

o tym i owym, po czym na oko choćby zapoznać się ze stertą odbitek artykułów skonfiskowanych w całości czy pokiereszowanych — już to towarzysze z cenzury, zwłaszcza prowincjonalnej działali częstokroć zgoła nieinteligentnie, z sumaryczną, brutalną gorliwością. Ale przecież dziś, w swojej delikatnej sytuacji Borowicz nie mógł tamtemu nic obiecać, to znaczy, przeciwnie: mógł tylko obiecać ale nie mógł próbować realizacji tych obietnic, bo to by się zaraz rozniosło (ten przeklęty Rusin!), a sprawy katolickie i sprawy żydowskie — osobliwa wreszcie po wiekach zbieżność — były dziś bezbłędnym papierkiem lakmusem lojalności partyjnej. Mógł więc tylko dawać Banachowiczowi jak najogólniejsze i jak najmniej wiążące obietnice. Co jednak najosobliwsze, że tamten, człek subtelny i dyplomata, zdawał się trudną sytuację Borowicza dobrze rozumieć, wobec czego, jako prawy chrześcijanin i arcygrzeczny człowiek udawał że bierze wszystko za dobrą monetę, ostentacyjnie zapisując mętne Borowiczowe obietnki w wielkim, pedantycznie drobnym maczkiem wypełnionym notesie. Byłoby to nawet żenujące, gdyby człowiek miał dziś głowę się żenować.

Bowiem Borowicz kipił teraz z niecierpliwości. Ustalił swój plan a nie mógł go realizować, między ugrzecznonym Banachowiczem a czuwającym z tamtej strony ściany niczym pająk Rusinem czuł się jak mistrz szachowy w niedoczasie, któremu brak paru minut uniemożliwia realizację zbawczego posunięcia. Pomysł jego był prosty. Zadzwoń oto do Dyrektora, sekretarka mu powie, że go nie ma, czy jest zajęty, wobec czego poprosi o połączenie z majorem Sawarą i umówi się z nim na jak najbliższy termin. Major Sawara był przystawiony do Dyrektora z ramienia grupy Seweryna czy formacji pokrewnych aby go kontrolować i paraliżować — w tym właśnie krył się cały sens pomysłu. Dyrektor, mający do Borowicza pretensję o sztywność w sprawie Gellera i o zlekceważenie swojej interwencji, nie uderzy oczywiście od tej strony, to byłoby naiwną nieostrożnością. Postąpi przeciwnie, naciśnie tym razem guzik od strony Seweryna, oskarżając Borowicza o jakąś nielojalność z punktu widzenia tamtejszych kryteriów. W ten sposób jednocześnie sam się oczyści i pograży przeciwnika — zawsze tak robiono w Partii, starając się, aby delikwent nie mógł przewidzieć skąd spadnie nań cios: ważne było wszakże samo uderzenie a nie jego pretekst, nie kierunek, z którego ono spadnie. Ale Borowicz uprzedzi tę sztuczkę, sam stosując ją wcześniej: pójdzie do Sawary i pospiskuje z nim przeciw Dyrektorowi, dając do zrozumienia, że poza plecami swego zastępcy próbował on zmiękczyć stanowisko Wydziału Prasy wobec sprawy Gellera (zrobił to przez swego zięcia, ale to wszystko

jedno). Sawara, będący przy Dyrektorze od niedawna i nie mający dotąd wielkich sukcesów, w dodatku mimowolnie obciążony jakoś wraz z całym Urzędem wydaniem Gellerowi paszportu, połknie przynętę, będzie zachwycony, a przy tym zachwycie, mimochodem załatwi się z nim, tym razem poza plecami Dyrektora (rewanż!) sprawę wyekspediowania małej Anny do Paryża.

Plan był tak świetny, że Borowicz nie mógł się doczekać rozpoczęcia działań — wreszcie nie wytrzymał. Przeprosił Banachowicza, z którym siedzieli przy reprezentacyjnym stoliku na kanapce i przesiadł się do aparatu stojącego na biurku pod oknem: wszakże dzisiejsze rozmowy będą dla osób postronnych bez znaczenia. Przy okazji, machinalnie rzucił okiem przez okno: znów na szarym choć błyszczącym od padającego deszczu asfalcie ronda krążyły po starym owadzio uparte samochody.

Rozmowy przebiegły idealnie według planu: Dyrektora „niestety nie było”, major Sawara natomiast zaciekawiony i nieco pochlebiony z największą chęcią umówił się z Borowiczem na pojutrze. Wszystko gra, czaszka pracuje — jak mówią w Warszawie!

Borowicz powrócił do swego gościa w doskonałym humorze, może mu nawet w swojej euforii coś nazbyt konkretnego obiecał, ale to nie było groźne: Banachowicz, człowiek wytrawny, znał właściwą miarę rzeczy i nigdy by się o dotrzymanie takiej w zapale poczynionej obietnicy (a podniecenie i zapal Borowicza na pewno nie umknęły jego uwadze) nie upominał: pomóc by to mu nie pomogło a zaszkodzić mogło. Rozstali się nie wiadomo jak, we wspomnieniach Borowicza pozostała w tym miejscu luka, zapamiętał dopiero chwilę późniejszą, już po wyjściu tamtego, gdy znowu stał przy oknie i pogwizdując z lekka wpatrywał się w ową krążącą na dole nieprzerwaną karawanę owadzych samochodów. Nie widział zresztą wówczas nic, dopiero później to sobie odtworzył, w owym bowiem momencie dojrzywało w nim uczucie upokorzenia po obrazie doznanej od Dyrektora i namiętna chęć odplacenia się tamtemu. Dyrektor myślał prawdopodobnie, że Borowicza w obecnej sytuacji obrażać można bezkarnie, bo na pewno nikt się o niego nie upomni, a sam obrażony nie będzie miał odwagi aby w swej politycznej izolacji zadzierać jeszcze z autorytatywną grupą weteranów partyjnych (nie była to grupa zdolna spowodować czyjąkolwiek nominację, do obalenia kogoś natomiast sił jej jeszcze nie brakło — to drugie zresztą zawsze jest w Partii łatwiejsze niż to pierwsze). O słabości Borowicza musiał Dyrektora poinformować ów antypatyczny intrygant Gałęcki — antypatyczny, bo intrygował w tym wypadku bez

żadnej przyczyny, po prostu dla samej sztuki, dla pokazania swej siły. A tymczasem siłę pokaże im Borowicz: na pozór schował urazę do kieszeni, ale jeśli jego plan z Sawarą się powiedzie (a wszystko przecież na to wskazywało), to po pewnym czasie zaczną na tamtych spadać ciosy od strony jak najbardziej niespodziewanej. Zanim się połąpią, okaże się już za późno, a łączności tych ciosów z Borowiczem będą się tylko mogli domyślać: to właśnie jest największa satysfakcja, potrafić spowodować uderzenie z innej niespodziewanej strony i niejako bezosobowo smakować swą zemstę. Przez chwilę Borowicz żałował, że dla pełniejszej konspiracji nie umówił się z Sawarą gdzieś na mieście, ale przypomniał sobie, że tamten urzędował w zupełnie innym skrzydle gmachu na Mokotowie niż Dyrektor, po drugie zaś był to przecież doskonały, na wszelakich partyjnych intrygach wyszkolony pies gończy i na pewno zadba o to, aby ta niecodzienna dla niego rozmowa (nie codzienność jej zwęszył chyba już po pierwszych słowach Borowicza) odbyła się w warunkach odpowiedniej dyskrecji. Zresztą w tych kręgach partyjnych bez dyskrecji nie działano w ogóle, należała ona, jak mówią Francuzi, do *metier* i tylko stary tandeciarz i megaloman jak Dyrektor mógł sobie pozwolić na nieostrożne, publiczne zlekceważenie i obrażenie towarzysza z Komitetu. Ale niedługo się okaże, że właśnie i on nie mógł sobie na to pozwolić.

Borowicz był już całkiem spokojny o powodzenie swojej anty-Dyrektorskiej ofensywy, w ogóle był spokojny, jak zwykle gdy miał do czynienia z realnym konfliktem. Czuł tylko, niby sygnał ostrzegający go o istniejącym jednak napięciu nerwów, leciutką lecz wyraźną niecierpliwość, zniecierpliwienie że musi oto z rozpoczęciem realizowania swojej zemsty poczekać aż do pojutra, że wobec siebie samego wygląda na człowieka, który schował obelgę do kieszeni i zachowuje beczynność. Ale to tylko nerwy: oczywiście, że do pojutra należy tak czy owak czas przepędzić, jednak nie zabijając go byle czym, jak się to robi w poczekalni u dentysty — to byłoby właśnie upokarzające. Należy żyć normalnie, normalniej niż zwykle.

Przypomniał sobie Annę. Na szczęście nie umówili się dzisiaj przy owej ulicy afrykańskiego komunisty, lecz obiecał wziąć ją na dalszą przejażdżkę samochodową: to było lepsze niż zmuszanie się do uprawiania nieudanej miłości, a łatwe komplikacje i przygody już w ich obecnej sytuacji nie groziły. Nareszcie więc trochę odpoczynku: może i Annę uspokoi odrobina nie szablonowej rozrywki, czemużby na przykład nie zabrać jej do Miedzeszyna, gdzie była kawiarnia na świeżym powietrzu, jedna z niewielu w tej ascetycznej pod względem lokalowym podwarszawskiej oko-

licy. Borowicz jeździł tam kiedyś, w okresie swoich swobodnych, wiślano-sportowych wakacji (bywało się wszakże wolnym człowiekiem pomyślał ze smutną autoironią) i nie przypominał sobie, aby natknął się na kogoś znajomego. To mogło być niezłe, niechże i Anna odpręży się nieco i zapomni o jałowej pustce (pustce nie tylko mebli ale i nastrojów) małego mieszkania pod jarzeniową uliczną lampą, niech inne tło i inne okoliczności zmuszą ją do porzucenia choć na parę godzin obsesjonalnie zamkniętego kręgu tematów, którymi wytrwale maltretowała Borowicza a zapewne i siebie (co prawda po niej nigdy nie było nic poznać: ani zmartwienia ani zmieszania czy niepewności i to wówczas nawet, gdy o tych rzeczach mówiła).

Zjadł obiad w komitetowej stołówce, unikając kontaktu z kimkolwiek (na szczęście nawijali się tylko mało znani towarzysze), zwolnił szofera i zasiadłszy za kierownicą swej wysłużonej warszawy (do prywatnych ekskursji nie używał nigdy służbowego, reprezentacyjnego Mercedesa), włączył się w korowód owadów, defilujących o tej porze nieprzerwanie w stronę mostu Poniałowski. Pogoda była osobliwa, jakiś ekstrakt szarości nasyczonej wilgocią po porannych deszczach, powietrze rzeczywiście pachnące, aromatyczne jak napisałby pewno poetycznie nastrojony dziennikarz. Lato, dojrzałe lato, ale jakże nieudane tak pod względem urlopu jak i pod każdym innym. Borowicz czuł coraz silniejsze zdenerwowanie, owa niedawna chwila euforii doznana po telefonie do Sawary rozwiła się całkiem i już nie wróci: teraz zagęszczały się tylko myśli przykre — wspomnienie schowanej do kieszeni obelgi, obawa przed porażką, świadomość, że cała koncepcja z Sawarą wisi w powietrzu i wcale nie gwarantuje sukcesu. Do tego dotkliwe nagle poczucie osamotnienia, zwiększone jeszcze świadomością że jedzie oto na spotkanie z tą dziwną dziewczyną, tak odeń oddaloną, jakby żyła gdzieś na innym kontynencie czy zgoła planecie. I znów przykry refleks, bo oto przewinęła się myśl o Władce — teraz już był wobec niej winien, choć w istocie nigdy, ani przez chwilę tego nie chciał: zupełnie jak ktoś, kto stojąc na bezpiecznym brzegu przez sekundę za mocno się wychylił i oto tonie bez pomocy, płacąc za ów moment nieuwagi czy osłabienia czujności.

Ale przecież, do diabła, jeszcze wcale nie tonął — to po prostu wyobraźnia i nerwy dawały o sobie znać. Postanowił znaleźć ulgę w prowadzeniu wozu, skupić się na tym. Zjechał z wiaduktu ślimakiem, osiągnął nadwiślański bulwar i ruszył nim wzdłuż rzeki, wyciskając z poczciwej warszawy najwyższą szybkość. Prześmignął obok mostu Śląsko-Dąbrowskiego, rzucając przelotne spojrzenie na wyniosłe, mieniące się lub szarzące w

oddaleniu wysokościowe konstrukcje ze szkła i betonu po drugiej stronie rzeki. Piękna choć antypatyczna była już ta ich Warszawa, przed kilkunastu zaledwie laty istna kupa gruzów. Zanotował w sobie przelotny a niezbyt doręczny żal, że chcą mu odebrać jego udział w tym dziele budowy nowego miasta i nowego życia. Kto chce odebrać? Nie wiadomo, nikt, bez osobowej intrygi, automatyzm ludzkich działań, ludzkich słabości, pomyłek, podejrzeń. Z niechęcią pomyślał, że roztkliwia się sam nad sobą — to już całkiem bez sensu.

Minął teraz most Gdański, po lewej zaś stronie zostawił czerwieniące wśród zieleni forty cytadeli. Przesycony wilgocią zapach kwiatowy był tu jeszcze silniejszy, w powietrzu unosił się jakiś puch, niby przeźroczysta, rozwiewająca się kosmata nieco mgiełka. Do diabła z przyrodą, pragnął teraz ruchu, cieszyła go sprawność własnej jazdy, mimo ciężkiego, mało zrywnego samochodu. Wąska lecz gładka autostrada związała się i rozwijała w ósemki. Przeleciał pędem przez Żoliborz, ruszył potem szeroką tramwajową magistralą, mijając pozostawione po lewej ręce ogromne cielsko huty, o której mówiono, że była ich największym błędem gospodarczym. Potem ciemna w dzisiejszej szarości zieleń Bielania i oto już, przy wiejskiej niemal szosie, jak zmateriałizowana obsesja rysuje się smukła sylwetka kobieca — to Anna.

Przywitali się prawie bez słów, w twarzy Anny nie było dziś uśmiechu, owego sztucznego ale na pozór promiennego uśmiechu, który uważała jednak za stosowne przywoływać na swe oblicze przy spotkaniach — choć tylko w pierwszej chwili. Mówiła też niewiele, co Borowiczowi bardzo akurat odpowiadało. Bez słowa ruszyli więc z powrotem. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że widzi dziś Annę po raz ostatni.

W dalszym ciągu pędził jak najęty: mostem Gdańskim przeskoczyli na stronę praską i mknęli, mając za rzeką piękną, jakby nieco teatralną panoramę Starego Miasta, nad którego dachami zapaliła się teraz przedwieczorna czerwień objawionego wreszcie słońca. Niebieszczał też i czerwieniał ponad tym wszystkim jakby w innym wymiarze istniejący, widmowy na tle nieba Pałac Kultury; potem, minąwszy stadion i dołem wiadukt mostu Poniatowskiego wjechali pomiędzy plażowe pawilony wału Miedzeszyńskiego, zwalniając tempo, bo szosa tu była dość niebezpieczna.

Do Miedzeszyna jednak nie dojechali. Przy skrócie autostrady w lewo od Wisły (tutaj to rozmawiał Borowicz po raz pierwszy z księdzem Krauze) objawiła się otwarta niedawno kawiarnia z parterowym tarasem, pośrodku którego osobliwie wyrastało rozłożyste drzewo. Taras był prawie pusty, Borowicz zahamował

więc i z trudem wmanewrował opieszale auto poniżej szosy, na improwizowany piaszczysty parking. Usiedli potem pod listowiem owego dziwaczego drzewa, Anna wciąż uporczywie milcząca. Borowicz chciał dla niej zamówić wina: sam miał rzadką u siebie ochotę na alkohol i napiłby się na pewno, gdyby nie to, że niezbyt życzliwe, zawistne kelnerki widziały przecież, jak prowadził auto. Ale Anna odmówiła z grymasem wstrętu, głęboko za to zaciągając się papierosem — to jej ciągte palenie przechodziło już w nałóg.

Doskonale stąd było widać niedaleką szosę i przejeżdżające nią autobusy, ciężarówki a także rzadkie osobowe auta. Jedno z nich zwróciło przez chwilę uwagę Borowicza: był to niebieski Wartburg nowego typu, jakby skądś znajomy. Co gorsze zjechał on również z szosy w stronę parkingu, wysiedli z niego jednak dwaj obojętni faceci, którzy, nie zwracając uwagi na nikogo zainstalowali się daleko, po drugiej stronie tarasu.

— Mało jakoś dziś mówisz, Anito — zainaugurował niezdarne Borowicz. Nazywał ją czasem żartobliwie Anitą na pamiątkę owej czerwonej Hiszpanki, którą znał kiedyś w Paryżu. Anna zazwyczaj przyjmowała tę formę grzecznościowym bodaj uśmiechem, dziś jednak nie zareagowała na nią w zwykły sposób, nadal poważnie a nawet wręcz zajadle zajęta swymi papierosami. — Co też jej się mogło stać — pomyślał zainteresowany nagle Borowicz, ale nie zdążył jeszcze zaniepokoić się tą myślą (od paru godzin bał się dziś wszystkiego niczym jaki zając) gdy oto poczuł tak gwałtowny alarm psychiczny i wręcz fizyczny (jakby mu jakiś gorący skurcz przebiegł po plecach wzdłuż krzyża), że z trudem wręcz zachował pozycję siedzącą. Co to się stało? Oto nagle, w błyskawicznym sprzężeniu, w momentalnym spotkaniu utrwalonego na jakiejś wewnętrznej pamięciowej kliszy obrazu z przywołującą go świadomością, zrozumiał ponad wszelką wątpliwość skąd znany mu jest ów niebieski Wartburg. Gdyby próbował przypomnieć to sobie od razu, zapewne by mu się nie udało, a tak, przez ową chwilę gdy pozostawił rzecz samą sobie, nie ponaglana a przez to nie paraliżowana podświadomość wykonała swą pracę arcysprawnie, przynosząc rezultat, który był najbardziej przestraszającym i groźnym konkretem dnia dzisiejszego, ostatnich tygodni, ba — ostatnich miesięcy po prostu. Kwintessencja wszystkich obaw i złych przeczuć materializowała się oto nagle na podwarszawskiej szosie w postaci przesadnie jaskrawego niemieckiego „ludowego” auta.

Borowicz znieruchomiał, siedział jak sparaliżowany czy spiorunowany, aż nawet Anna, tak przecież dziś roztargniona, chyba pogrążona w sobie, zauważyła coś i rzuciła mu nagle z cieka-

wione tym razem spojrzenie. A przecież i ona powinna była rzecz spostrzec, z czymże bowiem kojarzył się niebieski Wartburg? Kojarzył się z porośniętym chwastami, nasianym gruzem placikiem i z brukowaną „kocimi łbami”, ciągnącą się leniwie wzdłuż fabrycznego muru uliczka. Bowiem Wartburg ów parkował często właśnie tam, na rogu owego placu i owej uliczki, nazwanej imieniem afrykańskiego komunisty. Tam też widywał go po wielokroć (teraz sobie przypomniał, teraz był tego pewien) przyjeżdżający autem Borowicz, tam przecież musiała go widywać, choć mogła nie zapamiętać, Anna. A w każdym razie, jeśli nawet nie był to ten sam Wartburg, był to Wartburg ściśle taki sam — niesposób się pomylić, jest to przecież rzadki w Warszawie nowy model. Czyż mógłby tu zająć, zważywszy wszystko, zwykły tylko zbieg okoliczności?

— Chodź, jedźmy lepiej do tej Falenicy, trzeba przecież coś zjeść — powiedział niespodziewanie dla samego siebie i również niespodziewanie opanowanym głosem Borowicz, wstając od razu i dając znak kelnerce. Należało sprawdzić, czy Wartburg ich śledzi, czy też znalazł się tu przypadkiem. Ale przypadek taki byłby nie do wiary.

Następna godzina minęła jak w jakimś sennym zapamiętaniu czy wręcz koszmarze. Już wyjeżdżając pod górkę na asfalt Borowicz zobaczył kątem oka, że dwaj osobnicy okazywać jęli ruchliwe zaniepokojenie, gdy zaś odjechał ze trzysta metrów, błysnął mu niebieski wóz na taśmie szosy. Potem już miał go ciągle w lusterku: ten typ Wartburga szybszy jest znacznie od sfatygowanej warszawy, toteż tamci wcale nie musieli się wysilać — nie ukrywali się zresztą również, grano teraz najwyraźniej w otwarte karty.

On także nie próbował już udawać przed Anną, że jada coś zjeść. Przed Falenicę przemknęli nie przepisowo, wciąż z przeklętym Wartburgiem na karku, na pętli otwockiej zakręcili z prężnym piskiem opon, Wartburg również. Siedząca obok Borowicza Anna wiedziała oczywiście doskonale co się święci, ale obserwowała rzecz obojętnie, z wyrazem twarzy nieco pogardliwym, jakby nie o nią chodziło (co prawda tak zapewne i rzecz się miała). Borowicz nie odzywał się do niej, bo i cóż tu było mówić do tej dziwacznej osoby — gdyby nawet zrozumiała, że to ona właśnie nawarzyła jakiegoś okropnego piwa, to na pewno nie przejęłaby się tym wcale a wcale, wręcz przeciwnie byłaby ukontentowana jeśli nie zachwycona. Cóż za nieludzki i groźny stwór z tej dziewczyny!

Przy moście Poniatowskiego skręcił w prawo, z natłoczonego ronda Waszyngtona ruszył wzdłuż Stadionu Dziesięciolecia, roz-

siadłego tutaj jak zielony, poobgryzany zębami dookolnych schodów, kopiec. Prawdziwego jednak rozpędu nabrał dopiero na moście, oddychającym szaroniebieską przestrzenią wieczornej już Wisły i wieczornego spiętrzonego nad nią mgliście miasta — płachtę nieba jak żółte przecinki przekreślać teraz jeły tu i ówdzie światła lamp i sygnałów. Zszarzał i ściemniał również cień Wartburga w lusterku, obserwowany przez Borowicza z rosnącą wściekłością a przez Annę, z wyraźną, złośliwą satysfakcją. Znowu zjechali ślimakiem na bulwar, tamci oczywiście za nimi, znowu przeleciał po prawej ręce most Śląsko-Dąbrowski i smukłe praskie wysokościowce, znowu z rosnącą w oczach szybkością zbliżać się jął na taśmie szosy most Gdański. Byli tu już sami, tylko z nieodstępnym Wartburgiem na tylnym kole, o tej porze ruch na Wislostradzie maleje do minimum. Borowicz zrozumiał (choć, zajęty jazdą, wcale przecież swej taktyki dokładnie nie przemyślał) że nadszedł moment wyjaśnienia sprawy — niesposób przecież dłużej bawić się w wyścigi. Tuż za mostem Gdańskim i równoległym do niego potężnym, przerzuconym przez Wisłę rurociągiem, obok ceglanej, spiętrzonej czerwieni fortu Cytadeli, podwójna tutaj autostrada wygina się w spiralną ósemkę. Warszawa jeła hamować, zwalniać, wreszcie stanęła i to rozmyślnie ukosem, tarasując drogę. Wartburg zahamował później, w ostatniej chwili, jakby niedowierzająco i stanął o kilkanaście metrów od nich.

Borowicz wysiadł nie patrząc na Annę i ruszył energicznie w stronę prześladowców. W głowie nie miał ani jednej myśli, ani jednej wątpliwości, był zdeterminowany, ułamkiem świadomości żałował jedynie, że nie ma przy sobie żadnej broni: jego przedwojenny jeszcze wojskowy rewolwerek polski wzór 30 spoczywał w tej chwili spokojnie jako okupacyjna pamiątka gdzieś na dnie domowej szuflady. Ale, jak zwykle w decydujących momentach, nie odczuwał żadnego strachu — byli zresztą w miejscu publicznym, nic się stać nie mogło. A jeśli nawet, to tym lepiej: niechże się wreszcie stanie!

Tamci również wysiedli z auta i czekali bez ruchu. Jedno spojrzenie na nich wystarczyło: twarze nie indywidualne, jakby nieobecne, nie reagujące na żaden impuls z zewnątrz i również nic nie okazujące, jakby wsłuchani w siebie znaną wewnętrzną dyspozycję. Ludzie z osłony, ludzie na służbie, po prostu racjonalnie zautomatyzowani. W wielu dziedzinach polskiego życia panował jeszcze okropny zamęt, irracjonalny nieporządek, ta służba za to zorganizowana była bezbłędnie. Ale po co włączyła się w jego sprawę, jakie zastosowanie miała w tym wypadku?

— Kto wam kazał za mną jeździć? — głos Borowicza brzmiał twardo, choć rozmyślnie niezbyt głośno. Ci ludzie w gruncie rzeczy należeli do aparatu technicznego, sami przez się nic nie znaczyli, ważny mógł być tylko ten, kto stał za nimi, kto ich posłał.

Zapytani trzymali się prosto, niemal na baczność. — Komitetowa komisja kontroli, towarzyszu — wyrecytowali jakby jednym głosem.

Komitetowa komisja kontroli! Borowicz o mało się nie roześmiał. Komisja ta funkcjonowała od niedawna, zadaniem jej było badanie, czy poszczególni towarzysze z Komitetu nie żyją, jak to się mówi, na zbyt szerokiej stopie, a zwłaszcza czy nie narażają prestiżu Partii, afiszując się po lokalach i wydając publicznie dużo pieniędzy. Inicjatorem powstania tej komisji był oczywiście Seweryn, bez trudu zresztą wyjednał on zgodę na jej stworzenie u zawsze sprzyjającego wszelkiej ascezie Szefa. Tak więc owo „słodkie życie” Borowicza z Anną stało się przedmiotem dochodzeń komitetowej komisji kontroli! Prymitywne i typowe — tkwił w tym cały Seweryn, podejrzewający zawsze ludzi o rzeczy, tkwiące poniżej ich świadomości i ich duchowych możliwości: po prostu uporczywy partyjny freudysta. W istocie nie wierzył on w marksistowską tezę, że to okoliczności społecznego bytu kształtują każdorazowo ludzką osobowość, przeciwnie, przekonany był iż każdy człowiek jest już z góry do czegoś predestynowany, nosi bowiem swoją niezmienną instrukcję psychiczną w sobie i nic się tu nie może zmienić. Z takiego determinizmu rodził się rasizm a także stalinowska teoria o zaostrzaniu się w socjalizmie walki klasowej.

— Macie dowód? — spytał Borowicz dla formy. Jeden z towarzyszy pokazał blaszkę, przyczepioną do wewnętrznej strony marynarki. Tak, to było to.

— Kto wam dał zarządzenie w mojej sprawie? Borowicz wiedział, że pytanie to jest bezprzedmiotowe i że odpowiedzi na nie nie otrzyma: ci ludzie nie podlegali mu w żadnym stopniu, komitet kontroli był komórką samodzielną i niemal poufną, nie wiadomo było właściwie kto w nim pracuje i jaki jest zakres jego działania.

— Sprawa służbowa, towarzyszu — bąknął jeden z indagowanych. Sprawa służbowa, oczywiście, czyli tajemnica służbowa. Najciekawsze jednak, dlaczego dziś właśnie się zdekonspirowali — nie mógł to być przypadek ani niezręczność, na pewno otrzymali takie instrukcje. Ale dalsze pytania nie miały już sensu — brak odpowiedzi będzie tylko zbędnym upokorzeniem. To byli

przecież fachowcy, bezosobowe automaty — zdać Borowiczowi sprawę musi kto inny.

Kiwnął lekko głową (tamci odpowiedzieli skwapliwie i wrócił do swego auta. Za chwilę warszawa ruszyła zwolna w gęstniejącą mroczność chmurnego letniego wieczoru, za nią, jak uwiązany niewidoczną liną ruszył Wartburg.

XVI

Sprawę należało wyjaśnić, ostrożnie ale konsekwentnie, tak, aby automatycznie skompromitować jej inicjatorów, o ile nie mieli jeszcze zbyt dokładnych danych; możliwe zresztą, że całą inwigilację zarządzono tak na wszelki wypadek — było to przecież zupełnie prawdopodobne, w Komitecie częstokroć zbierano informacje o towarzyszach bez koniecznej, aktualnej potrzeby, po prostu przyzwyczajono się do tego w poprzednim, stalinowskim okresie i tak w gruncie rzeczy zostało nadal, choćby celem zatrudnienia wyspecjalizowanych w tym rodzaju pracy innych znowu towarzyszy. Dlatego też tak łatwo udało się Sewerynowi stworzyć Komitetową Komisję Kontroli, po prostu postulował wyzyskanie umiejętności szeregu zasłużonych i dobrze wyszkolonych pracowników dawnej służby wewnętrznej. Wiadomo przecież było, że sporo wyższych oficerów, którzy odznaczyli się w okresie stalinowskim okrucieństwem czy wręcz sadyzmem zostało odsuniętych od pracy a w drastycznych wypadkach ukaranych więzieniem (chodziło tu przede wszystkim nie o pierwszy okres, zaraz po objęciu władzy, gdy terror przeciw siłom kontrrewolucji był rzeczą oczywistą i konieczną, lecz o czasy późniejsze, kiedy to nakazane nie wiedzieć po co przez Stalina, represje i czystki objęły częstokroć najwybitniejszych, najbardziej zasłużonych działaczy Partii — ofiarą padł tu na przykład towarzysz Admirał, który, oskarżony absurdalnie o jakieś kontakty z angielską misją wojskową i torturowany przyznał się podobno do czynów nie popełnionych i nawet oskarżył o nie również Szefa, wtedy właśnie, po jego przesłuchaniach aresztowanego). Natomiast szeregowi pracownicy Służby nie bywali na ogół pociągani do żadnej odpowiedzialności — trudno ich przecież winić za cudzy obłąd i za nadgorliwość przełożonych, działali w dobrej

wierze jako zbrojne ramię władzy rewolucyjnej. Zresztą cały właściwie aparat dawnej Służby Wewnętrznej, nawet z owymi kilku czy kilkunastu sadystami u góry stanowił tak czy owak istotne narzędzie rewolucji, był jej jednym ramieniem: drugim ramieniem manewrował między innymi Borowicz, polegało to na kontroli wszelkich partyjnych wypowiedzi, tak drukowanych w prasie, jak wygłaszanych w radio czy telewizji. Kontrola owa czuwała, aby myśli wrogie, wypaczające linię ideową i taktykę Partii nie zostały przemycane w taki czy inny sposób i nie stały się załączkiem jakiegoś ideologicznego rozdwojenia: warunkiem powodzenia rewolucji jest jedność, zarówno jedność myśli jak i jedność władzy, dlatego nawet ci zbyt okrutni wobec własnych towarzyszy, zdeorientowani i po trochu obłąkani przez Stalina dowódcy dawnej Służby działali, pryncypialnie rzecz biorąc, w intencji słusznej, w każdym zresztą wypadku pamiętać trzeba, że rewolucja nie jest mieszczańską zabawą we władzę, zabawą przy tym iluzoryczną, bo istotną władzę społeczną sprawują w krajach mieszczańskich wielcy posiadacze, baronowie przemysłu. Rewolucja, skądkolwiek czerpałaby swą siłę napędową (bo utopia o spontanicznie ludowym zrywie rewolucyjnym nie zweryfikowała się historycznie, nie zweryfikowała się zwłaszcza w Polsce, kraju zacofanym, chłopskim o małej świadomości proletariackiej), jest zawsze tak daleko idącą krańcową przemianą wszelkich stosunków i urzędzeń, że nie stać ją na jakieś podziały władzy czy też niejasności ideowe. Krystaliczny ład myślowy, krystaliczna precyzja w sprawowaniu władzy, oto były warunki niezbędne, stąd też stawało się jasne, dlaczego te dwie właśnie dziedziny pracy partyjnej (służba wewnętrzna i kontrola ideowa) uznane zostały za najważniejsze i dlaczego, bez względu na wszystko inne, nie szczędzono na nie środków, dlaczego one właśnie funkcjonować musiały bezbłędnie i precyzyjnie, choćby nawet wokół panował zamęt czy zgoła bałagan. Chodziło przecież o to, że one właśnie gruntowały sam fakt rewolucji, decydowały o elementarnym jej istnieniu, były niezbędnym a prostym kierunkowskazem, wytyczającym wyraźną linię bez względu na mnogość zaciemniających sytuację zdarzeń przypadkowych czy nie typowych; rewolucja przede wszystkim musi żyć, stanowić fakt mocno ugruntowany, zakorzeniony w powszechnej świadomości: żeby działać trzeba najpierw istnieć, najpierw władza (podwójna, bo sprawowana zarówno w dziedzinie życia konkretnego jak i życia umysłowego), potem dopiero stopniowe realizowanie rewolucyjnych założeń i postulatów.

W okresie głośnego, inspirowanego zresztą, liberalistycznego wrzenia w Warszawie, zwanego później Październikiem, nieszczęs-

ny Geller sformułował raz publicznie myśl, że jeśli rewolucja jest operacją, nieraz, jak na przykład w Polsce, dla zdrowia organizmu konieczną, to jednakże nie może ona trwać ciągle: operacja przecież to jednorazowy zabieg, nie zaś stan permanentny. Sformułowanie to zdradzało że autor zupełnie nie zrozumiał istoty marksowskiego rewolucjonizmu, choć przecież zajmował się tym kiedyś wręcz zawodowo. Rewolucja wcale nie była jednorazowym zabiegiem, raczej porównać by ją można do owego stanu, gdy w nowoczesnej medycynie zawieszają się na pewien czas działanie całych partii organizmu, wprowadzając na przykład sztuczne płuca czy sztuczną nerkę, aby w spokoju i przez dłuższy okres móc po dokonaniu inicjującego zabiegu reedukować organizm, wkolejając go stopniowo w nową pooperacyjną sytuację. Tak właśnie postępuje rewolucja: utrzymując przez dłuższy czas swą dyktaturę (Geller kłócił się, czy jest to dyktatura proletariatu, czy, jak mówił dyktatura nad proletariatem: spór w istocie czysto efekciarski, słowny, bezprzedmiotowy zwłaszcza w Polsce, gdzie na początku rewolucji, po nihilistycznie niwelującej okupacji niemieckiej, świadomego, zdolnego do objęcia władzy proletariatu niemal nie było) rewolucja zawieszają spontaniczność procesów społecznych, czekając aż nowe, wprowadzone przez nią formy życia staną się organicznymi, podobnie jak obcy przedmiot wprowadzony na stałe do mrowiska staje się po pewnym okresie, dzięki asymilacyjnej pracy mrówek, naturalnym elementem architektury tegoż mrowiska.

Tak więc, jeśli chodziło o konieczność utrzymania wszelkimi środkami rewolucyjnej dyktatury, Borowicz był na pewno bliższy Seweryna niż na przykład Gellera. Seweryn grzeszył jednak obsesjonalnym poczuciem istnienia wciąż jednakowo ostrej a nawet zaostrażającej się walki klasowej oraz histeryczną stalinowską podejrzliwością. Przyczyna tego była oczywista i prosta: nie rozumiał, że proces przetwarzania ludzi przez nowo zainicjowaną ale trwającą rzeczywistość (choćby sztucznie trwającą, jak lubił mawiać Geller, co zresztą również nic negatywnego nie znaczyło, bo podkreślało tylko rewolucyjny czyli właśnie sztuczny charakter obecnego życia), że ów proces, w którym pokładali przecież całą swoją nadzieję, już się był i to nie od dzisiaj rozpoczął, że okazał się procesem stopniowym ale ciągłym, na swój sposób w nowej sytuacji organicznym, a więc nieuniknionym. Z każdym wstępującym w życie rocznikiem narastały teraz nowe, w rewolucyjnym już trybie uformowane pokolenia młodych działaczy partyjnych, pracowników rad narodowych i innych ciał współzadających, na nich to należało stawiać, na nich opierać się coraz śmielej, nie zaś tylko i wyłącznie, z uporem przestraszonego satra-

py, na — policji. Zorganizowana siła nacisku jest awangardą rewolucji, lecz nie jest jej treścią społeczną, ta przychodzi później. Seweryn chciał pozostać przy awangardzie, Geller chciał się przedwcześnie oprzeć na jeszcze nie przygotowanym do tego społeczeństwie, jeden nie nadążał za wypadkami, drugi usiłował je wyprzedzić, obaj z różnych przyczyn i z różnych stron popadli w konflikt z realizmem. Borowicz był realistą, wobec czego szedł środkiem, był centrystą, oczywiście jeżeli tamtych uzna się za lewicę i prawicę, nie wiadomo tylko, którego za co, bo różnie o tym mówili intelektualiści partyjni, tych zresztą oraz ich dysput Borowicz jak wiadomo usilnie starał się unikać (o ile jednak Jakobini stanowiliby na przykład lewicę, to Seweryn byłby lewicowcem, z drugiej jednak strony właśnie Geller odgrywał wobec Partii w gorących dniach październikowych rolę podburzającego, rewizjonistycznego jakobina, miał po prostu jakobiński gest). Jakkolwiek jednak rzecz się miała i nazywała, jedno nie ulegało wątpliwości: że oto on, Borowicz, popadł w konflikt z obiema stronami, w rezultacie zaś, jak to nie rzadko bywa, wzięła się do niego w takiej czy innej postaci występująca — policja. A policja (nie milicja!) jest w kraju rewolucji z reguły polityczna, bo niemal wszystko jest tu polityką.

Ale czy rzeczywiście policja się do niego zabrała? A może to tylko przypadek czy też bezmyślny automatyzm działania, który uda się przychwycić na gorącym uczynku, zdemaskować i uczynić argumentem i dowodem przeciw komuś? Tutaj powracał Borowicz do początków swego rozumowania. Ze służby wewnętrznej usunięto sadystycznych inspiratorów, a także zbyt gorliwych wykonawców (ofiara padł tu zresztą i Kasperczyk, bo przecież, choć oficer, był to wówczas jedynie bierny służbista, realizujący pilnie co mu kazano), pozostawiono natomiast szeregowych, bezimiennych towarzyszy, starając się jednak dawać im mniej pracy, rozrzedzić niejako ich działalność i w ten sposób powodując zapomnienie o dawnej aktywności, jakoś ich do nowego etapu przystosować (było to ważne, bądź co bądź nie kto inny jak Szeff siedział przecież w takim więzieniu — może nie jeden z tych samych, dziś czynnych funkcjonariuszy eskortował go po aresztowaniu czy w drodze na przesłuchania). Komitetowa komisja kontroli choć kompetencje jej i zakres działania nie zostały nigdy dokładnie wyjaśnione, uchodziła właśnie za takie miejsce reedukacji agentów dawnej Służby, zaś praca w niej za coś w rodzaju synekury, działalności zastępczej, nie nazbyt ważnej. Może więc i śladami Borowicza agenci owi podążyli przypadkiem, w dodatku niewiele się o nim dowiedzieli, bo ostatecznie spotkanie się z dziewczyną, kimkolwiek by ona była, w

pustym, niezajętym mieszkaniu, nie jest jeszcze żadnym strasznym przestępstwem: choć Szeff takich historii bardzo nie lubił, to jednak towarzysze korzystając z jego niewiedzy wyrabiali nieraz rzeczy znacznie gorsze i nic z tego nie wynikało, co najwyższej wzbogaciły się jakieś tam kartoteki i zapiski Pułkownika, o których tu i ówdzie sobie szeptano. A w ogóle cała rzecz mogła po prostu wyniknąć z przypadku, z czyjejs indywidualnej złośliwości czy z idiotycznego nieporozumienia, niekoniecznie u podstaw musiała tu tkwić, jak to Borowicz z początku w pierwszym zdenerwowaniu przypuszczał, inicjatywa Seweryna — rzecz byłaby w końcu i dla niego ryzykowna. Należało więc najpierw sprawdzić, kto dał instrukcję i polecenie, ale sprawdzić od razu, bo i wypadki biegły teraz szybko, komplikując się dodatkowo od czasu wczorajszej sceny z Dyrektorem, która nie mogła przecież przejść niezauważona a więc bez konsekwencji. Czy tylko na dogonienie wypadków starczy mu czasu?

Z brakiem czasu, wynikłym z fatalnego braku aparatu, a więc z niemożności szybkiego i sprawnego działania, zetknął się na drugi dzień od samego rana. Po owej wieczornej pogoni samochodowej zjawił się bowiem w biurze wcześniej, wypoczęty, wyspany i spragniony czynu. Gdy tylko niebezpieczeństwo okazywało się konkretne a rozwiązanie narastających problemów przypominać zaczynało proste, chirurgiczne otwarcie nabrzmiewającego wrzodu, wtedy ustrój nerwowy Borowicza regulował się i uodporniał — stąd też ów mocny, zbawczo regenerujący sen bezpośrednio po wczorajszych wstrząsach. Niestety, zbawienne rezultaty tego snu od razu jęły się marnować, gdy Borowicz zobaczył w biurze rybią twarz towarzysza Rusina (wyglądał jak ryba w długi czas po śmierci czyli jak widmo ryby, czy też rybie ścierwo), który nie wiedzieć po co również objawił się tutaj niemal skoro świt i od razu jął ze zbyteczną zgołą energią komenderować gońcami oraz panienkami z hali maszyn, zmuszając jednocześnie Borowicza do zapoznania się z jakąś bzdurną sprawą tajnego biuletynu, z którego wyselekcjonowane i przeznaczone tylko dla członków komitetu informacje przesiąkły nie wiedzieć w jaki sposób do oficjalnego serwisu depesz i ukazały się w prasie. Sprawa nie była groźna i Borowicz przysięgłby, że towarzysz Rusin rozdyma ją umyślnie aby mu dokuczyć i zawrócić głowę — przysięgłby, choć oczywiście nie miał na to i nigdy nie będzie miał żadnych dowodów. Po prostu od razu wiedział nie wiedząc — jak zwykle.

Na razie, przed przyjściem Kasperczyka, który akurat się spóźnił, nie było tu nic do zrobienia — nie mógł do nikogo zwrócić się ze swoją sprawą bez uprzedniego wybadania gruntu, oczy-

wiście elementarnym warunkiem powodzenia jest trzymanie z daleka Rusina, który nie powinien dowiedzieć się o wczorajszej historii — chyba żeby już o niej wiedział, ale to prawdopodobne było tylko w wypadku, jeśli miało się tutaj do czynienia z planowym spiskiem Seweryna, nie zaś z idiotycznym nieporozumieniem. Tak czy owak, czekać należało na Kasperczyka, Borowicz pomyślał z żalem, że bezczynne czekanie w tej sytuacji znów nadgryzie i nadwątlili jego tak przez dzisiejszą noc wypoczęte nerwy, a przecież spokój wewnętrzny bardzo mu będzie potrzebny, zwłaszcza jutro, w rozmowie z Sawarą. Nie miał jednak innego wyjścia jak czekanie. Można by je oczywiście skrócić, wdając się w szczegółowe debaty z Rusinem na temat owej historii tajnego biuletynu, ale to jest w tej chwili niemożliwe: Rusin za bardzo go drażnił połączeniem udawanej gorliwości ze źle robioną maską naiwnego ślamazary. Naiwny to on w żadnym wypadku nie był, chyba tylko wtedy, jeśliby sądził, że Borowicz go nie przejrzał. Ale tego na pewno nie sądził, dlatego też udawanie swoje szkicował w gruncie rzeczy dość niedbale, wiedząc, że obaj doskonale rozumieją o co chodzi. Było to bezczelne, ale niesposób owej sytuacji przerwać czyli dać się sprowokować — może właśnie o prowokację tu chodziło?

Borowicz wydał więc tamtemu zwięzłe instrukcje co do nieważnej w gruncie rzeczy sprawy biuletynu, przerwał zniecierpliwionym gestem potoki jego gorliwie z rybniej gęby wydzielanych pełnych obłudnego zgorzzenia komentarzy i wycofał się do swego gabinetu, zdecydowanie zamykając drzwi — jeśli nimi nie trzasnął, to tylko z niemożności, bo wyłożono je jak kołdrą miękkim wołłokiem. Małe biurko we wnęce między dwoma oknami zalane było słońcem, pogoda od wczoraj wybitnie się poprawiła. Ale słońce padające przez szybę ma w sobie coś sztucznego i niezdrowo męczącego, toteż Borowicz od razu wziął się do otwierania okien, siłując się przez dłuższą chwilę z jakimiś uporczywymi ryglami i starając się powściągnąć odruchową chęć rzucenia bezmyślnych spojrzeń na żyjące w dole swym stałym, wirowym ruchem rondo. Gdy wreszcie wyszarpnął okna z uchwytu owych przekłetych rygli, gabinet, oprócz żywego tym razem bo bezpośredniego blasku słońca napełnił się zbliżonym jakby nagle czy powiększonym gwarem ulicy. W tym gwarze i słońcu spędził Borowicz swoje przykre pół godziny oczekiwania na Kasperczyka, pół godziny bez jednej myśli, choć wiedział, że podświadomość pracuje za niego cały czas, dokładnie podsumowując wszelkie najprzykrzejsze konstatacje. Gdy wreszcie Kasperczyk się objawił, Borowicz przyciągnął go do otwartego okna i mówił półgłosem wśród ulicznego gwaru — to było najbezpieczniejsze.

— Towarzyszu, ci z komitetowej kontroli jeżdżą za mną niebieskim Wartburgiem — mają polecenie. Jeżdżą od dawna, tam, na Woli też obserwują. Czy możecie sprawdzić dyskretnie kto im kazał? Ale jak najprędzej, zaraz.

Kasperczyk właściwie jakoś mało się zdziwił. Jego młoda jeszcze, okrągła twarz, ozdobiona na czole hitlerowskim kosmykiem czupryny miała wyraz dziwnie filozoficzny, stoicki, jakby właśnie tego nie czego innego się spodziewał. — Tak, jeżdżą? Wartburgiem? Powtarzał to trochę bezmyślnie, jakby dla zyskania na czasie. Borowicz zirytował się nieco. — Tak, właśnie, nowym Wartburgiem — powtórzył z kolei i on małpując trochę swego rozmówcę. — Jeżdżą od paru tygodni, wystają tam, w tych nowych blokach, wiecie, na rogu przed mlecznym barem. Wczoraj ich zatrzymałem, przyznali się że są z kontroli, nie chcieli powiedzieć kto kazał — tajemnica służbowa. Czy możecie mi się czegoś konkretnego dowiedzieć, ale teraz, jak najprędzej?

Kasperczyk potwierdził ruchem głowy; dziwnie był spokojny i mało zaskoczony jak na to, że i o jego skórę tu chodziło — ktoś w końcu wynalazł owo gniazdo w nowych a pustych blokach? Borowicz zżymnął się wewnątrz na to wspomnienie, a gdy spojrzął, Kasperczyka już niemal nie było: zdematerializował się, spłynął jak mówiono w Warszawie, wyjście jego z racji zgrzytliwego hałasu z ulicy przebiegło bezszelestnie. Najwidoczniej zastosował się do polecenia i poszedł zbierać informacje. Gdzie, u kogo — to na szczęście jego sprawa.

Tymczasem rozdzwoniły się telefony: to było niezłe, bo automatycznie i bez wysiłku skracало czekanie, tak więc złośliwa na pozór inicjatywa Rusina dotycząca owego idiotycznego biuletynu dawała teraz wcale korzystne rezultaty: nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzwonił najpierw Wojczyński, bardzo przestraszony — Borowicz musiał tu przyznać, że zawczasu podjęta akcja Rusina dała Wydziałowi atut do ręki, dzięki czemu mógł biedaka Wojczyńskiego zgromić po ojcowsku, ale też okazać mu swą wszechwiedzącą wyrozumiałość. Może więc ten Rusin nie był takim czarnym charakterem jak się wydawał?

Nastąpiło w tej sprawie jeszcze parę pożytecznych telefonów, po czym zaraz pojawił się z powrotem Kasperczyk. Instynktownie podeszli znów do okna, tamten miał minę nieprzeniknioną, Borowicz, uspokojony nagle, czekał w milczeniu.

— Sprawa się wyjaśniła — towarzyszu Borowicz — Kasperczyk mówił poufnie, jak lekarz, powiadamiający chorego o sekretnej chorobie. — Wyjaśniła się dosyć prosto. Polecenie obserwowania was wydała towarzyszka Kowalczyk.

— Kto?! Borowicz myślał, że się przesłyszał.

— Towarzyszka Kowalczyk. No, towarzyszka Władzia. Okazuje się, że ona już pracuje — wróciła z urlopu. I właśnie w wydziale kontroli — jako starszy referent. Ona podpisała zlecenie — ma prawo; poza tym, zdaje się, nikt nie jest zaangażowany.

— Skąd wicie to wszystko?

— No, oczywiście nie od towarzyszk Kowalczyk bezpośrednio. Tak, od kolegów...

Racja, Borowicz przypomniał sobie, że Kasperczyk był przecież człowiekiem z branży — w kontroli siedzieli pewno jego dawni współtowarzysze. Może o całej sprawie wiedział już przed tym — jakoś dziwnie szybko wrócił z wiadomością. Niech to cholera!

A swoją drogą Borowiczowi chciało się śmiać: więc to Władka?! Zazdrość, urażona kobiecość motorem działań Komisji Kontroli — to naprawdę komedia, choć rzecz na pewno dowodzi, że nie był jeszcze „towarzyszka Kowalczyk” zupełnie obojętny: tam, gdzie jest zazdrość, jest przecież również i miłość. Zatem cała sprawa nie wygląda znowu tak groźnie, domyślał się wszakże od razu, że w tym się kryje coś niepoważnego. Choć z drugiej strony Władka wiedziała o księdzu Krauze, o Paryżu, mogła się dużo domyślać, zawsze miała ogromną intuicję a znała go doskonale, przy tym była partyjnie czujna, niczym pies, pilnujący własności swego pana. Powodowana, jak to się mówi, zawiedzioną miłością czy zranioną ambicją mogła te wszystkie rzeczy połączyć i wyolbrzymić, mogła skomponować jakieś oskarżenie — przy tym dokładne relacje obserwujących go towarzyszy z owych tajemniczych spotkań na uliczce afrykańskiego komunisty nadawały się doskonale, zwłaszcza odpowiednio podane, do podsycenia i potwierdzenia wszelkich podejrzeń. Rzecz nie byłaby więc tak niewinna, jak się na pierwszy rzut oka wydaje: zazdrość i polityka wytwarzają czasem mieszaninę wręcz piorunującą. A swoją drogą to skandal, że nikt go nie zawiadomił o zmianie przydziału i stanowiska Władki, o tym, że już do nich nie wróci. Trzeba tę rzecz stanowczo wyjaśnić i kategorycznie zastrzec sobie...

Wtem zadzwonił telefon. Od rewelacji Kasperczyka upłynął zaledwie moment, ale Borowicz uszedł już sporą drogę myślową, zdążył zagłębić się w nową sytuację i oto ów ostry dzwonek przykro i nie na temat zaświdrował mu w uszach. Dzwonił w dodatku aparat bezpośredni, z miasta, mało komu znany. A może to...?

Podszedł do biurka i, nie patrząc na Kasperczyka, podniósł słuchawkę. Poznał oczywiście od razu głos Anny, rychło w czas się wybrała, nie ma co mówić!

— Dzień dobry! Głos jej wibrował niezwykłym podnieceniem,

prawda, już wczoraj była jakaś dziwna. — Słuchaj! Ksiądz Krauze musi się z tobą natychmiast zobaczyć! Ale to natychmiast!

Borowicz miał na czole krople potu, czuł też na całej twarzy uważny wzrok Kasperczyka. Kropla spływała w dół, startł ją lewą ręką, w prawej ścisnął słuchawkę.

— Mowy nie ma o żadnym zajęciu. Głos Anny był niezwykle agresywny, wręcz histeryczny — to u niej niebywałe, zawsze mówi raczej ironicznie, wyśmiewa się z innych i z siebie, a dziś coś ją wzięło, ale co? — Mowy nie ma, mówię ci. Musisz w tej chwili, za pół godziny zobaczyć się z księdzem, bo inaczej stanie się straszna historia. Coś straszego, rozumiesz? Dla mnie i dla ciebie! Ksiądz czeka tam przy szosie, za Bielanami. Słyszysz?! Rozumiesz?!

Borowicz czuje się jak osaczone zwierzę: nigdy jeszcze Anna tak do niego nie mówiła! Oczywiście rozmowy słucha teraz Rusin i w ogóle każdy z komitetu komu się tylko podoba (Władka pewno też), a tutaj Kasperczyk nie spuszcza z niego wyostrozonego jakby wzroku: Anna tak dziś krzyczy w telefon, że naturalnie w całym pokoju słychać. Borowicz spocił się jak po długim biegu, czoło ma mokre i śliskie, niezgrabnie próbuje wyszarpnąć lewą ręką chustkę z kieszeni. Nagle przypomniał sobie o niebieskim Wartburgu: nie może przecież w tej sytuacji spotykać się obecnie z księdzem Krauze.

— Ja teraz nie mam samochodu — mruży cicho w słuchawkę. Ale Anna jest nieubłagana. — To pojedziesz autobusem — mówi. — Od Placu Komuny wsiądziesz w „148”. Ale już, zaraz, bo za pół godziny musisz być na tej szosie. Inaczej stanie się nieszczęście, pamiętaj!

Brzęczący szcęk — to Anna przerwała połączenie. Skąd dzwoniła, czy od księży czy z jakiejś szklanej ulicznej budki telefonicznej?! To jest zresztą obecnie bez znaczenia, i tak już wszyscy wszystko wiedzą. Cóż to za bzdura, niepotrzebna historia: tam Anna, tu gdzieś w komitecie Władka, a wszystko razem chemicznie wyprane z najmniejszej odrobiny sensu. Na obłęd dwóch kobiet to już nawet Kasperczyk nic nie poradzi.

Powoli opuszcza telefon na widełki i po raz pierwszy od chwili dzwonka podnosi wzrok na Kasperczyka, podczas gdy tamten zmieniany czy jakoś nawet zmieniony, odwraca wzrok w stronę okna, gdzie ponad dachami niebieszczeje bezmyślne niebo. Borowicz wyjmuje wreszcie chustkę i długo, dokładnie wyciera pot z czoła. Po czym przeprosza Kasperczyka, nie patrząc mu w oczy: musi teraz na chwilę wyjść, ale wróci najdalej za godzinę, półtorej, prosi go tymczasem o zastępstwo.

Wyszedł jak we śnie na rozświetloną, ruchliwą ulicę i zdu-

miał się swej sytuacji: wypadki biegly coraz szybciej, jakby poza nim, stracił do nich klucz, stracił rozeznanie. Stał teraz na schodach przed Białym Domem (tak nazywano w Warszawie gmach Komitetu) i mrugał oczami w słońcu — kontrast z ciemnym parterem wielkiego budynku był zbyt nagły, przy tym Borowicz zwykle wychodził na wewnętrzny dziedziniec, gdzie stały samochody, tutaj czuł się jakoś zdezorientowany. Nagle przypomniał sobie o Komitetowej Komisji Kontroli: jeśli mają go śledzić, to będą to robić dalej, nie należało tu sterczeć, zwłaszcza, że wybierał się na spotkanie z księdzem — o tych spotkaniach mogli przecież jeszcze nie wiedzieć, jeśli śledzili go dopiero od czasu zainstalowania się z Anną na Woli, a tak mu się coś wydawało. Lepiej więc nie dawać im dodatkowej okazji do podejrzeń.

Przebiegł pomiędzy szeregami zatrzymanych przez czerwone światło samochodów i ukrył się w cieniu wielkiego gmachu Agencji Prasowej za kioskiem „Ruchu”, wypatrując, czy go ktoś nie śledzi i czy nie widać gdzieś niebieskiego Wartburga — zresztą tamci mogli zmienić samochód, zrobiliby w ten sposób dobry kawał. Trudno się w tym wszystkim było połapać, bo na Nowym Świecie i rondzie ruch panował ogromny, a drzwi prowadzące do Komitetu wciąż się otwierały, wpuszczając i wypuszczając rozmaitych ludzi — już to interesantów w tym miejscu nigdy nie brakło. Ukrytemu za budką Borowiczowi przypomniawszy się naraz okupacja — po tych samych warszawskich ulicach tropili go kiedyś Niemcy, a on wywijał im się niby zręczne zwierzę. Sytuacja tropienia powtarza się oto w jakże paradoksalnie zmienionych okolicznościach i pomyśleć, że te same ulice Warszawy, a w każdym razie te same bruki (bo poza nimi wszystko się tu przecież zmieniło, z wyjątkiem gmachu Agencji, gdzie przed wojną był bank) są terenem czy narzędziem coraz to nowych pościgowych akcji, coraz to nowych szaleństw. I to dziś, gdy na pozór nadeszły już przecież czasy rządów Rozumu. Resztki obłędu jeszcze się widać tułają, mogą nawet wziąć górę na jakimś poszczególnym odcinku, ale dla czegoż miałyby się to zdarzyć akurat na jego odcinku? Pewno przez przypadek — przypadku obawiał się zawsze, to było owe niezmiennie istniejące kwantum wydarzeń niewymiernych.

Stwierdził, że nikt go chyba nie śledzi i ruszył wreszcie szczeliną zastawionej autami uliczki Mysiej, mijając drzemiący po lewej stronie podługowaty budynek Cenzury. Przypomniały mu się słowa Piórczyńskiego że on, członek elity władzy („właściciele Polski Ludowej” — mówiono w Warszawie) nie wie pewno nawet, ile kosztuje bilet na autobus. Rzeczywiście nie bardzo to wiedział, co gorsza nie wiedział jak by najprędzej dostać się

na plac Komuny Paryskiej, dawniej zwany placem Wilsona. W końcu przypomniał sobie o trolejbusach idących Kruczą i jął się skradać w tamtą stronę, oglądając się często za siebie i przystając po bramach, aby sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie lub nie jedzie. Ale ani na zalanych jaskrawym słońcem chodnikach ani na rozprażonym do miękkości asfalcie jezdni nikogo takiego nie było widać: instynkt mówił mu tym razem że jest sam, sam wśród bruków, słońca i pompatycznych nieco bo z najgłębszego jądra polskiej epoki stalinizmu się wywodzących budynków tej dzielnicy. Cóż przy tym za wspaniała a do niczego w jego sytuacji nie służąca pogoda — jakiz kontrast z wczorajszą dżdżystą parnością na cmentarzu czy z szaro fioletową, ciepłą mgłą wieczoru. — I po co mi to wszystko — pomyślał nagle ni w pięć ni w dziewięć Borowicz. Poszukał szybko genezy tej myśli: istotnie, jeśli inni wariowali, czyż to powód, żeby on również zachowywał się jak typowy wariat? Ale nie było tu dyskusji, tylko imperatyw w absurdalny lecz konsekwentny supeł związanych faktów: miał się najkrótszą drogą dostać na Bielany i kwita.

W tym momencie przypomniał sobie o taksówce — nie wiedzieć dlaczego brał dotąd pod uwagę tylko autobusy i tramwaje. Jednak szybko zrozumiał dlaczego: jeśli go ścigano i obserwowano, taksówka ułatwiałaby tamtym zadanie, podczas gdy jadąc autobusem lub tramwajem był bardziej swobodny i przez to mniej uchwytny, mógł na każdym przystanku nieznacznie wysiąść, zgubić się w tłumie lub ukryć w jakiejś bramie. Tak, to stanowczo było lepsze.

Dopiero jadąc w stronę Żoliborza trolejbusem „51” zdał sobie sprawę, że cały czas myśli tylko o tym, jak uniknąć pościgu, a wcale jeszcze nie zastanowił się, po co właściwie jedzie zobaczyć się z księdzem Krauze i o czym będą rozmawiać. Kategorieczny i podniecony głos Anny przesądził tutaj sprawę, Borowicz zrozumiał nagle, że od samego początku boi się tej dziewczyny, nie tyle właściwie jej, lecz skandalu jaki mogła wywołać każdej chwili i nieobliczalnych skutków, które z tego mogły wyniknąć. Górowała nad nim właśnie możliwością swobodnych, choćby wariackich decyzji, podczas gdy on był związany mnóstwem względów; ściśle mówiąc związany był tym, że tkwił mocno wewnątrz życia, podczas gdy ona istniała poza tym wszystkim, istniała indywidualnie i automatycznie, na niczym jej nie zależało, więc o nic się nie bała, miała szeroki, hojny gest młodości, marnującej nonszalancko dobra własne i cudze. Choć co prawda dzisiejszy ton jej głosu w telefonie zdawał się świadczyć, że i na nią znalazł się jakiś bacik, że i ją coś w życiu przycisnęło. Co to mogło być? Pewno księża dowiedzieli się o całej ich sprawie

i, zgorzeleni, chcą ją wyrzucić. Będzie z tym mnóstwo kramu, będzie też pewno głupia rozmowa z owym Krauze, ale w końcu może i lepiej, że sprawa w ten sposób zbliża się do koniecznego dla wszystkich rozwiązania: Borowicz wyekspediuje wreszcie Annę do Paryża i owi wszyscy nareszcie odetchną — załatwi się rzecz jutro z Sawarą, ważna to pod każdym względem rozmowa. A już znalazłszy się w Paryżu Anna nie zechce chyba chwalić się przed dopiero co odzyskaną (a raczej uzyskaną) matką i swoim francuskim ojczymem jakimiś nieudanymi warszawskimi romansami. Z tej strony nie groziło chyba niebezpieczeństwo, zresztą pewno nie zobaczą się już nigdy, rewolucja nie prędko jeszcze dotrze do mieszczańskiego Paryża.

A co z Władką? Zrozumiał teraz, że i ona górowała nad nim i to nie tylko dlatego, ponieważ miała w tej chwili na usługach agentów. Górowała nad nim, gdyż od razu wiedziała, że ją zdradził, wiedziała nawet wtedy, kiedy się to jeszcze nie dokonało, nie skonsumowało i kiedy, bez słów wprowadzie, próbował ją przez swoje sztucznie normalne zachowanie utrzymać w przeświadczeniu, że nic się nie wydarzyło. Ma swoje prawo uważać go za oszusta i zdrajcę, choć on w intencjach był niewinny, bo wcale a wcale tego wszystkiego nie chciał. Właściwie wszyscy podejrzewają go i oskarżają o to, czemu nie jest winien: robił to zawsze Seweryn, a ostatnio choćby Dyrektor. Natomiast on wszystkich ich się w gruncie rzeczy boi, a w każdym razie jest wobec nich w sytuacji obronnej, defensywnie biernej, odgrywa się zaś co najwyżej na takich śmierzdelach jak Wojczyński. Dlaczego tak się dzieje — czy to jakiś pech, stały zbieg przypadków i okoliczności? — Taka już rasa — powiedziałaaby Anna. Ale Anna to psychopatka i nie może mieć racji, choć w wielu sprawach posiada jakiś przerażająco trafny instynkt, po prostu węch. Węch do złego — chciałoby się powiedzieć.

Borowicz zajmował się tymi wszystkimi myślami poza czasem i poza aktualnymi czynnościami, które od chwili dostania się na Kruczej do niezbyt o tej porze przepełnionego trolejbusu spełniał z machinalną automatycznością. Automatycznie wysiadł na ostatnim przystanku, którym był zielony, trawiasty placyk w sąsiedztwie Dworca Gdańskiego, automatycznie wdrapał się po stromych, kamiennych schodach na wiadukt, gdzie wsiadł do tramwaju w stronę Placu Komuny. Dopiero na tym placu automatyzm jego uległ zahamowaniu i zawieszeniu, bo nie mógł jakoś znaleźć autobusu „148” i pętał się beładnie wśród szyn tramwajowych, kiosku z piwem i nasłonecznionych ławek, na których beztrudno opalali się jacyś młodzi, przystojni ludzie — skąd w socjalizmie w samo południe takie mnóstwo próżniaków?

Znalazł wreszcie przystanek swojego autobusu i po dwudziestominutowym czekaniu włądował się doń szczęśliwie wraz z gromadką starszych kobiecín w chustkach na głowach; były to kobiety niemal wiejskie, jako że Huta „Warszawa” do której jechały stała się z pomysłu i łaski Szefa domeną ściągających do stolicy chłopów czy, jak obecnie mówiono, chłoporobotników. Szef dał im do mieszkania nowe, luksusowe na pozór choć mocno tandetne bloki, myśląc że na owym nowym życiu oprze swą przyszłą popularność. Grubo się przeliczył, tyle że w swej naiwności i samozadowoleniu wcale o tym nie wiedział — żył po trochu w świecie ułudy, ale to była też i jego siła. Może porządek rzeczy w ostatecznym rachunku nagnie się do porządku myśli?

Za hutą autobus opustoszał i Borowicz mógłby oddać się dalej rozmyślaniom, gdyby nie bał się przejechać odpowiedniego przystanku. Znał tę szosę doskonale, ale tylko z samochodu; wczoraj wieczór przecież jeszcze spotkali się tutaj z Anną, mimo to nie pamiętał rozmieszczenia przystanków i zjechał za daleko, bezradnie obserwując z okna maszerującego pobok drogi księdza, tym razem — o diabli — w sutannie mimo południowej pory i upału. Wsiadłszy wreszcie w szczerym polu Borowicz ruszył z powrotem na spotkanie tamtego. Gorąco było i kurz mimo wczorajszego deszczu, upłynęło z dobry kwadrans, nim się spotkali. Pobieżne spojrzenie na twarz księdza upewniło Borowicza, że szykuje się wielka awantura. Na zdrowie — im prędzej tym lepiej. Wiedząc co się święci nie podał mu na wszelki wypadek ręki, zresztą i tamten wcale się ze swoją nie kwapił, zadawałajac się suchym ukłonem. Chwilę szli obok siebie w milczeniu. — Słucham pana (nie księdza, to umyślnie) — przerwał wreszcie owo sztuczne milczenie Borowicz.

— Pan chyba wie, o czym chcę z panem rozmawiać — głos księdza był niby poprawny, ale lekko drżący z hamowanej irytacji.

— Mogę się co najwyżej domyślać — Borowicz mówił swobodnie — ale że domyślać się nie lubię, więc słucham.

— Pan skrzywdził, okrutnie skrzywdził tę dziewczynę! — Tym razem głos księdza zabrzmiał ostro i trochę świszcząco — klecha irytował się wyraźnie, wobec czego, prawem kontrastu i reakcji, Borowicz stawał się coraz spokojniejszy, ironicznie spokojny. — O jaką dziewczynę chodzi — wycedził jak najwolniej. — Może o Annę Baranowską, z którą mnie ksiądz zechciał zapoznać?

Tamten hamował się z trudem. Księża powinni być bardziej opanowani, tak przynajmniej sądził Borowicz.

— Ja ufałem panu, powierzając tę dziewczynę, a pan ją

uwiódł. Tę nieszczęśliwą dziewczynę, w dodatku prawie dziecko. Pan postąpił, pan postąpił...

— Ksiądz nie ma racji, proszę nie mówić schematami jak z Rodziewiczówny czy „Trędowatej”. Nie było mowy o żadnym uwiedzeniu — ta dziewczyna wie dobrze czego chce, aż za dobrze. Ciekawa rzecz takie klasztorne wychowanie — jeżeli jest nieszczęśliwa, to tylko przez to, upewniam księdza!

— Pan chyba nie zaprzecza...

— Nie mam czemu zaprzeczać ani co potwierdzać, nie mam w ogóle obowiązku przed nikim się tłumaczyć. Informuję księdza tylko, że o żadnym uwiedzeniu nie może tu być mowy. Nie to słowo, nie te czasy, nie ta sytuacja. A o tym co wy tam robicie po klasztorach warto by, owszem, pogadać. Ale nie teraz i nie tutaj. Całkiem gdzie indziej.

Siekl księdza ironią, atakował pogróżkami, tamten kurczył się i zwijał jak pod gradobiciem, ale nie ustępował. Trząśł ramionami, przeczył głową, starając się przerwać niespodziewanie płynny a demagogiczny (rozmyślnie) tok słów rozmówcy, Borowicz korzystał jednak teraz w pełni z zasady, że najlepszą formą obrony jest atak. Ale przeciwnik miał w zanadru cios i to jaki! Gdy tylko Borowicz zrobił chwilę przerwy dla zbadania efektu swych ataków tamten wykorzystał lukę.

— Pan nie zna sprawy, pan nie wie najważniejszego...

— A cóż jest najważniejsze, proszę księdza?

— Ta dziewczyna jest w ciąży.

W ciąży! Nie tylko treść tego słowa była dla Borowicza niespodziewana, jak przysłowiowy grom w jasne południe, ale sama forma akustyczna, sam dźwięk zabrzmiał jak coś zgoła niewiarogodnego, nieprawdopodobnego wśród otaczającego ich słońca, kurzu i stróżujących ciemnozielonymi szeregami przydrożnych topoli. Wszystko to nagle drgnęło, zawiroowało i przekreśliło się jak w zepsutym fotoplastikonie: drzewa czubkami do dołu, godzącymi w niebo, które znalazło się u ludzkich stóp jak bladobłękitne jezioro. Ale to tylko chwila i oto już świat widzialny wrócił do normy: niebo znalazło się znowu nad głową, drzewa korzeniami w ziemi a wierzchołkami u góry. Błyskawicznie Borowicz był już w centrum tej sprawy (jak szybko się człowiek przyzwyczaja!), co więcej, mógł od razu obserwować, jakby z zewnątrz, samego siebie i oceniać obiektywnie własne reakcje.

Rzecz w tym, że ani razu w dotychczasowym życiu nie zetknął się z podobną historią — ze śmiercią się spotykał, z narodzinami nie. Owszem, jak wszyscy tak i on wiedział dobrze, że ludzie powstają na skutek czynności, które ich rodzice spełniali przedtem

w łóżku, ale wiedział to czysto teoretycznie, w praktyce nigdy mu się te rzeczy, to znaczy łóżko i powstawanie dzieci, nie łączyły, nie kojarzyły ze sobą. Nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło, nigdy o tym z nikim nie rozmawiał, nawet z Władką; istniały w jego życiu łóżkowe czy nie tylko łóżkowe, bo bardziej wysublimowane miłości lub nawet miłość (cóż za zbędnie wielkie słowo!) ale nigdy, nawet w domniemaniach nie istniały żadne poza subiektywne tego konsekwencje. Tak więc cios był trafny, dotkliwy, nieoczekiwany. Ale czy nie był to cios fałszywy, wymyślony... Borowiczowi natychmiast przysłała do głowy chronologia całej sprawy. To przecież jeszcze za wcześnie, parę tygodni zaledwie, skąd tak od razu można było wiedzieć. Oczywiście Anna miała lęk przed prawami przyrody, to była jedyna rzecz, którą szanowała. Pewno wpadła w popłoch i przedwcześnie nariobiła alarmu, a ksiądz na to, jak na lato... Ci spowiednicy żyją po prostu z takich spraw, to jedyny grzech, jaki uznają, jaki ich interesuje.

Ksiądz oczywiście zauważył zaskoczenie Borowicza choć, przyjmując obiektywną miarę czasu, trwało ono zaledwie kilka sekund. Błędem byłoby pozostawienie mu dalszych jeszcze sekund na tryumfowanie, toteż Borowicz nie milczał długo.

— A cóż to znowu za pomysły — mówił na pozór lekko, ale z wyraźnie markowanym tonem ironii. — Cóż to, ksiądz bierze mnie za dzieciaka? Znam po trochu prawa biologii i upewniam księdza, że to jest niemożliwe. Niemożliwe po prostu z przyczyn czysto chronologicznych. Ta, jak ksiądz mówi, dziewczyna, jest czasem bardzo nie zrównoważona, po prostu fantastka — musiała sobie coś uroić i wmówiła to księdzu. Prosiłbym o nieco poważniejsze stawianie spraw: poważniejsze i bardziej liczące się z rzeczywistością.

Ale ksiądz nie dał się już tym razem stropić ani zirytować agresywnością Borowicza — zaobserwował sobie widać dobrze ową chwilę zaskoczenia, kiedy to zdecydowanie wziął górę nad partnerem. Zaczął teraz atakować.

— A ja sądzę, że takie stawianie sprawy nie byłoby godne pana — replikował mrukliwie choć spokojnie. — Mimo wszystko cenię pana wyżej; zresztą żadne wykręty i zaprzeczenia tu nie pomogą: ona jest w ciąży, upewniam pana, że zostało to stwierdzone w sposób kategorycznie wykluczający wszelkie wątpliwości. A przy tym znajduje się w strasznym stanie nerwów — gotowa na wszystko.

Gotowa na wszystko — w tym już brzmiała wyraźna nuta szantażu. Borowicz zaczął się przez chwilę zastanawiać, czy czubki przydrożnych topoli znów nie skierują się ku dołowi a błękit

niebios nie powędruje w górę. Wybawiło go z tego przejeżdżające auto; zbudziło ich ono lekkim ale ostrym sygnałem, musieli się usuwać na bok, robić mu miejsce. Z auta spojrzwały na nich jakieś zaciekawione oczy, zaiste, niezwykle to musiał być widok: ksiądz i zgoła nie ksiądz (mówiąc po prostu ksiądz i Żyd) wędrujący po społu w samo południe podmiejską szosą wśród poletek zboża, owsa i kartofli, u stóp ciemnozielonych topoli. Ktoś zainteresował się tym widokiem, ktoś (licho wie kto) ocenił jego niezwykłość.

Jednak dystrakcja jaką przyniósł ów samochód i związane z nim refleksje ocaliła Borowicza przed nowym, przekręcającym normalne rozmieszczenie rzeczy zawrotem głowy, który mógłby zostać wywołany owymi słowami księdza, że Anna gotowa jest na wszystko. W „straszonym stanie nerwów” i „gotowa na wszystko”! Tak, wczoraj już było w niej coś niezwykłego, ale dusiła to w sobie, a dziś przez telefon nastąpił ów hamowany wybuch. Rzeczywiście Anna trafiła akurat na to, czego się, jedyne w życiu, obawiała: na działanie praw natury, przeciw którym nie ma żadnego sposobu. Chociaż może jednak sposób by się znalazł? Założywszy oczywiście, że ksiądz nie fantazjował lecz mówił prawdę, co chyba nie uległo już wątpliwości.

Borowicz wiedział jak podwójnie, odmiennie u mężczyzny i u kobiety, działa ów instynkt, ów automatyczny popęd naturalny. Mężczyzna, przyrząd do zapładniania, chce kopulować i uciekać, wie że jak wybierze jedną kobietę, to koniec z zabawą. A znów kobieta przeciwnie: chce zatrzymać jednego, aby opiekował się potomstwem. Choćby nawet była puszczalska i cyniczna, to ten instynkt w niej siedzi i jak się jej uda go zaspokoić czyli złapać kogoś na stałe, to gotowa od razu zrezygnować z całej swojej fantazji i po prostu sporządzić. Czyżby i Anna uległa już, przedwcześnie, temu instynktowi? Trzeba wy badać tamtego, on coś o tym wie.

— Założywszy, że ksiądz mówi prawdę (głos Borowicza stracił swą agresywność, posiadacz jego stwierdził to ze smutkiem, ale cóż w tym wypadku było robić) — jakie ksiądz widzi sposoby załatwienia tej sprawy?

— Na razie widzę, że nie ma pan zamiaru traktować tej „sprawy” w płaszczyźnie moralnej. Ksiądz był bezczelny, pospiesznie inkasował zarobione punkty, ale Borowicz udął, że tego nie zauważa — nie miał na to czasu, mózg jego pracował teraz szybciej: — Czy mam się z nią na przykład ożenić?

Krauze spojrział nań dziwnym okiem: tego się najwyraźniej nie spodziewał.

— Dziewczyna jest katoliczką — wycedził — a znając pana...

poglądy, nie sądzę, aby chciał pan przejść na katolicyzm i wziąć z nią kościelny ślub.

— Moglibyśmy przecież wziąć ślub cywilny (— blefuję — myślał jednocześnie — przecież ani mi to w głowie!) — Polska Ludowa, jak ksiądz wie, nie żąda i w ogóle nie respektuje ślubów kościelnych.

— Ale powtarzam panu, że ta dziewczyna jest katoliczką!

— To się księdzu tak tylko zdaje — mruknął Borowicz. — Zresztą niech będzie. Nie bardzo tylko rozumiem, co wobec tego ksiądz zaleca. Ślub kościelny nie, cywilny też nie, więc co? Może pozbyć się tego dziecka, jeżeli ono tak naprawdę grozi!

Ksiądz naszkicował parę gestów pełnych wzburzenia, choć w gruncie rzeczy wcale chyba nie był zaskoczony, przeciwnie. — Tego od pana mogłem się spodziewać! Jęknął niemal, był obraźliwy, ale sztucznie — ten klecha to gracz nie lichey, w gruncie rzeczy przyszedł tu z jakimś gotowym planem, czekał tylko, aby z nim wystrzelić. Byli teraz współnikami, to obrzydliwe lecz nieuniknione. — Więc co pan proponuje? — mruknął wreszcie Borowicz, znudzony tą formalnością.

Z tamtym stało się coś dziwnego: opadło z niego oburzenie, gniew, zgorzenie tak, jakby były tylko maską. Został człowiek praktyczny, realista, wyłuszczający swe propozycje rzeczowo, choć głosem jakby dla przyzwoitości przyciszonym.

— Są dwa wyjścia. Albo poczekamy aż dziewczyna urodzi dziecko i potem załatwi jej pan wyjazd do Paryża. Rzecz odbędzie się u nas, w dyskrecji, dziecko możemy zatrzymać w naszym przyklasztornym przytułku, albo ewentualnie pan je gdzieś umieści — naturalnie przedtem je ochrzczimy. Inne wyjście: dziewczyna wyjeżdża teraz do Francji, oczywiście trzeba jej wreszcie załatwić ten paszport. Tam, jeśli by były kłopoty z matką czy z — ojcem, mogłaby też urodzić dziecko u naszych sióstr, a potem — sprawy są do omówienia. Poród można zawsze utrzymać w tajemnicy — tam czy tutaj. W każdym jednak razie dziecko musi być ochrzczone — dlaczegóż ta mała istota miałaby cierpieć za grzechy i błędy ludzi dorosłych!

W miarę jak mówił, opuszczał go spokój, wracała nerwowość — może pod pogardliwym teraz wzrokiem rozmówcy. Borowicz bowiem przejrzał już tego mizernego człowieka: księżyk chciał załatwić sprawę według nakazów swego kościoła, ale nie chodziło mu o względy ludzkie, o Annę czy o dziecko. Chodziło mu o skandal, o skandal, który rykoszetem uderzyć mógł w ich szczytkową instytucję. Klęska Borowicza ujawniona wszem wobec stałaby się ich klęską, byli po prostu współnikami w obawie przed skandalem — ksiądz szybko, obrzydłe szybko i obrzydłe porozumie-

wawczo przyznał się do tego współnictwa. I jakże szybko, bezceremonialnie szybko a ze swoistą, nieomylną praktycznością zadysponował wszystkimi sprawami. Dziecko w klasztorным przytułku, jego, Borowicza dziecko w klasztorным przytułku! Bezcelność — i to bezcelność jakże usłużna: a no przez chwilę brał tamtego na serio, zapomniał o interesowności i obłudzie, sławnej, unizonej katolickiej obłudzie.

Chciałby rozmówcy napluć w oczy, ale nie mógł tego zrobić, bo mimo wszystko rzeczywiście byli współnikami w owej obawie przed skandalem — skandal mógł zresztą zrujnować Borowicza dotkliwiej niż księdza, tamten wiedział o tym, stąd jego śmiałość i poufałość. Czubki topoli przez chwilę drgnęły, jakby znów chciały przekręcić się ku dołowi, ale i tym razem zostały na miejscu, w niebie: Borowicz był już znowu spokojny, myślał jasno, pannał nad sobą, rzeczowo odpędził odruchy i niesmaki.

A jednak nadal nie wierzył w to wszystko, nie czuł realności tej sprawy: to był jakiś szantaż, wymysł, sztuczna inscenizacja. Życie nie toczy się w ten sposób, nie przeżywał tego naprawdę. To jest niemożliwe, zupełnie niemożliwe!

XVII

Siedzieli w dość ponurym gabinecie, po obu stronach ogromnego biurka: Sawara tyłem do okna, w którego szyby siekł teraz deszcz, Borowicz przodem, na wprost wielkiego portretu Szefa. Między nimi, na blacie biurka stała ascetycznie, w szklankach podana czarna kawa i dwie butelki wody mineralnej. Tradycyjnych ciasteczek nie było, miało to widocznie podkreślić służbowy, nie zaś plotkarsko konfidencjonalny charakter wizyty. To zresztą i lepiej: chodziło o załatwienie konkretnych spraw, nie o żadne konfidencje.

Sawara uchodził za jedno z sumień partyjnych: poważny i nieprzekupny, rzadko pokazujący się publicznie, nie pchający się na wyższe stanowiska jaskrawo odbijał od owych dworskich komunistów, zaludniających tłumnie przyjęcia dyplomatyczne i premiery teatralne, plaże jugosłowiańskie czy bułgarskie, elegancjki, mówiących płynnie zachodnimi językami, zaopatrzonych, lichy wie jakim sposobem, w coraz to nowe modne samochody. Szef i Ludwik jeździli swoimi Mercedesami, mieli do tego prawo, to było wiadomo, ale skąd taki jeden z drugim facet ze Spraw Dyplomatycznych, pokazywał się wciąż w aucie coraz to innej marki? To nie byli żadni komuniści, służyli partii w zamian za żarło i służyliby tak wszystkim — obrzydła lecz nieunikniona piana, powstająca na powierzchni każdego mocno rozbełtanego płynu, każdego ustroju, zwłaszcza rewolucyjnego. Sawara, prawdziwy komunista z urodzenia i kariery, odbijał od nich uderzająco, może nawet zbyt uderzająco: czyżby kryła się w tym jakaś świadoma reżyseria, ale kto byłby owym reżyserem, bo major nie wyglądał znów na takiego orła, żeby sam mógł odpowiadać za swoją doskonale jednolitą sylwetkę niezłomnego. Szeptano tu

i ówdzie, że właściwym twórcą i eksponentem tej sylwetki jest jego mocodawca, Generał, który, uważając skrycie Szefa za tumaną a Ludwika za pozbawionego zdania pozera i nerwowego megalomana, postanowił ich uwieść czy zgoła nabrać taką właśnie, jednolitą i budzącą respekt, szlachetną postacią Majora, człowieka starszego od nich wszystkich i bez wątpienia zasłużonego. Tylko, że nie wiadomo było dobrze, do czego właściwie ta postać miała mocodawcy służyć, bo Generał na Szefa i Ludwika porwać się nie śmiał, zaniechał w końcu swojej niby opozycji, a całą działalność skoncentrował na zwalczaniu pomniejszych sitw w rodzaju tej właśnie ze Spraw Dyplomatycznych, a także na podgryzaniu autorytetu poszczególnych, w istocie nie groźnych pretendentów w rodzaju Dyrektora. Kogóż to rzeczywiście można było przeciwstawić staremu weteranowi historii Partii, jeśli nie również starego a nieskazitelnego Majora: przydzielono go rzecz prosta do Dyrektora aby tamtego pilnował i w końcu skompromitował, ale jak na razie obaj skompromitowali się solidarnie sprawą Gellera, któremu bez przeszkód dawali paszport zagraniczny. Sawara pałał teraz na pewno żądzą rehabilitacji, w tym leżała właśnie cała nadzieja.

Był to człowiek sześćdziesięcioletni, ciężki, barczysty, spoglądający bystro spod gęstych, siwych brwi, ale nie nazbyt bystry w replikach — może zresztą uważał, że do jego specjalności należało nie mówić zbyt dużo i zbyt szybko. Przed wojną był majstrem fabrycznym, kampanię 39 roku, choć komunista, odbył w normalnych szeregach jako sierżant-szef (stopień sierżanta posiadał jeszcze z poprzedniej wojny i to bodaj że... z kampanii polsko bolszewickiej), potem, w konspiracji, został instruktorem bojowym Brygady Ludowej i oficerem partyzantki przy Generale. Po wojnie od pierwszej chwili tkwił w służbie wewnętrznej, w okresie stalinowskim miał opinię twardego, po Październiku jednak żadne jego sprawy nie wyszły na jaw, bo był zawsze związany z Informacją i wywiadem wojskowym, a takich z zasady nie ruszano. W istocie niski jego stopień majora dowodził, że jest dalej w wywiadzie, zaś dla dołów partyjnych i młodszych działaczy pozostał osobą zupełnie nieznaną. Generał zdecydował się wysunąć go po raz pierwszy na bardziej eksponowane stanowisko w Wydziale Zagranicznym dopiero po skandalicznej ucieczce szefa wywiadu pułkownika Molberga do Ameryki. Sawara miał tutaj przez swą bezkompromisową czystość partyjną stawić czoło sitwom. Gdzieniedzie bąkano, że chodzi o sitwy żydowskie, Borowicz wiedział jednak, że tamten antysemitą nie był; miał poza tym również żonę Żydówkę, o czym zresztą na ogół nie wspomniano. Major nie lubił po prostu Endel-

berga, lecz nie za politykę, do polityki zdecydowanie się nie mie-
szał, pozostając tylko ekspertem od informacji i ochrony, lecz za
rodzinę w Izraelu i kombinacje ze szwajcarskim bankiem. Nie
lubił też beczelniaków z dyplomacji, nadgorliwców politycznych,
handlujących jednocześnie samochodami i zagranicznymi łałkami,
a potem, gdy dłużej bimbać się nie dało, nawiewających za gra-
nicę. I nic dziwnego, że ich nie lubił: bez względu na to, czy
byli czy nie byli Żydami. W prawdziwy rasizm i antysemityzm
Borowicz jak wiadomo nie wierzył i irytował się, gdy niektórzy
towarzysze wpadali z tej racji w popłoch lub też nadmiernie się
tymi rzeczami podniecali: nie po to zginęły miliony, aby owa
sprawa stała się znów aktualna — to nonsens i niesławny cień
dawnych urazów.

Tyle więc mniej więcej wiadomo było o Majorze — Borowicz
powtarzał to sobie teraz w błyskawicznym skrócie, siedząc
naprzeciwko tamtego i naprzeciw wielkiej szyby, w którą z zia-
nistym stukotem uderzał gwałtowny deszcz z gradem — już to
pogoda tego lata była dziwna, zmienna, w ciągu trzech ostatnich
dni na przykład w sposób absurdalny coraz to inna. Rozmowa,
wbrew spodziewaniu, nie kleiła się. Borowicz był pewien, że
tamten wie już o historii z Dyrektorem, przyjmie go więc co
najmniej jako potencjalnego sojusznika, tymczasem Major zachowywał się powściągliwie, z demonstracyjnym, zawodowym chłodem. A przecież przedwczoraj, przez telefon, był niemal serdeczny — czyżby dowiedział się jeszcze czegoś więcej, czyżby go ostrzeżono? A niechże go diabli porwą z tym jego ciężkim, służbowym milczeniem!

Głównym atutem Borowicza była w tej rozmowie informacja, że Dyrektor przysłał doń Gałęckiego z sugestią zrehabilitowania Gellera. Nadmienił coś o tym aluzyjnie, sądząc, że tamtego natychmiast podnieci, tymczasem nic z tego: rozmówca zdawał się absolutnie nie chwytać o co chodzi, a klarować rzecz wyraźniej, bez odpowiedniej zachęty z jego strony, byłoby niebezpiecznie; skoro nie chce podjąć tego tematu, gotów w rewanżu oskarżyć Borowicza o denuncjowanie towarzyszy. A może nie chce skorzystać z nadarzającego się atutu właśnie dlatego, że podsuwa mu go on, Borowicz? Byłby zatem w tym wypadku solidarny z Dyrektorem? A więc i tu źle trafiłem — o diabli! — myśli sobie Borowicz wpatrując się w zachlastaną deszczem szybę. Powoli pije kawę, powoli popija skrupulatnie i uważnie nalaną wodę mineralną i kompletnie nie wie co robić dalej wobec ciężkiego i nie oczekującego na nic milczenia tamtego. W dodatku przychodzi mu do głowy, że rozmowa na pewno jest nagrywana i jeśli naprawdę jakieś nonsensowne niebezpieczeństwo (ale jakie?

przecież ani Anna i ksiądz ani chyba Władka nie mają tutaj wpływów — choć ta ostatnia, kto wie?) wisi nad nim, to ta rozmowa może tylko sytuację pogorszyć. Po co więc tu przyszedł, czyżby stracił rozeznanie spraw i ludzi? Alarm! Alarm i ciemno w oczach, ale nie, to złudzenie, to tylko ciężkie, cieknące chmury za oknem zaciemniają pokój. Trzeba wziąć się w kupe, zmobilizować i wybrnąć jakoś z tego spotkania, które może ale nie musi okazać się niebezpieczne.

Skoro tamten nie podchwycił aluzji do sprawy Gellera, należało zatrzeć mu tę aluzję w pamięci (czyż to możliwe?) przez intensywne poruszanie innych tematów. Trzeba wywołać wrażenie, że owa historia z Gąteckim i Gellerem przyszła mu do głowy przypadkiem, po prostu gdy znalazł się oto w wydziale Dyrektora — zewnętrzne skojarzenie, nic więcej. Być może, że Sawara nie zauważył specjalnego, znaczącego nacisku, z jakim Borowicz poddał mu tę sprawę; ale nie, musiał to zauważyć, na chwilę zmarszczył nieznacznie krzaczaste siwe brwi, to u człowieka profesjonalnie opanowanego znaczyło dużo. Tak czy owak trzeba wsiąść na inny temat i to temat tak potencjalnie intensywny, aby mógł później przesłonić sobą w świadomości Sawary niefortunny początek rozmowy. Tylko skąd wziąć taki temat? Właściwym problemem, z jakim Borowicz się tu zjawił, była sprawa szybkiego wysłania Anny do Paryża, ale z tym nie należało wyskakiwać od razu, to powinno wyjść z rozmowy na końcu, nieznacznie, coś w rodzaju: „Przy okazji przypominałem sobie że proszono mnie...” — i tak dalej. Czy to się jednak uda? Tamten, mimo pozornej swej ościężałości był na to za sprytny, aby przyjąć tę sprawę jako coś pozbawionego znaczenia, poza tym przecież niemożliwa to rzecz, aby Komitetowa komisja kontroli była tylko na prywatne usługi Władki, aby nie składała komuś jakichś sprawozdań, aby treść tych sprawozdań nie dotarła już nie tylko do Seweryna, bo to było oczywiste, ale i do Generała, który o takich historiach musiał wiedzieć wręcz z urzędu. I nie tylko o takich — od czegoż wreszcie funkcjonował podsłuch. A jeśli wiedział Generał, to wiedzieć musiał i Sawara, jego przyjaciel i prawa ręka, choć chwilowo przydzielony do Wydziału Zagranicznego. W takim zaś razie udawanie przed nim, że paszport dla Anny to jakiś drobiazg bez znaczenia byłoby arcygłupie, po prostu dziecinna kompromitacja. Jak więc dojść do rzeczy i o czym tu tymczasem gadać? Nie można wszakże przeciągać w nieskończoność tej rozmowy, zwłaszcza, że Sawara okazywał w tej chwili nader skąpe zainteresowanie sprawom międzynarodowego ruchu robotniczego, w szczególności mikroskopijnie małym a nader lewicującym partiom komunistycznym Danii,

Austrii i Nowej Zelandii, na którą to tematykę Borowicz za pomocą jakiejś ekwilibrystycznej a rozpaczliwej sztuki przerzucił się teraz od sprawy Gellera.

Trudna to była rozmowa jak lichy: od wczoraj rano miał same trudne rozmowy. Nie skończyło się przecież na Kasperczyku i obmierzłym księdzu — czekała go jeszcze potem najcięższa i najbardziej irytująca ze wszystkich, wieczorna rozmowa w domu. Zwłaszcza sceneria tej rozmowy była fatalna: wielkie, puste mieszkanie z pootwieranymi drzwiami i oknami, jakiś zgoła filmowy wiatr hulający wśród tego wszystkiego, miotający oknami, firankami, storami, bo dzisiejsza zła pogoda przygotowywała się już wczoraj — od wczesnego popołudnia niebo jeło zasnuwać się chmurami, a potem rozpoczęły się gwałtowne zrywy owego jałowego, bezprzedmiotowego jakoś wiatru. I wśród tego szubienicznego skrzypienia okien, przeplatane czasem hukami zatraskiwanych drzwi czy ziarnistym stukotem czegoś co spadało z dachu, płatająca się, drobna i zagubiona lecz uporczywa sylwetka matki, czekającej na jego powrót aby się „ostatecznie rozmówić”. Akurat potrzebna mu była ta rozmowa do wszystkich kłopotów i niesmaków ostatnich dni, ba — całych uprzykrzonych tygodni, gdzie nieszczęsny niby romans z Anną nafaszerowany był jak gęś przykrościami, niepowodzeniami, ciemnawymi przeczuciami.

Od owej absurdalnej rozmowy z matką wtedy, w dniu wizyty Gałęckiego, nic się na pozór złego nie działo: służąca wróciła, matka robiła wrażenie normalne, tyle że za nic w świecie nie dawała wypchnąć się na odpoczynek do arcywygodnego komitetowego sanatorium w pomorskich lasach. Nie chcąc, aby ją zmusił do wyjazdu, zachowywała się układnie, lecz Borowicz podskórnie a nieomylnie wiedział, że coś się w niej dalej odbywa, jakiś proces psychiczny się rozwija. Wmawiał sobie, że lepiej będzie tego nie dostrzegać, tamtą zaś rozmowę uznać za niebyłą: wyrzucił przecież ową rozmowę ze świadomej pamięci, lecz oczywiście pozostała gdzieś w środku czy na dnie (właściwie na dnie czego?), tkwiła w nim i pracowała, drażyła go poza oficjalnym myśleniem, dlatego też to, co stało się wczoraj, wcale go w istocie nie zaskoczyło, jakby się tego cały czas spodziewał.

Najgorsze jego, niejako nieoficjalne przeczucia czy domniemanie sprawdziły się oto w całej swej soczystej okazałości, stały się ciałem. Po prostu Anna, w ciągu paru tygodni ich stosunku i owego niby zamieszkiwania na dalekiej uliczce imienia afrykańskiego komunisty, wciąż, nieraz kilka razy na dzień, telefonowała do jego matki. Skąd, z jakich zdefektowanych budek telefonicznych, kiedy, a zwłaszcza po co, to już było jej tajemnicą — cóż przy tym za odporność nerwowa i zgoła bezczelność w tej

dziedzinie, że potrafiła ukryć rzecz przed Borowiczem i nigdy nie po sobie nie okazać. Charakter twardy jak kamień, co z tego jednak za pożytek, kiedy siła jego obraca się tylko na realizowanie spraw i zamysłów obłądnych.

Można się domyśleć, jakie maniakalne bzdury wgadywała w matkę przez telefon: plotła oczywiście o rasie, o niewiadomym swoim pochodzeniu, o ich związku, który rzekomo z tych właśnie tajemniczych powodów nie może się ulegalizować (niby jak miałyby się legalizować?) o tym że musi dla wyjaśnienia „wielu wspólnych spraw” jechać jak najszybciej do Paryża. Wszystko to oczywiście przy podsłuchu — o diabli! Na szczęście nie mówiła jak się zdaje o Wandzie, łaska boska w ogóle, że nie znała ani jej prawdziwego nazwiska, ani nazwy miasta skąd pochodziła. To by dopiero była historia, gdyby jego matka się dowiedziała, że Anna jest wnuczką dumnego Lipszyca z S...; uznałaby to niewątpliwie za groźny, złowróżbny znak, za tajemniczą zemstę przeszłości, powracającej w jakiś niedocieczony sposób spoza kłębów niemieckiego gazu.

Ale i tak matka miała dosyć. Parę tygodni rozmów telefonicznych z Anną oraz ukrywanie tego przed synem wyczerpało ją całkowicie i wreszcie przyszło załamanie w postaci najklasycznego kryzysu nerwowego. Matka najpierw próbowała nad sobą panować, niezadługo jednak zaczęła krzyczeć na syna, grożąc mu wychudłą ręką jak szponem: że Henryk nie może ciągnąć dalej sprawy z tą dziewczyną, jeśli tkwi w tym „straszny problem rasy”, „przekleństwo, które zniszczyło nasze życie”, że nie wolno wtrącać nieszczęsnych istot w przepaść, że to się zemści na nich wszystkich (jakich wszystkich?!) i tak dalej i dalej. W końcu upadła niemal na ziemię, tarzała się u nóg Borowicza wstrząsana szlochem i konwulsjami, z trudem, po długim szamotaniu i krzykach udało mu się ją podnieść, zapakować do łóżka, zmusić do przyjęcia jakiegoś proszka. To ci dopiero generalna próba nerwów — szczęście, że służącej znowu nie było w domu.

Borowicz wiedział, że cała historia jest wynikiem rosnącego w matce od długiego czasu napięcia, wyzwolonego wreszcie przez trafiające na podatny grunt bajdurzenia obłąkanej Anny. Na temat tego napięcia dużo mógłby powiedzieć jakiś freudysta — podobno zwariowani z dobrobytu Amerykanie uważają freudyzm za naukę i stosują go w życiu codziennym. Urazy okupacyjne nałożyły się tutaj na poczucie dookólnego zagrożenia, na ów maniakalnie wyolbrzymiony mit powszechnego antysemityzmu, który kazał pułkownikowi Molbergowi w szczytowym punkcie kariery rzucić wszystko i zwać do Ameryki. Borowicz nie znosił tych

rzeczy: słabi ludzie, urazowcy, w niedorzeczny sposób żyjący przeszłością. „Nie znajdziemy nigdy ciszy ni przystani...” Brrr!

Zdawał sobie jednak sprawę, że stan matki jest niebezpieczny, grożą dalsze kryzysy i dla uniknięcia ich trzeba starszkę przenieść w inną atmosferę, izolować ją od dalszych bodźców w typie na przykład rozmówek z Anną. Wychodząc dziś rano przykazał służącej, aby przyjmowała wszystkie telefony, mówiąc, że nikogo nie ma w domu, ale licho wie, czy ta nieżyczliwa i chytra choć głupia chłopska dziewczyna go posłucha. A przecież grozi teraz nowe, fatalne niebezpieczeństwo: niech no tylko Anna znów zadzwoni i powie coś o owym wyimaginowanym czy rzeczywistym dziecku, wtedy koniec — biedna matka po prostu oszaleje. Nie można było do tego dopuścić; obecny współnik Borowicza obywatel Krauze (współnictwo w złym i to z księdzem, cóż za obrzydłość!) obiecał, że Anna nie będzie już, co leżało w obopólnym interesie, swobodnie kursować po mieście, trzeba jednak również uniemożliwić jej telefonowanie, musi zadzwonić w tej sprawie do księdza, który zostawił mu jakiś tam swój podmiejski numer.

Tak jednak czy owak, powinien wysłać matkę do odpowiedniego sanatorium i oddać pod opiekę dobrego lekarza, niekoniernie psychiatry, lecz orientującego się w sprawach nerwowych. Tylko że matka w obecnym swym stanie od razu wszystko wygada, najbardziej intymne ich sprawy staną się czyjąś własnością — choć zresztą najprawdopodobniej już nią są, wszak życie prywatne w dzisiejszej Warszawie, w ich środowisku w dodatku to czysta iluzja. Tak źle i tak niedobrze. Pewne jest jednak, że póki matka w obecnej sytuacji pozostaje sama w domu, póty wszystko wisi na włosku. Należy natychmiast wziąć dobrą, inteligentną pielęgniarkę. Ba, ale na to trzeba mieć trochę czasu, czasu nie tyle nawet zewnętrznego, co czasu psychicznego — w tym zaś celu trzeba załatwić z Sawarą sprawę wyjazdu Anny, z Sawarą, bo sklerotyk Dyrektor nie wchodzi tu już w grę. Musi to załatwić dzisiaj, teraz, tak umówili się z księdzem Krauze, inaczej tamten znów go będzie straszył i szantażował, a co najmniej obrażał. Bez pozbycia się go i tej całej sprawy nie może dalej działać, na parę frontów nikt jeszcze nie wygrał.

Borowicz siedzi jak na przysłowiowych szpilkach, prowadząc dalej obojętną, beztreściwą w istocie rozmowę o taktyce i polaryzacji małych partii komunistycznych (wpływ Chińczyków, temat ważki i ciekawy, ale nie w tej chwili), jednocześnie mózg jego pracuje z rozpaczliwą koncentracją, szukając drogi i to szybkiej do najważniejszego tematu. Wreszcie rozumie, że ma przed sobą zbyt starego wróbla, aby go zwodzić. Trzeba uderzyć wprost,

może właśnie nie szukająca wybiegów szczerść zdoła tamtego rozbroić czy zaskoczyć.

— My tu sobie gawędzimy — mówi wobec tego — czas Wam zabieram, wiem że jesteście zajęci (— Nic nie szkodzi, towarzyszu — mruczy Major z grzeczności), tymczasem ja w gruncie rzeczy przyszedłem tu z konkretną sprawą. Chodzi mianowicie o...

W tym momencie przerywa i powoli dopija resztkę kawy. Obaj nie palą, Sawara więc nie bardzo ma co w czasie tej przerwy robić, ale nie okazuje ani specjalnego zniecierpliwienia ani też zainteresowania, choć, sądząc potocznie, powinien w tym momencie, jak to się mówi, „nastawić uszy”. Może je i gdzieś tam wewnętrznie nastawił, ale z wierzchu nic po sobie nie pokazał, ludzie jego fachu mają już taką metodę, taki fason, żeby na pozór niczym się nie interesować, nie okazywać, że coś ich zaciękało, a w istocie wszystko co przychodzi z zewnątrz pilnie rejestrować — w tym wypadku zresztą rejestrowane to jest zapewne po prostu namacalnie względnie „nasłuchalnie”, czyli za pomocą ukrytego gdzieś magnetofonu. Tu Borowicz westchnął wewnętrznie, po czym od razu rzucił się głową naprzód w wodę i zaczął wyjaśniać Majorowi (mówił niemal sam do siebie, nie obserwując reakcji tamtego) sprawę „niejakiej Anny Baranowskiej, która...”

Mówiąc słyszał swój głos jakby dochodzący z daleka i czuł, że wszystko to brzmi okropnie głupio i fałszywie. Jego rozmówca może przecież znać sprawę i to z całkiem innej strony, z tego punktu widzenia wystąpienie Borowicza uznać by musiał za naiwną próbę wprowadzenia go w błąd, najgorsze właśnie że naiwną, bo partner zachowujący się naiwnie daje tym dowód, że kompletnie stracił głowę a z takim niebezpiecznie nawet się wdawać, zdolny jest bowiem każdego zarazić tym stanem i wciągnąć za sobą w topiel. Właściwie oddawał się tamtemu w ręce, teraz powodzenie zależało od tego, czy Major po prostu zechce mu pomóc, przymykając oczy na wszystko co zapewne wie, czy też uzna, że w najmniejszym stopniu nie warto się tutaj narażać. Będzie to więc papierek lakmusowy, którego zachowanie się zaświadczy o sytuacji Borowicza: czy jego utonięcie jest już przesądzone, czy jeszcze nie, to znaczy, czy wytworzył się już jakiś ów sławetny przeciąg, który mógłby wyrzucić niefortunego delikwenta na zewnątrz, poza życie partyjne i polityczne. W danym przypadku, Sawary, reprezentującego Generała, przeciąg mógłby być dopiero na linii Generał-Dyrektor (obaj, z najodmienniejszych powodów, przeciwko Borowiczowi), dopiero, gdy istniałaby jeszcze wówczas szansa odwołania się do czynników

wyższych, do Ludwika czy zgoła Szefa, co zresztą wychodziło na jedno, ci dwaj bowiem zawsze działali razem, mówiono nawet, że Ludwik nie odstępuje Szefa, pilnując go, aby nie popadł w nadmierną (szkodliwą nie tylko dla zdrowia) furię. Dopiero przeciąg najwyższy, przeciąg w Komitecie na linii Seweryn-Szef (czy Ludwik) mógł się okazać ostatecznie zabójczy — a przecież jeszcze go nie było.

Nie było, mimo to Borowicz wiedział, że walczy w tej chwili o życie, bo jeśli z Sawarą coś się nie uda, sprawa pójdzie wyżej, musi pójść, tylko w wypadku stosunku pozytywnego Major nie nada jej dalszego biegu — o ile uzna, że coś tu śmierdzi, na pewno odwoła się do góry, do jakiejś góry, choćby za pośrednictwem Dyrektora (mimo, że się nie lubili) co byłoby fatalne. Trzeba zarazem mówić i przekonywująco i bez specjalnego nacisku, tak żeby nie pobudzić czujności tamtego. Borowicz słyszy wciąż swój głos (nagrywany oczywiście na przeklętą taśmę) i stwierdza, że mówi zupełnie jak ksiądz Krauze, całkiem po kaznodziejsku rozwodząc się nad „biedną dziewczyną”, która zagubiła rodziców, ofiarą wojny i tak dalej, starając się jednocześnie stuszować jakoś kompromitujący moment, że Anna siedzi u klechów i całe swe krótkie zresztą życie tam siedziała. Niezręcznie to wszystko wychodzi, Borowicz z irytacji zaciska w pięści spotniałe dłonie.

Wreszcie skończył i nieznacznie ją obserwować reakcję tamtego. Była nijaka: Sawara nie okazywał ani specjalnego zainteresowania ani też skłonności do szybkiej odpowiedzi, minę miał słamazarną, jakby nie bardzo wiedział, co z tym osobliwym bądź co bądź w ich rozmowie fantem zrobić. Borowicz nigdy nie prosił o żadne prywatne paszporty, zajmował się tylko urzędowymi sprawami dziennikarskimi, miał pod tym względem czyste konto i na to liczył — jeśli oczywiście można było jeszcze na coś liczyć. Dopiero teraz, po niewczynie zrozumiał z wyrazistą jasnością, że jest spóźniony, bardzo spóźniony, że o sprawę paszportu dla Anny należało wystąpić albo w kwietniu, zaraz po powrocie z tego przeklętego Paryża, albo co najmniej parę tygodni temu, kiedy jeszcze nie zaczął za nim jeździć niebieski Wartburg i kiedy obawa przed szantażem nie uczyniła go mimowolnym sojusznikiem księdza Krauze. Błędy muszą się zemścić, opóźnienie jest typowym błędem — gdzie on właściwie miał głowę przez te wszystkie miesiące i tygodnie?!

Tymczasem Major bąknął coś, że żadne papiery wymienionej Anny Baranowskiej do Wydziału Zagranicznego nie wpłynęły i zapytał o numer i serię jej dowodu osobistego. Borowicz nie wiedział, czy miała ona już dowód, zapomniał zapytać o to księdza

Krauze — posiadanie dowodu obowiązywało dopiero od osiemnastu lat. Zająknął się nieco, a tamten siedział w milczącym oczekiwaniu. Nastąpiła chwila ciszy, tylko mijający wreszcie po trochu deszcz szemrał ocierając się o wielką szybę. I teraz nastąpiło zaskoczenie, bardzo niemiłe i wręcz alarmujące.

— Ciekawa rzecz — mruczał Major bez nacisku i nawet wahająco, jakby po prostu głośno myślał — że obywatelka Anna Baranowska w ogóle się jeszcze do nas nie zgłosiła, a tu już tyle w jej sprawie interwencji.

Teraz z kolei Borowicz nastawił uszu, musiał to jednak, w przeciwieństwie do tamtego, zrobić w sposób bardzo wyraźny, gdyż w twarzy Majora ujrział niewątpliwą reakcję, odbicie swego zaskoczenia.

— Tak, tak, towarzyszu Borowicz, wcale nie jesteście pierwszym, który przychodzi do nas w tej sprawie. Na przykład nie dalej jak wczoraj...

Major zawiesił głos, aby oczywiście, potorturować trochę swego rozmówcę. Borowicz rozumiał to, ale trudno, nie miał siły na walkę, dekonspirował się swym łatwo zauważalnym niepokojem, oddawał się tamtemu w łaskę i niełaskę, wiedział o tym i nic na to nie mógł poradzić: był zaskoczony, klasycznie zaskoczony. — Co nie dalej jak wczoraj? — wychrypiął niemal, gdy artystycznie perfidna przerwa w słowach Sawary przeciągała się, jakby zawieszona w próżni.

— Niedalej jak wczoraj był tu u mnie w tej sprawie towarzyszu... Grochowski. Głos Majora z jakąś niedostrzegalną (formalnie niedostrzegalną) ironią i satysfakcją zaakcentował to nazwisko partyjnego *outsider'a* i renegata, no i słusznie — wiadomo było, że nikomu a zwłaszcza Borowiczowi nie jest przyjemnie znaleźć się obok Grochowskiego, figurować w jakimś z nim współnictwie. Ale to było nawet w tej chwili drugorzędne (choć oczywiście w konsekwencjach jak najprzykrzejsze) wobec podstawowego zdumienia i zaskoczenia faktem jakiejś wspólności pomiędzy Anną a — Grochowskim. Co mogła dziewczyna pomyłona, młodzianka, całe swe nie długie życie w dodatku siedząca w klasztorze, mieć wspólnego z głośnym (nie tylko w przenośni) a zbankrutowanym rewizjonistą partyjnym — przeciw kogo jak kogo ale Annę o żadne już knowania polityczne posądzić było niesposób, o polityce wiedzieć mogła tyle, co dziki Papuas o energii atomowej (tu znów przypomniawszy się Borowiczowi conradowska nowela „Uśmiech szczęścia” z ową dziewczyną, która czytywała tylko kronikę wypadków). Cóż ona mogła mieć wspólnego z Grochowskim, cóż Grochowski...

Major zdawał się towarzyszyć jego myślom, bo zaraz odpo-

wiedział na owo pytanie, choć nie było ono wcale postawione i choć nie miał przecież żadnego obowiązku udzielać wyjaśnień — tu był chyba jego błąd (tak się zdawało później Borowiczowi), może po prostu nie mógł odmówić sobie przyjemności zaskoczenia Borowicza, a tymczasem właśnie go uświadomił i ostrzegł.

— Towarzysz Grochowski twierdzi, że matka tej młodej obywatelki była przed wojną w Partii, że miała zasługi. Czy wiecie coś o tym, towarzyszu Borowicz, czy znaliście matkę Anny Baranowskiej?

Zaskoczenia mają to do siebie, że ostrze ich się stępią, zwłaszcza, gdy następują jedno po drugim. Grochowski i Anna — to stanowiło rzeczywiste zaskoczenie, ale Grochowski i Wanda, to już miało jakiś sens, co więcej, wyjaśniało po trochu i tamtą sprawę. Oczywiście, Wanda była kiedyś, w okresie jakiejś tam ich niedocieczonej i nierealnej bo przedpotopowej młodości, towarzyszką — sam ją przecież wprowadził. To było, jak mówiono w Warszawie, dawno i nieprawda, ale widocznie przeszłość ma to do siebie, że nie od razu umiera całkowicie, lecz pewne jej, nigdy zresztą z góry nie wiadomo które, kielki czy nasiona zasadzone kiedyś, nie przepadają, lecz w najbardziej nieoczekiwanym momencie i miejscu wyrastają, puszczają pędy: w ten sposób przeszłość żyje jeszcze nadal w myślach ludzkich, żyje i nawet przekształca się, transformuje, w zależności od tego, co o niej wiemy, czy też co się o niej nowego dowiadujemy, przeszłość może się wciąż na nowo odsłaniać, ukazując coraz to inne swe fragmenty, co więcej przeszłość może się uaktywniać, wywierając nowy wpływ na teraźniejszość. Tak na przykład było w obecnym wypadku. Borowicz stracił kontakt z Wandą wtedy gdy na trzy chyba lata przed wojną wyjechał do Paryża. Wiedział, że również przyjechała z S... do Warszawy, ale na uniwersytet jej nie przyjęto, słyszał też piąte przez dziesiąte, że brała udział w jakiejś agitacji wśród młodzieży, kontynuując to, co jako uczniaki jeszcze rozpoczęli w S... I teraz wszystko się wyjaśniało, jak w zegarku, cudów nie ma (jakie to jednak szczęście, że nie ma), po prostu wtedy musiała się zetknąć z Grochowskim, który był, dzięki swej błyskotliwej i pełnej niby to erudycji wymowie, skierowany do pracy wśród młodzieży akademickiej i w ogóle inteligentkiej. Widocznie przypomniała sobie obecnie o dawnej znajomości (a także sądząc ze słów Majora, i o innych znajomościach z tego czasu) i, próbując wszelkich sposobów, jeła prosić kogo się dało o interwencję w sprawie paszportu dla Anny. Do Borowicza już się nie zwracała, zastrzegł to sobie, za to innych bombardować mogła prośbami, powołując się na dawne stosunki, nawet partyjne, nie wspominając oczywiście o swoim

dzisiejszym antypartyjnym i w gruncie rzeczy antypolskim nastawieniu, jakie z niej wyskoczyło wtedy w Paryżu, w owej knajpie którą wspominał jak najgorzej. Diabli w ogóle nadali, że tam pojechał, że zachciało mu się spacerować bulwarami i że nadział się na tego przekłętogo choć poczciwego Edzia. Nie należy nigdy wracać do przeszłości...

Ale w tej chwili, po pierwszym, przykrym czy zgoła alarmującym zaskoczeniu nazwiskiem Grochowskiego, cała sprawa i to właśnie z pomocą bardzo dawnej przeszłości, wydawała się klarować, optymistycznie się wyjaśniała, następcząc okazję do interpretacji zrozumiałej i strawnej dla Majora: o ile przed chwilą Borowicz myślał, że bezapelacyjnie spada po równi pochyłej, o tyle teraz poczuł, że zatrzymuje się i umacnia na pewniejszym gruncie. Owa, znana Majorowi, partyjna przeszłość Wandy tłumaczyła w dostateczny sposób zainteresowanie Borowicza jakąś dziwną dziewczyną z klasztoru, wychowaną przez klechów; również wspólność interwencji z kompromitującym Grochowskim traciła swe zatrute ostrze, jeśli zainteresowanie tamtego wiadomą sprawą sięgało czasów przedwojennych, czasów w którym miał nie kwestionowane zasługi dla Partii, kiedy nie śniło się jeszcze nikomu o jego przyszłej niefortunnej opozycji i renegactwie — toć wówczas już chyba był przyjacielem Szefa.

Wszystko to Borowicz pojął w jednym momencie, znów owa utajona w człowieku maszyna elektronowa wykonała swą pracę bezbłędnie a błyskawicznie. Błyskawicznie, lecz jednak zbyt wolno widać dla Majora, który najwyraźniej uważał, że w rozmowie nastąpiła jakaś przerwa, jakieś zahamowanie: prawda, czekał przecież odpowiedzi na swoje pytanie. A jednak Borowicz dał się zaskoczyć, za długo myślał. Choć z drugiej strony to może dobrze: odzyskuje niezależność, nie musi się spieszyć z każdą odpowiedzią.

— Czy znałem jej matkę? — wymruczał tajemniczo. — Tak, oczywiście że ją znałem. Przed wojną, oczywiście.

— Jej matkę Wandę, Wandę Baranowską? Baranowską, tak?! Major jakoś specjalnie nastawał na owo nazwisko, powtórzył je jeszcze kilkakrotnie, było to nawet niegrzeczne, zważywszy, że Borowicz przed wojną też nie był Borowiczem. Faktem jest jednak, że nigdy o żadnym nazwisku „Baranowska” w stosunku do Wandy nie słyszał, niedawno dopiero w ogóle uświadomił sobie, że mała Anna tak się nazywała: pewno Wanda, wyjeżdżając do Niemiec na roboty podała owej klasztornej kobiecie to nazwisko, prawdopodobnie sama go używała, takie miała widać papiery, wyrobione przez owego Niemca, Borowicz nagle uświadomił sobie, że Anna była pół Niemką — choć nie znała

szczegółów czuła jednak coś podobnego, stąd także jej bajdurzenia o rasie, którymi tak zdenerwowała matkę. Trzeba absolutnie skończyć z tymi rozmowami, choćby nawet wyłączając telefon!

Ale tymczasem Major, obecnie już w charakterze petenta niemal, wciąż dopytywał się o owe nazwisko. Pewno w gruncie rzeczy nic nie wiedział i macał na oślepi, ci ze Służby Wewnętrznej często byli dziecinni, choć udawali Sherlocków Holmesów. Rozmówca nie miał jednak zamiaru niczego mu ułatwiać, tamten przecież też nie grał w otwarte karty. — Baranowska nie Baranowska — Borowicz jest już obojętny i zdawkowy — to, wiecie, wszystko jedno. Dawne czasy, dawni ludzie. A w Partii była, tak, oczywiście — przed wojną.

Wielką szybę za plecami Sawary lizać zaczęło słońce, przed chwilą objawione, blade i nieśmiałe po niedawnych gradach i wichurach, ale jakby symbolizujące pozytywny dla Borowicza zwrot w rozmowie. Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał rzeczowy, obiektywny teraz choć raczej życzliwy głos Majora.

— A więc na razie nic o tej sprawie powiedzieć nie mogę towarzyszu, póki obywatelka Anna Baranowska się do nas nie zgłosiła. Niech przyjdzie jak najszybciej. — — dodał na pytające spojrzenie Borowicza — od razu tu do nas, nie na milicję. Podam nazwisko na dole i uprzedzę. Zrobię co się da — przy takich referencjach! (tu znów w głosie jego zabrzmiała nuta niezbyt sympatyczna, jakby ironia: no tak, Grochowski to była czerwona płachta na byka, na wszystkie partyjne byki w całej Warszawie; nic nie robił tylko drażnił ludzi — niepoważne i nieowocne zajęcia!).

Z wewnętrznym skrzywieniem wyobraził sobie Borowicz rozmowę Anny z Sawarą, a przecież rzecz to nieunikniona. Liczył tylko, że Anna zrobi zawsze nie to, czego można by oczekiwać i że w sprawach konkretnych potrafiła być niesłychanie sprytna. Swoją drogą cóż za szatan siedzi w tej dziewczynie... Przypomniał sobie nagle sprawę rzekomego ojcostwa i wzdrygnął się: nie, nie miał dotąd zamiaru przedłużać istnienia swego gatunku, a jeśli już, to na pewno nie w ten sposób.

Na odgrodzonym od ulicy piękną, kutą kratą dziedzińcu Wydziału Zagranicznego czekało na Borowicza auto komitetowe z kierowcą. Postanowił zaniechać teraz ekskursji solowych, aby nie zwracać na siebie uwagi i nie ułatwiać zadania towarzyszom z niebieskiego Wartburga. Wyczerpany, trochę pusty wewnętrznie jechał już po chwili Puławską; siedząc obok szofera przyglądał się bezmyślnie wielkim kałużom, w których odbijało się tęczo-wo coraz teraz śmielsze słońce: druga połowa lipca, a pogoda jak w marcu. Gdy wjechali między szumiące drzewa Alej, posta-

nowi! wpaść do domu i zobaczyć co z matką. Przypomnienie wczorajszej sceny omroczyło mu myśli — nie miał przecież jeszcze czasu uporać się z tą sprawą.

W mieszkaniu nagła cisza, cisza chłodu i oddalenia, cisza starych murów i ścian tego zakątka, która opłynęła go, gdy tylko, skończywszy zgrzytanie kluczami, zatrzasnął z nieuniknionym hukiem drzwi od schodów. Zanim miał czas zorientować się w tej ciszy, pomyśleć co ona znaczy, dojrzał jakiś niezwykły papier, leżący na okrągłym „gerydonie” (arcymieszczkański to był mebel!), w mrocznym a przestronnym hallu. Niezwykły, bo zalatywało od tej złożonej i skleionej przesyłki bez znaczka pocztowego czymś urzędowym, a wszystkie pisma urzędowe przesyłano mu do Komitetu, jego prywatny adres dla tych spraw nie istniał. Z daleka już przeczuł raczej niż zobaczył nadruk: „Ministerstwo Porządku Publicznego, Wydział Śledczy”. Nie spiesząc się przysunął sobie drzemający w kącie hallu niezbyt tu zresztą odpowiedni wielki fotel (z wnętrza mieszkanie wiało wciąż ową nieruchomą ciszą), starannie rozerwał sklejoną od środka przesyłkę i, dalej się nie spiesząc, czytał.

Był to drukowany blankiet, w którego poszczególnych rubrykach zostawiono miejsce, celem wypełnienia go pismem ręcznym. Druk obwieszczał, że Wydział Śledczy wzywa obywatela (tu wolne miejsce, gdzie atramentem wpisano: „tow. Henryka Borowicza”) do zgłoszenia się w siedzibie Wydziału, Warszawa, Plac Kasprzaka 3 (tu następowała data jutrzejsza oraz adnotacja: pokój 117 a, III piętro), w charakterze (tę rubrykę pominięto), celem, i tu wpisano „złożenia wyjaśnień”. Następowała pieczętka: Oficer śledczy, M. Białowicz, kapitan, a w poprzek jej zamasztyśty podpis.

Borowicz siedział spokojnie, jakby się czas zatrzymał. Spokój ten był na miarę ciosu, który go spotkał, czuł to, obserwując siebie jakby z zewnątrz, obserwując zresztą bardzo obiektywnie i pilnie wszystko wokół, na przykład jakąś zabłąkaną, zdychającą chyba muchę, której papierowe, skrzeczące brzęczenie zakłócało majestatyczną ciszę hallu. Nie było dwóch zdań, tu już miało się do czynienia z autentycznym gromem nie z jasnego nieba wprawdzie, bo niebo od dłuższego czasu bezsensownie lecz konsekwentnie się zaciemniało, ale gromem wykraczającym swą siłą poza wszystkie pseudo pioruny, jakie uderzały w niego ostatnio. To było autentyczne, odpowiadało tylko i jedynie owym przecuściom, na temat przechodzącego w zawieruchę przeciągu, przecuciom, które nosił w jakiejś trzeciej czy czwartej (od górnej powierzchni licząc) warstwie swej podświadomości. Tak: przeciąg nadszedł, świadczyła o tym choćby forma wezwania, skierowana

do niego, członka Komitetu i kierownika wydziału, wezwania, o którym nikt nie raczył go uprzedzić, nawet ten głupi Sawara, choć z pewnością wszystko wiedział. A on się łudził (czy wma-
wiał w siebie to złudzenie), że wygrał z tamtym rozmowę. Tym-
czasem to już wcale nie była rozmowa, to było czyste udawanie:
nie rozmawia się w Partii z człowiekiem, który stoi na przeciagu,
w którego już jutro a właściwie już dzisiaj ma uderzyć grom!

XVIII

„Kapitalizm jest praktyką, jest rzeczywistością, socjalizm natomiast dopiero się jako praktyka tworzy, idealistycznym błędem byłoby więc twierdzenie, że to co mamy, to nie jest prawdziwy marksizm lub też porównywanie naszej rzeczywistości z jakimś idealnym wzorcem, którego przecież nigdzie nie ma. Nasz ustrój, to marksizm, który wytrzymał próbę życia i obecnie to życie przetwarza. Wciąż trzeba pamiętać, że kapitalizm istnieje już jako model, natomiast model socjalizmu dopiero się kształtuje i w tej, rodzącej się postaci nie jest porównywalny ani wobec ukształtowanej już praktyki ani wobec teorii. Przeżywamy okres rozwoju, stąd konieczna jest ostrożność ocen i czujność na obie strony”.

— Czy przypominacie sobie, towarzyszu, te słowa?

— Oczywiście, że sobie przypominam.

— Są to...

— Są to moje własne słowa, powiedziałem je na konferencji prasowej w sprawie Gellera.

— Słusznie. Właśnie z protokołu tej konferencji je zacytowałem. Czy nie sądzicie, że w słowach tych można by się dopatrzeć niewiary w realność socjalizmu jako praktyki? A także wyprowadzić z nich wniosek, że jedynie kapitalizm jest organiczny a więc realny?

— Nie sędzę. Wręcz przeciwnie.

— Spróbujcie to wytłumaczyć, rozwinać.

— Szło mi o to, że kapitalizm nie był nigdy teorią czy koncepcją — w znaczeniu filozoficznym. Powstał sam z siebie, jako praktyka wyzysku, eksploatacji ludzkiej pracy i rosnącej dysproporcji dochodów, powodowanej geometrycznym postępowaniem nadwartości. Był więc od początku praktyką, dopiero później,

po fakcie, podejrzani apologetci zaczęli do tej praktyki dorabiać teorie.

— A socjalizm?

— Socjalizm zaczął od ustalenia przyczyn wyzysku i nierówności, które doprowadziły do monstrualnych cech kapitalizmu, a ustalwszy te przyczyny i rządzące nimi prawa, uzbrojony w swą wiedzę przystąpił do walki o rewolucyjną zmianę sytuacji. Tak więc droga socjalizmu była odwrotna niż droga kapitalizmu. Kapitalizm szedł od bezmyślnie żywiołowej praktyki do późniejszych, nieudolnych prób teoretycznego uzasadniania, socjalizm od naukowej teorii do świadomie rewolucjonizującej życie praktyki.

— Czy nie sądzicie, że w ujęciu takim zawiera się stwierdzenie utopijnego charakteru socjalizmu?

— Wręcz przeciwnie: właśnie ustalenie naukowo teoretycznych podstaw działania przesądza o realizmie, podczas gdy intuicyjno żywiołowe, ułamkowo tylko uzasadnione postępowanie kapitalistów decyduje o irracjonalnym w gruncie rzeczy rozwoju ich praktyki, ich działania.

— A dlaczego uważaliście za właściwe wprowadzić te ujęcia właśnie do waszej konferencji w sprawie Gellera?

— Bo Geller był demagogiem, wykorzystującym nieświadomość i niedostateczne przygotowanie teoretyczne wielu towarzyszy. Należało temu przeciwdziałać.

— Przeciwdziałać, to znaczy?...

— To znaczy wykazywać błąd, jaki rozmyślnie czy nieświadomie popełniał Geller.

— Może zechcecie zdefiniować ten błąd?

— Zdefiniowałem to już w słowach, któreście zacytowali.

— Zechciejcie zrobić to jeszcze raz, dokładniej.

— Geller porównywał ze sobą rzeczy niewspółmierne, na przykład, przewidywany przez klasyków cel, punkt dojścia, jakim jest socjalistyczne społeczeństwo bezklasowe z etapem drogi do tego celu, jakim jest w tej chwili nasza walka z pozostałościami burżuazyjnych pojęć i urządzeń w tym, bardzo w dodatku specyficznym, nie typowym kraju. Nie można porównywać partii na etapie walki, z tążę partią, która się znajdzie na etapie zwycięstwa, tak jak nie można porównywać dziecka, którego organizm dopiero się rozwija z organizmem człowieka dojrzałego. To oczywiste dla każdego, kto w realnych warunkach walczy o socjalizm — tylko jednostki wyizolowane i egocentryczne jak Geller mogą popełniać tego rodzaju błędy.

— To ciekawe, co mówicie o specyfice, nie typowości Polski. Rozumiecie przez to że...

— Że kraj ten nie przeżył nigdy okresu w pełni rozwiniętego

kapitalizmu, w związku z czym i ruch proletariacki nie odznaczał się tu pełnym rozwojem świadomości. A poza tym jest tutaj jeszcze wiele innych spraw specyficznych: problemy narodowe, terytorialne. Tak więc...

— Tak więc wiedza teoretyczna klasyków nie stosuje się, według Was, do takich krajów, jak Polska?

— Tego nie powiedziałem.

— Ale to wynika z Waszych słów. Znaczyłoby to, że rewolucja wybuchła nie w tych krajach, co trzeba. Od tego zaś z kolei jeden krok do trockizmu, do chęci korygowania klasyków na własną rękę. Nie sądzicie?

— Nie sądzę. Nie jestem ani trockistą ani stalinistą. Wiem natomiast, że Lenin, widząc walkę narodów kolonialnych o wolność uzupełnił tezy klasyków, wzbogacając je, tak jak oni sami by je wzbogacili, gdyby im było dane żyć w naszej epoce.

— Macie na myśli: „Imperializm jako ostatnie stadium kapitalizmu?”

— Oczywiście.

— Uważacie więc, że w Polsce rewolucja przebiegać może inaczej, tak jak w krajach kolonialnych czy półkolonialnych?

— Rzecz jasna. Uwzględniając jednak...

— Czy powiedzieliście następujące słowa, cytując: „W Polsce burżuazyjnej stosunki własności jeśli chodzi o kapitalizm przemysłowy, wytwórczy, zlikwidowali w dużym stopniu Niemcy podczas okupacji hitlerowskiej. Rewolucja, zastawszy teren mocno zniwelowany a poszukując wroga klasowego, po likwidacji większej własności ziemskiej, skierowała się przeciw sklepikarzom i rzemieślnikom, marnując w ten sposób siły, które zachować należało i skierować wyłącznie ku budowaniu nowego. Nie jest ważne, kto zburzył, ważne jest, kto i co buduje”.

— Nie, nie powiedziałem tego.

— A jednak powiedzieliście to. Na konferencji redaktorów naczelnych w październiku zeszłego roku. Powiedzieliście też wtedy, że rewolucja socjalistyczna w naszej epoce tryumfowała tylko dzięki wojnom.

— Nie powiedziałem tego.

— Z tej konferencji mamy również protokół.

— Nie powiedziałem tego, lecz zacytowałem. To chyba różnica?

— Czyli, że mówiąc to, przytaczaliście poglądy cudze?

— Oczywiście. Poglądy towarzyszy, z którymi się nie zgadzałem.

— Nie zgadzaliście się, czy nie zgadzacie się?

— I jedno i drugie.

— Jacy to są towarzysze, z których poglądami nie zgadzacie się?

— Nie chciałbym na to odpowiadać.

— Odpowiedź jest konieczna.

— No więc dobrze: towarzysz Grochowski i towarzysz Gałęcki.

— W porządku. Wróćmy jeszcze do Waszej polemiki z Gellerem. Powiedzieliście, że chciał on porównywać naszą rzeczywistość „... z jakimś idealnym wzorcem, którego przecież nigdzie nie ma”. Nie sądzicie więc, żeby kraje starsze od nas rewolucją i socjalizmem mogły być dla nas przykładem?

— Macie na myśli Związek Radziecki?

— Oczywiście.

— Geller w swej negacji nie robił rozróżnień, rozciągał ją na wszystkie kraje socjalistyczne, również Związek Radziecki atakował za rzekome odejście od marksizmu. W tej sytuacji nie można było wdawać się w rozróżnienia: chodziło o frontalną polemikę z poglądami szkodliwymi dla nas wszystkich.



„Kapitalizm ma demokrację polityczną, niweczoną jednak przez nierówności społeczno-gospodarcze, socjalizm natomiast jest demokracją społeczno-gospodarczą, a władzę polityczną przystosowuje do jej wymagań”. — Czy znacie te słowa?

— Tak. To moje słowa.

— Pochodzące z...?

— Z tego samego referatu na temat Gellera.

— Czy słowa te nie sugerują, że w kapitalizmie jest demokracja i wolność polityczna a w socjalizmie nie ma?

— Wiecie dobrze, że nie.

— Cóż więc one znaczą?

— Znaczą, że wolność demokratyczna w ramach ustroju kapitalistycznego jest złudzeniem, kłamstwem, bo wobec narzuconych rygorów społeczno-gospodarczych nic konkretnego ludowi nie daje, choć uzewnętrznia istniejące różnice społeczno-polityczne. W socjalizmie natomiast nie ma wolności politycznej typu burżuazyjnego, bo wolność taka zakłada istnienie różnic społeczno-ideowych, a tu ich być nie może i nie będzie.

— Czy nie sądzicie jednak, że sposób, w jaki wypowiedzieliście tę myśl, wydaje się dwuznaczny i może nasuwać przypuszczenie o braku u nas wolności politycznej?

— Nie, nie sądzę. Chodzi tu przecież o dwie zupełnie od-

mienne sprawy. Rozróżnienie to jest zasadnicze a przy tym dobrze znane, wyjaśniane na szczeblu szkoły partyjnej.

— Jak wobec tego wyraża się Waszym zdaniem wolność polityczna w socjalizmie?

— Oczywiście poprzez Partię, będącą organizacją powszechną a kierowniczą.

— Na tej samej konferencji przypomnieliście jednak, że kierownicza rola Partii w Polsce nie jest uwidoczniła w konstytucji?

— Tak. Chciałem przez to podkreślić, że wynika ona bezpośrednio z autentycznego życia, a nie z formalnego przepisu prawa.

— Ale przypomnienie tego mogło dać argument wrogowi.

— Ja tego nie przypominałem, robił to wielokrotnie Geller. Nie uważałem za stosowne, by pominąć ten jego argument, zwłaszcza wobec środowiska dziennikarzy, które ma dobrą pamięć, jest spostrzegawcze i pobudliwe. Nie miałem tam ułatwionej sytuacji: z nimi nie można wykręcać się sianem!

— A ktoś się wykręca sianem?

— Mówię, że tam trzeba argumentować wyczerpująco i prawidłowo.

— Czy na tym samym zebraniu powiedzieliście że „... negocjowanie komunizmu nie jest drogą do jego obalenia — drogą do jego obalenia jest rzekome jego reformowanie?”

— Owszem, powiedziałem.

— Cóż to znaczyło?

— To znaczyło, że nie boimy się wrogów klasowych, którzy są u nas na głowę pobici, szkodę naszej sprawie przynieść może natomiast działalność wewnętrzzopartyjnych dywersantów ideologicznych. Wrogowie klasowi znajdują się na zstępującej fali historycznej, tego procesu nic już nie odwróci, natomiast reformiści jadą na jednej fali z nami, dlatego mogą szkodzić — zwłaszcza wobec istnienia jeszcze na Zachodzie burżuazyjnej forticy, z której idą środki na wszelką działalność destrukcyjną wewnątrz naszych partii.

— Powiedzieliście jednak także, że wszystkie reformy w socjalizmie sprowadzają się w gruncie rzeczy do odtworzenia i przywrócenia tych urządzeń, które od początku istniały w kapitalizmie. Nie wierzycie więc, aby poza kapitalizmem socjalizm mógł sobie znaleźć własną drogę rozwojową?

— Przepraszam, ale to znowu nie ja powiedziałem!

— Któż więc taki?

— Towarzysz Grochowski — w swoim czasie. Ja go tylko cytowałem.

— Dziwnie się jakoś, towarzyszu, z towarzyszem Grochowskim spotykacie.

— Protestuję kategorycznie przeciw tego rodzaju insynuacjom! Jeśli z kimś polemizuję i walczę, to oczywiście, że się spotykamy, ale po dwóch różnych stronach barykady. Insynuowanie że...

— Nie denerwujcie się, towarzyszu Borowicz i nie używajcie ostrych słów — to niepotrzebne. My sobie przecież tylko pewne sprawy wyjaśniamy. Przejdźmy teraz do...



Taki tenis czy ping-pong myślowy toczył się już od wielu godzin: Białowicz serwował piłkę, Borowicz, przyczojony skoncentrowany odbijał ją błyskawicznie, intuicyjnie, niemal bez namysłu — gra tak go wciągnęła, że na nic innego nie zważał, nawet we wszystkich wewnętrznych podszewkach i podziemiach mózgu nic się nie działo: tylko tenis i nic więcej. Trzeba przyznać, że partner był dobry: młody jeszcze człowiek w wieku co najwyżej Borowicza, szczupły, opalony, jedynie leciutko posiwiwały, ze specyficznym, poznańskim czy pomorskim wymawianiem litery „r”. Borowicz nie znał go zupełnie ani nigdy o nim nie słyszał: podejrzał, że wywodzi się z Hiszpanów. Tak zwani Hiszpanie, czyli dawni kombatanci z rewolucyjnej wojny hiszpańskiej stanowili w Partii jeszcze jedną zwartą grupę a raczej masonerię, solidarną wzajemnie ponad pokoleniami i frakcjami. Zasadniczo wszystkie partyjne czystki ich oszczędzały (z wyjątkiem sławnej afery generałów), pełno ich było zwłaszcza w Służbie Wewnętrznej i to zarówno przed tak zwany Październikiem jak i po nim. Mieli opinię świetnych fachowców, wynieśli ją właśnie jeszcze z Czerwonej Hiszpanii, gdzie obok walki z faszystami toczyła się bezlitosna, wewnętrzna walka o rzekomą czy prawdziwą czystość linii politycznej — ofiarą padło wielu towarzyszy. Walkę prowadziła zakonspirowana stalinowska służba terrorystyczna, której francuskim eksponentem był słynny towarzysz Marty. Oczywiście, rozgrywał się tam mikrokosmos rewolucji, rewolucja to, jak wiadomo, nie sielanka — w stalinowskim ferworze wykonano jednak i sporo niewinnych a wiernych towarzyszy, Borowicz słyszał o tym wówczas w Paryżu. Przypomniał sobie starą historię z córką hiszpańskiego ministra — gdyby Białowicz rzeczywiście był z tamtej służby, to znajdowali się wtedy, jako nie znający się współkombatanci, po dwóch stronach granicy. Ciekawie się to wszystko splotło i nadal splata!

Na razie powtarzali wiernie fragment rozmowy Rubaszowa

i Gletkina z osławionej powieści Koestlera. Wiernie ale inaczej: zresztą książka Koestlera była zakłamaną fantazją podnieconego inteligenta; naprawdę to żaden Gletkin nie przekonałby swą dialektyczną sztuką żadnego Rubaszowa, że należy się przyznać do win niepopelnionych — rzecz ta odbywała się znacznie mniej romantycznie, za pomocą zwykłych tortur. Tutaj żadnych tortur nie było, trwał inny etap, etap Szefa, a Szef choć groźny w gniewie, nie znosił tych metod ani im nie ufał. Tortur nie było jeszcze dlatego, że nie było oskarżonego — chodziło przecież tylko o wyjaśnienia: Partia zawsze miała prawo do wyjaśnień, a na jakim szczeblu ich udzielano, o tym dziś decydowało Kierownictwo — tu dowolności nie było, zwłaszcza wobec niego, członka Komitetu. A swoją drogą zdumiewało go, że zaskoczono go jednak takim właśnie tenisem ideologicznym, próbując wmanewrować w sąsiedztwo Gellera i Grochowskiego — to oczywiście inspiracja Seweryna. Było to absurdalne, ale w absurdalności owej tkwił element pocieszenia: na tym terenie z łatwością wykaże swe alibi i niewinność, są fakty, protokoły, świadkowie — gorzej by się czuł, gdyby poszło o sprawy obyczajowe. Oczywiście, jeszcze nie koniec. Gdyby na przykład...

Gra z Białowiczem tak go absorbowiała, że dopiero gdy tamten, odrzucając ostatni niedopałek (palił zresztą niedużo i dyskretnie) spojrział na zegarek, Borowicz uczynił to również. Dochodziła piąta, blisko sześć godzin przegadali tak tylko o wodzie i czarnej kawie, w pokoiku bez wyrazu, którego jedyny charakterystyczny szczegół stanowiła, jak zresztą w całym tym gmachu, krata w oknie. Był to na szczęście jedyny również rys typu „śledczego”, poza tym trwała zwykła sobie rozmowa, bez notatek i protokołowania, choć prawdopodobnie, dla wszelkiej pewności, jakoś tam nagrywana. Co prawda jakież magnetofon ukryty czy nie, wytrzymałby sześć godzin bez zmieniania taśmy — ale Borowicz wierzył w potęgę techniki.

Kapitan Białowicz (był oczywiście w cywilu) schował do szuflady jedyny papier, jaki leżał między nimi na ascetycznym, nie opoliturowanym biurku — papierem była właśnie owa kopia protokołu konferencji u dziennikarzy — po czym spojrział na Borowicza nie urzędowym, zgoła koleżeńskim i nawet jakby przyjaznym okiem.

— Późno się zrobiło, towarzyszu.

— A późno.

— Czas by było zjeść obiad.

— Rzeczywiście, czas. Borowicz odprężył się wewnętrznie, stąd też odpowiedzi monosylabami: nie potrzebował już wysilać się na zaokrąglone, precyzyjnie przemyślane zdania.

Ale Białowicz mimo że, nagle wysympatyczniał, był nadal jakby zmobilizowany, choć przecież mówili teraz o rzeczy tak błażej jak obiad. Wyglądał, jakby czekał go jeszcze jakiś nie łatwy obowiązek, który jednak stara się wypełnić z wdziękiem, po przyjacielsku. Borowicz pomyślał, że tamten teraz dopiero odczuwa zażenowanie z powodu przesłuchiwania w ten sposób towarzysza, członka Komitetu, kierownika Wydziału. Ale to nie było to.

— Widzicie towarzyszu, dziś po południu nie mam niestety czasu na dalszą rozmowę, a przecież jeszcześmy nie skończyli...

— No więc odłożmy rzecz do jutra — głos Borowicza był neutralny, posiadacz jego starał się dostosować do uprzejmości rozmówcy.

— To właśnie chciałem zaproponować. Obiad dostaniecie u nas, mamy tu gościnny pokój, pisma, książki — coś do wypicia też się znajdzie. Ja tu będę już od ósmej rano, myślę, że jutro skończymy...

Borowiczowi gorąco rzuciło się do głowy, a pokój gwałtownie zatańczył w oczach. Więc o to chodziło. Niebawem, nieprawdopodobne, skandaliczna samowola. Chciał wybuchnąć, resztką przytomności się opanował — gniew w tym miejscu mógł być tylko oznaką słabości.

— Zamierzam nocować w domu — powiedział tonem najbardziej neutralnym na jaki go było stać.

— Niestety, to niemożliwe — Białowicz udawał zatroskanego. — Taki już mamy zwyczaj, taką procedurę (mówił to miękko, uspakajająco, niemal jak do dziecka, zupełnie inaczej niż w czasie „uzyskiwania wyjaśnień”). — Ale oczywiście możecie z dołu, z dyżurki, zadzwonić do domu, uprzedzić, że wrócicie jutro pod wieczór — do tego czasu skończymy na pewno, bez najmniejszej wątpliwości.

Borowicz pojął, że dalsze opieranie się nie miało celu, tylko by go ośmieszyło. Rzecz jest niebawem, alarmująca — zostawiono go na pastwę sztywnej procedury, nie zatroszczono się o niego — albo i przeciwnie... Czy Szefer o tym wiedział, czy Ludwik o tym wiedział?! A jeśli wiedzieli, jeśli dokładnie wiedzieli...

Namyślił się jeszcze nad tą sprawą, czasu będzie dość, przez wieczór i noc — założywszy oczywiście, że go jutro wypuszczą. Obiecywał sobie ten dokładny namysł, choć w istocie już wszystko wiedział: praca myśli jak zwykle dokonała się błyskawicznie, poza samą myślą — rzekome skupienie było pretekstem, aby odwlec konkluzję, bezlitosną, katastrofalną konkluzję. Na razie poszedł bez słowa za Białowiczem w stronę owej jakiejś dyżurki, aby zatelefonować do domu. Jasne że nie pozwolił mu telefonować

bez świadków — wiedzieli zresztą, że w gruncie rzeczy nie miał żadnego domu, więc telefon nie będzie groźny. Wiedzieli też o nim wszystko, nawet więcej niż się zdarzyło. A zatem rzeczywiście Gletkin i Rubaszow odrodzeni, ta sama komedia w nowym wydaniu?



— Wróćmy jeszcze do Waszej tezy, że Polska jest krajem, z punktu widzenia marksizmu, nie typowym. Czy nie sądzicie, że do złudzenia przypomina ona tezę Trockiego, dotyczącą Rosji. W rezultacie tej tezy, w rezultacie twierdzenia, że Rosja jest krajem chłopskim, w którym nie da się przeprowadzić rewolucji proletariackiej i uprzemysłowienia, Trocki popadł w znany konflikt polityczny z partią, konflikt, który doprowadził go wiadomo dokąd...

— Nie wiem czy Trocki myślał tak czy inaczej. Nie studio wałem jego myśli. To są stare historie, zupełnie dziś nieaktualne: dialektyka rewolucji idzie naprzód a nie cofa się wstecz.

— Jednakże podobieństwa są bardzo wyraźne. Na przykład wy wielokrotnie, w oficjalnych enuncjacjach (choćby podczas zeszłorocznego plenum związku dziennikarzy) podkreślaliście, że fakt zaniechania u nas kolektywizacji rolnictwa i pozostanie przy indywidualnej gospodarce na wsi ma znaczenie reformatorskie, że tendencje reformatorskie łączą się zawsze z tendencjami likwidatorskimi, upodabniając nasze stosunki do kapitalistycznych...

— To fałsz, towarzyszu. Nie twierdziłem nic podobnego od siebie, przypominałem natomiast z naciskiem, że tak twierdzą niektórzy towarzysze, utożsamiający wszelkie twórcze koncepcje w socjalizmie z likwidatorstwem. Przestrzegałem więc przed niebezpiecznym wypaczeniem, a wy usiłujecie insynuować, że przestrzegając przed niebezpieczeństwem, toruję mu drogę. Z tego wynikałoby, że nie wolno mówić o żadnych niebezpieczeństwach, zagrażających socjalizmowi, lecz trzeba chować głowę w piasek, jak robią strusie. Przejmując podobny punkt widzenia doszlibyśmy do wniosku, że nawet Szef, przemawiający na lipcowym plenum przeciw rewizjonizmowi robił temu rewizjonizmowi reklamę, a więc ułatwiał mu działanie. To przecież nonsens: gdybyśmy stosowali tę metodę myślową, czy raczej urazową, wszelka walka względnie polemika z rewizjonizmem byłaby niemożliwa!

— Sami jednak stwierdziliście, że nasz ustrój rolny czy nasza taktyka na wsi są w socjalizmie czymś twórczym i nowym. W zestawieniu z twierdzeniem, że dla socjalizmu Polska jest krajem nie typowym, znaczy to że...?

— Ze przez znajdowanie własnych form strukturalnych w

poszczególnych krajach socjalizm daje dowód swego związku z życiem, pokazuje, że jest organiczny i potrafi się rozwijać w każdych okolicznościach.

— Pokazuje? Komu pokazuje?

— Nie łapcie mnie za słówka!

— To nie jest łapanie za słówka. Po prostu przekonanie, że trzeba komuś coś pokazywać nasuwa nieuchronnie wniosek, iż robi się to dla jakiejś publiczności, dla jakiegoś audytorium. Jakiego? Oczywiście dla zewnętrznego, poza socjalistycznego, czyli po prostu mówiąc — kapitalistycznego. To zaś dowodzi, że, świadomie czy nieświadomie, uznaje się nacisk otoczenia kapitalistycznego na socjalizm za normę.

— Tylko strusie chowające głowę w piasek mogą nie widzieć nacisku. Jakżeż by się z nim inaczej walczyło?

— Od dostrzegania nacisku i ciągłego liczenia się z nim, przy pewnej nadmiernej pobudliwości, jeden krok do ulegania mu. Uleganie, będące przejawem osłabienia marksistowsko leninowskiej czujności wyraża się w odchyleniach od właściwej linii, w odchyleniach, jak to wówczas zawsze bywa, obustronnych. Na przykład w Waszym stanowisku dojrzeć można przejawy zarówno nacjonalizmu jak i trockizmu.

— Co Wy powiadacie: nacjonal-trockizm, to ciekawy wynalazek: żywcem z procesów moskiewskich!

— Zamiast używać powierzchnowych i obrażających porównań, pomyślcie trochę! Wasze założenie, że przez czasową rezygnację z kolektywizacji wsi znaleźliśmy własną drogę do socjalizmu, zasadniczo różną od drogi internacjonalnej, jest założeniem czysto nacjonalistycznym. A znowuż trockizm polegał i polega na liczeniu się przede wszystkim i zasadniczo z sytuacją w wysoko uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych. Chyba jasne?

— Nie, wcale nie jasne. To typowa ekwilibrystyka myślowa, zastępująca pojęcia słowami. A poza tym, gdzie to ja się tak zachwygam sytuacją w krajach kapitalistycznych, czy też uważam ją za najważniejszą?

— Gdzie? Bardzo proste — choćby dziś przyznaliście to pośrednio, mówiąc, jak to socjalizm w Polsce, stosując aktualną politykę rolną udowadnia, że jest organiczny, że wyrasta z życia.

— Nie powiedziałem: udowadnia. Powiedziałem: pokazuje.

— To w danym kontekście wychodzi na jedno. W oczywistym domyślniku zawiera się tu stwierdzenie, że socjalizm musi udowodnić, i to przed audytorium nie socjalistycznym, swoją organiczność, musi udowodnić, że jest organiczny RÓWNIEŻ. Również, tak jak coś innego — jak co? Oczywiście jak kapitalizm. Pokrywa się to całkiem z cytowanym przeze mnie wczoraj fra-

gmentem Waszej konferencji prasowej, gdzie powiedzieliście, że praktyczny, żywy model kapitalizmu już istnieje a socjalizmu jeszcze nie. Z tego wyciągnąć można dwa wnioski: jeden, że lekceważycie model socjalizmu stworzony w Związku Radzieckim i nie uważacie go za wzorzec przydatny dla nas i drugi, że aby stać się organicznym i żywiolowym, socjalizm musi upodobnić się do kapitalizmu. W tym wypadku, wybaczenie, nie widzę rozróżnienia między poglądami Waszymi a poglądami towarzyszy, których rzekomo zwalczacie, jak wymieniany wczoraj przez Was kilkakrotnie towarzysz Grochowski.

— Wszystko to jest dowolne, towarzyszu, to nie dowody lecz inwektywy i pomówienia: jest taki termin prawniczy — pomówienie. Na przykład ja nic nie mówiłem o żadnej żywiolowości tworzącego się modelu socjalistycznego, żywiolowość przypisałem właśnie kapitalizmowi. Mówiłem natomiast o realizmie, koniecznym w praktycznych warunkach walki. To zaś łączy się ze sprawą modelu radzieckiego: tam jest po zwycięstwie, u nas trwa walka. Tam właśnie jest już sytuacja organiczna, u nas aplikujemy socjalizm w warunkach częstokroć jeszcze wrogich, czekając na okres, w którym stanie się on elementem organicznym — zresztą częściowo już się tak dzieje. Organiczność a żywiolowość to zupełnie co innego — chyba chwytacie, towarzyszu Białowicz, różnicę w znaczeniu tych słów?

— Teraz z kolei Wy, towarzyszu Borowicz, czepiacie się słówek. Ta metoda, oczywiście może być użyteczna w braku innej. Ze swej strony uważam, że teoretyczną część sprawy możemy na razie uznać za zamkniętą. Przejdźmy raczej do faktów, które nas interesują, a które zresztą stanowić będą dalszą podbudowę dla zarzutów natury teoretycznoideowej. Jakaś się to słusznie podkreślili wczoraj, teorii od praktyki oddzielić się nie da.



— Jak na przykład wytłumaczyć Wasze uderzające, powiedziałbym nawet ostentacyjne ostatnio stosunki z międzynarodowymi działaczami trockistowskimi?

— Żartujecie chyba — nie mam pojęcia, o co Wam chodzi!

— Zaraz nabierzecie pojęcia. Znacie na przykład niejakiego Jeana Guillemot?

— Guillemot?! Znam, to znacznie za dużo powiedziane. Widziałem go raz w życiu w knajpie w Paryżu. Był tam wtedy przypadkiem literat Karbowski i pewnie porobił jakieś plotki.

— A czy wiecie, że ten Guillemot z ramienia międzynarodowego kapitału penetrował niedawno Związek Radziecki i Polskę?

— Ależ w tym co mówicie jest już podstawowa sprzeczność: wspominaliście, że chodzi o trockistów, teraz znów okazuje się, że to międzynarodowy kapitał. Zdecydujcie się: jedno czy drugie.

— A właśnie, co wynika z naszej uprzedniej rozmowy, te dwa pozornie przeciwstawne bieguny polityczne częstokroć łączą się z sobą, łączy je obiektywna wymowa, obiektywne rezultaty ich działania: obiektywnie, niezależnie od przeciwieństw teoretycznych, ośrodki te bywają całkowicie zgodne w praktycznych dążeniach.

— To zbyt zawile i sztuczne, towarzyszu. Może wyjaśnicie to na jakimś konkretnie?

— Bardzo chętnie. Po prostu kapitaliści z upodobaniem posługują się trockizmem jako dywersją, dla rozkładania i osłabiania rewolucji. A znów trockizm widzi w międzynarodowym kapitalizmie i w faszyzmie narzędzie do zdławienia leninizmu, którego nienawidzi. Motywy inne a obiektywny cel zupełnie ten sam.

— Mówicie jak Stalin, kiedy oskarżał Żydów z partii o współpracę z Gestapo. Zaręczam Wam, że ten Guillemot to typowy burżuj, kapitalistyczny liberał: on lekceważy komunizm, zajmuje się interesami, poglądy ma utylitarne i ani mu w głowie podobne sprawy. Zdumiałby się ogromnie, gdyby Was usłyszał.

— Nie takie to proste i idylliczne, towarzyszu Borowicz. A dlaczego ten burżuj, jak mówicie, Guillemot, ożenił się z notoryczną agentką IV Międzynarodówki, znaną Wam zresztą dobrze i od długich lat, a potem pojechał do Moskwy? Czy to także przypadkowe spotkanie, przypadkowa podróż i w ogóle przypadkowa para?

— Co takiego?! Agentką Międzynarodówki?! Któż to znowu?

— Nie zaprzeczycie przecież towarzyszu, że znacie od dawna żonę Jeana Guillemot i że widywaliście ją niedawno w Paryżu.

— Nie widywałem, tylko widziałem raz. Przypadkowo. Wtedy właśnie co i tego Guillemot — wtedy, kiedy zauważył nas Karbowski.

— Karbowski nie ma tu najmniejszego znaczenia, towarzyszu. Chodzi o coś innego, znacznie poważniejszego. Czy wiadomo Wam, że ta osoba — co do znajomości z nią to nie zaprzeczacie, prawda?

— Owszem, znaliśmy się dawno, przed wojną, ale nie widziałem jej dwadzieścia parę lat i nie miałem pojęcia, że żyje.

— A jednak od razu odnaleźliście ją w Paryżu!

— To był przypadek.

— Ciekawa rzecz, same przypadki. Czy nie za dużo ich w tej historii: Guillemot kapitalista, żonaty z trockistką, jedzie na wywiad gospodarczy do Rosji, wraca przez Warszawę, potem

Wy się z nimi spotykacie w Paryżu i tak dalej. Czy jednak nie nastąpiło tutaj osobliwe zagęszczenie przypadków, towarzyszu Borowicz?

— To są tanie chwytły ze skompromitowanego okresu. Nie będę na tego rodzaju insynuacje odpowiadał!

— Spokojnie, towarzyszu. Nie zaprzeczacie w każdym razie zażyłej znajomości z panią Guillemot. Jak brzmi jej panieńskie nazwisko?

— Baranowska. Wanda Baranowska.

— Znaliście oczywiście także jej poprzednie, przedwojenne nazwisko?

— Tak.

— Przypomnijcie nam, jak ono brzmiało?

— Lipszyc.

— Dobrze, wszystko się zgadza. Czy nie wiadomo Wam wobec tego, że Wanda Lipszyc-Baranowska była po wojnie w Izraelu, gdzie związała się z bardzo tam silnymi kołami trockistowskimi? Że potem otrzymała obywatelstwo tego kraju, jednocześnie niemal rozpoczynając starania o wizę wjazdową do Polski, starania długotrwałe, które nie przyniosły jednak rezultatu? Czy wiecie o tym wszystkim?

— O żadnym trockizmie nic nie wiem, o tym natomiast, że chciałaby czy chciała w swoim czasie przyjechać do Polski usłyszałem teraz w Paryżu, podczas tej jednej jedynej przypadkowej rozmowy. Zauważcie, że byłem tam w ogóle po wojnie pierwszy raz.

— A dlaczego, jeśli nie wiedzieliście nic o trockistowskich powiązaniach Lipszyc-Baranowskiej, mimo to nie występowaliście o udzielenie jej prawa wjazdu do Polski, choć nie wahaliście się interweniować w sprawie wyjazdu jej córki, Anny? Widocznie jednak tamtą sprawę uważaliście za niesłuszną?

— Nie starałem się o jej przyjazd kiedy?

— Ani wtedy, kiedy się o to oficjalnie dopominała, ani obecnie.

— Powtarzam Wam jeszcze raz: nie wiedziałem w ogóle, że ona żyje, pojęcia nie miałem, że się tak nazywa — dowiedziałem się o tym wszystkim teraz, w kwietniu w Paryżu. Jakżeż nie wiedząc że żyje mogłem się starać o jej przyjazd?

— Jednakże towarzysz Grochowski starał się o to od dawna, zaraz po wojnie, jeszcze przed powstaniem państwa Izrael i później. On również interweniował, teraz, równoległe z Wami, w sprawie wjazdu córki.

— Cóż z tego?

— Dziwne, że nie poinformował Was wówczas o swoich staraniach i w ogóle o tym, że Lipszyc-Baranowska żyje.

— Prawdopodobnie nie wiedział o tym, że się znamy — ona też w ogóle o mnie wówczas nic nie wiedziała. A poza tym, jak Wam już mówiłem, nie utrzymuję z towarzyszem Grochowskim bliższych stosunków.

— Mimo to był u Was w Komitecie niedługo po Waszym przyjeździe z Paryża.

— To nie łączyło się z tamtą sprawą — i w ogóle z żadną. Zwykły zbieg okoliczności.

— Tu zbieg okoliczności, tam znów przypadek... Nie za dużo tego, jak na jedną sprawę?

— Prosiłem Was już raz, towarzyszu...

— Dobrze, dobrze. Wyjaśniliście więc dlaczego nie interweniowaliście na rzecz przyjazdu Lipszyc-Baranowskiej wtedy, przed Waszym pobytem w Paryżu. Dlaczego jednak nie próbowaliście załatwić tego obecnie? To dosyć osobliwe, że woleliście zająć się wyjazdem córki. Osobliwe, zważywszy, że z córką tą, jak słyszałem, łączy Was bliższe stosunki...

— To nie ma nic do rzeczy.

— Może nie ma, a może i ma. Jak wytłumaczyć Wasz brak zainteresowania ewentualnym przyjazdem Wandy Guillemot do Warszawy, jeśli nie tym, że zdawaliście sobie sprawę z jej określonych win wobec Polski Ludowej?

— Nic podobnego. O żadnych winach nic nie wiem, sprawą tą nie zająłem się, po prostu uważając wyjazd Anny Baranowskiej za rzecz łatwiejszą.

— A dlaczego przyjazd Wandy Guillemot miałby być rzeczą trudniejszą? Przecież jej mąż był już w Warszawie. Czy uważaliście, że jego pobyt uniemożliwił przyjazd żony?

— Towarzyszu Białowicz, mówmy szczerze i bez czarów. Wiecie dobrze, tak jak i ja, o co tu chodzi: ludzie, którzy optowali, że tak powiem, na rzecz państwa Izrael, zwłaszcza dawni członkowie Partii, nie otrzymują u nas wiz. Przynajmniej na ogół. Jasne więc, dlaczego nie liczyłem na takie rozwiązanie — myślałem zresztą o tym, ale w ogóle nie miałem czasu i raczej sprawy zaniechałem. Natomiast córka jest tu, na miejscu, interweniowała, więc...

— Córka i ksiądz.

— Co takiego?

— Mówię, że nie tylko córka interweniowała u Was, ale i ksiądz, który się nią opiekuje.

— I cóż z tego?

— Nic oczywiście. Poza tym, że u tych samych księży ukry-

wał się kiedyś Gardowski. Wiecie ten facet z ONR-u co czekał na trzecią wojnę światową. Siedział tam ze dwanaście lat.

— Nie wiedziałem o tym, ale po raz drugi pytam, co z tego?

— A ja powtarzam, że nic. Wróćmy jednak do niedoszłego przyjazdu Wandy Guillemot. Czy uważacie za słuszne, że ludziom z Izraela nie daje się u nas wiz?

— Potępiam marionetkową politykę Izraela wobec Ameryki, drażniące są ich spóźnione ciągoty nacjonalistyczne, niemniej ja bym tu nie generalizował. Jest wiele tragedii ludzkich z czasów ostatniej wojny, których nie da się rozstrzygnąć pociągnięciem pióra.

— Macie na myśli tragedie żydowskie?

— W tym wypadku, tak.

— A właśnie. Czy przypominacie sobie aferę Molberga?

— Oczywiście.

— Czy to prawda, że powiedzieliście do towarzyszy z Wydziału Bezpieczeństwa: „Samiście go wypchnęli?”

— Nie przypominam sobie.

— Tak. I powołaliście się przy tym na jakąś hitlerowską broszurę o Beli Kunie czy coś takiego.

— Acha, już wiem. To miało miejsce w prywatnej rozmowie z towarzyszem Pułkownikiem.

— Powiedzmy. Cóż to była za broszura?

— To była broszura wydana przez hitlerowską „Propaganda-abteilung” na początku okupacji, w Warszawie, po polsku. Jej tytuł brzmiał: „Żydzi przedstawiają się”.

— Jaka była jej treść i co tam robił Bela Kun?

— Teżą tej broszury było, że Żydzi zorganizowali spisek przeciw ludzkości i w tym celu obejmują czołowe stanowiska w najróżniejszych państwach i ruchach politycznych aby kierować wszystkim dla swoich celów. Przykładowo podano tam właśnie, że Bela Kun, Jagoda i Morgenthau byli Żydami.

— Po cóż cytowaliście Pułkownikowi tę broszurę?

— Aby mu przypomnieć, że gruntowane przez propagandę hitlerowską mity o żydowskim spisku i żydowskim panowaniu nad światem przedłużają życie antysemityzmu.

— Co to ma wspólnego ze sprawą Molberga?

— Molberg będąc na wysokim stanowisku szefa wywiadu (moim zdaniem niesłusznie, bo wcale się do tego nie nadawał), czuł się otoczony podejrzliwością, nieufnością, to wytworzyło w nim kompleks niesolidarności z otoczeniem, wyizolowało go i uczyniło podatnym na sugestie wroga.

— Czy to ma być usprawiedliwieniem jego ucieczki?

— Nonsens, oczywiście że nie: zachował się jak łajdak.

W prywatnej, przyjacielskiej rozmowie z Pułkownikiem, analizowałem po prostu warunki psychologiczne, w których ludzie degenerują się, upadają i zamieniają w zdrajców.

— Czy podobnie postępowaliście w sprawie Gellera?

— To znaczy?

— To znaczy ostrzegaliście na przykład towarzyszy, żeby nie nadawać tej sprawie charakteru antysemitckiego?

— Ostrzegałem przed Gellerem i niebezpieczeństwami związanymi z jego działalnością od dawna, mogłem więc mówić i o tym. Nie słuchano mnie, popełniono masę błędów, pobłażano Gellerowi — skutek wiadomy.

— A jednak chcieliście go rehabilitować po śmierci...

— To bezczelne kłamstwo, wiem nawet, skąd ono pochodzi: od tych, którzy próbowali mnie na to namówić, a którym odmówiłem. Nie będę zresztą ukrywał nazwisk: chodzi o towarzysza Dyrektora i towarzysza Gałęckiego. Chcą w ten sposób zemścić się za moją odmowę. To po prostu bezczelność!

— Unosicie się towarzyszu i to nie całkiem słusznie. Wiemy, kto Was do czego namawiał, wiemy na przykład, że spotkaliście się w Parku Ujazdowskim z profesorem Piórczyńskim (nie protestujcie, czyżby znowu przypadek?), ale o Waszym stanowisku, czyli kategorycznej odmowie wiemy niewiele, a raczej zgoła nic. Krótko mówiąc: wiemy o rozmowach, nie wiemy o rezultacie — z Waszej strony w każdym razie. Sprawa nie jest tak prosta, jak przedstawiacie. Sami mówiliście kiedyś, że nie ma spraw prostych.

— Chodziło bądź co bądź o wybitnych towarzyszy, musiałem działać rozważnie...

— To nigdy nie zaszkodzi. Poza tym jednak działaliście częstokroć zbyt pochopnie, w dodatku nie wiedząc wszystkiego. Byliście na przykład przeciwni potępieniu manifestacji na cmentarzu, w czasie pogrzebu Gellera, prawda?

— Jakto?! Należałem przecież do komisji, badającej tę sprawę pod kierunkiem Szefa.

— Tak, ale należeliście wbrew swej chęci i przekonaniu.

— Tego nie możecie wiedzieć.

— Powiedzmy. A wiecie dlaczego nie mieliście do tej sprawy przekonania?

— No?! Choć cała rzecz nie tak wygląda, ale powiedzcie.

— Bo nie znaleźcie istotnej przyczyny samobójstwa Gellera.

— To był wariat, megaloman, człowiek nieodpowiedzialny.

— Nie tylko. W czasie rewizji w jego mieszkaniu znaleziono niezgłoszone dewizy: funty, dolary. Bał się dodatkowego oskarżenia, nie politycznego, ale finansowego. No i — powiesił się.

— Może się bał, że to będzie pretekst, że go tylko o to oskarżą?

— Wiecie, nie wnikajmy w jego intencje. Tak czy owak, każda sprawa jest złożona i nie zawsze wiemy, o co w niej idzie. Nieraz ktoś działa na pozór z pobudek ogólnych a potem okazuje się, że to były pobudki szczególne, jego własne: mogą być pieniężne, mogą być erotyczne, czy inne — różnie to bywa.



— A więc towarzyszu Borowicz, uważam, żeśmy naszą wyjaśniającą rozmowę skończyli — to dobrze, bo jeszcze wcześniej, dzień nie jest dla Was stracony. Czekają nas tylko formalności — proceduralne. Nic żeśmy tu nie protokołowali, nie nagrywaliśmy Was na taśmę, ale z tej rozmowy musi zostać jakiś ślad — tak każe obyczaj i prawo. Parę rzeczy bezspornych, faktów, żeście tu stwierdzili, ja to szybko machnę na maszynie, Wy przeczytacie, ewentualnie skorygujecie i — podpiszecie. Zgoda?... Więc w takim razie chwilka cierpliwości i za małe pół godzinki jesteście już wolni, a i ja na dzisiaj też. Minutę...

XIX

Ułamki, fragmenty myśli nie tworzące ciągów całościowych błąkały się po głowie Borowicza — ciekawe: człowiek nie ma wątpliwości, że myśli mieszczą się w głowie, a w każdym razie z niej się biorą, podczas gdy umiejscowienie uczuć w sercu to już raczej hipoteza poetów. Człowiek myśli jasno i w ogóle normalnie, nawet jak go brzuch boli, uczucia jego natomiast w zależności od bólu brzucha ulegają zmianie — z tego wniosek, że o tak zwanej duchowości człowieka decyduje jego myśl, czyli praca mózgu. Tak zwane natomiast uczucia to po prostu pochodna czynności jakichś organów pośrednich, gruczołów, naczyń, pęcherzy, lichy wie czego.

Trwała, jak to określano w prasie, warszawska godzina szczytu, szeregi obwieszonych ludźmi tramwajów przepychały się mozolnie przez plac Kasprzaka, autobusy zakręcały z trudem pomiędzy stłoczonymi samochodami, ciężarówkami, motocyklami, wśród niezgrabnego, oblepiającego wszystko, pokołtunionego, niesymetrycznego mrowia przechodniów. W Saskim ogrodzie za to pył deszczowy szemrał wśród liści, było znów szaro i bardzo ciepło, pogoda jak parę dni temu na cmentarzu. Przez chwilę Borowicz próbował obliczyć, ile to właściwie dni upłynęło od owej cmentarnej sceny, ale nie wychodziło mu i w końcu dał spokój: był zmęczony, stąd ułamkowość myśli, z jednej strony ich pogoń, z drugiej ciągłe przerwy. Nie warto się jednak teraz wysilać, myśli miał już za sobą dosyć, myślał przecież cały wczorajszy wieczór i noc, w owym rzeczywiście wygodnym, choć nazbyt wysokim (był to wszakże dawny pałac magnacki) i pieczołowicie okratowanym pokoju gościnnym (ładna to gościna) Wydziału Śledczego. Zza kraty dochodził przez całą noc szum

miasta, ale odmienny niż tam, w Alejach, bo zróżnicowany, bardziej wielobarwny, skomponowany z różnych dalekich i bliskich zgiełków, zgrzytów, stukotów: jedne były jakoś akustycznie dłuższe, falujące, drugie krótsze, gwałtowniejsze, jak uderzenia młotem lub wybuchy, nie brakło też przeciągłych wyć, chyba jakichś syren fabrycznych, sygnałów pogotowia lub straży ogniowej. Borowicz nie przyzwyczajony do czytania przy górnym świetle — a lampek nocnych tu jednak nie było, tylko wielka jaskrawa jarzeniówka u sufitu — długo w noc pół siedział pół leżał w łóżku, znieruchomiały, machinalnie wsłuchując się w ów stonowany oddaleniem i wysokością (pokój gościnny był na wysokim, trzecim piętrze) śródmięjski szum. Myślał dużo, całe godziny, przemyślał wszystko po wiele razy, najmniej zresztą sprawę Anny i rzekomego dziecka, bo to było właściwie poza nim i, nie wiadomo dlaczego, choć widział Annę przed paru zaledwie dniami, wydawało mu się, że odpłynęła wraz z całą swoją dziwaczną atmosferą, gdzieś na inną stronę — jakby jakaś scena obrotowa przekręciła się w teatrze, bezpowrotnie zmieniając tło i przedstawiając układ rekwizytów. To nawet dziwne, bo przecież sprawa Anny znajdowała się w stanie na wskroś surowym, kompletnie nie przemyślana: był niby u Sawary, żeby załatwić ów paszport do Paryża, a nie przyszło mu do głowy, jakie piekło rozpęta się w tym Paryżu, gdy na przykład Wanda dowie się o owej prawdziwej czy urojonej ciąży i w ogóle o czymkolwiek — już to Anna miałyby coś nie coś do opowiedzenia, licho wie jakby to ubarwiła i co by potem Wanda narozrabiała — działanie na odległość nie sprawiało jej jak widać żadnej trudności. Nie ustalił tych rzeczy z owym zwariowanym księdzem, nie wiadomo dlaczego zawierzył mu niemal od razu, dał mu się zaczarować. A dobre to musiały być ptaszki, ci księża, jeśli to u nich ukrywał się Gardowski. Teraz, w szumiącym, powojennym Saskim ogrodzie, Borowicz, niespodziewanym rzutem wyobraźni i pamięci wywołał w sobie, jak ze starej kliszy, utrwaloną na tle przedwojennego, zanurzonego we mgle młodości i zapomnienia Uniwersytetu postać owego zacieklego niegdyś działacza nacjonalistycznego, namiętnego antysemita a także katolika (wtedy się to łączyło, dziś nie — jak dziwnie szybko historia tasuje karty), wysokiego bruneta, zimnego, szydlerczo logicznego mówcę, nawet na sale wykładowe wkraczającego pod osłoną swej bojówki, złożonej z kilku junackich osiłków w korporanckich deklach. W czasie okupacji działał w podziemiu, miał podobno swoją własną z nikim się nie łączącą, elitarną czyli kadrową, gotującą się do objęcia w przyszłości rządów grupę, po wojnie słuch o nim zaginął, w żadnych procesach go nie było, na emigracji też

o nim nie słyszano. I oto nagle, po wszystkim (po sezonie — jak mówiono w Warszawie), po cichej amnestii, po Październiku, po oficjalnym win odpuszczeniu, w jakimś tam klasztorze około Warszawy, odkryto zamaskowaną ciemną komórkę, a w niej pół ślepego człowieka z ogromną posiwiąłą brodą, osłabionego i chorego ale podobno całkiem przytomnego, tyle, że mózg miał utkwiony w przeszłości, zakonserwowany na mur jak skamielina — przez dwanaście lat nie tylko że nie wychodził, ale nic nie czytał, nie słuchał radia, nie chciał już nawet rozmawiać z trącącymi w niego wiarę księżmi, tylko czekał, nastawiał uszu, czy nie słycać huku, gromu, który uderzy w komunistów — bo tak sobie wymyślił, wydedukował, tak miał nastawiony mózg, jak precyzyjny, ale jednostronny mechanizm zegarowy. Podobnie przed laty ukrywali się Żydzi, w piwnicach, po strychach, w zamaskowanych dołach, a oto w niewiele czasu potem, taki sam los przyszedł na endeków. Tasowanie kart trwa, to działa się zawsze, ale dziś rozdania następują po sobie coraz szybciej, nie-normalnie szybko, nastąpiły czasy, gdy mechanizm historii staje się swym własnym zaprzeczeniem, bo każdy kto przypadkiem pociągnie za sznurek, może spowodować wybuch i zwalić wszystko w gruzy. Nieobliczalność przypadku, to element najstraszniejszy: co było sednem grozy zagłady polskich Żydów to fakt, że nie zginęli oni w wojnie, na froncie czy w czasie bombardowań, lecz zginęli niejako prywatnie, bo Hitler miał swoje *hobby*. Wojna nie jest straszna, wojna jest normalną metodą działania historii, indywidualna akcja hobbystów — oto groza i makabra, bo unicestwienia sens historii — a hobbyści tacy są teraz po obu stronach barykady, toć legion najwybitniejszych towarzyszy i miliony zwykłych ludzi w Rosji zginęło z ręki wychowanego na socjalizmie i marksizmie Stalina. Borowicz nie tryumfował, że ów Gardowski siedział kilkanaście lat w ciemnicy, przeciwnie, czuł się jakoś z nim solidarny, obu im w istocie groziło to samo, tyle, że Gardowski zamknął się dobrowolnie, bo miał zbyt skoncentrowany i jednostronnie napięty mózg i w żaden sposób nie mógł wejść z tym mózgiem w nowe czasy, za to Borowicz rozumiał wszystko, co mu jednak również nie pomogło, siedział więc — na razie jedną noc tylko, ale to był symbol — siedział jak mówili w Warszawie „za niewinność”.

Oczywiście Gardowski nasunął mu się dopiero dziś, w Saskim Ogrodzie, bo dopiero dziś, po dosyć sutym, „urzędowym” czyli państwowym śniadaniu przypomniał mu Białowicz tę postać. Ale pasował ów Gardowski doskonale do rozważań wczorajszej, na pół tylko przespanej nocy — były to rozważania partyjne, bo oto on, Borowicz, komunista od najwcześniejszej młodości został

po raz pierwszy zamknięty w okratowanym pokoju przez — braci komunistów. Na pozór nic to wielkiego, Szefer siedział, Ludwik siedział, tysiące towarzyszy siedziało, ale on — nie, tylko kiedyś za sanacji, parę dni za ledwie w śledczym areszcie, a potem zaraz ojciec zebrał oszczędności i wysłał go do Paryża. Chciał go uchronić przed komunizmem, nie lubił tego, niewiele rozumiał — ale co by dziś powiedział? Właśnie, w tym sęk: co by ojciec dziś powiedział?!

Cień małego łuku, zarys Grobu Nieznanego Żołnierza, wibrujący na końcu zasnutej deszczową mgiełką parkowej alei skojarzył się Borowiczowi z Paryżem, z głupim Paryżem owego wieczoru, gdy spotkał Edzia Bratkowskiego i gdy zaczęła się cała ta bzdura. Bo to była bzdura, a śledztwo to idiotyzm: Białowicz, mimo pozorów inteligencji, jakie demonstrował pierwszego dnia, okazał się głupcem, który dał się nabrać na stereotypowy mit, skonstruowany przez drugiego głupca, Seweryna. Żydzi, trockiści, imperialiści, szpiedzy, to tak, jak przed wojną Żydzi, masoni, bolszewicy, agenci, to tak jak za Hitlera Żydzi, Bela Kun, Jagoda, Morgenthau. Nonsensowne zbitki dla idiotów, ale jakie skuteczne i zaraźliwe!

Bo co właściwie miał ów partyjny Sherlock Holmes czyli Białowicz w zanadrzu, aby faktami podeprzeć mity Seweryna? Donosy Łajdaka Karbowskiego, inwektywy zwariowanej z zazdrości i urazy Władki, wreszcie trochę podstępów z Komitetu i, co najsmutniejsze, parę fragmentów rozmów z Pułkownikiem, którego Borowicz miał dotąd za człowieka porządnego. Aha, i jeszcze ta hultajska spółka, sklerotyk Dyrektor i egocentryczny cynik Gałęcki. W tym jednym ostatnim wypadku Białowicz trafił w sedno: słusznie wypunktował błąd, jakim było nie zareagowanie natychmiast na przedstawioną przez Gałęckiego propozycję Dyrektora dotyczącą rehabilitacji Gellera. Tu było przypadkowe, głupie niedopatrzenie i tu Białowicz zdobył i zaliczył na swoje konto realne punkty. Ale tylko tu. A reszta? Reszta to żenująca tandeta, choćby to z Wandą i Guillemotem, jakby żywcem wzięte z naiwnego szpiegowskiego filmu.

Do dziś jeszcze miał Borowicz utrwaloną w uszach i pamięci filipikę Guillemota z owej knajpy w Dzielnicy Łacińskiej, menadżerskie wyznanie wiary, pycha kapitalistycznego technokraty, ignorującego prawa historii, lekceważącego proletariatu, tokującego jak głuszc nie widzący, że siedzi na spróchniałej gałęzi. Pewno wygadywał podobne rzeczy w Moskwie, a towarzyszom rosyjskim wystarczy dwa słowa — poszedł od razu „cynk” do Warszawy, przejął go Seweryn i oto cały pasztet był gotów, a zjeść go ma — Borowicz. Tylko kto na to pozwolił i dlaczego, co

z Szefem, co z Ludwikiem, czyżby działał już ów wszechmocny a niepowstrzymalny jak żywioł, sławny partyjny przeciąg? A jeśli zaważyła tu obyczajowa strona sprawy? Mogli przecież wziąć na nią Ludwika, naturalnie odpowiednio rzecz podmalowawszy, on był na to wrażliwy, sumienie Partii, jej Savonarola. I pomyśleć, że padło to na Borowicza, najniewinniejszego z niewinnych, który lubił tylko Władkę a do bzikowatych, zimnych, wymuszonych pieszczot Anny miał kurczową wręcz abominację. O diabli, diabli, diabli!

Myślał strzępami, fragmentami, ale nie czuł się z nimi źle, bo to dowodziło, że nie był zapeszony czy załamany, lecz po prostu zmęczony: nie odczuwał potrzeby łączenia płynących mu przez głowę urywków w całość, bo się ani ich ani tej całości nie bał, po prostu panował nad nimi, nie oczekiwał niespodzianek. Taka sytuacja psychiczna nie wydawała mu się w tej chwili najgorsza: jak odpocznie, pomyśli, a fakt, że teraz nie odczuwał potrzeby myślenia dowodzi duchowej swobody: nie osaczyli go ani nie podcięli. Uderzyli po prostu czym mieli, nierozsądnie, bo nic więcej nie mają. A on? Czuł, że w murze, którym go otoczyli, jest luka — nie myślowa oczywiście, bo myślowo cała rzecz była niczym, ale luka partyjna. Partyjna — to najważniejsze: jednak w epoce Szefa partia przekształciła się, skonsolidowała i nie zawsze już udawało się historykom, donosicielom, intrygantom targać za sznurek. Przeciąg nie powstawał teraz z byle powodu, istniała nowa statyka, nowy ciężar spraw. Tak — tu musiała być luka. Znajdzie ją — jak odpocznie: trochę jeszcze czasu jest, zresztą po przetrzymaniu go tam, na Kasprzaka, czas zmienił swoje wymiary, rzecz się skondensowała, wszystko inne straciło na znaczeniu.

Szedł coraz swobodniej, w rękę teczka, jakby wracał z biura, z lubością wciągał odświeżone deszczowe powietrze, z przyjemnością mieszał się i łączył z tłumem, korzystając, że go nikt nie zna. A w domu czekała go wcale krzepiąca niespodzianka: matka pod jego nieobecność (najlepiej sprawy regulują się bez nas) zdecydowała jednak jechać do komitetowego sanatorium na Pomorzu. Krzątała się dziarsko po mieszkaniu pakując to i owo (wyjazd miał nastąpić już jutro rano) i w niczym nie przypominała zmaltretowanej, pół obłąkanej istoty sprzed trzech dni. Nie było też między nimi mowy o żadnych sprawach związanych z tamtą sceną, tak jakby matka wydoszła się nagle na światło dzienne z mrocznego koszmaru, jakby się odrodziła i wyzwoliła. To było krzepiące, dobra prognoza przed czekającą Borowicza walką, wymagającą koncentracji i wysiłku mózgu.

Wbrew jednak niespodziewanie optymistycznym nastrojom,

jakie nawiedziły go po wyjściu z owego magnackiego pałacu, służącemu dziś towarzyszom za siedzibę Wydziału Śledczego (zawsze, przez całe życie Borowicz mobilizował się, gdy niebezpieczeństwo było konkretne — działo się to w nim całkiem automatycznie), najbliższe dni nie miały przynieść wyjaśnienia, to znaczy nie otwały żadnej luki w otaczającym jego sprawy pozornym (strach ma wielkie oczy) czy rzeczywistym murze, wznoszonym, co zresztą można było przewidzieć, od dłuższego czasu, przez takich lub owakich wrogów. Aby stwierdzić czy istnieje, względnie gdzie istnieje ta luka należało porozumieć się za wszelką cenę z kimś rzeczywiście nadrzędnym mogącym tu odegrać rolę arbitra — po prostu mówiąc z Szefem względnie Ludwikiem — lecz to właśnie okazywało się najtrudniejsze, wręcz nieosiągalne, a całą rzecz skomplikowało tu jeszcze dodatkowo lecz decydująco — święto państwowe.

Rozmowa z Białowiczem zajęła czwartek i pół piątku, potem szła sobota a w poniedziałek było właśnie święto narodowe i państwowe, rocznicowe święto ich władzy. Na świątecznej akademii Szef wygłosił mowę, zazwyczaj mowy takie szlifował i wypełniał formą Borowicz („wypełniał formą”, tak to sobie określał, to znaczy formą słowną, bo treść, choćby w najogólniejszej postaci, proponował oczywiście Szef). Tym razem jednak, jak dotąd, nikt się do Borowicza w tej sprawie nie zwrócił; co prawda nie jest to objaw sam przez się przestraszający, bo nie zawsze na przestrzeni lat układanie mowy przypadało właśnie jemu, ale w zestawieniu z przesłuchaniem u Białowicza milczenie Szefa nabierało charakteru złowróbnego, choć przecież rzecz mogłaby się komuś wydać oczywista: człowiek znajdujący się pod śledztwem nie może pisać świątecznej mowy dla przywódcy Partii — jasne i proste.

Ale była tu jeszcze inna historia, bardziej niepokojąca — Borowicz przypomniał ją sobie od razu w piątek wieczorem, po powrocie do domu i stwierdzeniu, że matka jest uspokojona i skonsolidowana, co dało mu konieczny luz duchowy, a więc możliwość spojrzenia na wszystkie problemy spokojniej i z jakiej takiej perspektywy. Oto, w związku z obchodem ich Święta, każdy członek Komitetu a już zwłaszcza kierownik Wydziału, otrzymywał na piśmie instrukcję, zawierającą całą jego marszrutę owego dnia, marszrutę polityczną i wręcz rzeczową: gdzie ma przemawiać, gdzie się zgłosić, jakie jest jego miejsce na trybunie — ostatnia sprawa była ogromnie ważna, bo określając miejsce, które dany towarzysz zajmował w stosunku do Sekretariatu i Prezydium Komitetu, decydowano również o kolejności, w jakiej nazwisko jego podane zostanie w publikowanych w prasie,

radio i telewizji komunikatach. W komunikatach tego rodzaju wymieniano maksymalnie dwadzieścia parę nazwisk, przy czym pierwsze kilkanaście rezerwowano dla członków Biura i Sekretariatu. Czołowe zaś pięć miejsc od kilku dobrych lat ustalone zostało na mur: zajmowali je w nieziennej kolejności: Szeł, Przewodniczący (formalnie rzecz biorąc głowa państwa), Ludwik, Prezes i Admirał. Dalej nazwiska postępowały w porządku najrozmaitszym, zależnie od okoliczności i sytuacji: zdarzała się kolejność alfabetyczna, bywała także i inna, według każdorazowej hierarchii, skoro, jedynie hierarchiczna pozycja pierwszej piątki nie ulegała zmianie. Ową kolejność części zmiennej czyli ruchomej ustalał zawsze Ludwik, był to akt nader ważny, a już jeśli chodzi o Święto Państwowe, decyzja, dotycząca porządku uszeregowania nazwisk stawała się dla wielu instancji oraz dla prasy informacją wiążącą i to niemal na cały rok — chyba, że zdarzyła się inna okazja, rzadsza ale ważniejsza, jak na przykład jakaś okrągłejsza rocznica Rewolucji Październikowej lub Zjazdu Partii. Jeśli chodziło o Borowicza, to nazwisko jego zazwyczaj plasowało się gdzieś przy końcu drugiej dwudziestki, najczęściej niedaleko Seweryna — z wzajemnego ustawienia tych dwóch nazwisk świadomi rzeczy obserwatorzy, wiedzący o permanentnym konflikcie, a raczej wzajemnej antypatii obu działaczy, wyprowadzali przeróżne wnioski — oczywiście szeroka, masowa opinia mało wiedziała o co tu chodzi, ale nie dla niej przecież przeznaczona była istotna, w symbolicznej kolejności nazwisk wyrażona polityczna treść komunikatu.

Rzecz jednak w tym, że Borowicz jak dotąd nie otrzymał jeszcze instrukcji, dotyczącej jego sytuacji podczas tegorocznego Święta. To znaczy, być może mu ją nawet przekazano, lecz w takim wypadku utknęła ona pewno w czeluściach kartoteki przychodzących do Wydziału pism: kartotekę tę prowadził ostatnio towarzysz Rusin w sposób tak zawile biurokratyczny, że w ogóle nie można się tam było niczego dowiedzieć, chyba po kilkakrotnie, z naciskiem ponawianym żądaniu. Tylko że właśnie żądania takiego Borowicz nie wypowiedział, bo, prawdę mówiąc, zarówno o instrukcji dotyczącej Święta jak i o samym Święcie kompletnie, na śmierć zapomniał — zwykle przypominało mu o tym zawczasu zaproszenie do Szeła na konferencję w sprawie mowy, w tym roku przypomnienia takiego również nie było. A że zapomniał, to chyba nic dziwnego, przecież od czasu owej uroczystości ku czci Getreidera na cmentarzu, waliły się nań dzień w dzień, godzina w godzinę niemal, wydarzenia arcydzieł, stopniujące się w dodatku w swej coraz to przykrzejszej a w końcu wręcz alarmującej dotkliwości: scena z Dyrektorem

przy mogile Getreidera (z Arturem Grynbaumem na dodatek), samochodowe wyścigi z patrolem Komitetowej Komisji Kontroli, napuszczonym przez Władkę, potem Anna i ksiądz Krauze z ową ciężką, potem piekielna historia z matką, a dalej wizyta u Sawary i dwudniowe *tête à tête* z Białowiczem, przeplecione nocą w areszcie — to zaiste było dosyć, jak na jednego człowieka i całkowicie usprawiedliwiało zapomnienie o tegorocznej świątecznej instrukcji. Jednak fakt pozostawał faktem: nie miał jej dotąd w ręku, gdyby zaś nie nadeszła w ogóle, byłaby to klęska wręcz nieodwracalna, tak jak nieodwracalne jest na przykład obumieranie komórek mózgowych po sklerotycznym wylewie. Kto z działaczy partyjnych tej skali co Borowicz nie posiada swego miejsca na trybunie i nie jest wymieniony w komunikacie, ten nie ma już czego szukać w hierarchii politycznej: najwidoczniej wydano na niego wyrok, przeciąg wymiółł go za drzwi, nikt się nawet o niego nie zapyta, w obawie, aby nie podzielić przypadkiem jego losu.

Jeśli ów fatalny ciąg wypadków, który w sposób skondensowany trwał od paru dni, był rezultatem długotrwałego uprzedniego działania pewnych sił (śledztwo, prowadzone przez Białowicza nie rozpoczęło się przecież wczoraj czy przedwczoraj — a swoją drogą ciekawe by było wiedzieć kto i kiedy zlecił Wydziałowi tę sprawę) o tyle nieobecność Borowicza w obchodach Święta stałaby się ostatecznym tryumfem tych sił, stałaby się w oczach ludzkich absolutnym a niemożliwym do cofnięcia ukoronowaniem wiadomej akcji politycznego niszczenia Wydziału Prasy i jego kierownika. Należało więc jak najprędzej się dowiedzieć, czy instrukcja nadeszła, czy może utknęła w przepastnych schowkach Rusinowego biurka. Mogła tam leżeć od tygodnia, a było jeszcze prawie trzy dni czasu. Trzeba działać — ale jak?

Borowicz wiedział, że sobota i niedziela przed Świętem będą w Komitecie dniami pracy, wytężonej pracy — on sam się w pracy zaniedbał (jakby już się czuł za burtą — nie wiadomo kiedy się to właściwie stało?), ale inni nie przestaną pracować, w jego Wydziale też nie będzie spania. Trzeba się w to włączyć, natychmiast, od jutra z rana, ale w tym celu należało poznać swoją świąteczną instrukcję, poznać ją zawczasu, aby się móc przygotować. Ale dla koniecznego spokoju trzeba jeszcze dziś wieczór upewnić się, że instrukcja taka w ogóle nadeszła. Narzędziem tej akcji mógł być tylko telefon, lecz czy rzeczywiście rozwiąże on dziś sprawę?

Borowicz zasiadł przy aparacie i siedział długo. Telefon był w hallu, matka po cichutku wycofała się do siebie, zamykając

drzwi: stała się naraz taka jak dawniej, dyskretna, uległa, zapobiegliwa. Skoro od tej strony przyszedł spokój (niespodziewany przecież a jednak od razu przyjęty jako coś najzupełniej normalnego, jako całkowicie uzasadniony prezent losu), można było poświęcić się niepokojom innym, które za to rosły teraz w sposób odwrotnie proporcjonalny do domowego uspokojenia. Bo przecież ów cały junacki nastrój po wyjściu z aresztu mógł się w tej chwili wydać czymś najzupełniej nieuzasadnionym, po prostu chwilową reakcją nerwów, spowodowaną nagłym odprężeniem. Nie było przecież w istocie żadnego określonego powodu do optymizmu, choć istniały i pewne przesłanki, pozwalające suponować (takie mu się nasuwały w myśli stare patriarchalne słowo — przeciwnie niż zazwyczaj myślał już w tej chwili nie błyskawicznymi spięciami lecz słowami i to słowami mozolnie wydobywanymi z siebie, tak, jakby pisał jakiś trudny tekst), otóż pozwalające suponować, że może nie wszystko jest jeszcze bezpowrotnie stracone, że istnieje jakiś ograniczony oczywiście, niewielki procent szansy na przeprowadzenie kontrataku, choćby na razie na rozluźnienie krępujących go więzów. Ale najpierw trzeba się upewnić co do nadejścia instrukcji: niepokój wywołany tą sprawą rósł w nim z minuty na minutę, jakże mógł o tym zapomnieć, to wręcz nieprawdopodobne, to miara niedopuszczalnego zamętu duchowego, w który wtrąciły go wydarzenia ostatnich dni, zamętu przygotowanego zresztą przez owe absurdalne tygodnie, upływające pod znakiem dziwacznych i bezcelowych (bo zgoła nieprzyjemnych) spotkań z Anną na niechlujnej opuszczonej uliczce imienia afrykańskiego komunisty. No, trudno, nie pora teraz biadać nad raz rozlanym mlekiem, trzeba ratować co się da, trzeba przejść do działań konstruktywnych, z planem i celem. Nagle uświadomił sobie, że postępuje jak ów chór w operze, który śpiewając ile wlezie: — Podążajmy, spieszymy na pomoc, spieszymy co tchu! — jednocześnie tkwi w pozornym tylko ruchu na tym samym ciągle wycinku sceny. Podobnie on: siedzi jak zaczarowany ze słuchawką w rękę i rozmyśla sobie, jak to energicznie i w różne miejsca będzie telefonował. A tymczasem ze słuchawki wydobywa się długi jękliwy sygnał i zapełnia, choć cichy, wnętrze hallu, mieszając się z wibrującym szmerem padającego znowu gdzieś za oknami deszczu — w dodatku panowała tu już szara godzina, tym bardziej, że hall miał tylko jedno, zasłonięte firanką wąskie okno.

Wreszcie nakręcił pierwszy numer — był to domowy aparat Kasperczyka. Od razu jednak się nie udało — zresztą można to przecież było z góry przewidzieć. Odezwał się głos dziecięcy, bezradny, cienki a irytujący: Borowicz niezbyt się wyznawał na

stosunkach rodzinnych swego zastępcy, wiedział tylko, że tamten miał ciągle historie z żoną czy z żonami, że się rozwodził, zwodził, kłócił, separował, wyprowadzał i tak dalej, o dziecku natomiast czy dzieciach jakoś nic nie słyszano, a i Kasperczyk nigdy o tym nie wspominał. Tak czy owak jednak synek przy telefonie okazał się faktem, faktem też było jego ślamazarnie wypiszczane stwierdzenie, że tatusia nie ma od rana i nie wiadomo kiedy wróci.

Po namyśle Borowicz postanowił zadzwonić do Komitetu, do swego Wydziału: a nuż Kasperczyk siedzi tam z Rusinem i mimo szóstej wieczór, pracują właśnie nad instrukcją, dotyczącą państwowego święta? (ciekawe, co w takim razie myślą o jego nieobecności i który z nich wie, co mu się przydarzyło i gdzie spędził ostatnie trzydzieści godzin — chyba Kasperczyk wie na pewno, może i Rusin także, a jeśli wiedzą obaj, to czy rozmawiają ze sobą na ten temat? — nie to nieprawdopodobne: w Komitecie i w ogóle w Partii o takich rzeczach prywatnie się nie mówiło). Może więc pracują nad sprawami dotyczącymi Święta, było to przecież Święto politycznie najważniejsze, ważniejsze od obchodu majowego, uruchamiające olbrzymią aparaturę partyjną, milicyjną i wojskową a także wciągające w swą orbitę w samej stolicy nieprzeliczone tłumy, setki tysięcy ludzi. Borowicz nie podzielał sceptycznej opinii, jaką wobec tego rodzaju obchodów wyrażali półgębkiem niektórzy partyjni intelektualiści, przeciwnie, uważał, że manifestacje-giganty są dowodem autentycznej plebejskości ich rewolucji: rewolucja inteligencka chciała może kiedyś skasować wszelki ceremoniał, przezywając go „dworskim”, rewolucja proletariacka natomiast, dowodzona przez ludzi prostych, nie wyrzeknie się swego ceremoniału, uważając go za symbol zwycięstwa. Szef wiedział o tym poglądzie Borowicza, dlatego dobrze im się razem przy organizacji obchodów pracowało, tyle że Szef z kolei nie wiedział, jak bardzo defilujący przed trybunami ludzie nie kochają go i jakie mają na jego temat w głowie myśli, a Borowicz wiedział to doskonale, Seweryn zaś wiedział że Borowicz, wie — wiedział jakimś niedocieczonym instynktem, ale wiedział na pewno i za pomocą tej pewności próbował mu szyć u Szefa buty. Jak dotąd zawsze bezskutecznie, a teraz?

Jednakże i w Wydziale nikogo już nie było. Po długim dzwonieniu odezwał się wreszcie dyżurny woźny i poinformował Borowicza, zresztą bez oporów (przynajmniej ten nic o niczym nie wie!) że towarzysz Rusin wyszedł o czwartej, a towarzysza Kasperczyka chyba w ogóle dziś nie było. Tak więc drugi strzał i drugie pudło — na to nie widać już rady.

Mimo fiaska Borowicz tkwił nadal przy aparacie, trawiąc w sobie pewną pokusę. Jeszcze przed rozpoczęciem telefonowania, właśnie owym swoim węchem psychicznym przewidział wszystko: że obie próby, z Kasperczykiem i z Komitetem nie dadzą rezultatu i że nawiedzi go ochota ryzykowna lecz nieodparta — zadzwonić wprost do Kierownictwa, do Gniotkowskiego i od razu, zasadniczo, wyjaśnić wszystko, nie tylko sprawę nadejścia lub nie nadejścia instrukcji, ale sprawę śledztwa, przesłuchania i przetrzymania go na noc. To była rzeczywiście pokusa: złapać byka za rogi, zaatakować frontalnie, mieć to już za sobą. Jednocześnie jednak Borowicz wiedział, że w pokusie takiej czaić się może niebezpieczna łatwizna, bo przedwczesne próby wyjaśnień bywają po prostu rezultatem małej odporności nerwowej i przynoszą częstokroć jedynie ulgę, polegającą na uspokojeniu się świadomością nieodwołalnej klęski, uspokojeniu zastępującym uprzedni stan zawieszenia i denerwującego napięcia — że niby lepsza zła pewność niż bierna niepewność. Nie należało temu ulegać, lecz właśnie maksymalnym wysiłkiem woli przetrzymać ową niepewność, bo to słabość atakuje tak podstępnie, przedstawiając stan przejściowy, stan zawieszenia jako najgorszy, najtrudniejszy do wytrzymania. Tymczasem w istocie lepsza jest jakakolwiek niepewność niż nieodwołalna pewność klęski: póki szala wypadków jeszcze się waży, póty w istocie otwarte są wszelkie możliwości, gdy decyzyja zapadnie, człowiek żałuje, dotkliwie a bezskutecznie żałuje, iż, ulegając nerwowej słabości, nie przedłużył momentu wahania — a moment ten, godziny, dni czy choćby tygodnie, zjawia się potem w przypomnieniu jako bogaty, ciekawy, pełen możliwości, nie zaś jako jałowa a bezcelowa tortura, którą jest w momencie swej aktualności.

Tak więc nie należało skracać samochcąc owego okresu niepewności, jaki może się potem okazać czasem дарowanym i w ogóle premią losu, czymś nieskończenie lepszym od wszystkiego, co po nim nastąpi. Było jednak, jak w każdej sytuacji, wyjście pośrednie, kompromisowe, zaspakajające zarówno system nerwowy jak i zmysł rozsądku taktycznego: oto telefon do Gniotkowskiego nie musiał się stać złapaniem byka za rogi, zdemaskowaniem czy spaleniem za sobą mostów. Gniotkowski to przecież tylko sekretarz, technik, służący jako swego rodzaju skrzynka kontaktowa, człowiek powściągliwy i rozważny, choć młody (sekretarzy Kierownictwa wybierano na przeciąg pięciu lat spośród najzdolniejszych absolwentów wyższej szkoły partyjnej). Rozmowa z nim może mieć charakter neutralnej wymiany informacji: przed Świętem w Kierownictwie na pewno pracowano do samego wieczora, cóż naturalniejszego gdy oto Borowicz za-

dzwoni, wspominając, że parę dni go nie było (na przykład wyjeżdżał służbowo w teren) i w związku z tym nie bardzo wie jak przedstawia się sprawa tegorocznych instrukcji defiladowych. Jeśli tamten coś słyszał o śledztwie (rzecz w zasadzie nie najprawdopodobniejsza) to będzie można wyczuć to w jego głowie, a znowu nie musi on przecież wiedzieć, że Borowicz po to właśnie dzwoni. Ryzyko zatem było niewielkie — czemuż by więc nie spróbować?

Jakkolwiek chytrze przekonywał sam siebie, że zadzwonić trzeba, to jednak tajona wątpliwość nie opuszczała go ani na chwilę. Mimo to rzucił się głową do wody i, zagłuszając wszelkie myśli, nakręcił numer. Z ulgą wsłuchiwał się w szereg razy rozbrzmiewający sygnał, nie bardzo pewien, czy nie odłoży słuchawki, gdy po tamtej stronie drutu odezwie się jednak głos — byłoby to zresztą bardzo nierozsądne, bo centralka obsługująca Kierownictwo pozostawała stale pod ścisłą kontrolą i natychmiast można było stwierdzić, z kim jest się połączonym. Na szczęście jednak (a także na nieszczęście) w Kierownictwie telefonu nie przyjmowano: było już najwidocznie zamknięte (ósma wieczór!) a żaden woźny, czy dyżurny nie miał tam prawa przeprowadzania rozmów. Wszelkie zaś prywatne telefonowanie, choćby do Szefa czy Ludwika, nie wchodziło już oczywiście w tej chwili w rachubę. A więc, mimo wielu dobrych chęci, niepewność miała, przynajmniej na dzisiejszą noc, pozostać stanem dominującym a punkt ciężkości przesunął się na jutrzejszą sobotę.

Sobota jednak okazała się również dniem pustym, pustym przynajmniej z punktu widzenia całej najważniejszej sprawy. Przede wszystkim Borowicz nie mógł wyjść z domu tak wcześniej, jak to sobie zamierzył, bo matka wyjeżdżała do sanatorium. Rano zjawiło się auto z Komitetu (matka załatwiła sobie to sama, podczas gdy Borowicz spędzał czas z Białowiczem — ciekawe jak nastąpiło w niej to nagłe przeistoczenie, ale nie miał się teraz czasu nad tym zastanawiać), wynoszono rzeczy, matka krzątała się w asyście owej mało sympatycznej wiejskiej służącej, która niezręcznie udawała, że wszystko jest w porządku, że w domu nie było żadnych scen, hysterii i wariowań — oczywiście wiedziała dobrze, że coś dziwnego się tutaj święciło (wiedziała na pewno więcej, jeśli chodziło o domowe fakty, niż sam Borowicz, któż wszakże zgadnie, ile odebrała telefonów Anny czy w ogóle różnych dziwnych ludzi, a co sobie o tym wszystkim myślała — to już jej tajemnica).

Auto komitetowe było z Wydziału Gospodarczego, więc neutralnego, kierowca mało znany nie wyrażał w żadnej sprawie żadnych poglądów, co się bardzo dobrze składało. Pożegnawszy

się z matką, czule, ale bez jakichkolwiek ekshibicjonizmów i bez najmniejszych aluzji do spraw które minęły, Borowicz ruszył Alejami w stronę Komitetu. Wariackie pogody ostatnich dni należały już chyba od dzisiaj do bezpowrotnej przeszłości, w nocy musiało się coś zasadniczo przesilić, zapanowało oto słoneczne lato — dobry znak przed Świętem, a czy dobry znak w ogóle?

W Komitecie wyglądało normalnie, na dole milicjant zasalutował, wszyscy przyjęli Borowicza jakby się nic specjalnego nie zdarzyło. Pojechał windą w górę, przechodząc korytarzem zajął do pokoju maszynistek — panienki pracowały pilnie, pozdrowiły go chyba bez żadnych utajonych myśli. A więc może nie było jeszcze tak źle?

W kancelarii Rusin, przypominający jak nigdy smutnego karpia łytał rybimi oczami zza sterty papierów. Na widok Borowicza poderwał się gorliwie, zaś na pytanie o wiadomą instrukcję rozwiódł się szeroko, rozśpiewał niemal swym białorusko-podlaskim akcentem.

— Taż towarzyszu Kierowniku — zapiewał gorliwie — toż u mnie rzecz taka pierwsza by być musiała, pierwsza przed wszystkimi innymi: jaż instrukcję otrzymawszy natychmiast bym towarzysza Kierownika, choć nieobecnego, a także towarzysza zastępcę, Kasperczyka znaczy, wyszukał, ewentualnie, rzecz można, z treścią jej obznajmił. Ale nie nadeszłaż ona, ta instrukcja, oj nie nadeszła. Sam ja nad tym myślałem, czemuż to ona nie nadeszła, ale tak rozumiałem sobie: towarzyszu Kierownik wie lepiej, może wiadomość już otrzymał, po cóż mnie, technicznemu pracownikowi tylko, w to się mieszać trzeba? Ale, skoro ja już od towarzysza wiem, że niedopatrznie jakieś miejsce tu miało, natychmiast ja to naprawić się postaram, do Administracyjnego w celu tym bez zwlekania zadzwoniwszy...

To mówiąc Rusin kwapił się już po słuchawkę, ale Borowicz powstrzymał go burkliwie a stanowczo, mruknąwszy coś, że sprawa jest nieistotna i że pytał tylko tak, dla porządku, a załatwi ją sam — zresztą nic pilnego (oczywista bzdura, bo każdy wiedział, iż rzecz jest jak najpilniejsza). Przecinając dalsze gorliwe śpiewy Rusina otworzył na roścież pogrubione wołokiem drzwi do swego gabinetu: Kasperczyka tam nie stwierdził, pokój był pusty, zalany słońcem, wibrujący letnim warszawskim kurzem.

Zamknął się i stanął przy oknie: rondo w dole jak zwykle opłynięte było samochodami, wyglądało jak rojące się żukowisko, tyle, że żuki owe, przetykane czerwonymi cielskami tramwajów i autobusów, pełzły dziwnie prawidłowo, raz w kółko rondo, raz przecinając je w poprzek, zależnie od zmiany sygnału. Dachy niektórych aut błyszcząły w słońcu, opalizowały niemal — tak

więc i Warszawa miewała swoją uliczną galę — nie tylko Paryż. — Pałę Paryż, pałę Paryż — mrucał do siebie bezmyślnie Borowicz, stojąc za ową szybą, przekłuwaną jałowymi, bo neutralizowanymi pośrednictwem szkła promieniami słońca. Zresztą to co w tej chwili mrucał, co oglądał i dostrzegał, co myślał, to wszystko nie miało znaczenia. Ważne było tylko jedno: instrukcja nie nadeszła, a więc on, Borowicz, po raz pierwszy od lat, udziału w defiladzie i akademii nie weźmie.

Oczywiście, można było rzecz tę tłumaczyć formalnie, że mianowicie towarzysz pozostający pod takim czy innym śledztwem, choćby miał być uniewinniony, oczyszczony, przywrócony do pełni praw, nie powinien na razie, dla porządku choćby, uczestniczyć wśród kierownictwa partii w państwowym świącie. Ale jasne było jedno: nieobecność, zwłaszcza w obecnej sytuacji Borowicza, musi wywołać nieodwracalne skutki: nieodwracalne, bo nie anuluje ich już ani Szeł ani Ludwik. To było oczywiste, nie warto nad tym więcej myśleć, nie ma też w tej chwili nic do zrobienia — absolutnie nic.

Borowicz pojął, że jedyne, co mu teraz pozostaje, to zagasić siłą wszelkie myśli, wyłączyć się psychicznie i zagłuszyć doraźną pracą. Zostawił opalizujące i mieniące się błyskami rondo, zasiadł przy biurku i zajął się segregowaniem a także przeglądaniem nagromadzonych tam pod jego nieobecność wewnętrznych biuletynów i komunikatów: były tu wszystkie, również te ściśle tajne, nie było tylko, rzecz prosta, instrukcji. Rozczytał się nawet w tym i w owym, potem zadzwonił w parę miejsc, także do Wojczyńskiego do redakcji. Wojczyński słuchał go ze zwykłą pokorą, a więc trwał jeszcze porządek w umysłach, w zachowaniach i w słowach, porządek wkolejony przez lata rutyny — nagły nieporządek dokonany w faktach nie zdołał tu jeszcze wtargnąć. To było łągodzące jak narkotyk: narkotyk normalności dnia codziennego działał jeszcze, czy był złudą czy nie, ale działał prawidłowo i bezbłędnie, odwlekając choćby o parę godzin to co miało nadejść, a co wcieli się w obrzydłe, łatwe do przewidzenia i wyobrażenia, bezlitosne akcesoria zewnętrzne: te, gdy zaczną się ujawniać, będą najgorsze, gorsze od samej rzeczy.

XX

Najprzykrzejsze i najtrudniejsze momenty życia zacierają się we wspomnieniach: pamiętamy wprawdzie, że były, lecz nie pamiętamy ich smaku, owej goryczy dłużącego się czasu, czasu, który w pamięci skraca się później niemal do jednej, przykrew lecz krótkiej chwili, podczas gdy w aktualnej rzeczywistości istotą męki jest rozciąganie się sekund w godziny a godzin w tygodnie. Czas mija bezboleśnie, gdy go nie zauważamy, najlepiej przy sprawnie idącej, przynoszącej wiadome rezultaty pracy: czas jest wtedy wymiarem dobrze przystającym do tego, co się w nim zawiera, wygodnie dopasowanym, jak miękki, elastyczny but, o którego istnieniu się nie pamięta, bo nie tylko że nie hamuje ruchów, lecz przyspiesza je i uprecyzynia. Natomiast czas usamodzielniony, wyzwolony, czas sam w sobie, nie zawierający żadnej treści poza mijaniem sekund, służący tylko czekaniu czyli pochłanianiu samego siebie staje się jedną z najbardziej jałowych i przez to najstraszniejszych pustyń tego świata. A pustynia to też żywioł, napełniony wprawdzie nicością lecz przez to właśnie przerażająco nieodparty i niszczący. Czas nagle usamodzielniony, wypełniony tylko sobą czyli oczekiwaniem, nabiera więc nieprawdopodobnych wymiarów i niewyobrażalnego ciężaru: jedno mijające zazwyczaj sprawnie i bezboleśnie niedzielne przedpołudnie zamienia się nagle w bezkresny ocean nudy, jałowej bezczynności, bólu, męki powolnego przemijania, które nie może się dokonać. Rzucony w ów pustynny żywioł delikwent ma poczucie katastrofy absolutnie irracjonalnej, buntuje się, nie może pojąć jakim sposobem czas, ów żywioł wygodny, który wczoraj jeszcze otulał go jak dobrze skrojona, miękka jesionka, dziś stał się narzędziem nieskończonej tortury, istnym Madejo-

wym łożem. Ale gdy rzecz taka się już stanie, nie ma od niej żadnej apelacji, na nic się nie zdadzą bunty czy protesty: przez tę pustynię trzeba przejść, bez względu na cierpienia, którymi się za to płaci, co najwyżej ze świadomością, że kiedyś cała rzecz wyda się przejściowym epizodem, krótką chwilą bez treści i znaczenia. Ale mała to w danym momencie pociecha, żadna ulga — o jakiegokolwiek zresztą uldze na pustyni czasu nie ma w ogóle mowy.

Dobrze znają ten stan rzeczy zakochani, niepewni cudzych uczuć, wzajemności, decyzji, zmuszeni do czekania, przedłużonego w makrokosmos nieskończonym rozpamiętywaniem w kółko tej samej, jałowej, bo nie wzbogacającej się o nowe fakty sprawy: spuszczone nagle z łańcucha czas przegryza im myśli po wielokroć, ciężaru jego nie da się strącić, nie da się go w żaden sposób ominąć, oszukać, przespać — trzeba ten czas przeżyć, przeżyć ową z każdą sekundą rosnącą i wydłużającą się jałowość. Tak, zakochani dobrze znają stan, gdy czas się nieprawdopodobnie przedłuża a jednocześnie nieprawdopodobnie marnuje, gdy trwonimy go nielitościwie mając go jednocześnie w coraz większym nadmiarze, gdy traci on wszelką zawartość i wszelki smak poza sobą samym, poza pustym trwaniem, na którego tle rysuje się wyraziście tylko jedna, jedyna sprawa, nasza sprawa, nasze rozdarcie, nasz dylemat nie rozwiązany, który rozwiązać się może tylko i jedynie — poprzez czas.

Zakochani znają tę rzecz, ale nie tylko oni. Borowicz bynajmniej nie był zakochany — przeciwnie, mimo to, budząc się w niedzielę rano, wiedział już, że nastaje dlań oto moment najsmroźszego kryzysu, kiedy właśnie zmierzy się oko w oko z czasem: z gołym, jałowym, bezlitosnym czasem i nikim więcej. Jak długo będzie trwał ten pojedynek, godziny, dni, tygodnie, to przecież wszystko jedno, jeśli nie wiadomo nawet w jaki sposób przeżyć jedno jedyne, beznadziejnie bezczynne niedzielne przedpołudnie. Czas w takim wypadku nie ma już wymiarów a raczej ma każdy wymiar: może być jaki chce, on bowiem dyktuje teraz warunki nieszczęśnikowi, który wreszcie dostał się w jego łapy. Rzadka to dla owego czasu okazja, zwłaszcza w wypadku tak dobrze umiejącego zwykle dysponować swym rozkładem dnia osobnika jak Borowicz — tym bardziej jej nie opuści, nie zaniedba. Nadszedł okres tortury, której uniknąć się już nie da — to było jasne.

Wstając z łóżka w swym kompletnie pustym mieszkaniu Borowicz zastanawiał się, kiedy zacznie odczuwać owo nieznośne cierpienie, które ma się odtąd stać jego udziałem na nie wiedzieć ile czasu, w dodatku czasu względnego, przedłużającego się w do-

wolny, jemu tylko, czasowi, wiadomy sposób. Było to tak, jak z bólem zęba: człowiek budzi się rano i jeszcze go nie czuje, ale wie, że za chwilę ból się odezwie, że odezwać się musi — cudów nie ma, przynajmniej w tej dziedzinie. Krzepiąca to zresztą rzecz, że cudów nie ma, są natomiast określone prawa — tylko że właśnie oto Borowicz padł w sposób najzupełniej regularny (choć nonsensowny — ale to należało do gry) ofiarą tych praw. Rezultatem będzie kara i to podwójna: najpierw bierne oczekiwanie czyli uczucia nabitego na szpilkę owada, potem konkretna porażka, o której dowie się „w czasie właściwym”. Najgorsze było tylko, że nie wiadomo, kiedy ten właściwy czas przypadnie i jak długo trzeba będzie żyć w niepewności, niepewności zresztą formalnie tylko rzecz biorąc, bo w istocie była ona już pewnością, tyle że chwilowo zawieszoną.

Tak więc Borowicz znalazł się tego niedzielnego ranka na dnie kryzysu — jakież kontrast z niespodziewaną otuchą, która ogarnęła go przedwczoraj, po wyjściu od Białowicza. Była to oczywiście otucha irracjonalna, chwilowy zryw nerwów — tymczasem tutaj przypadków nie ma, wydarzenia rozwijają się logicznie, choćby nawet u samej ich podstawy tkwił jawny absurd.

Nie zostało już nic do zrobienia, poza rozpamiętywaniem swej porażki i przepędzeniem jakoś czasu, owego ofiarowanego mu czasu przejściowego. Oczywiście — mocowanie się z pustynnością sprawy w równie pustym domu byłoby rzeczą najgorszą: pozostawał jeszcze Komitet, gdzie dziś, mimo niedzieli, pracowano, choć Borowicz zwolnił Rusina i nie mógł w żaden sposób ułować Kasperczyka. Pójdzie więc do biura, jak narkoman czy winowajca, wracający na miejsce zbrodni, zasiądzie samotnie nad papierami i przy telefonach, konwencjonalność tamtejszych gestów (jeszcze wciąż trwająca!) przyniesie mu może jakąś, minimalną choćby, ulgę — jedyną ulgę, której się dziś mógł spodziewać.

Nie pamiętał zupełnie, jak się dostał do Komitetu, czy szedł czy też czymś jechał — w każdym razie po auto nie dzwonił. Świadomość jego zarejestrowała dopiero fakt znalezienia się w biurze: siedzi oto w zalanym słońcem gabinecie nad plikiem świeżych biuletynów, które wziął z kancelarii Rusina. Czytanie owych tajnych w zasadzie biuletynów było jednym z konkretnych obowiązków członka Komitetu a już w każdym razie kierownika Wydziału. Biuletynów tych, odbijanych na powielaczu, starannie broszurowanych i numerowanych mnożyło się teraz co niemiara: ostatnie wiadomości z krajów socjalistycznych, streszczenie artykułów prasy kapitalistycznej, streszczenie artykułów krajów socjalistycznych, nasłuch radia zagranicznego, nasłuch radia Zjednoczonej Europy, wiadomości z Chin i tak dalej — mnóstwo tego

produkowano, całe stopy, ale trzeba było czytać, chcąc kierować polską prasą i nadawać jej właściwy kierunek polityczny. Wszystkie te wiadomości nie zostały rzecz prosta przeznaczone dla masowego czytelnika krajowego, zamąciłyby mu tylko w głowie: jest to wszakże czytelnik korzystający z awansu socjalnego, przyniesionego mu przez ich rewolucję, czytelnik, który w swych pierwszych krokach na nowej drodze musi być pilnie chroniony i karmiony odpowiednim materiałem ideowo politycznym. Prasa socjalizmu nie może się stać workiem, do którego bez wyboru wpycha się wszystko, co się na świecie zdarza lub mówi — aby jednak we właściwy sposób dokonać selekcji i nadać rzeczom odpowiednie oświetlenie, trzeba samemu znać wszystko. Toteż Borowicz zawsze karmił swój mózg biuletynami aż do niestrawności, przed którą zresztą bronił się, robiąc zwięzłe notatki, sporządzając sobie syntetyczne „bryki”, w czym był mistrzem. W ciągu ostatnich tygodni zaniedbał tej czynności i oto teraz, w blasku jałowego, bo przez szybę okienną przepuszczonego słońca piętrzył się przed nim stos półmetrowej chyba wysokości. Jeszcze mu tylko tego brakowało do przepięnienia owej czary gorczy, goryczy, wywołanej świadomością uderzającą bogatej kolekcji błędów, zaniedbań i głupstw, jakie porobił w ostatnich miesiącach. A oto właśnie przyszło do płacenia — o diabli to nadali!

Udawał przed samym sobą, że czyta, ale żalosne to było udawanie, bo w istocie wyłącznie i jedynie wsłuchiwał się w swą wewnętrzną torturę, która natychmiast nader skutecznie rozpoczęła funkcjonować. Skuteczność jej podsycały jeszcze dwie, mimochodem poczynione obserwacje: pierwsza, że cały Komitet tętnił od przedświątecznej pracy, a tylko w tym Wydziale panowała izolowana cisza i bezrobocie, zamaskowane czytaniem starych biuletynów. Druga obserwacja nie wymagała wysiłku, narzucała się sama: chodziło po prostu o owe słoneczne promienie przepuszczone przez grubą szybę i przez wibrującą wszystkimi kolorami tęczy niematerialną zaporę z unoszącego się kurzu, promienie, które właśnie jaskrawo a nie wiadomo po co oświetliły piętrzącą się na biurku stertę papierzysek. A więc słońce — jaskrawe, lipcowe słońce, prażące z błękitnego nieba po tygodniach mżawki, mgły, dziwacznej pluchy. Co to znaczyło? To znaczyło, że Szef ma znowu szczęście, że jutrzejsza defilada uda się jak złoto, co jeszcze przypieczętuje jego, Borowicza, ostateczną porażkę: w blasku słońca nieobecność jego na trybunie widoczna będzie jak nóż, a kto raz z tej trybuny wypadł, ten nie powróci już nigdy i nigdzie. Proste i jasne — właśnie, jak blask słońca na czystym niebie. Oczywiście — tak zwana szeroka publiczność

czyli zawistnie ironiczna gawiedź warszawska w niczym się nie zorientuje, dla nich komunista taki czy owaki to wszystko jedno, nawet jak się dowiedzą, co najwyżej porechoczą trochę, że znów jednego wylano; za to ich grupa, grupa ludzi przekształcających ten kraj nawet wbrew jego woli ale dla jego dobra — ta grupa jest ważna, jej reakcja nie jest obojętna, jej skład personalny decyduje o wielu sprawach, o podstawowych sprawach. Komuniści to ludzie odważni, nie cofają się przed niczym, bo ich koncepcja historii opiera się na aprobacie kataklizmu, wynikłej ze zrozumienia, że katastrofy są normą, że jeśli ma się cokolwiek nowego stać, to stać się może tylko i wyłącznie poprzez katastrofę — innej drogi nie ma i nie będzie, katastrofę zaś lepiej wywołać samemu, niż biernie na nią czekać. Było to sprzysiężenie ryzykantów grających tylko po banku, ludzi historycznie odważnych: ta właśnie wspólność w odwadze jednoczyła tak odmienne typy i temperamenty, jak Seweryn i Prezes, albo Ludwik i Dyrektor. Zespoliło ich poczucie wspólnego a krańcowego działania w historii: tylko zacofani emigracyjni słabeusze myślą, że historia okrutna czy głupia przestaje być historią, że katastrofa to koniec gry — gdy w istocie jest ona jej początkiem. Ale kto, choćby przez nieszczęśliwy przypadek, usunięty zostanie z owego sprzysiężenia odważnych, ten znajdzie się pomiędzy nieświadomymi rzeczy zwykłymi ludźmi, bezradny jak oni a zarazem napiętnowany odmiennością, napiętnowany wiedzą, którą posiadał tam na górze, a z której nigdy już nie będzie mu wolno robić użytku. Czyż można w krainie rewolucji wyobrazić sobie gorszy los?

Przez chwilę wahał się, czy by, jak zwykle, nie zająć się pootwieraniem okien, co nadałoby promieniom słonecznym realny zdrowy blask i odżywcze nie zaś jałowe ciepło, a zarazem choćby na chwilę zwolniło go od automatycznej konieczności myślenia: zajęcie się czynnością fizyczną i to tak określoną jak otwarcie dość skomplikowanych zamków okiennych musi przecież zaabsorbować pewną choćby niewielką lecz jednak konkretną partię psychiki, odciążając ją przynajmniej odrobinę. Ale jeszcze się wahał, odkładał tę rzecz, wiedząc, że potem nie pozostanie mu już nic do zrobienia, tylko trwać w jałowym dialogu z obrzydłymi a niestety uzasadnionymi myślami. I oto w tym momencie właśnie, w uchylonych drzwiach do sekretariatu pojawiła się głowa.

Tak właśnie odebrał to Borowicz: nie cały korpus ludzki, lecz głowa — może dlatego, że był oślepiiony blaskiem słońca, albo że w gabinecie wibrował ów różnokolorowy pył czy kurz — chyba zresztą tylko kurz optyczny, imaginacyjny, hipotetyczny. Tak czy owak głowa zjawiła się bezszelestnie i do tego stopnia

niespodziewanie, że Borowicz przez dłuższą chwilę doznał tak jeszcze niedawno upragnionej łaski nie myślenia: zamiast myśli, miał pustkę, bo skoncentrował się bez reszty nad zagadnieniem, do kogo właściwie należała głowa. Kasperczyk, Rusin? — nie, żaden z nich, a przecież głowa na pewno była mu znajoma, często tu spotykana. I dopiero, przywoławszy siłą całą swą zdolność koncentracji (przez ową chwilę miał niemiłe uczucie zaniku pamięci — zapewne przedsmak tego, co dzieje się z człowiekiem na starość) zrozumiał rzecz prostą choć zdumiewającą: głowa należała do Pietrzaka, Ryszarda Pietrzaka, w drzwiach stał Ryszard Pietrzak, młody człowiek, do niedawna pracownik Wydziału i żarliwie ideowy towarzysz; ostatnio w domu dla umyślowo chorych. Ale nie przebywał już w tym domu, najwyraźniej stał tu, w drzwiach sekretariatu: jakim cudem go wpuszczono, przecież nie dalej jak chyba w końcu maja rzucił się na Kasperczyka i dopiero kilku woźnych z trudem go obezwładniło?!

Jakby dla rehabilitacji za chwilową zapasć, myśl i wyobrażenia Borowicza pracowały teraz z bezbłędną przytomnością i logiką. Punktem zaczepienia dla wręcz automatycznie usłużnej wyobraźni stał się mianowicie niewielki czarny przedmiot, spoczywający niestety dość daleko stąd, bo na dnie szafy w mieszkaniu. Chodziło oczywiście o ów pamiątkowy, przedwojenny rewolwer wzór 30 — jakże dobrze byłoby mieć go teraz w kieszeni! Borowicz wiedział wprawdzie, że Pietrzak to gruzliczny cherlak, wiedział jednak również, jak zwielokrotniają się siły w podobnych wypadkach. Forsownie pracując głową, zezował okiem ku ciężkiej, marmurowej popielnicy, stojącej w rogu biurka. Ale Pietrzak stał nadal w drzwiach, smutno się tylko uśmiechając.

— Nie bójcie się mnie, towarzyszu Kierowniku — przemówił wreszcie. — Ja już jestem wyleczony, to było chwilowe. Przyszedłem tylko, żeby wyjaśnić...

Mówiąc, jął się zbliżać do biurka. Borowicz mierzył wzrokiem odległość, ale chyba naprawdę tamten nie miał złych zamiarów. Stał już dość blisko góry papierów i wciąż uśmiechał się z zażenowaniem. — Byliście w zakładzie, towarzyszu? — mrucnął Borowicz, aby coś powiedzieć.

— Byłem, brałem elektrowstrząsy, ale już jest dobrze — mam zaświadczenie, o, proszę. To był szok, nerwy, nieprzyzwyczajenie — chciałem wam właśnie opowiedzieć, dobrze, że was zastałem, bo wyjeżdżam. Czy mogę usiąść?

Cóż było robić? Borowicz przysunął mu krzesło, nie patrząc na paperek, który tamten usiłował wetknąć mu do ręki, aby wreszcie odłożyć go na stertę biuletynów. Sytuacja była dziwaczna ale chyba rzeczywiście nie niebezpieczna — trzeba z niej jakoś

wybrnąć, przez owe wszystkie swoje przeklęte tarapaty na śmierć zapomniał o tym Pietrzaku. — Oczywiście, opowiedzcie o sobie towarzyszu — chrząknął zachęcająco, podsuwając mu ostentacyjnie przygotowane dla gości papierosy: jak się zajmie paleniem to może mniej będzie histeryzować.

— Zaskoczę was, towarzyszu kierowniku — powiedział Pietrzak, nerwowo odsuwając papierosy. Borowicz zacisnął ręce w kieszeniach nie tracąc z oczu popielnicy, ale tamtemu chodziło o inne zaskoczenie, zaskoczenie rozmową — nie zdawał sobie sprawy, że wszystko co powie będzie w tej sytuacji bez znaczenia.

Mówił sporo, trochę się jękając, z pośpiechu i jakby odwykł od sprawnego formułowania myśli. Borowicz mało słuchał, raczej patrzył na zaczerwienione oczy i drżące usta tamtego, myśląc podskórnie o absurdalności wydarzeń, która raz wyzwolona wciągnie go w swą orbitę i już nie popuści. Siedzieć tu i spędzać czas na gadaniu ze zwariowanym Pietrzakiem było w jego, Borowicza, sytuacji nonsensem potrójnym. A tymczasem właśnie ten nonsens nawiedził go, wywiązał się sam z siebie na zasadzie licha wie jakiego mechanizmu rzeczy i trwał, realny, w blasku słońca i przy akompaniamencie stłumionego w niedzielę ulicznego szumu. Borowicz tak był zaabsorbowany jakością samego zjawiska, że nawet nie udzielał uwagi jego treści: nie słuchał wcale co tamten mówi, stwierdził tylko, że natrętnie powraca wciąż słowo R... Co to takiego? Ach prawda, R... to było miasto nadgraniczne na Śląsku, górskie miasteczko, gdzie Pietrzak ostatnim razem jeździł na inspekcję. Borowicz przypomniał sobie jak przez mgłę, że tamten kiedyś już usiłował mu coś na ten temat opowiedzieć, ale mieli wtedy na tapecie sprawę Gellera i nikt nie chciał słuchać. — Więc co właściwie było w tym R...? — zapytał znudzony, tak tylko dla formy, bo cóż go to wszystko w tej chwili obchodziło? Pietrzak spojrział nań zaskoczony i na chwilę przestał ruszać wargami.

— Nie słuchacie chyba, towarzyszu — głos mu się lekko załamał. — Przecież mówię cały czas o tych głośnikach.

— O jakich głośnikach?! — Borowicz nie taił opryskliwości, zdając sobie jednocześnie sprawę, że tamten jest nadal wariatem i że zaraz wyniknie jakaś grubsza chryja, która niemożliwie skomplikuje i tak już absurdalnie zawikłane sprawy. Leciał z deszczu pod rynnę — widać innej drogi już dlań nie było. W każdym razie marmurową popielnicę miał dalej w zasięgu ręki, o tym pamiętał — a o wszystkich zasadniczych zmartwieniach też nie zapominał. Najmniej myślał o samej rozmowie, choć tymczasem Pietrzak mówił znowu: powtarzał najwyraźniej swą poprzednią

kwestię z przesadną dobitnością, jakby chciał coś wytłumaczyć nieuwważnemu dziecku.

— Więc było święto, rocznica wyzwolenia Śląska, towarzyszu — bardzo uroczyste, przyjechał towarzysz Szytgar, cały sekretariat wojewódzki. R... zostało zradiofonizowane, co pięćdziesiąt metrów był głośnik, a głośniki nastawiono na maksymalne natężenie. Najpierw była muzyka, potem powitania a potem towarzysz Szytgar przemawiał. Przemawiał półtorej godziny — rozumiecie?! —

— Rozumiem, ale co z tego, towarzyszu Pietrzak?

— To z tego, że trzeba mieć wyobraźnię, towarzyszu Borowicz. Wyobraźcie sobie głos nad miastem, słyszalny wszędzie: w każdym mieszkaniu, w każdej dziurze, głos którego każdy musi słuchać, chce czy nie chce, bo nie ma gdzie przed nim uciec. Ja właśnie chciałem uciec, musiałem uciec — rozumiecie? Pobiegłem do hotelu — hotel jest na rynku — zapaściłem stopy, ale to nic nie pomagało. Chciałem zatkać uszy, wejść gdzieś do szafy, pod łóżko, nie wiem — bo nie mogłem dalej słuchać. Coś się we mnie stało, załamało, musiałem zdobyć choć chwilę ciszy — a nie mogłem. I wtedy nagle wszystko zrozumiałem, to był punkt przełomowy, pojąłem wszystko. Rozumiecie?

— Nie bardzo. Cóż takiego Wam się objawiło?

— Towarzyszu Borowicz! Słuchajcie mnie uważnie, słuchajcie i wczujcie się w tę sytuację: głos nad miastem, jak głos Boga, głos przed którym nie można uciec — miasto opanowane przez głos i nie mające ratunku; czyż w tym nie tkwi wszystko? Czyż to Wam nic nie przypomina?! Jeśli nawet chory człowiek — a ja już byłem w tym momencie chory — nie może znaleźć ratunku, chwili odprężenia, litości. Przecież w tym zawiera się wszystko: tortura głosu, to wprost z Orwella. Tu już jest wszystko, rozumiecie?! Wszystko!!

— Wszystko, to znaczy co? (— Tędy cię wiedli, wariat, który czytał Orwella a potem słuchał frazesów Szytgara — Borowicz wiedział już co o tym sądzić — nowa, tyle że bardziej nerwowa wersja Grochowskiego czy Piórczyńskiego, może i Gellera — akurat to potrzebne w tej chwili, jak dziura w moście! Aby tylko nie okazać tamtemu odrobiny nawet zainteresowania, bo będzie gadać choćby dwie godziny). Ale Pietrzak nie potrzebował już zachęty: gadał sam z siebie, ręce mu drżały, głos załamywał się kogucio.

— To jest symbol naszych rządów — rozumiecie? Myśmy skasowali wolność a nie można tak rządzić tym narodem. To już naród oświecony, daliśmy mu wykształcenie, rozwinęliśmy go, a odebraliśmy mu wszelkie prawo decyzji, wszelkie prawo głosu nawet, znieważamy go na codzień — wszystko za niego

robimy, jakby był dzieckiem. Tak nie wolno, to się zemści — na nas też. Człowiek nie jest nawozem historii a my go tak traktujemy. Jak glinę, jak glinę, z której się lepi. I kto to ma lepić?! Co to za elita lepić?! Do góry w terenie wychodzą najgorsi, najbardziej bezwzględni, obojętni, bezduszni — im się wierzy, bo oni nie są niebezpieczni, nie myślą samodzielnie, nie grożą fermentem. Najgorszym oddaje się głos, głos nad miastem, rozumiecie?!

— Gadaj zdrów — powiedziałyby Borowicz, gdyby w ogóle miał zamiar cokolwiek mówić. Ale o ile nawet miałyby ten zamiar, zrealizować by się go już nie dało, ponieważ tamten rozpedził się jak oszalała lokomotywa: oszalała, bo w środku zepsuta, ochrypła, bulgocząca, charcząca, wydająca nierytmiczne pogwizdywania i trzaski. Towarzysz Ryszard oszalał na temat zasadniczy: światopoglądowy, ideowy, polityczny. A to dobre — ale któż go powstrzyma?

— Wystąpiliśmy w imię wolności — załamujący się głos Pietrzaka stanowczo nie odpowiadał w tej chwili jego potencji myślowej i jego wyraźnie rosnącej furii — a sami zniszczyliśmy jej resztki, nawet pozory. Wszystko w tym kraju idzie kulawo, tylko budowanie silnej, bezdusznej władzy, konstruowanie przymusu politycznego, rozbijanie ośrodków oporu, niezależnej myśli — to, to idzie dobrze. Myśmy to tutaj robili, tu w wydziale, towarzyszu Kierowniku, precyzyjnieśmy to robili, nie ma co (— znów Grochowski się kłania — przemknęło Borowiczowi jak na filmowej taśmie) — prasa to jest też głos nad miastem, jedyny głos nad miastem. Prasa, telewizja, radio — bagatela, monopol — to wystarczy, zupełnie wystarczy. I w rezultacie, na miejsce rewolucji — dyktatura. Także — i to najgorsze — dyktatura słów. Bo robić tutaj można wszystko, aby bez skrupułów: oszukiwać, kantować, wyzyskiwać państwo — tylko mówić o tym nie można. Słowo jest nietykalne, słowo zastrzeżono tylko dla Głosu nad miastem. A przy tym tak jest życie urządzone, że jak się ktoś chce sprzeciwić, to musi iść przeciw wszystkim, nawet przeciw swoim najbliższym, bo wszyscy już się przyzwyczaili, urządzili, nie chcą zmiany, wołają rezygnację. Nawet tych co za dobrze pracują, są za gorliwi, też się zdejmują: żeby nikt się nie wyróżniał, nie wybijał i nie był przez to niebezpieczny — politycznie niebezpieczny. Ludzie to wiedzą i niczego już nie chcą — tylko spokoju. I takie idą nowe pokolenia: wychowujemy ludzi, którzy w ogóle nie będą wiedzieli, że nie są wolni, nie będą potrafili zdać sobie z tego sprawy, nie będą już mieli odpowiedniego zmysłu. To będzie nie do cofnięcia... Póki jeszcze czas... Nie zdajemy sobie sprawy... Szaleństwo, nonsens... Kary-

godna lekkomyślność, zbrodnia... Megafon w miasteczku... Megafon... Megafon...

Borowicz już go nie słuchał, słuchał swojego wnętrza. A wewnątrz tym narastała sucha wściekłość, gwałtowne crescendo gniewu, tym gwałtowniejsze, że krótkie, niedawno zbudzone i niezwykle intensywnie domagające się ujęcia. Krew napłynęła mu do głowy: z jakiej racji wszyscy pomylenicy i reakcyoniści świata nachodzą go i wygłaszają do niego, właśnie do niego swoje bzdurne monologi. Grochowski... Piórczyński... Grynbaum... A teraz ten zwariowany Pietrzak. I właśnie tutaj w Komitecie, przy podsłuchach... I w jego sytuacji, w przeddzień defilady, na którą go nie proszono... Poczul nagle, że ręce robią mu się ciężkie, nabiegają krwią: boksował się kiedyś a poza tym marmurowa popielnica stała tak niedaleko...

W tym momencie wydarzył się cud. Pietrzak nie był widocznie tak oderwany od rzeczywistości jak się zdawało, bo nagle wyczuł w powietrzu burzę. Jeszcze chwilę mówił, ale słowa coraz bardziej mu się łamały, kruszyły... Mrugał zaczerwienionymi powiekami i popatrywał na Borowicza, najwidoczniej go dostrzegał — jego i jego stan. Najwyraźniej też przestawał już gadać, choć jeszcze coś tam miał w rodzaju: — i tak to było towarzyszu — zrozumiałem i załamałem się — ten głos, wiecie, hotel na rynku — nerwy, choroba — przyszedłem do Was — ja...

Borowicz stracił poczucie czasu, a także poczucie obecności czy nieobecności tamtego. Jeszcze był, jeszcze coś mówił o urlopie, wypoczynku, prosił o jakiś podpis. A potem już go nie było, jego, jego głowy, jego korpusu, jego chropawego głosu. Borowicz siedział sam w słonecznym, tęczowo wibrującym kurzu. Nie wiedział jak to długo trwało, był pewien, że po wyjściu Pietrzaka o niczym w ogóle nie myślał, co najwyżej o tym, że gwałtownie spocily mu się nagle ręce i czoło i że trzeba je wytrzeć chusteczką. Na pewno jednak, jak to u niego zwykle, praca mózgowa przebiegała gdzieś pod spodem, pod czy poza oficjalnym nurtem myśli; musiało się tak stać, bo nagle, na pozór bez związku z tym co zaszło poprzednio, z wizytą Pietrzaka i jego histeryczną tyradą, rezultat tej pracy objawił się, rewelacyjny, nieomylny, a przy tym jakże prosty, nie wymagający komentarzy bo skondensowany w jednym, jedynym słowie a raczej imieniu: Władka.

Władka! Że też o tym wcześniej nie pomyślał! To była przecież jedyna rzecz, którą mógł mieć jeszcze do zrobienia, jedyny motyw ewentualnej kontrofensywy czy nadziei odrobienia, „odkręcenia” czegokolwiek. Władka mogła trzymać w ręku klucz sytuacji, jeśli to ona namotała intrygę, to mogła ją jeszcze odmo-

tać, mogła przynajmniej spróbować — gdyby zechciała. W tym celu należało zawrzeć z nią przymierze, wyjaśnić, przeprosić, odrobić wszystko — to była ostatnia szansa. Ale czy się zdąży? Czasu, jakże mało miał czasu! Trzeba się pospieszyć, pospieszyć za wszelką cenę.

Gdy tylko, jak w błysku magnezji, stanęła przed nim ta idea, natychmiastową, skróconą pracą myśli pojął jej wszelkie możliwości i korzyści, jej wyłączność i nieodpartość. Nie było się co zastanawiać, to jedyna szansa: Władka pracowała w Wydziale Kontroli, dziś, w przeddzień Święta musiała być tu na miejscu — należało ją zaskoczyć, przyłapać, postawić wobec skróconej alternatywy. Jest dostatecznie inteligentna by pojąć rzecz natychmiast — jeśli oczywiście go jeszcze kocha, jeśli urażona miłość nie zamieniła się w bezapelacyjną nienawiść.

Ledwo pomyślał, już się rzecz realizowała — niemal sama, choć realizowało ją jego usprawnione nagle i szybkie ciało. Oto długimi krokami przemierza komitetowe korytarze, oto, nie mając cierpliwości czekać na windę, pędzi po schodach, i oto wreszcie zatrzymuje się przed drzwiami Wydziału Kontroli. Zatrzymał się aby uspokoić oddech i przyglądać włosy: oddychając głęboko stał przed owymi ratunkowymi drzwiami i odczytywał przybity do nich bilet: Kowalczyk Władysław, starszy referent. Jednocześnie, prawem kontrastowej reakcji, pożałował jakby swego zrywu: mógł to być pomysł ryzykowny, nawet zgoła poroniony. Ale za późno już się cofać.

Szczęście mu sprzyjało: Władka była sama. Gdy tylko spojrzenia ich się spotkały, Borowicz zrozumiał wszystko: wiedział już jaka będzie przyszłość a także ile wyniesie jej cena. Bo Władka nie była zaskoczona, przeciwnie — czekała na niego, to jasne.

Cena, jaka będzie cena! Wiedział to, powiedziały mu to zmiany fizyczne, które dokonały się we Władce, przez te trzy miesiące, one uderzyły go najbardziej i one rzutowały w przyszłość, one warunkowały tę przyszłość. Władka była zawsze bujną, nieco skłoną do ciężkości blondynką, ale teraz ta bujność zaakcentowała się, a w połączeniu ze stwardniałym wyrazem twarzy nadawała jej charakter jakiejś władczości, chciałoby się rzec, jakiejś germańskiej władczości — ot jasnowłosa wagnerowska Brunhilda. Borowicz wiedział już wszystko, wiedział jakie będzie ich małżeństwo — bo ona zażąda małżeństwa, to jasne, to jedyna dla niej rekompensata, wywabiająca płamę, którą na jej karierze partyjnej stanowić może ów nielegalny związek z Borowiczem, a raczej nie tyle sam związek, ile fakt sytuacji politycznej i życiowej, w jakiej znalazł się Borowicz, choć w rzeczywistości bez własnej winy. O tym braku winy Władka nie wiedziała, myślała

pewno, że partner wzgardził nią dla innej, młodszej — nie miał jej okazji tego wytłumaczyć, ona wbiła to sobie do głowy, co gorsza inni też musieli się o tym dowiedzieć, licho zresztą wie w jakiej wersji: nie uruchamia się Komitetowej Komisji Kontroli nadaremno — i to przeciwko kierownikowi Wydziału. Wszystkie oskarżenia jakoś się zagadkowo zsumowały (podśłuchy? Karbowski? Władka? Dyrektor? Oczywiście Seweryn — a gdzie w ogóle uporczywie znikł Kasperczyk?!), skumulowały się w śledztwie u Białowicza, Władka wie, że sprawy zaszyły za daleko, chce to odkręcić (czy może?!), tyle, że za cenę małżeństwa. Ależ fatalne okaże się to małżeństwo: będzie jej zawdzięczać ocalenie, ona zyska nad nim przewagę, da mu to odczuć, nie będzie się go bać, Borowicz straci ową nieuchwytną aureolę tajemniczości, straci nimb szefa i człowieka opanowanego; Władka myślała dawniej, że Żydzi rządzą, teraz już będzie wiedzieć, jak to czasem Żydzi potrzebują pomocy. A do tego zgnębi go atutem, że zadał się z księżmi (i pomyśleć, jaki miał szczerzy zamiar strzec się tego niczym ognia!), no i sprawa dziecka — ta może się okazać najtrudniejsza ze wszystkich. Tak, fatalne to będzie małżeństwo: z kompleksem, bez szacunku, mieszczańskie, banalne, ba, pantoflarskie zgoła. Intymność erotyczna też się gdzieś ulotniła i już pewno nie wróci. Ładne małżeństwo, męka nie małżeństwo! Ale czy jest inne wyjście i czy w ogóle można cokolwiek zdziałać bez Władki?! Oczywiście nie — to ostatnia i jedyna szansa.

Borowicz znał dobrze pokolenie wychowane całkowicie w Polsce Ludowej, a więc nie żyjące już żadnymi wspomnieniami przedrewolucyjnymi ani bezpośrednio porewolucyjnymi: znał je, zaczynając od wiejskich pańienek, sprzedających wiktuały w warszawskich sklepach MHD aż po funkcjonariuszy partyjnych około trzydziestki — tych pracujących choćby w Komitecie i jego przybudówkach. Ci ludzie nie pamiętali przeszłości, nie mogli więc widzieć terażniejszości na tle historycznym, w ruchu: terażniejszość przedstawiała im się jako coś niezmiennego, danego na zawsze, wręcz świętego — nie jako etap, lecz jako osiągnięcie. Dla pańienek z MHD, które dojeżdżały do Warszawy spod Mińska Mazowieckiego, święty był nawet cały nieudolny i zbiurokratyzowany mechanizm państwowej sprzedaży: uważały, że podporządkowanie się temu mechanizmowi wywyższa je, że to jest jakiś rytuał, symboliczny dla ich społecznego awansu, dla ich ucieczki ze wsi. A znowu pracownicy polityczni, ci młodzi, co wszystko zawdzięczali Partii, mieli umysł całkowicie uwarunkowany sztywnymi alternatywami sytuacyjnymi swej wąsko wytyczonej pracy i mowy nie było, aby mogli spojrzeć na rzeczy szerzej. Na przykład u nich, w Wydziale Prasy, gdzie często

przysyłano praktykantów ze Szkoły Partyjnej, można było doskonale obserwować, jak to młode umysły poruszały się, niczym po szachownicy, w małym kwadracie między specjalnymi biuletynami, instrukcjami Komitetu, działalnością warszawską zagranicznych dziennikarzy i podżeganiem radia Zjednoczonej Europy. Dla tych młodych praca w owym kwadracie była zaszczytnym awansem, dlatego między innymi, że pozostawała ona tajna, szerokiemu społeczeństwu zupełnie nieznaną. Ta tajność im pochlebiała, czuli się wywyższeni, dzięki temu można było na nich polegać, gdyż pracowali z satysfakcją i dumą, okazywali się niezastąpieni, nie zawodzili. Aż dziw, że zawiódł Pietrzak, który był jednym z nich: może to zawiąła choroba, nie wytrzymał nerwo-wo, a może ktoś go wytrącił z linii: Grochowski, Gałęcki, lichowie. Tak, sprawa Pietrzaka to też pewno argument przeciw Borowiczowi: że nie dopilnował, że dopuścił. Zresztą, być może racja, ale to wszystko przez ten piekielny zamęt z małą Anną. Co prawda to nie jest żadne tłumaczenie: za błędy się płaci i kwita.

Inna rzecz, że Pietrzak był wyjątkowo zdolny, a to rzecz z samej swej istoty niekoniecznie dobrze widziana. Ludwik lubił ludzi wszystko zawdzięczających Partii, bo był ich pewny, Seweryn posuwał rzecz jeszcze dalej, gdyż zdecydowanie forytował działaczy mało wybijających się, niezbyt zdolnych, wiedząc, że ci okażą się zgoła psio wdzięczni, ślepo oddani i nie będą mieć nigdy żadnych wątpliwości. W rezultacie więc wspólnych działań tandemu Ludwik-Seweryn (oni to bowiem dwaj decydowali w zasadzie o sprawach personalnych, choć ostateczny głos miał zawsze Ludwik), Komitet zaroził się tłumem harujących, ślepych wołków, dla których dyrektwyw góry były świętością a praca po kilkanaście godzin na dobę — największą przyjemnością życia. Owszem, w pewnym sensie dobry to był aparat, Borowicza niepokoiła tylko myśl, że musi on być zarządzany odgórnie, i to zarządzany przez towarzyszy ze starszego pokolenia. Czyżby więc ludzie wychowani już po rewolucji nie byli zdolni do samodzielnego sprawowania dalszej rewolucyjnej władzy? Wiązało się to ze sprawą braku nowej elity (mówił dziś coś takiego Pietrzak) — nie można kształtować tylko trybów aparatu, bez zajmowania się jego siłą napędową. W tym sensie Borowicz nie zawsze entuzjazmował się odmładzającą polityką kadrową: tego braku entuzjazmu raczej zresztą nie okazywał, jednakże Seweryn o nim wiedział i oczywiście robił z tego odpowiedni użytek.

Ale Władka, choć młoda, była z innej gliny: zdolniejsza, szybko myśląca, chwytająca w lot wszelkie nuanse — Borowicz pochlebiał sobie, że objawiał się w tym i wpływ jego szkoły,

ale to nie tylko to — ona była po prostu z innej nieco epoki, miała w sobie coś z tych francuskich arystek, co to, wyszedłszy z dołów, zostawały za Napoleona hrabinami czy marszałkowymi. Z punktu widzenia Sewerynowego spełniała wszelkie warunki: młodość, robotnicze pochodzenie, biała karta w przeszłości, od najwcześniejszych lat życie tylko i wyłącznie w Partii. Te jej zdolności właściwie jak widać oceniono: stanowisko starszego referenta w Wydziale Kontroli to było coś, takie stanowiska dawano tylko albo ludziom Generała albo na specjalne polecenie Ludwika. Tak więc, Władka stała się ważna, posłuszenie się nią jest w tej chwili jedyną jego możliwą drogą.

Wszystko to zrekapitulował sobie błyskawicznie, gdy tylko oczy ich się spotkały i gdy zrozumiał, że Władka chce zawrzeć z nim ten kontrakt, że wie o co chodzi, że czeka. Dlaczego chce, może dla ułatwienia swojej sprawy ambicjonalnej, może z innych powodów — to w tej chwili nie ważne. Nieważne też jest, że on nie czuje do niej teraz żadnego pociągu, że zaszokowany jest zmianami w jej wyglądzie (taka jakaś wielka i surowa...), że sprawa ta da jej nad nim wyższość na zawsze, że będzie się Władki bał. Znowu ujrzał przez moment przyszłość, swoje małżeństwo, banalne kłopoty i banalną sceneryę. Ale cofać się nie było dokąd: wiedział po co przyszedł, ona też wiedziała...

Właściwie nie pamiętał potem dobrze, jak doszli do porozumienia: widać zdenerwowanie było zbyt duże a ulga przyniesiona przez obietnice Władki zbyt nagła — pozostała z tego jakaś próżnia myślowa, której później w żaden sposób nie mógł sobie niczym wypełnić — plątały mu się po głowie tylko poszczególne słowa, urywki zdań, ale plątały się luźno, nie mogąc przecieżyć aspirować do zastąpienia całego toku pertraktacji czy rozumowania, jakie musieli wszakże z Władką przeprowadzić. Choć może właśnie nagłość sprawy a zarazem jej jakaś psychiczna dojrzałość czy wręcz nabrzmiałość sprawiły, że utorowała sobie ona drogę do realizacji niewielu sformułowaniami. — Ach, to wy do mnie towarzyszu — to były pierwsze, niby zdziwione słowa Władki, te zapamiętał, bo zostały przeznaczone dla uszu oficjalnych, może dla podsłuchu, chociaż nie, szło o co innego, o zachowanie pozorów wobec Borowicza, gdyby próbował jakoś kluczyć, udawać, trzymać fason. Ale był na to za słaby, zbyt wstrząśnięty, przerażony po prostu — do szpiku kości przerażony. Władka dostrzegła to przerażenie i postanowiła mu rzecz ułatwić, nie chciała go widocznie upokarzać tak od razu — swoją cenę postawi później, gdy on w pełni oceni ogrom wdzięczności, jaki jej winien. Nie chciała go teraz straszyć i szantażować, uznała pewno, że w tej chwili dostatecznie jest skruszały i raczej,

aby się móc z nim sensownie rozmówić, trzeba mu dodać otuchy, zachęcić go i ożywić. Mądra była i znała go doskonale — to jeszcze jeden zły prognostyk na ich przyszłe pożycie.

— Pobierzemy się — powiedział do niej w ogrodzie. Bo Władka wpadła na genialnie przytomny pomysł: zaprowadziła go do ogrodu położonego z tyłu za Komitetem, na wysokiej szkarpie wiślanej. Ogród był samotny, o tej porze zupełnie pusty, izolowany, bo odgrodzony od położonych w dole ulic przemysłnym systemem murków i balustrad, które oddzielając go ściśle od miasta, pozostawiały jednak wrażenie otwartości, przestrzenności. Pejzaż był daleki: za murami kamienic i za szerokim pasem zieleni powiślańskich parków błękitniała w słońcu smużka rzeki a za nią jeszcze w pastelowych, stonowanych choć tęczyowych kolorach, piętrzyła się Saska Kępa ze smukłymi sylwetkami wysokościowców na którymś tam z rzędu horyzontie. Dojrzałe słońce drugiej połowy lipca pokrywało wszystko gęsto żółtą patyną — obraz w sumie niby piękny choć jakoś utrudzająco leniwy, leniwością pół wiejskiej warszawskiej niedzieli. Popularny dowcip mówił, że stolica wyludnia się w każde święto bo... wszyscy jadą do rodzin. Istotnie, Warszawa składała się jakby z osobnych izolowanych segmentów, zamieszkałych w dużym stopniu przez ludność napływową ze wsi, ludność o różnym natężeniu wiejskości, od grupy kompletnej czystej i izolowanej, która stanowiła ekipę pracowniczą i mieszkalną sławetnej Huty aż po dzielnice mieszane, dziwnie sfastrygowane z najrozmaitszych etnicznie grup i grupiek, przybywających na chybił trafił, w różnych latach, do nieszczęsnego, przez tragicznie nonsensowny splot okoliczności rozbitego i zdruzgotanego mieściska. Osobliwa to była stolica na gwałt przecież uprzemysławiającego się (a raczej uprzemysławianego przez ich rewolucję) kraju, rzucona akurat w środek jałowej, piaszczystej a prymitywnej równiny zwanej Mazowszem. Podmucha leniwego wiatru czy duszna fala ciepła, płynąca od tych mazowieckich piasków owładały miastem zwłaszcza w taką utrudzającą a pustą letnią niedzielę. Co prawda ta właśnie niedziela nie była tak beczynna: gdzieś tam wrzały przygotowania do jutrzejszego Święta, budowano trybuny, rozwieszano transparenty, wojsko ćwiczyło przed defiladą. Tylko on był beczynny, skazany na beczynność, dopóki nie załatwi tej swojej namolnej, zawilej a w istocie bezsensownej, bo wprzagniętej w merytoryczną nicość sprawy. A załatwić ją musi tutaj, w tym nudnym choć pięknym ogrodzie, stromo zawieszonym nad dalekim niżem Powiśla.

Siedzieli z Władką jakby zapadnięci w głęboko, wygodnie wygiętą ławkę, nie patrząc na siebie dotykali się lekko łokciami.

— To ciekawe — powiedziała Władka na jego słowa o małżeństwie — myślałam, że masz już narzeczoną i nawet dziecka się spodziewasz! Borowicz zachnął się, zaczął coś tłumaczyć, ale ona nie kładła na tę sprawę nacisku — powiedziała ot tak sobie, dla formalności, jakby dla zaznaczenia, że ma ten argument, ale nie przywiązuje doń nadmiernej wagi. Niezbyt skoordynowane admonicje Borowicza, że sprawa z Anną jest nieważna i niejasna, osnuta legendami, nieporozumieniami i że nadaje się do załatwienia w najrozmaitszy, życiowo praktyczny sposób, przyjmowała dobrze, ze zrozumieniem ale bez skłonności do wgłębiania się w szczegóły: szkicowali tylko tę sprawę, niby na zasadzie obopólnego choć nie wypowiedzianego porozumienia. Borowicz we wspomnieniach nie mógł później w żaden sposób ustalić dokładnie, w jakim stopniu rzecz ta wyjaśniona została w rozmowie a jak dalece rozumieli się bez słów i zdawali na wiedzę, którą każde ze swej strony o tej sprawie posiadało. Obie te osobno zdobyte porcje wiedzy nie musiały jednak być od siebie zbyt różne, skoro jakoś tam w tej na pozór najdrażliwszej materii porozumiewali się bez wielu słów.

Inna była za to kwestia, arcykonkretna, do której Borowicz przywiązywał ogromną wagę, na którą należał, gdy tymczasem rozmówczyni jego niezbyt tym przejmowała. Władka bowiem od początku sugerowała wyraźnie choć bez wielu słów, że wszystkie sprawy Borowicza uda się załatwić, że ona w tym będzie pośredniczyć, od razu też, choć bez odpowiednich, określających, dosłownych sformułowań, przyjmowała „umowę przetargową” — małżeństwo w zamian za ratunek (Borowicz wiedział, że już jej nie kocha i że będzie żałował całe życie — ale jakież miał wyjście?). Chodziło jednak o gwarancję. Władka obiecywała mu załatwić na środę decydującą rozmowę z Ludwikiem i dawała do zrozumienia, że pozytywny wynik owej rozmowy z góry już jest przesądzony — ale Borowicz wiedział jedno: jeśli jutro nie weźmie udziału w Święcie, jeśli nie będzie go ani na defiladowej trybunie, ani na wiecu w sali Pałacowej ani na bankiecie, to już po nim. Opinia partyjna go pogrzebie i nie odgrzebie go już nikt — nie tylko Ludwik, ale nawet sam Szeł. Było to absolutnie oczywiste, ale bystra dotąd Władka, o dziwo, zdawała się tej rzeczy wcale nie rozumieć. Nieobecność Borowicza na Święcie uważała za rzecz przesądzoną i zgoła nie decydującą — klucz sytuacji widziała w środowej rozmowie z Ludwikiem, co do jej rezultatu nie miała najmniejszej wątpliwości. Gdy Borowicz po raz któryś z rzędu powtórzył swoje obiekcje, zrobiła osobliwą aluzję na temat Matki. — Szeł już z góry uspokoił twoją matkę — coś podobnego powiedziała najwyraźniej. Bo-

rowicz nie od razu zdał sobie sprawę ze znaczenia tych słów, potem dopiero przypomniał sobie, że matka rzeczywiście jakoś bardzo nagle się uspokoiła, kiedy wrócił od Białowicza nie zadawała żadnych pytań i w ogóle sama z siebie zdecydowała się wyjechać do owego domu na Pomorzu. Szef bardzo matkę lubił, znał ją jeszcze z czasów okupacji, bywali przecież razem u niego — czyżby więc naprawdę odegrał tu jakąś rolę mediacyjno-opiekuńczą? To by było ciekawe, to by dowodziło, że Władka miała swoją rację, przewidując absolutnie dobre zakończenie całej sprawy. Ale co ze Świętem, z akademią, z defiladą — jak uda się zrekompensować jego nieobecność?!

Tak czy owak innego wyjścia nie było, zwłaszcza, że Władka nalegała, aby szybko kończyli rozmowę: sugerowała, że powinien w ogóle iść zaraz zamknąć się w domu i nie pokazywać na mieście do środy. A więc znowu miały go czekać trzy dni samotnej męki i to wśród rozbrzmiewających po całym mieście hucznych odgłosów defilady, pochodów, wśród owego potężnego brzmienia megafonów, o którym tak namiętnie mówił Pietrzak. Co prawda, wedle sugestii Władki, męka niepewności była tu zbyt ciężka, bo końcowy rezultat nie ulegał wątpliwości. Czy mógł w to wierzyć? Ale, z drugiej strony, czy mógł w to nie wierzyć? Czy miał co innego w zanadru? Absolutnie nic — stał się bezsilny jak dziecko. Musi się zdecydować — rzucona została ostatnia stawka!

XXI

Ludwik był jeszcze chudszy niż zwykle, policzki miał zapadnięte, sówie oczy, zbliżone do siebie po obu stronach ogromnego nosa jarzyły się dziś nie tyle rozsądkiem, co jakimś niezwykłym blaskiem ni to gniewu ni to podniecenia. Przed nim na pustym poza tym biurku leżała pękata teczka z ręcznym napisem: „Tow. Henryk Borowicz”. Ale Ludwik nie otwierał jej, nie kazał też podać kawy ani nie robił żadnych przygotowań. Patrzył tylko w Borowicza uparcie swymi sowymi oczami, aby nagle, bez żadnego wstępu, bez „dania racji”, jak mówiono w Warszawie — zacząć krzyczeć.

Krzyk towarzysza Ludwika to rzecz niełatwa do zniesienia, nawet dla postronnego obserwatora. Ludwik był bowiem wątki, wątkością specyficzną, niemal kruchą: istniał raczej mało materialnie, niewiele miał ciała, a jego płonące dziś nie zwyczajnym blaskiem oczy zdawały się tkwić w powietrzu, nie posiadać fizycznej bazy. Gdy krzyczał robił to szczerze (w przeciwieństwie do Szefa, który prezentował się w takich wypadkach jako niezły aktor) i mizerne jego ciało podlegało wręcz niebezpiecznym kataklizmom: grdyka latała mu kurczowo, dusił się, chrypnął, dygotał, przerażony świadek takiego ataku bał się nie tylko jego wykrzykiwanych słów, ale bał się o niego — że mu coś pęknie, że się zadusi lub zemdleje. Tak, to nie był gniew udany, choć przychodził, jako rezultat długich medytacji i deliberacji, wtedy akurat, kiedy okazywał się potrzebny.

Nie ma jednak rady — musiało się przez to przebrnąć. Borowicz reagował raczej optycznie: wyraźnie widział i rejestrował niczym kamera skrzywioną twarz towarzysza Ludwika, jego la-

tającą na kurczęcej szyi grdykę, błyskające złote zęby, dygocące na stole ręce. Słyszał za to tylko poszczególne słowa: skandal — kpiny z Partii — nieodpowiedzialny szczeniak — gdzie moralność socjalistyczna — z agenciakami imperializmu — żer dla wrogów — reakcyoniści w Partii — hańba — Wy, stary towarzyszu — oczyścić szeregi — brak godności — i tak dalej i dalej.

Trwało to długo: Borowicz nie słuchał, ale czuł, jak krew zaczyna napływać mu do głowy. Przed oczyma latały czarne płyty, ręce jeły drzeć jak u Ludwika. Sprawa stawała się beznadziejna: tamten podniecał się swoją własną złością, wprowadzał się w stan, z którego nie będzie odwrotu, to w końcu drugi człowiek w Polsce, po Szeffie, jego słowa się liczą, nie idą na wiatr, a wypowiedziane przy świadku czy przy podstuchu nabierają wagi dokumentu. Ładny dokument! I po co ta cała scena, mogli go przecież wylać normalnie, bez słów, bez awantur. Borowicz zrozumiał, że jest mu już w tej chwili wszystko jedno, po prostu zrezygnował — zrezygnował z jakiegokolwiek wyjścia czy ratunku. I pomyśleć, że trzy dni tłuł się po mieszkaniu, przechowując w sobie gwałtem bezsensowną nadzieję, którą zaszczerpiła mu ta głupia Władka — przed nią też upokorzył się jak najniepotrzebniej — a może to w ogóle jej intryga, jej zemsta — nadzieć go na Ludwika, żeby dostał za swoje. O diabli!

Zacisnął zęby, aż chyba zgrzytnęły i w tym akurat momencie towarzysz Ludwik przestał krzyczeć — kto wie, może coś wy-czuł? Latającymi rękami ale w nagłym, aż świdrującym w uszach milczeniu, rozwiązywać zaczął ową pękatą teczkę. Pełno w niej było papierów, na wierzchu leżało nawet coś znajomego. Borowicz dostrzegł swój podpis — to był najwyraźniej ów protokół od Białowicza. No tak — Ludwik oczywiście musiał wiedzieć wszystko.

Cisza przedłużała się: gabinet Ludwika położony był w przeciwnym do ulicy rogu budynku — tu nie dochodził hałas z Ronda ani w ogóle jakikolwiek dźwięk, poza ewentualnymi krzykami gospodarza, który jednak w tej chwili umilkł na dobre. Chudymi palcami dalej przebierał w teczce, teraz znów trzymał w nich jakiś paperek, zdaje się że pisany ręcznie. Borowicz poczuł znów na sobie owe nienaturalnie dziś błyszczące, blisko siebie osadzone oczy.

— I pomyśleć, że byliśmy razem w Paryżu, kiedyście się wykradli, żeby odnaleźć tych swoich podejrzanych przyjaciół — przemówił nagle Ludwik całkiem innym, cichym, jakby zszarzałym głosem.

Wykraść się w Paryżu! To było typowe dla Ludwika i jego

pojęć. Borowicz spróbował się uśmiechnąć, jednakże wyszło mu to krzywo.

— Ależ nic podobnego, towarzyszu — wymruczał. — Ja spotkałem kogoś zupełnie przypadkiem. A potem...

— A potem umówiliście się w eleganckiej restauracji z notorycznym kapitalistycznym agenciakiem i z waszą dawną przyjaciółką, obecnie działaczką trockistowską! Głos Ludwika znowu podniósł się o stopień, zyskał na napięciu, nie osiągając jednak diapazonu poprzedniego. Najwyraźniej tamten nie chciał już więcej wrzeszczeć, a znowu Borowicza ubawiła trochę pogardliwa wzmianka o „eleganckiej” restauracji — dla Ludwika, purytana Partii, rzekoma nawet eleganckość w Paryżu była synonimem całego zła i zepsucia tego świata. I pomyśleć, że wszystko to zaczęło się od przypadku, od tego łobuza Karbowskiego, który musiał się wówczas akurat znaleźć w Dzielnicy Łacińskiej. Jasne, że od razu a samorzutnie złożył sprawozdanie — głupie bydlę.

— A potem jeszcze w Warszawie, uwiedliście z kolei jej córkę — podsuflował jakby usłużnie Ludwik, głosem cichym, syczącym. Wyraz twarzy miał w tym momencie dziwny, wyciekająco-obleśny, rzadko u niego spotykany. Borowicz postanowił nie odzywać się — to nie miało celu: ci ludzie wszystko wyniuchali, wywęszyli, spisali sobie i uporządkowali, to znaczy uporządkowali w swoim pojęciu, nonsensownie ale w jakiś absurdalny sposób niezbitcie. Ludwik najwyraźniej wart był Białowicza — i po cóż to wszystko. Pewność porażki wydała mu się teraz czymś ogromnie uspokajającym — nareszcie odpocznie od wszystkiego!

W tym jednak momencie, w stanie rezygnacji z wszelkich emocji, obaw czy nadziei jaki opłynął go ze wszystkich stron („stan nieważkości” — tak to sobie określił), usłyszał nagle coś, co go poruszyło, coś, czego usłyszeć nie spodziewał się wcale, nigdy, nigdzie, a najmniej właśnie w tym miejscu. To coś wyszeptał raczej niż powiedział Ludwik, z tą samą ni to obleśną ni to filuterną minką. Musiał rzecz powtórzyć (nie bez lubości) dwa razy, gdyż Borowicz myślał, że się przestyszał albo źle zrozumiał. Towarzysz Ludwik sugerował ni mniej ni więcej, że choć dziewczyna jest prawdopodobnie w ciąży, to nie należy się tym specjalnie przejmować: problem, kto jest sprawcą owej ciąży nie wygląda bowiem całkowicie jednoznacznie. Są pewne przypuszczenia...

Borowicz poczuł zimno w czubkach palców, zawrót głowy, lekkie mdłości i wiele jeszcze innych podobnych objawów. Jednocześnie jego zdolność szybkiej orientacji przestała działać, poczuł się jak w mozołnym śnie, gdy nie możemy oderwać nóg

od ziemi, w dodatku dziwił się, niepomierne się dziwił. Jakim sposobem znikł gdzieś towarzysz Ludwik, wielkim głosem gromiący nieprawości Savonarola partyjny, a nachylał się oto do niego ktoś zgoła inny, przekazujący mu cichym szeptem poufne, ważne i pożyteczne konfidencje, czy nawet śliskie ploteczki?

Ani się spostrzegł, jak podchwycił ten ton, jak wpadł w podobny szept, jak nachylił się do Ludwika, mruczając dyskretnie. Wyglądali teraz na współników, załatwiających jakąś doniosłą dla obu sprawę.

— A któż mógłby być ojcem?

Borowicz aż się zdziwił ochrypłości swego głosu czy szeptu, ale Ludwik, bez zdziwienia odpowiedział mu natychmiast, jakby tylko na to czekał.

— Kasperczyk oczywiście — on ją uwiódł — za waszymi plecami. To łobuz — Rusin za to porządny człowiek, a wyjście mu nie ufali. Zatraciliście zdrowy instynkt, towarzyszu Henryku. To się mści.

Borowicz znów nie wierzył uszom: i wiadomość była niezwykła i owe „towarzyszu Henryku”. A więc Władka miała rację... Ale czy z Kasperczykiem to była prawda, czy też Ludwik stwarzał „Henrykowi” wygodne alibi? I czy należy tę sprawę bliżej wyjaśniać, czy też pozostawić ją tak, w sferze pół domysłu, pół hipotezy? Coś tu wymyślono, ktoś za niego popracował. Ale... Czyżby naprawdę Kasperczyk mógł zrobić coś podobnego?... I mała Anna... Zresztą to nie ważne. Nie w tej chwili przynajmniej. A może nigdy już nie stanie się ważne?

Nagły skurcz w twarzy Ludwika ostrzegł Borowicza, że nastrój znów się zmienia, kończą się konfidencje, powraca gniew, widocznie tamten coś sobie przypomniał, coś irytującego — a irytowały go zawsze rzeczy specjalne nie te, co innych. Tak się działo, że mimo wspólnej pracy w kierownictwie Partii, każdy miał tam nastawiony mózg na swój sposób, poszczególne zaś mózgi funkcjonowały w izolacji od siebie, posuwając się po osobnych torach, jak w wyścigach psów za elektrycznym zającem. Ludwik oczywiście też miał swego maniakałnego zająca i teraz go oto zademonstrował, krzycząc znowu i sycząc, jakby nagle zapomniał o niedawnej konfidencjonalnej życzliwości. Krzyczał zresztą coś niejasnego a krzyk mieszał mu się z sykiem, powodowanym przez gniew i, jak to Borowicz określał z francuska, przez najszczerszą indygnację. Rozumie, wołał, postępowanie takich łobuzów jak Geller czy Kasperczyk: pierwszemu, choć to dawny ideowiec, chodziło o dewizową forszę i wygodne zagraniczne życie, drugiemu o dziewczynę. Ale jak mógł Borowicz, urzędujący kierownik Wydziału, spotykać się publicznie z takim

renegatem i dewersyjnym rozłamowcem jak Piórczyński; a jak mógł afiszować się z notorycznym chuliganem i przestępcą, Grynbaumem?! Czy naprawdę nie ma już na tym świecie żadnych hamulców moralnych, nie działa instynkt przyzwoitości, rozsądek, nie mówiąc już o sumieniu partyjnym i poczuciu socjalistycznej solidarności?!

Tędy cię wiedli! Borowicz niczym drugi Freud, znał na pamięć kompleksy i lęki towarzysza Ludwika. Wcieliły się one między innymi w demonizowaną powszechnie postać Piórczyńskiego, człowieka, który wzgardził Partią, ponad jej solidarny i przez to nieodparty marsz przekładając swoje indywidualistyczne, niby naukowe urojenia. Tacy ludzie, zwłaszcza mający wpływ na młodzież mogli być zaczynem niejednomysłności a w rezultacie rozłamu w Partii — mniej tyczyło się to Grochowskiego (Ludwik go nie wymienił), ten zbyt długo był w grupie kierowniczej i ponosił współodpowiedzialność za jej działania, stąd jego obecna, proporcjonalnie większa opozycyjna pasja, mniej jednak czysta i autorytatywna niż zrezygnowana, smutna lecz nieugięta, zasadnicza postawa Piórczyńskiego, który sprzeciwił się od samego początku i nigdy nie uczestniczył w beneficjach partii czy władzy. Oczywiście, Borowicz nie umawiał się nigdy ani nie spotykał rozmyślnie z Piórczyńskim i absolutnie nie pochwałiał jego bezużytecznego stanowiska — zarzut Ludwika to prosty skutek mechanicznego donosu tego idioty Karbowskiego. Z Grynbaumem sprawa inna — na cmentarzu widzieli ich wszyscy, zwłaszcza odmawiający ukłonu Dyrektor, który, rzecz prosta, doniósł potem gdzie trzeba, podbudowując przy okazji swój absurdalny zarzut, jakby Borowicz bronił Gellera. Wersja, że Geller popełniał przestępstwa dewizowe była wspólna Ludwikowi i Białowiczowi, miała widocznie jedno źródło — zresztą wszystko tutaj było wspólnie czyli kolektywnie uporządkowane — tyle, że idiotyczne. Ale chyba Ludwik tę idiotyczność rozumiał — skądże inaczej płynęła nadzieja Władki, że się wszystko załatwi, skąd też ta niedawna zmiana nastroju, owa konfidencjonalna miękkość w którą Borowicz już już niemal uwierzył? Jednak była ona chyba autentyczna, raptowny nawrót wściekłości Ludwika wyniknął z przypomnienia sobie przezeń tego co najgorsze, sławetnego „rewizjonizmu”, którego jednym z symbolów stała się postać Piórczyńskiego. Rewizjonizm na szczytach Partii — to był mól i kornik najstraszniejszy, najuporczywszy — przypomniawszy go sobie, nawet akcydentalnie, Ludwik musiał popaść we wściekłość — choćby nie wierzył w bezsensowne oskarżenia dotyczące Borowicza.

Szef, Ludwik i inni z kierowniczej grupy żyli ciągle w nie-

uświadamianej może ale niemniej dotkliwej trwodze przed wewnętrznym przewrotem w Partii, przed rozłamem, walką frakcji i przechwyceniem władzy. Żyli w tym stanie bez względu na to (a może właśnie dlatego), że sami wyrosli z przewrotu zwanego Październikiem, który to przewrót wyniósł świeżo wypuszczonego z więzienia Szefa z powrotem na szczyty władzy. Przewrót ten, mimo pozorów spontaniczności, mimo dekoracji jaką stanowiły masowe wiece i pochody, wyniknął w istocie z wewnętrznej dekonfiguracji wśród czołowej grupy partyjnej, dekonfiguracji, związanej zresztą niewątpliwie z wydarzeniami, jakie miały miejsce po śmierci Stalina. Szef i Ludwik wiedzieli doskonale, że wszystko zależy od układu sił wewnątrz Kierownictwa, w masę i jej zrywy nie wierzyli absolutnie: masa socjalistyczna, świadoma, ukształtowana historycznie jeszcze się nie wytworzyła, za mało było na to czasu, to zaś, co istniało aktualnie, to jest niezintegrowana, ruchoma plazma, znajdująca się w sytuacji pod wielu względami przejściowej, zwłaszcza w Polsce, gdzie wobec przemian terytorialnych i demograficznych nawet bez rewolucji wszystko po wojnie stanęło na głowie. W tej fazie rozwojowej masa i opinia nie istniały, nie liczyły się — jedyną konkretną siłą stanowiła Partia, czyli jej kierownictwo. Jasne więc, dlaczego monolityczność tejże partii stała się dla Szefa, Ludwika i kilku innych rządzących centrystów (bo było to niewątpliwie centrum) celem najważniejszym a jawny rozłam w tejże partii, poprzedzony, jak to zwykle bywa, rosnącymi rozbieżnościami teoretyczno-ideowymi — zmorą nie dającą spać po nocach. Symbolami niebezpiecznych rozwarstwień ideowych stawały się właśnie takie figury jak Piórczyński (postać czysta i pomnikowa, przez to może jednak nieco daleka), a z ludzi aktualniejszych, bo działających, tacy jak Grochowski i właśnie Geller. Rozrabiał też jak mógł nieoceniony redaktorek Gałęcki, lecz, działając po swojemu obłudnie i pokrętnie, nie miał autorytetu i legendy u młodzieży. A właśnie o młodzież chodziło tu głównie, młodzież partyjną, którą Szef i Ludwik uszczęchcieli przed jakimikolwiek wątpliwościami czy dewiacjami ideowymi: kierownictwo potrzebowało dopływu świeżej krwi, ale niesposób się było zgodzić na zwichnięcie przez to owej jako tako solidarnej linii partii, linii będącej wypadkową tylu przeróżnych procesów i rezultatem ogromu żmudnych prac ideologiczno-szkoleniowych.

Borowicz w zasadzie zgadzał się z taktyką i strategią centrystów: była w ogóle jedynie możliwa, a bez monolitycznego kierownictwa rewolucja nie mogłaby kontynuować swej ciągłości, tylko zaś wieloletnia ciągłość, przetwarzając całkowicie psychikę społeczeństwa, uczynić może przemiany rewolucyjne absolutnie

nieodwracalnymi. Różnił się jedynie z kierownictwem w pewnych szczegółach metodologicznych: jak mianowicie realizować owo szkolenie narybku, aby nie puszczając sprawy na żywioł, wychować jednak ludzi świadomych, zdolnych nie tylko przez wpojone sztywniactwo lecz również przez dialektyczne wyrobienie umysłu oprzeć się wszelkim propozycjom pseudosocjalistycznym a w istocie wynikłym z ciągłego nacisku myśli burżuazyjneliberalnej. Uważał, że szkolenie nie może być kurczowe i zatrwożone, nie można ukrywać przed młodzieżą faktów, o których ona tak czy owak dowie się inną drogą, co podważy w niej wiarę w dobrą wolę i w siłę argumentacji szkolących. Nadmieniał coś na ten temat parę razy, oczywiście dało to Sewerynowi asumpt do oskarżenia go o propagowanie dyskusyjnego liberalizmu. Że zaś akurat główni meryci młodzieżowego fermentu w partii okazali się ludźmi pochodzenia żydowskiego (w paru wypadkach synami starych, zasłużonych towarzyszy), więc dalsza motywacja nasuwała się sama: już to w Polsce argument antysemitki chwyta jeszcze po dziś dzień, choćby nawet w sytuacji, gdy Żydów pozostała tylko mała garstka. Co prawda w tej sytuacji właśnie antysemityzm nabiera nowego, specjalnego znaczenia: jakże to w społeczeństwie masowym, którego celem jest jedność, integracja, traktować grupę ludzką nieliczną ale wyróżniającą się? Nie jest to dziś warstwa czy klasa społeczna, bo na to za mała, więc czymże jest: elitą, mafią, sitwą? Tak, właśnie w społeczeństwie komunistycznym Żydzi są większą przeszkodą niż w rozwarstwionych i skłóconych z natury społeczeństwach kapitalistycznych. Powinni jak najprędzej rozpląnąć się w ogólnej integracji, zniknąć i z tego punktu widzenia solidarnościowe, mafijne działania Endelberga i spółki uznać należało za nonsens — Matka miała tu dobry instynkt. Jak się rozpląnąć? Rzecz prosta etnicznie, innej rady nie ma. — A w takim razie jeśli ożenię się z Władką, to nasze dzieci znajdą się już w pół albo więcej drogi do owego rozpląnięcia, no a nasze wnuki nie będą się już niczym różnić od otoczenia i nikomu nie przyjdzie na myśl kwestionowanie czy wypominanie im sztuczności nazwiska „Borowicz” — pomyślał sobie nagle. — Natomiast moje dziecko z Anną wyróżniałoby się — i jak jeszcze — pod każdym względem... Jak Cygan...

Złapał się na tym, że nie słucha wcale Ludwika — znowu wyłączył sobie, jak mówili filmowcy czy pracownicy telewizji „fonię” i widział tylko twarz rozmówcy, stopniowo uwalniającą się od skurczów, uspokajającą się. Ta jej ewolucja natchnęła Borowicza nową otuchą: w końcu Ludwik nigdy dotąd nie dawał posłuchu intrygom oskarżających Borowicza mechanicznych antysemitów, był przecież rozsądnym centrystą i zarówno „żydow-

skie” poczynania Endelberga jak i antyżydowskie Seweryna uważał z punktu widzenia socjalistycznej integracji za szkodliwe. W nim więc jednak nadzieja (znowu!), zwłaszcza, że się naprawdę uspokoił, twarz mu się wygładziła, dosyć ma krzyku, chce najwyraźniej przejść do części konstruktywnej a w każdym razie do jakiejś konkluzji. Szkoda tylko, że Borowicz odczuwa teraz ową lukę w rozmowie, że nie śledził dokładnie poszczególnych faz jego krzyku. No trudno, za to teraz trzeba w dwójnasób nastawić uszy zwłaszcza, że będzie mówił cicho — Ludwik zawsze po awanturach przechodził w rozsądny, perswadujący pół szept. Rzeczywiście:

— Tak więc, towarzyszu Borowicz — mówił — nie ma żadnych frakcji ani etapów, jest tylko jedna sprawa: Partii, jednolitej rewolucyjnej Partii. Wy zwątpiliście o jednolitości sprawy, to był Wasz błąd. Przejściowy, przyznaję — ale błąd...

Borowicz, rzecz prosta, do tak sformułowanego błędu wcale się nie poczuwał, ale rozumiał, że Ludwik musi zrobić tę koncesję wobec śledztwa i raportu Białowicza: to już nie był Seweryn, to oficer śledczy, a mrówczej, fachowej bądź co bądź pracy Wydziału Śledczego nie można przekreślić tak jednym słowem. Serwitut serwitutem, ale oto najwyraźniej Ludwik idzie dalej.

— Więc błąd, powtarzam, był przejściowy, ale był. (— Skąd on wie, że przejściowy, ani słowem się przecież niczego nie wyparłem — myśli przekornie Borowicz). Co się stało, może być zapomniane, ale musimy teraz coś z Wami zrobić, towarzyszu — musi nastąpić jakaś zmiana. Po naradzie kolegialnej zapytujemy Was...

— Teraz — myśli Borowicz. Koncentruje się z całej siły, ręce zaciska w pięści, aż czuje mocne ukłucie paznokci.

Zapytujemy Was... Co byście powiedzieli na... Paryż...?

— Paryż, co to znaczy Paryż? — bąka Borowicz nic nie rozumiejący.

— No właśnie, możemy Wam coś dać w Paryżu: może attachat prasowy, może kierownictwo naszej placówki naukowej. Język znacie, miasto też — szybko się wciągniecie, a i sprawy osobiste sobie załatwicie...

Analizując później całą rozmowę, Borowicz doszedł do oczywistego wniosku, że propozycja ta nie została mu postawiona na serio. Wówczas jednak wziął ją jak najpoważniej w świecie — był już zmęczony, krytycyzm go opuścił. Przyjął rzecz poważnie i jakby osunął się w sobie — to był koniec, absolutny koniec. Traktowano go jak człowieka odchodzącego, jak plajtującego bankruta, w najlepszym razie jak kandydata do spokojnej a nie kłopotliwej dla nikogo emerytury. On, rewolucjonista od lat

dwudziestu pięciu, żyjący Partią, jej przeobrażeniami, kłęskami i sukcesami, on, czynny i świadomy współuczestnik najdonioślejszych wydarzeń współczesnego świata, umieszczony oto jak w ciasnym akwarium w strupieszającym, zapatrzonym w swój pępek, żyjącym odbłaskiem przeszłości mieszczańskim Paryżu. I wokoło martwi „byli ludzie”: Wanda, Edzio, no i ten mędrkujący, stehniczowany łyk — Guillemot. To byłby koniec, dno kłęski, bankructwa, upokorzenia. Cóż za demon wymyślił mu taką karę?

A jeśli to po prostu Władka — zamarzył jej się Paryż i światowe życie? Ona przecież jest z awansu, należy do socjalistycznych nuworiszów, patyna partyjna jest na niej cienka i może łatwo opaść: po Październiku wzbudzone w tej młodzieży otwarte zachodnie ciągoty i snobizmy, pozwalając na przykład na paryskie ciuchy, płyty, filmy. Nawet Szef, choć tego nie lubił, uważał rzecz za nieszkodliwą — Borowicz był innego zdania, za co ci głupcy liberałowie obwoływali go oczywiście nadgorliwcem. I oto, kto miał rację: w ciasnym mózgu Władki zakiełkowała idea mieszczańskiego, zachodniego dobrobytu, z Borowiczem jako złem koniecznym przy boku. Mała Anna zostanie w Warszawie, a oni małżonkowie, nad Sekwaną — najnudniejszą rzeką świata. Attachat prasowy, placówka naukowa — jakże tanio go chcieli kupić, jakże nędźnie zrekompensować degradację, wyrzucenie z polityki, izolację od rewolucji i jej dzieła. Przekłęta, głupia Władka, beźmyślnie perfidny Ludwik!

Mizeria oferowanych stanowisk winna go była uświadomić, że rzecz jest tylko próbą, jakiej go poddawano. Ale w zdenerwowaniu wizją ohydneho, emerytalnego paryskiego życia zatracił resztkę przytomności umysłu. Ludwik to widział — nie darmo lustrował go bez przerwy swymi sowimi oczyma.

— No i co, zaniemówiliście ze szczęścia? — spytał wreszcie sarkastycznie.

Borowicz drgnął, jak zbudzony ze snu. Przez chwilę opanowywał się, wreszcie mobilizacja mu się udała, otworzył usta i przemówił nadspodziewanie dźwięcznie, wcale tym razem nie ochryple.

— Niestety, towarzyszu Sekretarzu — nie mogę przyjąć tej propozycji. Znacie mnie dobrze, moim terenem działania, moją pracą była zawsze rewolucja i budowa socjalizmu. Wbrew temu, co tam na mnie nagadano, ja nie mam nic do roboty w mieszczańskiej Francji, w tej resztkie gasnącego świata, która prędzej czy później starta będzie z powierzchni ziemi przez poryw zrewolucjonizowanych mas. Moje miejsce jest tutaj. Ja... Ja... Nie wiem co mi dacie do roboty, ale ja...

Głos mu się załamał, tym razem decydująco. Ale to nie zrobiło złego wrażenia: w piwnych, sowich oczach Ludwika po-

jawilo się coś, jakby spadek napięcia, jakby uspokojenie, może nawet wyraźna ulga i w ogóle zrozumienie. Prawdopodobnie, jak potem tłumaczył sobie Borowicz analizując rzecz po wiele razy, była to satysfakcja z powodu udanej próby: poddano go eksperymentalnemu testowi, jakże zresztą dziecinnemu i dowodzącemu nieznajomości jego natury. Było to nawet upokarzające, zważywszy tyloletnią wierną i lojalną pracę Borowicza — ale dało dobry rezultat. Decydującą rolę musiało tu odegrać owo załamanie się głosu, na pewno absolutna szczerłość w twarzy: gdy zdradzamy się przez nieopanowanie, bywamy wówczas, jak najniespodziewanej w świecie, przekonujący dla bliźnich, dla uważnych obserwatorów. A Ludwik choć doktryner, maniak i pasjonat, umiał jednak czasem obserwować.

Teraz z kolei on się wahał — pewno co do doboru słów. Wśród zapadłej nagle długiej ciszy gwałtownie bębnił po stole chudymi palcami: Borowicz obserwował to, chrząkając zarazem nieznacznie, aby wypróbować i doprowadzić do porządku swój załamujący się a więc odmawiający posłuszeństwa organ głosowy. Jednocześnie przypomniał sobie, że jednego z najwybitniejszych przywódców partii radzieckiej odsunięto podobno od wystąpień publicznych, bo właśnie takimi ruchami palców zdradzał przed kamerą telewizyjną swoje zdenerwowanie. Ten towarzysz był w KPZR odpowiednikiem Ludwika: sumienie Partii, Savonarola, namiętny, podejrzliwy, nie znający spokoju, chudy o płonących oczach. Ciekawe, że rewolucja wyłania z siebie i wynosi w różnych krajach do góry analogiczne typy — to zresztą jeszcze jeden dowód na jej organiczną prawidłowość.

Milczenie przeciągało się — Borowicz nie przerwałby go teraz za żadne skarby: czuł, wiedział na pewno, że czas pracuje dla niego. Za oknem słońce rozżarzone odświeżnię, lecz jakby martwo, zdawało się również oczekiwać na rezultat tej rozmowy. A cisza trwa, a cisza stoi w miejscu... Lecz wreszcie Ludwik zdecydował się wyłożyć karty. I to jakie karty!

— Rozumiem Was, towarzyszu Henryku, rozumiem dlaczego nie odpowiada Wam Paryż — mówił jakby wahająco, choć na pewno wahanie to było udane. — Ale widzicie, cóż my z Wami zrobimy... W tej sytuacji...

Podniósł palec do góry jak przy głosowaniu, znów pomilczał chwilę i powoli kontynuował.

— Bo rozumiecie sami... Nie było Was na Święcie, na defiladzie, ani na akademii... Wielu towarzyszy to zauważyło... A znów niektórzy wiedzą, że wytoczono przeciw Wam śledztwo... Są już z pewnością komentarze, niedyskrecje... Więc nasuwa się pytanie, jak ten problem rozwiązać, jak wyjść z tej sytuacji?...

Tak, oczywiście! Borowicz to właśnie przewidywał, o tym przecież mówił Władce — a ona to zbagatelizowała. Widocznie jednak miała po temu swoje powody, bo oto Ludwik mówi dalej.

— Jest jedno wyjście — skoro (co rozumiem) nie chcecie Paryża. Mówiliśmy o tym z towarzyszami — na wszelki wypadek. Gdyby tak przenieść Was do komórki wyższej — to by zamknęło drogę plotkom a i Was ustawiło — na nowo. Na przykład...

Borowicz starał się teraz nawet nie myśleć, by nie zagłuszyć czy nie zapeszyć słów tamtego. Cisza była absolutna tylko przy-słowiowa mucha zabrzęczała gdzieś między oknami.

Na przykład... Mamy, w myśl statutu Partii prawo kooptacji — potem Kongres zatwierdzi. Moglibyśmy dokooptować Was do sekretariatu Komitetu. Zakres działania: kultura, propaganda zachodnia, w ogóle sprawy zagraniczne. Chcielibyście spróbować, co?...

Borowicz nie wierzył sobie, swoim uszom, zmysłom, myślom... Sekretariat Komitetu składał się dotąd z sześciu osób: pierwszym Sekretarzem był Szefer, drugim Ludwik, Seweryn był czwarty. On, Borowicz, stałby się w ten sposób, nominalnie przynajmniej, siódmym człowiekiem w hierarchii partyjnej! Olbrzymi sukces, pełna rekompensata za idiotyczne posądzania, szykany, śledztwo. I jaka zmiana sytuacji: po prostu z nędzy do pieniędzy!

Myśl zaczęła mu nagle pracować gorączkowo, jakby otwarto w mózgu jakąś tamę. Oczywiście — czuł w tym wszystkim rękę Szefera. Pozbycie się Borowicza odczytano by wszędzie jako sukces grupy antysemitki i jej sugestii. Szefer stary internacjonalista i wytrawny centrowiec nie mógł na to iść. Stać go było na zlekceważenie intryg i oskarżeń, płynących zresztą z dwóch przeciwnych źródeł: od Seweryna i od Dyrektora. Może właśnie te przeciwieństwa zneutralizowały się wzajemnie, pozwalając Szeferowi spojrzeć na rzecz obiektywnie. No i dwadzieścia pięć lat pracy dla Partii też się chyba liczy. Cóż za sukces, coś za awans! A w dodatku ratunek: ratunek przed wszystkim i wszystkimi! Władka miała rację...

Zaabsorbowany nagłą a tryumfalną pogonią myśli nie odpowiedział nawet Ludwikowi, który, jak zwykle do absurdu nieufny, zmarszczył się lekko, czekając jednak cierpliwie. Wreszcie popędził Borowicza jakimś konwencjonalnym: — I coś Wy na to? „Henryk” zreflektował się szybko.

— To zaszczyt dla mnie, towarzyszu Sekretarzu. Chyba nie macie wątpliwości, że dołożę sił, aby...

— Przedtem oczywiście musicie uregulować swoje sprawy

osobiste. Od towarzyski Kowalczyk słyshałem o Waszych projektach małżeńskich. Bardzo to popieramy: towarzyska Kowalczyk jest świetnym, głęboko ideowym pracownikiem.

Tak, to była cena: cena z góry przewidywana i wyasygnowana. Małżeństwo będzie teraz pełne niesmaków, Władka ma go w rękę i wyzyska to: wyzyska dla siebie i dla Partii. Będą go obserwować dzień i noc — coś za obskurna wizja. Ale nie czas o tym myśleć, rzecz jest przesądzona, oczywista, — idąc do Władki zaakceptował to już z góry. Tylko — co z małą Anną i jej sprawami?

Ludwik zdawał się bez trudu odczytywać jego myśli: przemówił teraz jak czarnoksiężnik-iluzjonista, mający przygotowane w repertuarze nowe, nie przeczuwane przez nikogo sztuki. Po prostu tylko wyciągać je z kapelusza!

— Nie musicie się też kłopotać problemem tej... dziewczyny. Już się z nią w ogóle nie musicie widzieć. Ona nie jest całkiem normalna — na razie izolowaliśmy ją, jest pod opieką. Nie spotka ją krzywda, możecie być pewni — zresztą Kasperczyk o to zadba — już my się tym zajmiemy... I tym dwuznacznym księdzem również... Chodzi teraz tylko o Wasze nowe życie i o Waszą nową pracę. Nie potrzebuję chyba dodawać, że działacz tej skali i tych zasług...



Popołudniowe słońce nie straciło jakoś ani na intensywności ani na blasku — było tylko bardziej kolorowe, rozpylało wielobarwny kurz, w którym spieszące we wszystkie strony sylwetki ludzkie nabierały pozorów zgoła niematerialnych. Wszystko zresztą było w tej chwili jakieś nierealne, choć podniecone, jakby odświeżone. Tak się to przynajmniej załamywało w idącym Nowym Świacie Borowiczu: na pewno skutek zmęczenia psychicznego. A raczej nie tyle zmęczenia, co uczucia, że nie jest w tej chwili w stanie sprostać myślowo nowej sytuacji. Oto stało się tak, jakby nagle ogromna ręka wyjęła go, bezradnego karzełka, spośród drobnych a zawiłych sprawek, w które się beznadziejnie zaplątał i przeniosła gdzieś wyżej, gdzie znalazł się z godziny na godzinę poza wszystkim tamtym, w zupełnie nowym życiu. Jest tu materiał do przemyśleń na tygodnie, miesiące i lata — ale dziś tego trudu mózgowego nie podejmie: czuje się wyjąłowany, pusty, wewnątrz biały jak nie zapisana kartka. Nie wstąpił nawet do Władki, nie miał dziś już siły z nią rozmawiać — będzie na to czas jutro, pojutrze, przez całe życie zresztą... Masę spraw trzeba jeszcze przegadać, przemyśleć — ale nie dziś, w żadnym wypadku nie dziś... Dziś nareszcie ma urlop psychiczny, pustkę

ale nie przykrą, pustką bezpieczną, bo dowodzącą, że chociaż raz kto inny za niego coś pokombinował, coś załatwił, coś ustawił. Pustka ostatnich tygodni była bowiem pustką osamotnienia, izolacji, teraz natomiast po raz pierwszy nie czuł się sam, czuł, że oto właśnie ów ktoś życzliwy się nim interesuje, jest z nim solidarny, rozumie go i popiera. Tak, tym razem nie był osamotniony, choć oto, minąwszy Plac Trzech Krzyży wędruje teraz przez Aleje Ujazdowskie sam wśród obojętnego tłumu popołudniowych spacerowiczów.

Z nałogu, automatycznie, wstąpił do parku — rozkrzyczanego o tej porze gwarem szkolnej młodzieży. Idąc aleją pod starymi kasztanami rzucił okiem w stronę stawu: oczywiście znowu łabędzie, kaczkę, papierowe okrężniki, mostek ze sztucznie, dekoracyjnie ułożonymi wielkimi kamieniami.

Lecz cóż to? Z mostku ktoś mu się kłania, kłania się szeroko, słomkowym, zagranicznym kapeluszem. Tak, nie ma wątpliwości, to znowu ten łajdak, donosiciel Karbowski. Borowicz czuje, jak wstępuje w niego nagły gniew — pierwsze określone uczucie od czasu wyjścia z Komitetu. Powie mu teraz, co o nim myśli — nie ma najmniejszego powodu, aby nie miał tego powiedzieć.

Skręcił gwałtownie w stronę mostku, elegant Karbowski oczekiwał go tam z uśmiechem, choć, jakby wiedząc co się święci, bez wyciągnięcia ręki. Po chwili stali już twarzą w twarz.

— Widzę że ma pan gęstą minę, na pewno odniósł pan sukces — przemówił pierwszy tamten. — No tak, to nieunikniony skutek wpadki Seweryna!

Borowicz dał się zaskoczyć — słowa były tak niespodziewane. Przez chwilę trawił je w milczeniu, potem oczywiście musiał zadać pytanie. — Jakiej wpadki Seweryna? — wymruczał, wstydząc się sam siebie.

— Co, nie słyszał pan?! No, no. Seweryn przewodniczył delegacji w Belgradzie, zagalopował się, coś tam powiedział na akademii nie uzgodnionego, jugosłowiańska prasa to podchwyciła, no i — stało się.

— Szef się wściekł i wyrzuca go z Sekretariatu. Już na defiladzie go nie było, nie widział pan? Acha, pana też nie było. Ale gdzie się pan uchował, że pan o tym nie wie?!

Borowicz odzyskał jeszcze raz zdolność kojarzenia i dziwienia się. A więc dużo się wyjaśniało, Władka o wszystkim wiedziała, złapała moment — tylko on, pogrążony w swoich kłopotach żył w nieświadomości porażki Seweryna. Zresztą to i lepiej — gdyby o niej wiedział, za wcześniej by tryumfował a w każdym razie byłby pewniejszy siebie, co zraziłoby wrażliwego Ludwika. Nieświadomie zastosował najlepszy sposób: wziął tamtego pokorą,

bezradnością. Ale z tego wynikało, że on, Henryk Borowicz, będzie nie siódmym lecz szóstym człowiekiem w Partii!

Karbowski sondował go bystro swymi niebieskimi, młodzieńcymi niemal choć w siateczkę zmarszczek ujętymi oczyma.

— A to może z kolei wy (nagle przeszedł na owe „wy”) zostaliście teraz sekretarzem? Tak?! Gratuluję! Choćmy do klubu, trzeba to opić — naprawdę bardzo się cieszę.

Tamten był bezczelny — mimo rewelacji o Sewerynie w Borowiczu obudziła się resztką gniewu.

— Z panem mam pić? Z donosicielem, denuncjatorem?! Niech no pan powie: donosił pan na mnie czy nie?!

— Oczywiście że donosiłem — Karbowski był bez żenady. — A co miałem robić?! Przecież tam, w Paryżu, w tej knajpie „Chez Maurice” widział mnie pan z Lechosławem. Przelekkłem się pana jak diabła. Co miałem robić — czekać aż pan doniesie?! Karbowski nie ma jeszcze ochoty wisieć za j... bez powodu — o głupstwo.

Lechosław, Lechosław? Borowicz przypomniał sobie, że był taki poeta; wysłali go do Paryża do ambasady a on wybrał tam mieszczańską emigracyjną wolność i napisał paszkwilancką choć, inteligentną książkę o Polsce, cytowaną często przez radio Zjednoczonej Europy. A więc to z nim był wtedy Karbowski w owej restauracji?! Borowicz wcale tego nie zauważył, ale tamten przeraził się na zapas i doniósł wszystko. Personalia Wandy i Edzia podał mu na pewno ów Lechosław, wszyscy Polacy w Paryżu się znają. A więc, jak w owej warszawskiej anegdotce, kto donosi pierwszy, ten lepszy.

Ale prawdomówny cynizm tamtego rozbroił go, zresztą kiedyż znaleźć lepszy dzień do darowania win, niż dzisiejszy? Tak więc, choć brzmiało to absurdalnie, poszli z Karbowskim na wódkę do Klubu.

Klub był osławionym lokalem w Alejach Ujazdowskich, gdzie co wieczór gromadzili się aktorzy i literaci. Mieścił się w jednym z ocalałych w tej dzielnicy domów przedwojennych, toteż jego trzy nieustawne i śmierdzące, choć wysokie i inkrustowane dębem, natłoczone stolikami pokoje miały nieuchwytną lecz sugestywną atmosferę dawnej Warszawy. Był w tym swoisty tyle że nieco trupi wdzięk, ale Borowicz unikał Klubu ze względów zasadniczych: nie lubiano go tutaj, a i on nie lubił owej gnilnej atmosfery wiecznego kibicowskiego podniecenia, karmionego obficie strawą politycznych i personalnych plotek; bał się też wybuchających tu od czasu do czasu pijackich awantur, kiedy ten czy ów alkoholik zaczynał się popisywać szeroko potem w Warszawie komentowaną mniemaną szczerością. Mniemaną — bo szcze-

rość po wódce jest sztuczna, to tylko błazeńska poza i nieodpowiedzialna gra wyobraźni oraz wyzwolonego z wszelkich dyscyplin temperamentu.

Dziś, na szczęście, przy pięknej pogodzie i stosunkowo wczesnej porze nie było tu zbyt wielu osób, mimo to wkroczenie Borowicza w towarzystwie Karbowskiego musiało wzbudzić sensację. Obsługiwano ich starannie a sala obmieniała ich wciąż ukradkowymi lecz nie tającymi głodnego zainteresowania spojrzeniami.

Borowicz jadł i nawet pił ze smakiem; milczał zresztą i połowicznie tylko słuchał tokującego jak głuszcę towarzysza biesiady. Pół świadomością również zanotował że tamten jest świetnie poinformowany o wszystkim, a zwłaszcza o polityce personalnej. Musiał to być niezły agenciak, mimo pozorów niewiniątka, w jakie się stroił.

— Szkoda, żeście nie chcieli iść do Paryża — mówił na przykład (skąd wiedział?!). — Posiedzieć na Zachodzie, to tak, jak zanurzyć głowę w gaz rozweselający: wszystko w człowieku ucichnie, uspokoi się, wpadnie w inny rytm, odpocznie. W naszym wieku trzeba już czasem aplikować sobie takie relaksowe kuracje...

Borowicz skrzywił się nieco, myśląc że tamten starszy jest od niego o dobre piętnaście lat, ale Karbowski wytłumaczył sobie to skrzywienie inaczej.

— Wiem, myślicie że jestem sybaryta, bezideowy (formy „wy” używał już teraz stale), ale to właśnie jest moja siła. Zaraz Wam to wytłumaczę.

Był już dość pijany, głowa zachwiała mu się niebezpiecznie nad zastawionym stolikiem, lecz opanował ją i zaczął mówić, powtarzając wciąż to samo, za to z przesadną starannością modelując sylaby, dla podkreślenia czy że jest trzeźwy, czy że bierze odpowiedzialność za każde słowo — choć wrażenie tej przesadnej wyrazistości było właśnie przeciwne. Ale zdawał się jednak przywiązywać do swych słów prawdziwą wagę — może rzeczywiście był dziś szczery?

— Bo widzicie, towarzyszu Borowicz, Wy mną pogardzacie dlatego, że jestem bezideowy. Według Was, człowiek musi w coś wierzyć, za to się go ceni i chwali. A to jest łatwizna mówić Wam. Najtrudniej właśnie zachować postawę ironii, łagodnej ironii, ale choć to jest najtrudniej, nikt tego nie ceni ani nie chwali. A dlaczego najtrudniej? Bo to jest heroiczne, słyszycie, heroiczne! Heroiczne z dwóch powodów: jeden, że trudno jest w nic nie wierzyć, dwa, że trudno jest być przy tym łagodnym. Wy tego nie cenicie, ja wiem — bo nie rozumiecie, jakie to trudne!

— Trudne, bo samotne. Samotność jest heroiczna, bo jałowa, rozumiecie, bo jałowa? Jakże heroiczna jest jałowość samotności! Ten, co ją uprawia myśli często że zmarnował i stracił wszystko. Najtrudniejsza rzecz: zrozumieć jaką pracą jest samotność.

— I jeszcze jedno Wam powiem: ja nie wierzę w lewicę ani w prawicę, ani w żadną ideę, bo ja wierzę w Boga. Rozumiecie? Nie rozumiem go, ale w niego wierzę. Tylko w Boga. Rozumiecie?! Nie. Wy tego nigdy, nigdy...

Znów zakiwał się głęboko nad stołem i zamilkł, wpatrzony nagle w ścianę. Borowicz zaczął mieć dość tych pijackich bredni, ów alkoholik, erotoman i donosiciel w roli niespodziewanego, heroicznego obrońcy wiary wydał mu się nagle wstrętny — przypomniał sobie zresztą, że podobno rzeczywiście widywano go w kościele. Nowo powołany sekretarz miał już tego dosyć. Porządku w myślach, jak najprędzej porządku w myślach! — wołało w nim coś teraz wielkim głosem.

Był trzeźwy, wódka uspokoiła go. Spojrzał po sali: fantomy, same wlepiające w niego oczy fantomy usadowiły się pod ścianami. Zapłacił rachunek, nie pożegnał śpiącego już niemal współbiesiadnika — Borowiczowi spieszyło się teraz na ulicę, spieszyło się do siebie samego.

W Alejach uchwycił rytm: rytm wieczoru, rytm własnych kroków, rytm własnych myśli. Owszem i tutaj towarzyszyły mu fantomy, tym razem własne fantomy a raczej ich imiona: z jednej strony Wanda, Anna, ksiądz Krauze, Kasperczyk, z drugiej Seweryn, Białowicz, Dyrektor, Sawara. Pamiętał ich imiona, postacie, ale nie chciało mu się teraz o nich myśleć, wiedział, że to już tylko zjawy, że nie mają już nad nim władzy. Odzyskał siebie, wraca do twórczej, ideowej pracy swojego życia, pracy dla rewolucji, dla socjalizmu, dla Polski. Fantomy zostały po drodze, a on idzie naprzód, zaczął się nowy etap, ważny etap. Acha, jest jeszcze Władka, czy to też fantom?! Nie, ona pójdzie z nim, fantom nie fantom, ale zostanie koło niego, zostanie na zawsze. Czy to źle czy dobrze?

Minął Aleję Róż, trzeźwiał coraz bardziej i coraz wyraźniej rosło w nim uczucie tryumfu: dwuznaczności się rozplywały a sukces uwypuklał. Zwyciężył wszakże, wydostał się z podstępnej pajęczyny, otworzył sobie drogę życia i pracy. A fantomy, a Władka? Pomyśli o nich, dużo jest do myślenia i do przemyślenia, ale pomyśli jutro; znowu dał sobie urlop od myślenia: dziś przecież może to odłożyć, może się wyspać, po raz pierwszy od tygodni czy miesięcy może spać spokojnie a sprawy zawiesić na kołku, niech poczekają, bo jest zmęczony, ale zmęczony nie

kłopotami, lecz sukcesem: porządkującym wszystko sukcesem. Myśleć zacznie od jutra, myśleć według nowego, prostego, upragnionego ładu i systemu. Przypomniał mu się tytuł modnej piosenki: „Jutro będzie dobry dzień”. Tak. Jutro będzie dobry dzień!

Kwiecień 1967.

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 21 SEPTEMBRE 1967
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON.
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 3^e trim. 1967

Dar
Instytut Polski
w Sztokholmie

Cena 18,50 F (dol. 4,00; 27/6)